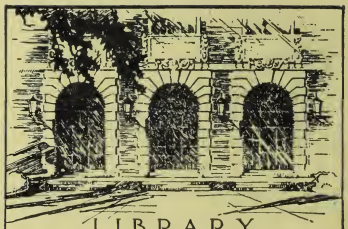

LIBRARY
OF THE
UNIVERSITY
OF ILLINOIS

891.85
K865
IAm1
v.1

The person charging this material is responsible for its return on or before the **Latest Date** stamped below.

Theft, mutilation, and underlining of books are reasons for disciplinary action and may result in dismissal from the University.

University of Illinois Library

JUL 21 1965

FEB 6 1973

JAN 11 1979

L161—O-1096

Digitized by the Internet Archive
in 2016 with funding from
University of Illinois Urbana-Champaign Alternates

https://archive.org/details/pisma01kras

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

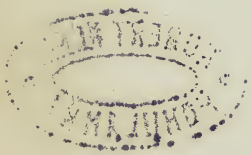

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

WYDANIE ZBIOROWE PRZEJRZANE
przez
J. AMBORSKIEGO
Z PRZEDMOWĄ
STANISŁAWA hr. TARNOWSKIEGO.

TOM I.

LWÓW
Nakładem księgarni
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA
Plac św. Ducha l. 10.
1875.

291.85
K865
IAm1
v.1

Kilka słów od Wydawców.

Wszędzie zagranicą mnożą się popularne wydania znakomitych dzieł naukowych, arcydzieł poezyi, pism zbiorowych, i t. p., tak, że najcenniejsze utwory znajdują się już w rękach wszystkich.

Gdy u nas pod tym względem mało zrobiono, czuliśmy więc, nietylko potrzebę ale i obowiązek wobec kraju, wydać pisma jednego z największych naszych poetów. Żeby je zaś uczynić przystępnemi dla najliczniejszej publiczności, robiliśmy wszelkie, możliwe u nas wysilenia, aby cena naszego wydania była jak najniższą. I rzeczywiście wydanie to, wzbogacone niedrukowanemi w poprzednich edycyach utworami, kosztować będzie zaledwie połowę ceny ostatniej edycyi Brockhausa.

Zobowiązani do ścisłego przestrzegania tekstu edycyi paryskich, ułożyliśmy utwory wszystkie porządkiem chronologicznym; pisownię zaś staraliśmy się ujednostajnić, o ile się to dało w granicach zakreślonych przez pisownię przyjętą w tychże wydaniach.

Utworów, które nie były umieszczone w poprzednich edycyach a naszą objęte zostały, dostarczył nam jeden z najbliższych przyjaciół osobistych wieszcza, co jest najlepszą rękojmią ich autentyczności.

Nie oddrukowaliśmy zaś w naszej edycyi znanych, młodzieńczych próbek powieściowych Krasińskiego, idąc za wskazówką najznakomitszych powag w tym przedmiocie, doradzających nam, iżby nie wciągać w harmonijny cykl późniejszych, przez cały naród z jednakiem uwielbieniem przyjętych arcydzieł, tych pierwszych usiłowań pisarskich poety, którego gieniusz niebawem już w zupełnie innym podążył kierunku.

Pragniemy żywo aby poparcie ogółu pozwoliło nam nieopuścić drogi, na którą wydając niniejsze dzieła, wstępujemy.

PRZEDMOWA.

Wydanie niniejsze dzieł Zygmunta Krasińskiego jest ze wszystkich dotychczasowych najzupełniejsze i najpoprawniejsze.

Dokonane na podstawie wydania paryzkiego z roku 1859—1862 ma nad niem tę wyższość, że obejmuje wiersze częścią niedrukowane dotąd nigdzie, częścią drukowane niedokładnie, częścią rozproszone po różnych pismach peryodycznych, i że oznacza czas, w którym każdy z nich był napisany. Z wyjątkiem listów, na które jeszcze czas drukowania nie przyszedł, powieści z lat młodzieńczych, na których wydaniu mniej zależy, i tych pism, których autor sam ogłaszać nie pozwolił — wychodzi dziś wszystko, co wyszło z pod pióra Krasińskiego, w tekscie najniewątpliwszej autentyczności.

Składając zaś to wydanie w ręce czytającej publiczności polskiej, nie myślimy w przedmowie ani dzieł Krasińskiego zalecać czy objaśniać, ani wydania

tego zachwalać. Jeżeli zaś uznaliśmy za potrzebne opatrzyć je kilkoma słowami przedmowy, to dla tego jedynie, iż nie sam tylko tekst niektórych (bodaj drobniejszych) Krasińskiego wierszy, ale i ścisłe oznaczenie czasu i miejsca powstania jego dzieł, jak i niektórych okoliczności jego życia, wydało nam się potrzebnem. Jedne i drugie podawane bywają różnie, a zatem po części mylnie, inne znowu ogólnie, tylko w przybliżeniu: kiedy szczęśliwym zbiegiem rzeczy było nam dozwolonem zajrzeć do najlepszych źródeł, i z listów Krasińskiego samego i jego przyjaciół wyciągnąć najpewniejsze daty odnoszące się do jego dzieł, pospieszamy zamieścić je poniżej, w nadziei, że usuniemy w ten sposób wszelkie zachodzące wątpliwości lub niedokładności.

Jeżeli powtarzamy tu rzecz tak znaną jak ta, że Krasiński urodził się 19. Lutego 1812 roku w Paryżu, to dla tego tylko, iżby dodać do tej wiadomości szczegół mniej znany, mianowicie: że dom w którym się urodził, stał przy Boulevard Montmartre i nosił numer 10.

Z dzieciństwa jego zapisujemy, że do Liceum warszawskiego oddany był w roku 1826, i że pierwszym jego literackim tryumfem, oraz pierwszym dowodem zdolności, który zwrócił na niego uwagę nauczycieli i współuczniów, był przekład Switezianki Mickiewicza na język łaciński. Z tych pierwszych lat szkolnych pochodzi jego przyjaźń z Konstantym Gaszyńskim i pierwsze jego kroki w zawodzie pisarskim. Gaszyński świadczy, że oba nie mieli milszego zajęcia jak czytywanie powieści (a nadewszystko Walter-Scota), że Zygmunt zwłaszcza czytywał je z największym zapałem, marzył o pisaniu podobnych, roił coraz nowe do nich pomysły, i z tego to zajęcia wyobraźni wyszedł Grób

Rodziny Reichsthalów, napisany w roku 1827, a drukowany w Dodatku literackim Korespondenta Warszawskiego wychodzącego pod redakcyą F. S. Dmochowskiego.

W roku następnym (1828), w tych samych stosunkach, tylko już na Uniwersytecie, i w tem samem usposobieniu (tylko z dodatkiem dziecinnej miłości do jakiejś panienki, którą Zygmunt widywał w domu pani Starościny Opinogórskiej, swojej babki, a którą Gaszyński nazywa krótko „panną Heleną"), zawsze z tym samym wzorem Walter-Scotta przed oczyma pisał się Władysław Herman i Dwór jego, podobniejszy do współczesnych powieści historycznych polskich Niemcewicza lub Wężyka, niż do późniejszych pomysłów i stylu Zygmunta. Drukowany był w Warszawie w roku 1829.

Powody i okoliczności wyjazdu Krasińskiego z Warszawy opowiedziane były już tyle razy, że powtarzać ich nie ma potrzeby. W jesieni roku 1829 przybył on dla dalszych nauk do Genewy. Chęci do pisania znać nie stracił, i kierunku wyobraźni nie zmienił, skoro podczas tego pobytu w Szwajcaryi powstał, zawsze w tym samym powieściowym rodzaju, Zawisza (który przesłany do Warszawy w drodze zaginął), Starosta Wilczek drukowany w Noworoczniku Warszawskim, i Teodoro król Borów, krótkie opowiadanie rzeczywistego zdarzenia, którego bohaterem był jakiś ówczesny korsykański bandyta, drukowane w Pamiętniku dla płci pięknej (Warszawa 1830).

W roku 1830 był Krasiński po raz pierwszy we Włoszech; w Marcu 1831 wrócił do Genewy. Listów z tego czasu jest bardzo mało; te które są każą wnosić,

że usposobienie jego było jeszcze smutniejsze niż po wyjeździe z Warszawy. Mimo to jednak pisał. Wspomina w tych listach jakieś Szkice z Włoch i Szwajcaryi, jakiegoś Adama Szaleńca i Przeora (zapewne powieści, zaginione), a wreszcie Marynę Carową, która wyszła w druku w roku 1834 i znana jest wszystkim pod tytułem Agay-Hana.

W Marcu r. 1832 wyjeżdża Krasiński z Genewy przez Wenecyę i Wiedeń do Warszawy. Konieczność tej podróży trapiła go, jak świadczą listy, oddawna i bardzo. Samo zdrowie zdawało się jej sprzeciwiać, bo w tym czasie cierpiał on już na oczy, i obawiał się pogorszenia w skutku długiej i męczącej jazdy. I nie mylił się: powołany z Warszawy do Petersburga, cierpiał tam tak mocno, tak był zagrożony zupełną utratą wzroku, że przez cały czas swojego tam pobytu dwa razy tylko mógł wyjść ze swego pokoju; raz na to aby być przedstawionym Cesarzowi Mikołajowi, a wspomnienie tej jedynej bytności na dworze i wrażenia jakie mu ona zostawiła, przechowało się w jednym z obrazów „Pokusy."

W roku 1833 otrzymawszy paszport wrócił zagranicę w towarzystwie swego przyjaciela Konstantego Danielewicza — i teraz to zaczyna się jego czynność poetyczna.

Z Wiednia, pierwszego miejsca, w którem się dłużej zatrzymał po za granicami Państwa Rossyjskiego, wspomina w swoich listach po raz pierwszy o „Nieboskiej Komedyi."

W najpiękniejszej jaką posiadamy, w jedynej podobno prawdziwie pięknej pracy o Krasińskim, we francuzkiej rozprawie J. Klaczki „o Bezimiennym Poecie

polskim," jest pośród innych wielu, to spostrzeżenie bardzo trafne, że na odwrót tego co się zwykle zdarza, gieniusz Krasińskiego rozwijał się pochodem dośrodkowym, zstępującym od kwestyj ogólnych, obejmujących ludzkość całą do kwestyj narodowych i psychologicznych. Nie trzeba mówić, że tem pierwszem, najszerszem kołem w dośrodkowym ruchu jego myśli, jest Nieboska Komedya, której przedmiotem jest wielka walka społeczna tocząca się w całej Europie a teatrem przyszłość. Choć napisana po polsku, choć autorowie jej, Henryk i Pankracy, są Polakami: „Nieboska Komedya nie należy do Polski tylko, ale do Europy, do wieku, bo jest zarówno ich obrazem, obrazem tej kwestyi najogólniejszej, która stanowi sam rdzeń historyi naszego wieku.

Jakim sposobem człowiek tak młody, w dwudziestym pierwszym roku życia, i człowiek który dotąd zdawał się oddawać z zapałem samym tylko, naturalnym zapewne w jego wieku ale dość marnym, zajęciom wyobraźni, jak świadczą jego powieści, naraz mógł okazać się, mniejsza już że tak gienialnym, ale tak dojrzałym, tak strasznie doświadczonym i trzeźwym, jak się pokazuje w Nieboskiej Komedyi?

Praca wewnętrzna jaka się w nim odbyła między rokiem 1830 a 1833 musiała być ogromna; niestety mamy przed sobą tylko jej skutek, nie mamy śladów jej przebiegu. Domyślać się tylko możemy, że wypadki roku 1831, o ile przyczyniły się wielce do wyrobienia poważnego i smutnego usposobienia w Krasińskim i wpłynęły na przyśpieszenie męzkiej dojrzałości w młodzieńcu, o tyle na pomysł „Nieboskiej Komedyi" wpłynąć mogły zaledwo pośrednio i ubocznie, a wpły-

wem głównym musiał być pobyt poety za granicą, i to co tam na dnie dążności i haseł ówczesnych dojrzał i rozpoznał. „Wiek teraźniejszy," mówi on w tym samym liście, w którym donosi po raz pierwszy o napisaniu Nieboskiej Komedyi — „ciąży na mnie jak ołów." Dla czego? oto że pod wszystkiem co składało ówczesną historyę zachodniej i południowej Europy, pod francuzkiemi dążnościami do wolności, pod włoskiemi dążnościami do niepodległości, w których wszyscy niemal widzieli tylko idealny pozór szlachetności i sprawiedliwości, on dostrzegł zarody złego, które się pod temi pozorami kryły. Tem złem był fakt górujący naszego wieku, rdzeń i treść jego historyi, antagonizm społeczny, ten pierwiastek, który choć nie zawsze wyraźnie się objawia, przecież wszystko przenika, tkwi na dnie wszystkich wypadków, wszystkich polityk, prawdziwa atmosfera współczesnej Europy, w której wszyscy żyjemy, którą wciągamy w siebie z oddechem, która niedokwasi naszą krew, krąży z nią razem w naszych żyłach, i rządzi nami, naszem życiem, losem naszych krajów, panuje w naszych literaturach, wszystko ogarnia, wszystko przejmuje, wszystko sobą ożywia... czy zabija.

Krasiński poznał tę duszę wieku z intuicyjnem przewidzeniem, a ze ścisłością i logiką matematyczną doszedł do tego, co w naturalnym porządku rzeczy może się stać, rzekłoby się nieledwie stać się musi, tej duszy wieku ostatnim wyrazem i czynem. Dopóki rozchodziło się, jak niegdyś, jak w początkach Rewolucyi Francuskiej, o udział narodu w rządzie, albo o formę tego rządu, albo o przywilej i równość, arystokracyę i demokracyę, dopóty sprawa mogła się skończyć pogodzeniem; mogła pewna, wielka część

ludzkości nawrócić się do jednej lub drugiej zasady, mogło się znaleść zastósowanie tej zasady takie, które by sprzeczne interesa pogodziło, rewolucya mogła mieć koniec. Ale odkąd przedmiot sporu się zmienił, koniec jego przez pogodzenie i porozumienie stał się niemożliwym, walka bez wyjścia. W gruncie bowiem, sprawa ta stoi dziś tak, że wszystkie zwyczajne hasła pod któremi walczymy, ta lub inna forma rządu, ten lub inny porządek rzeczy, nie jest zasadą lecz środkiem, a celem, przedmiotem sporu, jest nie ta sama dla wszystkich wolność, nie to samo dla wszystkich prawo, ale to samo dla wszystkich używanie życia. Równość używania, to jest rdzeń wszystkich systemów socyalnych i komunistycznych, a z tem zgody ani końca walki być nie może. Żeby do tej równości używania dojść, trzeba zdruzgotać miliony ludzi, którzy bronią siebie i swoich rodzin; zatem trzeba terroryzmu, trzeba anarchii, gwałtu i krwi. A przypuściwszy zwycięztwo, i przypuściwszy, że ze zwycięztwa tego nie skorzysta żaden dowódca na to, żeby wznieść siebie a opanować drugich, trzeba dopiero po zwycięztwie zabezpieczyć trwałość tego systemu, tej równości używania: a ta sprzeczna z naturą ludzką, już w drugiej generacyi okaże się zniszczoną, i znowu ta sama walka w tem samem błędnem kole. Tymczasem człowiek pracujący rękami, cierpiący, nędzny, głodny, zmarznięty, wycieńczony, on tego rozumowania nie zrobi, on widzi tylko że jest człowiekiem jak drugi, i pyta dla czego temu drugiemu dzieje się tak dobrze, a jemu tak źle. Porównanie to doprowadza do oburzenia wiele serc szlachetnych i szczerych, i wydaje wielu przekonanych w dobrej wierze fanatyków teoryj socyalnych. Obok tych stoją inni, dla których te

teorye są środkiem własnego wyniesienia się: a jedni i drudzy muszą zawsze mieć przystęp łatwy do znużonych i głodnych, niezaspokojonych nigdy w żadnej z potrzeb, wygód i żądz ludzkich. Historya naszego wieku jest historyą ciągłej obawy tej walki i ciągłego do niej przygotowania, sztuka rządzenia w tej epoce, to prawie tylko (w wielu krajach Europy) szereg wybiegów któremi się wybuch tej walki wstrzymuje i ociąga: a w tych wybiegach ludzie kochający wolność muszą nieraz z dwojga złego wybierać mniejsze, i poddają się raczej pod despotyzm choć znienawidzony, aniżeli pod anarchię. Walka tymczasem wre pod ziemią, od czasu do czasu przypomni się wielkim hukiem i trzęsieniem ziemi, które zdają się powracać peryodycznie coraz częstsze i coraz groźniejsze, a jak przyjdzie paroksyzm długi i tak silny że go nic od razu nie przetnie — co zostanie z dzisiejszej Europy?

Takie pytania obracał w myśli swojej Krasiński, kiedy z miejsca na miejsce Europę przejeżdżał, a na żadnem spokoju i wytchnienia nie znajdował. Czuł jak pod jego stopami drgał wulkaniczny grunt włoski, słyszał grzmot podziemny źle zagłuszony świetnem i głośnem zewnętrznem życiem Francyi; mógł był w swoim wieku łatwo wierzyć, że trzęsienia ziemi nie będzie, że wulkan nie zasypie Europy lawą i popiołem; że jeżeli się ziemia zatrzęsie to chyba na to tylko, żeby wypuścić jakieś wody ożywcze i dobroczynne, przez które ziemia użyźni się i zakwitnie. Ale nie — on zmuszony pierwszym swoim krokiem na świecie nie patrzeć na świat wesoło, z kierunkiem umysłu filozoficznym, badawczym, dochodzącym śmiało do ostatnich konsekwencyj rzeczy, on ten stan świata widział w całej

surowej i nagiej jego okropności; nie łudził się, nie złocił przyszłości, nie zamykał na nią oczu; owszem chciał jej odważnie w oczy spojrzeć i pokazać ją, jak jest, choćby ten obraz miał być przerażającym i smutnym jak śmierć.

„Z jakich ty ludzi złożysz Rzeczpospolitą we Francyi?“ pisze z Rzymu w roku 1834 do zapalonego podówczas dla Republik Gaszyńskiego. „Czy z kupców, którzy panują, czy z robotników, którzy w warsztatach pracują dzisiaj? Bo nikogo więcej już nie widzę na tej ziemi a przyznasz mi, że ani jedni ani drudzy nie zdali się do porządku rzeczy wymagającego najwyższych poświęceń. Pierwsi są chciwi i srodzy bo władną, drudzy są chciwi, namiętni i okrutni, bo cierpią. Przy takim stanie świata dwa systemata tylko być mogą: despotyzm i anarchia. Nie marz więc, że pięknie i cnotliwie dojść można do ideału twego: bądź pewien, że naprzód nigdy się nie sprawdzi jak każdy ideał, a potem że usiłowania, dążenia ku niemu będą krwią oblane, otoczone zniszczeniem, i same wreszcie się wyniszczą. Cywilizacya nasza ma się ku śmierci: wiem że bliskie są czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą karać stare i same się potępią w obliczu Boga, ale wiem także, że one nic nie utworzą, nie zbudują, przejdą jak koń Attylli... Dopiero to czego ani ja ani ty ani nikt nie zna, nie pojmuje, wzniesie się z chaosu, i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje. Ale wtedy i moje i twoje kości prochem gdzieś będą.“

Oto powód, geneza Nieboskiej Komedyi w myśli Krasińskiego. Napisanie jej nastąpiło w Wiedniu, w roku 1833.

Od pierwszego sądu jaki był o niej wydany, od

rozbioru jej przez Mickiewicza, który zwrócił uwagę na ten poemat, na którym publiczność polska zrazu się nie poznała, stało się jasnem i zrozumiałem, że jego mądrość, jego wartość filozoficzna, polityczna i moralna, i jego prawda historyczna, jego zgodność z rzeczywistością, polega na tem co stanowi jego charakter tak strasznie i rozpaczliwie smutny i ponury, w tem, że nikt tu nie ma słuszności, nikt nie ma prawdy, nikt nie zwycięża. „Dążenie do Ideału oblane krwią i otoczone zniszczeniem“ — „nowe zbrodnie karzą dawne, a same nic nie tworzą, przechodzą bez śladu jak koń Attylli“ jak żeby były bez myśli; nad światem zwaśnionym, rozprzężonym, rozpadającym się, stoi ten poeta i sądzi go bezstronnie, bez namiętności, bez uprzedzenia i bez miłosierdzia. Czy bez nadziei i bez miłości dla niego? To inna rzecz. W tem zakończeniu Nieboskiej, które jest osądzeniem i potępieniem wszystkich kierunków i dążności naszego wieku, Rewolucyi i konserwatyzmu, widziano nieraz jakąś straszną negacyę wszystkiego; myślano, że poeta jak jego bohater z rezygnacyą rozpaczy mówi nad światem wyrok: „trza mordować się nawzajem,“ „Adam skonał na pustyni, my nie wrócim do Raju.“ Istotnie w zakończeniu poematu nie zostaje na ziemi żadna siła, żadna zasada, żadna prawda, żaden fakt nawet ani żaden człowiek, któryby zapowiadał spokój i zgodę choćby na krótko, choćby chwilowe wytchnienie. Nicość najzupełniejsza, to prawda. Ale nie nicość nieskończona. To jest tylko zniszczenie, unicestwienie wszystkich zaprzeczeń naszego wieku; a wszystko co my nazywamy naszemi zasadami, naszemi affirmacyami, to po największej części nie jest niczem zupełnem i prawdziwem przez się istniejącem, ale jest

tylko negacyą czegoś przeciwnego. Konserwatyzm nasz sam porządkiem i zasadą nie jest, jest tylko przeczeniem Rewolucyi: Rewolucya jest znowu tylko przeczeniem, najogólniejszem ze wszystkich, negacyą wszystkiego co jest. Wolność, jak my ją pojmujemy i praktykujemy, jest zbyt często negacyą władzy; władza na odwrót zwykła się pojmować jako negacya wolności, jako reakcya. Państwo nasze dzisiejsze jest negacyą narodu; narodowość, pojęta przez jednych jako rozbicie ciała politycznego na atomy, na wszechwładztwo woli każdego powiatu, każdego miasta, każdej gminy, staje sie negacyą i narodu i Państwa; pojęta przez drugich jako wspólność rasy i dążność do plemiennego zjednoczenia, staje się negacyą narodu i wolności. I tak wszystko: wolność religijna w naszem ręku staje się negacyą religii, religia czasem zaprzeczeniem wolności sumień; równość nienawiścią wyższości nietylko urzędowej lub majątkowej ale intellektualnej i moralnej; sam lud wreszcie, w naszem pojęciu i w naszych argumentacyach staje się negacyą narodu. Otóż jeżeli poeta nad to wszystko wzniesiony, wszystkiemu wróży upadek, i przepowiada, że z tych wszystkich zaprzeczeń nie zostanie nic: konkluzya jego straszna jest dla nas, którzy w tych zaprzeczeniach żyjemy i o nie się bijemy; ale nie jest rozpaczą i zwątpieniem o prawdzie, o dobru, o przyszłości ludzkości. I Henryk i Pankracy byli przeczeniem; te dwa przeczenia się zniosły, i po ich upadku nie zostało nic na powierzchni ziemi. To nie wesołe, prawda, to straszne dla nas, bo walka Nieboskiej Komedyi skończoną nie jest, bo ona dziś, jak w chwili pisania jest jeszcze przyszłością: może przyszłe pokolenie po nas, może my sami jeszcze, stoczymy tę walkę

do dna i ujrzymy jej straszne rozwiązanie, jeżeli się Bóg nie zmiłuje, a człowiek nie upamięta. Ale to pewna, że rozwiązanie tej walki będzie jak w Nieboskiej Komedyi, zwycięztwem niczyjem, zaprzeczeniem wszystkich naszych przeczeń. Wtedy świat przekona się ile one były warte, przestanie się o nie bić i mordować, przestanie w nie wierzyć, a „a z chaosu rozwinie się świat nowy z myśli bożej," dla którego zakończenie smutnych dziejów naszego wieku będzie doświadczeniem i nauką, że w historyi nie zwycięża ani Henryk ani Pankracy, tylko Galilejczyk." Konkluzya Nieboskiej Komedyi, straszna, rozpaczliwa, przecząca dla nas, jest dla historyi, dla przyszłości affirmacyą; dochodzi przez surowy sąd sprawiedliwości bożej nad światem, do zmiłowania i do podniesienia ludzkości w epoce przyszłej, w której „nasze kości" co prawda i co smutno, „dawno próchnem będą."

Myśl Nieboskiej Komedyi objaśnia pięknie wstęp do francuskiego przekładu dzieł Krasińskiego: „Hrabia i Pankracy wyszli obadwa z tego samego ducha krytycznego: jeden odrzuca przyszłość, a drugi przeszłość. Ta jednostronność absolutna i wyłączna jest u obu skutkiem jednakowego braku wiary. Pankracy jest wcieleniem rozumu, który się sam ubóstwia w swojej naturze i dochodzi w wierze do wyrachowania, w czynie do siły liczebnej: Hrabia jest wcieleniem tego samego rozumu, który się unosi sam nad swoją indywidualnością, przeczy wszelkiemu prawu ogólnemu, a za prawidło postępowania bierze tylko fantazyę. W swoją sprawę wierzy on o tyle, o ile wierzy w siebie; to też kiedy przyszła przegrana, wpada w rozpacz i zadaje sobie śmierć. A tę chwilę właśnie wybrał Bóg, żeby

sobie zaświadczyć sposobem niezaprzeczalnym przed sumieniem ludzi i narodów.“

„Na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwnem, że autor oddaje zwycięztwo Pankracemu, który cynicznie gardzi prawdą, której tryumf się objawia i uporczywie jej przeczy. Ale zwycięztwo to było potrzebne, żeby wykazać, że w walce prowadzonej bronią nienawiści, zwycięstwo musi zawsze zostać przy ślepej sile fizycznej. Tkwi w tem przecież prócz tego zamiar jeszcze głębszy. Zwycięztwo Henryka nad Pankracym byłoby uwielbieniem człowieka i jego gieniuszu, a zjawisko krzyża, zamiast poprawić, byłoby go tylko utwierdziło w jego dumie. Tymczasem ani duma ani gieniusz nie są panami naszych przeznaczeń, ale postęp, który je ku dobremu kieruje, i w tem podług pięknych słów poety leży najwyższa mądrość: od zupełności i rozszerzenia się tego postępu ku dobremu zależy zawsze zbawienie w tym i tamtym świecie.“

Tak reassumuje wydawca Krasińskiego jego filozofię w odniesieniu do społeczeństwa i historyi: ona to służy za podstawę temu poematowi, a zamknięta jest pomiędzy jego słowem pierwszem, którem jest: „Pokój ludziom dobrej woli“, i ostatniem: „Galilee vicisti.“

Nieboska Komedya posłana do Paryża i tam odbita w drukarni Pinard powierzona była do rozprzedaży frankfurckiemu księgarzowi Jugiel. Ten atoli, w przypuszczeniu że poemat polski musi być rewolucyjnym, i w obawie nieprzyjemnych ztąd skutków dla siebie, ukrył całą edycyę w swoich składach, na sprzedaż jej nie wystawił, tak że i autor i drukarz byli przekonani, iż nakład cały w przesyłaniu zaginął. W dru-

karni szczęściem pozostał był jeden egzemplarz dawnej korekty, i z tego to zrobiono edycyę nową w Paryżu u Pinard'a. Ale z powodu tej zwłoki Nieboska Komedya choć wydrukowana rokiem pierwej, wyszła na świat w tem wydaniu powtórnem dopiero w roku 1835.

Autor po jej napisaniu wyjechał z Wiednia do Włoch, głównie do Rzymu, i tam zaczęły powstawać w jego głowie pierwsze pomysły i zarysy nowego poematu.

Z czego ten powstał? jaki ciąg myśli mógł doprowadzić poetę do tego pomysłu? zkąd się wziął poemat o Greku, który na próchniejącym Rzymie chce pomścić swoją ojczyznę? Takiego Greka przecież nie było? przecież siły, które Rzym obaliły nie były nigdy sprzężone w myśli i woli jednego człowieka i przez nią kierowane? zkąd się wzięło zwłaszcza i co ma znaczyć przystósowanie tej zmyślonej postaci i historyi do jakichś czasów dzisiejszych i przyszłych? Co za związek między Irydionem przez wieki uśpionym i czekającym na zemstę nad Rzymem, za „ziemią mogił i krzyżów" do której on jest posłany? Pomysł to dziwny, na pozór niczem nieusprawiedliwiony: jakim sposobem mógł wpaść na niego poeta?

Przypomnijmy sobie co mówi J. Klaczko (Le poète anonyme de la Pologne, Revue des deux mondes 1. Janvier 1862), że gieniusz Krasińskiego z postępem lat zamykał się w zakresach coraz ciaśniejszych przedmiotów coraz bardziej określonych. Nieboska Komedya była rezultatem jego refleksyi nad dzisiejszym stanem Europy i wróżbą odnoszącą się do końca tej walki społecznej która się toczy w naszym wieku;

była zaś napisana zapewne pod wpływem tego wrażenia, jakie na umysł poety wywrzeć musiało bliższe zapoznanie się ze światem europejskim. Ale zaledwo go skończył, zaraz przeszedł w drugi swój zakres myśli i pytań: ludzkość jeżeli dalej pójdzie w tym samym co dotąd kierunku, skończy na jakiejś strasznej rewolucyi socyalnej, której koniec będzie ten, że zniszczywszy wszystko, zniszczy sama siebie, a potem dopiero rozpocznie się jakiś świat nowy i lepszy. Ale w tej ogólnej przyszłości Europy, jaki będzie los poszczególnych narodów? jak one te kryzys przetrwać zdołają? które z nich znajdą się po drugiej stronie tej przyszłości, i co z nich ocaleje? A zwłaszcza co się stanie z takiemi, które już dziś żyją życiem niezupełnem, słabem, podległem? Czy narody upadłe i podległe w ogóle dźwignąć się i odżyć mogą? To trudno; to prawie niepodobna Ale uwierzyć w śmierć, zgodzić się na nieodwołalność wyroku, poddać się..... nie! to jeszcze niepodobniejsza; jakiś podnosi się w człowieku głos, i woła „nie pozwalam.“ Cóż więc będzie? Czy w historyi niema jakich przykładów i analogij, z którychby coś wnieść i przypuścić można? Hiszpania za Maurów? przykład zły, bo Hiszpania nigdy cała opanowaną nie była. Grecya dzisiejsza? to dowód chyba jak się restauracye narodów nie udają. A naprzeciw tych nielicznych i niedostatecznych przykładów niepodległości odzyskanej, wieleż to historya pokazuje narodów upadłych na zawsze i nie powstających. A cała starożytność, czyż ta nie świadczy, że narody umierają i giną bez ratunku? Rzym miał jedyną na świecie potęgę, Grecya miała cywilizacyę własną, którą cały świat ówczesny obdzieliła i oświeciła, a jednak....

dla mniej obdarzonych, mniej zdolnych przykład to straszny. Ale czy on istotnie rzecz rozstrzyga? czy los Grecyi musi być losem wszystkich pokonanych? W Niedokończonym Poemacie odpowiada sobie Krasiński na to pytanie słowami „od przyjścia Chrystusa żaden lud który stał się narodem nie umiera.“ W czasie kiedy pisał Irydiona może on sobie tej odpowiedzi nie był zupełnie sformułował, ale już musiał mieć tę myśl to uczucie raczej, że przez chrześciaństwo i cnotę narody mogą się odradzać, tak, jak Ludzkość całą odrodzić ma krzyż w zakończeniu Nieboskiej. Ale czy jesteśmy na tej drodze? czy mamy ten kierunek i to pragnienie cnoty przynajmniej, jeżeli nie jej rzeczywistość; czy nasza miłość ojczyzny jest tą lepszą i wyższą, która narody podnosi, czy jest taka jak Bóg przykazał, lub też czy w tem uczuciu przy całej jego piękności są i pierwiastki gorsze? To co Krasiński około siebie widział zaspokoić go pod tym względem nie mogło. „Gorycz zbiegająca się w sercach zawiedzionych, mówi autor rozprawy o Bezimiennym Poecie polskim, a bijących zawsze i mimo wszystkiego, musiała być wielka; sytuacya dziwna, wykraczająca z obrębów zwykłego prawidłowego życia narodów, ciągle naprężona, gorączkowa, niezdrowa, która pod niejednym względem podkopywała moralność narodu, groziła mu przewróceniem pojęcia złego i dobrego, tego co się godzi, a tego co nie. Bezimienny Poeta zrozumiał to i przeraził się: schodząc do głębi duszy narodu, dostrzegł tam ten prąd uczuć ponurych i dzikich, i zadrżał. Przeląkł się tego patryotyzmu, który się w znacznej części karmił nienawiścią, przeląkł się tej miłości ojczyzny mocnej jak śmierć ale pełnej myśli zabójczych i śmiertelnych: chciał

dać przestrogę swojemu narodowi, i — napisał Irydiona.“

Myśl podstawna poematu jest ta, że nienawiść i zemsta nie odbudują, nie odrodzą upadłej ojczyzny; że miłość jej jeżeli ma być zbawczą i zwycięzką, musi być w praktyce, w działaniu, tak piękną i dobrą jak jest w zasadzie, w swojem pojęciu idealnem; że musi być zawsze i we wszystkiem zgodną z absolutnem pojęciem dobrego — z cnotą. Zatem w uczuciu powinna być nie nienawiścią, nie pragnieniem zemsty, ale miłością sprawiedliwości i dobrego, w działaniu powinna dla swego celu dobrego używać tylko dobrych środków. Ale jakże, na jakim przykładzie, na jakim fakcie historycznym uwidocznić tę ideę? gdzie szukać dla niej kształtów zewnętrznych takich, któreby mogły być jej wyrazem poetycznym? Tego szukając napadł Krasiński na swoje myśli o narodach upadłych, mianowicie o Grecyi i o zwycięzkim Rzymie, a pobyt w wiecznem mieście, wspomnienia i ślady jego historyi, naturalnie same wyobraźnię jego w tę stronę skierowały. Grecya najszczęśliwiej obdarzona, najpiękniejsza ze wszystkich narodów na tym świecie upadła i niepowstała. Dla czego? nie dla braku wielkich zdolności, nie dla braku dzielnych ludzi, nie żeby nie była miała miłości ojczyzny dość potężnej i wielkiej, bo to wszystko miała. Ale ta miłość ojczyzny u Greka, to jego uczucie kiedy patrzył na swój kraj ujarzmiony przez Rzymian, jakież ono być mogło? Krasiński zszedł z drogi rzeczywistości, porzucił historyczną prawdę, a zaczął fantazyą swoją zagłębiać się w domysły, piętrzyć przypuszczenia, odgadywać co mógł czuć, co czuć był powinien Grek z żywą miłością ojczyzny na widok poniżenia Hellady

i tryumfu Rzymu.

W taką duszę Greka musiał się poeta przenieść, owszem on musiał ją stworzyć, wymyślić, bo duszy takiej Grecya późniejsza już nie miała; wbrew historyi musiał wyobrazić sobie jakiegoś Temistoklesa w Grecyi zawojowanej, i w Rzymie panującym nad całym światem.

Coby taki czuł? kochałby pamięć Grecyi, nienawidziłby Rzymu. Ale coby robił? Czy w Atenach, w Sparcie, w Koryncie na wyspach Archipelagu, próbowałby rozdmuchać iskrę świętego ognia i powstać przeciw ciemiężcom? Próżna rzecz: gdyby ta iskra dała się nawet odszukać i rozdmuchać, a i to niepewne, to ogień któryby z niej wybuchnął musiałby zgasnąć zaraz, stłumiony żelazną ręką Rzymu. Irydion, rzecz charakterystyczna, przez cały ciąg poematu nie mówi ani razu jakoby jego celem, jego nadzieją, była wskrzeszona i niepodległa Grecya; jest ona dla niego tak mało podobną do wiary, w każdym razie tak daleką, że choć wszystko co robi, robi dla niej, jednak o niej i o jej przyszłości nie mówi, bo od tego celu przegradza go przepaść, którą dopiero gruzami Rzymu trzeba zapełnić. Rzym mu ten cel zasłania: dopiero gdy on upadnie, może wtedy odkryje się i pokaże tamto. Cel ten wielki i dobry, poczęty w pięknem, sprawiedliwem uczuciu, jest tak daleki, że prawie znika, a samo uczucie, które go wydało chowa się gdzieś w głąb. Najprzód zniszczenie Rzymu, najprzód nienawiść, to pierwszy cel i pierwsza robota: a gdyby tamto drugie nawet nigdy spełnić się nie miało, to niech się spełni przynajmniej pierwsze, niech będzie odwet, niech będzie zemsta.

Gdyby duch wielkich bohaterów greckich był dziedzicznie przechodził z ludzi na ludzi i z pokoleń na

pokolenia, to ich miłość ojczyzny pod panowaniem Rzymu byłaby przybrała ten kształt i charakter. Ta myśl powstawszy w wyobraźni poety pociągnęła za sobą szereg wielkich postaci i zdarzeń, które wypełniają akcyę poematu. Nie tu miejsce na ich przegląd i pochwały, tu chodziło nam o to jedynie, jakim sposobem Krasiński doszedł do pomysłu Irydiona; a następnie o to, jak jego myśli i czyny zastósował do ludzi i dziejów późniejszych.

Po wiekowym śnie, którego nie przerwał „ani Alaryk ani Attila, ni brzęk korony cesarskiej o twarde czoło Karla, ni Rienzi trybun ludu," budzi Masynissa Irydiona za dni naszych, jakoby obietnica jego była spełnioną, zemsta nad Rzymem i jego zagłada dokonaną. Ale czy potężny szatan historyczny istotnie dotrzymał swoich przyrzeczeń? czy pokaże Irydionowi to czego on żądał? „Ukazuje mu wprawdzie grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym i bluszczem i ludem." — Ale czy to jest ten dzień, którego Irydion pragnął, czy on takiej chciał zemsty i nad tym Rzymem? Nie: on chciał widzieć poniżenie i wstyd dumnego miasta i wszechwładnego państwa, chciał widzieć przemoc zwyciężoną, nieprawość ukaraną, chciał odwetu za wszystkich podbitych, oszukanych, zdradzonych, uciemiężonych; kiedy usypiał marzył, że budząc się po wiekach, ujrzy jakichś słabszych przyszłości depcących po sponiewieranym, oplwanym trupie wielkiego i potężnego: tymczasem szatan jego budzi go i pokazuje Rzym bezsilny i sponiewierany, ale Rzym inny, ten, którego on sam nienawidzi, a którego Irydion nie znał wcale. Pokazuje mu ten dzień, w którym krzyż nadarmo wyciąga ra-

miona nad światem i chce przygarnąć do siebie narody, jedne po drugich odchodzą od niego mówiąc: „nie służymy więcej.“ To Masynissa chciał upadku Rzymu jako symbolu chrześciaństwa, symbolu dobrego; Irydion chciał upadku Rzymu jako symbolu przemocy i nieprawości, jako symbolu złego; on nienawidził Rzymu pogańskiego, który w naszych czasach nie jest już w Rzymie; tamten nienawidził Rzymu chrześciańskiego dla tego, że w nim była prawda, że on mógł świat do dobrego prowadzić. Pokazując Irydionowi ten Rzym w osłabieniu i upadku, Masynissa tylko swojej zemście dogadza, a tamtego oszukuje, bo tylko miejsce ich nienawiści jest to samo, ale jej przedmiot jest inny.

To też Irydionowi dziwnie smutno na sercu. On poznaje, że to nie to czego chciał, o czem marzył, za co walczył. Cóż jemu z tego, że ten krzyż, którym „niegdyś wzgardził bo go nie mógł zaostrzyć w żelezca dziś zdaje się znużony jak on sam, opłakany jak losy Hellady?“ Ten krzyż jemu nic złego nie zrobił: nie on „podniósł się wśród Isthmijskich igrzysk prosząc o posłuchanie i chwaląc synów Grecyi“ nie on „ze zgrzybiałej ręki Attala wydarł zapisy Pergamu“ nie on „po wszystkie czasy zwodził słabych i dusze ludzkie zabijał,“ dla czegoż on się ma cieszyć z jego poniżenia?

Materyalnie Masynissa dotrzymał słowa, pokazał Irydionowi Rzym w upadku; moralnie, oszukał go, bo to nie ten Rzym, nie ten, który był siedliskiem przemocy i niesprawiedliwości, ale ten, który miał być arką sprawiedliwości i wolności, dwóch rzeczy, które Irydion kochał, choć jako poganin nie mógł znać ani rozumieć trzeciej, miłości. Cóż mu z tego że taki Rzym przeznaczeń swoich spełnić nie mógł? on nie tryumfuje nad

nim, ale owszem on z nim pobity jest po raz drugi. Bo on po swojemu, po pogańsku, źle bo przez nienawiść i zemstę, ale on dobrej sprawie służył, sprawiedliwości pragnął, w Rzymie nienawidził przemocy, gwałtu, zdrady i zaboru. Między krzyżem, między prawdą boską, a poczuciem choćby niezupełnem tej prawdy w sumieniu ludzkiem, między chrześciaństwem a miłością (choćby źle pojętą) dobrej sprawy, sprzeczności zupełnej i niezagodzonej być nie może. Dla tego to Irydion taki czuje smutek na widok opuszczonego krzyża, dla tego taki czuje do niego pociąg i dla tego także z krzyża spływa na niego przebaczenie i uświęcenie. Napróżno w sądzie, który się odbywa, Szatan rzuca na szalę swoje ciężkie słowo „on mój, bo nienawidził Rzymu;" anioł broni Irydiona „bo on kochał Grecyę" kochał dobrą sprawę. Szatan historyczny może robić co chce żeby zeszpecić co piękne, zepsuć co dobre, zarazić co zdrowe, spodlić co szlachetne, w zupełności swego nie dokaże; może, korzystając z niezmiernego cierpienia, rozjątrzyć w ludziach żółć, może ich rozpalić do nienawiści, serca nawet dobre przerobić na wątroby, rozumy otumanić tak, że ludzie szkodzić będą sobie i swojej sprawie, może ich skusić do złych czynów: ale nie potrafi zmazać z ich sprawy znamienia szlachetności pierwotnej, nie potrafi z ich serc wykorzenić na zawsze poznania i uczucia złego i dobrego, a dopóki jakiś jego zaród, jakiś jego ślad pozostanie, oni zawsze będą zdolni podnieść się i uszlachetnić. „O Panie, on jest moim bo on kochał Grecyę" — źle ją kochał, źle widział to, co względem niej był powinien, własną ręką przez obłęd rozumu i sądu zadawał jej ciężkie rany, własną swoją wolę nawet krzywił i

psuł, prawda: ale on nie wiedział co czynił, a wiedział co kochał, a to co kochał było dobrem, karać go można, ale nie potępić. Więc w tym sądzie odbywającym się u stóp krzyża stojącego w pośrodku Coliseum, w tej walce o przyszłość i zbawienie Irydiona stojącego „powyżej kusiciela, poniżej anioła“ zwycięża miłosierdzie i przebaczenie. Nie bezwarunkowo jednak. Rzecz tak piękna i święta jak miłość ojczyzny, nawet jeżeli do złego skusić i złem skazić się dała, nie stała się sama złą i do przebaczenia ma prawo: ale nie na to ona jest przeznaczoną. Jej celem i zadaniem jest zyskać nie przebaczenie ale chwałę i cześć, bo ona jako jedna z rzeczy najpiękniejszych na świecie im jest wyższą z natury swojej, tem wyższą powinna być w czynach. Jeżeli miłość ojczyzny kiedyś, u Greka, u poganina, mogła być zmieszaną z nienawiścią, z zemstą, z niejednem złem uczuciem lub złym czynem, to może jej być darowanem dla tego, że poganin, Grek, nie wiedział czego od niego żąda Bóg, nie znał tego wzoru do którego stosować miał wszystkie swoje uczucia i czyny. Ale dziś jest inaczej. To co popełnione przez Greka mogło mieć wymówkę, tego chrześcianinowi już się popełnić nie godzi, bo ten nie może o sobie powiedzieć, że nie wie co czyni: bo ten wie, a przynajmniej powinien wiedzieć, że każde jego uczucie powinno być dobrem, że miłość ojczyzny, jak każda inna, u niego powinna być wyższą, doskonalszą, świętszą niż u Greka. Grek zostaje rozgrzeszonym, choć był „synem zemsty“, dla tego, że kochał Grecyę; chrześcianinowi, człowiekowi naszych czasów, już by to nie wystarczyło. Nie dość kochać, trzeba kochać dobrze, święcie, inaczej zgubi się siebie i sprawę której się

służy. Nienawiść, zemsta, złość nic nie zbuduje i nie wskrzesi. Iskra miłości ojczyzny, która pod nią tli, może być tak silną, że pobudzi człowieka do bohaterstwa choćby bez granic, do poświęcenia bez miary; ale skutek z tego żaden, wszystkie bohaterstwa i poświęcenia nie zdały się na nic, tylko na gorżką rozpacz tego który poświęciwszy wszystko, widzi jak Irydion, że wszystko poświęcił na darmo. To mówi, tego naucza poemat Irydiona. Bo nie o to chodzi, żeby przez miłość ojczyzny dojść aż do niegodziwości, nie o to, żeby poświęcić cześć, honor, uczciwość, sumienie jak on, nie o to, żeby z wielkiego poświęcenia i miłości stać się złym lub broń Boże podłym: — nie — tego chce Masynissa tylko, którego sztuką jest na dobrem szczepić złe, który chce miłość ojczyzny skazić i zepsuć na to żeby dobra sprawa nie zwyciężyła nigdy. Innych poświęceń, bohaterstwa trudniejszego żąda od nas miłość ojczyzny pojęta po chrześciańsku: nie honor i sumienie mężczyzn, nie cześć kobiet składać mamy na jej ołtarzu, ale mamy na nim spalić złe jakie jest w nas.

I na taką próbę posłany jest Irydion „do ziemi mogił i krzyżów.“ Miłość ojczyzny, która choć pogańska dostała przebaczenie, bo była miłością ojczyzny, ale która pomimo wszystkich poświęceń tej ojczyzny wskrzesić nie mogła dla tego, że była pogańską, teraz ma iść na próbę powtórną, i celu swego dopiąć przez poświęcenie złego w sobie, przez uświęcenie siebie. „Nie proś o chwałę twoją ale o dobro tych, których ci powierzam: bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych. Idź i czyń: choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać: idź i

czyń ciągle i bez wytchnienia, idź i ufaj Imieniowi mojemu."

Mówiono nieraz o przesadzonym, utopijnym idealizmie i optymizmie Krasińskiego; zarzucano mu, zwłaszcza z powodu Psalmów, że działa na swój naród usypiająco; że mówiąc mu jakoby Bóg dał mu był wszystko co dać mógł, wpajał w niego przekonanie, że on sam nic już działać, nic w sobie zmieniać nie potrzebuje, tylko zostać jak jest, a wszystko będzie mu danem, zrobi się samo. Być może żeśmy taką naukę z jego poezyi wyciągnęli: ale z pewnością nie jest to ta, którą on nam dać chciał; złe zrozumienie czyjejś myśli przez drugiego, nie dowodzi jakoby ta myśl była fałszywą i złą. Krasiński owszem wymaga od nas ciężkiej i wielkiej pracy nad sobą, a spełnienie jego obietnic podług jego myśli zależeć ma od wykonania tej pracy.

Że on nie obiecuje jakiegoś cudu, jakiegoś zwycięztwa, któreby spaść miało z nieba i na które należałoby tylko czekać spokojnie z założonemi rękami, dowodzi choćby tylko sam ten epilog Irydiona. „Przeżyjesz marnych szczęśliwych i świetnych, jeżeli będziesz czynił ciągle i bez wytchnienia", a wtedy „zmartwychwstaniesz nie ze snu ale z pracy wieków." Nie przez sen więc spokojny, ufny i zgnuśniały w swojem bezpieczeństwie i pewności przyszłości, ale przez „pracę wieków", przez pracę pokoleń przynajmniej przy miłości ojczyzny, która nie jest zapałem tylko i bohaterstwem, ale jest całkowitą, jednolitą i nieustającą cnotą, dochodzi się do zwycięztwa swojej sprawy, do zbawienia swojej ojczyzny. Jest to równie dalekie od mistycznego, błogiego kwietyzmu, jak od gnuśnej bezczynności, jak i od zarozumiałej, zuchwałej pewności siebie.

Rękopism Irydiona przywieziony z Rzymu do Paryża przez ś. p. Romana Załuskiego, wyszedł w druku w r. 1836. Z tego też roku, z Maja datuje pierwszy wiersz Krasińskiego, który dotąd utrzymywał zawsze o sobie że żadną miarą dwóch wierszy sprządz nie potrafi. Wiersz ten dotąd niedrukowany, krótki, poświęcony osobistym wrażeniom, zganiony był mocno przez Gaszyńskiego, któremu go autor w liście był przesłał.

Z wiosną roku 1838 odbył Krasiński nową podróż do Warszawy; następną zimę, z roku 1838 na 39 przepędził znowu we Włoszech, zajęty pomysłami do nowego poematu, który się składał, pisał, urywał, podejmował na nowo o wiele lat później, a nigdy nie skończył: miał on służyć za pierwszą część „Nieboskiej Komedyi“ a wyszedł aż po śmierci autora, bez tytułu, którego mu on nie był wynalazł, jako „Niedokończony Poemat.“

Musiała Nieboska Komedya napisana od jednego rzutu, doraźnie, róść w jego wyobrażeniu, musiał on sam stopniowo dopiero przychodzić do poznania całej jej wartości, kiedy w drugim poemacie, późniejszym, wrócił do tego samego pomysłu, chciał go uzupełnić, objaśnić, wprowadzić jeszcze raz te same figury tylko w innych stosunkach i zdarzeniach. Obraz ten zaczęty, nie wykonany, zajmował poetę kilkakrotnie, pracował on nad nim jeszcze po napisaniu ostatnich Psalmów, w roku 1850 i 51 — ale pierwsze jego początki sięgają roku 1838, i dla tego wspominamy o nim na tem miejscu.

Postawiony między dwiema wielkiemi kompozycyami Krasińskiego, między Irydionem i Nieboską,

Niedokończony Poemat traci wiele na porównaniu; przecież, dla polskiego czytelnika ma wartość ogromną jako objaśnienie Nieboskiej najprzód, a powtóre jako wykład bardzo wyraźny całej historiozofii Krasińskiego. Nie jest to ten jej system ostateczny, jaki widzimy w dwóch ostatnich Psalmach ani ten co w Nieboskiej Komedyi; od tego ostatniego jest jaśniejszy, bardziej wyrobiony, kiedy tamten znowu jest od niego ściślejszy, więcej określony i sprowadzony już do najprostszego wyrazu, (przynajmniej pod względem pojęć religijnych). Ale tłomaczy on doskonale czem był ten system historiozoficzny Krasińskiego w latach pomiędzy Irydionem a Psalmami, trzyma środek pomiędzy temi dwoma stanowiskami, łączy się z obydwoma organicznie, jest skutkiem i dalszym rozwojem pierwszego, a podstawą na której oparł się drugi, i jako taki jest wybornym komentarzem do Przedświtu i Psalmów. Z tego względu choć jego piękność, pomimo niezaprzeczonych piękności w szczegółach, jest mniejsza, ważność jego dla nas jest tak oczywista, że dowodzić jej nie potrzeba. Zapatrywanie Krasińskiego na nędzę dzisiejszego świata (Sen); jego system religijny zakończony w tych latach wiarą w epokę Ducha św.; jego system moralny i polityczny oparty na „dobrej woli"; a wreszcie jego pojęcie Rewolucyi jako tej siły, która ludzkość od celu odpycha dla tego że działa środkami złemi; cały ten komentarz do jego filozofii i do jego poezyi, nawet późniejszej (jak Przedświt i Psalmy), ten tu jest, i dla tego Niedokończony Poemat ma i zawsze będzie miał, swoje wielkie znaczenie.

Rozpoczęty, został on zawieszonym na długo, a tymczasem (w roku 1839) pisały się rzeczy inne.

„Trzy myśli Henryka Ligenzy“ w formie bardziej niż poprzednie dzieła Krasińskiego mgliste, zawiłe i dekoracyjne, pod względem myśli i dążności odskakują od tamtych i oznaczają jakieś zboczenie w prostym i zgodnym z sobą kierunku jego idei. W Nieboskiej Komedyi już są widoczne w zarodzie pierwiastki tego wszystkiego, co później rozwinięte, znajdzie się w Psalmach; Irydion jest dalszym krokiem na tej samej drodze, zbliża się coraz bardziej do ściślejszego określenia tej samej myśli; w Niedokończonym Poemacie już ona tak dojrzała że dała się ułożyć w system prawie dogmatyczny: w różnych stopniach jasności i wyrazistości tkwią we wszystkich tych poematach te same pojęcia o Bogu człowieku i historyi. Naraz w tym regularnym postępie natrafiamy na odskok: obok religijnego uczucia, które zostaje, natrafiamy na wyobrażenia niechrześciańskie wcale, obok przeczuć i pragnień jakiegoś nowego lepszego kościoła, jakieś ostatnie ślady czy nierozwinięte zarody Panteizmu: („Syn cieniów“); a po obietnicach (choć warunkowych) danych Irydionowi, dziwna jest ta przepowiednia Legendy, która narodowi wróży śmierć i pogrzeb pospołu z katolickim kościołem, i to nie jako możliwość straszną i złą, ale jako historyczną konieczność, jako fakt poprzedzający wzniesienie się ludzkości na wyższy szczebel, do owego trzeciego kościoła. A obok tego w Śnie Cezary, jakieś wróżby łaskawsze, jakieś widoki przyszłości, które z wyrokami Legendy nie bardzo się godzą. Słowem, oprócz zawiłej allegoryczności, zaciemnionej jeszcze mnóstwem przyborów i dodatków, oprócz jakiejś przyrodzonej niejasności pomysłów, jest w Trzech Myślach i odstęp od znanych zkąd-

inąd i gdzie indziej widocznych pojęć Krasińskiego, i pomiędzy Trzema Myślami samemi pewna niezgodność. — Świadkowie niektórzy bardzo poważni rozwiązują tą zagadkę zeznaniem, że Legenda nie była rozważonym pomysłem poety, ale tylko snem czy rodzajem poetycznego widzenia, spisanym zupełnie i wiernie jak był. Tłomaczenie to wystarczyć by mogło co do Legendy samej, gdyby ona była samą: ale Myśli jest trzy, a objaśnienie takie jednej z nich nie usuwa jeszcze innych niepewności, jak naprzykład pytania zkąd się wziął u Krasińskiego Panteizm tak bardzo wyraźny w Synu Cieniów?

Czy nie możnaby przypuścić, że po Irydionie a przed rokiem 1840, przechodził Krasiński przez jakąś bolesną kryzys zwątpień i rozpaczy? Śladów jej nie mamy, on nie napisał nic coby było jej odbiciem: ale czy nie ma jej wspomnienia w tych słowach Przedświtu:

„Więc Duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc się wieczną zmienia
Ach, żyłem, żyłem w tej przepaści długo
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!“

Co było przedmiotem tych zwątpień i rozpaczy, jak daleko w nich zaszedł? tego on nie mówi. Wszelako domyślać się można, że przez zwątpienie w sprawiedliwość historyczną zachwiała się jego wiara w Boga, że była jakaś chwila, w której on sam nie posłuchał rozkazu jaki daje Irydionowi: „Idź i czyń, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać.“ Powód tych zwątpień jest jasny:

„Darmo brzask walczył z ślepej nocy siłą,
Nie weszło słońce nad świętych mogiłą —
I coraz podlej na tej ziemi było“ —

A jeżeli na tę duszę tak przygotowaną do zwątpienia powodami historycznemi, padł, jak twierdzą świadkowie, wpływ ówczesnej filozofii niemieckiej, mianowicie Hegla, to nic dziwnego, że pod działaniem tych zwątpień z jednej strony, tych badań, dociekań i subtelnych definicyi z drugiej, mógł na pewien przeciąg czasu powstać zamęt w duszy. Ale że umysł jego nie znosił niepewności, więc jak tylko upadło to na czem się opierał, on musiał zaraz szukać czegoś, coby mu odpowiadało na wszystkie pytania, rozwiązywało wszystkie zagadnienia. Filozofia historyi zawiodła, Bóg w historyi okazał się wątpliwą hypotezą skoro „z dni tych wszystkich wybranej kolei, wyrasta napis: tu nie ma nadziei!“ a więc gdzież szukać prawdy i rozwiązania zagadki? W jednostce ludzkiej, w jej naturze i przeznaczeniu. Czem jest duch ludzki? zkąd się wziął? jakie jego koleje? Odpowiedzi na te pytania musiał on szukać w filozofii niemieckiej i ona to musiała mu mówić o duchu, który, „zrazu wpółsenny wdziewa szaty człowieczeństwa“, dąży w świecie stworzonym do poznania i świadomości siebie, aż wreszcie w człowieku „wyjdzie przemienion i Jestem zawoła“; a dalej kiedy przebędzie to stadium człowieczeństwa w jednostkach lub w całej ludzkości, duch ten pozna że „z Panem nad Pany, jest duchem tym samym, jednym na wieki i wszędzie“ — a wszystkie dusze „to świat jeden ducha z Twoim Duchem zlany.“ W tych słowach znać jakieś pojęcie stopniowego dochodzenia tego ducha do świadomości siebie przez całą naturę, aż się to staje w człowieku, a więc jak żeby tożsamość świata i człowieka; dalej, w tem zlaniu się wszystkich duchów coś jak żeby ostateczną tożsamość stworzenia i Stwórcy, negacyę

indywidualności duszy ludzkiej, która tylko dopokąd w ciele jest osobną i osobistą, a przeznaczeniem jej ma być zlanie się z jakimś Wszech-Duchem, czyli w nim roztopienie się, zniknienie.

A w tem stopniowem podnoszeniu się ducha do świadomości, następnie w stopniowem podnoszeniu się jego z człowieczeństwa do Bóstwa, musiał on upatrywać wytłomaczenie istoty ludzkiej, jej indywidualnego i zbiorowego życia i przeznaczeń historyi.

Jak długo to trwać mogło i z jakiego powodu ustało? W Przedświcie, który pierwszy po tej epoce następuje, już wszystko zmienione, wszystko nawrócone w dawną kolej: nastąpiła jakaś całkowita i zupełna rekonstytucya dawnych wierzeń i nadziei, tylko jaśniejszych niż przedtem i pewniejszych siebie. Pod jakim wpływem, jaką czarodziejską laską ten gmach odbudował się na nowo, dokładnie nie wiemy, ale to możemy miarkować, że on nie odbudował się od razu, że jego główne zarysy zmieniały się i łamały podczas tej rekonstrukcyi, że nie od razu stanął silnie na swoich podstawach, na których pozostał już do końca, ale że przez czas jakiś ważył się i chwiał, zanim znalazł środek ciężkości i równowagę. Otóż z tego czasu kiedy z chaosu rozpaczy i zwątpień we wszystko, zaczął pomału wydobywać się ten system stałej wiary i pewności jaki jest w Przedświcie, kiedy on nie powstał jeszcze całkowicie, nie dopełnił się, nie stężał, ale był niejako w stanie płynnym jeszcze, chwiejnym i mglistym, na przejściu „z przepaści zwątpień“ do opoki systemu i dogmatów, powstały Trzy Myśli Ligenzy, które są może tego przejścia odbiciem, noszą na sobie jeszcze niektóre ślady zaprzeczeń i wątpliwości poprzednich,

a już noszą w sobie zarody tych pewników, na których opiera się Przedświt i Psalmy. W ten sposób dałoby się może z jakiemkolwiek podobieństwem do prawdy wytłomaczyć to, że w Synu Cieniów Krasiński oznajmuje jak żeby wielką nowość, że Bóg jest osobisty" (i to tylko za obrębem świata), w ten sposób skąpe i smutne ale przecież jakiekolwiek widoki przyszłości w Śnie Cezary dałyby się zrozumieć obok rozpaczliwych wróżb Legendy.

Z tego samego czasu datuje wyjście na świat Nocy letniej i Pokusy: pierwsza z nich najobojętniejsza ze wszystkiego co Krasiński w latach dojrzałych napisał, spoczywała przez lat kilka w rękopiśmie. Przywykli do skrytych alluzyi i znaczeń, w poezyi Krasińskiego szukamy ich i tutaj, a forma tajemnicza i mglista utrudnia zadanie, myli, jeden domysł zbija drugi: dopiero biegli w przedmiocie, przyjaciele Krasińskiego, towarzysze jego życia i powiernicy jego myśli podają klucz do tej zagadki, który pozwala wreszcie zrozumieć Noc letnią, a zarazem każe żałować, że jej poeta nadał tę formę niejasną i sztuczną, bo pomysł jego był tak dobry, że był godzien formy prostej i jasnej.

Oto co powiadają wiarogodni świadkowie: „Nie szukaj w Nocy letniej allegoryi, bierz ją za prostą powieść. Natchnął ją poecie widok kilku młodych Polek wydanych za mąż za cudzoziemców, a wydanych nie bez rozkazu lub nawet przymusu rodziców. Pomiędzy rokiem 1830. a 40. zaszło podobno takich wypadków kilka. Krasiński uczuł żywo ile cierpieć musiała taka młoda dziewczyna, skazana na zmianę ojczyzny, na ślub z człowiekiem którego Bóg nie był jej Bogiem, ani ziemia jej ziemią, skazana bez swojej winy na

wstyd przed swoimi. Oto tajemnica Nocy letniej: oto dziewczyna wleczona do ołtarza jak Antigona na śmierć, obcy książę który ją zaślubia, jego pan, król południowy, który się cieszy że jego poddany zagarnął obszerne włości i że ród odwieczny i potężny wygasł. Reszta zaś, ten młodzieniec, wróg księcia i króla, który kocha dziewicę nawzajem od niej kochany, podwójne w końcu zabójstwo — to dodztek, bez którego nie byłoby powieści, to zawikłanie rzeczy bardzo zresztą usprawiedliwione i prawdopodobne, bo byłoby aż nadto naturalnem, żeby kobieta zmuszona wyrzec się swojej ojczyzny, narażoną była na tem silniejszą, tem gwałtowniejszą miłość do człowieka, który jej tę ojczyznę przypomina i jej służy. Wszystkie szczegóły zaś: śluby, uczty, zamki, ogrody i t. d., te znaczenia nie mają żadnego, to są po prostu dekoracye."

Jeżeli tak, to pomysł był niezaprzeczenie bardzo dobry; szkoda tylko, że go poeta nie traktował po prostu, otwarcie, zrozumiale. I dążność i artystyczna wartość Nocy letniej byłyby zyskały na tem, gdyby ją Krasiński był napisał jaśniej i prościej. Gdyby stała przed nami nie jakaś bezimienna „Ona", obojętna i nieznana, ale rzeczywista biedna młoda dziewczyna pełna serca i wdzięku a zmuszona do takiej ofiary; nie tajemniczy rycerz w czarnej zbroi, ale zwyczajny prosty żołnierz: to sytuacya ich w tej formie naturalnej i powszedniej robiłaby i więcej wrażenia i może więcej nawet skutku, aniżeli teraz kiedy ją dopiero odgadywać musimy.

Myśl pokrewna tej jaka jest w Nocy letniej, tylko wyższa i ważniejsza, tkwi w drugim utworze Krasińskiego z tej samej epoki i tego samego charakteru.

Krasiński znał nas dobrze; wiedział, że jest u nas jakiś dziecinny pociąg do wszystkiego co błyszczy, że wielcy tego świata wywierają na nas urok nieopisany, że na pochlebstwo, na połechtanie miłości własnej złapać nas łatwo, że atmosfery dworów mają szczególną własność upajania i odurzania głów polskich; i wiedział że to wszystko prowadzić może wielu z nas do utraty godności. W jego sercu zaś nie było może popędu żywszego, instynktu czujniejszego i drażliwszego jak ten instynkt godności. „Duma strącona z nieba z szatanem, mówi on w jednym ze swoich listów, miała anielską siostrę, która została w niebie i nazywa się Godność.“ Bał się o tego anioła, bał się żeby złudzenia próżności, lub miękkości, lub rozkoszy, nie odwiodły nas od jego czci i służby — i napisał „Pokusę.“

Ale Pokusa choć w treści ważniejsza od Nocy letniej i nierównie od niej łatwiejsza do zrozumienia, choć jej cel i znaczenie pojmuje się od razu, jest w formie jeszcze bardziej niż tamta nieokreślona. Już sama ta różnica formy, niejasność w układzie i przesada w stylu, dodana do wyobrażeń filozoficznych Syna cieniów i do politycznych przepowiedni Legendy, kazałaby uważać wspomnione co dopiero dzieło za gruppę osobną, za zboczenie w prostym kierunku myśli Krasińskiego. A jeszcze bardziej naprowadza na takie przypuszczenie ich strona moralna. Noc letnia i Pokusa są ze wszystkich dzieł Krasińskiego jedynemi, na których moralność zgodzić się nie można.

Mniejsza o to, że tajemniczy bohater Nocy letniej zabija swoją kochankę i siebie, żeby ją uwolnić od zamężcia z cudzoziemcem, a siebie od konieczności wojowania z jej ojcem. Może to być tylko prostem effek-

towem zakończeniem powieści, jakich pełno w dramatach i romansach; choć ten rodzaj bohaterstwa przedstawiony jako piękny i wzniosły przez tego poetę poważnego i głębokiego, który był wymyślił zakończenie Nieboskiej i Irydiona, zawsze musi się wydać dziwnym. Ale dziwniejsza jest, że w Pokusie, głębszej i poważniejszej, przyjaciel, jakiś Aligier na małą skalę, przebija młodzieńca, a nad ciałem przebitego odmawia modlitwę, w której poleca Bogu duszę, którą mu posłał na to, aby ją wybawić od pokus i upadku. Coby powiedział na tę mieszaninę modlitwy i mordu, i na to posłanie cudzej duszy do Boga żeby ją wydrzeć pokusom, coby powiedział na ten czyn miłości i zasługi Aligier z Niedokończonego Poematu lub Irydion w Epilogu posłany na próbę cnoty? Coby na nią powiedział Zygmunt Krasiński z czasów Przedświtu i Psalmów? Wszystko to dowodzi, że musiała być w jego życiu jakaś chwila wstrząśnienia i zachwiania wszystkich pojęć skoro pomysł taki jak ten, przemycony przez wyobraźnię, mógł się wkraść w jedno z jego dzieł, a jego zmysł moralny nie dostrzegł go od razu i nie osądził.

W jesieni roku 1841 przebywał Krasiński w Lombardyi „nad jeziora włoskim brzegiem," i do tego czasu może odnieść trzeba nie napisanie Przedświtu, ale jego pierwsze początki. Zima następna zeszła w Monachium z Danielewiczem, który tamże umarł w Marcu 1842 r. Dotknięty boleśnie stratą tego przyjaciela, przez czas jakiś nie mógł, zdaje się, Krasiński myśleć o nowym poemacie, który już miał był w głowie. W jesieni dopiero, w Nizzy pisze się Przedświt, jak świadczy Gaszyński, z wielkim zapałem i rozmiłowaniem. Na

konnych przejażdżkach lubi poeta powtarzać napisane ustępy, poprawia je, wykończa; wreszcie w Marcu, roku 1843, Przedświt ostatecznie poprawiony przysłany był Gaszyńskiemu z Rzymu i dany do druku.

Punkt kulminacyjny w zawodzie Krasińskiego, ten w którym on sam znalazł wreszcie swoją równowagę, w którym doszedł do jasnej i wyraźnej świadomości swoich przeczuć i przekonań, w którym rozwiązanie zagadki dziejów znalazł i ogłosił, w którym uzupełniło i objaśniło się wszystko, co w jego dziełach poprzednich było niezupełnem, niejasnem, przeczuciowem tylko, z którego wypłynęły jego pisma późniejsze: — Przedświt stoi w środku jego zawodu i rzuca światło przed siebie i za siebie. Pierwsza synteza, pierwsza jasna i wyraźna affirmacya Krasińskiego, a tak stanowcza i zupełna, że wszystkie późniejsze tylko ją powtarzały i rozwijały, ale nowego już do niej nie dodały nic; i pierwsze też objawienie tego poety przed narodem, pierwsze jego dzieło powszechnie zrozumiane, a przyjęte z takim zapałem, z takiem uniesieniem, że poeta dotąd mało znany, mniej jeszcze rozumiany, przez to ogółowi niesympatyczny, tem jednem dziełem wzniósł się w mniemaniu narodu tak wysoko, że od razu, bez dyskussyi, jakąś cichą ale rzeczywistą i powszechną zgodą stanął w tej opinii zaraz przy Mickiewiczu, a stanął tak silnie i na zawsze, że wszystkie próby i usiłowania, żeby go zniżyć, zachwiać, znieść, miotają się na darmo i pękają jak bańki z mydła w bezsilności i wściekłości swojej niechęci do Krasińskiego.

Że początki tych myśli, które są w Przedświcie sięgają daleko w naszą przeszłość, że odzywają się w poezyi choć niewyraźnie, ale już od roku 1795. że

Mickiewicz dał im wyraz w Księgach Pielgrzymstwa i w Dziadach, że były one już przed Przedświtem w poezyi Krasińskiego także, jakkolwiek nie wyrobione, mianowicie w Irydionie — zbytecznie byłoby przypominać; jak niemniej to, że po jakiemś zboczeniu, po jakiejś przerwie, z przepaści zwątpień, z rozpaczy, w której on żył „długo“ zaczęły one podnosić się i składać na nowo, niewyraźne jeszcze, nie ustalone i niezupełne, jak tego dowodzi Sen Cezary.

Jaki był teraz proces tej formacyi czy rekonstrukcyi pojęć Krasińskiego? które z nich ustaliły się pierwsze jako pokład podstawny, które zaś kładły się na tym jako wyższe warstwy i logiczne następstwa: jak się budowało z poprzedniego chaosu to rusztowanie prawd moralnych i filozoficznych poglądów, to wskazać się nie da, dopóki z pozostałych śladów, z listów Krasińskiego i z zeznań jego przyjaciół nie złoży się kiedyś jego żywot. Ale budowa sama, ta znana jest w całości i dokładnie. Poeta sam, kiedy napisał Przedświt, chcąc tem lepiej dowieść prawdziwości swojej wiary i swojej nauki, chcąc pokazać, że one nie są tylko poetycznem natchnieniem i marzeniem, ale i ścisłą prozaiczną prawdą, niemal umiejętną, niemal matematyczną, dorobił do swego poematu ten wstęp, który jest jego urzędowym komentarzem, tłumaczeniem, jak z zastanowienia się nad całym biegiem dziejów poeta doszedł i każdy powinien logicznie dojść do tych wniosków, których poetycznym wyrazem jest Przedświt. Wstęp ten zawiera całe zapatrywanie Krasińskiego na historyę świata; a że cała jego poezya nietylko późniejsza, ale i poprzedzająca, albo wprost z tego zapatrywania wynika, albo przynajmniej ściśle się z niem wiąże, przeto

jest on dla poznania i zrozumienia poety niezmiernie ważnym, niezbędnym.

Myśl, która wyrabiała się w polskich głowach od pół wieku blisko, która z postępem lat przybierała kształty coraz wyraźniejsze, ale dotąd trzymała się w sferze uczuć, przeczuć i przepowiedni — pierwszy raz przyjęła tę formę rozumowania, ten kształt prawdy historycznej i filozoficznej, popartej argumentami syllogistycznej, nieledwie matematycznej ścisłości. We wstępie do Przedświtu jest ona rozebrana ze wszelkiego mistycyzmu, z wszelkiej fantazyi: prawdziwa czy mylna, jest trzeźwa, jest logiczna. Czy jest zupełnie prawdziwa? oczywiście nikt nie poważy się roztrzygać, bo cała jedna jej połowa, jej konkluzya, należy do przyszłości. Ale to jest widoczne i pewne, że to co on mówi o dzisiejszym stanie świata, jest prawdą; że warunkiem uspokojenia, że postępem świata jest: uwidomienie się Syna Bożego w stosunkach między narodami i państwami. To jest prawdą. Krasiński myli się kiedy widzi w Polsce dobrowolną bez winy ofiarę za zbawienie świata; przyszłość jej wystawia sobie zapewnie także zbyt pochlebnie i pięknie w tej przyszłej epoce dopełnienia dziejów; ale w swojej myśli głównej, kiedy mówi o obecnem przesileniu historyi, kiedy uspokojenie, postęp i szczęście świata czyni zależnem od „schrześcijanienia“ jego stosunków politycznych, wtedy on ma słuszność i ma coś więcej jak słuszność — ma wielkość.

Nie tu miejsce na rozbiór Przedświtu, na dochodzenie co w nim jest czystą i świętą prawdą a co złudzeniem lub przesadą. Ale o tem wspomnieć tu należy, że on był koniecznością naszej literatury, może nawet naszej historyi. Naród, który uległ wielkiemu

nieszczęściu, a który się na los swój nie zgodził, musiał szukać czegoś, co by mu ten los wytłomaczyło. Same powody fizyczne nie wystarczały, bo te jeżeli miały zabić, powinny były zabić zupełnie, a tymczasem życie zostało. Było więc ciągłe i niespokojne pytanie w sercach tysięcy ludzi: zkąd i dla czego? a nad tem pytaniem górowała jeszcze myśl że się to skończyć powinno. Jak długo jeszcze trwała możność, i konieczność nawet, życia w rzeczywistości, w stosunkach nienormalnych zapewne, nie takich jak być powinny, ale utrzymujących nas w praktyce życia — tak długo i nasze rachuby i nasze widoki opierały się na jakichś danych dotykalnych i ziemskich. Lecz kiedy to znikło, kiedy istotnie żadna rachuba, żaden zbieg rzeczywistych zwykłych warunków politycznego życia nie zapowiadał ani zmiany jakiejkolwiek pomyślnej, ani pozwalał wyciągnąć z siebie takiej konkluzyi do której nasze nadzieje dałyby się nawiązać, a one przecież zostały, tem silniej, tem uporczywiej przechowywane im bardziej zaprzeczone: wtedy, pozbawione ziemskiego oparcia zawiesiły się one w powietrzu, pomiędzy niebem a ziemią, wtedy musiały przybrać charakter mistyczny; a nie mając na ziemi nic coby je usprawiedliwić mogło, usprawiedliwiały się same przed sobą przeczuciami, jakoby przejrzeniami zamiarów Boga. Że zaś nigdzie nie mogły się objawić i odezwać tylko w poezyi, przeto z natury już mistyczne, przechodząc przez fantazyę poetów, stały się zachwytami, widzeniami, proroctwami. Ta poezya wieszcza powstała po roku 1831, a jej dążeniem i zadaniem było odgadnąć przyszłość. Długo się na nią zabierało. Bard Polski jeszcze w r. 1795 mówił że „Polska cierpi jak Chrystus, a my mamy

cierpieć wszystko co bądź, byle jej zostać wiernymi"— ale o nadziei nie mówił nic; jednak i ten drugi pierwiastek naszej późniejszej poezyi odezwał się równocześnie w znanej pieśni Legionów. Później w Woroniczu jest silna, uczuciowa, religijna wiara w przyszłość, u Brodzińskiego już ona chce poprzeć się rozumowaniem, już szuka dla siebie dowodów w sprawiedliwości boskiej z jednej strony, z drugiej strony w historyi, już Polska jest u niego najlepszym z narodów, narodem wybranym. Myśl tę chwyta i prowadzi dalej Mickiewicz: Dziady i Księgi Pielgrzymstwa, to mistycyzm religijny i patryotyczny już zupełnie wyrobiony. Tylko zbyt mistyczny, zbyt religijny — niby religijny, żeby mógł był się przyjąć i zyskać wiarę. Niejasnych „czterdziestu i czterech" trudno było zrozumieć; w rzeczywistość i prawdę objawienia, jakie wprost od Boga miał otrzymać mistrz Towiański, trudno było wierzyć. Nareszcie przyszedł człowiek z sercem cierpiącem i zbolałem, z duszą natchnioną i gorącą, z umysłem raczej logicznym i filozoficznym niż poetycznym; długo szukał, długo się męczył, zwolna, pracowicie, mozolnie wydobywał z siebie części tej prawdy której szukał, odziewał je w kształty nie zawsze jasne allegorycznych postaci, wątpił i rozpaczał i znowu dźwigał się z rozpaczy: aż wreszcie wydobył z siebie to słowo zagadki którego szukali wszyscy: podobne do tego, jakie podawał Mickiewicz, ale jaśniejsze, zupełniejsze, łatwiejsze do przyjęcia, bo podane nie jako objawienie od Boga (którego człowiek nigdy sprawdzić nie może) ale jako logicznie, koniecznie, rozumowo z historyi wywiedziony pewnik, i podawał je z całem natchnieniem wielkiego poety, z całem przejęciem wiel-

kiego serca przepełnionego miłością, z całą siłą i całem przekonaniem potężnego filozoficznego umysłu. Nigdzie nadzieja odrodzenia nie występuje w takiej jasności, w takiej zupełności i pewności, a przytem w takiej (pozornej przynajmniej) trzeźwości i ścisłości jak w poezyi Krasińskiego. Przedświt jest najzupełniejszym i najprostszym wyrazem całego tego kierunku; jest koroną i typem tej poezyi wieszczej, szczytem z którego ona potem już zacznie schodzić, kwiatem w pełnym rozwoju, po którym ona zacznie więdnieć i opadać, jest w niej punktem najwyższym i zwrotnym.

Jest też takim punktem i w poezyi swego autora: to jego Eureka, skutek dziesięciu lat bolesnego szukania i ciężkiej pracy ducha; to dla niego prawda jasna, niezawodna, niewzruszona, która się następnie jeszcze tylko wyjaśni i do reszty oczyści, ale się już nie zmieni. Kiedy tę prawdę ujrzał, wydała mu się ona tak prostą i oczywistą, że sformułował ją tak jasno i zrozumiale jak dotąd żadnej ze swoich myśli. I pod tym względem nawet oznacza Przedświt epokę i zwrot w jego poezyi: żadnych allegoryj, żadnych personifikacyj, żadnych wymysłów wyobraźni, czysta myśl odziana w najprostszą formę wiersza. Przedświt nie jest pierwszym Krasińskiego wierszem, ale jest jego pierwszym wierszowym poematem, pierwszym także nie allegorycznym; a jak jest rezultatem i uzupełnieniem całej jego dotychczasowej pracy ducha, tak jest i zbiorem i wyrazem całej późniejszej: ani myśli zawartych w Przedświcie, ani jego formy już on nie porzuca.

Nie wszystkie jego ustępy zapewne są sobie równe, ale pomimo to jest Przedświt dziełem tak potężnego natchnienia, że może stawać śmiało obok najpiękniej-

szych natchnień Mickiewicza, a ma ustępy takiej znowu piękności formy, że nie powstydziłby się ich Słowacki. Jako streszczony wyraz, krótkie zebranie całej poezyi Krasińskiego, jako wyraz najzupełniejszy i najjaśniejszy całej naszej poezyi wieszczej, jako źródło z którego wypłynął potem cały nieskończony potok naśladowań, jako to dzieło w poezyi które na wszystkie pytania narodu dało odpowiedź najprostszą i najbardziej pożądaną, które podniosło jego wiarę w przyszłość więcej niż każde inne, i jako to wreszcie, które (z winy nie autora lecz powierzchownie i bez zastanowienia czytających) wszczepić w nas mogło zbyt piękne mniemanie o sobie i zbyt bezwarunkową ufność w przyszłość naszej sprawy, a przeto wywrzeć mogło wpływ poniekąd szkodliwy — jest Przedświt jednem z tych rzadkich dzieł poetycznych, które mają zapewnioną nieśmiertelność nietylko w literaturze swego narodu, ale i w jego historyi.

W Lipcu roku 1843 nastąpił ślub Krasińskiego w Dreźnie; a po nim pobyt dość długi w Warszawie, w ciągu którego pracował nad dziełem o Trójcy w Bogu, w człowieku i w historyi (którego sam nie wydał i nigdy wydawać nie pozwolił). I wtedy także sprzeciwił się temu, co był napisał w Przedświcie „harfy już nigdy, nigdy nie nastroję.“ Nie domyślał się, pisząc te słowa, że przyjdą czasy iż trzeba będzie powtarzać co się już powiedziało, i to nie w ogólności jako wiarę, jako system, ale z przystosowaniem do praktycznych przykładów, do zdarzeń i wypadków, jako radę, jako groźbę; nie wiedział że będzie musiał jeszcze wrócić do słowa i prawdę swoją powtarzać zawsze tę samą w innej formie, że Credo samo nie

wystarczy, ale że trzeba będzie je wesprzeć, uzupełnić, rozwinąć i wytłómaczyć Decalogiem i Katechizmem, że po artykułach wiary przyjdzie kwestya praktyczna uczynków, że po Przedswicie trzeba będzie pisać Psalmy.

Stało się inaczej. Żądano od niego żeby przystąpił do tajnych towarzystw i do robót przygotowujących wybuch nowego powstania. Jak Pankracy do zamku Henryka, przyszedł do niego jakiś apostoł przyszłego roku 46. a obiecując mu to czego Zygmunt jedynie pragnął, tłómaczył, że do celu dojść łatwo, byle tylko poświęcić rzecz jedną — zgrzybiałą, zgniłą, strupieszałą szlachtę. Po takiej rozmowie Krasiński nie mógł wątpić na chwilę, że wybuch taki, jeżeli nastąpi, skończy się rzezią, i napisał Psalm Miłości, ostatni z trzech co do liczby porządkowej, ale najdawniejszy co do czasu.

Lato roku 1844 zeszło częścią u Augusta Cieszkowskiego w Wielkopolsce, częścią w Heidelbergu pod okiem doktora Heliusa. W jesieni wrócił Krasiński znowu do Warszawy, zajęty zapewne cały tą jedną myślą, tą jedną obawą, skoro w Lipcu roku 1845 dane były do druku (w Paryżu) trzy pierwsze Psalmy Przyszłości.

Ci co widzieli zaślepienie spiskowych, którzy wiedzieli jaki obrót nada rzeczom ręka od nich silniejsza i mędrsza od nich głowa, cóż ci mogli robić? Nic, tylko po cichu we cztery oczy przedstawiać i prosić; głośno nie mogli się nawet odezwać, nie mieli gdzie, ani w czem, nie było im wolno, a prośby i zaklęcia odbijały się, jak groch od ściany, od uporu Wersalczyków, ich agentów i stronników. W kraju sposobu na nich nie było. Ale za granicą? Nie więcej. Kogo nie przekona oczywisty faktyczny stan rzeczy, na tym

słowo człowieka wrażenia nie zrobi, a dopieroż słowo Krasińskiego na Centralizacyi. Ale ze skutkiem czy bez skutku, dla uratowania rzeczy czy choćby dla własnego sumienia, ratować jak można, robić co można, prosić, zaklinać, przekonywać.

W całej Polsce nie było może człowieka, któryby nieochybność nieszczęścia tak jasno był widział i któryby nad niem tak był cierpiał jak Krasiński. On, wyznawca tego Chrystusa narodów, tego „nieskalanego anioła," on musiał długo naprzód patrzeć jak on będzie nadużytym do dzieła głupoty, zbrodni, wstydu i samobójstwa; on musiał naprzód już pić ten kielich goryczy i truć się jego goryczami! Nikt tak nie bolał, nikt tak nie widział i nikt nie był zdolny (bo Mickiewicz w tych latach już nie) tak krzyknąć z bolu, tak zawołać na gwałt i zakląć o miłosierdzie nad narodem i jego sprawą, jak Krasiński. I zrobił to — napisał Psalmy.

Oczywiście głównym, najważniejszym jest ostatni; w nim mieści się upomnienie, zaklęcie i groźba, w nim to słowo obowiązku względem ojczyzny jakiego domagały się okoliczności ówczesne i na wszelkie okoliczności, na zawsze rada, nauka, zasada życia. Ale żeby dojść do tego, żeby powiedzieć, choćby bez nadziei skutku, ale z powagą i wyższością niemylnej prawdy, chciał Krasiński — zanim by powiedział „Hajdamackie rzućcie noże, by nie klęły nas na wieki, że cel wieków znów daleki" — chciał powiedzieć dla czego rzucić noże, przypomnieć prawo boskie nad ludźmi i przypomnieć, że inaczej cel ten mógłby być bliskim, przypomnieć przepowiednie Przedświtu i to na czem je opierał. Ztąd poszły dwa pierwsze Psalmy dopisane do trzeciego, napisane dla niego jako argument wstępny,

rekapitulacya tych wszystkich znaków, dowodów i nadziei lepszej przyszłości, a z tego jako wniosek wyjść miała konieczność, obowiązek zaniechania wszystkiego co tej przyszłości stanąć mogło na zawadzie, propagandy złudnego powstania, a rzeczywistego rozkładu społecznego.

Najdalszym od tego celu, najobojętniejszym jest Psalm wiary, w którym złożona jest formuła niejako na ogólne przeznaczenie jednostki ludzkiej i ludzkości. Łatwo poznać że i tu, jakkolwiek pośrednie i dalekie, ale jest już wyraźne przystosowanie do konkluzyi Psalmu Trzeciego. Jeżeli każdy z nas ma się czuć cząstką woli bożej, a wszyscy razem jesteśmy powołani do tego, żeby wyrabiać w ludziach „więcej miłości i więcej braterstwa“ — to rzecz jasna, że powinniśmy „Hajdamackie rzucić noże.“ W drugim Psalmie przechodzi poeta do dowodów bliższych i do powodów obchodzących nas bezpośrednio; do rzeczy jeszcze bardziej zrozumiałych a popierających (na pozór przynajmniej) jeszcze silniej konkluzyą Psalmu Miłości. Czasy się dopełniają: „niedaleki nam przed wieki obiecany Pocieszyciel.“ „Godzina dopełnicielka z Niedokończonego Poematu“ Kościół Miłości z Legendy, trzecia i najwyższa epoka troistych dziejów ludzkości podług Przedświtu zbliża się; i w takiej chwili „kiedy począł się lub niebawem ma począć dzień boży, kiedy duchom tryumf dan,“ w tej chwili bliskiej spełnienia najwyższych przeznaczeń ludzkości przez naród, spychać go z tej jasnej drogi, żeby ani on, ani ludzkość nigdy do celu trafić nie mogły? To jest niewypowiedziane ale bardzo wyraźne przystosowanie Psalmu Nadziei do następnego.

Psalm Miłości jest pismem politycznem, niemal broszurą; wchodzi w tę kategoryę słów i pism, któremi człowiek na polu praktycznych działań chce coś odwrócić, czemuś przeszkodzić. W swojej formie poetycznej wychodzi on na to samo czem są w innej formie Filippiki Demosthenesa, zaklinającego swój naród żeby się samochcąc nie gubił; na to samo co pełne oburzenia Cycerońskie „Quosque tandem“, zapytanie do jednego człowieka wymierzone, jak długo on jeszcze naród swój gubić zechce. A jeżeli Filippiki uchodzą dotąd i słusznie za wyraz klasyczny, najsilniejszy, najbardziej wzruszający, miłości ojczyzny w walce z ojczyzną samą zaślepioną i na oślep lecącą do samobójstwa; jeżeli „Catilinaria“, choć tamtym nierówna, zawsze uważana jest za typ patryotycznego oburzenia na zgubne dla ojczyzny roboty: to Psalm Krasińskiego ma prawo stanąć obok nich jako wyraz równie potężny tej samej miłości i tego samego oburzenia. Tak samo jak tamte tendencyjny i polemiczny, jak tamte wydarty z serca drgającego boleścią i gniewem na widok straszliwej groźby wiszącej nad ojczyzną; jak tamte zbrojny w najwyższą potęgę wymowy i (choć jest poezyą) w potęgę rozumowania; jest jak tamte, może przed tamtemi najwyższym wyrazem i typem patryotycznego cierpienia, zaklęcia i prośby, jest takim ideałem pisma okolicznościowego, tendencyjnego i patryotycznego, jak te mowy, które powstrzymać miały nad brzegiem Ateny na gwałt lecące w przepaść jakżeby umyślnie, a do których Psalm Miłości podobny jest i tem, że jak one był daremny.

Wiersz Słowackiego Do autora Trzech Psalmów ukazał się niebawem po nich; a gdy zdarzenia

rozstrzygnęły ten spór dwóch poetów, nastąpił w życiu Krasińskiego przełom i zwrot. Dotychczas młody, choć wątły zawsze i cierpiący, teraz w trzydziestu czterech latach staje się starym i złamanym, chyli się do grobu, życie utrzymuje się w nim tylko ciągłem staraniem, ciągłem użyciem sztucznych środków. Smutek, ból, cierpienie moralne było takie, że złamało zupełnie organizm fizyczny. Zwłaszcza dwa pierwsze lata po katastrofie, rok 1846 i 47, przeżył w nieustających prawie atakach anewryzmu, które powtarzały się ciągle jeden po drugim, w stanie bezsenności rzadko kiedy przerywanej i najboleśniejszego rozstrojenia nerwów. Dawna choroba ócz wzmogła się teraz tak, że światła prawie znosić nie mógł, słowem od tej pory jest Krasiński tym Łazarzem którym został już do końca; a w pierwszych czasach po wypadkach roku 46., niebezpieczeństwo było nieustające, najbliżsi byli przygotowani na to, że śmierć mogła przyjść w każdej chwili. Z powodów zdrowia spędził zimę i część lata 1846 w Nizzy. Jakim sposobem w tej ruinie ciała duch nietylko ocalał, ale się wzmógł, jakim sposobem ta wiara w przyszłość, którą on żył dotąd nie upadła pod ciężarem zaprzeczeń jakie dostała? Musiała tam być siła więcej jak ludzka, bo ten krzyż nikogo tak nie gniótł jak jego; musiała ta jego wiara być niezłomną, kiedy nietylko zachwiać się nie dała, ale w całej Polsce pogrążonej w smutku, w rozpaczy i wstydzie, ona podniosła się pierwsza, ona pierwsza jak gołąb po potopie, jak słowik Mickiewicza z ruin zajętego gmachu, wzbiła się w górę i odezwała się pieśnią żałoby, ale która była przecież i pieśnią nadziei. Pierwsze słowo otuchy, pociechy, jakie naród usłyszał po roku 1846, wyszło od tego, który ostatni

i do ostatka wołał i upominał przed nieszczęściem.

Tam w Nizzy, w lecie 1846 napisał Krasiński Dzień dzisiejszy i Ostatniego.

Dzień dzisiejszy jest obrazem wiernym i charakterystyczną, niezawodnie prawdziwą fotografią naszych różnych wyznań politycznych i politycznych namiętności. Demokraci, arystokraci, socyaliści, obojętni wszyscy przedstawieni są w swojem właściwem świetle i wszyscy surowo osądzeni; jest to zawsze ta sama myśl, myśl Psalmów, tylko zastósowana do szczegółu do politycznych waśni i nędzy dnia dzisiejszego. Ale zdarza się czasem, że myśl jakaś wypowiedziana raz jasno i stanowczo, traci na tem kiedy się ją pod inną formą powtarza, dowodzi i popiera na nowo, kiedy się ją ściąga do szczegółów. Ta chęć wznowienia prawdy wychodzi czasem jeżeli nie na jej osłabienie to przynajmniej na pewne jej spowszednienie. To co za pierwszym razem uderza, robi ogromne wrażenie, to powtórzone już tak człowiekiem nie wstrząśnie. Taką uwagę nasuwają te dwie poezye Krasińskiego. Dzień dzisiejszy ma niezaprzeczenie wielkie piękności, początek jest wspaniały, ustęp o człowieku prowadzonym na śmierć jest piękny, wreszcie następujące po sobie koleją teorye scharakteryzowane są z wielką energią; ale w całym tym ustąpie jest jakaś trzeźwość prozaiczna, jakiś realizm, jakaś ścisłość pisma tendencyjnego raczej niż poetyczne natchnienie. Prawdziwie wielki jest może tylko jeden ustęp z Dnia dzisiejszego, ten w którym szatan przychodzi dręczyć i kusić umierającego. Cała teorya o życiu jednych przez śmierć drugich, a mocniejszych przez śmierć słabszych, wszystko to zebrane jest w słowach tego szatana z logiką, chłodem i ironią przypo-

minającą mowy i noty dyplomatyczne niektórych zwycięzkich ludzi stanu naszego czasu.

W Ostatnim (artystycznie od Dnia Dzisiejszego piękniejszym); nie trzeba szukać allegoryi. Jest to więzień prawdziwy. Jednak kto wie czy nie jest on także figurą ludzi, którzy cierpią, pragną, chwytają się rozpaczliwie wiary w Boga, a nadziei ani dojrzeć nie mogą; czy jego więzienie ciemne, wilgotne, duszne i zgniłe nie jest figurą dzisiejszego świata. Ostatni piękny jest niezaprzeczenie. Ale cały ten pierwiastek wieszczy, który tu jest także, taki sam, ten sam, co w Przedświcie, co w Psalmach, co w Dniu Dzisiejszym, a za tamtemi powtórzony, ten nie jest już tak wyrażony i nie robi takiego wrażenia jak w poezyach dawniejszych.

W lecie roku 1847, pod wpływem zajęcia wolnego miasta Krakowa i interpellacyi z tego powodu w Izbach francuzkich, pisany był jako broszura list do szlachetnego obrońcy spraw dobrych „Lettre à Mr. le comte de Montalembert“ i drugi do poetycznego męża stanu, który między złemi a dobremi nie zawsze umiał trafnie rozróżniać „Lettre à Mr. de Lamartine.“ Przez zimę roku 1847 i aż do lata 1848 bawił Krasiński w Rzymie. Godne wspomnienia są dwa szczegóły z tego ośmiomiesięcznego tam pobytu: audyencyi u Piusa IX., który o swojem położeniu, o swoich zamiarach i stojących im w drodze przeszkodach otwarcie i obszernie z Krasińskim rozmawiał, i częste przyjazne stosunki z Mickiewiczem. W lecie tegoż roku zaczęły się długie, prawie stałe pobyty w Baden-Baden, najęła się ta Villa Blum, która przez całe lata była jego ulubionem mieszkaniem. I ztąd wyjechał pod jesień na

morskie kąpiele do Dieppe, gdzie był napisany Psalm Dobrej Woli. Psalm Żalu po powrocie do Baden dopiero, w Październiku.

Pierwsze ustępy Psalmu żalu należą do najpiękniejszych rzeczy jakie Krasiński napisał. Prawda, że straszne stwierdzenie tego co był powiedział w trzech pierwszych mogło mu dodać powagi: ale też poczucie słuszności i własnej niewinności daje mu taką siłę i pewność, taki spokój wielki i przygniatający, i taką majestatyczną prostotę, że te jego słowa muszą się liczyć do najwspanialszych, najbardziej zwycięzkich odpowiedzi, jakie niewinność spotwarzona znalazła kiedykolwiek w rzeczywistości czy w poezyi. Konkluzya, nie napisana, ale wyraźna, wołająca z tego wszystkiego wielkim głosem do przeciwnika samego i do wszystkich myślących jak on, jest: „wejdź w siebie, porachuj się z sobą. Masz oczy a nie widziałeś, masz rozum a nie rozumiałeś, kochasz i o swojej miłości tyle mówisz, a nie uczułeś że to nieszczęście, że to prawie śmierć, i biegłeś przed tem wszystkiem zdawało ci się jak Tyrteusz zagrzewający spiewem do bitwy i do zwycięztwa, a na prawdę szedłeś jak ksiądz przed trumną na pogrzebie i śpiewałeś do Profundis mniemając dziecinnie i płocho, że śpiewasz pieśń zmartwychwstania! Więc tak umiesz patrzeć? więc z twego rozumu i z twej miłości i z twojej rady takie pożytki? Wejdź w siebie.“ Ale po tych pięknościach wstępu, przyznać trzeba, że dalsze ustępy Psalmy żalu nie utrzymują się już na tej samej wysokości natchnienia, owszem spadają dość nisko. Psalm staje się dyskusyą; naprzód rekapitulacyą teoryi Słowackiego o „duchu wiecznym rewolucyoniście“ a następnie zbijaniem tej teoryi wszyst-

kiemi argumentami historycznemi, politycznemi i moralnemi; argumenta te są niezaprzeczenie dobre i słuszne, zwycięztwo zostaje oczywiście przy Krasińskim, ale pod względem poetycznym Psalm ten w swoim dalszym ciągu nie jest już równy początkowi. A szkoda, bo gdyby był zdołał utrzymać się na tej wysokości, Psalm żalu byłby zapewne dorównał temu, który po nim następuje.

Psalm dobrej woli, co do czasu nawet ostatnie (z większych) słowo Krasińskiego, i niezaprzeczenie ostatnie, to jest najwyższe słowo jego poezyi, uważany jest słusznie za koronę całego tego budynku: za zbiór i streszczenie, i wyraz najczystszy i najprostszy tych uczuć i myśli, które były tłem jego życia, jego duszy i jego poezyi; za ostateczną odpowiedź na wszystkie pytania, jakie sobie stawiał; za ostateczną konkluzyę jego przeczuć i przewidywań; za uzupełnienie i szczyt jego systemu filozofii historycznej i politycznej. To jest jego affirmacya wypowiedziana w formie najprostszej i najjaśniejszej; to jest ta prawda dziejów i człowieka, której szukał przez całe życie, która wydobywała się z jego myśli pomału i stopniowo, coraz jaśniejsza, coraz wyraźniej określona, wyraźniej w Irydionie niż w Nieboskiej, wyraźniej w Przedświcie niż w Irydionie, aż wreszcie wyłoniła się ze wszystkich ciemności, zawichrzeń i cierpień świata, narodu i jego własnej duszy; objawiła się w całej ścisłości i prostocie, i tak objawić się kazała przed narodem w chwili, kiedy ten doznał jednej z najcięższych swoich klęsk, kiedy słusznie mógłby był o sobie rozpaczać.

Ta prawda rezebrana z ułudnych szat poetycznego i patryotycznego natchnienia, jest czy prawdą zupełną

czy częściową tylko? czy możemy w nią wierzyć śmiało i bez zastrzeżeń? słowem, czy jest prawdą, albo nie?

W pojęciu Polski, czem była i czem jest dziś, niema prawdy; w pojęciu tego co ona powinna, czem powinna być, i czem się podnieść może, jest prawda. Nieprawda że „wszystko nam dałeś co dać mogłeś“ nieprawda, żeby nasze panowanie było „ubrane w przechrześciańskie blaski nadeuropejskiej cnoty“; nieprawda żebyśmy byli „w świeckie dzieje wcielili Chrystusa“; i to nieprawda także, żeby nam rosły te skrzydła, żeby sypały się te nadzieje, o których mówi poeta.

A więc Psalm dobrej woli jest kłamstwem? a więc cała poezya Krasińskiego, cała tak mozolnie w pocie czoła szukana prawda jego życia jest marnem złudzeniem, bańką wylęgłą w poetycznej fantazyi i w sercu zbolałem a przez to skłonnem do złudzeń? A więc ten ideał i te nadzieje, to wszystko fałsz? a więc, skoro fałsz, to nie wierzyć jemu, nie wierzyć niczemu i w nic? a więc nie słuchać go, rzeczywistości się trzymać pod jakąkolwiek formą i nazwą; rzeczywistości dokonanego faktu, przemocy lub Rewolucyi, Fryderyka lub Pankracego, ale nie Krasińskiego, nie jego ideałów, jego złudzeń, mrzonek i poezyi?

Byłoby drugie złe gorsze niż pierwsze. Bo jeżeli Krasiński myli się w tem co jest, to nie myli się w tem co być powinno. Jeżeli niema prawdy kiedy mówi „wszystko nam dałeś,“ to ma prawdę kiedy nam każe prosić o dobrą wolę, ma prawdę kiedy mówi że „Bóg bez nas samych nie może nas zbawić,“ że „nie drugich śmiercią lecz własną bezpłodnie kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie“; ma słuszność kiedy mówi że jeżeli rzucim

się w tę przepaść „co od początku złych i pysznych grzebie," to „na dnie jej sobie nicestwo pościelem"; ma słuszność kiedy mówi „że stać tu musim sami" i „wśród tego sądu sami zbawić siebie," kiedy każe nam prosić o Dobrą Wolę, jako o zbawienia tego warunek i podstawę.

Może to być, żeby z założenia mylnego wyszła prawda jako wniosek? Są prawdy, jedyne prawdy absolutne, które sobą zostają zkądkolwiek je wywiedziemy. Gdyby kto źle dowodził, że dwa a dwa są cztery, czy przez to mylne dowodzenie prawda arytmetyczna przestałaby być prawdą?

Podobnie jest z prawdami moralnemi i politycznemi. W dowodzeniu Krasińskiego są błędy: nadzieja nie sypie się dziś jak kwiat, tak jak dawniej blaski naszego panowania i naszej cnoty nie były tak czyste i jasne jak on je widział. I cóż ztąd? czy dla tego mamy resztę tych blasków przyćmiewać i gasić? czy dla tego że w przeszłości, a i w teraźniejszości niestety nie wszystko w nas czyste i piękne mamy się brukać i szpecić zamiast się czyścić i bielić? To dopiero byłaby konkluzya fałszywa. Nie—nie dla tego żeś nam dał wszystko co dać mogłeś, nie dla tego, że nam rosną skrzydła zmartwychwstania a nadzieja „jak kwiat się sypie," nie dla tego jakobyśmy jaśnieli „nadeuropejską cnotą:" ale dla tego właśnie że tak nie jest, dla tego że co nam dałeś, wiele czy mało, to zmarnowane i strwonione, dla tego że tej cnoty tak mało, że te blaski tak przyćmione, że te skrzydła tak z piór odarte i obwisłe, że żadne z drzew około nas niema się na kwiat nadziei, i dla tego że „przepaść, śmierć wieczna" tak się pnie i wzdyma — dla tego całą mocą naszego nieszczęścia, z całej głębi

naszego upadku błagamy ciebie daj nam serce czyste
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Wśród dóbr twych dobro — daj nam dobrą wolę!

Tak trzeba czytać Psalm dobrej woli, tak go rozumieć, tak się modlić jego słowami, i tak go w życiu stósować, a wtedy, choć nie wszystko, co w nim jest, jest prawdą, ta prawda jaka w nim jest, niezawodna i nieodmienna, to że przez dobrą wolę można nabyć wszystko czego się nie ma, pokaże się nietylko absolutną prawdą w abstrakcyi jaką jest, ale wcieloną i widomą prawdą w rzeczywistości.

Że Psalm dobrej woli jest najpiękniejszym Krasińskiego wierszem, że nigdy jego natchnienie nie przemówiło z taką potęgą, z takim majestatem, to rzecz powszechnie uznana. Sam Przedświt blednie w porównaniu. Do wróżb i nadziei Przedświtu mają się Psalmy, mianowicie dwa najważniejsze, Miłości i Dobrej Woli, jak moralność do wiary, jak katechizm do Ewangelii. I to tłómaczy ich konieczność, tłomaczy dla czego bez nich poezya Krasińskiego, jego zawód i czynność, jego rola, nie poetyczna tylko, w literaturze, ale polityczna i moralna w historyi jego narodu, nie byłyby zupełne. To także powód, dla czego po Psalmach poezya tu już mogła umilknąć. Cała poświęcona jednej myśli, jednej misyi, spełniła tę misyę, kiedy tę myśl wyprowadziwszy z przeszłości ukazała ją jako przedświt przyszłości, a zarazem ukazała ją w przystósowaniu do chwili dzisiejszej, kiedy powiedziała jak do świateł tego przedświtu dążyć. Mogła więc skończyć; i istotnie, choć Krasiński jeszcze po ostatnim Psalmie pisał czasem, przecież Psalm dobrej woli jest ostatniem słowem

jego poezyi w obu znaczeniach tego wyrażenia.

A przypomnieć warto, że jest on także ostatniem, to jest najpóźniejszem słowem naszej wielkiej poezyi, i ostatniem to jest najwyższem, naszej poezyi patryotycznej, przeczuciowej i wieszczej. Mickiewicz milczał już oddawna i zupełnie, Słowacki w roku następnym umierał, Krasiński sam już odtąd prawie nie pisał a nic nie drukował; wielka epoka naszej poezyi otwarta w roku 1822 przez Grażynę i Dziady, zamyka się w roku 1848 Psalmem Dobrej Woli.

Z Psalmami równocześnie napisany był piękny wiersz do Wiednia, (drukowany w Czasie 1872).

Od tego więc czasu, z wyjątkiem Niedokończonego Poematu, nad którym jeszcze później pracował, nie pisał Krasiński poezyj prócz drobnych i to rzadko. W ostatnich zwłaszcza latach życia zajmowała go bieżąca polityka więcej nierównie niż poezya, i prawie zupełnie.

Po napisaniu Psalmów zeszła mu zima w Baden, zkąd go zaszłe tam (w Maju 1849) rozruchy zmusiły wyjechać. Udał się do Szwajcaryi; tu atoli rozchorował się tak ciężko, że zamiast myśleć o dalszej podróży, musiał wracać czemprędzej do uspokojonego tymczasem Badenu, gdzie miał przynajmniej pomoc doświadczonego lekarza. Na domiar złego odmówiono mu paszportu: trzeba było w najsmutniejszym stanie zdrowia i pod zimę wracać do Warszawy, zkąd zaledwo w lecie 1850 udało mu się wyjechać. Zeszło mu lato na kuracyi w Treport, a zima następna w Badenie, w ciężkich niepokojach o dzieci niebezpiecznie chore, ale przynajmniej z pociechą towarzystwa najlepszych przyjaciół.

Zimę z roku 1850 na 51 przepędził w Rzymie i podjął tam na nowo dawno przerwaną pracę nad Niedokończonym Poematem. Z tego też czasu datuje piękny wiersz o Rzymie zaczynający się od słów „o Polko moja“ drukowany parę razy w urywkach i w tekscie zmienionym, a raz poprawnie i w całości w Czasie 1872, bez tytułu, a który w pierwotnym autografie poety nosi napis: „do Elizy.“

Z Rzymu wyjechał Krasiński na wiosnę do Nizzy, ztamtąd na lato do Badenu, w jesieni, znowu z powodów paszportowych, musiał wracać do Warszawy.

W lecie roku 1857, bawiąc u ojca w Potoku, stracił Zygmunt najmłodsze swoje dziecko, córkę Elżbietę. Zdrowie jego poniosło przez to nowy uszczerbek. Trzeba było szukać śpiesznej porady lekarzy, Waltera w Dreźnie, Heliusa w Heidelbergu. Zima z roku 1857 na 58 przeszła jeszcze nie najgorzej w Paryżu, ale z wiosną (1858) pokazało się nagłe i znaczne pogorszenie w jego zdrowiu. Radzono kuracyę w Plombières następnie w Ems; jedna i druga zamiast pomódz raczej tylko zaszkodziły choremu. Doktor Walter uznał niebezpieczeństwo bardzo groźnem i bliskiem, i jako ostatniego środka ratunku a przynajmniej oddalenia końca, kazał próbować pobytu gdzieś na południu, na wyspie Malcie lub w Afryce. Do tej drogi gotował się Krasiński w Paryżu, kiedy w Listopadzie 1858 zaszła śmierć jego ojca. I strata sama i niemożność bycia przy ojcu w ostatnich chwilach jego życia wywarły wpływ tak stanowczy na stan zdrowia Zygmunta, że one niewątpliwie sprowadziły tak rychły jego koniec. W smutku przynosiło mu ulgę pisanie żywota ojca; ostatnią tę swoją pracę pisał jak mógł najprędzej, śpieszył się i

choć sam już nieledwie konający doprowadził ją dość daleko, bo do roku 1827. Ale skończyć już nie zdołał, 10. Lutego położył się do łóżka, z którego już nie miał powstać. 19., w 47 rocznicę swoich urodzin przygotował się na śmierć, 23. późnym wieczorem po powtórnem przyjęciu Sakramentów skończył życie w Paryżu (przy ulicy de Penthièvre Nr. 22.)

Nie nam zaiste, a zwłaszcza nie dziś kiedy głębokość i siła tego umysłu z każdym dniem wyraźniej się stwierdzają, objaśniać potrzeba rzetelną jego wielkość. Ale jeżeli Krasiński coraz mniej potrzebuje objaśnień i komentarzy, to my coraz więcej może potrzebujemy Krasińskiego czytać. Mówiono wiele o mylnych przeczuciach i o niebezpiecznych wpływach jego poezyi, Żeby wszystko aż do szczegółów miało w niej być sprawdzonem i nieomylnem, nikt nigdy nie twierdził: ale wpływ szkodliwy, jeżeli nawet był wywarty, to nie przez poezyę Krasińskiego, lecz przez fałszywe jej zrozumienie. Pojęta trafnie, nie jako bezwarunkowa przepowiednia czy obietnica przyszłości, lecz jako wskazanie drogi która do przyszłości wiedzie, poezya ta okaże się zbiorem prawd pewnych i zbawiennych, i przynieść musi nie szkodę lecz pożytek. W czasach jak dzisiejsze zwłaszcza, kiedy każdy dzień, każdy nowy zwrot współczesnej historyi zapisuje się w niej i w sercach prawych słowami Przedświtu „coraz podlej na tej ziemi było“ kiedy szatan z Dnia Dzisiejszego coraz głośniej woła że on „ziemi Panem,“ i kiedy wszędzie, nawet u nas podobno, coraz więcej znajduje się skłonnych uwierzyć w jego słowa „Ja jestem Rozum, ja jestem Konieczność“ — w takich czasach dopiero dobrze jest i zbawiennie odczytywać i rozpamiętywać słowa Iry-

diona: „Idź i czyń choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia i ufaj imieniowi mojemu;“ słowa Psalmu: „Bóg bez nas samych nie może nas zbawić“ i z tego Psalmu prośbę o Dobrą Wolę, i słowa Resurrecturis. Bo kiedy wszelka wiara, wiara w cokolwiek, w Boga czy w ludzi, w zasady czy w środki, w siebie czy w swoich, w ludzkość czy ojczyznę, słabnie i upada, to w takich wzniosłych pojęciach cnoty i ojczyzny znaleść się może źródło siły na pokrzepienie wielu, tarcza przeciw niejednej pokusie zwątpienia. W tym „czyśccu dni teraźniejszych“ potrzebny jest ktoś coby przypominał i wskazywał znak zbawienia, który zjawić się musi przy końcu tej Nieboskiej komedyi, którą odgrywamy; a tego nikt lepiej od Krasińskiego nie zrobi.

I oto dla czego, oprócz powszednich względów literackiej potrzeby, nowe wydanie dzieł jego wydało się być na czasie.

St. Tarnowski.

AGAJ-HAN.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

POŚWIĘCONE

MARJI.

Bawił Samozwaniec w Kałudze z małą liczbą bojarów, lecz znaczniejszą Tatarów i Duńskich Kozaków, przemyśliwając, jakby jeszcze utrzymać się przy tronie. Trafunek zdarzył, iż Tatarzy jego wpadli niespodzianie na rotę Polaków pod Rotmistrzem Czaplicem i kilku wzięli w niewolę. — Zwątpiewającemu już o sobie człowiekowi najmniejsze powodzenie zwycięztwem się zdaje. Uradowany niem nad miarę fałszywy Dymitr, wspaniałą wydaje ucztę; po tej obwieszcza łowy, winem i miodem potężnie sanie ładować każe, i wyjechawszy w pole na zamierzonej między sosnami równinie znów rozpoczyna gody. — W gronie otaczających go Tatarów znajdował się niejaki Urassów, niezbyt dawno z bissurmańskiej na grecką wiarę przechrzczony. Ten długo w łasce u Samozwańca będąc, kijem od niego obity i do więzienia wtrącony (przywrócił go wprawdzie Samozwaniec do łaski, lecz nie wymazał tem pamięci poniesionej krzywdy) ożywił żądzę pomszczenia się. Najsposobniejszą do nasycenia jej zdała mu się chwila obecna — zniósł się więc z Tatarami obrażonemi również za zabicie ich Caryka Kazimowskiego — a gdy Samozwaniec dużemi roztruchanami spełnia miody i wino, gdy rozchmielony traci wszelką przytomność, z pistoletem z tyłu przypada Urassów, strzela, rani, ucina mu głowę. — Inni Tatarzy ciało na ćwierci sieką, głowę kładą do sakwy i do Moskwy uwożą — Bojarowie widząc mord uciekają. — Trzech tylko pacholąt polskich słabemi siłami do ostatka broniąc nieszczęśliwego, dowiedli, że Polak odstępować nie umie. — Tak zginął oszust nikczemny i podły w obyczajach, rozpasany na wszystko co niecne. Znaleziono w jego komnacie Talmud, gazy rzemienne do modlitw i biblję.

Tymczasem Maryna dowiedziawszy się o mordzie, z razu nieszczęściu wierzyć nie chcąca, sama udaje się na miejsce, znalazłszy rozsiekane tylko szaty i członki bez głowy, pełna żalu i rozpaczy, już nocą do Kaługi wraca. — Wśród zgiełku i tumultu, z pochodnią w ręku, z rozczochranemi

włosami, z obnażonem łonem przebiega hufce żołnierzy, a miecz przykładając do piersi, z przeraźliwym krzykiem woła o pomstę. Lubo Zarucki z 1500 kozaków opowiedział się przy niej, atoli Moskale w Kałudze odarli ją ze wszystkiego i do więzienia wtrącili. Z więzienia taki list napisała do Sapiehy Starosty Uświackiego „Wyzwólcie dla Boga! wyzwólcie — dwie niedziele mam tylko zostawionych do życia, pełniście sławy, nabądźcie więcej wybawiając nieszczęsną — Bóg będzie wiekuistą zapłatą.“ —

Maryna 1611. r.

Posyłają Bojary po Michała Romanowicza syna Metropolity Filareta i obierają carem.

W tymże czasie zuchwały, wyniosły, niezmordowany wódz kozaków Zarucki, nieopuszczający widoków swoich, póki zostawał blask najmniejszej nadziei, Zarucki mówię po odstąpieniu Pożarskiego dopadł z kozakami swymi do Kołomny, tam zabrawszy Marynę (z którą niektórzy mniemają że się już ożenił) i małego syna jej, mieczem i ogniem Razan i Peryasław pustoszył. Wszystko obracając w popiół, wszędzie krew rozlewając, zbliża się do Astrachanu, zdobywa go i wojewodę śmiercią karze. Wkrótce pomnażają jego potęgę kozacy z Terku. — Zuchwałość i szczęście człowieka wszędzie postrach rzuciło. — Oddalenie się Polaków dozwala Moskalom ogromne wojsko przeciw zuchwalcy wyprawić. — Zarucki zbyt słaby, by się tak przeważnym siłom oparł, uchodzi aż nad rzekę Jajk, długo ścigany, schwytany nareszcie w tych bezdrożnych pustyniach z Maryną i jej synem — sam na polu życie kończy. — Maryna utopiona pod lodem — syna jej mającego tylko dwa lata, nielitościwie uduszono.

(Niemcewicz, Dzieje panowania Zygmunta III.)

I.

Amor ch'a aul amato amar perdona.
DANTE.

Wieże Kaługi z daleka pod chmur zimowych nawałą coraz szarzeją, bo wieczór się zbliża. — Ale dosyć dnia jeszcze, by oświecić te wzgórki śniegiem obciążone, które kołem okrążają równinę, z której śnieg zmieciony; a nie wietrzysko go zmiotło, ale ręka ludzi, by na gładkiej ziemi panu lepiej przy uczcie i winie się działo. Na około gasnące ogniska.

Teraz już po biesiadzie, na stoły zastawione, na porzucone ostatki, sączy się topniejący szron ze świerków i sosien.

Przeszła godzina godów dziwne po sobie zostawując ślady. Płótna namiotów leżą na ziemi, czasem dysząc fałdami, kiedy wiatr pod nie się wkradnie — zgmatwane w ich sznurach i powrózkach siodła, rzędy, kufle, kosze, dzbany, a tu i owdzie na białem tle plama krwi, już sucha — znać że od kilku godzin pije z niej powietrze — ale jeszcze nie czarna, dotąd czerwona, połyskująca — znać że dzisiaj wylana.

Stoły jedne za drugiemi jak potężny wał się ciągną na owej zmiecionej dolinie. — Drugie rozrzucone jak wyspy rozpusty pomiędzy saniami, które idąc od wzgórzów, nie gęstemi szeregi stąpają, otrząsając śnieg z ramion aż do tego rzędu stołów. Przed niemi co zostało czystego miejsca od boru zachodzącego na przeciw, to zawalone taborem wywróconych sani; a z tych sani sypią się na dół ćwierci mięsa, beczki miodu, beczki wina potrzaskane, zkąd miód i wino już nie płynie strumieniem, ale czołga się skrzepłemi kroplami nad zamarzłemi bryły, z których barwy przebija dotąd barwa miodu i barwa małmazji.

A na okół w prawo i w lewo, jakby na pobojowisku, porzucone kożuchy, kołpaki, oręże, strzały wbite w grudę, tkwią ostrzem, pierzem drgają za podmuchem wiatru. Sajdaki próżne, kubki z drzewa, czary miedziane, rzemienie

od chartów i ogarów, sieci i pale, trąbki i torby — a nad tem wszystkiem znowu plamy krwi gdzieniegdzie — i popiół czarny i węgle, co konając sypną czasem iskrami.

Wśród tego zgiełku leżą ciała trzech pacholąt — każdy padł inaczej, inaczej też leży — pierwszy z rozpłataną głową, z rozciągniętemi nogi, drugi z przeszytą piersią klęczy, jedną ręką przymarzł do ziemi, a plecy przymarzły mu do sani z tyłu; trzeci opiera się całym bokiem na grudzie, łokieć wparł w grudę, a czoło zwiesił na piersi. Na ich twarzach świeżość i młodość zestarzała się od bolu i od mrozu. Sine pręgi po szyi i licach, krew ścięta od zimna połyskuje, gdyby jakie hafty na sukni — a szaty ich polskie, a uzbrojenie ich lekkie świadczy, że jeszcze nie dorośli wieku do bechtera i do szabli. — Roztłuczone klingi jak szczątki źwierciadła migają na około nich; złote rękojeście zostały w dłoniach i spoiły się z niemi mocno, na zawsze. Ich palce szronem okryte kręcą się w około onych rękojeści, gdyby oprawy ze srebra — a musieli jednak potykać się dzielnie, bo ziemia poryta, i trzeba było dzielnego parcia stopy, by ziemię poryć tak twardą. Nie za pierwszą raną polegli, bo każdy z nich kilka ich liczy — ale żadnego wroga nie zabili, bo nie ma trupa co by leżał naprzeciw.

Szata jakowaś mignęła wśród gęstwiny boru: słychać jak podkowy nurzą się w śnieg, to o lód dzwonią. Przyjechały — skoczyły na ziemię dwie postacie pośród zmierzchu wiecznego w borze; jedna została przy koniach, druga wyszła z drzew i stąpa dziarskim krokiem, aż dojdzie trzech pacholąt, stanie przy nich, czarne okręci oczy i namyśla się.

Szeroka szuba od szyi do stóp zakrywa całą, ale z pod sobolowego kołpaka pierścienie włosów, pod szubą nadymające się dwie fale, na licach gładkość, na ustach wdzięk i ponęta róży, wydają że niewiasta. — Z czoła sądząc i z pychy na niem, to mąż i mąż dużego ramienia.

Przeskoczyła trupy, które w grudy się zamieniły i szła dalej — aż tu nowa zapora ją zatrzyma w szacie książęcej: kadłub bez głowy — głowy ni dalej, ni w prawo ni w lewo nie widać — ale na ręce odwalonej cięciem pałasza, świeci pierścień, a on dobrze znany jej, bo krzyknęła.

Był to krzyk nagły, głośny, znać po nim, że mowa z tych ust zwykle padać musi jak tony muzyki; ale zarazem w nim odchyla się cała dusza — pełno zniszczonych nadziei, żądza niewstrzymana osiągnienia ich raz jeszcze. Był to krzyk królowej, na ruinach swojego pałacu, wojownika na polu przegranej — ale nie żony nad ciałem męża.

Jak tylko ten głos doszedł boru, wnet rzucił się w pogoń, dotąd stojący przy koniach. — Leciał jak strzała, gdyby strzała mogła podnieść się, raz dotknąwszy ziemi i lecieć znowu — przybiegł i spozierając klasnął rękoma jak dziecię zazdrosne, kiedy widzi drugiego stłuczoną zabawkę — ale razem jak mściwy człowiek, kiedy zemście jego stanie się zadość.

Bo też w młodzianie owym było coś dziecinnego i strasznego zarazem — ani wdzięk dziecinny szkodził w jego rysach wyrazowi odwagi, ani też wyraz odwagi, choć srogi, nie psuł wdzięku młodości — oba mięszały się ciągle lub rozdwajały się, jeden nad drugim brał górę; chwilą później stłumiony wracał i odpędzał tamtego — a oczy jego były żywą tęczą uczuć, zmienną jak opalowe połyski.

— Witajże mi, zawołał, panie tylu carstw i grodów i gródków — to mówiąc wstrząsnął głową, na której leżała misiurka złotem okwieciana — potężny i wielmożny Kniaziu Moskiewski — i igrał z siatką żelazną spuszczoną od misiurki na kark, ramiona i czoło. — Najjaśniejszy i niezwyciężony Jedynowładco Hospodarstw Tatarskich — i przebierał palcami po szarfie zielonej złotem ziarnkowanej — Panie i Dziedzicu wszystkiej Rusi, Dymitrze, Samozwańcze, Żydzie — i tupał żółtemi bucikami z srebrnemi ostrogi — przepadłeś jako należało się tobie, brzydki oszuście, z koroną na czole pryszczami zasianem, na głowie potwornej z podłemi rysami, obmierzła duszo, rozpustniku, szalbierzu opiły winem i miodem, pełny mięsiwa i jadła.

To mówiąc drżał cały od złości, aż łuk przewieszony na plecach zabrzmiał o miedź sajdaku, aż szabla starła się z ogniwami łańcuszka, na którym wisiała — a podczas tych słów głos jego przybierał rozmaite tony, przebiegał od słodkiej nôty dziecinnego śpiewu, aż do grzmiących dźwięków surowego męża. To ostrym się stawał i zbliżał do świtu, aże znowu słabiał i znowu potem rósł w siłę, a przy końcu

tak był okropny, pełny zawziętości i urągania się, że coś w nim podobnego do skowyczeń psa wśród nocy zimowej.

Dzierżyła oczy ku niemu niewiasta, niby z politowaniem, jakie się ma dla dziecka lub szalonego; ale na jej czole wiele się działo tymczasem — to śnieżna skóra wygładzała się, to marszczyła się w krzyże i kółka podług myśli przelatujących w mózgu: znać zatem że nieład i burza w jej duszy.

— Agaj-Hanie, podnieś tę rękę nieszczęśliwą i zdjąwszy książęcy pierścień, oczyść go i oddaj. — Gibko schylił się młodzian i porwał za rękę zbroczoną, ale żeby pierścień wyjąć, musiał dobyć kindżału i pracować w około palców, szron odskrobać, krew skrzepłą rozetrzeć, skóry szmaty oderwać, a kiedy z palca sama kość została, wtedy pierścień wysunął, rękę odrzucił daleko ze wstrętem, złoto i kamień tarł i gładził, dopóki nie zalśniły po dawnemu, i zbliżywszy się do pani, ujął za dłoń i sam chciał wkładać, ale dłoń go odepchnęła, bardziej jeszcze spojrzenie.

— Dobrze Waszmości grać na cymbałach i kotłach gwoli naszej zabawie — ale Waszmość pamiętaj, kto jesteś, a kto ja.

— Kto jesteś? — zawołał Agaj-Han — myślisz, żeś wdową po dwóch Dymitrach, carową moskiewską, hospodarką ziem i księstw i miast? Nie. — Jesteś dla mnie Maryną, piękną nad pięknemi, lwicą, panią pustyń, mej duszy, gładszą od hurys w raju nam obiecanych, urodziwszą nad wszystkie święte greckie i łacińskie, panią moją, wyniosłą i hardą. Takiej mi trzeba.

Ta mowa nie obruszyła wcale Maryny. — Spoglądała w oczy mowcy, ni zmieniła się na licu, jedno wita każde jego słowo uśmiechem, jak pani co dozwala paziowi żartować, czując się na władzy jego ukarania.

Twarz Tatara skrzywiła się, i z miękkiej, świeżej, na chropowatą, nadętą się zmienia. — On poznał bowiem myśl carowej. — Mignęła zawiedziona namiętność w jego oczach, jak błyskawica, kiedy potrójnie się łamie; a ręką szarpiąc futro na kaftanie, wydał krzyk, na który zdawało się, że wprzód pęknąć jego piersiom trzeba.

— Wasza uprzejmość i miłość! Hej! lotny mój koń i brzęk moich ostróg i klingi ostrze i strzemion blask i buń-

czuka powiew i chmura kurzu, w której przelatuję stepy, jako duch i książę ich, lepsze dzisiaj niż ten kadłub mroźny, ten pierścień marny, to imię carskie próżne, to wielkie państwo, co się rozleci jak skóra na ciele po ukąszeniu padalca.

A co mówisz o moich kotłach i cymbale, to żeś nie świadoma tajemnic Samarkandy i Diarbeku? To, że ci djament Salomona nigdy nie bił w źrenicę, choć twoja źrenica jego blasku pełna; to, żeś nie słyszała rozmów pomiędzy świątobliwemi i mądremi. Ale o tem później: teraz znaj mnie, jakim jestem, jakim byłem raczej, kiedyś, nimem do Wołgi się dostał; nimem w Rusi greckiej i zimnej służby zapotrzebował. Allah! Allah! tak wołam zawsze, kiedy zaczynam mą powieść; bo wszzchmocny strzeże królów i królewskich synów. —

Oparła się o sosnę owdowiała pani, przy ognisku palącem się dotąd, pod pokryciami z skór, ostatkami namiotu wiszącemi na gałęziach — na pół słyszy, na pół myśl gdzieindziej lata, gdzieś tam ku Kremlinowi, gdzieś tam na tron carów się wspina po głowach bojarów.

A on zapalony, niewstrzymany, z czołem na którem pobłyskuje tysiąc wspomnień i nadziei, nie już sługa Tatar na dworze Dymitra i Maryny, ale młodzian z krain południowych Azji, marzeń ognistych rozuzdany goniec, pustyń dziecko promieniami słońca karmione, łowczy za tygrysem i lampartem, Parys z szczęśliwej Arabji, kochanek dziewic o czarnem oku i włosie, bohatyr w walkach na wielbłądzie i dżamecie, ciągnął dalej z żywemi poruszeniami, podnosząc głos jakby do śpiewu, ale śpiewowi nie całkiem folgując by wyraźniejszemi były słowa.

— Na różańcu mego ojca tyle rubinów, ile tysiąców go słuchało, tyle djamentów, ile miast pod nim; w haremie tyle dziewic, ile gwiazd na niebie, a jedna tylko królowa, blada jak miesiąc, z oczyma jak szafiry, z rzędem pereł w kielichu ust różanych, matka moja.

Namioty ojca jak fale wielkiego morza, bieleją na stepach, kiedy Azrela wezwie do boku. Stada koni hordami rycerzy obsiadłe, latają gdyby Simumu wiry. Złote ostrza spis tleją przy jego namiocie w nocy, jak zbiór gwiazd na straży, przy świętej jego głowie — a mnie dziecku zmia-

tają kurz z drogi czoła Hanów i Persów, powietrze chłodzą wachlarze dziewic i brzmią u wchodu do życia poetów lutnie, wieszczby proroków, wśród chmur kadzideł w ogrodach z róż, gdzie fontanny biją tęczami, gdzie motyle drogiemi kamieniami, a kwiaty motylów kochanki, piasek złotem połyskują i każde źdźbło trawy nad szmaragd jaśniejsze.

A kiedym wyrósł niemowlęciu nad głowę, klacz mi osiodłali Emiry i strzemię srebrne trzymali, kark podstawiając pod stopę siadającemu — i łuk jednorożcowy mi dali, sajdak z kości słoniowej i strzały z drzewa róży z ognistym u ostrzów kamieniem. — Każda z nich lecąc w górę była wschodzącą, spadając na dół zachodzącą gwiazdą; i wypuszczałem roje gwiazd takowych z nad siodła z jedwabiu, jakby duch jaki, pan błękitnego przestworu.

A kiedym wybujać zaczął wyżej chłopca, sięgając już szyi ojca mego, wtedy mi lotnego dali bieguna, kolczugę księżycami zasianą i oręż Farysowy; a miałem serce po temu, skaczące mi w piersi do bojów, jak mleko w łonie matki do ust dziecięcia. Na polach ananasami okrytych zwarliśmy się nieraz — pośród kwiecia padały trupy. — Oh! ty nie wiesz, co to bitwa nasza: chmury patrząc z nieba zazdroszczą nam i lotów i blasków naszych. Słońce wasze jest upiorem naszego; ono wre w środku błękitów nad Kaszmirem, nad Iranem, nad brzegami Kaspii, w okół Stambułu i jeszcze nad górami Krymu jak źrenica samego Allah, jak koło z topiących się wiecznie djamentów, których krople w promieniach leją się na nas i życia nam dają więcej, niż Giaurom północy. — Drzewa, kwiaty, strumienie, fontanny, kopuły, wieże, pierze ptaków, grzywy lwów i koni, oczy dziewic i mężów zbroje, tyle światła przejmują, iż świat mój wydaje mi się teraz chwałą nadludzką, patrząc na świat wasz, hurysso moja.

A skarby Carów, śmiej się z nich harda pani, to błoto i kurz. — Ich korony naszych krymek nie warte. Ich kamienie nie warte kwiatku polnego na niwach Tekbiru. Z ich szat jaszczurki ruin Daldeku przedrzeźniały by się. Gąsienicę z nad brzegów Hindu okręć w około palca, a żywiej zajaśnieje od ich pierścieni.

O chodź ze mną! pójdziem w kraje słońca, gdzie konie skrzydlate, gdzie powietrze jest morzem światła, każda

chmura łódką kosztowności, powiew każdy aniołem woni, każda noc miesięczna dniem letnim najpiękniejszym, a dzień każdy objawieniem się Boga.

Uśmiech uszczypliwy błąkał się na uściech Maryny, niepewny czy usiądzie na nich, czy odleci, tak jak zwykle w zadumaniu. W tem odezwał się tentent — pędzą na dwóch koniach jeźdzcy — młodzian rzucił ku nim spojrzenie sokoła.

To Urassowa Tatarzy — zamordowali męża twego i wracają po ciebie — czekajno, hurysso moja.

To mówiąc oderwał łuk od pleców, strzałę zarazem z kołczanu i nogę wyciągnął przed się. — Nagle, tak nagle jak cień chmury burzą pędzonej odmieniła się twarz jego. Znikło pachole marzące o kwieciach i słońcu. Dziki stanął, krwi niesyty mąż, dziedzic Gengiskańskiego rodu, w postawie naddziada, kiedy pierwszy rzucał w grunt czaszkę zbroczoną, węgielny kamień wieży z głów pobitych nieprzyjaciół. — Biegną jeźdźcy naprzeciw — z cierpliwością Fakira dopuścił ich na śmiertelną metę: mógł był ich ranić od dawna; ale nie — on zabić chciał.

Oko w piersiach przodem biegnącego utopił a chwilą później i strzałę; odwinął rękę po drugi pocisk i ten przyłożył do cięciwy — bliżej mu jeszcze było do piersi drugiego, przez chwilę bawił się pewnością iż go dosięże — palcami igrał po cięciwie jak śpiewak po stronach harfy przed zaczęciem pieśni — wreszcie naciągnął ją aż stęknęły rogi łuku, a Tatar zajęczał i runął z siodła pomiędzy sanie.

Nawykła znać niewiasta do takowych obrazów; kiedy niebezpieczeństwo przeszło, zawinęła się w płaszcz i znów oparła o sosnę, bo jej potrzeba się namyślić, nim wróci do miasta.

W Agaj-Hanie mord obudził insze wspomnienia, dalej więc mówił, oparłszy się na łuku; ale już nie śpiewnie lały się jego wyrazy, zgrzytaniem zębów każde szarpał słowo.

— Tak, mój ojciec świętą położył głowę w bitwie z Dżarmidem na Kiafelu błoniach. — Darmo przez dziewięć słońc, i dziewięć nocy osaczeni walczyliśmy, tak że aż djamenty pociły się na naszych turbanach. — Sułtan, Padyszach, pan żyznych niw, Han tysiąców, ojciec mój, szablą

zagiętą śmigał po karkach nieprzyjaciół, koń rączy podkowami srebrnemi deptał po trupach, na jego szatę przepyszną krew bryzgała, wszystkie na rękojeści kamienie w rubiny się zamieniły.

Patrzę dotąd na las z buńczuków w górze, na morze z grzyw końskich pod spodem, na spisy i dżyrydy lecące wskróś powietrza jak ogniste węże; na topazy, brylanty, szafiry, sypiące się na ziemię ze zbroi wojowników, na strzały bijące w pióra hełmów i w mózgi hełmami, w złote hafty kolczug i w serca pod niemi. Dżarmida tłumy czarne, posępne, te stada kruków, bez blasków, jakie sieją ozdobne szaty. — My wracali z łowów — on nas, dawny wróg nasz, obskoczył i na brodzie przysięgał, że ojcu z ramion świętą głowę zdejmie.

W obozie z śnieżnych namiotów, w okopach aloesami najeżonych, broniliśmy się w małej liczbie; nasze roty blaskiem swoim raziły hufce Dżarmida, bo każde ostrze spisy, każda buława i bułat każden nasz, nim piorunem spadł na wroga, wprzód błyskawicą świetności oczy mu oślepił.

Darmo — darmo, zarazę nam przyniosły nieczesane Dżarmida tysiące; pot morowy sączył się z ich bród i włosów, jak z pryszczów gadziny. Jęliśmy więc umierać w szańcach pod niebem prześlicznej pogody, dniem i nocą. Matka moja perła wschodu, ptak najśpiewniejszy w gajach Hadyru, pierwsza głowę schyliła na piersi i ucichła. Ojciec w bojach się ścierał i ja przy nim, aż straż jego pomarła i wróciwszy raz do namiotu, trupy oparte o sznury i słupy zastaliśmy, a oręż z sinych wymykał się dłoni.

Eblisa oddech wiał po całym obozie; nie widać, nie słychać Diwa, którego on przysłał na naszą zgubę, bo ten duch złego ciche ma kroki i lekkie palce jak mała dziewica, do kogo rączkę przytuli, ten czuje z razu, niby atłasu dotknięcie lub draśnienie piór rajskiego ptaka, a potem oczy mu wyskoczą na wierzch jak dwa ciemne topazy; krwią rzyga z ust i z nozdrzy, krwią własną się obleje i pada pośród jej fal kipiących. Prorok sam go już nie ocali!

Noc ciemna, hurysso moja! — patrz — noc ciemna — sto razy ciemniejsza od tego zmierzchu: ale nie mroźna, nie pochmurna, gwiazdy w około księżyca brzęczą jak pszczoły przy ulu. Zapach trupów mięsza się z wonią kwia-

tów; bo kwiaty na naszych polach, choć kopyta je stratują i posoka je obczerni, jeszcze nie skąpią kadzideł.

Wrzaski Dżarmidowych grzmią w pobliżu jak skowyczenia szakalów; we mnie i ojcu wre zemsta i chęć ostatniej rozprawy; w żołnierzach, niewolnikach naszych, serce drży z bojaźni, bo już w słabej stoją liczbie nad zwłokami przyjaciół. Ojciec duma wśród trupów pomarłych sułtanek, bo matkę tylko moją uczczono pogrzebem; na insze nie mieliśmy czasu.

Płomień i dym hurysso moja! płomień i dym, a płomień czerwony jak tysiące krwią zaszłych oczów, oderwanych od czaszek skupionych razem; dym tak czarny jak azraelowe skrzydło. Rzeź i jęki. — Śnieg namiotów topi się w ogniu, perzyna lata po niebie, sama nie wie gdzie, jak stado przelękłych wróbli.

Biłem się jeszcze dżyrydem i szablą tej nocy, dopóki na spisie, przy pożarze, nie ujrzałem świętej głowy ojca. Schyliłem czoło i trzy krople krwi z niej spadły na moje włosy, ostatnie jego błogosławieństwo. Przeszli wrogi, nie postrzegli mnie, wszyscy moi zginęli i leżeli bez ducha. Zataczałem się po ich ciałach, może po ciele ojca, po ciele braci, ale nie wiem — szalał mózg pod turbanem w głowie, jakby po gęstych puharach opium. Dwóch jeszcze zabiłem uchodząc z pola, ćwiertowałem ich członki, wyrywałem brody, aż wsiadłem na koń i puściłem się w stepy.

Hordy nasze rozbite przez Dżarmida, już nie znają mnie. Tron mój runął; ale Allah strzeże królewskiego syna.

— Hurysso moja, to szalbierz, żyd, oszust — zawołał straszliwym głosem, wskazując w stronę, kędy leżało ciało Dymitra — we mnie płynie krew przejrzysta, jestem potomkiem mocarzów Kiafelu; a ty piękną perłą, a ty konchą mojej nadziei na wzburzonych falach życia, hurysso moja.

Wdowa po dwóch Dymitrach wtedy odelgnąwszy od drzewa, spojrzała z wysoka na mówiącego. — Idź przodem waszmość i potrzymaj konie: wracamy do Kaługi, a podczas drogi oznajmiemy ci nasze rozkazy względem pogrzebu W. Kniazia.

Uniesienie młodziana skrzepło pod temi zimnemi słowy, a na twarzy rozciągnęła się niemoc, podobna do tej, którą każdy doznał widząc się z marzeń na jawie rzeczywistości.

Lecz przemijającem było to osłabienie, bo jego dusza wieczna zmienniczka, wszystkich namiętności i uczuć nierządnica, na przemiany mdleć umiała i przychodzić do siebie. Teraz znowu w jego oczach igra płomień miłości nad iskrą zemsty, tlejącą pod spodem; i spojrzawszy na Marynę szedł jako rozkazała.

Dumna pani zostawia za sobą zwłoki męża; ale na jej palcu błyszczy pierścień po zabitym. Jego połysk ma być jej pochodem ku tronowi Carów. Piękną jednak była w tej chwili, choć tyle pychy czernieje się na jej czole — piękna świeżością jagód, splotami czarnych włosów kołyszącemi się w cieniu kołpaka, piękna rumieńcem mroźnym, co się wśliznął na lica, wzrokiem, w którym wdzięk niewieści słodzi nieugiętość męża, wreszcie spadkiem ramion i ugięciem kibici, powagą całej postawy i nogą, której krok każden głęboki ślad zostawia w towarzysza duszy.

Ale darmo w niej szukać dziewczyny o powiekach skorych do zniżań, o uśmiechu cukrowym na ustach, o piersiach pełnych westchnień i nieopisanych żądz. Młoda porzuciła matkę, a od tej chwili to siedziała na tronie, to na siodle rumaka. Jej ni motyl, ni pączek róży, ni błędne wieczorne dumania, ni błędne nocne trwogi na myśli, ale państwo i berło, a czasami syn niemowlę, bo jużci jest matką.

Agaj-Han jechał z tyłu — przodem Carowa.

II.

Pośród nocy setne pochodnie biją w zamek Carowej, potrząsają niemi zbrojne ręce. Dziwnie czerwone połyski biegną po hełmach i skrzydłach husarzów; po kolczugach pancernych, po sajdakach Tatarów, czepiają się grzywy końskich i buńczuków kozackich, pieszczą się z bogatemi jelcami u szabel.

Lud ten cały na dziedzińcu krzyczy, to grozi, to woła i wita, myślą, że białogłowę wrzaskiem zastraszą; o żołd wołają, o nagrody, o rzędy na konie, o zbroje na mężów, o skarbów rozdanie. Dobra pora, męża Dymitra zabili,

sama została, niech nam więc sypnie z krużganka kamieńmi z mitry Carów, niechaj samą koronę nam rzuci, my toporem posieczem twarde złoto na sztuki. Hej Pani, Hej Carowo, Hej Dymitrowska żono, Hospodarko nasza, a prędzej przybywaj, ukaż się nam i udaruj nas.

Zgiełk na około bram, zgiełk po dziedzińcu, tłoczą się ku drzwiom, ale tam mąż sam jeden stoi, a jego z tłumu żaden nie zaczepi; bo jemu z tego tłumu żaden nie sprosta.

On czasem potrząsa szyszakiem jak lew grzywą, a szyszak ma lekki, który dzielnemu cięciu się nie oprze; lecz za to u pasa wisi szabla, co każde cięcie odbije i za cios niedoszły razem śmiertelnym odda; bycze barki marszczą się nad kształtnem ciałem, nogi nie prosto się trzymają, jak zwykle u tych, co częściej na koniu biegną i spią, niż chodzą i spią na ziemi; jednak one potrafią i naprzód skoczyć i w tył równie giętko się cofnąć; w otworzystych oczach znać, że i do surowych i namiętnych spojrzeń zdatne, pokrwawą teraz zaszły ich białka, czy to, że krew do nich bije, czy to, że w świetle pochodnie pływają a w źrenicy pali się namiętność do boju i łupów i do wszystkiego, co rzuca człowiekiem po szlakach niebezpieczeństwa, u końca których śmierć go lub panowanie czeka. Lica osypane perzyną spadłą od promieni stepowego słońca, na czole dwie blizny, a nad ustami wąs się jeży, gęsty, czarny, ulubiony od wojownika, zapuszczony w pierwszym jego obozie, głaskany pocałunkami dziewczyn, w dniu bitwy zakręcany z chlubą, postrach wrogów; uśmiechów wesela i uśmiechów wzgardy nieodstępny towarzysz.

Na piersiach bechter i znać, że piersi niezwyczajne takiej zbroi, bo czasem oddech ciężki z nich wyjdzie, one w kaftanie lub koszulce stalowej narażać się lubią, nie dbając o życie, spotkawszy się z niebezpieczeństwem, tak jak kochanek, kiedy zejdzie się z kochanką. U pasa wisi młotek, nim rozbija rycerz pętle na zbrojach obalonych wrogów, by nie psuć klingi swojej po drodze ku ich sercu.

Ciągle milczy i przy drzwiach gwałt całej tłuszczy na surowem spojrzeniu wstrzymuje, a kiedy przystąpią, jednym wykrzyknikiem odrzuca ich od siebie.

Pośród wrzawy głos odezwał się z góry, podobny do przeciągłego gwizdu:

— Najjaśniejsza Carowa ukaże się wam niedługo — czekajcie. —

I młodzian o szarfie zielonej stał oparty na kracie krużganku; nie rzekł i słowa więcej, ale spozierał na żołnierstwo z uśmiechem, czy litości czy goryczy, jakby urągając tłumowi: może też i dawny zwyczaj przypomniał, kiedy wolno mu było z góry patrzeć na mnóstwo i pogardzać niemi.

— W szeregi się zewrzeć, zstępuje carowa — zagrzmiał wojownik od progu, a na ten głos wnet krzyki ucichły wśród szczęku zbroi i stąpań spieszących na miejsca swoje. Hussarze, pancerni, kozacy, tatarzy, w porządku stanęli na podworcu. Już światło pochodni nie łamie się wśród rozerwanych orszaków, ale po rzędach kirysów jednym długim płynie strumieniem od jednej bramy do drugiej, i na ostrzach dzid zapala płomyki, które błyszczą szeregiem jak lampy w galerji.

Jazda porozrzucana na skrzydłach, niewzruszona i konie i jeźdzcy, milcząca piechota, jedno szmer biegnie po rotach podobny do szumu gałęzi śniegiem odwisłych.

Młodzieniec znikł z krużganku i giermkiem przed Carową ukazał się u drzwi. Głębokim był pokłon, którym wódz uczcił schodzącą panią, ale też śmiałem spojrzenie, które na nią rzucił. W niem przebija ufność w własną siłę, obietnica obrony i nadzieja nagrody nie w łupach i żołdzie, nie w łaskach padających z wysoka świetnie jak rosa, chłodno jak szron zimowy; ale w tych względach, któremi piękność osładza trudy walecznego, roskoszy puharem.

Maryna odpowiedziała także spojrzeniem, a więc mąż jął iść za nią, z ręką na szabli, strzegąc jej kroków jak ojciec, rozpływając się w jej widoku jak kochanek.

A Carowa wyglądała tej nocy właśnie jak trzeba na drażnienie męskiego serca; na licu płonie od namiętnego oczekiwania; i na czarnych włosach złota mitra się wznosi, tak kształtnie rzucona, że i jednego pukla nie zasłania i jej blaskom żaden pukiel nie szkodzi; płaszcz odpada od ramion, za każdym krokiem zsuwa się bardziej, już ciągnie się po ziemi; ale za to ramiona błysnęły z pod niego. Szata z nad piersi gwałtownem biciem tych piersi odsunięta, rąbek jeszcze został biały, przejrzysty, słaba opona przeciw rozhuśdanym oczom. I włosy też zwolna spływają

w dół na ramiona, na plecy. Oh! kto na nią patrzy, tej nocy długie zachowa wspomnienie. Statku i urody tyle na tych licach, tyle hartu na czole, że marmurem wydaje się białym, a tyle ponęty, błagań, rozkazów na ustach, że zdają się liściami róży drżącemi w powiewie: raz je wiatr mocny rozrywa, znów cichy głaszcze i spokoi.

A jako na panią licznych ziem i grodów przystało, obziera szeregi rycerstwa, czasem też łza spłynie z powieki, niby męża pamięć, to pamięć Kremlinu; każdego wyniosłość zadziwi, płacz wzruszy; pierścienie, rozwiązawszy się, lunęły deszczem czarnych włosów, który aż do stóp się spuścił; ona je podjąwszy pięć razy dłonią okręci i znów w czarne chmurki zepnie, które wiszą nad czołem; wreszcie zawoła w uniesieniu, odrzucając natrętne sploty od twarzy, przebiegając szeregi, to uśmiechem nęcąc, to wzrokiem z ognia burząc dusze, gdzie niegdzie sypiąc złoto i srebro.

— Nieszczęśliwej pomoc dajcie Waszmoście, kiedy patrzę ja biedna i nieboga na tyle zbroi i oręża, jeszcze wzrasta we mnie serce; bo wiem, że Polak odbieżeć nie umie. Prawą jestem szlachcianką polską, Waszmoście, prawą Carową waszą — i tu oglądała się na hufce Moskwy — ani wy siostry, ani wy pani swojej nie puścicie na śmiech u ludzi, na nędzę u świata. Wielki kniaź Dymitr legł pod żelazem zdrajców; ależ ja i syn mój zostali; on śpi w tych komnatach, niewinne dziecię, nie wie nic o losie ojca, uśmiechało się przed chwilą do matki, a ja mu obiecałam w duchu pomoc i tron należny; nie odstąpię przeznaczeń Boskich, które mi koronę na to czoło dały, by ją to czoło nosiło do grobu; a więc radźcie pomiędzy sobą, radźcie Waszmoście o was samych, bo ja, choćby jeden giermek tylko przy mnie się opowiedział, z tym jednym jeszcze pójdę ku bramom stolicy mojej.

Po tych słowach nagłym zwrotem ręki wyrwała szablę z pochwy Agaj-Hana — i klingę obróciła ku piersiom; zda się przy pochodniach, że wąż ognisty wspina się do tego łona.

— Pomścijcie mnie Waszmoście. Zemsty, zemsty za panią waszą. Tam poćwiertowane ciało leży w borze, tu pani wasza, a na ostrzu tej szabli waży się jej życie; bo hańby i sromu krew moja nie znała nigdy, nie pozna

i dzisiaj. — Ratunku, pomsty ja wołam po was. — I żelazo piersi dotknęło i ręką mocno ściska szablę, a nad tym obrazem śmierci na ustach w górze ulatnje uśmiech niewieści, uśmiech, jakim pierwsza niewiasta nęci Adama.

Agaj-Hana twarz natężona, oczy wlepione w Carową, nie chce utracić i jednego jej słowa i jednego jej ruchu. Rozpływa się w milczącej roskoszy i wzrokiem ssie jej wdzięki, jak pszczoła nachylona nad kielichem kwiatu; może mu się zdaje, iż ten obraz marzeniem, co się stawiło na rozkaz wyobraźni; więc niewzruszony, we wschodnim letargu duma i szaleje. Drugi mąż nie dotrzymał niecierpliwości swojej — porwał za pałasz i mignął dwa razy kręgiem na około hełmu.

— Mołodcy! hej do mnie! Hej do Zaruckiego! Ja przy Carowej, a moi przy mnie.

To mówiąc zbliża się do niej, wskazuje na szyki co przebiegły, a oczy wyskoczyły mu na wierzch od namiętności; drży ramionami, już mu ramiona podnoszą się od piersi, zaokrąglają się pomimo woli, coraz bliżej jej kibici. Uśmiech wdzięczności był mu zapłatą — on przestał na takowej teraz, a później inszej zażąda. Wraca Maryna pośród krzyków do zamku, huczy rycerstwo i wita ją, swoją panią, potem rozbiegnie się po mieście. — Na dziedzińcu ciemność i milczenie, lecz tam po ulicach, lecz owdzie po rynkach wrzaski i kłótnie, smolne ognie i kagańców błyski.

Komnata Dymitra nieboszczyka lśni się bogatym sprzętem. Zasłony u łoża, firanki u okien, obicie po ścianach, błyszczą haftami, w framugach wiszą bechtery i karaceny złotem nabijane, a z hełmów zlewają się pióra, to białe, to czerwone.

Pośrodku stoi Maryna z lampą w dłoni, z błędnym wzrokiem. Z rana dziś jeszcze porwał się z tej ciepłej pościeli kniaź i zatrąbił na łowy; tu przed łowami jeszcze pił do swoich Tatarów, aż rumiany od napoju, zataczając się wyszedł temi drzwiami: już nie wróci! — już nigdy nie wróci.

Zda się jeszcze wdowie, że widzi na srebrnolitej poduszce twarz o srogich i nadętych rysach, oczy pełne chuci bezwstydu, że słyszy, jak to ciało rozmarzone po uczcie,

przewraca się i pokoju znaleźć nie może, jako drze przez sen kosztowne nakrycia i futra, lub pada na podłogę i jak nieżywe się toczy.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Żalu zapewnie żadnego nie czuje; obrzydzenie tylko, a jeśli jaki żal doń się mięsza, to że dwa silne ramiona odpadły od jej sprawy; może też przyszło jej do serca, że on był ojcem jej synaczka.

Waha się niepewna, czy pójdzie dalej. Coś zda się ciągnie ją ku owym drzwiom, na pół rozwartym obok łoża, za któremi schody blade, kręcą się i giną w ciemności. To postąpi, to się cofnie, a kiedy się nie cofa, to się zatrzymuje gdyby wryta — z oczyma wbitemi w te drzwi, w te schody, dysząca, z rzędem zimnych kropli na czole.

Ale jak w męzkiem sercu niedługo bojaźni przewaga, jakąkolwiek ta bojaźń być może. Więc lampę dzierżąc przed się, weszła na schody i poszła niemi. Dziwne to przejście. Splotami. węża wiją się stopnie, czasami w dół wracają, potem w górę się wspinają. — Znać po kształcie muru, że się jest w okrągłej wieży — ale nigdzie strzelnicy — jedno grube ściany wszędzie, a czasami hak żelazny na promieniu lampy występuje z cienia, a schody wciąż środkami idą, ledwo ścian się dotkną gdzie niegdzie, zresztą wiszą nad głębią czarną, z której dołu wychodzą szumy i głuche szelesty, niby to woda pieni się w bąbelkach i te bąble pryskają — niby to wiatr zakrada się pomiędzy ciasnoty i bije się z niemi.

Długo błąkała się Carowa, ale to jej nie odstręcza, równym zawsze stępa krokiem; trwoga z jej twarzy zniknęła, tylko została wola i ta ją dalej, wyżej, coraz wyżej, coraz wyżej popycha. Błysnął zamek żelazny, błysnął łańcuch ze stali u stalowej kłódki, w murze czarnym drzwi się bieliły — a od ich kamiennego progu most rzucony aż do schodów, wisi nad przepaścią, bez poręczy, cienki, drżący od kroków Carowej. Cóż dopiero, kiedy na nim stanie!

Pojrzała raz tylko w dół i na mostek weszła. Ani wprzódy próbowała jego mocy wysuwając nogę jedną, drugą na schodach trzymając; ani schyliła się, by ręką pociągnąć po nim, ale od razu weszła, nie oglądając się z tyłu, ku

drzwiom jedynie dzierżąc oczy, deszczka ugina się pod jej stopami jak fala pod łódką, a jak pod falą jest otchłań, tak i tu dna nie masz!

Śnieżnemi palcami przebiera po łańcuchu, targa ogniwa — rdza została na palcach — nic więcej oderwać nie potrafi; a zatem dobyła z pod szaty długiego sztyletu o błękitnych żyłach o niezłomnym harcie. Kilka razy uderzyła i łańcuch się przerwał — zawisł jak długi na klamce — przypięła lampę do niego i obiema dłoniami bierze się do kłódki; a lampa kołysząc się zwolna, kręgiem światła jej postać oblewa, lecz każdy promień, co się zapuści dalej, czy w dół czy w górę, skonać musi wśród cieniu; ona jest wyspą bladego światła wśród dwóch otchłani ciemności.

I kłódka nie dotrzymała ciosom sztyletu, bo i ostrzem i rękojeścią tłukła w nią Carowa; drzwi otwarte. Dla czegóż nie wejdzie natychmiast? Dla czegóż przynajmniej stopą nie uchwyci się progu — wszakże niebezpieczeństwo do koła, wszak belka coraz gnie się bardziej — już jęczy, bo bliska pęknięcia! nie — ona stoi i patrzy w ciemną komnatę. Bliską celu, znów słabość napadła i nie śmie postąpić, jak ten, co doszedł krat smętarza i od nich wraca się nazad. Potrzeba jej skoku, by się wyrwać z zadumania czy trwogi. Rozczochrana, z pomięszaniem na licu, drżąca, przymrużając oczy, wpadła do komnaty i podniosłszy lampę rzuciła wzrok na okół, spiesznie, błędnie: tym pierwszym wzrokiem nic nie zobaczyła. Dopiero po chwili zmysły odzyskała, a wtedy kiedy spojrzała, wszystko zobaczyła, i ściany ubrane w pajęczyny i strzelnic dwie i sklepienie ostro pnące się w górę, ślady dymu po niem i piec żelazny, szerokie krzesło i stół dębowy z dwiema księgami, krymką hebrajską, z guzami z rzemienia do hebrajskiej modlitwy. Pokój to skryty zabitego kniazia. Znać na kurzu podłogi stóp jego ślady, szata długa zarzucona w kącie, a na roztwartych księgach pismo niechrześciańskie, nie greckie, nie łacińskie.

Lampa wypuszczona runęła na posadzkę — nie zagasła jednak, owszem żywszy blask na wsze strony miecie — a piękna wojewodzianka Sandomierska załamała ręce w gorżkiej rozpaczy. Patrz na nią teraz, a ujrzysz nie dumną królowę, nie hardą panią, ale kobietę we łzach, marzącą

o swojej młodości, o domu ojców, o szlachetnym rodzie, o polskich niwach, o pierwszej miłości, wśród niemych dowodów hańby i poniewierki.

Sprawdziły się poszepty ludzi, Agaj-Hana sprawdziły się słowa. O patrz na nią teraz, patrz, jako urodziwa w swojej boleści, jako te lica stateczne rozmiękłe od płaczu, świeższemi się wydają, wprzódy były świetnym, ale suchym kwiatem, rosa czułości go teraz oblała, płomień oczu mgłą się otoczył i z za tej mgły milej świeci, jak promień słońca z za wiośnianej chmury, tak lekkiej, że się nie godzi nazywać ją chmurą.

Powieki spuszczone, piersi dyszą smutno jak u dziewicy, która dotąd nie zaznała świata i z pierwszą boleścią spotkała się na świecie; ramiona opadły na dół z niemocy, ale nie wiszą jak nieżywe, dotąd w nich jest zaokrąglenie pełne wdzięku; na czole pochmurność, która na łzy stopić się nie może, na czole pozostała duma, ale poniżona, cierpiąca. Tysiąc wspomnień w tej chwili tłoczy się w serce, w serce niebogie Marji, słabej niewiasty, opuszczonej, zdradzonej, przelękłej i wspomnienie pierwszego męża dziarskiego, hojnego, któremu tak pięknie pasowała korona Carów i towarzyszek dzieciństwa i sadów ojcowskich, gdzie owoców i murawy siła — i kaplicy z grobami Mniszchów, gdzie dzwony tak smętne, gdzie modlitwa tak powabna, za dusze przodków i szczęście rodziców. — Aż tu znów wali się przepych Kremlinu, i ślub z błogosławieństwem króla polskiego, i dary bogate, i tłumy bojarów niewolników, i wesele, i pierwsza noc wesela z oblubieńcem młodym, walecznym, panem rozległej krainy; a potem — spiski i mordy. Ah! to nic jeszcze — więzienie i wygnanie — ah! to nic jeszcze — ale drugi ślub — drugi mąż. — Ah! to wspomnienie serce jej rozniosło na ostrzu swojem. I znów spoziera na biblję i talmud, na krymkę i szatę czarną; zadrżały kolana, usuwają się ku ziemi, rękę wyciąga, jak gdyby wzywała pomocy, mdło w piersiach nieszczęśliwej, już pada, w tem ją z tyłu ręka zatrzyma i śmiech szyderczy wróci do życia pychy i gniewu.

— Hurysso moja, a wszak moje słowa nie kłamliwe, jak rosa; w południe szukaj, a nie znajdziesz jej kropel. Ha! niewierny tu przesiadywał, modlił się pies, a ty jego

żoną, ciebie w ramionach trzymał, twoje usta brudził swojemi. Hurysso moja — nie taki, nie taki mąż przystoi tobie! — Łez już nie było na jej twarzy, ni rozrzewnienia w duszy — ale choć obrażona, choć chciałaby karcić młodzieńca, nie może w tej komnacie rozkazywać. Tu służalec, tu giermek jej, przewagę wziął nad nią, bo zastał kobietę, tam gdzie trza było jej, by zastał Carowę. Więc milczy i w powagę się stroi, czuje bowiem jeszcze wilgoć po licach i ostatek słabości w sercu. Chwili jeszcze jej trzeba, nim całkiem weźmie górę nad wzruszeniem.

Agaj-Han podniósł lampę i wprost ją trzymał naprzeciw pani; pałają mu oczy żywiej od lampy, na rysach migają uczucia, jak obrączka światła nad pianą potoku; ukląkł Azjanin i obie ręce w krzyż złożywszy na piersiach zawołał, zaśpiewał raczej:

— Sułtanko moja, tulipanie piękności, żaglo biała na lazurowem jeziorze mej duszy, o rajski ptaku mój! Niech źrenicy twej piorun nie pada na mnie, kroków twoich strzedz chciałem w tej pustej wieży, a zarazem jako goniec przybyłem. Hetman kozacki, Igar Sahajdaczny Zarucki, twoim rozkazom się stawił, czeka w sali zamkowej na ciebie, jako na wschód słońca. —

Tu uśmiech szyderczy utkwił mu na ustach i dodał z przeraźliwym krzykiem.

„Szablę ojcowską uniosłem z pożaru rzezi, a szabla to krzywa, do cięcia i do rąbania, z ostrzem bez miłosierdzia, z klingą bez skazy, piętnaście strzał noszę w kołczanie, a każda ma żądło, którem ssać krew lubi. Dżyryd też w puściźnie mi został, lekki, płytki, z pancerza i piersi pod pancerzem szyderca, a do tego i handżar u mnie zimny jak wąż, ale bez dzwonków i jak wąż ostrzegać nie raczy. Hurysso, czy dosyć na jednego wroga? a teraz powtórzmy: Hetman kozacki, Igar Sahajdaczny Zarucki czeka na swoją panią.“

Maryna nie odpowiedziała i słowa; nie wiedzieć zkąd, ale przyszło do tego, że giermek zmusił ją do milczenia; w jego ruchach, rysach, w głosie, w odwadze pełnej urągania się, w zapale dziecinnym, w marzeniach wschodnich, było coś uroczego, może i ten urok padł na Carowę; nie żeby dopuścić go miała bliżej siebie, jedno znosi jego mowy

i szały, jak gdyby upodobała sobie w jego dziwaczności; kiedy zeszła do zamkowej sali, musiał Agaj-Han ustąpić — wyszedł, Zaruckiego żegnając wzrokiem tygrysa. Tajemną została na zawsze owej nocy rozmowa. Hetman wyszedł o brzasku, a poznał giermek na jego palcu pierścień, jeden z setnych pierścieni Carowej.

III.

Dzień mroźny z słońcem, które we dwójnasób się iskrzy, z śniegiem, co trzeszczy pod zbrojnemi stopy i wewnątrz i zewnątrz zamku. Moskwa zamek oblega, nie uznaje carowej i wrzeszczy o Władysławie polskim, to o Szujskim moskalu, a huczy i burzą wali się na mury. Dwa działa przed bramą strzelają w bramę, w żelazne rygle i zawiasy, lecz mało dba o nie brama, jedno zadrży czasem, a potem znów niewzruszona nad głębokim rowem, tuli do piersi most zwodzony jak olbrzym małego pachołęcia.

Kiedy działa grzmią, strzały w milczeniu przelatują powietrze, kiedy działa umilkną, na nowo świstać zaczynają strzały, a wciąż dwie chmury ich, jedną naprzeciwko drugiej leci, ta z ulic Kaługi, tamta z murów zamku i z obu gęsta śmierć i rany się sypią.

A zamek do koła obwiedzion basztami i wałem, u czterech rogów cztery wieże, z tych najwyższa w głębi podwórca, otoczona galerjami wewnątrz ma schody, z gotyckiemi i wschodniemi ozdoby; na pół twierdzą, na pół minaretem się wydaje, bo na około ścian jak w kościele wydłutowane świętych postacie i krzyże i róże, tu i owdzie znów plamy i półksiężyce, dalej krużganki z filarami do używania chłodu w lecie, a między niemi rozrzucone baszty, zkąd długo bronić się można; a gdzieniegdzie występuje przedsionek, na którym sterczą głazy, beczki smolne przeznaczone głowom oblężeńców; sam zaś wierzchołek haftem ze strzelnic obrąbiony. Lud wieżę tę mongolską nazywa; na krużganku najwyższego piętra siedzi niewiasta, otoczona kilkoma dworzanami. Rysów jej nie znać w odległości, jedno połysk bije od kosztownej szaty.

Na murach, gdzie najsroższa walka, gdzie wre niebezpieczeństwo, tam widać męża, który uśmiechem roskoszy go wita. Stąpa, jakby w biesiadniczej sali — nie raczył pancerzem piersi zasłonić — na kołpaku blacha bardziej świeci jak ozdoba, niż służy za obronę, ale ile razy skoczy lub podbieży, sajdak mu zadzwoni na barkach, z niego czasem wyjmuje strzały i puszcza łukiem, one celu nigdy nie chybią.

Wszyscy pytają się go o rozkazy, on potrzebą zawiaduje jak gdyby festynem, urządza roty, owych posyła dalej, tamtych woła do siebie z twarzą pogodną, z otworzystemi oczyma.

Jak ryba pluskająca w wodzie, w swoim żywiole, w własnej, ukochanej, przeźroczystej wodzie, tak on wśród krwi pląsa, wąsów pokręcając, podnosząc czoło, witając z uniesieniem wystrzał każden, każdy podlot dymu w górę, dowodząc i słowem i przykładem; zachodząc wszędzie drogę śmierci i zmuszając ją do odwrotu, bo tam, gdzie się on ukaże, wnet rozbite nieprzyjaciół hufce, od drabin od baszt, spadają w rów, aż woda kipi od ich spadających ciał.

Tak dnia tego wództwo sprawował Igar Sahajdaczny Zarucki; czasami spogląda też ku wieży, ku pani swojej, pierś nadyma, oczy wyszczerza, zda się na chwilę, iż zapomniał o hukach, co grzmią w około, o walce, której sam jest częścią — ale to trwa przez mgnienie oka, przez jedno bicie serca, potem znowu poruczonej pilnuje obrony — mołodcy ochoczo go słuchają, wielu już ich padło, ale reszta nie zważa na braci poległych: o pogrzebie pomyślą, kiedy walka minie.

Bitwa cały dzień trwała, a ku wieczorowi pomnożona Moskwa górę brać zaczęła; uśmiechał się jeszcze Sahajdaczany, nie już w radości, ale w goryczy męża, który dzielnie się potykał a nic nie zyskał, który długo jeszcze bronić może, ale wie, że w końcu ulegnie. Kołpaki, brody, spisy, buńczuki tańcują pod murami zamku, skaczą do nich, działa rażą ciągłym ogniem — mołodcom głodno, cały dzień nie jedli, nie pili; mołodcom słabo, cały dzień walczyli, a trupów bratnich więcej leży na basztach, niż braci żyjących przechadza się po nich.

W tem wśród bitwy ukazał się młodzian o czarnym

hełmie z pół księżycem na szczycie; podobnym do pół księżyca niebios zachodzącego w smutku nad cyplem skały, o tak lekkiej zbroi, że się gięła za każdem poruszeniem, iż nie ledwo znać na niej muszkuły ramion z pod spodu, o krzywej szabli, która tłucze o zbroję z dźwiękiem srebrnego dzwonu. Bieży po murach, a kiedy trupy gdzie spotka, na palcach po nich przechodzi, jakby się lękał obuwia krwią zmazać, i skacze z zręcznością wiewiórki po tokach, działach, hełmach rozsypanych tu i owdzie. Tyle wdzięku w jego podskokach, że do tańca podobne, bo raz w pędzie ślizga się po baszcie, to znów stąpa jak dziewczyna, a kiedy gdzie ciasne przejście, waży obie ręce i ciało w tę i ową stronę nagina i zdaje się lubo przysłuchiwać się chrzęstowi własnej kolczugi. Doszedł do Zaruckiego, który stał wsród poddanych, i obcierał pałasz z moskiewskiej posoki, by mu wrócić błyskawicę.

— Ej! Igarze Sahajdaczny Zarucki, zawołał, pani moja i twa, Maryna Carowa, każe byś się do ostatniego potykał. Dobrze ona widzi z swojej mongolskiej wieży, iż wam na ludziach zbywa, ale się spodziewa, iż na męstwie nie zbędzie. — Giermku, odparł Zarucki, brwi marszcząc i rękę podnosząc do wąsa, próżny twój trud i próżne twe słowa. Bez nich jużem znał moją powinność i miałem jej dopełnić; wracaj więc dziecię, chłopię, zkądeś przybył, bo twój szyszak, kirys i szabelka na nic nam się nie zdadzą tu; tam na zabawę pani twojej zdać się na coś mogą. —

Nie odpowiedział i słowa Agaj-Han, ale świerem poszły mu oczy; porwał za łuk, naciągnął i strzałę puścił na nieprzyjaciół: warknęła strona, gdyby od palców olbrzyma, a pocisk przebił piersi jednemu z wodzów Moskwy. Pojrzał wtedy młodzian na hetmana wzrokiem zwycięzcy i oddalił się, już nie skokami, ale poważnem stąpaniem. Ktoby był patrzał na Zaruckiego wtedy, uniósłby się ku niemu zapałem; rzadszym otoczony żołnierzem, coraz dzielniej bronił okopów, wszędzie był, gdzie go trzeba było — zagrzewał i łajał — zachęcał i pochlebiał. Choć zwątpił o zwycięstwie, zdawał się pewnym zwycięstwa. Z pogardą spozierał na tłumy garnące się ku zamkowi — ni pomięszania ni wątpliwości nie odkryje żaden w jego rysach. — Ciągle twarz spokojna, zdobna rumieńcem walki, oczy ognia

pełne, ręka skora w prawo i w lewo uderzyć, zastawić się z przodu i z tyłu; to strzałę posyła dalekim wrogom, to szablą wita bliższych siebie, a kiedy gdzie postawi nogę, zda się, że ta noga w kamień muru się wryła, bo stoi niewzruszenie; bo sam jeden przeciw kilku walczy i pozbywa się ich w miarę, jak nachodzą po drabinach; bo karkiem przenosząc i swoich i tamtych i na chwilę czoła nie zniży. Potu nie obciera, niechaj sobie płynie; krwi nie obciera — niechaj sama zasklepi jego rany; a rany nie ciężkie, jedna na piersiach, druga na lewem ramieniu zbroję mu farbują. Boleść z nich drażni jego męstwo, i do każdego ciosu miecza ciężar zemsty przydawa. — Naprożno. Bramy już wybite; po trupach swoich Moskwa rowy przeskoczy i na podworzec się dostanie. Dziki wrzask, szalony gwar, szczęki i łoskot; nieprzyjaciele walą ku podwojom Carowej.

Poznał Sahajdaczny, iż zamku nie obroni. — Rozsypcie się, woła na mołodców swoich, gdzie który może niech ucieka, a jutro o białej zorzy bądźcie mi na koniach przy broni w Gorczakowym lesie. —

Wnet z około męża znikli towarzysze; w mroku czernieją ich ciała, chylone, zawieszające się u strzelnic, czołgając po murach, aż wreszcie przepadną, to za okopem, to za stosem trupów, to za rowem, to wśród nieuważnych wrogów każde w innej stronie.

Zarucki sam jeden pozostał na murze; przez chwilę spozierał na zabitą starszyznę w około, bez żalu, bez litości, wzrokiem jakim się na powszedni chleb patrzy; potem pobiegł przez baszty i zakręty ku wieży, bo tam wołało go coś mocniejszego od powinności żołnierza. —

Krótka, ale trudna była droga. Sam ją odbywał, bo wiedział, iż jedno tym sposobem ujdzie baczności wrogów; walczyć musi co chwila z trupami, rozrywać ich gęstwinę, by łatwiej przejść było, zrzucać je na dziedzińce, na głowy wrogom, którzy tam krzyczą i hasają z pochodniami, szukając wdowy po Samozwańcze; tu i owdzie przeskakiwać przerwy od kul wyłamane, zataczać się po odłamkach pancerzów, hełmów i szabel; lecz im więcej przeszkód, tem srożej wre mu w piersiach chęć dostania się do wieży. Ciągnie do jej szczytu siła niepojęta, która wszystko insze z mózgu ruguje: jeden tylko tam obraz pani urodziwej

zawiesza i kołysze na falach krwi do czoła bijącej.

Doszedł piętra równego z murem, w tej samej chwili, kiedy Moskwa wybijała bramę dolną pod spodem. Ramieniem uchwycił się galerji nad głową, odparł mur stopami, zawisł chwilę w powietrzu, na jednej dłoni dźwigając ciężar i zbroi i ciała, drugi raz podskoczył i stanął na schodach. Biegł potem na górę, tak jak zwykle biegał na koniu po stepie. Biegł, a czasami odwracał głowę, aż tu z okien zamkowych połyski pochodni tańcują na wsze strony, przez szyby znać to oręże, to kołpaki; na dziedzińcu u dołu czarna tłuszcza to pcha się ku wieży, to odstępuje jak potok odparty skałą, a wracający do szturmu na skałę; kagańce gasną, to znów się zapalają, iskry od nich sypią się na ziemię, dym bucha w powietrze, a niebo iskrzy się gwiazdami, a księżyc jak bryła lodu wschodzi nad dalekim borem.

Dopadł ostatniego piętra, kiedy już kroki zbrojnych głucho rozlegały się po wieży, dochodząc od dołu, co chwila podnosząc się w górę. Tam w komnacie strzelnicami za dnia, a teraz jedną lampą oświeconej siedziała Carowa, z berłem w ręku, z koroną na głowie. Dworzanie ją ododbiegli. Dwie służebne panny Polki i jeden tylko Agaj-Han przy niej, w tej stanowczej godzinie.

Z szablą dobytą, z obnażonem czołem, krwią oblany, Sahajdaczny rzucił się przed oblicze pani i wskazał znakiem, iż wszystko stracone, ale zarazem wzrok jego zapalił się ogniem, jak gdyby gońcem był zwycięstwa, bohatyrem wygranej.

— Toż Waszmość nie taki wypadek z bitwy zwykłeś dawniej donosić wielkiemu kniaziowi, ale wdowie wolno jako słabej, nie mściwej białogłowie. Broń mnie Waszmość, dopóki krople krwi masz w żyłach, lub jeśli bronić mnie odpadła cię już ochota, pożycz szabli i bierz naukę, jako polska szlachcianka walczyć za swe prawa umie. — Wypił ten puhar goryczy Zarucki z stałością męża przeświadczonego, że powinności dopełnił; nic więc nie odpowiedział, ale zastawił drzwi ciałem i rękę wyciągnął wśród ciemności nad schodami, czekając pierwszego, co się nawinie ostrzem swojego pałasza. Śmiech szyderczy rozległ się z tyłu, a on uwiercił mu się głębiej w duszę niż słowa Maryny, bo to był śmiech dziecka, śmiech Agaj-Hana. Tymczasem turkoty i hałasy się powiększają od spodu wieży, słychać następnie,

jako schody jęczą pod stopami zbrojnych, jako rygle, zawiasy, podwoje pękają pod młotami, pod toporem; coraz wyżej nad ziemią, coraz bliżej do nich. Szukali Carowej po zamku całym; nie znaleźli — więc idą ku ostatniemu jej schronieniu, a z zewnątrz szum tysiąca głosów przebija mury i przylatuje konać u stóp Maryny; potem kiedy coraz bliższy już nie kona, ale każdą wypadając strzelnicą hasa w komnacie, o sklepienie się przedłuża, odbija.

Była to chwila milczenia, w której u każdego serce drży, dreszcz biega po ciele, niepewność, co trapiła przez dzień cały, zamienia się w konanie, które męczy piersi, oddech przerywa, coraz mocniej, coraz mocniej ściska za gardło, a słabe mózgi wszelkiej myśli pozbawia. Kto w takiej chwili zachowa przytomność i odwagę, kto jeszcze zdoła szablę trzymać jak zazwyczaj bez omdlewań bojaźni w palcach, bez dławień rozpaczy w około rękojeści, kto ni oczu nie przymruży dla uniknienia widoku, ani ich wyrzuci na wierzch jak szalony, by patrzeć bez zmysłów, ten jest mężem okrom wątpliwości. Takowym ukazał się Igar Zarucki. Z nogą naprzód podaną, z wyprostowanem ciałem, z pewnością, że pierwszego i drugiego zabije, z pewnością, że potem sam legnie, a może i z ufnością w zwykłe szczęście, z pałaszem w dłoni, jakby pałasz i dłoń jedną kością były, z lekką paiżą w lewej ręce stał w podwojach, zasłaniając komnatę całą, i zdawało się po jego wzroku wyniosłym, wyzywającym niebezpieczeństwo z cienia, że w sercu żołnierskiem ta chwila jeszcze roskoszą była. Na licach Maryny zaczyna się słabość niewieścia przebijać. Jej towarzyszki klęcząc wzywają Boga wpół otwartemi ustami, z których żaden głos nie wychodzi. Szczęśliwie, jeśli jeszcze jaka myśl dotąd żyje w ich duszy. Agaj-Han dobył szabli i handżaru, potrząsa księżycem na głowie, to spojrzy na panią, to na Igara i wahać się zdaje.

Jakieś straszne myśli krążą mu po mózgu, bo na rysach wystąpiły zewsząd zmarszczki w około ust, od skroni, na jagodach; w pełni padają jego spojrzenia na Carowę, z ukosa na Zaruckiego, z uwagą śledzi połysk sztyletu zatkniętego u łona Maryny, z uwagą pilnuje izali Sahajdaczny nie odwróci głowy, a tu coraz bliżej, coraz bliżej huki i gwary i wrzaski; podobno jeszcze jedne drzwi do

wybicia, a potem tłuszcza wrogów zwali się do komnaty.

Już biją o tych drzwi podwoje, słychać, jak piła wgryza się w belki, jak topór kowadli o rygle; w podwojach znać już dziury wytłukli, bo kagańcowe połyski już biegną po ścianach, jeszcze słabe, jeszcze błądzące, ale coraz pełniejsze.

Śnieg bojaźni zwarzył róże na licach Maryny, ostatkiem wiedziona powstać chciała; nie powstała — na krześle opadła, schyliła czoło, korona runęła posadzkę i tocząc się pobiegła ku drzwiom, minęła Igara, na schody zbiegła i pędem z stopnia na stopień zlatując, brzmi głucho jak kamień co spada ze skały.

Cichaczem zaśmiał się Agaj-Han i raz jeszcze miłośny wzrok rzucił na Carowę piękną w swojej niedoli; potem skoczył, gdyby dzikie zwierzę, z handżarem wyżej głowy, w równi z półksiężycem na hełmie, i ztamtąd go spuścił na kark Zaruckiemu; nie wiedzieć jak poszło żelazo, czy głębią czy płazem, ale Sahajdaczny upadł na ziemię, jęk tylko jeden wydawszy; jeśli ich więcej wydał, utonęły we wrzaskach następującej Moskwy, która po ciele przeszła.

Tymczasem giermek złożył pocałunek na skroniach zemdlałej Maryny i stanąwszy przed nią zawołał: „Macie, czego szukacie — bierzcie i prowadźcie“ — ale w tej chwili dziecinne miał rysy i w oczach dwie łzy dziecinne.

Jemu nic się nie stało — ni go w powrozy spętano, ni tknięto żelazem; ale Marynę bez zmysłów, jakby senną dziewicę porwali i znów potokiem zeszli na schody, niosąc ją w zdobyczy, zlali się na dziedzińce. Czuwał nad nią Agaj-Han, czuwał jako dziecko czuwać może, westchnieniem i płaczem, stąpając za nieprzyjaciołmi.

Kiedy oddaliła się ta burza, kiedy już ni szczęku broni, ni świateł pochodni nie było w pustej komnacie, o jednem tylko, przed wejściem ciele, krwią oblanem zapomniano; ono ciało zaczęło, jakby z letargu się budzić, palcami słabo ruszać, rozmazując krew własną na podłodze, nogi wyciągać, to mocniej oddychać, jakby dla zrzucenia ciężaru z piersi, to się podnosić, aż znów opadłszy, przez chwilę jako martwe leżało.

Walka to była między życiem wracającem a śmiercią nie skorą do ustąpienia, walka długa, bolesna, odbyta pośród ciszy, targająca każdą żyłę rannego — kiedy wreszcie młodość i siły przemogły, oparł się na łokciu i spojrzał

na około; już krew nie płynie, znać że handżar nie dopełnił zlecenia Agaj-Hanowej ręki, a że przywykły do omdlewań z zadanych razów, nawykł i budzić się po nich, powstał natychmiast, z troskliwością ojca o dziecię szukał szabli i podjął z ziemi, potem uszy natężył i dalekim szumom pospólstwa się przysłuchiwał.

Żal jakiś przyćmił mu czoło, ale nie trwał długo, postąpił ku oknu i słabą kratę wyrwawszy spojrzał w dół, na dziedzińcu pod nim i pusto i głucho, na dalszych huczno i płoną pochodnie. Nie namyślał się długo, nie raczył ręki ściągnąć do rany, bo czuł, że nie śmiertelna, ani się też wahał jako zwykle czynią ludzie stojąc nad przepaścią, ale wdarł się na okno, dobrze znajomy wieży zaczął spuszczać się po niej oboma ramionami trzymając się gzymsów, krat, ozdób, filarów, poręczy, nim nogami natrafił na jaką posadę, a wtedy jej chwyta się rękoma; inszej, zawieszony wśród ciemności, szuka w dole stopami. Tę gdy znajdzie, o całe ciało niżej zstępuje, bez trwogi, bez zawrotu głowy, pewny śmierci, jeśli o cal chybi, bo tak wczesnego zgonu nie dozwoli mu Bóg, gdyż stepy go jeszcze potrzebują i koń żartki rży za nim i braci mołodców tysiące czeka na niego i w ramieniu czuje jeszcze sił dosyć na zdobycie państwa, a w sercu miłość ku urodziwej pani.

IV.

Świat słyszał o ludziach, nad któremi zapadł kamień grobowy więzienia — którzy zrazu płakali i jęczeli, później do jarzma przywykli, słońca żałować zapomnieli i zasnęli snem myśli na resztę dni swoich, budząc się czasem, by ugryźć kawał chleba, by wodą popić go mętną i potem znów wpaść w letarg pośród milczenia i ciemności, zaprzyjaźniwszy ucho z brzękiem własnych łańcuchów; tak, że przy nich im zasypiać tak dobrze jak przy szmerze strumieni, jak przy szumie borów, jak przy pieśniach mamki dawniej.

Ale oni już znużeni trudami życia dostali się pod czarne sklepienie: nie raz krew z ran im płynęła, nie raz duszę przygniotły frasunki. Mieli może wstąpić do klasztoru, kiedy ich wróg wtrącił do więzienia. Tam na pościel ze

słomy padli, a ciężar przeszłości gniecie ich w piersi tak, że wstać już się odechciało. Nadzieje i zamiary umarły w ich duszy; a ten oddech chrapliwy, co się nad ustami unosi, jednym śladem jest życia długo trwonionego na polach bitew, w radnych kołach, w samotnych komnatach, gdzie się sami męczyli z swojemi przedsięwzięciami, które stawały wtenczas przed nimi jako duch Cezara przed dumającym Brutusem. Ale dziś oni pragną tylko ciszy i snu, a zatem sen i ciszę mają. Lecz młodej, hożej nad hożemi, cóż wspólnego z kratą u okien, z hakami w ścianach, z kajdanami wiszącemi u drzwi, z nudą i pustynią więzienia? Głowa obnażona z korony; ledwo szubę zostawili, by zakryć się od zimna; już na palcu pierścień carski nie błyszczy, dzięki im jeszcze, że obrączek żelaznych na dłoń nie wkręcili; w pośmiewisko obok na stole berło drewniane położyli. Ni katolickiej książki do modlitwy nie dali ni towarzyszki żadnej nie przypuścili do boku; zamknęli w długiej, ciasnej izbie po złoczyńcach i Tatarach. Rzędem na ścianie znać kółka, do których przykuci doczekali się zgonu, w około znać ślady ich paznogci, ich palców, które w szaleństwie długie lata pracując, wydrążyły dołeczki na jedną kroplę wilgoci, na schowanie dla jednego pająka. U dołu na kamieniach bieleje kilka czaszek, z których każda siedzi sobie wśród grona kości osypanych prochami. Kątem ostrym wiąże się u góry sklepienie; przynajmniej tak się domyślać, bo w połowie ścian poczyna się ciemność, i ta zakrywa resztę lochu. Jedno tylko okno strzelnicą wykute w murze: kraty w nim tak gęste jak druty w przyłbicy rycerza, a promienie słońca, które się odważą przejść za nią, bledną i nie długo pobywszy cofają się nazad.

Wieczorem strażnik wchodzi, lampę zatleje, jadło przynosi — i naszydziwszy się do woli, odstępuje. Zaczynała teraz roziskrzać się lampa, wisząca na łańcuchu; jeszcze nie ustał w niej ruch, kołysała się, ale coraz wolniej, coraz płonąc mocniej, za słaba na oświatę lochu, w pełni jednak świecąca nad twarzą Maryny.

Nie zgasły oczy, nie zwiędło czoło, jedno w oczach i na czole znać boleść, nie tę jednak, co odbiera hart duszy, ale ową, co myśli natężenie podwaja: podobną w umyśle do tej, która w ranach ciała gorączkę odwagi zapala i ramię

krwią zbryzgane zaciętszem na karki nieprzyjaciół czyni. Bo też w Marynie nie patrzeć szlochów i niewieściej słabości; większego domiaru nieszczęść trza na duszę tak hardą, by pękła pod niemi.

Łagodne, dziecinne uczucia, które nie odstępują nigdy białychgów i w dojrzalszym wieku, mało miejsca zajmują w niej. Tkliwość matki jedno czasami się odzywa — o niemowlęciu swojem marzyła długo w samotnej wieży, ale nad obraz jego kolebki obraz tronu Carów się wznosi; opuszczona kolebka u stóp jego się kołysze, ale on tak wysoki, że ledwo już jej dojrzeć można. Jednak nad wszystkie przeszłości i przyszłości obrazy jeden ponętniejszy, umilał jej tęskność więzienia. Młodzieniec to hoży w skromnej sukni, klęczy u stóp jej, w ogrodzie ojcowskim. Wieczór się zbliża, gaje i sady mruczą od powiewu letniego, na okół widok na niziny i zielone wzgórza, ona zapłoniona, bo jeszcze z niej młodziuchne dziewcze — rękę mu puszcza między ręce, nachyla się ku niemu, sama nie wiedząc dla czego, łzy rozczulenia kapią z jej ócz na włosy młodziana. Pacholę to nieznane nikomu, na dworze pana Sandomierskiego się chowa, mało mówi, zda się marzyć o tajemnicach, zda się często ku przyszłości ciskać ogniste spojrzenia, jakby ta przyszłość miała być inakszą jemu, niż ludziom, z którymi przestaje; z męstwa słynie na łowach, z dowcipu i uprzejmości doma. Córę wojewody ukochało i tak czarownie pierwsze słowa miłości do niej wyrzekło, że ona od matki i pań ucieka, w głąb sadów, pośród zarośli idzie przewodnikiem, i nad klęczącym nachyla się w czułości i nabożeństwie. A on kiedy uczuł bliskie jej tchnienie, zarzucił ramiona na szyję i usta wlepiając w usta, przycisnął do piersi. Zawstydzona, oburzona, chce się wyrwać i przeklinać jego, ale on jej krzyki uciszył, łzy wstydu zatrzymał jednem słowem, od nikogo wprzódy nie słyszanem: „Ja carować będę.“

Te pierwsze chwile miłości, wracając do jej pamięci, wonią niw polskich ją teraz owiały; i jagody rozmiękły od żalu za pierwszym Dymitrem. Tysiąc zamiarów, nadziei, zwątpień krąży po umyśle: liczy bitwy, których konieczność nim do Moskwy się dostanie; ani raczyła wspomnieć swoich i swojego rycerstwa. Nie na to mocarze bliżsi Boga,

Boga, by pamiętali o niższych ludziach; a im dalej było jej kiedyś do tronu, tem szerzej jego przywilejów chce użyć i władzy. „Nie daleko i Rożyński książę i Sapieha Uświacki z pancernemi roty, oni zbiegną jej na pomoc, Bojarów powalą na ziemię, by padali na twarz przed prawą Carową; nie wątpić, że i Sahajdaczny już gromadzi swoich na około miasta. Ale gdzież on zniknął tej nocy, w której słabość niewiasty przemogła nad statkiem królowej. Czyż by jego słowo i jego spojrzenia zarówno kłamały? Dostojny to mąż urodziwej postawy, wąs dziarsko opędził mu usta, w godzinie niebezpieczeństwa widziałam go nie raz, i pamiętam rysy jego kraśne odwagą; żaden z polskich rycerzy ni z moskiewskich bojarów nie zrówna jemu w dzielności. Głębokie on nosi piersi pod zbroją, a w nich dosyć miejsca na państwo całe; ubiór jego strojny zawżdy i rycerski, połysk jego pętki lata mi teraz przed oczyma — i rękojeść wytworna u bułatu — i na bechterze rysunki ze stali, gdyby hafty panieńskie z jedwabiu.“

Tu znów myśli innym udały się szlakiem, posępniejszym, bardziej męczącym, o rusztowaniu — o truciznie — sztylecie, zaczęły jak mary chodzić po jej duszy — aż dopóki późna godzina nie uśpiła oczów. Duszy całkiem uśpić nie mogła. Patrz na leżącą na twardem łożu, prętami żelaznemi podbitem. Licha pościel i brudne wezgłowie, obok piec żelazny, w którym dogorywają rude popioły. Twarz jej tylko i pierś oświecona, reszta kibici zanurzona w cieniu, jako i całe więzienie, oprócz kilku kroków przed lampą i kilku kroków za lampą.

Do takiejże to łożnicy przyszła córka Mniszcha z wielkich Kończyn wojewody Sandomierskiego, Lwowskiego, Samborskiego, Medenickiego Starosty — Carowa moskiewska!

Od wielu dni nietrefione włosy spływają aż na posadzkę, to w tył odrzucone snują się na poduszce w cichej swawoli, to u skroni zawisły, to zbiegły do szyi, to dalej jeszcze czarne zagony zapuściły aż na piersi, a teraz leżą niewzruszone, tak jak każden splot i pukiel ułożył się w chwili, kiedy zasnęła. Z pośród owych ciemnych ram lica jej wypukłe przebijają, bardziej jeszcze blademi się wydając; na ustach krąży ciągle niby pół westchnienia, niby oddech żałosny, ale tak słaby, tak nieznaczny, iż chyba

go kochanek zrozumie. Powieki rąbkiem długich rzęs zasunęły się nad oczyma, jedno zadrgną czasem; na licu znać, iż coś z nim walczy w głębi ducha. Tak śpi oblubienica przed zamęściem, matka przy kolebce słabego dziecięcia. Tak spała Kalpurnja dniem przed śmiercią Cezara.

Późno już w noc zdało się jej, iż wpadła w sen o dźwiękach harfy czy gitary czy strun jakichkolwiek o śpiewie znanego głosu. Zkądże z pośród tylu ponurych marzeń przyszło jej niespodzianie marzyć o muzyce i pieśniach? A one tony nie brzmią posępnie, nie zwiastują ni pogrzebu ni bitwy, owszem melodyjnie płyną w około, a co dziwniejszego, ona każdy z nich gdyby na jawie rozeznać potrafi.

I coraz pełniej jej uszy nabrzmiewają owemi dźwięki — oczu dotąd nie otworzyła, ale myśli jaśniej krążą już po mózgu, choć im jeszcze brakuje związku, choć to jeszcze gwiazdy błyszczące mgnieniem oka, a gasnące bez powrotu.

Leżałaby długo w tem zawieszeniu między snem a życiem, zdjęta roskoszą cichego zachwycenia, gdyby dźwięki wciąż równie słodkie, równie harmonijne były; lecz wzniósł się z pośród nich ton jeden głośniejszy, ostrzejszy, w niezgodzie z towarzyszami, podobny do krzyku, który konając na jęk się przemienia.

Wzdrygnęła się, podniosła się nagle, a teraz dopiero wydało się jej, że snem zdjęta, i na to, co zobaczyła, jak na sen patrzy.

Blaskiem złotym i błękitnawym goreje komnata, pierwszy raz jej sklepienie całkiem otrząsnęło się z cienia. Wśród tego dżdżu jasności stoi młodzian z hełmem i lampą na hełmie, z której buchający płomień starczy na całą przestrzeń więzienia, w dłoniach trzyma naczynie rażącego poloru, z strunami i kulkami, laseczką po nich przegrywa, czasem o boki naczynia uderzy, a wtedy słychać, jakby rozdzierające stęknienie; ubiór dziwaczny, składnie leży mu na ciele; kaftan to wschodni, zielony, posypany srebrnem ziarnem, pas z tyftyku i szarfa takoważ, kindżał sadzony kamieńmi, a nad tem wszystkiem suknia szeroka, przejrzysta, niby muślin, niby mgła, tak jasna jak wyziewy przy słońcu, w rozmaitych fałdach osuwająca się na dół, pełznąca w górę, kształtnie wisząca u ramion, rozsuwająca się piersiami, jedno że i greckiej togi i kastylskiego pła-

szcza i tureckiej delji, wszystkie łączy powagi i wdzięki. Przysłuchuje się, przypatruje się Maryna; owóż on tak jej przyśpiewywał.

„Gdzie niewolniki moje? już nie stąpam po posadzce z ich karków. Gdzie hufce, którym kiedyś mówiłem: zaćmijcie słońce, bo ono mnie pali; a wnet z tysiąca kołczanów podnosiła się chmura i lecąc jak szarańcza, przesłaniała słońce. Walają się ich kości na Kiafelu błoniach.“

„Daleko mi do mojej krainy, matki kwiatów i kadzidlanych drzew; daleko do nadbrzeżów osutych konchami, zarosłych koralem; do piaszczystego morza, na którem żaglem moim bywał namiot biały, tratwą grzbiet wielbłąda, a łódką siodło rumaka; do miast, gdzie minaretów wieże równe w liczbie sosnom waszych borów, błyszczą wiecznie jako wasze sosny wtenczas, kiedy je zachód oblewa; do nieba o krzyżujących meteorach nad głowami ludzi jak u was krzyżują się chmury; o burzach, którym przywodzą Geniusze na Simumu wirach, potopem błyskawic zalewając powietrze, piramidami ze żwiru najeżając pustynię.“

„Już mi nawet język rodzinny, język mój cudowny, w którym Allah upodobał sobie, omdlewa w pamięci. Gruba niewiernych mowa osaczyła me uszy do koła sieciami. Zapomniałem wzdychać serdecznie do proroka, w jednym słowie zamykać zapał duszy. Krótsze u was oddechy, ani starczą wam płuca na uczczenie Boga: nie umiecie się wyrwać ku niemu. My to, my to, zdołamy marzyć o nim i o raju, długo, świętem natchnieniem przejęci; a wtedy nie miałkie, nie krótkie słowa z ust nam wychodzą, ale przedłużone, pełne pożądliwości ku tym drzewom nieśmiertelnym i niewyczerpanym fontannom, obiecanym po zgonie. — Matka mi umarła, czasu na łzy nie było, ojciec poległ, nie płakałem, lecz przysiągłem zemstę; z Szacha spadłem na giermka— nie żaliłem się dotąd nikomu — ale teraz, kiedy zapominam mojej mowy, płaczę, płaczę hurysso moja. Czuję co dzień więcej słów zagubionych na zawsze. Ich wspomnienie trapi, jak mara kochanki dalekiej, której nie ujrzę już nigdy, której twarz mgłą mi zachodzi, a którą kocham jeszcze.“

„Wieczorem kiedy zasypiam, krążą jeszcze po moim mózgu, rankiem kiedy się budzę, już odbiegły od pamięci mojej. Walczę jak mogę, nie chcąc myśleć po cudzemu, a

wasza mowa wdziera się do mojej głowy, wypycha ostatki dawnej, podchwytuje każdą myśl i ubiera w swoje barwy, śmiejąc się z moich żalów i oporu. Jedne po drugich mrą drogie pamiątki; jakaś tam przepaść jest, co czycha pod moim mózgiem; w nią wyraz po wyrazie zlatuje, strącony od waszych twardych, nieużytych, zawziętych. To męka — to rospacz — płaczę hurysso moja!“

I tu uderzył o naczynie. — Maryna nie zdołała wstrzymać się od krzyku.

„Zniosę to jednak dla ciebie — bąć mi łaskawą, a niechaj przepadnie język moich ojców we mnie. Bąć mi łaskawą, a stanę się polskim rycerzem lub moskiewskim bojarem do woli twojej. Kochaj Agaj-Hana, rzuć mu półksiężyc pod stopy, a on depcąc przejdzie po nim; kochaj Agaj-Hana, a on ci drzwi lochu postawi otworem.“

Po tych słowach nagle zagasła lampa szyszaku — ciemność większą część więzienia zagarnie: raz jeszcze zabrzmiały struny, ale przypadkiem, nie naumyślnie; potem nic już się nie odezwie; ni stąpań ni oddechu nie słychać, jedno kroki po schodach wieży, gdzieś daleko ślizgają, a podwoje nie skrzypnęły, ni rygle zabrzękły.

Maryna wątpi o sobie, wreszcie poznała, że na jawie — o czarach coś jej na myśl przyszło i piersi ścierpły od przemijającego dreszczu.

Tak co noc bywa, kiedy zaśnie, budzi ją pieśń Agaj-Hana, wtedy więzienie pełne światła i dźwięków, on do niej przemawia jak kochanek — ona mu jako pani odpowiada — potem gaśnie światło, mdleją dźwięki. — Strażnicy znać śpią głęboko, kiedy on między nimi tak cało przejść potrafi.

A rozmaite jego śpiewy bywają—to o zemście napomyka:

— Nie spodziewaj się, by ten, który dumny był z sajdaku na plecach, uwolnił ciebie, pierwej nim tu dostąpi, z grobu wstać mu trzeba. Tyś zapadła w sen podobny Azraelowemu, ale mój kindżał wtedy się obudził i cały w uśmiechach radości z pochwy zabłysnął; poznałem, iż cierpi pragnienie, iż krwi mu trzeba, bo tak nasze handżary jak nasze wielbłądy długo wytrzymałe, ale kiedy miara cierpliwości przebrana i wielbłąd i handżar domaga się napoju. Jeśli go nie dasz, pierwszy zdechnie w szaleństwie, drugi zardzewieje i na zawsze się przytępi! Nie

chciałem ja tego, więcem go napoił w strudze czerwonej, która wytrysnęła ze zbroi wroga jak źródło niegdyś za uderzeniem — nikt już nie stanie między mną a huryssą moją! —

Marynie się wierzyć nie chce, by tak dziarski mąż zginął od ręki pacholęcia.

„A czemuś nie patrzała. Czyż moja wina, że w tej chwili perła rozumu roztopiła się w tobie, że gwiazdy twoich ócz zagasły? Ha! ciepła krew była w nim — iż mi ścierpłe ożywiła dłonie.“

To czasem znów o dziwacznych baje powieściach: „Patrz, jakim potężny i wielki, przedemną schylają głowę strażnicy i nie podnoszą jej, aż ranek zabrzasknie. Letarg jest moim niewolnikiem, i gdzie go posyłam, tam idzie, żelazne rygle usuwają się pod mojemi palcami jak pierścienie włosiannego naramiennika, więzienie anielskiemi wystroiłem ci blaski. Ja sam jak duch z piątego nieba zstąpiłem do ciebie. Tajemnice ojców dochowały się w moich piersiach. Żyjący niechaj mnie się lękają, bo i nad umarłemi rozciąga się moja władza. Z złotemi gwiazdami i z czarnemi chmurami mam przyjaźń i spółkowanie.“ A kiedy spostrzega niepewność lub drżenie na twarzy Carowej, sądzi, iż chwila nadeszła w serce jej ostatni raz uderzyć.

„Hurysso moja, kiedy senną cię zastaję, lubię wbijać się wzrokiem w twoje lica. I długo stoję przy tobie, dopóki cię struny moje nie obudzą. Lecz mi żywszej trza roskoszy, to początkiem pieśni dopiero. Czyż jej końca nie doczekam się nigdy? Rzeknij ono jedno słowo: k o c h a m, a wnet ztąd wyprowadzę cię. Zawiodę na rozległe pola Kiafelu, tam już cynamon wonieje nad mogiłami, tam już migdały zielenią się znowu i kwiaty wyrosły z popiołu, tak, że motyl siada na nich i nie domyśli się wśród gęstwiny tego, co leży pod spodem.“

Na to Carowa, gdy milczy z pogardą, on gaśnie w ciemności i oddala się po cichu.

V.

Ciemno po tych kurytarzach, ciemno po tych lochach, któremi młode pacholę wiedzie niewiastę o poważnem licu;

światło kagańca wrzącego w jego dłoni skacze do murów, zlatuje w dół i rozbija się; czasem też poigra z pajęczyną, lub wystąpi jak czerwona kresa między ciemnemi pasmami, a ciągle cień dwóch osób przesuwa się po ścianach, gnie się w dwoje na zakrętach, płaszczy się dalej, i zawsze postępuje czarny, olbrzymi, zawsze ten sam, bo ręce niewiasty pod płaszczem zakryte, bo ramiona pachołęcia równo się trzymają.

Jego twarz pochylona, jakby czuł, że uległ po walce, że zgnębiony na zawsze. Jej oczy płoną, duma we dwójnasób jeży się na czole: nikt by i na chwilę nie zwątpił, że ona królową.

— Agaj-Hanie! azaż oddałeś list Uświackiemu Staroście? — Oddałem — głos odpowiedział zwątlony, jak zwykle bywają głosy po silnem wzruszeniu.

— Agaj-Hanie, iżaliż pewno czekają mnie u drzwi? — Czekają. — To słowo jedno tylko, ale wymówione, jakby konającemi piersiami.

— Dobrze, wiedź nas Waszmość dalej, a kiedy sprawisz się wiernie i dobrze, na naszej łasce polegaj. —

Odwrócił się giermek i pojrzał na Carowę wymawiając jej wzrokiem, że tak szydzi z niego. — Czyż nie dosyć, żeś podbiła mnie na służalca, żeś mnie dzieckiem swej woli uczyniła? O nie mów o łasce. —

Pół uśmiechu zawisło jej nad ustami — i znakiem ręki, by szedł dalej oznajmiła.

Jak może najciszej ślizga po bruku, ażeby zbroja nie zachrzęściła, sztylet lub pałasz nie zadzwonił o zbroję — bo z zewnątrz dochodzą często głosy zaspanych strażników i hasło, które sobie odrzucają nawzajem; niekiedy w przelocie wstąpi po za mury i cichaczem zaszepta w uszy Marynie — wtedy lekkie znać wzruszenie na jej twarzy, a na Agaj-Hanie inny to wywiera wpływ, podnosi trochę czoła, bo czuje, że w tej chwili jest jedynym jej obrońcą, i rozumie przeto, że ma wyższość nad nią.

Ale ona nie daje mu się ukrzepiać w zarozumiałości: jednem słowem, jednem skinieniem umie dumę jego na proch zetrzeć. Znać, iż tyle przewagi nabrała, iż on już nie zdoła przemawiać po dawnemu. — Drżą mu ramiona i piersi jak członki zdeptanej gadziny, w której jeszcze pozostało dość życia na czołganie się wieczne, nie dość mocy na jeden

podrzut, na jedno ukąszenie. —

I wiódł ją z wiernością domowego zwierza przez rozmaite galerje i schody jemu tylko znajome. To nierozwiązaną tajemnicą, jakim sposobem zapoznał się z niemi, jakim trafem dostawał się do więzienia Maryny. Wtenczas, kiedy w mglistej szacie śpiewał o Kiafelu błoniach, coś wyższego przebijało w nim, niby godność strąconego książęcia, niby władza potężnego czarownika. Na chwilę w całej okazałości swoich marzeń łudził się nadzieją zwycięstwa; ale dziś wrócił do ubioru, do obyczaju giermka. Znać, że jego duszy zabrakło sił na zwalczenie tej, którą kochał, że z uniesieniem miłości rzucił się do przedsięwzięcia, w którem spotkał się z nieużytą dumą. Ta go pokonała, a kiedy uczuł się pod wpływem wyższej siły, zamilkł w głębokim podziwie i posłuszeństwie: odtąd musiał dopełniać zlecenia pani, a dziś bez nadziei, bez pociechy, jedno wiedziony urokiem, któremu oprzeć się nie może, wyprowadza ją z niewoli; poniżony, osłabły, czasem jeszcze pozierający na nią, nie już jako rycerz lub kochanek, ale jako dziecię na pół przerażone, na pół zachwycone widokiem meteoru przelatującego o północy po nad domem ojca.

Wzbudziłby litość każdego — bo namiętność wyssała mu z twarzy barwę świeżości — bo w oczach źreniee podobne do tych iskier, co ścigają jedne za drugiemi w szarych popiołach, kiedy już węgle zczerniały pod niemi; kroki niepewne jak u pijanego, który nie tyle zaślepiony, by upadł i zasnął, ale tak słaby, że stacznie nogi postawić nie potrafi. Młodość i siła pożegnały jego ciało, został z mdłościami starca w piersiach, z wyrazem przerażenia na licu; stracił pychę, która żar pamiątek rozdmuchowała w nim, postaw mu teraz przed oczyma zwierciadło: Synu sułtański, dziedzicu równin Kiafelu, podnieś oczy, a on czoła nie podźwignie, i weń spojrzeć się nie ośmieli.

Stąpa ciągle przed Carową, iskry kagańca sypią mu się na rękę, on ich otrząsnąć nie raczy. Zaduch wilgoci i zgnilizny w około, tu i owdzie odrywają się od ścian wyziewy i ciągną nad głowami przechodzących jak fałdy całunu. One są zwiastunkami wiosny w tych lochach.

Giermek zstąpił w dół, a za nim pani, potem szli oboje płaszczyzną, a słychać w górze, jako dyszy woda w rowach,

jako czasami zakipi rozgrzana od pleśni i w tysiąc bąbelków się rozpryśnie. Teraz znów wstępują schodami. Dostali się do sieni z nieforemnych głazów. Tu już woń świeżego powietrza zalatuje, a brama dębowa okuta w rygle i trzema opatrzona zamkami.

Agaj-Han dopalającą się pochodnię utkwił w ziemię, a sam ukląkł przed Carową i załamując dłonie nic nie mówił, lecz żebrał milczeniem o litości trochę, o jedno słowo pociechy, by mu nie tak okropnem było oddać ją w ręce mołodców, dopełnić tak ogromnej z siebie ofiary, bo jeszcze teraz on z nią sam na sam. Za tą bramą ona poddanych spotka i już z wysoka nad nim panować będzie.

Ale Maryna stojąc na progu zbawienia, niczem odwlec go nie chciała.

— Gdzie klucz Waszmość podziałeś? Rozkazujemy Waszmości jak najrychlej się sprawiać, uwalniając jak na teraz od tych dowodów uszanowania. —

Znalazł się na takowe słowa głos w piersiach młodzieńca; na kolanach czołgając się ku niej, zawołał: — Miłościwa pani, hospodarko moja, nie tłocz mnie tak niewdzięcznie ku ziemi; wspomnij na moje usługi. Dla ciebie strzałą przeleciałem od Kaługi aż pod wieże Moskwy. Dla ciebie ja książę, uginałem karku przed Różyńskim i Sapiehą: oni tobie nie chcieli pomódz. Ja cię z więzienia wyprowadzam teraz.

— Nużysz mi umysł Waszmość takowemi mowy; uzyskasz nagrodę, tylko otwórz prędzej. —

Błyskawica nie ma skrzydeł dość żartkich na wyścignienie połysku, który zatlał oczy giermka i zagasł w jednejże chwili. To słowo nagroda całą duszę mu wzburzyło — ale po twarzy Maryny poznał, iż nie o tej, której żądał, napomina, więc wschodnim obyczajem, gwoli większemu uszanowaniu, ramiona założył na piersiach i schylił niżej głowę.

— Lata mi w pamięci, miłościwa Sułtanko, iż raz widziałem cię u biesiady, wśród bojarów, przy początku jesieni, wtedy, kiedy słońce wasze jest prawnukiem naszego, kiedy owady zasypiają naprzód udaną, potem prawdziwą śmiercią. Tego dnia z złotego stropu spadł na śnieg obrusu motyl przed puharem twoim, o Sułtanko moja. Raczyłaś go podjąć, on miał zwinięte skrzydła i skrzepłe ciało pozbawione blasku. Tyś miłując się nad nim do ust go przytuliła, od-

dechem obwiała, głosem nęciła, by ożył — powstań, powstań o motylu mój. — Jemu się zdało, że piękne dni lata już z powrotem, że gdzieś dostał się do róży i do słowika; więc się obudził i trzepocząc skrzydełkami podlatywał na około, a tyś rzucała za nim djamentami spojrzeń. Zważ sama, owadowi miłosierna, nad człowiekiem mieć nie chcesz litości: nie proszę o więcej jak o względy świadczone onej drobnej muszce. —

— Waszmości w pamięci motyl, a z pamięci wypadło, żeśmy otoczeni wrogami, i że Igar Zarucki czeka na mnie za temi bramy, jakeś mi sam o tem przyniósł wiadomość w ostatnim liście. —

Nagła zmiana nastąpiła w postawie Agaj-Hana, sama wydała się Carowa, i on uwierzył natychmiast; w szczęście trudniejsza wiara, ale w nieszczęście któż z synów ziemi zaraz nie uwierzy? — A zatem Sahajdaczny unikł śmierci. — Ha! pamiętam: raz tylko uderzyłem, za słabo, oszukali mnie, sam byłem posłem od niej do niego; chociażem jego nigdy nie widział: ale assawułów, mołodców, towarzyszów jego; nie wspomniałem nigdy o nim, i oni też nie wspomnieli i razu, ale on kierował wszystkiem! —

Złość dziecka i zemsta szalona wschodniej gorącej duszy odbiła się na licach Agaj-Hana. Parsknął pianą z ust i kilka kilka kropel krwi z nozdrzy mu bryzgnęło, porwał się z ziemi, ale nie mógł się prosto trzymać, to zgarbiony, to truchlejący, to o ścianę oparty, to nogę wysunie i założy na drugą; to znów ma przyklęknąć, to znów podrzutem odskoczy od bruku.

— Miałem cię w więzieniu, niewdzięczna, a szanowałem cię jakby matkę moją; nie mógłżem zbliżyć się i ręką ślizgać po twej sennej piersi, rozpiąć cichaczem zawoje szat twoich, a nasyciwszy wzrok, z zawrotem głowy rzucić się na ciebie. Budząc się poczułabyś pierścienie potężnego węża okręcone w około kibici. Wgryzłbym się gwałtem w twe usta: oddechem przepaliłbym ci gardło, pocałunkami podziurawił lica, włosów twych gęstwinę zarzucił na siebie. Ha! co chwila cisnę cię mocniej. Zwyciężam. Tyś moja, Tyś moja. Każda żyła twa bije w zgodzie z każdą żyłą moją, palce, co twarz mi kaleczyły, teraz już w obłąkaniu igrają z mojemi włosy. Ha! nie masz raju w niebie

takiemu na ziemi!

A teraz gdzie wdzięczność, gdzie nagroda? — Sahajdaczny tam — perłę miałem ze skarbu Allaha i nieuważny puściłem ją w morze; przeklęty! O już nigdy, nigdy, nigdy, noc taka nie wróci!

I. w jego oczach paliła się roskosz wspomnień i chuć niewstrzymana; potem nastąpiło osłabienie — zamilkł i patrzy w około, jak ten, co pamięć, rozum, nadzieję postradał i wyszedł na zwierzę.

— Nie — ty marzysz. — Hej! do więzienia nazad. —

I schylił się po kaganiec, chciał go podnieść — on już dopalający się rozlał się strumieniem smoły po jego dłoni i gęstemi obsypał ją iskry.

Krzyknął z bólu nieszczęśliwy i padł na kolana i znów wyciągnął rękę czarną, spaloną, może sądził, iż łatwiej litości dostąpi. Węgle żarzą się na ziemi, przy nich znać jeszcze Marynę stojącą wśród cienia; jak duch więzień, srogi, nieubłagany, wskazała ku bramie w pełni majestatu swego. Do tego rozkazu pół uśmiechu dodała, jakby z miłosierdzia nad Agaj-Hanem. On poszedł zwolna ku drzwiom i klucz trzymając w lewej dłoni, prawą chowając pod kaftan, czekał na panią, od której uzyskał co żądał, bo w tej chwili nie miał sił już na żądanie więcej.

Carowa spiesznie, przy ostatnich iskrach pochodni, sama bramę otworzyła.

Księżyc za wiosennym obłokiem, lecz gotuje się do wejrzenia. Sosnowe krzaki tu i owdzie, z tyłu podnosi się opuszczoua wieża i długi mur i rów głęboki z przepaskami to grubszego to cieńszego cienia. Dalej pali się Kaługa w nocy, rzadkiemi światłami; z przodu równina; a wszystko, co na równinie, to śpi w zmierzchu i tego rozeznać nie sposób; jużci tam drzewo podobno; jużci z boku to smugi śniegiem jeszcze przyprószone, owdzie zda się, że bór czernieje, owdzie marzy się przed oczyma dzwonnica klasztoru. Za pierwszem spojrzeniem taka postać okolicy; wlep oczy, a nic nie rozeznasz, zwątpisz o każdym szczególe; to nie drzewa, to nie klasztór; nie — to nie bór tam się rozciąga. Takie samo wrażenie sprawia na duszy sen, którego w połowie się zapomniało, a w drugiej połowie nie jasno się pamięta.

Agaj-Han ręką zdrową dobył kindżału — i oddalił się w bok, gdzieś przepadł w rowie.

Z krzaków powstali mężе, z najbliższego wyskoczył rycerz w zbroi i ledwo krok postąpił naprzód, już schylił głowę przed Maryną; aliści nie takiem przywitaniem tylko znać że pragnąłby ją pozdrowić; nie wiedzieć, co go wstrzymało, może towarzysze, którzy rzędem za nim stanęli.

Rozmawiał po cichu z nią; w poruszeniach jego przebija radość namiętna; ona, nie spuściła nic z głosu, ni z obyczaju pani; po chwili przywiedli mołodcy dwa konie; poddał jej ramię mąż, ona strzemię chwyta.

W tej chwili krzyk przeraźliwy, nieludzki, podobny mięszaninie z wilczych skowyczeń i nocnego ptasiego pisku, przeleciał powietrze; wnet po nim zawarczał kindżał i utkwił w pancerz męża, pełnią księżyca oblany. Znać, iż długą drogą znużony, głęboko wwiercić się nie zdołał. Sahajdaczny go bowiem strącił na ziemię ze zbroi, jakby pająka lub pszczołę, w milczeniu, z uśmiechem pogardy.

Nie odstępując zdumionej Carowej, gwizdnął na mołodców — oni się rozbiegli, ale nim doskoczą rowu, już bieży po smugach człowiek, który w cieniu murów się oddalił, i dopiero wyszedł na czyste, kiedy go już dognać niesposób, bo ich daleko ma za sobą, i co chwila susami ranionego jelenia jeszcze dalej osadza się od nich.

Więc jęli z powrotem do wodza, wódz wskoczył na siodło. Uzdę Carowej obwiązał na około ramienia i puścił się z nią stepowym lotem.

Biegną, biegną, przy księżycu, wiosenną nocą, nie na pobitej drodze ni po gładkiej ścieżce, ale między parowy, doły i chrusty; czasami kłąb śniegu rozbiją podkowy, a on z dołu w górę lunie białym tumanem; czasami o głaz uderzą, a głaz ogniem się odgraża, szybę lodu trącą, a lód pęknie z trzaskiem, gdyby szklanna szyba; teraz przelatują łąkę, w młodą murawę grzęzną kopyta, a wilgoć kipi i smokcze pod spodem; dalej zgnieciona gałąź zaszeleści, kamyczki odskakując głucho zapadają w trawę. To znów szorują po roli, głębokie ślady po grzędach wydrażają, rozpłaszczone bryły spychają w bruzdy. Zaruckiemu i od biegu i od namiętności serce gwałtem bije. Marynie chłodne powietrze rumieniec po licach rozlało. Teraz obszar tych

płaszczyzn jest jej więzieniem, księżyc wśród błękitów jej lampą. — Rada i pełna otuchy, słowami drażni towarzysza, mówi mu o Kremlinie, o bitwach i sławie; a jemu tylko tego słuchać, bo za nic waży trudy, byleby dorwał się panowania i chwały, a przed śmiercią snu krótkiego w objęciach Maryny.

Do lasu wpadli, przesadzając zasieki z powikłanych krzewów. Ciemność i uroczystość boru dreszczem przejęła Marynę, ale Sahajdaczny raduje się, że się dostał pod dęby i sosny, miło mu pomiędzy niemi jakby w domu ojca. Lecą pod sklepieniem z liści, między któremi tu i owdzie czołga się promień księżyca, a wiatr szumi głosem tysiąców gałęzi, niezrozumiale, choć co chwila zda się, iż z tego zamętu pewniejsze wydobędą się tony, na które czeka przez długie godziny młodzieniec zakochany, lub pielgrzym dumający o Bogu, na które i chwili nie czekał Sahajdaczny, bo zrozumiał natychmiast tę mowę.

— To wiatr północny tak hasa, miłościwa pani, on na jutro napędzi chmury, więc gońmy co żywo do spławu i czajek, by pogodną jeszcze nocą odbyć żeglugę. I jedwabnym kańczugiem konia uderzył. Ten wyskoczy co tylko sił mu staje, a Maryny koń, porwany ramieniem męża, równie pędzi szybko. Znów na pole czyste się dobyli, powietrze zdaje się kipi około ich głów, tak głowami i piersią sieką powietrze; ogony ich z tyłu płyną jak ślad pienisty od rudla, kiedy statek pruje wodę wśród burzy, podkowy podnoszą się i zniżają bez ustanku, jak iskry, co raz błysną, znów zagasną i znowu zabłysną; one pędzą w zad, świat cały naprzeciw nich wali, a rozstępuje się, by przejście wolne im zostawić. Jeden księżyc tylko niewzruszony panuje nad niemi z wysoka, ależ i on czasami znudzi się pokojem, więc sam się zerwie i bieży ku chmurom, przerzuca się z jednej w drugą, swawoli jak znarowione dziecię, to znów poważniejszą postać przybiera, zasępia się wśród mgły i jakby w ciężkiem zadumaniu niknie coraz bardziej: wtedy posępno na świecie do koła.

A oni bieżą, czy chmury, czy jasność nad głową; wkrótce się rozwidni i zwrok podziewa się nie wiedzieć gdzie, tak jak promienie podziewały się przed chwilą. Ale cóż to zabłysło w oddali? zda się, gdyby kopuła cerkwi blachą obita.

— Miłościwa pani, to Pratwa, już na niej nikt nam nie zajrzy w oczy; bystrym nurtem oddzielim się od Kaługi, a jeśli w pogoń za nami do brzegu przybędą, my z czajek zaśmiejem się im w oczy, i życzyć będziemy dobrej nocy strzałami.—

Ledwo domówił tych słów, ściągnął cugle i zatrzymał konia, przechylony, z głową i pół ciałem wiszącem od siodła, zdał się słuchać czegoś, potem zagwizdał na konia, ostrogą i kańczugiem popchnął w bieg i rzekł zimno, jako na męża dostatniego przystoi, kiedy godzina niebezpieczeństwa dobija nad głową: — To mściwe pachole pobudziło straż zamku i bojary tuż za nami w lesie.

— Nie słyszałem żadnego tententu, a jużem przywyknęła uchem do wszelkich głosów, i do tych, których lękać, i do tych, z których weselić się trzeba. Waszmość się pomyliłeś.

— Nie, miłościwa Carowo, nie, hoża Maryno, na pierzach wiatru przyleciały do mnie szelesty, które są gońcami tententów. Lecz, ażeby je schwycić, kiedy drobne cichaczem przelatują w około uszów, trza wprzódy przez całą młodość przysłuchiwać się nieprzyjacielskim podkowom. Dostaniem li się do rzeki, nim oni ukażą się z boru? Jeślim się nie oszukał na kupnie mojem w Krymie, tośmy bezpieczni, odparł spozierając z dumą kozacką na biegnące rumaki, ale, miłościwa Hospodarko, ostatnia to ich gonitwa. Dolecą rzeki, bo wiedzą, iż taka ma wola, wdzięczne za owies i napój, za bogaty rząd, którym zawsze ich grzbiet stroiłem i głowy. Dalej i kroku nie postąpią, rozciągną się na murawie. Na czajkach, miłościwa pani, spuszczałem się Dnieprem i Wołgą i Dniestrem, Sułtan z Seraju mnie widział i klął mnie, żem mu tak wsie palił, rozwalał pałace. Na moskiewskiej wojnie wzrosłem za króla Stefana i pięć ran w upominek od niej noszę na piersi. W Niemczech z rycerzami posągami z żelaza rwałem się za pasy, więcem napatrzył się dosyć mordu; nad człowiekiem nigdy łzy nie wylałem na polu bitwy, a to konie, że zdechną, to mnie boli. Sam ich chodowałem, uczyłem napaści, odwrotu, ucieczki, w dzień i w nocy latałem na nich po stepach, one były mojemi orlemi skrzydłami. —

Tententy się odezwały, Marynie mowę przecięły ale też już nie daleko. Jeszcze staj kilka, i zatoka wylanej Pratwy tuż przed nimi. Już rozeznać mogą jej nadbrzeża.

Rzeka na wiosnę wystąpiła z brzegów i łoże swoje rozprzestrzenia jeziorami; nie dojrzeć przeciwnych nadbrzeżów, tylko tu i owdzie z łona wód wystaje krzak, drzewo, głaz, język zwiru, który nie dał się pochłonąć, smug, co wysoką trawą jeszcze na świat wyziera; to wszystko mgłą obwiane, cieniem lasów po tej stronie rosnących kratkowane, wydaje się błędnym archipelagiem. Pośrodku słychać szum, ale nie dojrzeć nurtów pędzacego koryta, które bieży jak zwykle, gnuśniejąc tylko po bokach, kędy się pomknęło za swoje granice.

W zatoce, u której stanął hetman z Carową, księżyc w pełni się przeglądając srebrnym ogonem udaje kometę, a że gęstwiny nie ma w tem miejscu, swobodnie rozsyła promienie, które pośród koła z wyziewów w szerz i wzdłuż oświecają wody; na nich stoją łódki, każda na wyspie własnego cienia, niewzruszona, z śpiącemi wiosłami, z łańcuchem od kotwicy spuszczonym w dół.

Było coś fanastycznego w tym widoku przypominającym morze we śnie widziane, w flocie milczącej, bez żywego ducha, tententach grzmiących coraz bardziej, w larwach biegnących od lasu na rozhuźdanych rumakach.

Jeźdzcy i konie czarne, czasem tylko broń zamignie, jak śniady płomień, co wśród nocy krząta się po mogile; podnieś oczy w górę, a księżyc jasny, okazały, wyda ci się mało co mniej od słońca, spuść je w dół, a równina i topiele i drzewa mięszają się z sobą, nie rozpoznasz, gdzie się wody kończą, a piasku początek, gdzie krzaki przepadają; a czyste zaczyna się pole, jak gdyby gwiazda nocy była marą, na którą spojrzeć pięknie dopóki w niebiesiech, ale z której mało pociechy na ziemi.

Zarucki gwizdnął jak strzelec na sokoła w chmurach, wnet z każdej łódki podniosły się dwie postacie, w milczeniu porwały za wiosła, a że biją niemi o wodę, to nie przerwało milczenia, bo tak cicho fale odpychają, że ni ciosu wiosła, ni jęku fali odpływającej nie słychać. Snują się statki ku brzegowi, srebrnemi kręgami się obtaczając, ruszając wiosłami jak orzeł skrzydłami, kiedy zawiśnie w powietrzu, a miesiąc, który patrzy na nich z pod toni, ciągle odsadza się od nich, jak nurek od łódki strzelca na stawie.

Pierwsza czajka wodza dotknęła się lądu, wszystkie

inne długim rzędem w poprzek zatoki stanęły, na każdej powstają maszty z rozczochranemi linami — w mgnieniu oka lekkie żagle zadrgnęły, bujając w powietrzu na wyścigi z wyziewami nadbrzeżów, a bojarzy goniący w oddali, dziwią się owej mgle wznoszącej się tak nagle ze środka jeziora.

Zarucki podał ramię Marynie, by pomódz wstępującej na statek, potem miał sam wskoczyć, bo już i była pora ktemu. Kiedy odwrócił się z nienacka i dobył czerkaskiego tasaka, konie podług przepowiedni wodza leżały na zwirze, zdyszane, opruszone pianą jakoby śniegiem, robiąc bokami, tarzając się czasem w swojej niemocy, z żalem krwiste rozszerzając oczy za łódkami i odchodzącym panem: on spojrzał na nich jak dziki spoziera na przyjaciela rannego, by ostatnią wyświadczyć przysługę — dobiciem.

— Ukrócę wam męki, niewoli oszczędzę i tobie, moja Giemzo, i tobie, Istambule mój — rzekł głosem stłumionym od wzruszenia, i nachylił się nad Giemzą, pchął raz tylko, nachylił się nad Istambułem, gardło poderżnął, a wyrwawszy garść włosów z grzyw obu, na kołpaku zawiesił.

— Wy mi to nie dziś, ni jutro, ale odpłacicie kiedyś, zawołał do nadbiegających żołnierzy, sam jednym skokiem od ciał koni odrzucił się w czajkę i kazał mołodcom gnać śpiesznie za łódką Carowej, która odpłynąwszy na czele innych, zbliżała się już do koryta Pratwy. — Cały brzeg czernieje od jeźdców wrzeszczących za Maryną i Hetmanem. Księżyc za nimi wiszący na niebie, ciska ich długie cienie na przestrzeń zatoki, które to zwężając się, to rozszerzając, garną się za uchodzącym statkiem, w środku którego stoi Zarucki. Podjął burkę i zarzucił na piersi — w jej szorstkich kudłach mięknie żelazo strzał rzucanych z brzegu, a on szydząc z nich potrząsa ręką na znak pogardy. Kilku próbowało puścić w pław konie, ale uwięźli w mule, więc nazad pierzchają. — Jeden tylko wyprzedził wszystkich, niemiłosiernie kalecząc rumaka zmusił go do przejścia brodu, a kiedy dna nie stało, po szalonemu odważył się płynąć, wprost ku łódce Hetmana, puściwszy cugle, jedną ręką tylko ważąc włócznię — drugiej ręki z pod szaty nie wyjmując wcale.

Już minął cienie od hufców, wypłynął na czyste, gdzie księżyc twarz mu całkiem objaśnia. Usta ścięte, jakby zęby, raz zgrzytnąwszy, już rozprzęgać się nie mogły i

zmartwiały w tem zgrzytnieniu.

Rysy boleścią stargane, hełm, twarz i piersi wystają nad wodą, reszta zanurzona, ale po ruchu piersi znać, że nogami wciąż bodzie rumaka, który głowę niesie jak może najwyżej, parska z rozpaczy wśród mroźnej topieli, tracąc na mocy i na krwi co chwila; już krew wypływa na wierzch w bąbelkach, znać jeździec szeroko rozpruł nieszczęsnemu boki.

Ale mołodcy odsunęli się daleko — nie ma nadziei ich dognania, więc Agaj-Han odkręci się nazad, i szląc wściekłym wzrokiem za łódkami, malejącemi wśród wyziewów nad korytem Pratwy, zaczyna wracać do brzegu.

Lecz koń mu już nie służy, ledwo że rusza jeszcze nogami bezsilnemi na odparcie dość wody, by posunąć się naprzód. Stoi na miejscu, nie idzie w głąb zaraz bo pracuje jeszcze, ale ktokolwiek nań patrzy, nie wątpi, że już po nim. Kilka minut trwała ta walka, wreszcie on spuścił głowę, wciągnął ostatnim oddechem pełno wody z nozdrza i poszedł na dno. Młodzieniec splątany w strzemionach i cuglach zniknął również, a krzyk przerażenia, który bez dołożenia się ludzi w takowych chwilach z piersi im wylatuje, tak, że sami zdumiewają się, przysłuchając się jego dalekim echom, rozległ się po brzegu.

Nieco dalej od miejsca, gdzie koń i jeździec zapadli, zamąci się woda, głowa pluśnie na wierzch, jedną tylko ręką fale rozcina i sunie przed głową. Nikt z patrzących nie wierzy, by Tatarskie pacholę zdołało do brzegu się dostać. Ciekawie wyszczerzają oczy, patrzą pilnie tak jak w innych krajach lud patrzy na aktora, grającego w okropnej sztuce.

On szczęściem pozbył się szyszaku, włosy zroszone połyskują w promieniach miesiąca, twarz jego do trupiej podobna, wszystkie mdłości konania na niej się odbijają; pasuje się rozpacznie w czystej srebrnej wodzie, która go otacza do koła, w której głębi księżyc się złości, ozdoba grobu zgotowanego na dnie, ale on w tej chwili na nic już nie zważa. Jeszcze zostało się drżenie zazdrości w piersiach, lecz zapchnięte w głąb, bo dreszcz śmierci wziął górę, instynkt życia jedyną stał się namiętnością, pełną energji, wzywającą każden muszkuł, każdą żyłę do dzia-

łania, rządzącą siłami ciała, tak jak miłość rządzi myślami mózgu; ostatnią zbawicielką w godzinie niebezpieczeństwa, kiedy rozum nieprzytomny sobie ustępuje z własnego tronu, z głowy człowieka. Coraz prędzej, coraz mocniej, potem coraz wolniej, coraz słabiej darł się ku brzegowi. Z początku przebiegały mu na licach konwulsyjne boleści, teraz już tylko omdlenie, a czasem jeszcze podrzut życia wyskoczy na nich. Głowa chyli się pociągnięta ciężarem namokłych włosów. Drugą rękę dobył, ale ta bezsilna błąka się po wodzie w tę i ową stronę jak sucha gałąź na nurtach potoku. Już dwa razy fala pokryła mu czoło, dwa razy podźwignął się ostatkiem sił, a dziwno wszystkim obecnym, że tyle ich w tem wysmukłem ciele.

To nurzając się, to podskakując jak raniona ryba, jeszcze upłynął kilka kroków.

Już nie daleko do lądu, powiązali rzemienie od siodeł, od kołczanów — rzucili mu na czas właśnie, bo zaledwo uchwycił się zębami i dłonią, aliści zemdlał zupełnie; ale choć bez zmysłów, trzymał się sznura, jak trup trzyma się trupa, z którym walcząc, razem upadł na wieki — i tak dociągnął się aż do brzegu między towarzyszy.

VI.

Już nie mało czasu ubiegło od tej nocy miesięcznej, w której wojewodzianka Sandomierska uszedłszy z więzienia, odpłynęła na kozackiem czółnie.

Wielkie państwo moskiewskie pali się wciąż i dymi pożogami Polaków. Rozbiegli się hussarze i potrząsając skrzydły, jako drapieżne orły ulatują po nad gruzami i gęstym trupem; wycieczki straceńców nie wstrzymane u Kaukazu, w głębie azjatyckie się zapuściły, każdy rabunkami pnie się do bogactw, rycerskim czynem do chwały; miasto zburzyć, wieś spalić, jest ich chlebem powszednim. Z niewolnicami pląsają nad stosami popiołów, grzeją się pośród mrozu na zgliszczach pałaców, winem i miodem sączą się wąsy — tem lepiej im potem usta kleić z ustami Azjanek.

Jak wiekiem wprzódy na drugim końcu ziemi Hiszpanie hasali po odkrytym świecie, tak dziś Polacy wysypują

się na Moskwy obszary. Patrz, Kortez Montezumę ściąga z tronu, Żółkiewski Szujskich prowadzi. Meksyk płonie kagańcami wśród czarnych jezior i wzywa pomsty za skrzywdzonych Bogów. Moskwa o tysiącu kopuł burzy się za świętych swoich i znieważone cerkwie.

Nowy to świat był Polakom: wschodni, szeroki, otwarty na stratowanie końskiemi podkowy. — Co tylko spało w Lechji hartownych dusz i dzikich serc, to przyszło obudzić się i żyć zażarcie na niwach od Moskwy do Astrachanu. Żyją więc bez spoczynku, walcząc dniem i nocą, z hełmem wbitym na czoło, z bechterem przykutym do piersi; wolni, śmiejąc się z prośb i rozkazów, nie dbając o dom, rozmiłowani w gonitwach i żeglugach, swobodni przez wszystkie dni swoje, póki śmierć nie zaskoczy. Jej jako pani czołem z siodła biją o ziemię. Towarzysze przesadzą trupa i lecą dalej.

Ciągnącym z cieplic nieraz zima zajrzy w oczy, z szalów przewieszonych na plecach, z winogron u siodła wiszących, z kamieni wschodu, szydzi sobie mścicielka północy, mróz im członki ćwiertuje i powieki spuszcza nad oczyma. — Tak wśród wozów i koni całe padają hufce, a Moskwicin, który jeszcze wczoraj o południu lękał się ich wąsów, kiedy przejeżdżali obok chaty, dziś śmiało klaszcząc w ręce, depce po nich i błogosławi niebu.

Ginęli prędko w onych czasach książęta i hetmani z roskoszy i z bojów. Ale nad świeżą ich mogiłą powstawali drudzy, równie dzielni, równie zapaleni, by z życiem wcześnie się rozstać, w kilku latach zawrzeć wiek cały chwał i rozpusty: nie szło im o to, dziś, jutro li padną, ale pragną umrzeć królami; dalekim niwom dać w znaki polskie imię, zapuścić się w kraje bajeczne, pomiędzy góry i morza, innych widzieć ludzi, za niebezpieczeństwem ścigać, tchu mu nie dając i zapchnąwszy w ostatnie schronienie, tam ostatnią ogromną zwieść walkę, jak z tygrysem w jaskini.

Przed wieki takimi bywali bohaterowie, zwycięzcy Rzymu, którym wolność wrzała w piersiach, tak, że od niej pędzeni naprzód, kochali się w błędach, zjawiskach i wiecznej walce ze wszystkiem, co ich otaczało, z ludźmi i żywiołami, zmagając się z burzą po oceanie, tratując po gruzach na lądzie, a kiedy ludzi i burz nie stało, klnący

w rozpaczy, że odetchnąć im trzeba.

Patrz na Aleksandra z Lissowa: nie ujrzysz go nigdy całkiem, bo zawsze ci go stos ciał lub kłąb dymu z przed oczów wyrwie w połowie. To mignie szabla wśród ogniów, to poła burki zakręci się na rozwalinach; to głowa czasem wyjrzy, broda, wąs, zroszone iskrami, czoło zwęglone, oczy pełne żaru, a reszty ciała nie widać, bo gdzieś zanurzone w gruzach i popiołach.

Tam na łożu w namiocie umiera książe Rożyński. I jemu też piękne dni świtały kiedyś, ale teraz przyszło do ostatniej chwili, w kwiecie młodości, wśród niesfornych hufców. Ich krzyki i odkazywania dochodzą uszów wodza jak muzyka pogrzebowa, w trapiącym śnie słyszana — na twarzy jego coś miększego przymięszało się od wyrazu odwagi twardości. To nie gladjator starożytny, konający z energią rzezi na licach, z groźbą i natrząsaniem się z ludu, który piętrzy mu się nad głową i oczami krew z ran jego żłopie; ale bohater żegnający życie bez żalu, z żalem żegnający złudzenia żywota, dziarski i nieugięty, póki chwała mu kochanką wierną była, a w westchnieniah rozpływający się za tą, którą tyle czcił i lubił pieścić na łonie, a która go wśród uścisków niemiłosiernie zdradziła. Rozpamiętywa on teraz marność ludzkich zamiarów — na nowych powzięcie już nie staje czasu — a wieczność mało znana jego duszy. Ziemi już prawie się nie trzyma, a do nieba ramion wyciągnąć nie umie. Łoże śmierci jest własnym jeszcze ostatnim jego światem; w tych kilku belkach lamparcią skórą zarzuconych, ściągnęły się królestwa, o których marzeniem upijał się długo. Jeszcze hełm i buława stoją niedaleko, ale już może sięgnąć ręką do nich nie potrafi! Ich połyski w promieniach słońca szydzą z umierającego. Więc smętno tej żołnierskiej duszy na progu nieznanej krainy, gdzie myśleć i modlić się trzeba; a władać ludźmi i gonić po bitwach, tam gdzie wiedzie serce, nie sposób — pierś jego coraz bardziej, coraz bardziej mdleje!

Ale postrach Azji, ale rycerz dawnych wieków, chrobrych i śmiałych dziedzic, w puściznie sławy, na arabskim dżanecie, w słonecznej zbroi, jeszcze panując swoim rotom, z chyżością Tatara przelatuje pustynie, z głęboką sztuką zachodnich wodzów bitwy wygrywa, nigdy zwycięstwu nie

UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY

dając się wymknąć z rękojeści szabli, gdzie go więźniem trzyma od pierwszego dnia, w którym wystąpił na boje. Nie spodziewaj się śladu słabości na licach Uświackiego Sapiehy, smutek go nie zwątli. Do ostatniej chwili będzie tłukł mieczem o bechtery wrogów; do ostatniej chwili, będzie się pasował z ludźmi i przeznaczeniem, z swoimi i cudzymi; a kiedy zgon przed nim stanie, powita go ze zgrozą na twarzy, ze zmarszczonemi brwiami, jako przystało na męża, który nie wie co trwoga i co ukłon komu, ale wie, że go się lękają i że po bojaźniach ludzkich wedrzeć się można do tronu. Pełny myśli swoich, obojętnie poczuje, że śmierć już w nim i dumając o zamiarach, dzierżąc hardo głowę, bawiąc się rękojeścią miecza, dla nauki jak berło trzymać przystoi, dech wyzionie w postawie króla zasiadającego na tronie. Ta ogromna burza co z Lechji ciągnęła na Moskwę za gwiazdą swoją, nadobną Mniszchówną, teraz już na osobne rozsypuje się chmury, a każda chmura szamoce się w kącie widnokręgu. Gdzieś między niemi gwiazda ich zniknęła.

Od dawna nie słychać już o Carowej, inne imiona pną się na stolicę Carów.

To Zygmunt wskazuje na syna, a myśli o sobie. To Władysław słyszy zewsząd przysięgi narodu i drży niecierpliwy dostać się do berła. To w Kostromskim monasterze, przy szlochach Matki, synowi Filaretowemu czołem próg zmiatają bojary, prosząc, by objął jarzmo nad ich karkami, by ocalił wiarę błahoczesną i państwo Ruryków.

Zamięszanie jakby w dzień sądu ostatniego powstaje wśród tylu wojsk i pokoleń. Nie ustają pożary i mordy, ale nie wiedzieć już, kto daje do nich hasło po nocach. Każdy szlachcic, każdy młodziec, wodzem się mianuje. W ostatnich chwilach chce się każdy nacieszyć, choćby jedną godziną władzy, nie już jako prosty żołdak, w dzikiej prostocie pląsać we krwi i zataczać się w perzynie, ale jako pan siedząc na dżanecie, patrząc z ubocza jako gród się pali, użyć spokojnie roskoszy pożóg.

Języki, oręże, obyczaje, powikławszy się, zgiełkują z sobą. Ciura obozowy wschodnie śpiewa powieści; na kełmie hussarza półksiężyc złoty połyska; mową polską Tatar się odzywa; Moskal nie wie, komu służy; hufce Włady-

sława i hufce Pożarskiego pełne jego.

Na błoniu otworzystem biegnie rota zbrojnych i wrzeszczy o dwa razy zabitym Dymitrze, że on zmartwychwstanie jeszcze. Tam naprzeciwko sunie zbłąkany tłum jak gromada leśnego zwierza i o Szujskim wspomina. Aż tu rycerz stalą okryty, nadbieży i kopiją wysuwając, w pędzie zawoła: — Niech żyje Laszka Maryna. — Z boru wystąpi pułk Straceńców i śpiewa żale o umarłym wodzu Aleksandrze z Lissowa. Ze wzgórza spuści się chmara perekopskich, na plon zajadła, sobie żołdująca nie komu. Aż tu nadjedzie hufiec sędziwych panów, zbrojny jak inni, poważniejszy od innych, z pacholętami z tyłu, z sztandarem koronnym i surowemi głosy wzywają przed stopnie Władysławowego tronu.

Na rzece co płynie w pobliżu, na czajkach, błysną młodcy lecący ku Czarnemu morzu. Nurty ich podchwycają i fale przerzucają sobie. Oni pędzą gdyby na stepie, radośni nadzieją łupieży, śmiejąc się ze skał, co czasem ku nim wyskoczą z pod wody, z dłonią przykutą do steru, z dumką w ustach, z czołem wypogodzonem na burze, przeciw którym spieszą. Na grobli wykręcającej się wzdłuż tego jaru, ciężkim pochodem zbliża się szwedzka piechota, w milczeniu idąca do boju, pilnująca swoich szeregów jak swojej płacy, z zapalonemi lonty, berdyszami najeżona. Między temi kępami i krzewy czołgają się szkockie strzelce z łukami, które jedno wyspiarskie ich dłonie naciągnąć potrafią, z strzałą co gałąź leszczyny rozczyknie w gęstwinach boru i pióro z każdego hełmu strąci w dół niemylnie.

Tymczasem po drodze środkiem równiny, odezwą się hymny; w mitrach i ornatach postępują czerńcy z krzyżem, co jaśnieje rzęsistemi połyski, z obrazami świętych, od których woń cedrów się roznosi, z gromnicami w dłoniach, a dym gromnic baldachimem wije się nad nimi; na siwe brody, nagie czoła, na drogie kamienie i szaty, na lamowane chorągwie promienie słońca padają i mgłę jasności z nich słońce ciągnie ku sobie, tak, iż wydają się boskiem zjawieniem, co zstąpiwszy na ziemię, przesuwa się zwolna przed oczyma ludzi, śpiewając o wielkim patronie moskiewskim i o zbawieniu Moskwy przez kapłańskiego syna.

Nagle trąby i bębny zagłuszą pieśni kościelne: tu

chmura strzał wyniosła się, tam las z dzid wyrósł nad głowami, owdzie szable, jatagany, kindżały kręcą się w powietrzu. Owi taborem się opasują, tamci wolą zdać się na chyżość stóp swoich. Inni głaszczą koniom grzywy i śmieją się z pieszych. Każdy do walki się gotuje podług wrodzonego obyczaju. Polak nuci o Boga-Rodzicy, pokręca wąsa i długą szablę pieści w dłoni, by mu dobrze służyła. Przybylcy z azjatyckich puszcz trącają łuków swoich strony i ich brzękiem dodają sobie wściekłości. Niemcy na cel biorą wrogów i mierzą w nich długo, spokojnie, wparłszy kolbę w obojczyk. Kozacy zeskakują z siodeł i za niemi gotują rusznice. Owdzie Tatarzyn kładzie w usta kryształki opium, by mu bitwa przeszła jak sen, a śmierć jeśli ją spotka, wydała się wstępem do Edenu. Aż tu huki, wrzaski dadzą się słyszeć. Dym pełznie nad głową walczących i poległych. Z hufców dotąd spokojnych, porobiły się wiry ze stali, które się kręcą po równinie.

Wszyscy jedni po drugich, to zwyciężą, to przegrają, to się cofną, to znów pomkną się naprzód, a każden walczy za kogo innego. Sto haseł buja w powietrzu i głuszy się nawzajem; sto imion, sto zamiarów wcielonych w głos, ulatuje po nad walczącymi, mięsza się w nieładzie; żadne wygórować nad resztą nie zdoła, i wreszcie wszystkie opadną w dół na martwe głowy tych, z których ust wyszły. Głucho — samotno — chyba że słychać jeszcze pluskanie krwi z żył trupów.

Takie codzień po całej Rusi odbywają się boje. Rozsypała się już wieża Babilońska Dymitra, a jeszcze ci, którzy ją dźwigali nie mogą dać sobie pokoju, rozbiegli się na jej gruzach, miotani szałem, to sławy, to plonu. Ten, który dziś naspętał więźniów gromadę, jutro poczuje ręce krzepnące w kajdanach nieprzyjacielskich. Ten, co dziś tratuje po ciele wroga, jutro sam dostanie się pod czyjeś podkowy i stratowan będzie. Cieszą się całą noc marami państwa; o brzasku już odleciały, a samym głód dokucza lub miecz wisi nad głową.

Tak wyginął cały ród bohaterów!

W ich ślady mało kto już ważył się wstępować, bo w tych śladach krew czarna krzepnęła i prochy z starych buław książęcych leżały. Zdawało się, że już usypiają bał-

wany tej powodzi, która z polskich równin wylała się na moskiewskie błonia; bo jedne wyschły, drugie cofnęły się w zad od tłuczonej nadbrzeży, kiedy krzyk usłyszano podobny do tych, które ucichły niedawno, grożący burzą, krzyk męża wyciągającego szablę w własnej sprawie. — Z tej szabli mojej tak cienkiej musi wylecieć dla mnie królestwo. — I wnet ujrzano jak mołodców hufiec pędził ku wschodowi za wodzem i niewiastą przecudnej urody, trzymającą dziecko w ręku, nad siodłem rączego rumaka.

Właśnie w tym samym dniu dzwony cerkiew Moskwy, rozrywały chmury swojemi brzękami, bo syn Filareta tron Kremlinu zasiadał wśród Bojarów krzyżem leżących.

Ten krzyk nagły z dziarskich piersi wypuszczony wpadł im na głowy leżącym, a w uszy młodemu Carowi:

— Kto, zapyta, mięsza naszych państw spokój? —

Ej! Carze, to Igar Sahajdaczny Zarucki, to wódz dużej ręki, rozkochanego serca. On czekał długo, póki padną wszyscy rówiennicy w około niego, póki nie zostanie na stepach i w miastach Ruskich nikogo, coby śmiał zajrzeć mu w oczy; bo takich było kilku przed laty, ale dziś kiedy sam się zobaczył panem nad trumnami Rożyńskiego, Sapiehy, Strusia, Aleksandra z Lissowa, po odwrocie Chodkiewicza i Żółkiewskiego, ostatnim człowiekiem z pokolenia, co rodem z Polski żyjąc wśród pożarów i bojów przeszło prędzej od pokoleń ludzkich, ale też głębsze ślady za sobą zostawiło niż zwykły ludzkie pokolenia, puścił cugle na grzywę koniowi i popędził w zawód, na którym groby poprzedników służą mu za słupy drogowe. Nic go nie wstrzyma póki wróg stalą nie osadził mu serca; bo dumny, że sam jeden został na starym pobojowisku, świeżą krwią odmłodnić go pragnie, wierząc głęboko, że gorączka, która nim rzuca, jest przeznaczeniem nieba; a zresztą przestałby i na tem, że to chęcią Maryny, tej Laszki cudzoziemki, nieznużonej trudem i klęskami, która dotąd z pychą rozpamiętywa dzień, kiedy jej i Dymitrowi mężowi cała Moskwa przysięgała na wiarę. Ku stepom, ku górom, ku Azji leci więc z dobytą szablą, a pochwa gdzieś się usunęła i w biegu zgruchotały ją końskie podkowy.

VII.

Kto i razu nie oglądał miasta panującego nadbrzeżom Kaspji, ten chyba sny miał okazałe, ale przepychu nie widział na jawie; niechaj więc porwie za kij pielgrzymi i pójdzie oczy nacieszyć przed śmiercią!

Wołga jak matki ramionami obtacza Astrachanu mury i u piaszczystych piersi go trzyma. Z pomiędzy jej nurtów podnoszą się dachy, nad niemi królują wieże, minarety, półksiężyce pogan i greckie krzyże, a kiedy słońce o południu jaśnieje, owe blachy srebrne i złote żywym ogniem płoną, rzekłbyś, iż nad każdym gmachem zawisł meteor nieba!

A po ulicach, korytach, rynkach, dzieci stref rozmaitych biegną, w łódkach płyną, gwarzą, krzyżują się tłumnie; owdzie Tatar z Aidoru przesuwa się w czółnie, z roztwartym kaftanem, z wartkim wiosłem, któremu żaden z innego plemienia nie podoła. Tam Gheber z pasem narodowym na piersiach gibko przemyka pomiędzy ciżbą i wchodzi do świątyni, kędy wieczne płomienie goreją. Perscy kupcy w deljach stąpają poważnie, zamyśleni, głaszcząc sobie brodę, odwracając się groźnie kiedy Turka spotkają o białym zawoju, o kindżale przy boku, szemrzącego modlitwę do proroka; ówdzie na krużganku stoi Hindus z Lahoru, słodycz żarzące oczy mu cukruje, rysy twarzy prześlicznej łagodności, zaciągnięte miedzianą barwą, w jednym ręku trzyma jaśminu gałązkę, w drugim złote medale, na kwiat i na złoto spoziera uprzejmie, aż zda się, że omdleje z roskoszy. Wszystkich hord Tatarzy spotkali się tutaj. I owi co w rozsypkę po wnuku Tamerlanowym się rozbiegli, i ci, którzy osiedli w Krymie, by hołdować Sułtanom, i ci, którzy dotąd wolni pasą konie piołunem stepów. Greckiej wiary ludzie, wielkiego państwa moskiewskiego syny, przechadzają się dumnie jako chrześcianom i panom godzi się w obec pogan i poddanych. Ich kościół brzmi dzwonami i jaśnieje przepychem, a zatknięty krzyż na nim, wyżej od wszystkich minaretów sięga w powietrze. — Rzadziej zdarzy się spotkać człowieka przybyłego od krain zachodu. Czasem jednak przejdzie po rynku wyspiarz z owej ogromnej wyspy zamorskiej, w czapce z piórami, z wstążkami u trzewików, z szpadą u boku, krokiem sążnistym,

nie spiesznym jednak, patrzący przed się, a niekiedy w około, lecz już wtedy z nieużytą dumą. Włoch też uwija się po ulicach, wymokłej twarzy, z ognistemi oczyma, z koturnem na nodze, z sztyletem zatkniętym u brudnej koszuli; a na odnogach Wołgi, które wciskają się do miasta, poznasz Wenecjanina po kształcie łódki, którą sobie przypomnieć chce adrjatyckie mielizny, po czarnym płaszczu, po złotym łańcuszku na szyi, a najbardziej po zmarszczkach, które chęć zysku i bojaźń ojczystych sądów na czole wyryła. Niekiedy na zakręcie kanału ozwie się dźwięk gitary i wschodnich grzechotek, czasem też zabrzmią cymbały i naczynia ze śpiżu, o które biją wonnemi różczkami Iranu dziewice. Śpiew rozlega się czasem w portykach domów, ciągnących się nieprzejrzanie, przepychem azjatyckim wystrojonych. Pomiędzy niemi tu i owdzie stoją chaty Tatarów, okute szynami żelaza, panów koczujących drewniane namioty wśród stolicy bogactw i handlu. Zewsząd powiewają spuszczone kobierce. Zda się jakby od krużganków, od okien, leciały hurmem kwiaty i zatrzymane kołysały się w powietrzu — nad galerjami, nad płaskiemi dachy, rozciągnięte opony z jedwabiu, pomiędzy ich rysunki i hafty, promienie słońca biegają, gdyby wśród ogrodu pełnego róż i motyli, a ogrody i winnice zielonym wieńcem okrążają miasto.

Świat to z tysiąca kolorów i uczuć złożony, pełny życia, brzmiący setnemi języki; okazała tęcza wszystkich narodów Azji, jaśniejąca wiecznie nad falami Wołgi, od reszty ziemi pustyniami odcięta i morzem.

Ale czem są pustynie, kiedy lotne rumaki mołodców spragnione kurz miasto wody piją, i lecą dalej z wodzem na czele; wpław tumany piasku przepłynęli, Tatarów i Moskali rozbili, na ich trupy nie oglądali się nawet i nad Wołgą stanęli. —

Tu Sahajdaczny kazał ściągnąć wodze i odpocząć ludziom swoim; potem spoziera ku północy, zkąd Wołga płynie i czeka; nie długo czekał, bo tam gdzie nurt rzeki mięsza się z oddalą, zda się, że czarna chmura przysiadła na wodzie i nie roztapiając się w niej, pędzi jak gwałtowna burza.

Im bliżej tem prędzej bieży, aż słychać jęk fal. —

To czajki nasze! — krzykną kozacy. —

Wódz nic nie odpowie i skinął ręką, by zachowali milczenie. Potem zbliżył się do lektyki przesłonionej kosztownemi firanki, nad którą korona Carów z szczerego złota się wznosi i odsunął boczną zasłonę.

— Hospodarko — rzekł.

A ona obudza się ze snu i w rozmarzeniu jeszcze, blaskiem kopuł na przeciwnym brzegu olśniona, pyta się, czy to Moskwa i Kremlinu szczyty.

— To nowa twa stolica, królowo Azji — odparł Hetman i wskazał na wody okryte czółnami, w tej chwili wzrok jego pałał dumą zdobywcy i szczęściem kochanka.

— A więc każ Waszmość do szturmu, bom strudzona podróżą wśród piasków i w pałacu odpocząć mi trzeba.

— Słońce ku stepom się spuszcza, ale mniejsza o to: Astrachan moim dziś będzie — krzyknął Zarucki i ku swoim zdąża.

Ze statkiem doświadczonego męża dawał rozkazy nie zbyt doniosłym ale stanowczym głosem: każde jego słowo głęboko zapada w pamięć towarzyszy; nie długo też przemawiał, bo tyle bojów razem przewalczyli, że oni już teraz wprawili się do jego chęci i celów.

— Jak tylko wpadniecie a już mrokiem, podpalić dom jaki u wnijścia, pierwszy lepszy byleby gorzał jak smolna beczka na stypie; przy nim snadniej obaczyć, izali nieprzyjaciel zginął na prawdę lub dyszy jeszcze. Łupy sam wam rozdzielę, a znacie mnie, żem sprawiedliwy. Tej pierwszej nocy nie tknąć mi się ni dziewki ni wina, ale strzedz się zasadzek i rąbać dopóki sił stanie. Starcom, dzieciom i białogłowom zda się przepuścić, przecie my nie Bisurmany.—

Potem wsiadł na czółno i podobnie mówił do nowo przybyłych. Lektyka złocona kołysze się już na Wołdze, przy niej on stoi — to czasem spojrzy na Marynę, to znów spogląda na szyki swoich: konie ze spętanemi kopyty zostawili na brzegu, jutro jeśli Bóg da, po nie się przeprawią, a one skaczą i rżą za odpływającymi jeźdzcami.

Na wyspie przed nimi, w zmierzchu gmatwają się Astrachanu wieże i mury dziwacznie się łamią, to wyskakując, to cofając się w tył; słychać brzmienie wieczornych modlitw, gdzie niegdzie światło zamignie, to lampa wej-

dzie na szczyt minaretu, to latarnia gdzieś błyśnie na wieży, z nad okolicznych trzęsawisk mgła się podnosi i leniwo wlecze się w górę; na brzegach wicher się zakręci i wzbije tumany białawego kurzu — gwiazda zalśni wśród błękitu, poniżej meteor przeleci nad wyziewami; choć robią cicho wiosłami, czasami się pożali uderzona fala. Niekiedy pomiędzy tyloma zbrojnemi, chrzęst pancerza się ozwie, szmer takowoż słychać, złożony z przytłumionych głosów, podobny brzękowi owadów nad błotami; czółna się zetrą z sobą w pędzie i stukną, na każden z tych odgłosów rysy wodza pomimolnie zadrgną, bo jemu dreszcz biega w piersiach jak młodzieńcowi, który się skrada pod okno lubej kochanki.

I zbliżyli się do wyspy: już mielizny podchwytują spód czajek i one więzną w mule. Wtedy z owego milczenia, zgodnie, razem, wydobyło się ogromne „hurra“ które nad wodami się rozległo i pędzone wichrem uderzyło o mury Astrachanu.

Wnet cała tłuszcza wali się ku miastu, wśród kilkunastu zbrojnych statków została lektyka, a wódz pożegnał jej panią obietnicą zwycięstwa i poszedł do walki; nie uszło chwil kilka aż tu buchnie pożar, Wołgę ozłoci, niebo łuna rozkrwawi; ogień to wesela, przy którym hasają młodcy.

Kopuły, księżyce, krzyże, jako gwiazdy mordu, czerwono zabłysły nad miastem, między niemi pędzą kłęby dymu, które je przesłonią, to odkryją na przemian. Burza to pełna dziwów między niebem a ziemią; poniżej czarne postacie pląsają wśród płomienia, co chwila znikając jak duchy, to znowu wracając na widok, podług tego jak wicher przesłoni ich kurtyną z popiołów, lub obwiedzie kręgiem z ognia. Wciąż grzmi wrzask najezdników i nie daje krzykom broniących się, jękom rannych przedrzeć się aż do uszu Maryny, która stoi na przodzie statku otoczona swoim dworem, starając się utaić wzruszenie, udając męzkie oblicze, by nikt nie wątpił, że zrodzona do berła. Czasami jednak zadrżą jej kolana i słabe westchnienie wydrze się z piersi. Królowa twoja, o Astrachanie! płacze nad tobą, pierwszej nocy panowania swego.

W tem z pośród wyziewów drzemiących nad zatokami

Wołgi, od morza nagle się ukażą i suną po wodzie jak mary po darni smętarzów, na odsiecz miastu znać spieszą majtki wracające z kaspijskich połowów; a że miasto już płonie, by zemścić się wprost pędzą ku czajkom Carowej,

Wtedy ona do mołodców się odezwie, bez drżenia, z powagą i wdziękiem niewieścim pospołu; kazała podać sobie kolczugę i zarzuciła przez piersi jakby chustką jaką — i stanęła pod koroną złotą, przy śpiącym synie; pośród błyskawic lecących od pożaru zaczęła się walka; ale wnet zupełna ciemność walczących ogarnie, to znów łuna ich oświeci.

Ale na czajkach kozackich błysnęły gromnice — straszne to gromnice, od których dalekiego połysku Stambuł drżał nieraz, matki tysiąców iskier i wężów z płomienia skaczących do oczu, pełznących po drewnie i żelezie, niezgaszonych niczem. Z rąk mołodców wyrzucone, spadły na pomosty rybaków i pożar na falach Wołgi syczy i bucha w odpowiedzi na szumy pożaru, którym Astrachan płonie.

Cała przestrzeń się rozwidniła — słupy dymu nad wodą się wzbijają. — Wicher gwiżdże pośród masztów i lin, coraz wyżej coraz szerzej pcha ogień, który wdziera się od pokładów, liże krwawymi języki białe żagle i na perzynę je roznieca. Tymczasem mołodcy przyklękli na swoich łodziach, ale nie do modlitwy, choć milczą tak uroczyście jak przy podniesieniu Bożego ciała. Milczą i celują, razem wypalili, świsnęły kule; słychać jęki z razu; czarny kadłub tu i owdzie pluśnie w nurt i pójdzie na dno. Nastąpiła cisza głosów ludzkich na przeciwnym okręcie; nie wyginęli jednak do ostatniego; ale ci, którzy zostali przy życiu, niemieli z przerażenia. —

Ich wysoki okręt na wolę Wołgi i wiatru się kręci, już ludzkie ręce nim kierować nie zdołają, bo maszty węglami się stały, płótna w dym poszły, na około niego jak drapieżne ptaki, krążą małe czajki, usuwając się zręcznie i nagle z pod walących się belek i masztów, a jak tylko owa zawieja przeleci, wracają do szturmu. Maryna ciągle rozdawa rozkazy, tysiączne blaski łamią się w pierścieniach jej kolczugi, kołpak z ukosa leży na skroniach, pół tylko włosów zakrywa, reszta buja sobie wśród iskier i burzy. Ktokolwiek na nią spojrzy, radby rzucił się do stóp i uczcił panią, a potem skoczył ku wrogom i dał gardło w jej

sprawie, by jutro nad tem pięknem czołem weszła korona.

Po łoskotach i po jękach wielu, łatwo poznać, że nieprzyjacielskiego okrętu ostatnia dobija godzina; na pół zgorzałe ciała czołgają się na pomoście; czasem dym się przerzedzi i widać oczywiście ostatnie podrzuty umierających. Wtem zerwał się wicher ogromniejszy niż przedtem i popędził palący się ogrom precz od czajek. Jako piramida z ognia wirem się kręci i odsuwa, od jego boków leją się strugi roztopionego ołowiu i z głuchym szumem padają w wodę; słychać też po niejakim czasie, jako wpędzony na brzeg rozłamie się do szczętu. Jeszcze kilka czołen od niego błąka się po Wołdze, bez wioślarzy; bez sterników, jako męczenniki dawne, zataczające się po drogach z wypalonemi oczyma.

Wtedy czajki znowu skupiły się na około Maryny i stoją w milczeniu; wszystkich oczy zwrócone ku miastu, ale dym rzucił zasłonę między miastem a nimi. Z za tej opony słychać wrzaski i szczęki; niekiedy strzelbę i łoskot walących się murów, ale nic nie widać — niewieścia niecierpliwość przemogła w Marynie — ręką znać dała, by płynąć ku miastu. — Już późna godzina, za długo u bram naszej stolicy stoimy — rzekła z uśmiechem i poprawiać zaczęła rozwiane pukle, glaszcząc je i trefiąc, jakby na gody spieszyła. Wpłynęli w dym i zniknęli wśród niego.

Owóż jest wam powinszować czego Igarze Sahajdaczny Zarucki, żeście w tak przeważnej potrzebie górę wzięli i pod swoje stopy cisnęli miasto najwspanialsze po Moskwie, wznoszące się wśród pustyń jako czarodziejskie zjawisko. Dobrze wam tu odpoczywać będzie po trudach i jedwabiem perskim i muślinem Indji znój obcierać z czoła. Ale gdzież się podziało to plemię, które niedawno skakało i połyskiwało wzorem lubieżnych jaszczurek po twoich ulicach, Astrachanie! — Dziś wśród zgliszczów leżą pomięte winnice, a z nich dym czołga się w niebo nie już kłębami ale niciami, jak zwykle bywa nad spalonemi gmachy, w których głębi tleją węgle jeszcze, przysypane gruzem i deszczem przemiękłe; na rynku obcy żołnierze od progów Dniepru przybyli, ciągną na los szaty twoich mieszkańców i twoich domów obicia, a w sali zamkowej zdobywca rozdaje kosztowności towarzyszom; twojego wojewodę spęta-

nego w łańcuchy kazał stawić przed sobą; biada jemu, bo nie umiał zginąć jako na walecznego przystało.

Przez okno widać rozwaliny, przeszłej nocy dzieło, i pół miasta i Wołgę w oddali; na podłodze tarcze, sajdaki, spisy, włócznie, hełmy, zawoje, siodła perskie, rzędy płonące od rubinów, leżą w nieładzie, a między orężem i zbrojami połyskują tu i owdzie szaty niewieście, welony gwiazdkami przetykane, naramienniki, wachlarze z drogich piór, futra, kobierce, makaty, roztruchany ze srebra, misy, dzbany miedziane, meszty wschodnie, zdarte z cieniuchnej nóżki oplatane kwieciem ze złota i kwieciem z jedwabiu; bursztyny, kanaki, korale. Pośród owych łupów to walających się na posadce, to ułożonych w stosy, siedzi w krześle wódz mołodców, otoczony swoimi i patrzy z pogardą na jeńca, który stoi przed nim wśród strażników z głową schyloną, ze spuszczonemi ramionami, bo je ciężar kajdan ciągnie ku ziemi.

Grek to, co się urodził żebrakiem na Archipelagu wyspie, a spanoszył się na dworze Carów i wczora jeszcze panował nad Astrachanem jak trzytulny Basza. W oczach tleje ostatek piękności naddziadów, ale na twarzy wśród pryszczów od wina i zmarszczków lubieżności, lata bojaźń śmierci. Dotąd suknia wojewody na nim połyska, wprawdzie jej hafty rozerwane, podziurawione rękawy; pas osunął się na piersiach z zgruchotaną klamrą turkusową, czarne włosy kręcą się nad czołem zkąd zeszła pycha: ona do tego czoła już nigdy nie wróci.

Zarucki namyśla się w milczeniu, rysy z początku surowe wypogodniały, znać że litość czy wzgarda, przemogły nad prawem zdobywcy, nad zwyczajem owych wieków. Już usta się jego roztwierają, wnet wyrzeknie, by jeńca wypuścić. Wtem spojrzał przypadkiem na poduszkę przy krześle, na niej leży jego bułat, karacena i kołpak się wznosi, czarny, stalowemi obszyty pierścieniami, sobolowym rąbkiem obwiedzion, nad którym świeci topaz w złoto oprawny — i u owej klamry dziwnie wygląda zatknięty kędzior jakowyś, spiekłą krwią i brudem zmazany.

Wyrwał go syn stepów i skoczył z siedzenia, w pochmurności czoła zagasł już wschodzący nań brzask miłosierdzia; pomiędzy łupami przechadza się żywym krokiem

deptając zawoje, szaty, klingi, mnie w dłoni sierść ową i ciągle milczy wśród towarzyszy, którzy zadziwieni i przelękli usuwają się przed nim.

— Widzieliście, wreszcie zawoła, widzieliście sami jako rącze były na suchym i na mokrym polu, w trzęsawiskach nie grzęzły, ale z kępy sadzały na kępę w nurtach rzek pływać umiały, gdyby dzikie wydry. Iwanie, byłeś ze mną, kiedy Istambuł uniósł mnie z pożaru Kołomny, wszak on potu nie żałował wtedy, by ocalić pana; od dymu i iskier nie odwracał nozdrzy. Leciał na zabój przez płomienie i rżał z odwagi. — Tu się zatrzymał i zdał się szukać kogoś wśród stojących kozaków. — A ty Sobolewski, mówił dalej, wskazując na jednego z nich, służyłeś mi za giermka w owej potrzebie z Achmetem Gierajem; pamiętasz li jako biedna Giemza dokazywała podemną. Trzy razy wskroś przez rzędy Bisurmanów przebiłem się wtedy, a zawsze tak chyżo mnie niosła, że czasu nie miały ich oczy dobrze mierzyć, ich dżyryty dolatywać mnie. A mur on wysoki na uboczu łąki zielonej, dobiegła, przesadziła, spadła na wszystkie cztery kopyta, parsknęła i biegła dalej.

A dziś, z nich obojga białe kości na brzegach Pratwy — przeklęta owa noc, owa pogoń, owe Tatarskie pachołę, przeklęci Moskale niewierni Marynie, zmienniki, służalce Michała popowskiego syna, oni mnie pozbawili najlepszego konia, najlepszej klaczy mojej! —

I tu przestał, po chwili się odezwał, ale już gwałtowniej.

— Ja wam powiadam, słuchajcie mołodcy, słuchaj i ty Greku, choć nie rozumiesz i słowa, boś nigdy nie bieżał po stepie, jadłeś, piłeś, ssałeś winograd na sofach. Ja wam powiadam, że już nigdy nie zobaczycie nic równego. Jako psy do mnie przywiązane były; a jaka maść, a jaki polot ogona, a jaka falista grzywa — oczy gdyby węgle, szczery ogień buchał z nozdrzy. Istambuł miał gwiazdkę białą między uszami, ale Giemza cała czarna była; kiedym świsnął przybiegały do mnie, kiedym pogłaskał z radości taczały się w piasku, a krzyknąć, to klękały, by łatwiej wsiąść było; nie raz, ale sto razy ostrzegły mnie rżeniem, że nieprzyjaciel za borem, za wzgórzem, w borze; nie raz, ale sto razy życie im winienem. Cóż po-

wiecie na to? —

Nikt nie śmiał się ozwać. — A ja wam powtarzam, że lepszych rumaków świat już nie zobaczy. — To mówiąc porwał za puhar z kryształu, stojący wśród łupów i rzuciwszy o ziemię, roztłukł na drobne kawałki.

— Przysiągłem owej nocy, odpływając na łódce przed patronem moim Św. Igorem, że Bojara moskiewskiego gardło przypłaci śmierć Istambuła i Giemzy: wojewoda astrachański za Bojara ujść może. —

Umilkł i zdawał się dumać głęboko; kiedy po czwarty raz się ozwał, znać było drżenie w głosie. — Chciałem przebaczyć. — Tu przez chwilkę mowę i oddech zatrzymał: — Żołnierze, prowadźcie go na śmierć.—

Zemdlonego wynieśli z komnaty; a wódz niepewnym krokiem poszedł ku siedzeniu, sierść z grzyw końskich na nowo zatknął u kołpaka, ale zatłoczył głębiej, pod klamrę, by już nie wyzierała więcej.

VIII.

Przez całe lato gody w Astrachanie odprawiali młodcy; czasem na wycieczki wylatują, lecz nie długo bawią, z plonem i moskiewskiemi głowami wracają; plon dzielą między siebie, głowy pokażą Sahajdacznemu, potem w Wołgę rzucą, zawiesiwszy kamień u szyi, miasto kijowskiej relikwji, która gdzieś, na pobojowisku została. W pałacu, na wzgórzu zielonem, nad rzeką, przesiaduje pan i pani. Tak bowiem ich zowią od zdobycia Astrachanu.

Po salach, po galerjach, nieraz widziano jako się przechadzała Maryna oparta na ramieniu Zaruckiego, jako on do niej przemawiał już nie kłaniając się jak dawniej, jak ona odpowiadała bez zwykłej dumy. A jednak w owym żołnierzu, który więcej nocy przespał pod niebem niż pod dachem, który w obozach ssał pierś mamki, nauczył się imienia Boga i mordowania ludzi, pozostało uszanowanie dla piękności, która w nieszczęśliwej godzinie powierzyła się jemu. On, choć dzisiaj wszechwładnym jest panem w Astrachanie i rozkazów żadnych już nie słucha z ust, które niegdyś krótkiem witały go i żegnały słowem, a póź-

niej do jego własnych się zbliżyły; choć wie dobrze, iż imię Carowej jest marą bez znaczenia, choć mógłby, koczujących wojowników obyczajem, znudzić się jej wdziękami i wypowiedzieć jej wierność, a nikt by się za nią nie ujął; dotąd jednak słucha jej słów jako dawniej bywało, kiedy w pokorze zbliżał się do tronu Dymitrów. Dotąd namiętnem spojrzeniem roskoszuje w jej licu i gotów zapomnieć o chwale i łupieży, byleby zyskać uśmiech dziękczynienia i słowo miłości.

Przepych wschodu ich otacza. Sułtańskie sofy i wezgłowia, kobierce Seraju, najrzadsze kwiaty, kamienie, konchy, perły na około błyszczą. Światła się palą w wazonach z przejrzystego alabastru i barwę roskoszy po ścianach rozwodzą. Makaty tkane w kwiaty ze złota i srebra kształtnie się fałdują u okien i u drzwi; z piór ptasich u sufitu rozwieszona tęcza; na stole całkie krzewy róż i jaśminu, a w ich cieniu napoje azjatyckie, owoce, śniegiem zaprawione cukry, Archipelagu wina; po kątach palą się w misach pustyni balsamy; u stóp Maryny walają się porozrzucane po jedwabiu i atłasach korale, wachlarze, naramienniki i muszle.

Gdzieś w dalekich salach odzywa się muzyka, której tony wpływają do komnaty i jak ostatnie fale u brzegu, zwolna pluskając dźwiękami, umierają w jej i Zaruckiego uszach; owym nótom nic nie zrówna w słodyczy; a jednak jest w nich siła ukryta, co powoli jak krople wieczornej rosy, których się nie czuje, wsiąka w mózg i piersi, pierwszy zawraca, drugie mdłą roskoszą rozlewa; przy nich dziecko płakać przestanie i uśnie, a wojownik szablę upuści na ziemię; przy nich pamiątki przerabiają się w poezję, chwila teraźniejsza staje się wszystkiem, a o przyszłość się nie dba; bo gdzież już szukać milszej nadziei nad to, czem teraz napawa się serce? Aż wreszcie człowiekowi zacznie się marzyć o harfach aniołów i zachce się konać. — Przy takowych dźwiękach wódz mołodców opowiada swoje wyprawy, zwycięstwa i klęski; jako na lipowej czajce przesuwał się między Dniepru wiry i śmiejąc się przepływał nad bezdennym grobem, skałom się umykał i z fal przeskakiwał na falę, przy grzmotach gromów lejących się z wysoka. Jako na szerszej łodzi Morze

Czarne nawiedzał i żagle rozdarte od burzy w odłamkach padające widział w około siebie, a jednak płynął dalej z janczarką w prawej, z lontem w lewej ręce, a przybiwszy do brzegu, wsie palił niewiernym i zdartemi z turbanów szalami pierś gołą obkręcał; jako do boju sprawiał roty swoje kiedy wodzem został i na czele ich z bułatem nad głową pędził w sam środek nieprzyjaciół. Pożary miast ludnych, odwroty o głodzie i zimnie, kiedy co krok w słupy przemarzali towarzysze, a on chuchał w palce i śpiewał dumkę stepów. Gonitwy po stepach na rączym koniu, przy świście wichru i targającej się burce u szyi, w nocy, kiedy gwiazdy jednej nie było w górze ni robaczka jednego świętojańskiego na ziemi, tylko piasku tumany, a czasami trzepotanie się wrony nad głową, w oddali skowyczenie wściekłych wilków. Pochody w bagnach, kędy murawa nad topielą zwodzi żołnierza, grunt trzęsie się za każdem stąpaniem jakby zapaść się miał, woda zielona i żółta dyszy pomiędzy kępami, na których leżą gadziny, serdecznie splecione z sobą. Rozpaczne szermierstwa z napotkanemi wrogami z potu i krwi niemałym przelewem; ran odniesionych boleści; nudy leż długich podczas niemocy, mdłości w konaniu, bo on już kilka razy konał to w lepiankach na słomie, to na polu bitwy między trupami. Trudny powrót do życia nim siły znów się zjawią i konia się dosiędzie; a wtedy na nowo gody i uroczystości przy buchających płomieniach wśród szczęków i łoskotów, krzyku i tententu za sztandarem powiewającym w powietrzu; dniem i nocą szturmy, harce, błędy, ówdzie chwały, ówdzie złota dla siebie, a obroku dla rumaka się nabędzie. Tu zginie przyjaciel, tam kochanka się zdarzy; a niebezpieczeństwo w każdej chwili, a roskosz idzie za niebezpieczeństwem, bo wtedy dreszcz luby gra po sercu, drażni piersi, poddaje mocy i pędzi wśród zgliszcz, wpław przez rzeki i piaski na zabój środkiem hufców, zawsze naprzód. Takiem życiem bodajby żyć wieki całe i nie umrzeć nigdy, mogąc umrzeć codzień. —

Podczas tych słów twarz jego pałała uniesieniem — a jednak nic nie było dzikiego ni w mowie, ni w tem uniesieniu; ani razu nie spojrzał wzrokiem, którym patrzał w bitwie lub wśród pożaru; ani też głos się nie

wznosił do owych ryków, któremi oznajmiał wolę swoją na pobojowisku; ale patrzał i mówił jak bohater, który skromnie opisuje swe czyny, jednak ciągle wie, że mało ludzi tyle razy życie ze wzgardą na łup śmierci rzuciło.

Maryna słucha ciekawie i podoba sobie w bezdrożach lasu, po których błąkał się Zarucki; w niej samej zarazem tysiąc pamiątek się budzi. Dumanie rozwiodło łagodną barwą po jej licu i czoło krasi wdziękiem niewieściej słabości. W oczach zjawiają się spojrzenia świętością nieszczęścia zamglone i tem ponętniejsze, iż w nich ciągle błyszczy ogień żywej duszy, która tyle cierpień przebyła, nie spuszczając nigdy z swojej hardości, aż dopóki wśród kwiatów, kadzideł i harmonijnych dźwięków upamiętała się w swoim statku i rozczulić się dała.

Ku wodzowi który ją uniósł z więzienia, który dotąd jej broni i służy, wzrok i serce zwróciła; niestety! i pierwszy Dymitr podobnie kwitł przy jej boku odwagą i szczęściem; podobnie i w jego objęciach marzyła, że całe życie będzie dla niej okazałą uroczystością, a nie podróżą z gruzów na gruzy. A gdzież się podział ów potężny mocarz? gdzie się podział ów drugi, który chciał stąpać jego śladami? proch z nich obu dzisiaj, a z Igorem może to samo będzie, bo jemu ta sama przyświeca gwiazda, co wiodła tamtych, gwiazda nieszczęścia i dumy!

Na ten ostatni wyrzut sumienia zbladła wojewodzianka Sandomierska i wyciągnęła ręce ku Zaruckiemu jakby przerażona, chciała tulić się do niego; jakby udręczona chciała głowę schylić na jego piersi i wstyd swój przed Bogiem zakryć; on jej odpowie westchnieniem; dziwnem było to westchnienie wydobywające się z jego szerokich piersi. Ale bo też w owem twardem łonie, na którem każdy pierścień kolczugi znak swój wygniótł od dawna, bije serce, którego krew i bitwy same zaspokoić nie zdołają. Trzeba mu chwil odpoczynku i chwil roskoszy. Któżby wierzył? w oczach wodza młodców łza nabrzmiewa i pada na rękę ulubionej; on niby się jej wyrzec chce i marsem spoziera w około, aż tu druga równie cicha i niespodziana zaszkli źrenicę, znów spłynie po licu, zatrzymując się na zmarszczkach trudami wyrytych, zsączając się w bliznę od tureckiego bułata i miga na twarzy jak kropla rosy na

zgliszczach pożaru.

Smętność wkrótce jednak inne myśli przerwą i wodza znowu pyta się Maryna, kiedy zamierza wracać w głąb Moskwy, by osadzić ją na tronie Carów.

A rankiem biją przed nimi czołem Hany pustyni i perskie bogacze. Zarucki rozsądza sprawy, tego na śmierć, tamtego na życie w łańcuchach skazuje. Rozdaje towarzyszom ziemie i domy, siodła i rumaki. Sam zaś obok lubej płynie po Wołdze, na statku obitym złotemi kobiercy i miasta, wały nawiedza; to w mieście przechadza się pod baldachimem jako na wschodniego króla przystało.

Czasami także na zamku palą się tysiączne światła i brzmi muzyka; nie owa pełna słodyczy, dolatująca uszu jak dźwięki w śnie wymarzone, ale huczna, wszystkie przejścia, altany, galerje, portyki zapełniająca; a jeszcze jej nie dosyć, bo i po dziedzińcach się rozlega, mury przeskakuje, i dopiero kona z jednej strony na kopułach minaretów, z drugiej na falach Wołgi.

Wtedy niewolnice zdobytych haremów tańcują przed tronem pana i pani, każda podług obyczaju swego, każda w stroju swej ojczyzny, skąd złotem przepłacone wdzięki przyniosła nad brzegi Kaspji na łup wyznawcom proroka. Świeże jak róże Edenu, z okiem rozżarzonem wiecznie, kołują, splatają się w wieńce, to rozrywają swoje szeregi. Lica niektórych dotąd świeżość niewinnosci krasi, inne już poznały co roskosz i nadal roskoszy tylko żądają; ona je przepsuje, przepali, na zgniliznę i popiół rozsypie; ale długo jeszcze będą pięknemi, a dziś żaden kwiat zachodniego świata nie zrówna im w postaci, lekkości, urodzie. Po tych błękitnych kobiercach, wśród owych makat lazurowych snują się nieprzerwanie: ich muślinowe szaty trzepocą się w około ich kibici jak skrzydła u ramion aniołów. To chmury letnie przesuwające się wśród błękitu, tkane w słońca połyski! — Raz osobne płyną, niby błądzą w niepewności aż się zjednoczą i mgła różnofarbna z nich powstaje wśród sali. To burza promieni, uśmiechów, puklów, szarf, welonów, skupiona, razem pędzi na skrzydłach wiatru, lunie deszczem róż i myrtów, zagrzmi dźwiękiem strón i głosami fletów, wreszcie opadnie u stóp Maryny i rozpryśnie się w tęczę jasności od jednej ściany do drugiej. A

niekiedy z kosztownego puharu popija Sahajdaczny wino zaprawione wonią i słodyczami; bo mu trosk brzemię cięży na sercu i nie dosyć tańców, lamp, muzyki, by ta pierś hartowna pamięć stracić mogła na chwilę. Trza napoju by mózg przewiercić do dna, a wtedy lepiej mu patrzeć i słuchać. Wie on bowiem, że bliskie niebezpieczeństwo i jego uniknąć nie raczy, choć nie ma nadziei, by go odwrócić mógł lub pokonać, jak tyle razy zdarzało się naprzeciw niemu; wczoraj jeszcze goniec przyleciał i padł z koniem na bruk pałacowego dziedzińca, a dobywając ostatniej siły wyrzekł. — Zbliżają się wrogi twoje, Igorze — i koń i jeździec rozciągnęli się raz jeszcze konając, a potem już leżeli bez ducha. —

On byłby dawniej porwał za szablę, zawołał na swoich: — do siodła i zbroi — i poszedł wprost naprzeciw burzy dla spróbowania losu. Dziś równie śmiały — ni go lata ni wczasy nie garbią ku ziemi; ale już nie ufa szczęściu. Dziwne przeczucie każe mu powtarzać po cichu: — ostatnie to chwile panowania mego. — Bo ludzie wyżsi nad gmin natchnieniem duszy lub czynami ramienia bliższe mają spółkowanie z światem duchów i jego poszeptom wierzą głęboko. Zdarza się często, iż takowe przeczucie we śnie się urodzi; czasami we dnie przy blasku słońca, czasami wieczorem wśród tańców i muzyki, nie wiedzieć skąd zleciało, ale to pewna, iż rozgości się w duszy i z niej już się nie oddali, dopóki się wraz z życiem nie rozemdleje w chwili dopełnienia. I w tem przeczuciu jakowaś roskosz przebywa niepojęta, pełna smętnego powabu; bo nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi; a dusza przywykła do niebezpieczeństw, nie lękając się zguby, nim nadejdzie, pewna że jej uniknąć niesposób, to używa uciech życia z podwójnym zapałem, to z uroczystością gotuje się na śmierć, a pośród tych przemian, co godzina, co chwila, siła przeznaczenia mocniej ją krępuje. Nie tylko szczególni ludzie, ale całkie ludy w takowy sposób konają czasami.

Spiesz się więc, spiesz Igorze Zarucki nasycić oko wdziękami lubej; naciesz się przepychem i zbytkami wschodu, nie dbaj o to, że za kilka dni może, z owych bogactw i całego królowania twego jedna ci pozostanie żelazna koszulka. Bohatery są posłańcami przeznaczenia,

wieszczami, których natchnienie wywraca miasta i wytępia ludy. Od kolebki do grobu siła ich pędzi nieznana, wszechmocna, której ani wrogi się nie mogą oprzeć w chwili zwycięstwa, ani oni sami w godzinie upadku; pospolitym ludziom przystało się trapić, kiedy śmierć przewidują, ale nie temu, który z wyższego zrządzenia umiera; a żył w taki sposób, że choćby legł w pustyni lub w głębinie morza, ztamtąd imię jego zmartwychwstanie jeszcze, by ziemię oblecieć.

A Marynie dotąd śni się o berle i Moskwie; niewieścia wyobraźnia żywszemi farbami świat wystroić umie i jeszcze wśród burzy, tęczę nadziei rozwieść po chmurach. W jej objęciach Zarucki innym człowiekiem, posępność z czoła mu precz uchodzi; w ramionach któremi kibić jej oplata, zdusiłby wszystkich wrogów swoich; ale kiedy przejdzie chwila uniesienia, kiedy nastąpi omdlenie roskoszy, wtedy znów czuje, że go śmierć czeka.

Żal mu jednak zamiarów, nad któremi wiele nocy przeczuwał i doczekał się białego ranka. Wreszcie chylił głowę przed Bogiem; dalej łudzić się nie myśli; dzieckiem no to, nie mężem być trzeba. — Do upadłego się bronić i upaść — oto jego ostatnia pociecha, bo w tej ostatniej walce rozwinie wszystkie siły swoje: poznają nieprzyjaciele jako lew osaczony kona.

Już też i jesień nadchodzi. Słońce nie tak wspaniale krąży po niebie, wyspy od Kaspijskiego morza śpiewają hymn śmierci kwiatom i drzewom; fale Wołgi pienią się od wściekłości w około Astrachanu piramidy piasku wznoszą się i przechadzają w pustyni, niby ruchome mogiły. Po zachodzie ogromna łuna widnokrąg rozpala, rzekłbyś, iż miasto wielkie goreje w oddali, meteory latają w powietrzu i rozpadają się na iskry czerwone. — Gmin tymczasem szepce o wróżbach i znakach, o powodzeniach i upadku mocarzy i wodzów.

IX.

Kozaków z Siczy i kozaków z Terku wyginęła moc. Do ostatniego bronił się Zarucki, wreszcie konia dosiadł

i z hufcem mołodców zniknął w stepach.

Wojska moskiewskie zalały oba brzegi Wołgi. Astrachan wrócił pod panowanie Carów. Szein Nikomko Horbroków przywodzi owym tysiącom, które się rozbiegły za Zaruckim, za Maryną. Po pustyniach pędzą Tatarzy i upatrują śladów uciekających; ale nieraz z tej pogoni już do wodza nie wrócą; mróz jeźdźców i konie do ziemi przykuje.

Szwed który dał się namówić do dalekiej wyprawy, dotrzymuje jak może kroku zimie i z ciężką rusznicą brnie po śniegach, brnie w piasku pod spodem.

Moskale śmieją się i powoli stąpają; im nie mroźno, im dobrze, im doma wśród zawiei i śniegów. Zaludniły się puszcze; obozy co chwila przesuwają się po nich; wielbłądy stąpają z białemi namioty gdyby z skrzydłami na grzbietach; świstom wichru na przekór grają trąby i kotły. Pod szaremi chmurami błyszczą hełmy, tłum bród moskiewskich podobnych do zgrai buńczuków posuwa się naprzód. Coraz głębiej zapuszcza się wojsko w manowce pustyni. Tak bowiem Car Szeinowi kazał, a Szein przykazuje im teraz.

Ale też trupow nie mało śladami ich lęże na śniegu. Kruki i sępy tańcują nad niemi w powietrzu i rwą ciała na sztuki, wśród burzy, popijając śniegiem.

Nigdzie nie mogą wykryć śladu męża i niewiasty, za któremi się uganiają; wiatr co pląsa w pustyni, ślady owe zaciera. Zaraza szerzy się po wojsku, głód nastanie wkrótce, a zatem wódz każe stanąć, sobie szopę wystawić, przedniejszym rozbić namioty bojarom, nory w ziemi wykopać żołnierzom i pokryć je sitowiem, co po jeziorach tu i owdzie rośnie; a że na siłach opadł, kładzie się na skóry niedźwiedzie i rozmyśla jakby sobie i Carowi dogodzić.

Dzień minął, noc minęła, żadnego powziąść nie zdołał zamiaru: — Wyginą owe tysiące bez żywności i o takim mrozie; mniejsza o to — ale ja może gdzie padnę na piasku; lub jeśli ujdę zgonu, a wrócę z niczem, w domu zastanę niesławę co mnie u progu przywita; ale mniejsza i o nią; więzienia i gniewu Jego Wieliczestwa się obawiam; żadnych mi nagród nie będzie.

A zatem zwołuje podrzędnych wodzów i Bojarów; oni stoją w poszanowaniu na około łoża, wśród ścian trzęsących

się od wichru, obitych skórami, porozwieszanych orężem.

— Radźcie, wolno każdemu zdanie powiedzieć; przysłużycie się mi, a ja, wiecie żem u Cara pierwszy na urzędzie i względzie.“

Naciągną się twarze, najeżą się brody, słychać szelest szat, bo każdy rękę podnosi ku czołu i długim rękawem o rękaw sąsiada się zetrze. Radzą i rozważają jako każdy może; ów rozpacza i zmrożoną pokazuje rękę; tamten spuszcza głowę i mruczy pod nosem; najdzielniejsi uśmiechają się, ale uśmiechem zwątpienia.

Horbroków wstrzymuje gniew, ale znać iż wkrótce wybuchnie; więc kilku głos zabiera i wystawiają trudy, które ponieść trzeba: — Nie słyszano nigdy nad brzegami Kaspji o tak ciężkiej zimie; nocy długie, gwiazd jak gdyby nigdy nie było na niebie, toż samo z księżycem. Tumany śniegu jak larwy szturmują do obozu; we dnie chmury czarne, nieporuszone, chociaż wicher dmie z całej mocy. Jako słońce wygląda, zapomni się wkrótce; przynajmniej u nas kiedy mróz, to słońce okazałe a gwiazd nie policzyć, tyle się ich skrzy w górze. Gdzież w tej obszerności szukać garstki ludzi? zostawmy ich na jadło czarnym lisom. Już oni nie wrócą, nie wrócą nigdy by zaburzyć państwo niezwyciężonego Michała; może już dotychczas przemienili się w stos kości a tych nie znajdziemy. Dnia sądnego czekać, aby na jaw się wydobyły. —

Zgrzytnął wódz i spojrzał surowo; wtedy młodzi się odezwą z przechwałkami. — Pójdziem aż na koniec świata, lecz wprzód wrócić do Astrachanu trzeba; żywności i prochu zabrakło, potem gotowiśmy pomrzeć za Cara chrzestne panowanie. —

Nastąpiło milczenie; płowe oczy Szejna żarzą się jak u chorego tygrysa, w ich spojrzeniach dzikość wojownika, chytrość doradcy zwyczajnie przebija; teraz dzikość wzięła górę; zadrżeli przytomni, on zagrzmiał potężną piersią, nazwał ich nikczemnikami, ale boleść przerwała mowę; musiał spuścić głowę i jęknąć, wyrwał sobie siwych włosów garść i sypnął niemi w oczy otaczającym. Wtem usłyszano głosy straży kłócącej się u progu; potem skrzypnęły drzwi szopy i wszedł młodzian, bez pytania się o pozwolenie. Ta zuchwałość wszystkich spojrzenia ku niemu obróci.

Nosił się dziwnym strojem, ni szwedzkim ni moskiewskim, zarywającym trochę na ubiór wschodnich Emirów. Szyszak miał stalowy, wygładzony jak lustro niewyczerpanych połysków, koszulkę z posrebrzanych drutów, spiętą czarnemi klamrami, a na każdej wydłutowana głowa niedźwiadka z arabskim w około napisem; z pod niej przeziera szata błękitna, kindżał u lewego, bułat u prawego boku, z pochwą o mnogich ozdobach, na ramionach rękawice z futrzanem obszyciem, a nogi żelazem okryte.

Wszedł i nie zatrzymał się czekając, by mu przystąpić kazano, ale przesunął się między Bojarami i stanął o dwa kroki od Horbrokowa.

— Nuradynie Murzo, Nuradynie Murzo, zkąd ta zuchwałość? — szeptali mu do uszów otaczający, a on się uśmiechał tak jak dziecko radujące się z własnej swawoli.

— Nie jednego już Tatara kazaliśmy zasmagać na śmierć w karę za krnąbrność, zawołał Szein podnosząc się na skórach niedźwiedzich i wlepiając oczy w twarz Nuradyna, jakby go przestraszyć chciał; wara, choć dowodzisz tysiącem ich i ubranyś gdyby odaliska Serajów. — Twarz młodzieńca nie zachmurzyła się na takową przemowę, założył ręce na piersi i czekał aż przeminie burza, potem rzekł z urąganiem:

— Przez proroka, przez Allaha, Szeinie Nikomko Horbroków, chłopie i sieroto Cara Michała Hospodara naszego, tym Bojarom, tym zmarzłym wojakom, precz każ iść ztąd, bo ja z tobą rozhowor mieć chcę. —

Tu już krzyk wodza uniesionego wściekłością i groźby przytomnych wstrzęsły belkami szopy; słychać brzęk sztyletów wyskakujących z pochew.

Nuradyn Murza rozśmiał się, ale już nie po dziecinnemu. Był to śmiech człowieka gardzącego podłą czeredą, znającego swój cel i dążącego ku niemu z niezłomną wiarą w przeznaczenie.

— Wodzu, kiedy oni chuchają w palce, ja moją rękę wystawiam na zęby mrozu; kiedy o odwrocie zamyślają, ja wnoszę, by pędzić dalej, kiedy zwątpili o pojmaniu żony Dymitra, kochanki Zaruckiego, ja przysięgam, że mojej pogoni nie ujdzie. Teraz komu z nas ztąd wyjść przystoi? Czy drżącym od bojaźni i zimna, czy temu, który z pu-

styni i chmur się śmieje, prędzej lata od sępa, zjadliwiej niż sęp ciało ofiary rwać będzie na sztuki? Ha! przysięgam, że tę niewiastę wykryję i pojmę. Dziś już mi donieśli gdzie ona. —

Z krwią najzimniejszą Horbroków skinął na otaczających, by się oddalili; potem rzekł do Nuradyna: — Głowa twoja Tatarze, lub głowa Maryny — i wsunąwszy się między skóry niedźwiedzie słucha ciekawie, co tamten powiada.

— W takowej pustyni, o takowej porze, zgniją wasze namioty, zmarzną żołnierze, na sitowiu ducha wyzioną Bojary i sam wódz skona; nie z obozem gdyby miasto wojować tu trzeba, ale z garstką, w której każdy jeździec strzała, a rumak każden jak pierze u strzały. Maryna już za Jaikiem, na lodzie go przebyła z ostatkiem mołodców.

Obyczajem rozjuszonego zwierza tarzał się Szein na łożu, rwał pięście, nogą pchnął szyszak stojący w pobliżu i rzucił go z łoskotem: — Uciekła. Car mi się nie pokłoni; wszelkiemu pospolitemu motłochowi pośmiewiskiem będę. Jaki z niego Bojarzyn, powiedzą z mnożnem natrząsaniem; łeb twój z karkiem rozbrat weźmie, Tatarze, za taką nowinę.

— Do moich tysiąca przydaj dwa tysiące Kumańskich, a twoją Maryna, a twoim Zarucki.

W głosie młodzieńca nie było żadnego wahania się, żadnej wątpliwości; nie spieszył się z odpowiedzią Horbroków, znów skórę niedźwiedzią naciągnął na szyję i dumał.

— Na słońcu mojej waleczności żadnej chmurki nie masz, od kiedy wam służę, wojewodo; przypomnij owe pachole co przybiegło do ciebie, kiedyś stał pod Św. Trójcą; a dziś wodzem jestem. Czemże wyniosłem się, oto błyskawicą mej szabli.

Wracaj do Astrachanu, tam odpoczniesz lepiej; tam i wino kipi w czarach, tam oczy dziewczyn wrą w powiekach, a mnie poślij za zbiegami; po bezdrożach po manowcach, dniem i nocą, ich nie odstąpię śladów; ścigać będę za Carycą jak kochanek za kochanką, a choćbym miał gryźć piasek i popijać sokiem piołunu, wytrwam i dogonię. — To mówiąc ruszał rękoma i całem ciałem, znać, że jego chęci tak żywe, iż nie dosyć mu słów na ich wydanie, a twarz wycieńczona przez rozkosze i opium, zabłysnęła nadzieją i szczęściem; nie owem szczęściem błogiem, które

jest snem namiętności, cichą pogodą bez żadnego wichru; ale owem co duszę człowieka jak piorun chmur, zarazem boskim ogniem obleje i rozerwie na sztuki. Oczy jego rozpłomieniły się nad zapadłemi rysami i buchające z nich spojrzenia budują Szeina.

— Dwa tysiące Kumańskich przydawam do twoich ludzi, ale przysięgnij, kiedy Ją i Jego związanych powrozem przyprowadzisz do stóp moich, bym ich zawiódł przed Hospodara naszego, że przed Hospodarem naszym za to o nagrodę bić czołem nie będziesz. Ja, Bojar Szein Nikomko Horbroków, klnę się przez błahoczesną wiarę naszą, iż sam soroków sobolich trzysta dam tobie w zapłacie. — Uśmiech niewymownej pogardy skurczył usta młodzieńca.

— Przysięgam przez proroka.

— A zatem dziś zaraz wyruszyć możesz.

— I wyruszę. — Po tych słowach poszedł ku drzwiom szopy.

Odwołał go Szein.

— Pamiętaj, młody jesteś, byś nie zabył obietnicy swojej. Ta wszetecznica, która się Carową nazywać śmiała, skarbów z Astrachanu, jak gmin gwarzy, uniosła mnożno, Soroków trzysta. — —

— Śmiech mnie bierze z twojej przenikliwości, przerwał Nuradyn: dowiedz się, iż twe źrenice by zgasły na zawsze, gdyby tylko połowę tych kosztowności, któremi ja gardziłem jak piaskiem, oglądać im przyszło.

— Ha! zawołał Horbroków, o twoim rodzie Tatarzy twoi dziwacznie bają; słyszałem, słyszałem. — I zamilkł choć chciałby dalej mówić, i nie oburzał się, choć gniewem nabrzmiały mu lica.

Nuradyn znów ku drzwiom postąpił: spieszy się jak człowiek, który pragnie wyjść na świeże powietrze z sali godowej, gdzie napój mózg mu zawrócił i rozpalił serce.

— Jeszcze jedno przykazanie: człeku pogański, weź na drogę — i odwołał go do siebie wódz skinieniem ręki; młodzian tupnął nogą o ziemię.

— Po morzu naszej cierpliwości żeglujesz bezpiecznie, jak gdyby to nie morze było, lecz tylko jezioro! — zawołał, klaszcząc rękoma, obyczajem znudzonego dziecka.

— Owa Maryna Laszka czarownicą jest niepospolitą. —

Bogomodlca Archiepiskop Legrygiej ogłosił mi zdanie swoje o tej nierządnicy: krasa jej najchrobsze serce zmiękczy, a ty młody i niewierny. —

Na te słowa dreszcz porwał wszystkie członki Tatara, kolana zgięły mu się ku ziemi, sto rozmaitych wyrazów weszło mu i znikło na licach: głos jego dotąd ciągły, dźwięczny, osłabł teraz i przerywa się co chwila.

— Nie bój się — niechaj mi się pokaże jako huryssa wśród pustyni — ona rajską rosą oblana, rajskie wonie w około niej płyną — piasek — śnieg — tumany — ona krzewem róż Edeńskich wśród głuchej puszczy, nad solnem jeziorem co dysze pod białą skorupą — przebrzydła owa okolica i rumak pieni się od strachu i jeździec nie dotrzyma siodła przed okropnością obrazu. Natura w dzikości swej dzieci swoich się wyrzeka — patrz — trupy leżą na zwirze — ot! sama podusiła swe dzieci! ale ani mój koń, ani ja nie zginę. — Jej wzrok będzie mi gwiazdą, jej głos harfą w pustyni — może i to być, że oboje przepadniem na wieki — polegaj na mojem słowie — przywlekę ci ją za włosy — polegaj — do Astrachanu — do pałacu twego — z szczerego jedwabiu jej pukle — przysiągłem. —

Ani zadrgnął żaden rys na twarzy Horbrokowa, ale słuchał uważnie, bo chciał podejść młodzieńca i wyrozumieć jego tajemnice.

— Nuradynie, nie przy wszelakich zmysłach zastaje cię pierwszy dzień twej wyprawy, wracaj pod namiot swój i legnij; kogo innego poślę na brzegi Jaiku. —

Zgryzł sobie wargę Nuradyn, znać w nim żal, iż popuścił cugle językowi, a zatem przybierze barwę spokojności i zarazem uszczypliwym przekąsem usta nastroi:

— Czasami się zdarza, iż mnie żarty porwą. Zawżdy niebezpieczne wycieczki i błędy zaczynam od tego; bądź zdrów, Wojewodo, o mojej wierności nie wątp i chwili, nie poznałeś się na mnie. — Lica jego w tej chwili cechę obojętności przywdziały, znikło gwałtowne wzruszenie co nim miotło; bawił się to frędzlą od szaty błękitnej, to rękojeścią kindżału.

Nie wiedział co wyrzec Horbroków, ale boleści co raz bardziej mu dolegają; wicher nabiera siły i tłucze o ściany, słychać w obozie jęki i odkazywania, a czasami głuchy szczęk

rydla o kłęby śniegu i bryły lodu. Znać świeżym trupom świeże doły kopią.

— Tatarze, idź, rozkazy wydam, pamiętaj, głowa twoja lub głowa Maryny. —

Rękę położył na sercu młodzieniec, zadrżał cały, ale umiał wnet pokryć wzburzenie duszy i ukłonił się nisko, ukłonem niewolnika obiecującego panu wypełnienie jego woli. Tymczasem w oczach jego świetnieje, że dopiął zamiaru i że on a nie kto inny, od tej chwili jest panem.

Nazajutrz obóz moskiewski zwinięty, wojska wstecz wracają ku Wołdze, a trzy tysiące jeźdźców oddziela się od niego jak kłąb śniegu od śnieżnej zawały i w przeciwną stronę się udaje ku brzegom Jaiku. Na czele Nuradyn z przepychem Szaha jedzie na arabskim koniu; nie pyta się o wicher ni o mróz co pod kopytami trzeszczy, ale pędzi z uniesieniem wojownika, który jedzie na pewne zwycięstwo, z zapałem kochanka co za lubą goni, z szałem człowieka przepalonego od namiętności, który długo udawał, ale dziś już udawać nie potrzebuje, bo zbliża się do ostatniej sceny żywota, gwoli której wszystko poświęcił.

Twarz jego otoczona połyskami hełmu bijącemi z góry i połyskami pancerza bijącemi z dołu. Cała siła młodości, wszystek ogień nadziei pała w źrenicy; rzekłbyś, iż on szczęśliwy i chwały i nagród przeczuciem; ale przypatrz się lepiej, a odwrócisz spojrzenie od tego uśmiechu piekielnej roskoszy, który do ust się przyczepił jak nienasycona pijawka.

X.

Za Jaikiem ciągną się błonia przeklęte od Boga; wicher jedynym ich jest panem, on tylu niewolników ma na swoje rozkazy, ile ziarn piasku drzemie w pustyni; przeciągłemi świsty budzi je i ożywia, potem jak mu się spodoba posyła na wsze strony świata.

Wznosi z nich budowle jednym zamachem skrzydeł i rozsypuje wnet drugim. To piramidom każe lecieć na zabój i kręcić się bez ustanku, to cały przestwór zarzuci mogiłami, i z głuchym jękiem przechadza się po smętarzu. To

znowu głos wyżej podniesie i wirami przestrzeń zamąci; sypią się jedne z za drugich bałwany piaszczyste jak spienione fale na morzu, a jako ze szczytów fal oderwana piana bryzga deszczem w górę, i tak z owych bałwanów wzlatuje proszek białawy i mgła niebo przesłania. Biada żeglarzom, których ta burza napotka, bo wyjdą na rozbitków wszyscy. Żwir jak ołów stopiony, zaleje im gardła, źrenice wypali, a ciała pójdą na dno, w sypkie wiekuiste otchłanie. Kiedy odpadnie zawieja, cała pustynia w gładką równię się układa; rozrzucone po niej wysepki z piołunu; tu i ówdzie czołgają się ciernie, a pomiędzy niemi węże okręcają się z sobą, przeciągłym gwiżdżeniem ogłaszając swą miłość.

Taki obraz okolicy, kiedy słońce wre nad nią latem w pełni swoich promieni: ale teraz śnieg obsypał piaski, rzeka stanęła, szron wszędzie połyska; kilka dni sokołowi lecieć po nad temi stepami a wzroku mu nie stanie: zatrzepoce skrzydłami, raz jeszcze się podrzuci i padnie olśniony na biały śnieg wśród gwiazdeczek z lodu. Tam gdzie pustynia zda się przylgnęła do nieba, podnoszą się wzgórza, dalej podnoszą się skały; bez drzew, nagie, chude jakby szkielety olbrzymów, których ród wyginął, a skamieniały kości. Tu dopiero zaczynają się manowce i bezdroża, czernieją paszcze jaskiń, z których snuje się para zjadliwa; granitowe słupy się ciągną, a między niemi kopce ze śniegu; lody jako blachy przykuły się do grzbietów i do piersi skał; wąwozy idą naprzód, obracają się w prawo i w lewo, to długim łukiem wracają wstecz i kręcą się bez ustanku. W tym zamęcie pamięć na mało się zda: raz wszedłszy, długo wyjścia szukać trzeba o pocie czoła, o krwi z nóg ciekącej; coraz inne przechody wabią ku sobie, tyle skał ile drzew w borze, wszystkie podobne do siebie jak liście do liści. Po męczących błędach wreszcie zatrzyma się pielgrzym i obejrzy się w rozpaczy, a one zdają urągać się jemu, bo te same, które minął od godziny, dotąd stoją na około, jak gdyby cichaczem stąpając za nim posuwały się kiedy on idzie, stawały kiedy i on stawa; mózg w głowie mu się zakręci, wyda mu się, że one kołem tańcują, wirem go porywają i wciąż niosą pomiędzy siebie, bez odpoczynku, bez końca; ale jeśli odzyska zmysły i

ochotę, jeśli szczęście mu posłuży, po zmudnej drodze wyjdzie z labiryntu i znów ujrzy pustyni obszar — za nim już zielone błonia.

Nuradyn zdąża ku owym skałom, bo mu szpiegi doniosły, że lew pustyni tu szuka schronienia; ale czyż on za sobą, by drogi nie zatracić, tak liczne porozstawiał czaty? Co kilka staj koń przyległ do ziemi i jeździec na siodle niewzruszony się trzyma; zdala miga zbroja, zdala marsowa postać wojownika; ale przystąp, ktokolwiek jesteś wróg li czy przyjaciel, on cię puści bez szkody, bo ramiona przymarzły do piersi i już od niej się nie oderwą.

Ani raczy się młodzieniec obzierać na towarzyszy, którzy z głuchym stękiem padają, potem już milczą na wieki. Mgły się rozeszły gdzie niegdzie, słońce wyjrzało. Tysiące udanych iskier błyszczą nad śniegami i przepadając pod kopytami, trzeszczą jako prawdziwe iskry gasnące w powietrzu. Nuradyn bez litości hufce swoje porywa za sobą, tak jak chmura w burzy, która wyskoczywszy z ogromu wyziewów zaprzęgnie się do nich i ciągnie je po niebie.

Wreszcie oparł się o skały i wrzasnął z radości. Bułat wyrywa z pochwy, śmiga nim w powietrzu i okręca w około szyszaku.

— Naprzód, woła, naprzód, oni tu i huryssa moja, i przeklęty jej mąż, potępieniec mojego gniewu! —

Ale Tatarzy ściągnęli wędzidła, kroku dalej nie postąpią, zaklinają się na grób proroka, że im na siłach zbywa, oczy odwracają i wyciągają ręce ku stronie, od której przybyli. Tam czarne słupy wyzierają z białego śniegu: — To bracia nasi. Nurydanie Murzo, odpoczynku wołamy! Nurydanie Murzo, przespać się noc jedną pod namiotem daj sługom twoim. Dozwól by na pół zmarzłym ogień zajrzał w oczy, skórę oblizał ciepłym językiem.

— Ha! nikczemniki, zawoła młodzieniec, zkąd wam śmiałości takowej przybyło? żeście tu na pustyni wszyscy, to mnie jednego zastraszyć myślicie? Snem to, snem, niewolniki moje, a nie prawdą, niechaj który przystąpi, a głowę zdejmę mu z karku tak jak dziewica Serajów pączek róży z gałązki odrywa; pierwszy lepszy. I ty Abadzie Sahali — ot! zginiesz jak marny owad. I ty Mecha-

mecie! już mój koń drży niecierpliwy; lepiej mu deptać po tobie niż po śniegu i lodzie. Zbliż się Akbareju! a dusza twoja nieboga na mróz się dostanie; mrugnij okiem, kiwnij palcem, nogę wysuń z strzemienia Hadżadynie! ruchem ust tylko mi się nie spodobaj, a ztąd kindżał wświdruję ci w czaszkę. —

I to mówiąc damasceński tasak wysuwał z dłoni i chował naprzemian, jakby zabierając się do jego rzucenia.

Głowę schylili przed wodzem w milczeniu, ale nie ruszyli się z miejsca.

Nuradyn szablę wyniósł do cięcia, konia spiął ostrogami by wpaść na nich, w tem klinga w drobne kawałki się rozłamie, rękojeść tylko zostanie w prawicy, huk od strzału janczarkowego zagrzmiał pomiędzy skałami, kula leży na śniegu wśród szczątków pałasza.

— Przez Allaha, za mną — krzyknął i nie obzierając się nawet czy go usłuchali, za mną, to Zarucki. Ale kiedy dopadł skał, rumak na nic mu się zdać nie mógł, skoczył na ziemię i z tasakiem w dłoni szedł dalej, kilkudziesiąt ochotnika pospieszyło śladami jego. Reszta została w około wielbłądów i namioty ściąga z ich grzbietów.

Od tego dnia, szczękiem szabel, strzelbą janczarek, rozlegają się wąwozy, pośród skał i filarów z lodu ścierają się męże; hurmem Tatarzy walą w bezdroża, ale źle im na nogach, do siodeł wzdychają; o siodłach ani myśleć, bo gdzie tylko spojrzeć, przepaść lub cypel, pieczara lub pochyłość. Dzielnie broni się Zarucki w ostatnim przytułku. Znać jego wszędy na czele mołodców wychudłych od znoju i niedostatku, ale serca w ich piersiach nie zdrobniały. Garstka pozostała przy wodzu, reszta wojsk co niegdyś Moskwę zbiegły pod jego rozkazem, Pereasław w perzynę rozdmuchnęły, Astrachan zdobyły, uciera się jak może; każdy z nich śmierci niechybnej dniem wcześniej, dniem później się spodziewa; ale nie żal ginąć w obec tak dziarskiego hetmana; on trupa uczci spojrzeniem żalu i słowem pochwały.

Prochu jeszcze wystarczy im na dni kilka, żywność ściągają z pod chmur, strzelając w dzikich gęsi stada; mech przyczajony pod szronem z głazów zdzierają, kłębkami śniegu odwilżają usta, opatrują rany, a czasami jeszcze

wśród bitwy dumkę stepow zaśpiewają; śpiewaka nie raz pocisk wskroś przeszyje, on pada ze skały w przepaść, a pierwszy bliższy zaczętą zwrótkę donuci.

Tak różnym losem wiodą wstępne boje — to nagle wpadają na Tatarów i chmura nieprzyjaciół w krew się roztapia, to przyciśnieni rozsypują się; owdzie stali hufcem przed chwilą, a teraz już żadnego nie masz. Tam gdzieś, z tamtej strony opoki odzywają się szelesty, jakby sto wężów razem pełznąc szurowało piersią po ziemi.

Nuradyn pieni się od wściekłości, wyrzuca swoim, że bić się nie umieją, i hojnie ich życiem szafuje to w ciężkich pochodach, to w codziennych harcach. Z obojętnością spogląda na rannych i na poległych. Tak jak wielki człowiek co nie dba o gminu zagubę, bo czuje, że przez zgon tysiąców dopnie myśli swojej ogromnej! — Ale w nim owa myśl nie w głowie, jeno przesiaduje w sercu, nie wywrze ona skutków na cały naród — może zaginie razem z nim w pustyni; ale dusza jego się spieszy, by się jej pozbyć i walkom swoim koniec położyć, nie dbając o to czy piekłem czy rajem, byleby ustały, byleby pokój, roskosz lub kara nastąpiła; przynajmniej już dzisiejszych uczuć w niej wtedy nie będzie.

A zatem śmierć bliźnich na sumieniu jego nie cięży. On by kraj cały rozniósł końskiemi kopyty, wszystkich ogniem i żelazem wygubił bez zgryzoty, bez bojaźni, nie opowiadając się ni szatanom ni aniołom, byleby mógł usiąść na rozwalinie i raz tylko do piersi przygnieść tę, ktora go pozbawiła litości, rozumu, sumienia.

A potem niechaj przed sądem Boga niemowlęta drobniuchne rączki wyciągając, dziewice zalewając się łzami, skarżą na niego: on gotów; on nie wie co to jest sąd Boga, ale wie i czuje co płomień, który piersi mu pożera.

XI.

Na łożu z mchu do piersi ciśnie dziecię niewiasta. Sklepienie jaskini zakrąża się nad nią, tu i owdzie draśnięte blaskami płomienia dogorywającego na szerokiem ognisku, zasypanem popiołami, zasianem węglami.

Niekiedy połysk i na nią padnie, a wtenczas z cienia wychodzą na chwilę rysy wyniszczone chorobą ciała i duszy. Jednak uroda ociąga się, nie chce opuścić twarzy, którą tak długo krasiła, woli chronić się do oczu, których jasność chyba wraz z życiem zemdleje.

Ale czemuż synek uściskom matki nie odpowie uśmiechem, nie wyciągnie rączek do niej, lub jeśli mu zimno i słabo, nie pożali się westchnieniami i płaczem; może to sen głęboki? Nie — on by się obudził na pocałunki tej, ktora go trzyma! Ot! błyskawica konającego ognia oblała twarz maluczką; rysy skrzepłe, drobne, ciało sztywne gdyby drzewa kawał, opuściła go matka, ono spadło na ziemię, potoczyło się trochę i leży jak szary posążek. Nieszczęśliwa skłoniła głowę na piersi i kilka chwil przebyła w zupełnem otrętwieniu, potem wstała i poszła ku ogniowi. Rozciągnęła ręce nad węglami by się rozgrzać. Szaty jej zawianie płomień wzbudziło i ten wyskoczył ze środka popiołów, złotym słupem podniósł się ku jej twarzy.

Znać w rysach walkę ducha z cierpieniem; stopniami jednak wyraz rozpaczy ustępuje miejsca wyrazowi tkliwszego żalu, uroczystszej powagi; pamięć o Bogu zda się rozciągać barwę pociechy na czole, powoli kolana naginają się ku ziemi, uklękła, a w czarnych oczach spuszczonych w dół cichą modlitwę odmawiają spojrzenia, ostatnie głosy duszy, której boleść przymknęła usta. Potem wzięła ciało w ręce i znikła w ciemnościach jaskini; niedługo wraca z zawiniątkiem i znów siada przy tlejących żarach; na kolanach złożyła dziecię, zawiniątko rozwiązała, połysk drogich kamieni wyjrzał ze środka, słychać pod jej palcami szelest szmat jedwabnych; taśmy złote i srebrne wyśliznęły się i pełzną na około.

W jej ręku cienki sztylet błyszczy, raz jej za igłę, drugi raz za nożyce posłuży; różne kosztowności spaja, wiąże z sobą razem, to rozdziera, pruje, dziurkami przeszywa; czasami też bierze miarę ciała, ramion, nóżek; wstążką piersi, główkę, szyję obwiązuje i odejmując, zważa pilnie na długość i szerokość. Z ostatków dawnej carskiej pychy, giezłeczko lamowane srebrem na trupa uszyła Maryna.

Nie łatwo odziać niem skościałe członeczki, nachyla się matka, całuje zimne powieki: — Pozwól, niechaj matka

Carowa ciebie, dziedzicu Dymitra, ubierze jako na cię przystało. W jednym grobie i ty i nasze państwo legniecie razem, na wieki synu mój, syneczku mój drogi. — I chwyta za rączkę, rączka gdyba z marmuru, i tchnieniem stara się ją rozmiękczyć, i twarz pociera i trze piersi, a kiedy się zmęczy, znów całuje, przyciska i prosi.

Wreszcie suknią błyszczącą przyoblekła syna, i zaraz do nowej bierze się roboty, z czarnej szkatuły wyjmuje koronę, nad płomieniem trzyma — a kiedy złota oprawa topić się zaczyna, odrywa z niej szafiry, djamenty, rzuca w popioły gdyby iskry nowe, potem coraz to okrąg ścieśnia i niekiedy przykłada do skroni dziecięcia; ale jeszcze za duża, więc znów nad ogniem ją topi i sztyletem wygina; teraz już pasuje mu do skroni. Następnie rząd pereł nawlecze, i zawiesi u szyi wraz z krzyżykiem rażącego blasku.

Uśmiech smętnej roskoszy na chwilę usta poruszył, kiedy go ujrzała otoczonym mnogiemi połyski: chwała Kremlinu, jak wspomnienie dzieciństwa we śnie dorosłego męża, myśl jej drasnęła; złożyła ciało na pościeli z mchu i marząc że śpi jej Carewicz, naciesza się okazałością jego.

Ale śmierć na twarzyczce szydząc z kamieni i pereł, ze złota i srebra, na przekor ich barwom, sine plamy coraz głębiej wyciska. Kroki wchodzącego męża ocknęły ją z dumania. — Dopełniają się losy Igora — twoje pójdą za niemi, rzekł głosem pełnym stałości. Dziś ostatni moi towarzysze polegli, kilku ranami okrytych zostawiłem w jaskiniach po drodze. Ah! ty płaczesz moja luba? —

I spostrzegł leżące dziecię.

— Błogosław niebu, że na anioła go dzisiaj wezwało do siebie. Jutro byłby cara niewolnikiem.

— Boże, bądź pochwalon, krzyknęła Maryna, podnosząc się nagle; masz prawdę Jgorze, on umarł spokojnie, z cicha, bez cierpień; osłabione ciałko nie pasowało się z odlatującą duszą; a ona teraz suto promieńmi uwieńczona przyśpiewuje w chórach anielskich i spogląda ciekawie na gwiazdzistą koronę przenajświętszej Dziewicy. Śpij, śpij synu mój. Ty wrzkomo znaku życia nie dajesz i co chwila na twarzy czarniejszym się robisz, ale ty żyjesz po nad temi skałami! Śpij, śpij synu mój; hańby nie po-

niesiesz, pogardy nie doznasz. Sługi twoje dawne nie przyjdą pętać cię w łańcuchy ni urągać się tobie, królewicu mój; żyłeś w kolebce jako dziedzic potężnego pana i umarłeś, nim dzień poniżenia zaświtał. Igorze zapal pochodnię, grób mu wykopiemy w głębi jaskini, tam gdzie leżą twe zbroje. — Dziś ja synowi twemu, a mnie jutro kto — rzekł wódz posępnie i łuczywo porwawszy z ognia szedł naprzód, ona z tyłu niosąc dziecię w ramionach.

I szli milcząc przez długie przejście, kędy sklepienie wyrobione trzęsieniem ziemi i pracą czasu w dziwne to zwęża się to rozgina otwory, to zdaje się lecieć ku ziemi i w słupie wiszącym zatrzymuje się nad nią: to znów wzbija się w górę i ginie w ciemności, to prosto gdyby wykute się ciągnie, to co kroków kilka łamie się kątem, zakręca się kołem.

Wreszcie doszli miejsca podobnego okrągłością swoją do kaplicy, ztąd wstecz się tylko wrócić można, dalej iść nie sposób, bo wszędzie zakrąża się opoka. U sklepienia przyczepione stalaktyty naśladują gotyckie ozdoby, krzyże filary, arkady: a pomiędzy niemi przerwy dziwacznego kształtu, to połamane jak gdyby kamień się rozprysnął, to znów haftowane; znać że długo kropla po kropli tu spadała z wysoka, ale dziś nie słychać kapania i wyschło już źródło.

Niżej w wydrążeniach ścian Zaruckiego rynsztunek wojenny starownie ułożony, kordów kilka, sajdak i łuk, skóra niedźwiedzia i druga lamparcia wiszą u żelezców strzał; dwie janczarki leżą na kamieniu, przy nich bechter stoi, a dalej hełm na siodle, obok siodła karacena nabijana srebrem z rzędami drogich kamieni.

Sahajdaczny wyciągnął z głuchym brzękiem pałasz, szeroki, obosieczny, prosty i nim zaczyna w środku jaskini dół kopać. Matka nad ciałem tymczasem odmawia modlitwy. Jej drżącemu głosowi wtorują bryły ziemi rozsypujące się pod żelazem. Niedługa praca, domek ostatni małemu mieszkańcowi rychło stanął w pogotowiu; rączki na krzyż złożyła Maryna, rączki przylgnęły do piersi; w całun go potem obwinie a nim twarz zaciągnęła, jeszcze raz kończąc Zdrowaś Marja, pocałunek złoży i wyrzeknie: Amen. Teraz go troskliwie obwiązuje i drogą suknią okry-

wa, lęka się, by piasek nie zaleciał między fałdy, by żwir gdzie nie gniótł dziecięcia i własną ręką wygładza dół grobu. A potem głowę odwróci, zatknie uszy i gorąco Bogu się modli.

Kiedy znów spojrzy, już wyrosła mogiła i wódz mołodców oparty na szabli, duma nad nią. Mogiła czarna, nie wysoka, obnażona; serce matki, że jej nie dostaje czegoś, natychmiast poczuło.

— Igorze, miej litość nad nim, znak zbawienia zatknij nad jego grobem, wtedy uwierzę, iż szczęśliwy, lecz teraz mu jeszcze skrzydeł u ramion nie widzę. —

To mówiąc oczy trzymała wlepione w górę, jakby pomimo wiązania z głazu ścigała za duszą syna w przelocie od ziemi ku niebu.

Zarucki obziera się na około i myśli, jakby można zadosyć uczynić jej żądaniu — przez chwilę jeszcze stał niewzruszony, potem idzie ku ścianie i łuk zdejmuje z niej.

— Hospodarko moja! to mój stary towarzysz; miałem ich dwa, jeden dziś pękł mi w dłoni i rzuciłem go w przepaść — drugi również prysnąć musi. —

I zdjąwszy cięciwę, nogą tłoczył drewno dopóki nie rozłupał na dwoje.

— On mi służył po licznych ziemiach. Tatarskie, moskiewskie, szwedzkie, z niego przebijałem gardła. Brzęk tej cięciwy był muzyką dni mojej młodości, najdumniejszy wąż pustyni nie umie tak gwizdać jak strzały, które z niej puszczałem, ale dajmy pokój temu, co minęło, a nigdy nie wróci. —

To mówiąc handżarem strugał i ciosał drzazgi luku, wióry padały na ziemię jako puchy ptasie. — Słyszałem od wiarogodnych ludzi, że kiedy śmierć bliska, łatwiej człowiekowi przyszłość przewidzieć i duchy ujrzeć w postaci widomej. Czy wierzysz temu, o moja Dziewojo? — Podniosła głowę schyloną nad grobem dziecka. — Wierzę.

Zadrżał wojownik i rękojeścią sztyletu zadzwonił o własną zbroję; dźwięk, który się rozległ, miłym był jemu.

— Tyle razy tratowałem po ciałach, spałem po zburzonych cerkwiach, po smętarzach, kędy z rozwalonych kurhanów blade wyzierały koście; pod Smoleńskiem siedząc na zmarzłych trupach w około ognisk z polskiem rycer-

stwem, piliśmy roztruchany miodu noc całą. —

Nieraz w puszczach z gwiazdami nad głową sam jeden błądziłem; dziwne wprawdzie słychać było szumy, to w zaroślach, to po bagnie, to wyżej między gałęźmi drzew; nie był to wiatr, nie było to skowyczenie wilków, ni jęki puhaczów; z temi głosy znało się ucho moje. Było to coś lekkiego, urywającego się, ledwo się odezwało, a jednak dreszcz gdyby tysiąc mrówek biegał mi po karku i plecach; wytężałem oczy, nadstawiałem ucha, bo ciekawy byłem stworzeń Boga, wyższych nad ludzi, błąkających się po świecie, którym noc jest dniem, mogiły mieszkaniem, wichry są skrzydłami, na których przelatują; całe w bieli, z oczyma błyszczącemi jak pruchno, milczące lub w krótkim słowie oznajmujące wyroki nieba, karę, potępienie; czasem też jak pospólstwo gwarzy stoją u łoża, na którem grzesznik umiera i straszne przeczucia w duszę mu kładą.

Nie mało też i po zamkach bywałem, w ciemnych komnatach, pośród starodawnych malowideł w burkę się owinąwszy zasypiało się wtedy. Dziwne sny mię trapiły, lecz na jawie nigdym nic pewnego nie spostrzegł.

Lubiłem jednak zawsze słuchać o marach i widmach. Łzy do powiek się cisnęły, choć to nie było ni miłością ni żalem, ani też bojaźnią; nie potrzebuję chlubić się z odwagi, insi wiedzą o mnie.

Nieraz jeńcom kazałem zdjąć okowy, wyrok śmierci odwołałem, bo godzinę wprzódy starzec lub białogłowa jaka opowiadała mi o duchach wstających z mogił, kiedy wszyscy zasną a na cerkwi północ uderzy. —

Krzyż już dokończony: cały z drewna, a u końców jego ten sam róg, w któren wgryzała się cięciwa — wódz złożył go w ręce lubej, ona klęcząc posadziła go na grobie — i wstawszy przypatruje się w milczeniu, a małe ramiona krzyża cień rzucają, który spływa gdyby wstęga czarna po bokach mogiły.

Igor odpiął przebity pancerz i pysznią go zastąpił kolczugą, szablę wyszczerbioną odpasał i zawiesił pałasz o klindze bez skazy, nabijanej hartownemi żyłkami. Hełm wziął z kamienia i wsadził na głowę.

— Gdzież się wybierasz Igorze?

— Gotuję się na jutrzejszą walkę, ostatnią; dawniej

na gody wdziewałem tę zbroję. —

Wtedy zmiana zaszła nagle na licach Maryny, kibić zgarbiona prostuje się jako dawniej bywało; i jako dawniej bywało, w oczach, na około ust, na skroniach wydatnem się staje, iże ona jest panią, której świat hołdował jako zamożnej w potęgę i urodę.

Wyciągnęła rękę ku mogile i pożegnała, jako się żegna z brzegu odpływającą łódkę w dalekie strony; potem wychodzi i stąpa przodem. Za nią Sahajdaczny, a kiedy wrócili do pierwszej jaskini, ona głosem niewzruszonym się zapyta:

— Czyż wąwozami przemknąć się nie możem? Znasz mnie jako biegnę po górach i pragnienie umiem wytrzymać w pustyni. —

Zarucki nic nie odpowiedział, przez chwilę trzymał głowę schyloną, nie rozpoznać czy on goni myślą za środkiem jakim, czy też poddał się zupełnie zwątpieniu.

Wreszcie podniósł czoło, wyraz jego twarzy był świetny w tej chwili, choć nie mówił o chwale ani też o szczęściu; pałała w nim żądza ostatniej rozprawy, zmiękczona przeczuciem, że już po niej cisza nastąpi, przeznaczona za grobem w nagrodę skołatanemu życiu: cisza ducha panującego ziemi z wysoka i przysłuchującego się głosom ludzkim szemrzącym o jego sławie, w oddali.

Porwał Marynę za rękę i wywiódł z jaskini. Zewsząd wieńcem, ciasnemi przejściami rozerwanym, okrążają ich skały. Ramieniem wskazał w górę, po wszystkich szczytach buńczuki Tatarskie zatknięte pływają przy powiewach wiatru jak grzywy biegnących rumaków, a nad niemi żarzą się półksiężyce oblane światłem czerwonem; bo tam gdzieś za górami zachodzi słońce.

Wzrok obraca do koła, co wierzchołek to znak nieprzyjacielski; słychać czasem wrzaski w odległości. Zrozumiała, ale przeto nie cofnęła się przerażona, ni płaczem niewieściej dowiodła słabości. — Taki więc miał być koniec Maryny Mniszchownej — rzekła wolnym głosem, bez goryczy, bez żalu, z powagą, która wodza mołodców do jej stóp rzuciła. — Maryno! — krzyknął z uniesieniem, a twarz mu jaśnieje od męstwa, w prawicy miecz ściska — i ja kiedyś byłem wielkim, i mnie dni pychy się zdarza-

ły, ale nigdym czy w złych czy w dobrych losach twej nie zrównał duszy. —

I rękę jej do ust przycisnął. Nie było to gorącem pocałowaniem kochanka, ale hołdem uwielbienia. Oboje wrócili do jaskini. Igor tlejące węgle mchem rozżarzył. Dwa sajdaki rzucił i pęk strzał w ognisko.

— Niekiedyś byłbym to czyniąc kilkudziesięciu wrogów udarował życiem; palcie się, palcie strzały moje, płomieniem przysłużcie się panu, kiedy już wasze żelezca i pióra na nic się nie zdały; w dym i perzynę lećcie strzały moje, mróz z członków mi zdejmcie; jutro jeszcze ich kilku trupem obalę. —

Przy ognisku zasiadł, a na jego ramieniu głowę oparła Maryna; za każdem słowem tchnienie jego po włosach jej buja, ręką opasał jej kibić, niekiedy po cichu na uściech pocałunek złoży. Ale już minęły owe czasy miłości pianej roskoszą chwilową i nadziejami bez końca: wtedy żywe bywały rozmowy, iskry w oczach nie gasły, rumieniec gorączki nie schodził z lica. Do uścisków mięszały się westchnienia, pośród nich mózg się zakręcał, drżały kolana, serce to było, jak gdyby od piersi oderwać się chciało; to znowu ciszej się kołysząc omdlewało jak gdyby na wieki. Dziś on ją kocha równie mocno, i jej miłość wyżej ceni niż kiedykolwiek wprzódy; ale o kilka kroków przed grobem zadumał się o grobie. Uroczystość zwykła tym, którzy nie lękają się zgonu, z wiedzą pewną, że gardło dać trzeba, zastąpiła dawny jego zapał. Śmierć jest świętością nad świętościami. Jej zasłona migająca w cieniu, nim człowieka obmroczy do koła, już mu dostojność nadaje; bohater w ostatnich chwilach żywota jest kochankiem wieszczów, a kiedy opona zapadnie, pod jej całunem na wieki wieków giną drobny plamy; wróg sam nie śmie ich wspominać siedząc na zabitego mogile, a promienie chwały zostają w górze i unoszą się nad światem.

— Dla czegóż widma nie snują się naokoło, ozwał się Zarucki — przecię już nie daleko do wschodu słońca, które ostatni raz moją szablę obaczy w powietrzu. Dzisiaj jeszcze pora wam duchy, dajcie przestrogę pielgrzymowi, który się wybiera w nieznane manowce; nie byłem ja owadem podłym na tej ziemi, nie czołgałem się pomiędzy

ludźmi, ale wyżej od ich głów rozpuszczałem moje loty. Znacie mnie więc, jako znacie błyskawicę wśród burzy! —

Umilkł, bo uczuł głowę Maryny cisnącą się do jego łona, jak gdyby nie mogąc się oprzeć trwodze, przytułku szukała.

— Nie drżyj, Hospodarko moja miła, zbliżamy się oboje ku nieznanym krainom; jakom cię strzegł i bronił po ziemi, takoż i w nich nie opuszczę ciebie, jeśli Pan Bóg dozwoli. —

Tu zamilkł powtóre i długo milczał; palą się pociski, już ostrza się rozczerwieniły, dym w żałobnych chmurkach wznosi się w górę i gdzieś między szczeliny w opokę się wkrada.

Milczenie zaległo całą okolicę. Ani Tatar ani szakal się nie odezwie, ognisko tylko brzmi różnemi głosami: to rozłupie się drzazga i sypnie iskrami, to stopione żelazo zaszumi padając na węgle, to płomień syczy okręcając się na około drewna, to popiół zsuwa się niżej z tłumionym szelestem.

— I jeszcze was nie ma, zawoła Hetman niespokojny, w godzinie upadku i klęski nie raczycie spojrzeć na mnie. Czyż i wam jako ludziom trza przepychu i fortunnych losów? Towarzysze moi, synowie stepów jako ja, wy, którzyście odpadli od mojego boku w setnych bitwach, na wzór liści od pnia dębowego, pokażcie mi się!

Bohatery, mistrze mojej młodości, których widziałem krótkimi gośćmi po rozlicznych tronach i ziemiach! Dymitrze, Rożyński, Sapieho! pokażcie mi się! Pamiętam owe dnie, kiedy głowy z karków nieprzyjaciół, chorągwie z wież miejskich zlatywały ku waszym stopom, ale i wam też powodziło się do czasu tylko. Jako ja po was marnie, takoście wszyscy przedemną zginęli!

Wrogi, które własną ręką pomordowałem w boju! żadnegom z was nie zgładził ni trucizną ni handżarem w plecy, ale strzałą z daleka lub pałaszem z bliska. Teraz już między nami winna nastać zgoda. Zstąpcie ku waszemu zwycięzcy, który w tę samą wybiera się drogę w jaką sam popchnął was przed laty!

Jęk z zewnątrz wleciał do jaskini i rozległ się żałobnie pomiędzy jej ściany. Maryna oczy wlepia w otwór

naprzeciwko, słupem stanęły jej oczy; wyciągnęła ramiona jakby coś odepchnąć chciała, lecz nie rzekła i słowa — nie wydała żadnego krzyku. Na progu jaskini wśród słabych połysków ognia i pasm cienia, miga zbroja i widmo jakoweś czernieje — chwilę postoi — potem wlecze się ku Zaruckiemu, krok za krokiem, potykając się i jęcząc, a im bardziej się zbliża, im w jaśniejsze okręgi wstępuje, tem okropniejsze się wydaje.

Stąpa jakby co chwila w dół zapaść się miało; twarz blada i krwią zbryzgana, włosy przypłaszczone do skroni, chrzęst zbroi na piersiach się odzywa, ręką jedną bok trzyma, drugą wstrząsa gwałtownie, jak gdyby grozić chciał i wzywać ratunku.

Igor wzdrygnął się cały.

A ten, który szedł ku niemu, już stoi z tamtej strony ogniska, czerwoną jasnością oblany, szmaty blachy kołyszą się u ramion, u szyi, u piersi i odrywając się padają na ziemię. Źrenice jak szron przystygły do oczu, usta się ruszają, ale ich głosu nie słychać. Nachyli się dwa razy i dwa razy się wyprostuje z przeraźliwem stękaniem. Ziewnął i głowę podał w tył, ramię wyciągnął jakby dla odzyskania równowagi i głowę podniósł, ale nie zdoła jej utrzymać i spuścił na piersi.

— Atamanie, jutro o świcie pogany tu; nasi w jassyrze u nich; wziąłem szablą w łeb, włócznią w biodra, kulą w bok, cały nie mogę. —

I podrzucił oba ramiona na wzór tonących.

— Hrehory umiera, niechaj żyje Igor Sahajdaczny! —

I upadł na plecy, ostatni krzyk jego był pożegnaniem wodza i odgróżką wrogom, on rozbił się o głazy jak łoskot pancerza, co pęka od tęgiego razu.

Porwał się Zarucki i obszedł ognisko, na ziemi leży Kozak rozciągniony jak długi, krew jeszcze pluska z czoła i z piersi, ale zresztą żadnego ruchu nie dostrzedz w ciele. Wódz pojrzał nań wzrokiem przyzwyczajonym do takowych obrazów. Barwa oczekiwania z twarzy mu zeszła; on myślał, że to duch, który rozwalił mogiłę, by gońcem innego świata stawić się jego wezwaniu, a to człowiek co się przywlókł, by donieść o ziemskiej wieści i umarł.

Ale ten człowiek wśród bólów konania o Hetmanie

swoim pamiętał jak syn o ojcu, po śniegu się zataczał cały w ranach, by raz jeszcze wykrzyknąć jego imię przed nim samym. Za tę wierność i kochanie, Zarucki ścisnął rękę martwemu i rzekł jako zwykł był mawiać nad trupami swoich. — Wieczny odpoczynek tobie Hrehory: byłeś dzielnym w boju.

Potem znów się położył na ziemi przy struchlałej Marynie.

— Anioły i duchy przymknęli uszy na moje wołania. Znać grzechy moje stanęły wałem między niemi a mną. Życie jest marną bitwą, w której człek nigdy z konia nie zsiada i walcząc bez ustanku wreszcie przegrać musi. Nie żałuję życia; ale ty dostojna i hoża, zrodzona byś ludziom panowała, krwawisz mi serce widokiem tylu wdzięków, zaginą przed czasem, bo na jutro pewna zguba.

— Ci, którzy państwami rządzą nie wschodzą i nie zapadają gwiazd codziennych trybem — odrzekła wstrząsając pierścieniami włosów z płomiennem spojrzeniem — nasze urodzenie i śmierć zarówno jest podziwem dla ludzi; w tem niechaj będzie nasza pociecha — ale tu głos zmienił się nagle i reszta dumy odpadła od czoła. — Na mróz i głód nie brakło mi wytrwałości, na zgryzoty i utęsknienia szerokie nosiłam serce, a teraz kiedy rozleciało się ono państwo obszerne i prześliczne, obfite w zboża i męże i złoto; kiedy komory pałaców moich na jaskinię się przemieniły, nie płaczę, nie szlocham, ale poczekam odrobinę jeszcze, póki przyjdzie zwycięzca i mnie urągać się będzie, a wtedy uniżony pokłon oddam Panu w niebiesiech i z tego świata usunę się na wieki.

Kiedy świtać zaczynało, wódz mołodców porwał za szablę i rusznicę, objął ramieniem kibić Maryny i w głąb jaskini się zanurzył, ani brał się już drogą wiodącą ku mogile dziecięcia, ale inną zupełnie, w bok tej pierwszej. Słabe światło zaziera przez otwory i szczeliny, gruzów pod nogami niemiara, zgiełk wiszących urwisk nad głową, słupy szronem okryte jak larwy bieleją. Czyż on żywcem do grobu zstępuje z kochanką?

W tem jaśniej się zrobi, płachta światła jakby oderwała się od niebios i skałę przebiła, leży na dolnych głazach, zewsząd otoczona cieniem; nad nią rozerwane

sklepienie i widać przelatującą chmurę.

Tu Zarucki ścisnął rękę Carowej i wstępując schodami, które czas wydłutował w ścianie lochu, wiódł ją za sobą, przebył otwór w górze i wdarł się na wierzchnie sklepienie.

Niebo całe szare od obłoków, u wschodu tylko zorza ognisko rozpaliła swoje i czeka słońca; gdzie niegdzie błękit przebija, chmury już się nie trzymają razem, ale jedne za drugiemi pędzą; przeczucie wiosny w powietrzu rozlane. Wszędzie na około podnoszą się skały śniegiem ubielone. Hetman wie dobrze, dokąd zmierza, ani spieszył się jak zbieg, ani zastanawiał się jak zbłąkany wędrowiec — ale równym stąpa krokiem, pilnuje towarzyszki, a zarazem okolicę przebiega oczyma. Jeszcze buńczuki powiewają na tych samych cyplach, dotąd nie słychać ni głosów, ni szczęków. — A więc dalej, a więc dalej, ku tej skale co się stromemi piętrami wzbija nad jaskinią jak wieża nad zamkiem u jej szczytu raz ostatni walczyć i zginąć chcę.

I jak gdyby fale ogromnej powodzi lecącj z góry nagle skamieniały, w takowy sposób piętrzy się skała, to wydymając pierś swoją to wziewając ją nazad. Po tych szczeblach z głazu wdzierali się oboje; doszedłszy krawędzi najwyższej zasiedli i patrzą na świat, co się pod niemi i nad niemi rozciąga, wzrokiem pożegnania. Ztąd objąć mogą tę całą warownię natury, która wznosi się z łona pustyni: cisną się tłumem opoki, rozdzielone tu i owdzie przepaścią. Ich ostrza to skupione, to rozerwane, to ząbkowane jak baszty, to śpiczaste jak minarety, to wzorem kopuł spłaszczone. Największa ich część nie naśladuje żadnych kształtów, ale pną się w górę, obwisłe śniegiem, najeżone lodami, łamiąc się w kąty, zaginając się w łuki, z dziką wspaniałością. Wschodzi słońce nad krańcem pustyni, piaski zapłoniły się, zatliły się szczyty; a ono ogromne, krwawe pośród pożaru chmur się wznosi.

Wtedy jedną razą ozwały się krzyki, nawoływania i hasła, głosy te grzmotem rozlegają się pomiędzy skałami i jak burza owiały Hetmana do koła. — To dzwony pogrzebu naszego — rzeknie z cicha i rusznicę opatrzy, lufę obciera z rosy by składniej celować mógł.

Z okolicznych gór sypią się hufce, z okolicznych wąwozów występują roty: to idą naprzód, to się cofną, to

gromadzą się do kupy, to rozchodzą: to ciągną jednym szeregiem, to małemi oddziały, znać że wodza szukają. Jemu spoglądającemu z wysoka zda się, jak gdyby ludzie owi nagle tknięci ślepotą zataczali się, drogi znleźć nie mogąc.

— To orszak naszego pogrzebu — rzeknie z cicha i zaśmieje się gorzko, szablę wyciągnie z pochwy i położy przy sobie; kindżał przymocuje, by nie zleciał w chwili zapasów — i oczy utopi w Marynie, by przed zgonem nacieszyć się jeszcze ową gładką twarzą, na której niebezpieczeństwo i jednego zmarszczka wycisnąć nie zdoła.

Wrzask nagły podniósł się od dołu, wnet strzał chmura i garść kul rozbiła się o skałę pod stopami Zaruckiego.

— Zobaczyli nas — rzekł spokojnie. Wzdrygnęła się pomimowolnie Maryna i krzyknęła w obłąkaniu: — O Polsko, Polsko, gdzież jesteś o Ojczyzno moja! — Ale ta słabość chwilkę trwała tylko, podniosła się i promieniami słońca oblana, spogląda na zbliżających się wrogów, oni wdzierają się którędy mogą i znów milczą tak jak chmury przed burzą.

Wdzierają się i po ślizkich tarzają się głazach, niejeden runie w dół by nie powstać więcej, odwalają gruzy, czepiają się wystających słupów, rozbijają ostrza lodu, pasują się z urwiskami dobywając sił wszystkich, jak gdyby na polu bitwy z wrogiem: napróżno; co ujdą kroków kilka zsuwają się nazad na kłębach śniegu — wyginają ciała, rozciągają ramiona by się utrzymać, klną proroka od złości i bólu. Napróżno, napróżno, skała odpiera ich ciągle; obchodzą ją i szukają z innej strony przystępu, nie znając drogi, którą przeszedł Zarucki. A on siedząc na wysokości, spogląda na nich jako człek zwyczajny pracom ludzkim w pocie i krwi odbytym, a które długo na nic się nie zdadzą. Zresztą nie znać w jego oczach by się unosił weselem, dla tego iż oni męczą się i konają; on wie, że wcześniej czy później po wielu trudach i zgonach, dójdą cyplu, na którym ich czeka, a nie tyle kocha się w życiu by cieszył się przedłużonem o godzinę.

Wrócili się i u stóp skały stanęli niewzruszeni; słychać głos jakiś co do nich przemawia; a w ostatku jego dźwięków, które wiatr przynosi do Zaruckiego, znać jeszcze wyraz

gniewu i pogardy, potem przerywane wołanie, niby rozkazy, niby odezwa do każdego po imieniu. Teraz już wszystko ucichło; ale z pomiędzy czarnej ich massy występują męże i w mały hufiec się gromadzą, jak odrywająca się chmura od gęstwiny zbitych obłoków, kiedy się jej zachce własnych lotów spróbować po niebie.

I w mgnieniu oka, rozsypawszy się na szereg długi, zaczną się wdzierać — wszyscy czarni po białym śniegu — co chwil kilka przerzedzają się: ów zniknął i śladu po nim nie masz, tamtemu głowę jeszcze widać nad śniegiem, ten potknął się i leży bez ducha; ale kto zręczniejszy, ten wspina się w górę, już zbroję na każdym rozeznać można — rysów jeszcze nie.

A ten który drze się na czele, dziwnie szybko uwija się pośród przeszkód niebezpiecznej drogi. Skacze na zabój i nie padnie nigdy, ślizga po lodzie i bieży po śniegu, jak gdyby aniół stróż trzymał go za włosy; rzadko spojrzy pod się, ciągle oczy w cypel skały wlepia, a gdzie otchłań z boku, on nachyla się ku niej, a gdzie doły, tam nie odwraca się od nich, ale pędzi prosto i przesadza je w pędzie. — W ręku trzyma szablę; towarzysze podpierają się na włóczniach i bułatach, on jeden swojej klingi śniegiem zmazać nie chce, ale wstrząsa ją nad czołem i poi w słońca promieniach. Zawój lśni mu się futrem i połyska djamenty, kolczuga to samo; a co chwila woła na swoich ostrym, przeraźliwym głosem, każe spieszyć za sobą, szydzi z ich ostrożności, a kiedy się kto obali i zlatuje w dół, on jeszcze głośniej się urąga.

— Bądź mi zdrowa na wieki — rzekł Zarucki podnosząc się z siedzenia i przykładając rusznicę do oka; ale wnet ją spuścił w dół.

— Czas jeszcze przypomnieć się Bogu. —

Przykląkł, strzelbę odsunął, pałasz złożył na ziemi, kindżał odpasał i rzucił o dwa kroki od siebie. — Słyszałem że Zbawiciel, który dał się ukrzyżować za nasze winy, nie lubi tych, co go orężnie wzywają. — Przy nim w milczeniu uniżyła się także przed Stwórcą Maryna.

Modlitwa Hetmana krótką była: w pokorze schylił czoło, dłonie ścisnął, gorąco prosił o przebaczenie w duchu, ale mało słów wyrzekł, jako przystało na żołnierza, co

przewalczył życie i pacierzy zapomniał wśród bojów.

A kiedy powstał, z lepszą otuchą pojrzał ku następującym wrogom i wziął się do broni. Dwa razy wystrzelił — dwa razy jęki usłyszał, i dwa trupy ześliznęły się na dół, jak pnie ścięte, spuszczone z góry; nie ma już czasu nabić rusznicy, a zatem rzucił ją w przepaść, ona to głucho szoruje po śniegu, to z brzękiem rozbija się o głazy.

Szablę wyciągnął przed się, Marynę własnem ciałem zakrywa; w tej chwili bił mu z oczu blask płomienia, jaki boje w sercach wojowników zapalają; nie była to wściekłość, ani też krwi pragnienie; nie był to zawrót mózgu w niebezpiecznym razie, ale wyższość umierającego bohatera nad zwycięzcami: ale przeświadczenie duszy u progu wieczności, iż nie napróżno błąkała się po ziemskiem wygnaniu. By stanąć przed Tym, który ją zesłał jednego trzeba podrzutu jeszcze. Patrzcie jak z nieustraszonem sercem zabiera się do niego! Piersi wystawił na groty, nogę wrył w ziemię i posągiem stoi; lewą ręką z tyłu dłoń ukochanej trzyma, chwila jeszcze a osaczą go wrogi.

Wódz ich dochodzi już cypla, ale żadnemu strzały ni kuli wypuścić nie daje. Znikł pod wysuwającą się opoką, uchwycił się wiszaru i wnet ukazał się na niej.

— Poddaj się, Igorze Sahajdaczny Zarucki. —

I to mówiąc, szablę spuścił w dół, swoim przykazał to samo, ale nie miłosierdzie ni uwielbienie ku zwyciężonemu przebija z jego liców; zasępione ma czoło, a namiętność jakowaś goreje w źrenicy.

Hetman zbył go milczeniem i wynosi ramię do cięcia; w tem uczuje drętwiejące palce Maryny i pomimowolnie się odwróci, a ona blada oczy przesłoniła ręką i powoli nachyla się mdlejąc. Rozśmiał się Nuradyn Murza i klasnął w dłonie. Ha! poznała, bierzcie go, bierzcie ją; dla niego męki, dla niej czwarty mąż. —

On spuścił głowę na piersi i rzekł głosem rozpaczy: — Bóg wie czem karze grzechy mojego żywota, śmierci się nie lękałem, aż on zesłał na mnie hańbę niewoli. —

XII.

Jak mogli tak zmykali Tatarzy od skał, od wąwozów — już też pogodniejsze niebo, słońce przygrzewać zaczyna, śnieg topnieje i wsiąka w piasek pod spodem. — Nadzieja, że u brzegów Jaiku zastaną gońców z Astrachanu i ojuczone wielbłądy, dodała im ducha.

Przebyli rzekę po lodzie — na tamtej stronie wódz kazał położyć się obozem, wielbłądy i gońcy z Astrachanu już czekali na nich — a zatem rozbijają namioty, ognisko rozpalą, biorą się do mięsa i ryżu, wina i wódki nie żałują sobie, wrzeszczą, a kiedy godzina modlitwy nadchodzi, bluźnią Bogu, śmieją się z proroka i piją dalej.

Na piasczystym wzgórzu, z którego wiatr zmiótł śniegi, stoi namiot Nuradyna podparty słupami długi i szeroki, obity skórami, z kopułą malowaną w połyskujące barwy, z półksiężycem nad nią.

Ztąd widok na cały obóz się roztacza, na pustynię aż do krańców widnokręgu i na brzegi Jaiku, snujące się w bezustannych zakrętach ku morzu, i na szare morze w oddali.

Dotąd wódz nie rozmawiał z swoimi jeńcami, przynajmniej nikt nie widział go razem z nimi; on jechał na czele swoich hufców, ich prowadzono z tyłu, męża w łańcuchach, niewiastę w taśmach z jedwabiu, jako był przykazał na cyplu skały.

A kiedy stanął na miejscu, krótkiem słowem oznajmił swą wolę, by każdy odpoczął i hulał; sam wszedł do swego namiotu i już nie ukazał się więcej; nadedniem tylko kilku śpiących u stóp wzgórza Tatarów w około ognia, wśród rozrzuconych ostatków biesiady, przebudził nagle hałas jakowyś; ciekawie na pół rozmarzeni, wytężyli uszy, brzęk kajdan słychać było i głos Nuradyna; ale słów żadnych nie można rozeznać — potem głuchy jęk nastąpił. Wzdrygnęli się słuchacze i wszyscy razem pomimowolnie zawołali: Allah! — łoskot padającego ciała na nowo przymknął im usta.

Wszystko ucichło, oni czekali jeszcze, ale niczego się nie doczekali, zatem każden wychyli czarę i znowu oprze głowę o siodło by zasnąć.

Teraz to południe, słońce na niebie z chmurami się

zabawia, to do tej piersi je tuli i na pół świeci tylko, to rozgania je i błyszczy w całej okazałości. Środkiem obozu zbrojni strażnicy wiodą niewiastę, długim zasłonioną welonem, broniąc je od ciekawych spojrzeń zagrodą z dzid i szabel, spiesząc się o ile tchu im stanie; przeszli obóz cały i wstępują na wzgórze, zakołacą do namiotu, podniesie się opona i wypuszczą z pomiędzy siebie tę, którą dotąd trzymali; potem za usłyszanym rozkazem, oddalą się nazad i rozsypią na różne strony. A ona weszła z głową schyloną, jako przystało królowej bez królestwa, niewieście bez towarzyszki, chrześciance wśród pogan, Polce wśród służalców Moskwy. Ale czyż to sen objął nagle jej zmysły? Czy już świat pożegnała i zapomniawszy o śmierci dostała się do krainy carów? Zewsząd wiązki świateł różnobarwnych krążą, zlatują, śmigają, woń kadzideł oblewa ją, raj kwiatów otacza do koła.

Pod jej stopami kobierce naśladują zieloność murawy, djamenty rosy przejrzystość i krople; u ścian piętrzą się obicia przetykane wieńcami róż, fiołków, jasminów i gałęzi, na których malowane ptaki prześliczne roztaczają pióra, a z góry pada światło dzienne, ale nim dojdzie oczu, przekrada się pośród muślinów i jedwabiów, długo błądzić musi po haftach ze złota i srebra, ślizgać na perłach, wyssać błękit z ametystów i z rubinów purpurę, a wtedy całe pijane od farb i połysków na dół się stoczy i pląsa w drżące łuki, którym końca nie masz. One biegną dołem i wspinają się nazad, wypuszczając z siebie kręgi, iskry, rozkwitania i życia pozór owym udanym haftom nadając, a promienistemi sieci cały namiot kratkują, od góry do dołu zalewają potokiem jasności, która płynie szkarłatem i błękitem; zieleni się jak szmaragd, to złoci jak pomarańcza i do oka wpływa mile, bez rażenia, bez olśnienia, gdyby tysiąc motyli igrających razem po trawniku, kiedy słońce już nie parzy a zachodzi w złocie; księżyc zaś naprzeciwko się podnosi lamowany srebrem, a między niemi dwoma ujęte chmury hożym wieńcem oplatają niebo: o takowej godzinie chciałoby się zasnąć z rozkoszy na wieki.

Jakoż temu, który leży na owej sofie w głębi pod oponą z jedwabiu znać z oczu, że marzy o miłości i śmierci; bo choć lubieżny uśmiech usiadł mu na ustach, bo

choć tyle wzruszony, iż bliskim rozczulenia się wydaje, dosyć raz przebiegnąć owe rysy naciągnięte, rozognione rumieńcem gorączki by wyczytać iż śmierć niedaleka mu grozi, a to nie łagodna, na spokojnem łożu, ale taka namiętna i rozpasana w boleściach, jak rozpasanem było jego życie w chuciach i czynach.

Leży na posłaniu, ale trudno mu doleżeć jeszcze chwili na niem, choć pragnie się wstrzymać i krwi zimnej dowieść, bo wie dobrze, iż spotkał się z duszą pełną i statku i hartu; bo chce inakszym się pokazać niż był przed laty; nie już po dziecinnemu i prosić i domagać się, ale jako na męża przystało znaglać i rozkazywać.

Napróżno, napróżno; jakąż siłą potrafi zaprzeć w siebie ten dreszcz, który po nim bieży? Krwi bijącej nie odpłoszy od serca, od skroni, żadnym sposobem; on syn pustyni ssał promienie jej słońca w kolebce i z nich spieka na zawżdy została się w łonie; a zatem zgrzytnie i rękoma uderzając o łoże odeprze się od niego; skoczył, stoi wśród namiotu na przeciwko niej. Tu jeszcze walczył z sobą samym, ale nie zdołał wystroić liców w pogodniejszą barwę. Tu jeszcze drżąc załamywał dłonie, chcąc im nadać pozór niewzruszoności, ale krew coraz zażarciej wre mu po żyłach; by zmysły odzyskać, głowę na chwilę odwrócić usiłuje. Ale niepotrafił, bo siła namiętności trzyma źrenicę jego wlepioną wprost naprzeciw. Poznał, że nie poskromi ognia, który zeń bucha — a zatem rzucił się jak wściekły, zasłonę rozdarł i oderwał z jej skroni i zatrzymał się dysząc, z potem na czole, obłąkanym wzrokiem, do szczętu znękany.

A ona wciąż zachowuje milczenie i z zwykłej powagi nic nie spuszcza, wprawdzie na jagodach znać ślady łez i smutek, ale kiedy te łzy wylała, o tem nikt nie wie; a teraz suche ma powieki i oczy posępne od wzgardy. Nuradyn wpatrywał się w nią i długo i długo. Dziwna że tak nagle się uciszył, głos mu zasnął w twarzy i ramionach, jedno spojrzenia zawsze równie mocne, sypią iskrami na lica Maryny, i z czoła mu wyczytać snadno, iż w duchu głęboko się namyśla: zapewnie nie trybem ludzi, którzy ważą na szali roztropności zamiary i doszedłszy brzegu przepaści wahają się nad nim, ale tak jak godziło się je-

mu, który nigdy żadnego uczucia nie rugował z duszy, o przyszłość nie dbał i duszę za pole bitwy oddał namiętnościom, a Tej, co zwyciężyła miłości dał dowód zawsze i sercem i ciałem.

Zapewne teraz w nim podobna odbywa się walka, a promienie różnobarwnego światła igrając po zielonej szarfie ziarkowanej złotem, po kaftanie i mieniącem się futrze, po białym zawoju, twarz mu najmilszemi oblewają tęczami. Wreszcie lica jego znów wyrazu żywszego, zmiennego nabiorą, głos do ust się ciśnie i mówić zaczyna — słowa jego muzykę naśladują: ani jednej ciągle trzymają się miary, ale przechodzą od tonów pieśni słabej ginącej w oddali do dźwięków wojennego pienia, brzmiącego po nad szczątkami broni i zwłokami poległych, w ustach zwycięzcy.

— O Agaj-Hanie nikt nie słyszał oddawna - pamięć pachołęcia zaginęła, jak gdyby to pachołę przypomnieć się nigdy nie miało; prawda, on był lękliwym, kochał panią i służył wiernie; śmierci za niej się nie bał; nawiedzał ją pod czarnym sklepieniem. O jakież z niego dziecię było wtedy! precz mi z tem wspomnieniem, niech ono będzie dla mnie jak skóra dla węża kiedy ją odrzuci, a w nowe ustroi się szaty. Hej! wąż wtedy śmiga i syczy w radości, bo mu jadu przybyło, bo w pierścienie ze srebra i złota oblekł giętkie ciało; biada ptakom co nadlecą, biada wędrowcom, którzy nadejdą: w pysze z chwały swojej, nie daruje nikomu. O Agaj-Hanie nikt nie słyszał oddawna; ale on nie przepadł jak gwiazda co zlatuje na dół w głębiny świata, jak koncha co z brzegu zsuwa się w bezdenności morza: on wybrał się sam jeden i przez pustynię życia do Medyny serca swojego pielgrzymował długo, o skwarze i pragnieniu, urągając się przeszkodom i trudom, aż wreszcie doszedł, a choć spalone ma czoło, nadwątloną siłę, nie żałuje tego. Bo to dla ciebie czynił, hurysso moja!

A teraz chwila szczęścia nad nim zawisła, jako zbawienie nad grzesznikiem, co długo błagał proroka, aż prorok zlitował się jego wołaniom. —

— Losem wojny, odrzekła surowo, w ręce sługi swego dostała się pani, ale nie przeto znikł rozdział między Carową a giermkiem. — Tu się zatrzymała, ale zaraz potem zawoła: — Nie! za nadtośmy bliskie śmierci, ażeby

się jeszcze pysznić z darów, które niegdyś Bóg zlał na naszą głowę, a w upodobaniu swojem odjął nam, za to żeśmy jego przykazań we wszystkiem się nie pilnowały. Wśród tej pustyni, w której jako przeczuwamy, grób nas czeka, zapomnijmy o Kremlinie i dniu owym, kiedy nie byłbyś śmiał oczu podnieść aż do poręczy naszego tronu; ale imię, na chrzcie nadane, ale drugie imię od przodków wzięte, tobie dobrze znane, twoją hardość ukrócić powinno. Owem pierwszem: chrześcianką jestem, owem drugiem: Polką — uchyl czoła pohańcze, pamiętny klęsk i wstydu swojej braci, ucisz się Tatarze. —

— Udajesz, chytra, bo znasz moje dzieje, one były muzyką twojego więzienia. Tam obsypałem cię perłami i djamenty z skarbnicy chwały moich naddziadów. —

Uśmiech goryczy wykręcił mu usta.

— Nie mów już mi o tem co przeszło, potem będzie sprawa i z nim i z nimi; ale mów że mnie kochasz, ale mów że chcesz być morzem jasności i roskoszy, w którem zatonę. Tyś mi życie przepsuła na niwecz — jako gwiazda co wróży nieszczęście, ukazałeś mi się i drasnęłaś promieniem; ale potem zniknęłaś, o gwiazdo moja, porwały cię wiry z ognia i uniosły daleko odemnie, a ja zostałem w ciemności, klnąc proroka, szarpiąc włosy; językiem moim stały się przekleństwa, napojem łzy i krew sącząca się z potłuczonych skroni. Ha, nagle porwałem się do biegu, ten który cię uwiózł nie ujdzie mej zemsty. Ścigałem i pieszo i konno, podliłem się przed ludźmi, klękałem przed bojarami, a śmiałem się w duszy; oni myśleli że to dla nich, a to dla ciebie było. — Kiedy to mówił, ciemniały mu rysy i pański głos przybierał; ona milczy i zdaje się nie słuchać.

— Ha! patrzcie; syn Padyszachów, mocarz nad Emirami, synowiec słońca, darmo żebrze miłosierdzia u Laszki. Gdzie twoje dwory, posagi, potęga, gdzie Dymitr, gdzie Zarucki? Opuściło cię wszystko, liść po liściu opadł z drzewa; strumień szczęścia, fala po fali, wysechł na zwirze niedoli; w kim dufasz, na czem się oprzesz, spojrzyj w około, sama jesteś wśród hufców moich.

— Wiem o tem, że sama i dla tego na śmierć się gotuję. Giermku, nie przeszkadzaj myślom moim, bo długi

wątek życia muszę okręcić w koło chwil tych kilku, co mi jeszcze pozostały, a potem rozkazy Cara wypełnisz! —

— O zważaj, zważaj na moje słowa, pokochałem ciebie najcudniejszą wśród urodziwych, kiedy anioł zesłany od Allaha, przelatując powietrze, zatrzymałby się w locie, roztoczył nad tobą skrzydła i przypatrywał się tobie; tak samo, jak gdyby nową spotkał gwiazdę, w chwili kiedy na rozkaz Stwórcy wznosi się z otchłani i pierwsze najświeższe promienie rozsyła po świecie.

Dziś, hurysso moja, po długiem niewidzeniu, znów oglądam ciebie; ale mgła żałości obwija twe czoło, jad głodu i nędzy wgryzł się w rysy twoje, pył długich błędów i bitew przypruszył kwiecie jagód twoich, i na powiekach dźwigasz ciężar bezsennych nocy. Byłaś jak chmura ukochana od słońca, na całem niebie żadna insza jej nie zrówna, ona jedna ciągnie oczy k'sobie, bo do niej całego nieba zbiegły się jasności, szkarłaty i złota, wiatry jej się przymilają i śpiewają w chórze podczas błękitnej żeglugi. A teraz zda mi się, jakoby zaszło słońce, a owa piękna, została z tyłu. Księżyc wznijdzie i srebrem ją wieńczy, ona cała srebrna przetykana gwiazdami, i patrzę na nią dotąd i kocham dotąd. Zerwij się do lotu chmuro, przybiegnij od morza; gdzie takiego drugiego znajdziesz, coby zarówno cię ubóstwiał, czyś w pełni czyś o zmierzchu twej chwały.

Zważaj, zważaj na moje słowa. Car tu jest niczem; z potęgi jego śmieje się Agaj-Han jak z kurzawy, którą z nóg otrząsa. Ja tu panem na całą pustynię. Zapomnij o przeszłości jako o ptaku co przeleciał i nigdy nie wróci. Na rączych koniach uchodź ze mną razem. Za temi piaski murawy się zielenią, kwiecia niemiara i ocean roskoszy. Tam hurysso, moja, nas dwoje będzie a świat cały naszem łożem miłości. Precz mi z Ojczyzną, Bogiem, Prorokiem, sławą i ludźmi. Żyć będę w objęciach twoich i skonam na twojej piersi. —

I zbliżał się do niej z drżącemi ramionami, jak gdyby ciało zabierało się do gwałtownego rozporządzenia. Rozhuśdane chucie szarpią mu rysy na twarzy, skręcają usta na których pożądliwość się pieni. Zęby dzwonią, biją od krwi co do nich napływa. W tej chwili wszelki ślad

Boży opadł od niego i stał się człowiekiem na podobieństwo szatana.

A ona zawsze równie poważna i nieulękniona, wzrokiem którym go hamowała przed laty, wstrzymuje i dzisiaj. On ślepego był męstwa na polu bitwy, odwaga w nim stawała się namiętnością, nieraz rzucił się jeden pośród tłumu nieprzyjaciół, nieraz choć słabszy, okręcił się giętko na około wroga i nagiął ku ziemi; nie z rozwagą, nie z zimnym statkiem szedł naprzeciw śmierci, ale z wściekłością, z obłąkaniem; a teraz do tej, którą ścigał tak długo, przystąpić nie śmie. Wyciąga ramiona, opadają ramiona; rzuca się ku niej, radby ją porwać w objęcia i przygnieść do piersi i tarzać się z nią po ziemi jako wąż z gadziną, ale zawsze odparty owem spojrzeniem na pół dumnem, świętem na pół, w którem i wstyd niewieści i uroczystość duszy myślącej o zgonie i ślad cierpień mięsza się do okazałości pozostałej z tylu powodzeń i potęgi; nie wiedząc co czynić, to płacze jak dziecko, to zgrzyta jak potępieniec.

Ale bo też na czoło Maryny Mniszchównej dziwna zstąpiła uroda: nie owa ziemska, której hołd składają ludzie westchnieniem i pocałunkami, w której przypadek zdarza, iż róże zakwitają na licu a gwiazdy zaiskrzą się w oczach; ale owa niebieska co jako cień znikomy czasem objawia się na twarzy, a rysów się nie trzyma, a z płcią się nie zlewa, ale jest córką duszy niepojętą i boską jak dusza.

Agaj-Han spiesznym krokiem przeszedł namiot i stanął naprzeciw łoża. Tam u makaty haftowanej w najśliczniejsze kwiecia wisi sznurek jedwabny z błyszczącą gałką, porwał za nią i zawołał:

— Ha! doszedłem tajemnicy twojej, ty sądziłaś że to perła ukryta w morzu. Igorze Sahajdaczny Zarucki, sam ukaż się lubej i rozwiąż ją od przysiąg wierności! —

Rozśmiał się całem gardłem, jak śmieją się owi co zmysły stracili i ściągnął sznurek; wnet podniosła się kurtyna i coraz wyżej się podnosi i zwija.

A otóż na czarnej pościeli leży człowiek w zbroczonych szatach. Twarz blada i ręce białe, na szyi skrzepła krew się czerwieni jak naszyjnik z koralu, ale świeżości życia śmierć jeszcze dotąd całkiem wyssać nie potrafiła, choć

już rysy rozwątliła i sinością powlekła. Nachylił się Tatar, rękę oplótł włosami głowy i głowa poszła za ręką bez żadnego oporu; przez chwilę kołysał ją w dłoni, urągając ściętym ustom, spuszczonym powiekom, roskoszując w śmierci niecierpianego, kiedy nie mógł roskoszować w miłości kochanki, potem rzucił ją pod stopy Marynie i wtedy utopił w nią wzrok przenikający, zacięty, jakby dla wyśledzenia czego mógł się spodziewać z niej po takim widoku.

Niegdyś byłaby wszystek ogień oczów wypłakała nad ciałem kochanka, przekleństwami i zemstą ścigała mordercę; sama do ciemnej nocy, po bezdrożach, napotkanego zmusiła do walki.

Ale dziś insze myśli i czasy, ręce wychudłe od nędzy, osłabłe od ciężaru kajdan; nikt nie stawi się na rozkaz, nikt nie poda ni sztyletu ni szabli; a też już i pono ostatnia chwila się zbliża, o ziemskich uczuciach zapomnieć się godzi, gwoli świętszym marzeniom duszę puścić trzeba w niebieskie szlaki, w drogę u której początku się stoi, a której końca nie domyśleć się, Panie Boże.

A zatem nie ledwo że konająca z wzruszenia i żałości uklękła nad ową śmiałą głową i spuściła ku niej oczy, a czem jednem mogła przysłużyć się jej, to za nią ofiarowała modlitwę, szczerą i niepokalaną, którą polecała duszę zmarłego opiece aniołów; a potem wstaje, drżąca od osłabienia, z równym jednak blaskiem w źrenicy, łzami niezamglonej. Łzy są dziećmi przelotnego smutku; jak z chmury wiosennej, na lica spadają i wróżą pogodę, ale kiedy zetnie je mróz boleści, wtedy nie pytaj się o słońce, bo ono może już nigdy nie wróci.

W Agaj-Hanie wre ciągle namiętność i mózg szaleje. Znów przeszedł namiot jak długi, hetmana głowę pchnął nogą, ona potoczyła się ku ciału — i zapuścił kurtynę, potem zdjął z nad łoża tasak oprawny w szmaragdy i niosąc go w ręku, zbliża się do Maryny.

— Nie igraj ze mną, niewiasto, iżby chwila miłości rączo nie uleciała, a wtedy nadciągnie godzina zemsty i kary; bo zemsta jako miłość weselem jest sercu, które przesiąkło rosą południową. Każda kropla takowej rosy od waszych iskier gorzej pali i rozjątrza; różane w niej wonie, trucizna piekielna zarazem; ogień co krąży po mnie jest

wieczną ci tajemnicą, córko północy. Ale z nim tak ostrożnie jako z płomieniem Allaha, bo on równie zabić umie.

Tu nagła zmiana zaszła w jego rysach i postawie, raz jeszcze schyla przed nią czoło jako przed panią, spojrzeniom swoim żaru ujmuje i na drżące, czułe zamienia, głos zniżył i płyną jego dźwięki jako dumka przez dziecię śpiewana.

— Zmiłuj, o zmiłuj się nademną, hurysso moja! Gwoli tobie całe poświęciłem życie, potok lat młodych, który mógł huczyć i pienić się po świecie, rozwalać skały i wykorzeniać lasy, zmusiłem do płynienia za twemi śladami, a on stał się drobnym strumieniem, który wyschnie w pamięci ludzi.

Ostatni jestem z mojego szczepu, mamże się rozbić marnie na skale twojego niemiłosierdzia i zaginąć, bez sławy, bez roskoszy, jako wyspa na morzu? Patrz, występuje z łona kipiących bałwanów, dniem i nocą złote miota ognie, nikt jej nie widział i nie dziwił się jej, samotna wśród pustyni wód wylała całą okazałość i znów zapada w otchłanie. Tak i ze mną będzie. Śmierć ci grozi wszędzie, piołun rośnie gdzie spojrzysz tylko, a tam gdzie ci wskazuję, wonieją róże i jaśminy. Skosztuj hurysso puharu miłości mojej, służyć ci będę jako duchy w niebie służą Allahowi — w jasności oczu twoich jako motyl ulatywać będę — dopóki olśniony, upojony, spalony, nie padnę u stóp twoich, a wtedy popiół ze mnie i kurzawa, a wtedy deptaj po mnie i przeklinaj mnie, ale teraz bądź moją, roztwórz objęcia twoje i synowi Padyszachów daj spocząć na liliach twej piersi, na białej piersi. —

I rysy młodocianą przybierały barwę; jako kwiat o skwarze słońca zwiędniały, a wieczorem podnoszący liście, tak i on w tej chwili rzeźwił się w nagłej czułości; uśmiech miłosny, swawolny, usta mu krasi, założył ręce i błaga. Nuradyna Murzy żaden z jego ludzi by nie poznał w tej chwili.

— Myśląc o tobie zatraciłem i język i naukę moich ojców; z duchami już nie umiem rozmawiać, ludziom rozkazować nie potrafię — wymknął mu się tasak z dłoni i podnosi oczy ku Marynie jako chrześcijańskie dziecię, klęcząc podnosi oczy ku obrazowi świętej.

— Morderco, pohańcze bez wstydu i bojaźni bożej, nie kalaj moich myśli twojemi gwary: możesz mnie męczyć

i zabić; Maryna Mniszchówna śmierci się nie lęka, bylebyś umilkł i chwil kilka do modlitwy zostawił. —

Głos jej posępny, wzgardliwy, przeszył wskróś Agaj-Hana. Schyla się niżej, ale nie w pokorze, jedno by podnieść sztylet upuszczony, a kiedy go podniósł, wyrwał z pochwy, pochwę cisnął pod nogi, a rękojeść okręcił palcami, aż mu żyły ręki nabrzmieją, a do oka, do rysów, ciśnie się wyraz wściekłości; całem ciałem trzęsie się gwałtownie, ścisnął zęby jak gdyby chciał się wstrzymać, ale głos w którem wcieliła się namiętność duszy usta mu rozerwie.

— Miłość twoja była dla mnie jako ten most ślizki nad otchłanią, po którym wszyscy w godzinę sądu przechodzić mamy do nieba; ale teraz dostałem się do raju, do zemsty.

I klingą tasaku śmigał w około jej skroni, w około piersi; ona zbladła, lecz do prośby się nie zniży, krzyku nie wyda, a na klindze rozbite promienie, wiązkami światła błądzą po jej licach i szyi, jak błyskawica, którą lustro śmignie, kiedy w nim odbije się słońce.

On igra z nią po jej puklach, po czole rozwodzi sztyletem połyski, powoli z przerwanym oddechem, z jaskrawemi oczyma, jak gdyby w tem czuł lubieżność jaką. — Hurysso moja, jakżeś mi piękną, w godzinie śmierci, a wiesz że dokąd idziesz i gdzie dostać się masz. Bez duszy, bez życia wiecznego, maro stworzona ku uciechom mężów, w proch się rozpadniesz i nic z ciebie nie będzie. Czemuż tak się kwapisz do snu i ciemności grobowej. Mniejsza o śmierć dla nas, którzyśmy nieśmiertelni; ale ty, niewiasto, nie ujrzysz nigdy pałaców Allaha; jako lampa którą duch bagnisk zawiesza na swoich kępach, świecisz trochę i umierasz na wieki. Ty i róża, obie nie macie duszy, jedno wasze barwy i zapachy mózg zawracają ludziom; a kiedy zwiędniecie, nikt nie troszczy się o was na ziemi ni w niebie.

Wzdrygnęła się na te słowa niewiernego; ona stoi nad grobem, a on jej przepowiada, iż nie odżyje więcej; mróz przejął serce nieszczęśliwej, bo choć wierzy dusza w obietnice Pańskie, ciało drży zziębłe i osłabłe, kiedy chwila zgonu nadchodzi.

Ależ anioły stróże pilnują chwil naszych ostatnich i powiewem skrzydeł swoich rzeźwią nas w konaniu; ona

też wraca do wiary i ufności, na Agaj-Hana spojrzy jak na złego ducha, i milcząc każdem biciem serca modli się do Boga.

Agaj-Han lewą ręką porywa ją za szatę, prawą tasak podniósł i trzyma nad jej piersiami; ona oczy przymknęła; ale powoli jego ręka mdleje, ramię zgina się i opada na dół stopniami, wreszcie opada zupełnie, a sztylet wisi u palców i ledwo się ich trzyma.

— Giermku, dla czego przedłużasz konanie Maryny Mniszchównej. Jużem myślała, że zawarłszy powieki, dopiero się obudzę gdzieindziej, nie w tym namiocie, nie na tej ziemi. Iżali czekasz jej prośb za życiem; jej ukłonów tobie? Próżna zwłoka, próżne i płonne nadzieje, daj mi pokój Tatarze i kończ coś zaczął, bo ci Polka za prawdę powiada, iż przed tobą nigdy się nie uniży. Panie Boże i święta Bogarodzico, zmiłuj się nademną.

Jęk rozpaczy wyrwał się z Agaj-Hanowej piersi, i ścisnął tasak i znów podnieść chciał, ale nie potrafił; ten drobny oręż nad miarę ciężał jego dłoni, a zatem go puścił i zdeptał gniewnie; potem w milczeniu po namiocie się przechadza, to krok za krokiem, wlokąc się, jak gdyby na siłach mu zbywało, to podskakując, jak gdyby nagle kula mu w piersiach utkwiła. Bladość śmiertelna po licach mu się rozlewa. Zda się, że namiętność co miotała nim i życiem jego była z przesilenia skonała: padł na kobierzec i gdyby nie oddech głuchy, ciężki, przerwany, miałbyś go za trupa.

Po chwili podnosi się w pół i wyciągając ramiona przemówi głosem człeka, co draśnięty światłem miesięcznej nocy, we śnie się odzywa.

— Garnijcie się do syna waszego Sułtana, Emiry pustyni, bo on dziś piękną pojmuje żonę. Długo błądził i chleb gryzł suchy u niewiernych, i psem był chudym u ich żłobów — ale teraz weźmie za rękę tę, którą ukochał i pójdzie z nią.

Horbrokowie, nędzny bojarze! tyś myślał, że ci tę perłę rzucę pod stopy, abyś ją zgniótł i u Cara za to miłościwej łaski nabył?

Gnij w Astrachanie stary i nie pytaj się o najurodziwszą z córek Adama. —

Tu uśmiech, gwałtowny usta mu opanował, tak że przez

chwilę dalej mówić nie mógł. — Ojcze mój, gdzie jesteś, trzy krople krwi z głowy twej spadły mi na skronie. Hurysso moja, we śnie i na jawie, panią byłaś Agaj-Hana! Co to za imię? Ktoś go nosił przed laty; królom i szachom djament potęgi pali się na zawoju, ale to znikoma gwiazda; oni dziś panują, a jutro ich synowie skowyczą z głodu po ulicach miast.

Widziałem, zważałem, kiedym przechodził a zimno usypiało nogi, wiecznie tam lodu nie masz, otwór — pchnąć — zleci — moskalom się nie dostanie — oni by ją rozćwiertowali. Tu głowa się toczy, tam skacze ręka, drgają owdzie piersi — nie — nie, przez Allaha! przez Haruna — cała, nieskażona, jako piękna jest na ziemi, tak piękna zstąpi w dół — a w głębi miękki piasek — i rozciągnie się na nim jako na łożu roskoszy. —

Podczas tych słów źrenica jego nabierała stopniami coraz więcej obłędu. Przestała się toczyć, wryła się w białko. Już nie rozmaite uczucia jako dotąd bywało, unoszą się na różne strony w jego spojrzeniach, myśl jedyna, po której żadna druga już nie nastąpi w jego duszy, przebija we wzroku. Powstał jak zwierzę pędzone instynktem i ujął za ramię Marynę i szedł ku tylnym drzwiom namiotu; ani wychodząc przypasał bułat lub wziął kindżał swój: szedł wlepiając w oczy, ściskając za rękę tak że jęczała z bolu; lecz ani już grozi ani się przymila; w milczeniu prowadzi ją zdala od obozu, po piaskach ku brzegom Jaiku.

Słońce już ma się ku zachodowi i jako zwykle w pustyni, im bardziej spuszcza się na dół, tem bardziej krwią się zalewa; powietrze wiosenne, ciepłe, śnieg tu i owdzie wyspami się jeszcze trzyma, w górze klinem suną żurawie, za niemi ciągną kuliki i ostremi głosy rozmawiają podczas podróży.

Stanęli nad Jaikiem, z piasku i żwiru ulane jego brzegi; a rzeka cała dotąd ścięta lodem połyskuje czerwienią zachodu, ale można już dojrzeć w oddali walące się ogromy, nurtem pędzone, gromadzące się u zapory z lodu, nie przerwanej jeszcze, trzymającej się obu nadbrzeży, które właśnie w tem miejscu zbiegają z góry i wstępują w koryto, jakby na pomoc lodowi. Ale już słychać z daleka huki łamiącej się kry, roztrzaskujących się bryl, a bliżej

głuche szumy, które podnoszą się z głębi wód, to niby kipią tam pod spodem fale, to znowu stękają przyparte ciężarem. Znać że się rzeka zabiera do buntu, a wiatr ulatując nad nią, poklaskuje ciepłemi skrzydłami.

O! sił już nie staje Marynie — zawróciła się głowa wśród odmętu przyrodzenia. Jeszcze raz palce podniosła ku czołu i tam znak święty składając szepce „w imię Ojca“— i wargi nie zbiegły się, usta na pół otwarte zostały, ale głosu już się nie spodziewaj po nich.

Agaj-Han porwał ją z siłą olbrzyma i niosąc w objęciach, na zabój się rzucił pomiędzy urwiska i cyple. Zlatuje na dół bezpieczny, bo duch szaleństwa czuwa nad nim, jak nad synem; piasek urywa się pod stopami a on nie pada, o głazy się potyka, a nie nachyli się nawet, skacze i pędzi; żwir z pod jego nóg leje się strumieniem, coraz niżej, coraz niżej, wreszcie dobiegł kędy ląd się kończy a lód poczyna; wstąpił bez namysłu, bez wahania i jako biegł po ziemi tak ślizga po lodzie, bez żadnego szwanku — wśród zawałów śniegu.

Oba brzegi cienie swe na Jaik rzucają, pośrodku nich gdzie już zetknąć się mają, wstęgę krwawego światła rozciągnęły zachodzące promienie; do tej kiedy doszedł Agaj-Han, stanął i szukał czegoś w około — ale nie złożył Maryny, choć dyszał i kroplami potu oblane miał czoło. Czego szukał znać że dojrzał, bo skoczył i znów w bieg się wprawił i leciał w stronę morza — w cieniu już nie zbaczając, ciągle się trzymając drogi, którą słońce wytknęło.

Nie długo znów stanie, coraz huki się powiększają, gdzie niegdzie lód już pęka, ale on jeszcze stoi na bezpiecznem miejscu, choć u samego brzegu otworu, w którym tryska woda; znać iż tam źródło odwieczne, bo na około wszystko zmarzło, a ono czyste, wirem się kręci i parą bucha.

— Obudź się! obudź, hurysso moja!

I ręką tarł jej skronia i kroplami wody twarz jej oblewał..

Otworzyła oczy i milcząc z ramion jego wysunęła się ostatkiem mocy, chciała krokiem postąpić dalej, padła na lód kolanami, ale już nie mdleje; widzi, słyszy, zrozumiała jaki los ją czeka, i w tej uroczystej chwili jeszcze raz podniosła głowę, jak gdyby chciała umrzeć z godno-

ścią królowej.

Klęczy na samym brzegu przepaści — on stoi nad nią z wzrokiem szaleńca i on może nie wie już kto ona, zkąd przyszła; może zapomniał swej miłości, swoich cierpień i trudów; ale on wie że tu jej zginąć trzeba; i objął ją ramionami, bez wściekłości, bez wyrazu zemsty na twarzy; pomimowolnie prawie, jak gdyby tajemnicza siła władała nim i on jej oprzeć się nie mógł.

Poszła na dno i fale zakipiały nad nią, wróciła raz tylko, ręce podniosła nad wodą i znów fale je zaleją, ani słychać by już mocowała się z niemi; źródło wre jak pierwej, ale żaden inny głos nie przymięsza się do jego szumu — jedno na niem, wśród czerwonej jasności igra między bąbelkami czarna wstążka z haftem złotym, głowa która go nosiła za życia, kędyż leży teraz?

Agaj-Han niewzruszony patrzy na topielę i czasami ręką pociera czoło; nie łacno rozum odwołać kiedy opuści duszę, i zostawi pustkami jako świątynię z której wyszły Bogi; stoi i czeka jakby się spodziewał, że owa którą kochał, nazad podniesie się z toni świeża i młoda, a w powtórnem na świat przyjściu zapomni o przeszłych dolach i jego miłości wysłucha.

I oczy wytrzeszcza i natęża ucho jako strzelec w kniei. Tymczasem w około powstają hałasy, rozmaite dziwaczne które z dołu się podnosząc, zdają się ostrzegać o niebezpieczeństwie. To jęk z oddali przylatuje, to wiatr gdzieś wpadł między kłęby śniegu i wzdycha jak dziewczyna; to niby skowyczenie gromady szakalów co uciekając ku nadbrzeżom pędzi, aż tu znowu ścierają się gdzieś bryły lodu i chrobocą jak piły, nagle zahuczą jakoby wysadzone w powietrze; potem słychać szum fal wartko płynących, i wrzaski ich wściekłe w około przeszkód biją się, potem znów szumią, znać, że tamę przeparły.

A bliżej w około niego, lód się ugina i warczy, pokrywa się rysami, to dziurki się wyłupią, to cały kawał się oderwie i kołysany przez wodę tłucze o przyległe ściany; świsty wiatru się wzmagają, pomiędzy niemi gęsi dzikich z góry zlatują głosy i jastrzębi przeraźliwe krzyki; z tyłu coraz więcej gromadzi się lodu; już nie bryłami ale wzgórzami, które oblegają zaporę co dotąd się

nie ruszyła i walą w szeregach z łoskotem piorunu. Ich ostre szczyty połyskują żarem od ostatnich promieni słońca. Gdyby nie chciał nawet oddać się zagubie, już za późno; ależ on o tem nie myśli; ku miejscu, gdzie zniknęła niewiasta, wciąż dzierży oczy, ani zważa na to, co się dzieje w około, bojaźni żadnej twarz jego nie pokazuje; stoi gdyby wryty i nie zadrży ni razu, stoi i czeka wciąż, a w jego mózgu szaleństwo odprawuje tajemnice swoje.

Słońce zapadło w głąb, gdzieś za krańcem pustyni, pożar ogromny po sobie zostawiło na niebie, tam palą się chmury i wzbijają się dymy, a tu roztrzaskują się lody, nurt płynący z góry je rozbija i miele; co chwila się przysuwa, a posada, na której Agaj-Han duma, trzęsie się od jednego brzegu do drugiego; w wirach podniosły się śniegi i latają w powietrzu jako mgły jakie, wicher pomiędzy niemi harce odbywa swoje i żałośnie jęczy, grzmoty jedne po drugich się rozlegają, coraz bliżej. Zda się jak gdyby na nowo archaniół ciemności zwoływał swe hufce i gotował się do walki przeciw wszechmocnemu Bogu.

Wszystko rwie się i pęka, chwil kilka uszło jeszcze, na krę cały lód się podarł, a on został na szerokim cyplu i oddala się od źródła kędy zginęła Maryna. Błyskawicą pędzi pomiędzy bryłami, a ręce wyciąga i jeszcze patrzy na niego, wzrokiem bez życia, świecącym jako świeci pruchno.

I z tyłu i z przodu pędzą za nim lody; on na swojej wyspie okolony słupami, wzgórzami, ostrzami, leci wśród odmętu; co chwila topnieją, kruszą się jej brzegi, to w kliny się wytną, to wygładzą się okrągło, ale coraz ich mniej, coraz mu ciaśniej. Trzyma się na środku, ręce na piersi założył, zawój bogaty mignie jeszcze czasem w promieniach zmierzchu; nadbrzeży Jajku nie dojrzeć już bo filary, zawały, kopce z lodu je przesłaniają; woda i lód oto świat jego, ale on tego nie poznaje świata, bo dziwaczne otaczają go kształty, bo płynie jak strzała, i te kształty płyną z nim — przy ciągłym szumie. To mu się wydaje, że kręci się na jednem miejscu, to znowu, że olbrzymy krainy nadziemskiej podają mu dłonie i ciągną go z sobą, a zimno, a okropnie, a coraz ciemniej; lecz pośród cieniów znać ciągle jako te duchy skaczą i suną w około. Raz tylko podniósł głowę i to nie z namysłu —

przypadkiem, nie wiedzieć dla czego, a nad sobą dojrzał gwiazdę, z którą biła się czarna chmura. To mu przypomniało, że kiedyś bywał w okolicy zkąd takie gwiazdy i takowe chmury widne bywały, że w tej samej okolicy urodziwa postać przechadzała się niegdyś, i chciał dalej przypomnieć sobie, ale gwiazda zniknęła, rysów tej postaci doszukać się nie mógł — i głowę spuścił na piersi.

Ku morzu, ku morzu kra Jaiku pędzi i z nią Agaj-Han. Żegnaj mi na wieki dziecię mojej wyobraźni, za chwil kilka pochłoną cię fale i przerzucać sobie twoje ciało będą. Życie ci przeszło na mękach a mściłeś się zbrodniami, na tych których nienawidziłeś, na tej którąś kochał. Teraz ty i ona jednym jesteście porwani pogrzebem; a wasze dusze kędy się podziały? Nie słychać było jako z waszych wykradały się piersi, nie słychać było ich lotu w przestrzeni, ale ona konając modliła się Marji.

Królowo Polski! daj jej zasiąść u stóp twoich, bo korona carów była dla niej wieńcem cierniowym, życie jej długą pielgrzymką, daleko od Ojczyzny, wśród obcych i zawistnych. Królowo Polski, zlituj się nad córą Twoją.

NIE-BOSKA

KOMEDYJA.

„Do błędów nagromadzonych przez przodków dodali to, czego nie znali ich przodkowie — wahanie się i bojaźń — i stało się zatem że zniknęli z powierzchni ziemi, i wielkie milczenie jest po nich."

BEZIMIENNY.

„To be or not to be, that is the question."

HAMLET.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

WSTĘP.

(Góry w okolicach Wenecji. — Wschód słońca. — Na skale Aligier i Młodzieniec w stroju myśliwskim).

MŁODZIENIEC.

Patrz przyjacielu! w jakiej purpurze Bóg dnia się zrywa. Bodaj by tak się rodzić człowiekowi i kiedyś tak ziemi panować! Patrz! jak ta biedna, ostatnia gwiazdeczka umiera — mówią, że tkliwe serca tak zwykły konać przed światłem geniuszu. O! słońce bywaj, bywaj! zajrzyj w te jary kędy dotąd lęgną się ciemności i mostami tęcz połącz brzegi tych bladych potoków. Tak mi świeżo — tak mi dobrze — tak bystro — ostro — tak daleko widzę — czuję, że dzisiaj nie chybię ni razu. Giemza co na tamtym wierzchołku mech gryzie, niedożyje południa. — Ot! trąbki naszych od góry jodeł się odezwały — chodźmy!

ALIGIER.

Ja tu zostanę —

MŁODZIENIEC.

Aligier! co tobie dzisiaj? od kiedy słońce zaszło wczoraj, tyś do mnie nie przemówił słowa. Gdyśmy o północy zaczęli wdzierać się na skałę, w milczeniu stąpałeś stroną przepaści, znakiem ręki tylko ostrzegając mnie o niebezpieczeństwie. A teraz gdy łowy się rozpoczną, gdy od grania psów zadrżą wszystkie kory sosen, i ziemia i skały i duch w nas — ty się ociągasz, ty niechcesz być z nami?

ALIGIER.

Czy nie wiesz że o tej godzinie zwykłem modlić się do Pana? —

MŁODZIENIEC.

To poczekam.

ALIGIER.

Czy nie wiesz że w samotności zwykłem modlić się do Pana?

MŁODZIENIEC.

To powiedz kiedy chcesz a wrócę po ciebie.

ALIGIER.

Wieczorem zastaniesz mnie na tem samem miejscu.

MŁODZIENIEC.

Przez Boga żywego, człowiecze chodź ze mną, proszę cię, chodź — bez ciebie nie będę umiał celować. Aż na tamten szczyt nagi dostać się musim — tam kryształy rosną i dzikie zawieszają się kozy — chodź! strzelcy mówią że ztamtąd świat cały widać!

ALIGIER.

I ztąd można świat cały zobaczyć!

MŁODZIENIEC.

Jak?

ALIGIER.

Zamknąwszy oczy i ukorzywszy ducha przed Panem!

MŁODZIENIEC.

Znowu zatrąbili — bądź zdrów! teraz z góry na dół, potem znów w górę, w górę aż pod te obłoki. Aligier! serdecznie mi żal że nie chcesz iść zemną!

ALIGIER.

Nie podawaj się tak naprzód — czepiaj się gałęzi — widzę przecież — widzę — tylko nie oglądaj się ku mnie — ostrożnie tam, koło wodospadu! —

Już on mnie nie słyszy — lotem ptaka leci jakgdyby nie ciężał do ziemi — płocho, wysmukle, niedbale o pierwszej zorzy życia buja dziecię śmiertelne, podobne duchom, które już nigdy o śmierci nie posłyszą. Ale one znają tajemnice życia. Ono i o życiu nic nie wie. Jak eter, z którego błękity uwite, zrość się może w bryłę ciemną lub

w jasne słońce lub w nikłą parę igraszkę powiewów, tak i ono wszystkiem być może lub niczem! — wybranym niebios lub ofiarą piekła!

(Wznosi ręce.)

Ojcze Niebieski! onych dni, zaciemniły się drogi Twoje na tej kuli ziemskiej. Twarz Twoja zakryła się obłokiem. Znów Cię ludzie szukają i znaleść nie mogą. Ty wschodzisz. Ty wejdziesz — czemu oni patrzą w sam środek niebios? czemuż nie na widnokręgi? — Ojcze Niebieski! ta chwila przejścia to straszny zmierzch oczom, to straszna pokusa myślom, to straszny ból sercom ich! Jeśli jej nie skrócisz, to wielu z nich poginie!

(Klęka).

Za tym Cię proszę, Panie, któregoś duszę mi powierzył — wysłuchaj o niej świadectwa mego. Ona bezustannie, sama o tem nie wiedząc, ku niebu twemu się wydziera. Zaród wszelkiej piękności, iskra Twoja pali się w jej głębiach, tylko że ciało jako mgła wielka obeszło ją zewsząd — przez mgłę, duch, którego strzegę, szuka Ciebie!

I nie przejrzał dotąd, że Ty nietylko wysoko nad nim, nie tylko głęboko pod nim, ale też i wewnątrz niego samego przebywasz. Daruj mu więc Panie, że tęskni za Tobą.

I oto smętno mi aż do śmierci, Panie, bo pora jego niewinności przemija — bo serce mu wkrótce rozedrze walka dobrego i złego, jedyna, straszna matka cnoty. Wspomnijże i o mnie, Panie! — zmiłuj się nademną, miłując się nad nim!

(Zniża czoło do samej ziemi.)

A nie proszę Cię, Ojcze Niebieski, byś mu ujął co z trudów życia — wiem, że na wzór wszystkich wygnanych w świat a przez świat wracających ku Tobie, on próbę fałszu przebyć musi, gdy pokusy wybije godzina. Stań się wola Twoja — chłostaj go gradem boleści — poniż go wśród ludzi — niech mu włożą kajdany na ręce — niech ciało jego wycierpi męczeństwo. Jedno uskąp mu hańby podłości, jedno zbaw go od wiecznej nocy Ducha! —

— A na to dozwól mi, bym go ostrzedz mógł w tej przedostatniej chwili.

— Niech dzisiejsza noc mnie słucha, gdy ją zaklnę Twojem Imieniem — niech wyziewy dolin i pary potoków

zlecą się do mnie, a ja z nich stworzę wiotkie postaci, natchnę je myślą Snu który jutrzejszej nie dożyje Zorzy!...

Ale w nim będzie prawda wiekuista Twoja i prawda doczesna tej ziemi.

A ten, którego miłuję, wspomni kiedyś o wiekuistej Twojej, i za to, Ty go zbawisz, o Panie!

(Długie milczenie.)

MŁODZIENIEC (wchodząc).

Cóż to? dotąd na tem samem miejscu, pod tą samą jodłą, i dotąd się modlisz? daj mi rękę — wstań.

ALIGIER.

A ty tak prędko wróciłeś, Henryku?

MŁODZIENIEC.

Czy śni się tobie? wszak porzuciłem cię o wschodzie słońca, a teraz, patrz! ono z tamtej strony nieba za cyple skał się chowa — Tak prędko! — a od kiedym cię opuścił trzy razy wzdłuż i wszerz przeszedłem Lodnik Hewaldyny, byłem na wierzchołku tych gór i po trzykroć trąbką odzywałem się z parowu — musiałeś mnie słyszeć?

ALIGIER.

Prawda — już wieczór.

MŁODZIENIEC.

Dzień ci więc przeminął jako jedna chwila?

ALIGIER.

Szczęśliwy komu tak całe życie mija — znać, on żyje w wieczności! — Lecz cóż się z tobą działo? co ta krew znaczy na twoich piersiach i na rękojeści noża?

MŁODZIENIEC.

O małom nie zginął — to nie krew lekkiej giemzy lub niewinnego daniela. Słuchaj tylko, a zarazem idźmy drogą naszą, bo strzelców wyprawiłem naprzód i nim ich dogonimy, noc będzie.

ALIGIER.

Zstępuję za tobą.

MŁODZIENIEC.

Otóż słuchaj! — strzeliłem do dzikiej kozy; spadła z urwiska, potoczyła się aż na samo dno przepaści. Wołam więc moich tyrolczyków, powiadam, wskazuję, ale żaden

nie był, nie widział, zatem sam muszę iść do jaru po zgubę. I poszliśmy we trzech, obchodząc daleko, szukając przeprawy, coraz niżej na dół, aż w bory ciemne, wielkie bory sosen. Czarno tam, a taki szum, jakby się każde drzewo modliło do Boga — idziem, a tu coś łamie się po gęstwinie, tuż przed nami, nie dalej jak na strzał — może sarna, jeleń może — ja do strzelby — patrzę — zapomniałem nabić — sięgam więc po nabój — aż w tej samej chwili niedźwiedź się wydobywa z zarośli — i stanął i wietrzy i ujrzał nas! — Moi od razu, razem oba wystrzelą — kule gdzieć po skórze tylko drasnęły niedźwiedzia. Stanął dęba i rycząc sunie ku nam — oni krzykną na mnie i pierzchnęli — krzyczą jeszcze i co tchu na bliskiej sosny wdzierają się konary. Sam jeden zostałem — nie wiem czemu, bo jakiejże chwały człowiek dorwać się może w boju ze zwierzęciem, niewiem czemu, ale wstyd mi było uciekać. Ojce moi nigdy czy z łowów czy z pola bitew nie uciekali. Strzelbę rzuciłem nóż wyrywam z pochwy — a już kudłaty król boru siedzi mi na piersiach — jak człowiek chciał mnie opasać rękoma — pazury w żywe mięso mi ciśnie. Natychmiast go pchnąłem w pierś i w pierś go pchnąłem raz drugi. Za trzecim się dopiero obalił — padłem z nim razem ale on już leżał podemną, bez ducha! potem strzelcom w oczy plunąłem i darowałem im skórę zakłutego — na pamiątkę podłości.

ALIGIER.

Pan cię obronił — za ocalenie podziękowałżeś Panu?

MŁODZIENIEC.

Może nie słowami, ale całem serca czuciem, kiedym się zerwał, otrząsł i rad że żyję, wzniósł ręce do nieba!

ALIGIER.

Są chwile, w których Pan więcej nie żąda od nas!

MŁODZIENIEC.

Dziwna! anim o tyle nie opadł na siłach — takim rzeźki jak z rana. — Uważaj Aligier jak prędko schodzimy — już mieszkania ludzi niedalekie być muszą, kiedy to dziewcze tędy przechodzi. Hej! dobry wieczór śliczna! — czy nie słyszysz? czy się boisz? zatrzymajże się i daj mi konwalije, które trzymasz w dłoni!

DZIEWCZYNKA (przechodząc).

Nie dam ich tobie, ale tamtemu —

MŁODZIENIEC.

A to dla czego?

DZIEWCZYNKA.

Bo całkiem wygląda jak ten biały Anioł co stoi po prawej stronie Bogarodzicy nad naszym wielkim ołtarzem — ale ty z innych stron zapewnie, tyś nigdy nie był w kościele naszym, tyś nie widział tego Anioła — (do Aligiera). Dobry wieczór — proszę cię weź te kwiatki panie!

ALIGIER.

Dzięki ci, dziecię — bądź szczęśliwem, dziecię!

MŁODZIENIEC.

A zatem ja brzydki panienko?

DZIEWCZYNKA.

I ty piękny, lecz nie tak jak Anioł!...

(Przechodzi.)

MŁODZIENIEC.

Daj mi połowę tych kwiatów, zachowam je na pamiątkę, że proste dziewcze uczuło to samo co ja, kiedym pierwszy raz w życiu cię ujrzał — prawdę mówi, prawdę — i nie tylko lica twoje urodziwsze ale i duch twój wznioślejszy od mego. Aligier, czy pamiętasz tę pierwszą chwilę naszego spotkania? Ona mi stoi w oczach gdyby teraźniejsza —

ALIGIER.

I mnie również, bo o tej chwili stałem się przyjacielem twoim —

MŁODZIENIEC.

Ot! widzę ten stary budynek, w którego salach tysiąc rówieników moich siedzi a nauczyciele z katedr mówią do nas. Widzę te w węża załamane wschody — i zakręt ten — i wschód ten sam kamienny, na którym mi się sam objawiłeś — nie prawdaż, harde było ze mnie chłopię, choć niedorosłe i wątłe na siłach — szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu. nieświadom! Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej! krzyczą „panicz, panicz,“ jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie

za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło — poręczy żelaznych się uchwyciłem — oni ciągną mnie na dół, za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje. Byłbym może pod ich stopy runął, ale tyś się ukazał — zchodziłeś z góry taki sam blady, taki sam wysmukły jak dzisiaj, tylko że z okiem w płomieniach. Nikt cię nie znał — widywali cię tylko czasem i pamiętali wyraz twego czoła — krzyknąłeś — oni odpadli odemnie — jak liście suche odpadli odemnie. Daj rękę, Aligier, ja nigdy tej chwili, nigdy nie zapomnę.

ALIGIER.

O nie możesz, Henryku, ale słów, którem wtedy wyrzekł, pierwszych słów moich do ciebie nigdy nie zapomnij!

MŁODZIENIEC.

Tak — czuję jeszcze twój ucisk — słyszę jeszcze głos twój: „Oni niesprawiedliwi. Ty bądź więcej niż sprawiedliwy — przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach,“ potem zeszliśmy razem a tyś przechodząc wśród nich spokojnym czasami powtarzał głosem, „hańba wam.“

ALIGIER.

I od dnia tego nierozdzielni byliśmy —

MŁODZIENIEC.

I będziem do śmierci — bo od dnia tego wiem, żeś wyższy odemnie i za to kocham ciebie.

ALIGIER.

Do śmierci mówisz?

MŁODZIENIEC

Tak —

ALIGIER.

Ja umrę przed tobą —

MŁODZIENIEC.

Nie szpeć takiém przeczuciem tej cichej godziny. Raczej okiem całem pijmy to światło złagodniałe — piersią całą to letnie powietrze woniami róż dzikich natchnione! patrz! te ostatnie promienie na śniegu gór, ta gwiazda wschodząca nad szczytem skał, to uśmiech Boga nad nami — a ty zemną, a ty przy mnie — czegoż więcej nam trzeba?

ALIGIER.

Jeszcze raz ci mówię: Ja umrę przed tobą. —

MŁODZIENIEC.

Nie dobryś — przecież już ojciec mi umarł — i matka i siostra śpią w trumnie — i wielu z tych między któremi wzrosłem odeszło na wieki — groby ich marzą o mnie w biednej, dalekiej Ojczyznie. Sam jeden żyję ostatni z rodu mego — a tybyś miał opuścić mnie także, pójść tam gdzie lepiej, nie zostać się zemną! nie — nie, Aligier!

ALIGIER.

Zaród śmierci czuję w tych piersiach — ale czyż żywych tylko umiesz kochać a umarłych nie? Duch mój wszak nie umrze w tobie choć postać moja odleci? Z serca do serca przeskrzydla się myśl! — czegom pragnął, o com się modlił, ty wykonasz — a pragnąłem byś był mężem wśród ludzi — wśród duchów niebieskich Aniołem! Kiedy już na te góry, na to niebo, na ten wieczór patrząc, radbyś czas w biegu zatrzymać i wołasz: „Piękny, piękny,“ Henryku! pomyśl jakim cudem na tym świecie dusza, na którą patrząc każdy wołać musi: „Ty piękną jesteś.“ Braciom twoim daj szczęście takie. Bądź wśród nich arcydziełem!

MŁODZIENIEC.

Czy mi ostatnią wolę zapisujesz? Aligier daj pokój — niechcę słuchać tego — zwiałeś mi wszelkie przezrocze z błękitu niebios — zasłona jakaś roztacza mi się przed oczyma; powiedz, gdzie jesteśmy? co to się znaczy? przecież już nam blisko było doliny? Dziś jeszcze, kiedyśmy razem o brzasku tędy przechodzili, krzyż, tu na prawo, gdzieś widziałem! gdzież się podział?

ALIGIER.

Idź za mną.

MŁODZIENIEC.

Alboż znasz lepiej kraj ten odemnie? ot! wschodzi księżyc, przyjaciel mój — on mi rozwiąże zagadkę.

ALIGIER.

Czekajmy więc.

MŁODZIENIEC.

Przez Boga żywego! im więcej światła przybywa, tem bardziej nie widzianą nigdy wydaje mi się okolica —

niech tylko opadną te wyziewy — tam, tam bieli się droga — nie — to mgły wstęga na łące. Hej! czy niema tam kogo! Hej! hola! odezwijcie się — wystrzelę — może nas usłyszą!

ALIGIER.

Góry usłyszały i odpowiadają.

MŁODZIENIEC.

Jaki grzmot echowy! — czy pojmujesz jakim my sposobem zabłądzili? zdaje się, szliśmy wciąż jak się należy — w tem, jedną razą, czy uważasz, potrojone skały — same niebo się odmieniło — tam morze z chmur jar zalało i jak niewzruszony Lodnik świeci. Ztąd wstają wyziewy, snują się, snują aż w mózgu się zawraca. Teraz ciemno choć oczy wykłuj — ot! znów księżyc górą a taki jaskrawy, przykry! Aligier! ja już nie trafię do ładu.

ALIGIER.

Czego więc czekasz? — idź za mną!

MŁODZIENIEC.

Na lewo tym ciasnym wąwozem?

ALIGIER.

Takie natchnienie moje!

MŁODZIENIEC.

Pójdę, gdzie chcesz, szukaj, krąż, wstępuj w górę, zchodź w dół, wszystko mi jedno — nim zorza zejdzie, musim błądzić wciąż — nigdym takiej nocy nie widział — kto wśród niej mądry będzie, ten albo wielkim tych puszcz dziedzicem, albo giemzą, tych skał panią — Hej! gdzie ty? odezwij się!

ALIGIER.

Tu obok.

MŁODZIENIEC.

Przeklęta mgła, buchnęła mi z pod samych stóp — zaćmiła oczy — a teraz sobie w górę płynie do tamtych sióstr — patrzaj! czy to nie stary król na tronie z brodą, z berłem w ręku — za nim zaraz wąż ogromny — nie, smok raczej — nie, już teraz czteroskrzydlny Cherubin — a tam, ot! tam w przedziale między skałami, widzisz, cały naród cieniów spieszy na sąd ostateczny! — a to co? na czemże się ja tak potknąłem?

ALIGIER.

To, wywrócone wrota za któremi stary cmentarz leży.

MŁODZIENIEC.

I właśnie księżyc teraz zaświecił jak blady czyściec dusz nad tym cmętarzem ciał — przed chwilą jeszcze taki rzeźki byłem, lżejszy od powietrza, a w tej chwili tak mi ciężko, tak serdecznie źle — nie wiem czemu i zkąd — chyba mnie te stare nieboszczyki urzekły. Gdybym usiadł na tem kamieniu, zdaje mi się, zasnąłbym.

ALIGIER.

Oprzej się na mnie.

MŁODZIENIEC.

Dobrze, bo kleją mi się powieki i chciałbym tu zostać.

ALIGIER.

Dalej jeszcze trochę — aż do tej białej kaplicy!

MŁODZIENIEC.

Dobrze — ciszej nam będzie pod dachem, niż na tym wietrze!

ALIGIER.

Czemu więc stajesz? idźże!

MŁODZIENIEC.

Boże! czy wzrok mój oszalał od jadu tych wyziewów? albo czy śpię już i śni mi się?

ALIGIER.

Co widzisz?

MŁODZIENIEC

Czoło twoje dziwnie zżółkło w tych miesięcznych promieniach — oczy tak ci zapadły — wychudłeś — zdajesz mi się coraz starszy, wyższy — czy to ty?

ALIGIER.

Ja, Henryku!

MŁODZIENIEC.

Głos twój tylko jeden podobny do ciebie. Teraz marzy mi się, że wieniec laurowy błysnął koło włosów twoich i krąży i znika i znów się pokazuje — odpędź go — ja się boję ciebie — nie pójdę dalej. Sen mnie tłoczy ku ziemi — padnę — daj mi upaść! Bóg widzi żem twarz gdzieś podobną oglądał — gdzieś....

ALIGIER.

Jeszcze kroków kilka.

MŁODZIENIEC.

Gdzie to było? — gdzie?... A znam ten wieniec, znam ten podziemny ogień w oczach, z innego świata przyniesion! — Taki obraz w sali godowej, w domu ojca, na obiciu w gwiazdy srebrne, na obiciu zielonem, w domu ojca..... Tak. I ojciec mawiał, że przed laty człowiek ten zwiedził piekło i czyściec i w raju był..... Mistrzu, mistrzu, gdzie mnie wiedziesz?

ALIGIER (wnosząc go do kaplicy).

Teraz możesz zasnąć.

II.

S E N. *)

Zdało się młodzieńcowi, że się postać Danta ku niemu odwróciła i rzekła: „Kędy wiekuista Miłość i Rozum „i Wola, ztamtąd mnie posłano bym ci pokazał piekło dni „teraźniejszych — zbądź więc trwogi wszelkiej i kędy „idę, idź!“ — I jak słup bladawy uniosła się postać w przestwór ciemny i po mglistych stąpała wyziewach, gdyby po falach nadpowietrznych. Czasem z pod jej stóp wyrywał się nikły meteor, a ztąd i zowąd podnosiły się szare brzaski i przepływały i gasły w oddali; — a duszy młodzieńca stało się bardzo smętno, bo nie wiedziała dokąd idzie, a szła w nieskończoność i czuła, że w nieskończoność złego.

Postać zatrzyma się na szczycie góry jakiejś i niby we wnętrza jej zstępować zaczęła, a rozwidniało się stopniami i z obu stron drogi stały kute w skale ściany — przez ciasne strzelnice śniady świt się wdzierał — przy ścianach, na prawo, na lewo, zbrojni, w jednakim stroju, wszyscy równi wzrostem, wszyscy jednakowi tym samym liców wyrazem — a ciągłym ruchem to garbią się, to prostują, czyszcząc żelazne lufy, które trzymają w ręku. Postać dotknęła powiek młodzieńca znikomem dłoni powiewem, mówiąc: „Przejrzyj — boć tu zaprawdę wstęp do piekła na ziemi.“ A wnet obaczył dusze onych wszystkich, na pół z ciał wychylone, nie mogące ani wstąpić do nich napowrót, ani też w pełni się oderwać — i targając się, płakały: „Nam ni żyć, ni umrzeć — gdzie każą, iść musim — przeciw Bogu, a idziemy — przeciw braciom, a idziem — biada nam!“ — I płacz ich był nieukojony. Postać stanęła, pytając: „Mówcie, czem wy i jakie imie wasze?“ — Lecz usta onych ciał wszystkich nic nie od-

*) Ułamek ten pierwszy raz był drukowany u Günthnera w Lesznie, w 1852 r. pod tytułem: SEN, pieśń z niedokończonego poematu.

powiedziały, — Gdzie ojczyzna wasza?“ — A oczy onych ciał wszystkich podniosły się w górę pełne podziwu.“ „Gdzie dom wasz?“ a śród ócz tylu niektóre tylko upuściły łzę jakoby mętnego wspomnienia. Lecz ramiona wszystkie coraz żywiej się ruszały, gładząc wciąż lufy i ostrząc kolce bagnetów; — aż z nad niemych ciał odjękły wszystkie dusze razem: „Dziećmi nas jeszcze zagnano w świat — kazali nam zapomnieć o sobie, a drugich zabijać — kto się opierał, ten sam jak zdrajca, kulą zabity, legł — a teraz nie pamiętamy zkądeśmy wyszły, ni wiemy gdzie pójdziem.“ A na to im blada postać: „Dawniej, kiedy męże stawali do boju znali jakiej sprawie służą i czemu trzeba umierać — oni jako Bogi wojny, a wy jako jej bydlęta .“ I jednem skinieniem rozerwawszy łańcuch zbrojnych, poszła postać ku wschodom co się wiły w głąb.

Za wieszczem zeszedł młodzieniec w ciemne podziemia — nagle potop światła roztoczy się przed nim, ujrzał mury czarne i kraty i obręcze z łańcuchami wpojone do murów i w lampach alabastrowych lubieżne płomienie i jedwabie kobierców na ziemi — i mnóstwo ludzi koło jednego człowieka, który na wyniosłem krześle, biały i wysmukły jak niewiasta, przewraca kartki księgi czarnej. Przed nim krzyż marmurowy, olbrzymi, pod same sklepienia — i rozpięty na krzyżu posąg Chrystusa. Od stóp do głów wzdrygnął się cień Danta i rzekł: „U starych potępieńców nie spotkałem tego świętego znaku. Oni przynajmniej nie umieli bluźnić Bogu, Boga samego imieniem — ale patrz i słuchaj.“

Przełożony nad mnóstwem, schylił się i ciągnął z pod stóp krzyża ciężkie wory złota. Wszyscy, którzy tam stali, kołem przystąpią do niego — wszyscy wyciągnęli ręce — pot chciwości kapie im z czoła. On im płacę rozdając uczy ich, a głos jego piszczący i drgliwy jak zgrzyt rylca po szklannem zwierciedle: „Gdziekolwiek się wkradniecie, bądźcie uprzejmi i słodcy — w domu starożytnego pana sypcie dumie pochlebstwa — w domu ubogim przymilajcie się nędzy. Gdzie mąż nęka żonę, pocieszajcie ją — gdzie ojciec synom skąpi, pożyczcie im grosza. Wszędzie, gdzie silniejszy słabszego uciska, bądźcie słabszemu obroną, a wszystkie ich skargi i nadzieje, jak skarb ukryty, staną

przed wami otworem. Jeśli kto ponury i milczący, sami zacznijcie rozpaczać, a krzyk wasz obudzi głos jego. Jeśli gdzie młodych spotkacie drżących niecierpliwie do czynu, zwiążcie ich zaraz strasznemi przysięgi — dajcie im pod szaty tajemnicze oręże — bo z ludźmi jak z kłosem — im pełniejszy, tem prędzej wykruszon! — A pamięć wasza niechaj będzie chciwa, ostra, nieskończona. Gdy wiatr trąca liście po drzewach, obzierajcie się za tym szumem — szpilkę gdy znajdziecie na drodze, podejmcie ją i przynieście tu — więcej ona warta niż miecz — bo gdzie miecz leży, tam już nie czas! — Kochajcie dzieci i bawcie się z niemi; — jak motyle na kwiatach, tak na ustach niedorosłąt, siadają czasem ich rodzin tajemnice. Wiedza jest darem darów. Ciała wszystkich, w jednem się nie zmieszczą więzieniu, ale głowa jedna zdoła objąć myśli wszystkich i jak wieczne więzień sklepienie zawisnąć nad niemi! — Idźcie w świat.“ A owi wszyscy ciężarni złotem poznikali jak mary.

Z drugiej strony lochu, zwinęła się różana makata — drzwi się za nią roztwarły. Weszli posługacze, wiodąc pod boki człowieka w łachmanach, który się wyprostował i ryknął jak zwierzę: „Dajcie jeść, dajcie pić — wczoraj ojciec umarł z głodu — dziś rano matka skonała — a mnie pali gorączka, i ja umrę w nocy.“ Skinął przełożony, a wnet podniosła się naprzeciwko lazurowa makata, za którą błysnął stół gnący się pod srebrem mis i kryształem czar. Rzucił się zgłodniały — ale wstrzymali go: „Wprzódy przysiąż nam na wierność.“ „Jeść, jeść! a przysięgnę potem.“ Na to rozśmiał się wysmukły i wskazał na krzyż, a konający padł na kolana przed krzyżem.

I zdało się młodzieńcowi, że głos przełożonego wzbił się jak syk węża: „Na Trójcę świętą i na mękę Pańską, co obaczę, co usłyszę, czego się domyślę, donieść tu przyrzekam, choćby jęk brata, choćby siostry westchnienie. Jeśli co przyjaciele, jeśli co krewni knują wypowiem, a niech ich gardło pod nóż kata się dostaje. Gdybym co zataił, niech sam zginę przybity do deszczek i rwany kleszczami, palon ogniem i pojon truciznę.“ Ale klęczący nie chciał powtórzyć słów onych i padł na ziemię wołając: „Umieram!“ a wysmukły odrzekł mu: „Umieraj!“ i założywszy ręce czekał.

Nastąpiło wielkie milczenie — i zdało się młodzieńcowi, że się sam pyta postaci: „Mistrzu! gdzie są dusze tych ludzi, że nie widzę ich, choć wzrok duchów od ciebie przyjąłem.“ A postać: „W sprawiedliwości Boga nie znalazło się dość srogiej kary na nie — zatem w wiekuistą puszczone pogardę, ztożsamiły się ze swemi ciałami. Im tylko śród wszystkich święty dar żywota odebran, i gdy te ich pierwsze ciała się rozwiążą, ich samych nie będzie już nigdzie.“ W tem podrzucił się zgłodniały w stronę zastawionej biesiady — „przysięgnę,“ szepnął, sypiąc skry oczyma, a przełożony podał mu rękę i postawił go znów na kolana. On zaczął przysięgać! —

I mara jakoby anioła, z zasłoną na czole, wyjrzała z przestrzeni, krzyż broniąc kręgiem skrzydeł swoich — i dopóki trwała przysięga, stał anioł rozpostarty przed krzyżem — lecz go nikt z tych wszystkich widzieć nie mógł. A gdy skonał ostatni wyraz przysięgi, gdy ciało zgłodniałe wstawszy wlokło się dalej, twarz anioła pokryła się wielką śniadością — i zasłonę rozdarł wołając: „Dusza jedna, Panie, zginęła!“ Ten krzyk na wskróś przeszył serce młodzieńca i zdało mu się, że musiał spuścić głowę z nieznośnego bólu.

Gdy oczy podniósł, wszędzie ciemności, — a środkiem ich płynęły blade cmentarze, pełne sterczących rusztowań i kości niepogrzebanych, płynęły jedne za drugiemi jak nawalne chmury. Z nad nich wzbijały się jakoby tumany liści jesiennych z szumem żałobnym — pełno tam głosów mieszało się razem, a wszystkie skarżyły na donosicieli — i niewieści szloch i dziecinny płacz i mężów donośny jęk. A cień Danta rzekł do nich: „Przyjdzie na was czas niebożęta i żyć będziecie podwójną wiecznością — waszą własną i tych, którzy was zgubili — bo z nicości im przeznaczonej wycofnie się duch i przejdzie do was. Uciszcie się więc, o nieszczęśliwi!“ — A gdy tak mówił, zapłakał sam! —

I napowrót szedł ku powierzchni ziemi, aż znów wstąpił pomiędzy zbrojne, którzy już stali teraz pod bronią jak rzędy posągów. Dźwięk trąb i bębnów odmierzał im spadkami czas i tryb życia. Jedni odchodzili na spoczynek, drudzy jak głazy na ich miejsca się wbijali, — inni wziąwszy na cel leżących na ziemi więźniów, strzegli ich wiecznie

z palcem na cynglu, z kolbą w piersiach, z okiem bez ruchu, nie oddychając. Czasem, gdzieś z tyłu, gdzieś po bokach, odzywał się huk rozstrzelania; — a w miarę jak młodzieniec za wieszczem się posuwał, rozstępowały się ściany wykute w skale, coraz szersze chwytając przestrzenie, aż pobiegły każda w stronę swoją, na wschód i na zachód, póki dosiądz zdoła oko.

Pobiegły — cały przestwór, zda się, ogarnąć chcą — i rosną w szerz i rosną w górę, lgnąc do widnokręgu kamiennem obiciem — sklepieniu niebios podścielając się kamiennem sklepieniem, aż stał się gmach ogromny jak świat, granitowy, szary, bez błękitów i bez zieloności. A w tym świecie ujrzał młodzieniec jakoby marę słońca w wielkiem oddaleniu, przybitą do pochyłych gzymsów i świecącą wiecznie ukośnemi promieńmi. A blask ich wydawał się raczej jak choroba światła, niż jak samo światło; — i w tej śniadości przechadzały się tłumy niezliczone jakoby narody ziemi, — i jako huk mórz wielkich, gwar ich mowy tłukł w ściany świata tego i rozbijał się.

Dusza marząca, dusza młodzieńca zapytała: „Mistrzu, gdzie jesteśmy?“ a on jej na to: „W świątyni, w której ludzkość zamieszkała na dzisiaj, ale w której Boga nie masz.“ I wstąpił zaraz między zgraję ludzi przy wejściu siedzących. Każden miał przed sobą dołek, własność swoją, długi i głęboki jak trumna — i nosił na głowie lampę, którą schyliwszy się, ten ciemny dołek oświecał, wybierając zeń rozmaitych rzemiosł narzędzia. I każden z nich pracował rękoma, z osłupiałym wzrokiem jak u obłąkanych; — i ujrzał młodzieniec takich, co trzymali w palcach główkę od szpilki — i mieli czoło wyżłobione zmarszczkami, jakby wszystkie lata nad zaokrągleniem główki tej przeżyli. A ile razy godzina śmierci, bijąca w oddali, odezwała się na tem olbrzymiem sklepieniu, ten i ów, tu i owdzie, spuszczał głowę i z jękiem w jamę swoją się ztaczał. Wtedy ich odwiązane dusze widnemi się stawały — jak modre obłoczki w kształcie kół zębatych, stęplów, lewarów, wznosiły się i płynęły równolegle do ziemi, wszystkie w stronę żółtego, odległego słońca.

A na widok wieszcza powstali ci ludzie, tłukąc lampy swoje i krzycząc: „Jeśliście Bogi lub czarty, a wszystko

nam jedno, o których słyszeliśmy kiedyś, złota dajcie, złota!“ I trzęśli się jak kościotrupy, z wyciągniętemi rękoma. Zapłoniła się blada postać Danta krwią gniewu i odparła im: „Opętane najemniki;“ a oni poupadali na ziemię jak martwe bryły przed Duchem.

I zapłoniła się powtórnie postać, lecz jakoby krwią natchnienia, mówiąc: „Iżali mnie zrozumiecie, gdybym wam o przeszłości prorokował? Kiedy ciało moje jeszcze z tamtej strony grobu w szczerym blasku słońca szło ku grobowi, byli także na onczas wyrobnicy na ziemi, a chorągwie ich cechów powiewały na krużgankach wież. Szkarłatem i wszelakim kamieniem drogim handlowali po jarmarkach miast — ale miecz tkwił, różaniec wisiał im u boku; — ich ręka na wzburzonych falach umiała rudlować, na lądzie sypać niezdobyte szańce. Srebro brali, a brud srebra zmywali krwią bitew! — Co wy dzisiaj, z palcami jak wosk miękkiemi poczniecie, wy, których usta nie zmówiły nigdy pacierza? wy bez sił na ziemi i bez nadziei w niebo, a łaknący złota?“ — A chłopię śliczne jak anioł, ale zwiędłe przed czasem od pracy rąk, przyczołgało się — i głowę kładąc na stopach widma, rzekło po cicho: „Zmiłuj się nad nami! Co w dzień zarobim, w wieczór pożywamy — a nazajutrz o świcie znów robić musim. Nie mamy czasu modlić się do Boga, jedno robić, by zjeść co, a nie umrzeć — i ledwo co zjadłszy, znów robić by jeść — zmiłuj się nad nami.“ A widmo stało się śniade, jako ten chłopiec, który mu włosami stopy obcierał — i wzniosłszy oczy w górę westchnęło: „Przeszłość niepowróci — dziecię! — módl się o przyszłość do Ojca, który jest w niebiesiech.“ A chłopię odeszło szemrząc: „W niebiesiech może, ale nie na ziemi.“— Tamci tymczasem zgrzytali, tarzając się w kurzawie. — I cień Danta przeszedł śród nich jak nawałnica, unosząc się dalej.

A inne tłumy w środku świata tego stały pochylone nad ogromnym otworem. Twarze zazierających pływały w łunie czerwonej — grunt na około trząsł się od podziemnych huków — i zdało się młodzieńcowi, kiedy się przybliżył, że ujrzał jakoby łoże wyschłego jeziora, ocembrowane zewsząd kręgiem skalistych, prostopadłych ścian. A od głów ludzkich czarno tam w dole, od głów ludzkich

miotanych jak fale w burzy — a od węgli palących się krwawe światło tam, od węgli dymiących jak żużle wulkanu — i nieustannie wzbijały się ztamtąd groźby i przekleństwa!

Jak matka dziecię przytula do piersi, tak widmo ogarnie młodzieńca rękoma i zleci aż na ciemne dno otworu. Tam wrą i kipią dzikie postacie — ich lica zarosłe kudłatemi brody — rękawy podkasane, ramiona sine od nadbiegłych żył — naprzemian kupią się i rozsypują — czołgają się po ciemnicy jak żmije, to w blasku ognisk zrywają się jak męże gotowi do boju. Koło najbliższego płomienia dwunastu rosłych jak olbrzymy, uklękło, — do pół ciała zdarli szaty z siebie; trzynasty przybył z sztyletem w prawej ręce, z czarą w lewej ręce, i rzekł: „poświęcę was“ — Olbrzymy nabożnie pochylili głowy, a on na ich barkach nagich, kędy odbłysk żarów się płomieni, ryje ostrzem puginału głoski krwawe. Z nich żaden ni jęknie, ni żadrży. Słowo „Równość“ i słowo „Wolność“ na każdego plecach ranami wykwita. Wieszcz wtedy: „Patrz, jak ten człowiek zbiera w tę czarę krew kipiącą z ciał braci, zbiera każdą kroplę jej. Może myślisz, że on ją zachowa jako świadectwo męki, lub okaże ludowi jako godło zemsty?“ — A młodzieniec po cichu: „Mistrzu! czyż inaczej będzie?“ — Głos widma rozległ się jak łoskot podziemny: „Zaprawdę! on tę krew sprzeda kupcom na miejscu i o godzinie targów — przejdź więc i nie patrz na niego.“

A gdy szli dalej, rzesza jedna czarna wołać zacznie, zataczając się śród węgli gasnących: „Ehej, ehej! czyż na zawsze ciemny padół mieszkaniem naszem? nigdyż się nie dostaniem na powierzchnię ziemi, do przybytków kupców?“ — A druga rzesza powiewem rąk budząc śpiące żary, przejęła głos pierwszej: „Do świątyni złotego słońca, kędy dostać i słodkich win i smacznej strawy i cienkich szat,— do giełdy, kędy człowiek grą zdobywa potęgę, a od kolebki do śmierci rąk ni razu nie kaleczy pracą.“ A trzecia wylała pełne flasze oleju na ogień, krzycząc: „Bądźmy odważni, a wstąpim do giełdy narodów — przecież i u nas znajdą się piersi jak mur i kły jak u drapieżnych lwów;— a długie gwoździe weźmiem z sobą, bo nie mamy szabel.“ Wtedy wszystkie zgraje razem klasnęły w dłonie, ryczące;

„Choć opierać się będą inne plemiona, my się wedrzem na te brzegi kamienne. Raz tylko, raz jeden niech nam losy zdarzą położyć się w raju bogaczy, na ich jedwabnych kobiercach. Iżaliż lepiej może być w niebie, jako im na ziemi? Bądźmy więc jak oni szczęsnymi przed śmiercią.“ A wtem wstąpił między wołające on człowiek z puginałem i czarą wiodąc za sobą napiętnowane olbrzymy.

Mnóstwo przywitało go pijanym wrzaskiem, pytając: „Którego dnia wywiedziesz nas ztąd?“ — On odparł: „Poczekajcie jeszcze nieco, a przyjdzie godzina.“ Olbrzymy podnieśli ręce, słyszano ich kości łom, krew świeża tryśnie im z ran, przysięga zagrzmi z ust: „Za was zwycięztwo lub zgon!“ — I przeciągnęli za wodzem w stronę jaśniejących szubienic, które stały długim rzędem, jedna w drugą, gorejącemi kagańcami strojne.

A pod każdą klęczały chłopięta, po bokach siedzieli prawnicy i biegli w piśmie, ucząc je jak mają imię naddziadów przeklinać. Dzieci, owe przekleństwa szemrzącym powtarzały chórem — a gdy które ucichło z niemocy lub zapłakało ze wstrętu, przystępowali nauczyciele z biczem w ręku, a ono zasłaniając się rączętami, ciągnęło dalej. Jak słup szary stanął cień Danta przy tym smugu klęczących — i słuchał - potem nagle krzyknął głosem wielkim. Prawnicy zbledli i zapytali: „Kto przemówił?“ A on na to: „Jeden z tych, którym złorzeczycie, wy kłamcy, wy obłudni — wy gorsi niż podły gad! bo macie wzrost szlachetnych i mowę uczonych.“

„Patrzcie się w moje umarłe oczy — iżali nie pęknie wam serce ze wstydu? Wiecie-li co wolność Ducha? Biada wam — wy znacie tylko co wygoda ciał.“ I przywołał dzieci i rozciągnął ręce nad temi, co w pobliżu się cisnęły i w stronę tych, co dalekie były, błogosławiąc wszystkim: „Nie wierzcie fałszom — wyście sługi — ale ojce ojców waszych byli wolnymi w prostocie serc swoich. Wiara w Boga tarczą im była od ucisku ludzi. Świeżość wiosny rozkwitała w ich duszach; — w chacie równin czy w zamku na szczycie skał, oni byli sobą — kochali kochając lub walczyli walcząc. Dziś jako świat wielki, tak miłości niema i jako świat wielki tak i walki nie masz.“

I zdało się młodzieńcowi, że jeden z prawników pod-

niósł się i szedł do postaci trzymając dwie lufy w rękach — a był jednooki, krzyczał: „Równość i mord!“ i czapkę miał na bakier a na niej wyszyte słowo: „Lud.“ Idąc zataczał się, a gdy stanął odwiódł kurki i zaczął mowę mieć, przewracając oko samotne i pieniąc się na ustach. Lecz postać przerwała mu: „Wrzask twój, dźwięk marny, a nie żadna myśl; — nie krzykiem lecz czynem, nie mordem lecz nastrojem wszystkich, stoi Rzeczpospolita. Tyś zwierze, a nie Duch — i zanim przeminie lat dziesięć, ty sam lud twój zdradzisz!“ Oko mówcy zaszło krwią i truchlejąc zniżył lufy żelazne, a cień Danta rzekł do młodzieńca: „Przechodząc plwaj na tę duszę pogardą! Z fal ta najgorzej huczy co się ma rozbić na piasku; — piersi ludzkie, to fale świata.“

A tu grunt zaczął niżej zstępować, a światło szubienic przyświecało jeszcze ale coraz słabiej, aż ukazały się w dole inne gwiazdeczki, sine, niewzruszone, na wzór lamp czuwających w szpitalu. Każda z nich, nad rogożą zatknięta — na każdej rogoży niewiasta i lud cały niewiast leży, jęczy, wzdycha, płacze. Gdzie niegdzie ozwie się krzyk ostatni, śmiertelny — i znowu jęk, westchnienie, płacz przeciągnion w coraz dalsze i głębsze podziemia.

Jedna z tych zerwała się przed widmem Danta, okręciwszy koło rąk włosy rozpuszczone i targając je; — a młodzieniec ujrzał jej duszę wplecioną między te włosy, od głowy do rąk i od rąk aż do stóp spływającą z niemi, w nieznośnych podrzutach: „Mów ty,“ krzyknęła, „ktokolwiek jesteś, i ty drugi, mówcie wy oba mężczyźni, czemu mnie z powierzchni świata zepchnięto do dołu? Pókim ciało miała nadobne chodziłam w promieniach słońca — ludzie dobrzy byli dla mnie. Gdym zwiędła jak kwiat, jak najpiękniejszy kwiat, wzięli mnie, zrzucili między gnijące, w ciemny mrok, gdzie płacz i zgrzytanie. Im, mężczyznom kiedy zestarzeją, młodzi pieśni pochwalne śpiewają; — nam, przededniem śmierci na wiele dni jeszcze, każą kłaść się do trumny. Prosim się, skarżym się, wołamy. Oni daleko, oni nie słyszą — potem konać zaczniem; oni jeszcze dalej, oni nie przyjdą nas pożegnać — tak trzeba umierać.“ A gdy mówiła, inne się dźwigały i wstawały wołając: „Sprawiedliwości! sprawiedliwości!“ A za temi, inne jeszcze

tłukąc się w pierś, szlochając, przeklinając. Aż strugi łez z ócz ich spłynęły na włosy ich długie i z włosów kapały na ziemię z głuchym szelestem dżdżu jesiennego. A słabsze lub bardziej znękane, ledwo się podniosły, znów upadały;— inne, tylko klęczeć mogąc wlokły się na kolanach; — inne, twarz przez pamięć piękności zasłaniając rękoma, szły ku Widmu, a z za ich palców ócz tylko dwoje gasnących świeciło.

Ujrzał wtedy młodzieniec kilku starców w czarnych, długich szatach, z kropielnicą w ręku, rzucających wodę na te wszystkie głowy i śpiewających głosem ponurym. Jedne z niewiast spuściły czoło i cicho na rogoże pokładną się nazad. Inne przykląkłszy całują tych starców w ręce i szepcą przed nimi nieskończone żale. Ale ta sama co pierwsza się zerwała, jeszcze gwałtowniej drąc włosy, krzyknie ku nim: „Tam, na powierzchni świata, mężczyzni już nie słuchają was, ale rzekli wam: Idźcie, bądźcie szpiegami kobiet umierających! Gdy dusze ich od ciał się odrywają, uciszajcie ich skargi! Gdy klną nas, zamykajcie im usta! bo ich jęki nie miłe nam! Czasem z przepaści gdy wzniosą się razem, psują nam porę biesiady lub godzinę targów! A wy poszli, zstąpili, przyszli. Wy nas uczycie jak cicho umierać. Otóż ja umrę głośno, wołając: Duszęm miała, duszę mam, a na ziemi ciało mi tylko przyznali! Ty sądź Boże, ty coś mi duszę dał!“ I dusza jej przed oczyma młodzieńca, ostatnią konwulsyą wyrwała się z plecionki jej włosów i poszła ponad lampy w ciemną przestrzeń, jak krwawe płótno przekłute tysiącami igieł.

Wieszcz przechodził zadumany, nic nie odpowiadając, jakoby ze wstrętem. Aż przyszedł do łoża białego, co stało na uboczu, w wielkiej odległości od tych wszystkich innych. Tam paliła się lampa na słupie marmurowym, pod krucyfiksem, i w szacie żałobnej, odwrócona klęczała niewiasta. Cień wieszcza się zatrzymał i stojąc milczał, jakoby w smutku głębokim.

„Mistrzu, kto ona?“ zapytał się młodzieniec. A cień mu na to: „Przed laty jednę tylko kibić podobną tej widziałem, raz na ziemi — a potem raz drugi tam wysoko, tam w niebie. Gdy twarz obróci, kto ona, poznamy.“ I stał nieprzerywając modlitwy niewieście.

A młodzieńcowi się zdało, że obok czarnej klęczącej widzi białą klęczącą, zupełnie tak samą, tylko że miasto długich włosów, skrzydła dwa miała anielskie cicho w krzyż zwite i złożone niżej ramion. A na tych skrzydłach głębokie rany i w każdej ranie gwóźdź sterczący, tak że się skrzydła rozwiązać nie mogą. Po chwili, obie te postacie zaszły jedna na drugą — i znów tylko czarna niewiasta klęczy. Wtedy cień: „Oto skończyła modlitwę, bo jej śnieżna dusza zniknęła“ i dodał jakoby mimowolnie: „Beatryx.“

Czarna pani obróciła się i rzekła: „Ta, która to imię nosiła przed laty, nic oprócz raju nieznała na ziemi, bo zgasła w pierwszej wiośnie życia; — nic oprócz raju za ziemią, bo niebo zaraz ją wzięło do siebie! Ale mnie nikt pierwszej drugą nie zapłacił wiosną. To nie moje imię!“ I załamawszy dłonie, stała z twarzą bez krwi, białą jak alabaster.

A gdy ją wieszcz zaklął, tak mówić pocznie: „Urodziłam się w ziemi mlekiem i miodem płynącej, którą zwą dziś ziemią mogił i krzyżów — zwą też i ziemią niedoli! Tam w górze, wyście słyszeli o mnie. Lecz języków tysiąc zatruło i rozszarpało imię moje, zanim doszło do was. Zrazu zwali mnie rodzice: niewinną, śliczną, szczęśliwą! później nazwano mnie inaczej: Niewolnicą!“

„Bo obyczajem świata, mnie dzieckiem jeszcze, mnie bezmiłosną, wydano czy sprzedano za mąż. O! zapłaczcie nademną i nad temi wszystkiemi siostry mojemi, które nic jeszcze nie wiedząc ni czując, idą bezwolnie ciało i ducha oddać tym, co wszystko wiedzą i wszystko już czuli, — ale którym wiedza nieprzyniosła anielskiej jasności, jedno dała chytrość zgrzybiałą szatanów!“

„Wszystko zniosłam — bo wszystko znieść można na tej smutnej ziemi, prócz jednego uczucia: pogardy! Kiedy ten sztylet wpadnie pomiędzy dusz dwoje, rękojeścią w sercu jednej, ostrzem w sercu drugiej utopion, jakżeż im dalej iść razem po drodze życia? Im, co już tylko tem jednem, tem śmiertelnem skute są do siebie żelazem? Jakżeż codzień ten sam chleb łamać, czekając aż śmierć wreście pobłogosławi, rozdzieli? Kazałam sobie, nie — a musiałam — prosiłam się Bogu, by nie — a musiałam pogardzać.“ Tu umilkłszy znów stała niewzruszona, z twarzą bez krwi,

białą jak alabaster.

A gdy ją wieszcz znów zaklął, jęcząc odrzekła: „Bogu w dzień sądu, Bogu samemu odpowiem. Jedna ja wiem, jedna pamiętam! Jakby dziś, widzę ten pałac, tę ulicę lip rozwonionych i za gałęźmi słońce zachodzące. Czuję się pod temi drzewami, przechadzam się jakby w letargu. Wszak mówili tych dni wszystkich, że się coś gotuje na ziemi naszej? W powietrzu śród zapachu sianożęci, pływało jakieś przeczucie, jak kiedy zaraza ma uderzyć, jak kiedy wielu ludzi ma powstać i walczyć i zginąć! A mąż mój wysmukły i biały jak niewiasta, przechadza się także i czeka na coś, na kogoś! Ach! czeka z uśmiechem nigdy niezapomnialnym!

„Z różnych stron do ogrodu wsuwają się ludzie — znam i tego i owego i wszystkich — to krewni, przyjaciele sąsiedzi! On im ściska dłonie, coś obiecuje, przysięga? Gdy słońce zaszło, prosi, by odpasali broń i siedli raz ostatni się naradzić. Każden broń odpasał, usiadł na murawie. On klasnął, znak dał — do syku węża podobny był gwizd jego. Żołnierze zewsząd, żołnierze, żołnierze.....“

„Nie pytajcie mnie — jam imie tego człowieka nosiła — jam mu była przysięgła na wierność do grobu — ja go wam nie wydam, jak on wrogom braci swoich!.....“

„A teraz oto trzecie imie moje na ziemi: zhańbiona! Wiecież wy za co, o ludzie? Za to, że rozpacz rozerwała mi serce — a przyszedł dzień, w którym ukochaną zostałam; — za to, że w tym dniu uwierzyłam w Piękność i Dobroć i Rozum na ziemi — za to, żem umarłą podniosła głowę, żem krzyknęła: O! jakże z trumny dobrze w niebo rość! — za to, żem święcie kochała!“

I tu umilkłszy, znów stała niewzruszona z twarzą bez krwi, białą jak alabaster. A gdy ją wieszcz po raz trzeci zaklął, rzekła cicho: „Chodźcie za mną“ — i zdjąwszy lampę z pod krucyfiksu, coraz bardziej się oddala od ludu niewiast leżących, wijąc się w jakąś przestrzeń podziemną w lochy ciasne a rozdłużające się żywotnie w miarę jak ona rękę wyciąga i lampę podnosi.

Wszędzie te same ściany płaczące wilgocią — ciągle to samo sklepienie nizkie i duszne. Szelestu jej stąpań nie słychać — żaden powiew nie igra z jej lampy pło-

mieniem. Młodzieniec idzie, a coraz mu tęskniej i zwiędlej i słabiej; — nibyto powietrze umyka się zewsząd, odpływa od niego — nibyto ciężar jakiś niewidomy głowę mu przygniata — nibyto w piersiach krew mu już stygnie; — i zdało mu się że sam krzyknął: „nie pójdę dalej!“

A czarna Pani obróciwszy się, rzekła, lampę mu nad czołem trzymając: „Jednej godziny nie możesz wytrzymać ty, z rodu mężczyzn, ty silny i dzielny, tam gdzie mijają i przeminą wszystkie lata moje - odejdź więc w pokoju“.

A wieszcz smutno się odezwał: „Gdzież ten, który kochał ciebie?“ Ona spuszczając oczy odrzekła. „Tam, gdzie go jego męzkie losy zagnały. — Wyrwał mnie z samotności serca, a zostawił w ducha samotności — kochałam go, a opuścił mnie.“ I wskazała na kamień daleki, bielejący śród tych ciemnic, mówiąc: „Tam już dusza moja w własne skrzydła obwinięta, pochowana leży — a to Ja na które patrzycie, to tylko ciało co dotąd nie umiało skonać.“

I z wielkiego smutku padła na kolana wołając: „Ty który wiesz, powiedz, czy z nami tak na wieki będzie?“ I pierwszy raz wtedy zapłakała.

A Wieszcz rękę położywszy jej na czole: „Wyście dotąd były jak lilije boże, co rosną nic nie wiedząc o własnych barwach i woniach. Oto idzie dzień, w którym się każda z was na myślącą różę przemieni. Wymkną się struny natchnienia z rąk mężczyzn i przejdą w dłonie wasze. Oni do stóp wam pochyleni błagać was będą o jedną pieśń osłody — o jedno proroctwo nadziei, o jeden obraz piękności — bo ich dola, trudów nieznośnych i twardych czynów wtedy dolą będzie. Lecz wy zapatrzone w Boga, nie spojrzycie na nich, nie usłuchacie ich płaczu. Wtedy im serca pękną, jako wam od wieków!“

„Wyrzecz jeszcze jedno słowo do mnie,“ rzekła czarna Pani, modląc się do wieszcza wzrokiem. A on: „Tak będzie aż przyjdzie na was wtórej przemiany godzina — i znów podacie im ręce — i serca ich konające zbawicie miłością — i na zawsze staniecie się jako siostry ich, równe im na ziemi i w niebie.“ A gdy czarna Pani coraz rzewniej płakała, dodał: „Odwołaj duszę, a nie lękaj się— bo gdyby co zaginąć mogło, prędzejby w sądach Pana ol-

snęła męzka gwiazda chwały, niż wyschła na próżno łza nieszczęśliwej.“

A gdy klęcząca spokojniejszą się wydała, Cień ją opuścił — i szedł prosto ku grobowi, porywając młodzieńca za sobą — i gdy grób ten biały mijał, rzekł: „Zaprawdę, ona umrze w tych ciemnościach i tu odpoczywać będzie — bo czas idzie dopiero, lecz nie nadszedł dotąd.“ — I grób ten pobłogosławiwszy, niósł siebie dalej — nazad z głębi w górę.

Aż przez otwór przepaści, wysoko, wysoko nad sobą, znów ujrzał młodzieniec sklepienie granitowe świata. W miarę jak się dobywał z głębi, ono się rozszerzało w śniadem świetle swojem — słychać było ztamtąd jakoby huk tysiąca rozkołysanych dzwonów — jakoby odgłos kroków spieszących się, kroków miliona — i stęki kamiennych posadzek pod niemi! A gdy widmo stanęło u brzegu otworu i znakiem dłoni jak wirem przycią gnęło młodzieńca — on obaczył wszystkie narody ziemi idące ku żółtemu słońcu i pod tem słońcem wystawę olbrzymią, czarną, na której trony jakieś w oddaleniu świecą.

Jak gnane wyziewy, jak płynące koryta, jak pędzone trzody, tłumy prą się, rwą, rzucają, jedne za drugiemi, wszystkie w tę samą stronę. Dzwonów niewidzialnych dźwięk brzmi po całej przestrzeni — starce i młodzi, niewiasty i dzieci nadchodzą; przechodzą, mijają, pomieszani razem; — a starce proszą się młodych by zwolnili kroku, by się zatrzymali na chwilkę, by ich wzięli z sobą. Tamci ni się odwrócą, ni słuchać chcą — bie gną! I blade dziewice stanąwszy i płaczą c, proszą się braci, proszą się kochanych by na nie zaczekali. Oni się nie obejrzą — bie gną! I matki tam z niemowlętami na piersiach mijały, spiesząc się — i nagle tu i owdzie dziecko potrącone w biegu zapłacze, odwinie rączki, spadnie na posadzkę. Zewsząd inne następują tłoki — matka żadna się nie zatrzyma ni schyli, ale bieży dalej! Nad takiem ciałkiem dziecięcia zdeptanem stanął młodzieniec, pytając: „Mistrzu! czy to już sądu ostatecznego godzina?“ A widmo twarz zasłaniając rękami: „To tylko godzina sądu kupców — to Giełdy i targów godzina!“

I rzekłszy, poniosło młodzieńca na wskróś przez

świata przestrzeń, aż na tamten koniec, gdzie słońce ono i ona wystawa; — i zdało się młodzieńcowi, że stoi zawieszon w równi z tą wystawą, a niżej od słońca tego— i że go jakby skrzydła czyjeś utrzymują w powietrzu — a postać mistrza oblokła się w wielką pogardę i znikła.

A owo słońce było jakoby ze złota i ze sztucznych płomieni — a wystawa była z marmuru czarnego, wschodami wiodąca aż tam, gdzie górowały trony świecące. Na nich siedzieli wybrani kupcy z wędrownych pokoleń wschodu, w długich szatach, z siwemi brody, z purpurową przepaską na czole; — a pod ich nogami leżały ogromne wory, pełne brzęczącego kruszcu.

I czasem, z tych leżących podnóżów wyrywały się przerywane głosy, jakoby nalegania, prośby, wyrzuty. I poznał młodzieniec, że w tych worach dusze kupców ukryte i spętane, płaczą. A w miarę jak się nieszczęsne coraz bardziej skarżyły, wzrastał gniew siedzących — i gniotąc wory stopami, zagłuszali jęki tych własnych dusz swoich.

A gdy się biedne uciszały, oni wolnym i chrapliwym głosem zaczynali radzić, wskazując czasem rękoma na odmęt ludów, ciągnący ku nim z stron wszystkich. A nad idącemi narody, wisiały w przestworze ogromy mgieł czarnych, poprzerzynane pasami rudej jasności; i przejrzał młodzieniec, że to był kształt wszystkich dusz ludzkich zgromadzonych razem i lecących zbiorowo nad ludźmi, — niby krew ulotniona, niby żużle roztopione, niby żar dogorywający śród wielkich ciemności.

Pod tą łuną, jak pod piekłem nadpowietrznem, szły narody, na wzór kry huczącej, na wzór burzy co grzmi. Czasem wzbijał się krzyk padających, głuchy stęk duszonych i deptanych. Jeden z kupców z tronu wstał — skinął — i wnet obok wystawy, na dole, rozsunęły się ogromne głazy, rozwarły się lochy, i rzędem z pod nich, niemo, posągowo, powstawać i iść zaczęli żołnierze z bronią w ręku, z bagnetami u luf — i potrójnym szeregiem stanęli z obojej strony wschodów marmurowych.

Coraz więcej huku, łoskotów, jęków, nawoływań — każden ród, każde plemie, każda zgraja chce się pierwsza przecisnąć. Ogromy zbite z tysiąca rąk, głów i piersi, przewalają się, zniżają, podnoszą. To błyśnie krwawem

światłem łuna nad niemi, to znów szaro i sino i marnie w powietrzu. Jak trąby morskie, jak walący potop wód i chmur, już dochodzą do stóp wystawy. Żołnierze zagrzegotali bronią i broń wymierzyli ku mnóstwom; — na chwilę wielka cisza nastanie — a inny kupiec wstał i zawołał: „Oto się targi rozpoczynają“ — i dzwony bijące, raz jeszcze uderzywszy razem, oniemiały w przestrzeni.

Wtedy kupiec zapytał się ludzi o wypadki dnia zeszłego — a w miarę jak mu z dołu głosy przełożonych nad ludami książąt i mędrców odpowiadały, donosząc o waśniach i rzeziach, o odkryciach i wynalazkach, stojący za nim wspólnicy radzili i układali się — i znów wielka cisza nastała. Słychać tylko szept głosów kupieckich w granitowym świecie. Łuna nadpowietrzna zbladła, wszystkie dusze ludzi razem pobladły od oczekiwania!

A po chwilach kilku kupiec mówca ogłosił o ile się podniosły jedne, a zniżyły drugie ceny na ziemi. Wtedy z mnóstwa nieoddychającego wzniesie się nawałnica poklasków i złorzeczeń, krzyku i płaczu. Jedne zgraje wołają: „Z głodu pomrzemy!“ — a drugie: „Niech żyją kupcy wszechmożni!“ Jedne pląsają wrzeszcząc: „My wygrali! wygrali!“ a inne: „O kupcy, o Bogi nasze! zmiłujcie się nad nami!“ I znów zaczęły się swarzyć i bić i mordować; znów jedne ciała poszły w dół, a drugie w górę, deptając po tamtych!

Trupów wiele ujrzał młodzieniec tratowanych przed wystawą; — a po tych trupach porządkiem przechodząc, zaczęli żyjący wstępować na marmurowe wschody. Pierwsi szli książęta z berłem w ręku, z mieczem u boku, otoczeni wielkimi urzędnikami narodów. Sklepienie z żołnierskich bagnetów wzniosło się nad ich głowami i strzegło ich od stóp wystawy po pół olbrzymich wschodów; — a tam kupcy zstąpili ku nim i ścisnąwszy im ręce, wiedli ich wyżej.

Za nimi wstępować zaczęli wszyscy przemyślni świata — rękodzielnicy i wyrobniki — lichwiarze i kramarze; — jedni nieśli towary, drudzy wory spore, inni jeszcze powiewne papierów zapisanych zwoje. W miarę jak dochodzili połowy wschodów musieli stawać, a grzmiący głos

z góry pytał się o imie każdego z nich. Oni odpowiadali nazwą rzemiosła lub towaru, lub rękodzielni, alboli też liczbą jaką — bo własnego, ludzkiego imienia żaden już nie miał na świecie.

A za nimi, z morza czarnego ludów, oto wydobył się orszak zgarbionych i smętnych, trzymający w ręku, dźwigający na plecach, dawne jakieś miecze, kolczugi i hełmy. W tej samej chwili młodzieniec usłyszał w powietrzu: „Patrz na starej szlachty ostatnich potomków.“ I obejrzawszy się, ujrzał znów widmo za sobą.

Orszak wstępował po wschodach czarnych aż doszedł ich połowy i tam na szerokim stopniu marmurowym zasiadł. Każden z tych ludzi wtedy zacznie nożem i młotem pracować koło zbroi, którą przyniósł — tłuc ją, rozrywać i łamać. A Widmo: „Patrz jak wybierają Damasceńskie złoto i Perskie turkusy z ojcowskich tarcz — jak zamierzchłe dyjamenty oddzierają od buzdyganów i szabel — by ślad ostatni starożytnej chwały ponieść kupcom na sprzedaż.“ A gdy tak skarżył Cień Danta oni odłamki rozbitych zbroic rzucali na dół — i powstał chrzęst wielki tylu hełmów, pancerzy i kordów, zlatujących po marmurze i roztrącających się.

A syny dzielnych wstały i szły wyżej, trzymając ku kupcom wyciągnięte dłonie pełne proszku złotego i błyszczących klejnotów — a idąc, prosili się głosem uniżonym by mogli wstąpić między książęta i handlarze. Dano znak z góry, że wolno im — wtedy podziękują i wzniosłszy głos zaczną się targować o cenę kosztowności onych! Ścięły się usta Danta i plusnęła z nich krew, a głosem grobowym zawołał; „Piekło dawnych ludzi nie bolało mnie tyle!“

I położył dłoń niedotkliwą na głowie młodzieńca mówiąc: „pamiętaj“..... Ale w tej samej chwili zdał się znowu znikać i stopił się z przezroczem przestrzeni — i nie było go!

Od środka świata, z podziemiów przepaści, wzbił się teraz posępny, wściekły wrzask, który przeleciał po nad głowy narodom i rozbił się o wystawę. Książęta i urzędniki na chwilę pobledli — ale kupcom twarz się nie odmieni — rozśmieli się tylko, głaszcząc brody siwe.

Szły ztamtąd olbrzymie postaci samym środkiem mnó-

stwa czarnego — szły na przebój i coraz bardziej rosły w oczach młodzieńca, aż poznał owych dwunastu poświęconych i ich wodza trzynastego, który ich prowadził, sztylet w prawicy trzymając, a w lewicy czarę.

A gdy zbliżał się do wystawy, twarz jego, po nad głowami innych ludzi, zdała się pryskać iskrami, nabiegać potęgą. Przywiódł swoich aż na pierwszy wschód — tam kazał im posiąść i czekać. Sam, nie pytając o żadne pozwolenie, a ręką odginając bagnety żołnierzy, wstąpił i w górę szedł — ogromny, niewstrzymany, potrząsając grzywą włosów jak lew!

A jeden z kupców zeszedł ku niemu i wprowadził go aż na sam szczyt wystawy, w środek koła radnego. W tej chwili zdało się młodzieńcowi, że nagle oczy olbrzyma pozbyły iskier i że gniew czoła jego mięknieje. Jednak stanąwszy śród kupców krzyknął głosem podobnym do grzmotu: „Od sponiewieranych, uciśnionych i nędznych raz ostatni przynoszę wam pozew; — równy podział wszystkim, albo zgon wam.“ I głosowi temu odklasnęły zostawione na dole męczenniki — i głosowi temu wtórowały zgraje niektóre — i głosowi temu w oddali, odkrzyknęła przepaść!

Olbrzym schylił się i obosieczny puginał rzucił na posadzkę — potem jeszcze niżej się garbił i spuszczał, aż czoło jego zniknęło z oczu narodów — i tak przełamany, siadł na jednym z tronów kupieckich i cichym głosem zapytał: „Mówcie prędko — za tę czarę krwi, wiele dajecie dzisiaj?“

A gdy mu kupcy oznajmili cenę, którą byli naznaczyli, on odparł: „Nie dosyć za tę krew dzisiaj. Alboż wy wiecie, co się dzieje w przepaści? Alboż wy śmieli kiedy zstąpić do niej? Teraz, tam zgromadzeni wyją i czekają na powrót mój, piersi sobie kalecząc i rwąc włosy z wściekłości! Dziś, po tylu już zawodach znów zawiedzeni, może się zbuntują; — może już nie pochlebstwem, nie wymową, nie obiecankami, ale tym puginałem będę musiał ich spokoić. A wy się tu ze mną targujecie! O kupcy i pany ziemi! czyż błogi ciąg dni waszych nie wart trochy więcej złota?“ Kupcy mu na to. „Alboż nie codzień to samo nam mówisz? jednak, byś nie narzekał, krwi któ-

rąś przyniósł, podwyższamy cenę.“ I radząc między sobą ofiarowali mu więcej. Lecz on znów odparł: „Nie dosyć mi za tę krew dzisiaj!“ I wznosząc czarę do góry, udał że chce wstawać z tronu.

Wtedy jeden z kupców, z przepaski purpurowej na czole odpiął ogromny dyjament, i rzekł: To gwóźdź z krzyża na Golgocie, co się tak przekrysztalił tej nocy, w której Bóg wasz skonał. Nazajutrz zaraz z rana prapradziad mój oderwał go z drzewa. Odtąd chowamy go w rodzie naszym. Mów, czy ci dość tego dyjamentu za krew twoich braci dzisiaj.“

Olbrzym spojrzał — i wnet zniżył czarę — i krew z niej całą wylał na czarny marmur przed stopy kupcom, mówiąc: „Gwóźdź moim.“ Żyd rzucił mu dyjament do próżnej czary, która w jękliwy oddzwoniła dźwięk!

I porwał się wódz poświęconych i brał się nazad ku narodom świata. Zstępując złorzeczył i groził aż przybył do swoich, którzy się podnieśli, pytając: „A co? kiedyż?“ On dumnym głosem im odparł: Wy tylko za mną idźcie teraz — dziś nie czas jeszcze — lecz przyjdzie godzina!? I pociągnąwszy ich za sobą, przerzynał się przez mnóstwo, w stronę przepaści.

Wtedy kupiec mówca oznajmił narodom, że wielki pokój i wszelka bezpieczność na ziemi; że każdemu godzi się wejść i zejść, handlować sprzedażą i kupnem! Na tronach w górze zasiedli wszyscy kupcy i wszyscy książęta — u stóp ich, orszak szlachty pokładł się na marmurze— głowy oparli o brzęczące wory, z których dusze kupieckie jęczały — w garściach ścisnęli zdarte ze zbroic klejnoty— i tak leżeli niewzruszeni, bezbronni, ze zmarszczonemi brwiami, z dużą łzą w oku! A ludzie wszelacy tłoczyli się wschodami nieustannie to w górę, to na dół, jak dwa nurty przeciwpłynne — i powstał gwar waśniących się i godzących się; — a na dole mnóstwo, hucząc, sprzedawało i kupowało także!

A były tam zgraje ponure i wołające, że chleb dzisiaj na zawsze straciły, — ale nikt ich nie słuchał! Stały tam całkie rzędy ludzi, jakoby chorych i trzęsących się od zimna, a żebrzących, — ale nikt na nie nie spojrzał. Leżały tam gdzie niegdzie ciała stratowane, ustami jeszcze

ruszające i szemrzące: „ratunku!“ — ale nikt im ręki nie podał!

A gdy tak działo się na ziemi, owa łuna dusz wszystkich, pluskając krwawemi połyski, coraz bardziej w przestrzeniach siniała. Na kształt serc, co jedne po drugich pękają, gasły i przepadały wszystkie jej ogniska, światełka, promienie. Wreszcie czepiając się gzymsów granitowych, czarną kopułą dymu zawisła nad gmachu ścianami— i słońce ono żółte od niej się zaćmiło — i gmach ten niezmierny zczerniał widnokrężnie od podstaw swych po szczyty swoje. Kupcy tylko jedni na tronach śród tej nocy błyszczą. I świat był jako Giełda ciemna — a oni, jako króle świata!

I wszystkie te obrazy zachodząc jedne na drugie, mieszać się i psuć zaczęły przed okiem młodzieńca. Z mgły coraz posępniejszej i gęstszej znów wyjrzało widmo z twarzą smętną, lecz pełną pokoju — i młodzieniec usłyszał: „Odwróć się od tego piekła podłych!“ i chłód orzeźwiający jakby powiew nocnego wiatru z tym głosem Danta przemknął mu po skroniach.

Widmo ujęło go za rękę i poszło przodem — i szło po chmurach jakichciś białych i cichych, śród zapachu niewidzialnego ziela. Szafir nieba tu i owdzie się wynurzał— gwiazdki jakieś migały w oddali — aż znów jęk wielki przybiegł z za tych chmur i rozległ się po nich i skonał; — a ledwo skonał, drugi się podniósł — i trzeci — i czwarty. A srebrne chmury się rozsuwały jak stado potrwożonych łabędzi.

I zdało się młodzieńcowi, że na jednej z nich został wraz z Wieszczem — i że ztamtąd jak z wyniosłego ganku patrzy na szeroką równinę i szczerych błękitów krąg, którym pełnia księżycowa przyświeca. I zdawało mu się, że przed sobą, na polach onych, widzi wszędzie jakoby las z samych chudych i wysokich drzew — niby to sosny, a dziwnie obcięte — każda o dwóch konarach tylko i każda na osobnej mogile — a jęki nie ustawały; — owszem, częściej zaczęły powracać — a każden z nich trząsł powietrzem jak grzmot — jakby tysiąców ludzi cierpiących razem, przedśmiertny, słysznokrężny krzyk! Cień zapytał się: „Czy widzisz czyściec dni teraźniej-

szych?“ Młodzieniec na to: „prócz niebios tych i boru tego, nie widzę nic. „Wtedy wieszcz, wznosząc powoli ręce: „Powtórny widzeń dar przejąć musisz odemnie, bo wzrokiem, którym przenikałeś podłych, ujrzeć nie możesz szlachetnych. Lecz wprzód, coć powiem, wysłuchaj uważnie!“

„Śmierci niema — są tylko straszne marzenia o niej. „Pan nigdy i nigdzie jej nie pomyślał, bo wszędzie i zawsze sam żyje. Własnem znikczemnieniem tylko, zadać sobie można wiekuisty zgon; — a kto umrze tak, temu życia ni grobu już niemasz — spodlił się do nicości i znicestwiał przez podłość. Chyba po milionach lat coś rozbudzi się z niego — taki nie oczyszcza się ni zmartwychwstaje. Lecz kto odżyć ma, ten przemienić się musi; — każde przemienienie, do czasu nosi pozór śmierci. Oto próba grobu!

„A w niej pełno szyderstwa i łez i bolu i złudzeń. Osobniki i całkie plemiona i ludzkość i światy muszą ją wytrzymać — każdy nieśmiertelny musi się jej dotknąć. Kto jej nie zniósł, ten zginął na zawsze. Bądźże lwiego serca teraz, bo tych złudzeń kształty oto się rozwiodą przed tobą.“ I dłoń przykładając mu do powiek tchnął na nie.

I zdało się młodzieńcowi, że z każdej sosny boru tego, wytryska przed nim postać ukrzyżowanego męża. Ujrzał mnóstwo ciał w powietrzu rozpiętych, krwawych, drgających; — coraz ich więcej. W widmowem świetle księżyca tłumy ich za tłumami występują tu i tam i owdzie i dalej jeszcze i dalej, jedne obok drugich, jedne za drugiemi aż pod sam widnokrąg się ciągną — cała przestrzeń żywa, głośna, konająca niemi. I poznał młodzieniec, że to naród cały w Chrystusowej męce rozwieszon nad własną ziemią swą — i łzy zalały mu wzrok!

A Cień wtedy: „Nie odwracaj się ale patrz, choć wstrętno ci! By zwyciężyć ból, w ból wwiedzieć się trzeba. Uważaj, w tym lesie niezmiernym, pracą umyślną, potężną, każda sosna odgałęźniona i przeciosana w krzyż! Uważaj, każda podparta mogiłą z gruzu — a gruz ten, to żywych niegdyś kościołów i zamków dziś sucha kość. I uważaj jeszcze, wszędzie między mogiłami jednakie odstępy — krzewów ni darni nigdzie. Jak skały przebudowują w miasto, bory te przebudowano w jeden cmętarz mąk. Doskonały kat tylko tak odmierza ból, tak porząd-

kuje śmierć!“

I spojrzał znów młodzieniec i zdało mu się, że widzi po tych wszystkich mogiłach, jakoby wstęgi mgły miesiącem osrebrzonej — a choć wiatru żadnego niema, to podnoszą się, to zniżają naprzemian, jakby cierpiące także i bezspokojne. I poznał młodzieniec, że to szeregi niewiast i dzieci, w białych szatach pod krzyżami stojące. I widać było ręce ich wyciągnięte ku wierzchołkom drzew, gdyby mnóstwo skrzydeł bladych, chcących, a nie mogących wzlecieć — i z niemocy opadały na dół — a wtedy wszczynała się drżąca, modlitwiana pieśń, którą pochłaniał płacz!

A krew kapie i kapie z góry na te tłumy śnieżne — i przelewa się przez nie — i ścieka pomiędzy mogiły; a ztamtąd słychać jakoby strumieni wzbierających szum. I znów zdało się młodzieńcowi, że go Widmo upomina: „Nie odwracaj się od tych topniejących mnóstw i od tych czerwonych potoków. Teraz idzie na wszystkie ukrzyżowane śmiertelny, przepływny dreszcz — skonać nie mogą, ale muszą konać tak, a ty widzieć to! Rozkazuję, patrz!“

A nim jeszcze spojrzał, już usłyszał jęk z tysiąca tysięcy krzyżów, rozgrzmiewający się — i wszystkie drzewa od kończyn równiny zaskrzypiały — i wicher powstał od tylu głosów rozdzierających i wiał tu i tam! Wszystkie ciała jakby jednym bolu podrzutem schwycone, trzęsą się i szarpią, każde na krzyżu swym — i jak po piorunie letni deszcz, tak wszędzie krwi gęstsze puściły się strugi. I zwolna przemija ta burza mąk — stopniami umilkła równina — znów na wszystkich krzyżach niewzruszenie, porządnie — wszędzie cicho znów — krwi tylko słychać nieustanny spad!

I oto przez powietrze przeleciał śmiech rozrzynający je. I spojrzał młodzieniec w stronę śmiechu tego, pod sobą zaraz; a tam na czystem polu przed pierwszym rzędem krzyżów, czernieje kopiec wysoki z samych rozwalin i węgli, jakby ostatek miasta po wielkim pożarze — a z warstw popiołu wyzierają szczątki dział i połamana broń — i snuje się dym siny, opasujący stojącego na tych zgliszczach olbrzyma.

I w tej chwili promień księżyca wpłynął nań. Znać koronę ze stali jakby plecioną z łańcuchów — znać płaszcz

żołnierski i kajdanami podpasan, tylko że zamiast miecza, bicz rzemienny wisi u kajdan tych i aż do stóp mocarza spływa. A gdy jęk ukrzyżowanych się odezwie, on głowę wytęża, przysłuchuje się; a gdy zabrzmi niewieści szloch, on odpowiada nań dłoni poklaskiem. A cień Danta rzekł; „Doskonały kat! Słuchaj teraz, on ich kusić zacznie!“

I zdało się młodzieńcowi, że przechylił się z nad kopca ukoronowany olbrzym i że rękę wyciągnął ku umęczonym mnóstwom, a drugą trzymał na pasie z kajdan i na biczu, jakby na orężu jakim — i wołał: „Wyrzeczcie się przeszłości i przyszłości, i ojczyzny i Boga — uznajcie mnie przeszłością i przyszłością, ojczyzną i Bogiem — a jakom kazał was powbijać na krzyż, tak każę z krzyża zdjąć. Tłuszcze me przywołam i zdejmą — i naród szczęsny uczynię z was! Dam jadła i napoju i wszelkiej obfitości moc. Będą jeszcze ciała zdrowe, świeże, tyjące, z waszych nędznych, podziurawionych ciał!“

Ale tłumy ukrzyżowane nie odpowiadały nic — zwykłym nawet nie skarżą się jękiem — krwi tylko wystąpił aż po za pierwsze krzyże szeroki prąd — i jak bałwan morski w brzeg, uderzyła w kopiec, a w bryzgu tym usłyszał młodzieniec jakoby słowo: *nie*. I śnieżne tłumy niewieście nie odpowiedziały nic — tylko gdy fala od kopca wracała, schyliły się i zerwały z ziemi dzieciątka swe — a całe rzędy dzieci onych, trzymanych w powietrzu, krzyknęły: *nie!* A ledwo rozległ się ten tysiączny drobnych głosów szmer, wielka się jasność rozleje w przestrzeni — i młodzieniec oczy w górę wzniósł!

A tam wysoko, wysoko, na samym szczycie nocnych błękitów, zdawało się, że z ponadniebnych głębi zstępują dwie drogi mleczne, przecinające się z sobą w jeden ogromny, jasno-biały krzyż — i na krzyżu tym widać było rozwieszoną postać, w coraz dolniejsze spływającą przestrzenie, z rozpostartemi nad światem ramiony, których łuk się rozszerzał i olbrzymiał co chwila. I ujrzał młodzieniec na tem czole nadniebnem koronę cierniową, jakoby z palących się a cichych piorunów — i na tych dłoniach i na stopach tych ujrzał jakoby ran trzy, błyszczących jak trzy czerwone księżyce — i nieustannie z nich lały się jakoby tęcze krwi — i każda tęcza taka spadając, prze-

krapiała się na roje gwiazd, które rozsypywały się i świeciły po niebie. I tak, w chwale i krwi, ukrzyżowana i stwarzająca, coraz to niżej i niżej spuszczała się postać, rozsłoneczniając przestwory pod sobą — aż z dróg mlecznych, które ją niosły, stały się jak dwie bezmierne obręcze ze srebra, od wschodu na zachód i od południa na północ okuwające widnokrąg, aż z krwi płynącej stało się milion gwiazd, jakoby welon gwiazd, który przesłonił jej kształty. I wzrok ócz Jej tylko przebijał, jak dwie żywe błyskawice, które nierozchodziły się na wszechświat, ale szły prosto na dół od nieba do ziemi i padały w pełni na ukrzyżowanych las.

I w tem spojrzeniu bożem wystąpiły te wszystkie ciała blade i zbroczone — i wszystkie te głowy, jakby trupie już, ze zgasłemi oczyma. I zdało się młodzieńcowi, że widzi naród cały zamordowany, pływający w morzu niebieskiej jasności — i zawołał: „Za późno! za późno!“

Wtedy cień Danta przyklękły na chmurze, wstał i rzekł: „Zaprawdę! zaprawdę! tu czyściec dni teraźniejszych, bo wszelkie ciało na tych równinach umęczone — ale nad duszą narodu tego czuwa Najdroższy Utajony sam!“ A gdy młodzieniec płakał i bił się w piersi i ukoić się nie mógł, mistrz dodał: „Nie płacz nad nimi, ale nad tamtymi, nad szarym światem z granitu — bo tam piekło i rozpad i sądny zgon — a tu ból tylko! Wszakem powiedział ci: z bólu zmartwychwstaje duch — z podłości tylko zmartwychwstania niemasz!“ A gdy tak mówił, zasuwała się kurtyna chmur — a równina i las i niebo i wzrok postaci niebieskiej znikały.

Coraz to chłodniej i rzeźwiej i jawniej. Wieniec tlejący nad czołem Mistrza zaczyna się roztapiać. Młodzieńcowi się zdało, że widzi znów wnątrz jakiejś kaplicy i pola i góry i wschodzące słońce — i wyciągnął ręce wołając: „O Mistrzu! Mistrzu! pokaż mi niebo — owo trzecie — na ziemi!“

Cień Danta jeszcze raz skupił się w kształt i objawił całkiem śród napływającego światła. Lecz głos jego był inny, jakby już daleki, już wracający w chwale tam, zkąd przybył. „Dotąd na waszym świecie piekło tylko i czyściec — ale duch Pana zamieszkał wam w piersiach, — wyście

jak przepaści — a w głębiach waszych tajnie ukryte błękitu. Wiarą wzbudźcie je w jaśń — skrzydłem woli świętej wznieście je w górę, wynieście na zewnątrz; — przed sobą, nad sobą, w okół siebie rozwidnokrężcie je Miłości czynem! Wtedy ono trzecie zacznie widomieć na ziemi — lecz baczcie pilnie — żaden doń inny nie powiedzie tor — ni ślepy traf, ni przeznaczeń mus, ni swawoli dąs, ni żadnej pychy kłam. A biada wiekom! jeśli gwałty niebożemi kusić się będą o dóbr bożych łup; — bo do tyla was uszanował Pan, Stwórca wasz, że wolno wam z Nim staczać bój i złem waszem zwyciężać Go; — lecz skoroście wygrali tak, wnet zwyciężony Wszechistny ucieka z was, a wam pozostaje w zamian wiekuisty brak, wiekuista śmierć, wiekuiste Nic. Czuwajcie więc nad losami planety waszego!“

I mdlejąc śród światła poranku — srebrząc się ostatnim śladem w powietrzu — coraz to szerszemi kręgi — coraz to przejrzystszemi — jak wiry wód poruszonych — jak powiewów uciszających się tchnienia — jak sen co przemija, poszła postać Danta w przestrzeń — w oddal — w blask słońca — poszła w niewidzialność nieskończoności!

III.

(Karnawał na placu Ś. Marka w Wenecyi. — Kościół Ś. Marka i plac Dożów w głębi. — Mnóstwo masek na placu pod portykami. — Młodzieniec. — Bankier-Książe, wchodzący.)

CHÓR GRECZYNEK.

Eulaloe-lana! My z Archipelagu uciekły — z seraju Baszy pohańca uciekły. Czy widzisz ócz naszych ogniki? Zdejm nam maskę, zdejm! *Eulaloe-lana!*

CHÓR WENECYANEK.

Na czarnej gondoli niegdyś Patrycyusz i Patrycyanka! Róże, aksamit i perły, miecz, gitara i puginał — w koło szmery fal!

Po dziś dzień gondola, po dziś dzień róże, po dziś dzień szmery fal! — a reszta gdzie? — i sama, pusta, czarna gondola po falach z tą wiązką róż płynie!

CHÓR CYGANEK.

Do nas tu, do nas! Za groszaka przyszłość — za groszaka przeznaczenie; — o groszak, o groszak prosimy cię!

JEDNA Z CYGANEK.

Stójże młody panie!

MŁODZIENIEC.

Czemu mnie zatrzymujesz maseczko?

CYGANKA

Dajże rękę, daj!

MŁODZIENIEC.

Chcesz przeczytać mi losy me?

CYGANKA.

Co tu pokrzyżowanych ścieżeczek na dłoni tej! wszystkiego podostatkiem — miłość — rozpacz — samobójstwo — burze — klęski — szczęście — natchnienie — szał; — Strzeż się kobiet, strzeż!

MŁODZIENIEC

Więc mnie puść bym dopełnił przestrogi.

BANKIER-KSIĄŻE.

Pan Hrabia pewnoś w życiu jeszcze takiego karnawału nie oglądał?

MŁODZIENIEC.

W istocie nigdy! co za pstrokacizn tłum? co za mruczenie i pisk!

BANKIER-KSIĄŻE.

Skorom też list rekomendujący mi Pana Hrabiego od Rothmana i spółki, prawdziwego króla giełd europejskich, zawczoraj odebrał — natychmiast sobie ułożyłem w myśli, służyć sam Panu Hrabiemu za przewodnika śród dzisiejszej uroczystości — wszak dobrzem uczynił? wszak zabawnie i miło, kochany Hrabio?

MŁODZIENIEC.

Co mi tu najmilszem, to że błękity bez maski, że słońce to bez maski, że taką wonią fijołków rzucanych rozpojone powietrze, że deszczem róż wszystkie te poczwary między sobą się biją! A jaki ten kościół tęczano-mozaikowy! a jaką przepaską koronkowych filarów ten pałac obwiązan! a to morze dalej, jakimże puklerzem jednym widnokrężnym ze srebra.

BANKIER-KSIĄŻE.

Wejdźmy pod same portyki — tam najwięcej porządnych masek. Będę mógł Panu hrabiemu pokazać osoby z tutejszego towarzystwa.

MŁODZIENIEC.

Szkoda, że ztamtąd ni morza, ni tych niebios nie widać; ale, kiedy książe chcesz, idźmy!

BANKIER-KSIĄŻE.

Musisz Pan Hrabia mieć namiętność do malowania krajobrazów, kiedy tak ciągle się zajmujesz powietrzem i wodą?

MŁODZIENIEC.

Wcale nie; — lecz wzrok Boga mi z po za nich, osobliwie w tych stronach, przebija!

BANKIER-KSIĄŻE.

Aha! tylko dla tego! Widzę, drogi Hrabia exaltacyi pełen — zwyczajnie młodość, wyobraźnia! i ja też taki sam byłem, tylko że mi czasu niestarczyło do takowych

spostrzeżeń; — musiałem pod ojca okiem w biórze siedzieć do kantorka przykuty od rana po wieczór — inaczej nigdybyśmy książętami nie byli zostali; ale zupełnie taki sam byłem, gdym miał lat osiemnaście. Oto jeden z moich ajentów mnie szuka; na chwilę przepraszam Hrabiego. A co Petrucio?

AJENT.

Stoją metaliki sto dwa i ćwierć.

BANKIER-KSIĄŻE.

Wstrzymać się jeszcze aż dojdą sto trzy — wtedy puścić hurmem!

AJENT.

A jak nie postąpią tak wysoko.

BANKIER-KSIĄŻE.

Wątp o słońcu że świeci, ale nigdy nie wątp gdy ci zapowiadam ruch giełdczany jaki; — za godzin dwie będą sto trzy!

AJENT.

A Jaśnie Oświecony Książe, gdy wszystkie od razu rzucim na targ, to mówią że dom Pignatelli i Merecz ucierpi znacznie, może upadnie.

BANKIER-KSIĄŻE.

Właśnie dla tego — właśnie dla tego! — ruszaj!

(do Młodzieńca.)

To bardzo niedoświadczony jeszcze, nowo wzięty do mojej buchalteryi pisarz — lecz się wykształci. I ja taki byłem, zupełnie taki sam, gdym miał lat osiemnaście. Czy widzisz, drogi Panie, tego arlekina?

MŁODZIENIEC.

Widzę.

BANKIER-KSIĄŻE.

Najpoufalszy mój przyjaciel, prawdziwy przyjaciel! Markiz, grand hiszpański pierwszego rzędu, kawaler runa złotego, komandor Moncenigo, najstarszy szlachcic z całej Wenecyi!

MŁODZIENIEC.

Z tym pół łokciowym nosem, z temi brzęczącemi szmaty i tym czarnym z tyłu ogonem?

BANKIER-KSIĄŻE.

Tak, ten sam, ten sam! Jak się masz Moncenigo? zarazem cię pod maską poznał. A to, to przyjaciel mój, Hrabia z Polski, zarekomendowany mi zawczoraj przez Rothmana i spółkę — zapoznajcie się panowie! Przepraszam cię, drogi Hrabio, takie imie twe słowiańskie trudne, że nie mogę..... Lecz już nas minął Moncenigo — poleciał za tą dziewczyną w różowem domino — na drugi raz zapoznanie! — Prawda, jaki piękny i gibki mężczyzna! — przewybornie mu w tym stroju pół djablim, pół arlekinowym!

MŁODZIENIEC.

U nas w Polsce, gdyby się tak przebrał, powiedzianoby że.....

BANKIER-KSIĄŻE.

Że co?

MŁODZIENIEC.

Ot, na ustach mi się rozpłynęło.

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale powiedz drogi — ciekawym nader!

MŁODZIENIEC.

Roztopiło się!

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale proszę cię!

MŁODZIENIEC.

Pozwalasz Książe?

BANKIER-KSIĄŻE.

Koniecznie wymagam — zabawnego coś być musi!

MŁODZIENIEC.

Koniecznie każesz Pan?

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale musisz, drogi! Mówże, cóżby powiedziano o najwytworniejszym z naszych elegantów tak humorystycznie zamaskowanym?

MŁODZIENIEC.

Powiedzianoby, Mości Książe, że ojców dziarskich znikczemniały syn!

BANKIER-KSIĄŻE.

A to czemu? nie stracił ani grosza z ich majątku — dotąd wszystko ma!

MŁODZIENIEC.

Powiedzianoby, że dopóki po waszych rynkach chodzą obce najezdniki przy pałaszach u boku a z pychą na czole, — to wam nie za arlekinów się przebierać, ale w milczeniu wybohaterzać się na dawnej Rzeczypospolitej mścicielów!

BANKIER-KSIĄŻE.

Rozmaitość obyczajów narodowych! Hrabia i politycznie widzę exaltowany; — ja taki sam zupełnie byłem gdym miał lat osiemnaście! A tego, tego czy też widzisz, tego mnicha z kosturem i w sandałach? To malarz pierwszy tutejszy — dobry dzień, Arpeggiani! Nie zapomnij obiadu u mnie we środę, punkt o śiódmej. Drogi Hrabio, ja sztuki, uważasz, proteguję ogromnie. Po trzy razy w tydzień zapraszam wszystkich artystów czy pędzlem, czy muzyką, czy rymami się odznaczają. Cóż chcesz Hrabio! gdy się miliony ma, trzeba być wspaniałym. Pieniądz dziś czem było papieztwo dawniej — więc ma się obowiązki. Trza też sypnąć czasem! cha! cha! cha! Tak dalece, że ludzie, no, naturalnie pochlebcy, o mnie głoszą, żem Mecenasem tego miasta; inni, żem z Medyceuszów rodem chyba. Może też nasze rodziny kiedyś tam się i powikłały! cha! cha! cha! Spójrz się na lewo, Hrabio!

MŁODZIENIEC.

Co takiego?

BANKIER-KSIĄŻE.

Śród tych dwóch rzędów masek co się rozstąpiły, najpiękniejsza kobieta z całej Wenecyi, idzie naprzeciwko nas!

MŁODZIENIEC.

Ta oparta na ręku onego wysokiego mężczyzny?

BANKIER-KSIĄŻE.

Ta sama w czarnej sukni, bez maski. Szkoda tylko, niepowetowana szkoda, że od jakiegoś czasu chudnieje wciąż. Przypatrz że się jej! *per Bachcho!* oto mi rysy! oto mi oko! oto mi chód! wielkiej damy chód!

MŁODZIENIEC.

W istocie coś królewskiego.....

BANKIER-KSIĄŻE.

A co!

MŁODZIENIEC.

Kolana moje proszą się mnie, bym przyklął!

BANKIER-KSIĄŻE.

Drogi Hrabio, bledniesz — czy słabo ci?

MŁODZIENIEC.

Nie, nie! O słuchaj! chciałbym w tej chwili być tą wiązką fijołków co w twojem ręku; — wziąłbyś mnie i rzucił pod stopy te!

BANKIER-KSIĄŻE.

Widzę, żeś Pan hrabia exaltowany i co do kobiet — taki sam zupełnie byłem, gdym miał lat osiemnaście. Zatem obowiązuję się kochanego Hrabię zapoznać z księżną. Lecz teraz niesposób, gdyż znać, spieszy się, — a potem, książe z nią — a to pan całą gębą i mówiąc między nami, to..... to.....

MŁODZIENIEC.

Przeszła! tak przeszła jak sen!

BANKIER-KSIĄŻE.

Jakżeż to powiedzieć?..... to..... to człowiek niezmiernie poważny, przytem niezmiernie grzeczny, ale szczególnym sposobem. Głęboko też rozumny — wielka figura — rozumiesz? niewiem jak ci to wytłumaczyć?.... to straszny człowiek!

MŁODZIENIEC.

Jakto?

BANKIER-KSIĄŻE.

Tylko na miłość Boga nie powtarzaj nikomu, drogi Hrabio; — ja uważasz, szczerym, otwartym z tobą — boś mi Pan Hrabia zarekomendowany przez Rothmana i Spółkę — mówię zatem, czegobym drugiemu nie powiedział, nikomu drugiemu zarekomendowanemu przez inny dom mniej kapitalny, nigdy, słowo honoru, nigdy nie powiedział! Ale też za to nie zdradź mnie przed nikim. Czy mi dajesz słowo honoru?

MŁODZIENIEC.

Spójrz mi w oczy! czym do zdrajcy podobny? Zważ przytem, Książe, żeś mi nic nie wykrył, wcale nic, powiedziałeś tylko, że to straszny człowiek.....

BANKIER-KSIĄŻE.

Za wiele już i tak! chodźmy dalej, nie stójmy tu, nie spoglądaj Pan tak za nimi; jeszcze powiedzą, że nie za Panią, tylko za Panem patrzysz! że jego ruchów pilnujesz! Bóg wie czego ludzie nie wykłamią.

MŁODZIENIEC.

Ale któż to, powiedzże mi Pan wreście?

BANKIER-KSIĄŻE.

Książe Rahoga, bardzo znakomity człowiek. Rusz się Hrabio z miejsca, w zakręt wejdźmy ten!

MŁODZIENIEC.

A ona?

BANKIER-KSIĄŻE.

Księżna Rahoga, żona jego!

MŁODZIENIEC.

Żona jego?

BANKIER-KSIĄŻE.

Tak!

MŁODZIENIEC.

Czy pewno żona jego?

BANKIER-KSIĄŻE.

A jużciż! cóż za pytanie?

MŁODZIENIEC.

A więc żona, powiadasz, że żona?

BANKIER-KSIĄŻE.

Powiadam, powtarzam, przysięgam, tak jak że dwadzieścia tysięcy sześćset piędziesiąt i jeden napoleonów w złocie, ni mniej ni więcej, leży w tej chwili w prawej szufladzie szafy mej bankowej! Roztargnionyś Pan Hrabia — cóż w tem tak dziwić cię może?

MŁODZIENIEC.

Dziwić, nie dziwi — ale boleć, boli!

BANKIER-KSIĄŻE.

A to dla czego?

MŁODZIENIEC.

Dziwak ze mnie! nie lubię żon! Idźmy dalej! Ja już gdzieś tę postać powietrzną spotkałem — ale gdzie, gdzie?

BANKIER-KSIĄŻE.

Zapewnie w Rossyi, bo Rossyanka.

MŁODZIENIEC.

Nie bluźń! nie prawda! być nie może!

BANKIER-KSIĄŻE.

Na pewno wiem, że ani Włoszka, ani Niemka, ani Angielka; ze słowiańskiego jest pochodzenia.....

MŁODZIENIEC.

Polka być musi!

BANKIER-KSIĄŻE.

A może być — podobno tak nawet niezawodnie! Tak, masz racyą pan Hrabia; istotnie przypominam sobie teraz jak mówiono niedawno, że spadło na nią dziedzictwo jakieś w Polsce, ale w tej Polsce, co to Rossyą jest!

MŁODZIENIEC.

Zkądżeś więc był sobie Książę wyobraził że Moskiewka?

BANKIER-KSIĄŻE.

Alboż to nie prawie jedno?

MŁODZIENIEC.

Tak jak Ateizm i Religia jedno! — tak, jak dźwięk twoich sztuk złota, a szczęk Napoleonowej szabli jedno mości Książe!

BANKIER-KSIĄŻE.

Dla nas Włochów niema rożnicy — ogólną Russa nazwą wszystkich północnych mianujemy gości!

MŁODZIENIEC.

Ah! powiedzże mi jej imię polskie!

BANKIER-KSIĄŻE.

Co tego to nie potrafię!

MŁODZIENIEC.

Chichotania tych masek mnie zarzynają! Co tylko wiesz, powiedz mi Pan o niej.

BANKIER-KSIĄŻE.

Opowiadano więc, że dziedzictwo jakieś niespodzianie spadło na nią i to w pobliżu dóbr znacznych, które sam Książe posiada także w tamtym kraju; — podobno gdzieś niedaleko miasta Odessy. Nawet przydawano, że Książe z tego bardzo zły!

MŁODZIENIEC

Czemuż zły?

BANKIER-KSIĄŻE.

Usuńże się z drogi tym pędzącym Mandarynom! Widzisz Pan, słychać, że Książe wziął ją bez posagu, choć ze znakomitego domu — zwyczajnie z takiego, co to uświetnion herbami i chwałą, nie pilnował interesów, nie przejrzał jak my finansiści, że tajemnicą, która władnie światem, pieniądz jest! Tak, drogi hrabio! Ja się nieraz siebie zapytuję, gdy po nocach się przebudzam, jak Bóg świat stworzył bez pieniędzy; — musiał mieć kapitał jakiś i sypnął nim! Czyż gwiazdy nie dukaty jego? cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC.

O Księżnie, o Księżnie mówmy.

BANKIER-KSIĄŻE.

Zatem Książę który sam posiada ogromne majątki wszędzie, w Austryi, Szląsku, Włoszech i tam koło Odessy, zły był, że się ona dostała do czegoś własnego.

MŁODZIENIEC.

Nie pojmuję!

BANKIER-KSIĄŻE.

Rzecz jednak matematycznie jasna. Wszak majątek przynosi niepodległość, obdarza siłą, rozwija nawet rozum, pamięć, wolę, wyobraźnią! a wszystkie te dary boże w ko-nach, plagami mężom. Miał, miał na honor z czego być zły Książe! Teraz nią rządzić tak jak dawniej już nie sposób! deptać po niej już nie sposób! zamykać na klucz już nie sposób! Znajdzie przecię takich co wybiją drzwi! Patrz, Hrabio, co to pieniądz znaczy!

MŁODZIENIEC.

Alboż ją tak uciskał? męczył? więził?

BANKIER-KSIĄŻE,

Ponure rzeczy opowiadają, a można wierzyć, bo zazdrośnik niesłychany i żelazny despota!

MŁODZIENIEC.

Chyba ten Rahoga szatanem!

BANKIER-KSIĄŻE.

Niedoświadczony Hrabio! Proszę cię, proszę i zalecam, ciszej mów, — imion własnych nie wykrzykuj tak w głos na publicznem miejscu. Zmiłuj się!

MŁODZIENIEC.

Jemu samemu w oczy bym powiedział!

BANKIER-KSIĄŻE.

Możeby bezpieczniej było niż za oczy — bo gotówby przebaczyć, — a tak, gdy mu powtórzą, nie daruje!

MŁODZIENIEC.

Alboż tu wszyscy jego krewnymi, przyjaciołmi, sługami?

BANKIER-KSIĄŻE.

Nie! — ale czemś innem może!

MŁODZIENIEC.

Czemże?

BANKIER-KSIĄŻE.

Przedstaw sobie, drogi Hrabio, że u dworu ma wzięcie nadzwyczajne, niewypowiedzialne. Choć żadnego urzędu oznaczonego nie posiada. gdy przychodzi, drzwi cesarskiej sypialni same z siebie odmykają się przed nim, — a gdy wychodzi, panuje — wszyscy bledną — wszyscy biegną, gdzie skinie!

MŁODZIENIEC.

Lecz tu nigdzie w około nas pod maską ni Cesarza samego, ni dworzan wiedeńskich niema, by mię podsłuchawszy, zaraz pobiegli mu donieść. Samych tylko widzę szalonych, zapustami pijanych, skaczących Turków, Indyan, bogów i poliszynelów!

BANKIER-KSIĄŻE.

Nachyl no bliżej ucha, Hrabio!

MŁODZIENIEC.

Słucham!

BANKIER-KSIĄŻE.

A szpiegów niema może na tym rynku Świętego Marka?

MŁODZIENIEC.

Jakto? co mówisz? Tej kobiety mąż policyantem?

BANKIER-KSIĄŻE.

Któż no bo takie rzeczy przypuszcza? zkąd? jak? czym co podobnego powiedział? Ale gdzież tam policyantem! alboż Cesarz naprzykład policyantem? alboż gubernator miasta Wenecyi policyantem? a przecież i Cesarz i gubernator czytują sprawozdania policyi!

MŁODZIENIEC.

Więc czemże ten Rahoga? raz mi powiedz już a nie męcz!

BANKIER-KSIĄŻE.

Opisać go dokładniej panu Hrabiemu istotnie nie potrafię. Wie wszystko — trzęsie wielą rzeczami w państwie — i prześliczną żonę ma, z którą pana Hrabiego zapoznać się będę starał. Na kiedy, Hrabio, mam zapowiedzieć cię salonowi jej? bo jeśli się nie mylę, jużeś zakochany! cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC.

Pan ani pojęcia o nas niemasz — Polska ojczyzna bajecznym ci krajem, — nie wiesz jakie kwiaty uczucia wydaje najrozdeptańsza ziemia Europy, orana lemieszem klęsk, łzami zroszona pokoleń! nie domyślisz się nigdy spójni, co łączy jej ziomków; — acz się nie znają naocznie, skoro los ich zetknie, wiedzą zaraz o sobie że równi i ciż sami bolem bezmiernym. Dość, że Polką ona, bym ja Polak, na obcej tej ziemi, zaraz siostrę w niej wyznał!

BANKIER-KSIĄŻE:

Broń się, Hrabio, jak chcesz, ja twierdzę żeś zakochany; cha! cha! cha! a dobrze robisz, choć to trudna sprawa — dobrze na honor! Jakaż to kibić! jakie nóżki! bravo! bravissimo! cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC.

Mości książe! muszę cię jeszcze ostrzedz o jednym narodowym obyczaju polskim.

BANKIER-KSIĄŻE.

O jakimże?

MŁODZIENIEC.

Polacy byli wesołymi niegdyś, ale dziś sponurzeli w grobie, nie lubią żartów. Za pierwszym tylko razem je znoszą — za drugim, przestrzegają — za trzecim zaś albo sami giną, albo ginie żartujący z nich!

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale się nie gniewaj, panie Hrabio, ale się nie gniewaj! Jestem na jego usługi! Jakżeż? przez taki dom poleconyś mnie! przez Rothmana i spółkę! dom wszechmocny, grun-

towny, wiekuisty! anim myślał cię obrażać panie Hrabio! dajże mi rękę, daj! — kiedy zechcesz zaprowadzę cię do Rahogów — dziś, mów, o dziewiątej, chcesz?

MŁODZIENIEC.

Dzięki najuniżeńsze Księciu składam; odłóżmy nieocenioną łaskę Księcia na później. Zresztą i sam trafię do nich, jeśli po myśli mi będzie!

BANKIER-KSIĄŻE.

Tylko rozkaż drogi — kiedy tylko ci się przyśni, o każdej minucie na twojem rozkazy!

MŁODZIENIEC.

Racz Książe pozwolić, byśmy o czem innem mówili.— Widzę, ktoś za Księciem goni.

BANKIER-KSIĄŻE.

Drugi mój ajent — A co Gregorio?

AJENT.

Przed pół godziną do stu trzech się podniosły — natychmiast wszystkie sprzedaliśmy hurmem. Pignatelli i Merecz dołem — wasza excellencya górą!

BANKIER-KSIĄŻE.

Doskonale Gregorio! wiedziałem że stanie się tak! Pignatelli więc i Merecz niezawodnie dołem?

AJENT.

Klnę się na wszystkich świętych co w raju, że dołem.

BANKIER-KSIĄŻE.

Jakże mi spać będzie miło tej nocy. Wracaj do kassy Gregorio! (do młodzieńca.) Czemuś tak zasępił się, drogi Hrabio? przykro mi, prawdziwie przykro! We mnie owszem humor naradza się wyborny — zdrowie jakieś mi bieży po ciele od stóp do głów. Zapusty, to pyszna zabawa, — miasto Wenecya, to najpiękniejsze miasto Włoch! na honor, Hrabio, że tak jest! Hrabio, bawże się! chodź zemną do mnie na obiad! ożywże się — obudźże się — odezwijże się!

MŁODZIENIEC.

Raczysz Książe się na mnie nie gniewać, że go pożegnam; — dość mi zabawy na dzisiaj. (wychodzi).

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale proszę cię, drogi mój, zostań! gdzie się tak spieszysz, najukochańszy Hrabio?— Już odszedł! czy się wściekł? Jeszczem takiego exaltowanego nie widział. U tych Polaków siarka i saletra w żyłach, miasto krwi — pewno z niego Jakóbin! Ja od razu człowieka przepatrzę — pewno Jakóbin! nigdy się nie mylę! pewno Jakóbin! Jakóbin!

(Znika śród tłumu masek).

IV.

(Pomieszkanie Młodzieńca. — Sala o maurytańskich oknach z wysuniętym krużgankiem; — palące się świece na stole. — Na krużganku Aligier — drzwiami w głębi wchodzący Jakób.)

ALIGIER.

Jakżeż twe niebiosa dziwne, o Panie! Pędne, wirujące, żywe a takie spokojne! I ta Wenecya jakżeż dziwna, o Panie! W balsamie promieni miesięcznych taka urodziwa a taka umarła. Lecz pod tą srebrną niewzruszonością głębie tajemnicze także, a w nich pęd i ruch, tak samo jak w górze tam! Ty sam wiesz, o Boże!

JAKÓB.

Proszę też W. Pana!

ALIGIER.

Toś ty Jakóbie?

JAKÓB.

A jużci W. Panie!

ALIGIER.

Czego chcesz, mój Jakóbie?

JAKÓB.

Proszę W. Pana, że też to mówią ludzie, iż naród w tych stronach nie taki poczciwy jak u nas.....

ALIGIER.

Prawda poniekąd.

JAKÓB.

Więc proszę W. Pana, bo dobrze już w noc a Pan Hrabia niewraca, więc ja się przeląkł i myślę sobie, żeby się nie stało szkody jakiej JW. Hrabiemu.

ALIGIER.

Gdzieś go zapusty zatrzymały — nie lękaj się.

JAKÓB.

Boć to zawżdy tak, W. Panie, bieda i bieda! Gdy weźmie wychodząc krucicę lub puginał, już dufa sobie, że i stu rabusiom by poradził; — a kiedy czasem ja mówię: „Jasny Panie, weź z sobą Jakóba,“ to jak spojrzy na

mnie, to aż markotno się robi. A dobry, dobry Pan, jeno upór taki w sercu u niego; — żeby przynajmniej w słoneczku się kochał, ale to on, uważałem W. Panie, bardzo lubi gwiazdę wszelaką - przytem skoro pełnia, toć już czekaj, a on chodzi po dworze gdzieści i Bóg święty wie, co tam i do kogo czy gada, czy śpiewa coś! Dobrze raz, dobrze drugi, dobrze i setny, ale kiedyś kryska przyjdzie na Matyska? oj przyjdzie!

ALIGIER.

Cyt, czy słyszysz?

JAKÓB.

Jakby plusk wioseł.

ALIGIER.

Zbliża się odgłos ku zakrętowi kanału.

JAKÓB.

Dałby Pan Bóg, żeby to on był!

ALIGIER.

Z po za murów wysuwa się gondola!

JAKÓB

Proszę W. Pana, czy to JW. Pan?

ALIGIER.

Czekajże — zdaje się że on — tak — on sam!

JAKÓB.

Więc proszę W. Pana, pewno stoi patrzy się w niebo, a nie na tych złodziei co powożą.

ALIGIER.

Nie zgadłeś na dzisiaj, bo właśnie rozmawia z nimi. Zejdź i świeć mu na wschodach.

JAKÓB.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

(Wychodzi).

ALIGIER.

Na wieki wieków, amen! (do młodzieńca). Podnieś oczy, Henryku, ja tu na ganku!

GŁOS MŁODZIEŃCA (z dołu).

Widzę, widzę - zaraz! Hej Jakóbie, bram pałacu nie zamykaj, bo ten wioślarz idzie zemną na górę i powróci jeszcze.

ALIGIER (zbliża się ku drzwiom w głębi. — Młodzieniec i gondolarz wchodzą).

Gdzieżeś tak długo się bawił?

MŁODZIENIEC.

Pozwól, niech tylko z tym człowiekiem skończę! Zowiesz się?

GONDOLARZ.

Ambrosio, na waszej Sygnorii usługi.

MŁODZIENIEC.

Gdzie zwykle stoisz z gondolą twą?

AMBROSIO.

Tam, gdzie mnie wasza Signorija wzięła, u mostu Rialto.

MŁODZIENIEC.

I pewno, mówisz, w pałacu Kornerów, gdzieś mi te pyszne filary oglądać kazał po księżycu, mieszka Książe?

AMBROSIO.

A któż tego nie wie w Wenecyi?

MŁODZIENIEC.

Dwaś sfinxy także mi pokazywał koło drzwi bocznych i coś napomknąłeś mi czy o sfinksach, czy o drzwiach tych — już zapomniałem.

AMBROSIO.

Miałem zaszczyt mówienia Waszej Signorii, że temi drzwiami zwykle Księżna w każdą niedzielę z rana wychodzi, by płynąć na mszę do San Georgio.

MŁODZIENIEC.

Tak — prawda! Mówiłeś, że Książe sam nigdy na mszy nie bywa!

AMBROSIO.

Przepraszam Waszą Signoriją, bo o tem ja nie wiem; — zapewne bywać musi jak każdy prawowierny katolik, tylko, że o innej godzinie; — alem mówił, że z rana w niedzielę każdą tamtemi drzwiami zawsze Księżna sama jedna siada do gondoli i do San Georgio płynie.

MŁODZIENIEC.

O tych sfinxach myślałem i słowa twoje pomięszały mi się. Wszak jutro niedziela?

AMBROSIO.

Niewątpliwie jutro!

MŁODZIENIEC.

Niedokładniem obejrzał te sfinxy z porfiru — pyszne już w promieniach miesiąca — cóż dopiero we dnie, gdy się każden szczegół rzeźby uwydatni.

AMBROSIO.

Przysięgają znawcy, że to dzieło Michała-Anioła samego.

MŁODZIENIEC.

Masz za przejażdżkę.

AMBROSIO.

Dziesięć razy więcej, niżliśmy się zasłużyli ja i Beppo Signorii waszej. Przez Adrjatykę! i Dożowie dawniej niepłacili tak!

MŁODZIENIEC.

To za sfinxy — bo widzisz i ja trochę artysta. Jutro rano bądź z gondolą tu!

AMBROSIO.

Myśmy sługi — wasza Signorija panem.

(Wychodzi).

ALIGIER.

Stoisz i patrzysz się. Cóż, Henryku mój, ręki mi nawet nie ściśniesz?

MŁODZIENIEC.

Ah! powietrza, powietrza! Chodź na krużganek — mówić gdzie te świece się palą, niemogę!

ALIGIER.

Otóż i stoim już w pełni niebieskiego światła.

MŁODZIENIEC.

Wszak te wstęgi z wód jasnych, te z mostów obręcze, te gondole szparkie jak strzały, czarne jak trumny rozkoszne jak pośmiertne zbawienie, wszak te błękity, te gwiazdy źrenicujące po nich, ten księżyc taki palący mnie jak słońca wzrok, wszak to wszystko z miłości jest, miłością jest przed wiekami i na wieki? Wszak Bóg nim stworzył świat, zakochał się w niestworzonym jeszcze — i dla tego stworzony taki przecudny. Wszak tak? O Aligier! co mi się dzieje też!

ALIGIER.

Ty gorączkę masz!

MŁODZIENIEC.

Powiedz mi, gdzie to było, gdzie to mogło być, gdziem ja ją spotkał już? A spotkałem raz, niezawodnie tak jakem żyw, spotkałem ją! I tak się męczę — i tak się znoję aż do krwi pamięcią a nie mogę, nie mogę sobie przypomnieć.

ALIGIER.

Ją? kogóż to?

MŁODZIENIEC.

Jakto, jeszcze ci ja będę musiał opowiadać? Dziś, tam na rynku Św. Marka z tym nieznośnym Bankierem-Księciem idąc, naglem obaczył postać gdzieś ujrzaną już. Zowią ją imieniem jej męża — jej mąż zwie się Rahoga — a ona Polką! Co? niewiedziałeś żem ją spotkał? To mnie dziwi! Ty mnie tak kochasz Aligier, a nie uczułeś nic?

ALIGIER.

Ah! strzeż się!

MŁODZIENIEC.

Czego? Czy tych uniesień niepojętych, co we mnie naradzają się tak, że wszechprzytomności Bożej prawie dotykam palcami we wszystkiem, — ot, nawet w tych tu promieniach co tak pełzają ku mnie po marmurze tym!

ALIGIER.

Rahogi i domu jego się strzeż!

MŁODZIENIEC.

Czemu?

ALIGIER.

Jeden z najzaciętszych wrogów polskiej ojczyzny!

MŁODZIENIEC.

I ona też? Więc taki anielski kształt obłudą? płaszczem ciała promiennym, rzuconym przez Stwórcę na ramiona Duchowi nieczystemu, świętokradczyni, — Polce, która nienawidzi Polski? Nie może być! — zaraz mi tu prawdę mów! — nie kołysaj mi noża po nad sercem — utop od razu!

ALIGIER.

Czym powiedział co na nią?

MŁODZIENIEC.

Ah! jakżeż ty dobry, miłosierny — jaki ty uroczysty i święty w tem świetle miesięcznem; ja tak cię kochałem zawsze, ja tak cię kocham! więc ty przeciwko niej nie świadczysz, tylko przeciwko niemu?

ALIGIER.

Przeciwko niemu tylko!

MŁODZIENIEC.

Tem lepiej!

ALIGIER.

Jakżeż „tem lepiej“ kiedy on mężem jej?

MŁODZIENIEC.

Mężem jej a prześladowcą braci jej? Co za mąż! chyba kat tylko!

ALIGIER.

Więc rad jesteś, że on katem jej?

MŁODZIENIEC.

Nie! lecz jeśli on katem, to ona ofiarą — zatem ofiarę od kata obronić potrzeba! Cóżeś tak rękę w piersi wgniótł?

ALIGIER.

Chore serce jak zwykle mi się przypomina — nie dziw! Bijąc, wszędzie obijało się o ukochanych błąd, o ukochanych szał, o ukochanych zgubę; — i w tej chwili teraz uderzywszy o ciebie, odskakuje ranne błędem, szałem, może zgubą twoją!

MŁODZIENIEC.

O! a ja taki szczęśliwy, a ja taki silny się czuję! Zda mi się, gdy spojrzę w tę noc, że tchu by mi wystarczyło na odwiedzenie wszystkich tych światów jednego po drugim — i że na progach samego Boga jeszcze nie padłbym zmęczony.

ALIGIER.

A jednak miasto nieśmiertelnej młodości, zawczesna starość właśnie blizka ciebie!

MŁODZIENIEC.

Ja starym kiedykolwiek mógłbym być? Ja?

ALIGIER.

Ty i nie zadługo!

MŁODZIENIEC.

Zkąd? jak? czem?

ALIGIER.

Raj migający w powietrzu, zaprowadzi cię aż do drzwi wroga — przejdziesz przez nie, nie błogosławiąc im — owszem przeklinając je! A to źle tak wchodzić do cudzych bram, gdy jędza konieczności lub anioł obowiązku nie wpycha nas do nich; — i odtąd zacznie Duch więdnąć twój!

MŁODZIENIEC.

A Aligier! oparty na poręczy granitowej, z głową na ręku, nie chcesz patrzeć na mnie i grube łzy u powiek ci się zawieszają, o Aligier!

ALIGIER.

Jakżeż więc, o Panie! — nigdy synowi człowieka nie wystarczy piękno, tak jak w łonie twojem spoczywa! Nieskończoność nie zagasi pragnienia jego — musi zejść do skończoności i szyderską pomyłką, ziemię za niebo mieć, nieba właśnie szukając! To z czego wszystko jest, Ideał, to w imieniu czego sam zakochuje się we wszystkiem, niczem mu! I porzuci ciebie niestworzonego Stwórcę, dla stworzenia, co nie tworzy nic! Dopiero w dwojgu ócz śmiertelnych będzie wyczytywał żeś Ty jest, — Ty coś w każdej z tych gwiazd wypłaskorzeźbion na niebie, Ty coś w każdem dziejów powieniu szumiący po ziemi! Jeden tylko śród milionów inaczej cię poznał! Ah! prawdać, Panie, on Tobą samym był! Lecz cóż z nami wszystkimi, jeśli niedobratnim się jemu? o Panie! o Panie!

MŁODZIENIEC.

To ty, pierwszą siwiznę rzucasz mi na serce, takim żalem okropnym twym!

ALIGIER.

Tobie człowiecze we dwójnasób Ideału się dostało! Francuz, Anglik, Niemiec po połowie tylko Boga czują — nie dotykają ran Jego codzień w męczeństwie narodu! nie oglądają cudów żywota Jego codzień w niezłomnej odwadze narodu! Oto skarb twój! — co klejnotów w nim! co boleści, co ofiar, co zasług, co wspomnień, co nadziei, co nieśmiertelnych żądz! nie dosyć że ci? Będziesz że mi jeszcze błąkał się po manowcach za ognikami, — będziesz mi kwiatki zbierał po gajach i tracił czas i trwonił moc

— kiedy w bór iść trzeba ogromny, ciemny, po skale, w górę, śród mgły, skarb ten krzyżowy dźwigając i krwią się własną przytrzymując u głazów, by nie odpaść w dół!

MŁODZIENIEC.

Ah! tyś widzenia tego nie oglądał! A ja ci mówię Aligier, że jak Polska cała, tak ona, ta jedna Polka jest bezmiarem nieszczęścia ubranym w nadziemski wdzięk! Nigdym nic podobniejszego do przechodzącej ojczyzny nie widział!

ALIGIER.

Pochlebiaj, przebaczaj, kłam sobie samemu, dziecię śmiertelne! Zwołaj namiętności i zachcianki swe, jak Car Bojarów i niech ci radzą: „Najjaśniejszy Panie, tak jest“ — aż pierś własną poczynisz sobie przedpokojem pełnym dworzan podłych — i wmówią w ciebie żeś wielki, gdyś mały — żeś waleczny, gdy mdlejesz — żeś wolny, gdy zstępujesz w opętanie!

MŁODZIENIEC.

Zkąd gorycz taka?

ALIGIER.

Bo mi się zakochujesz w sobie samym, łudząc się, że w drugiej istocie, — i tem rozwiązujesz się sam z potęg istoty twej!

MŁODZIENIEC.

Jakżeż powiem błyskawicy, co oblała mnie światłem: „nie świeciłaś mnie“. Czy nie wiesz, że tajemniczo a nieodwołalnie Duchy ciążą ku sobie? — w Bogu się może gdzieś znały i odnajdują się na tym świecie i znów po śmierci gdzieś będą razem! Ty wiesz o tem, lepiej ode-mnie wiesz!

ALIGIER.

Wiem może — i dla tego właśnie płaczę nad tobą! bo czyś zbadał prawa krążących tych duchów? Czy wiesz jak czasem spłynąwszy do siebie, kometą oderwanym się stają, co przez wieki wieków odbiega od środka i zwiedza otchłanie wszechświata, nim zawrócić zdoła do porzuconego słońca? Czy wiesz ile tam czyśców? a w nich ile przywiązań żałobnych? serc pękających wciąż? grzesznych postaci porwanych wirami rozpaczy, darmo wołających śród mroku: „Przebacz nam, o Panie!“.....

MŁODZIENIEC.

Ja i ztamtąd bym ją wyniósł i zaniósł do Boga!

ALIGIER.

Mówisz, mówisz — a nie wiesz, o Henryku mój!.....

MŁODZIENIEC.

Czegóż że ty myślisz, że ja pragnę? Oto niech mi przyjaźni świętej da z serca swego trochę — a na toć jedynie, bym mógł nieco ulgi jej przynieść — nie żądam nic innnego. Ah! bo Aligier, powtarzam, przysięgam ci, nigdym takiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonej ziemiance. Wystaw sobie marmur najniepokalańszy, paryjski, blaskosiejny marmur — napisu żadnego — spojrzysz i powiesz: „Posąg medycejskiej być z niego ma“ — a w tem znów spojrzysz i patrzysz, aż to kamień grobowy już i pod tą bryłą światła, śmierć. Więc klękaj i módl się i płacz! — to Ona!

ALIGIER.

Nie dotykajże się grobów, kiedy wiesz, że obowiązkiem twoim żyć na to, by rozdawać życie twe, braciom twym!

MŁODZIENIEC.

A cóż poczne, kiedy mi się śmierć kochać każe? Nie pycha, nie tryumf, nie pobłysk, ale ból czy tu czy tam, czy w braciach, czy w tej jednej z sióstr moich, — zawsze smutek i ból mnie woła, mnie nęci! Takie przeznaczenie me! Z tymi co przegrali, grając w losy, wieczniem ja — bo beznadziejni być muszą, bo im potrzeba mnie!

ALIGIER.

Iluż ich widziałem a wszyscy tak samo! Tęskni, skrzydlaci, niepowstrzymani — w lazurowych przestrzeniach, niby człowiecze motyle — każdy z kwiatem swoim obok niego latającym także; — aż kwiat z liści opadł, aż i motyl ze skrzydeł — w dół, żwir, piasek, pył; wtedy zlatują oboje z nadpowietrznych łąk — do prochu, proch! Iluż ich widziałem, a wszyscy tak samo!

MŁODZIENIEC.

Co ty tak żałobnie tym gwiazdom opowiadasz?

ALIGIER.

Dzieje lekkomyślnych!

MŁODZIENIEC.

Mojeż to być mają? O nie szydź — daj pokój — powiedz mi lepiej gdzie to ja ją widział już?

ALIGIER.

O biedny ty!

MŁODZIENIEC.

Co?

ALIGIER.

Powiedziałem: „o biedny ty“.

MŁODZIENIEC.

Co mówisz?

ALIGIER.

Nie rozumiesz że już słów moich? A czy pamiętasz też com oznajmił ci, gdyśmy z gór zstępowali ku miastu temu?

MŁODZIENIEC.

Co?

ALIGIER.

I tegoś zapomniał — o ty nie lekkomyślny!

MŁODZIENIEC.

Nie, nie! Alem w tej chwili duchem całym czegoś szukał, wiesz, tak jak czasem ucho, nuty zatraconej szuka — a nuta nie wraca; — a za nią mimowoli coraz bardziej się odrywa, nią niebędącą prześladowany słuch! Lecz owszem, wiem o czem mowa — powtórz tylko!

ALIGIER.

Pytałem się, czy pamiętasz jeszcze com ci zapowiadał, gdyśmy z ostatnich gór schodzili w stronę miasta tego?

MŁODZIENIEC.

A jakżeżbym nie wiedział? Obiecałeś mi, że mnie wprowadzisz do grona utajonych i tęskniących, w których się duchu przyszłość wypracowywa.

ALIGIER.

Czyś gotów?

MŁODZIENIEC.

O każdej godzinie!

ALIGIER.

Za trzy dni, o samej północy zaprowadzę ciebie. Wtedyć ujrzysz sam na oczy, wszystkie dzieje ziemskie, —

porównasz je z jedną ziemianką — osądzisz, czy się godzi przy nich, jeszcze marzyć o niej!

MŁODZIENIEC.

Nie mówmy o tem. Daj mi twe błogosławieństwo jak co wieczór — odejdę!

ALIGIER.

Pierwszy raz w życiu lodowato mi w duchu przy tobie?

MŁODZIENIEC.

Nie chcesz mi nawet dobrej nocy powiedzieć?

ALIGIER.

Coś nad tobą bardzo zgubnego wisi w powietrzokręgu przeznaczeń, kiedy mi tak źle! Słuchaj! — wyrzecz się jej — daj mi słowo, że.....

MŁODZIENIEC.

Przez Boga żywego nie dam! O Aligier, czyś tyranem? ja tylko dźwięk głosu jej usłyszeć chcę — nic więcej, — i tegoby mi nie wolno było?

ALIGIER.

Nic więcej?

MŁODZIENIEC.

Sam się przekonasz — wierz mi! Tylko dźwięk głosu usłyszeć, tylko myśl tej duszy przejąć..... nic, nic więcej!

ALIGIER.

On wierzy i głęboko, że nic więcej!

MŁODZIENIEC.

I cóżby ci pomogło nawet gwałtem duchowym przegiąć wolę mą? wydrzeć przyrzeczenie? Cóż nada gwałt? po gwałcie bunt!

ALIGIER.

Wiem i to!

MŁODZIENIEC.

Kochaj mnie!

ALIGIER.

Ponuro mi!

MŁODZIENIEC.

O Boże! słowam jeszcze do niej nie wyrzekł, a już tak cierpię za nią!

ALIGIER.

Masz, bierz jak co wieczór, przyjaźni błogosławień-

stwo. Nie chcę, byś cierpiał dziś już, ty co będziesz cierpiał tyle!

MŁODZIENIEC.

Ah! dziękuję ci! daj mi się rzucić w twe objęcia — tak! — niech serce moje na twem chorem bije!

ALIGIER.

Strzeż cię Pan, bo nie ustrzeżesz siebie sam, ni ja ustrzegę cię! Strzeż cię Pan!

(odchodzi ku drzwiom w głębi).

MŁODZIENIEC.

(idąc ku przeciwnym drzwiom).

A możem nie oglądał jej nigdy oczyma — możem tylko czuł ją gdzieś w koło siebie, jak opasującą mnie strugę potęgi — aż teraz zoczyłem i zda mi się, że to nie pierwszy raz. A to pierwszy — lecz nie pierwszy wiekuistemu bytowi! Kto mi powie, gdzie ja z nią zetknięt już!.....“

V.

PODZIEMIA WENECKIE.

SCENA I.

(Ciemnia w podziemiach weneckiego pałacu. — Młodzieniec, Aligier).

MŁODZIENIEC.

Zgasł ostatni błysk księżyca na tych wschodach — nic już nie widzę — słyszę tylko szum wody nad głową!

ALIGIER.

Trzymaj się ręki mojej — jeszcze nam głębiej zstąpić trzeba we wnętrzności ziemi!

MŁODZIENIEC.

Czy cię nie męczy ta droga? te wschody w gruzach!

ALIGIER.

Każden spadek murów tu znam — wiem gdzie stopień każden stał się sypkim pyłem, wiem gdzie inne jeszcze stoją cało — wnet też się i rozwidni — przeskocz tu, Henryku — tak, dobrze — teraz powoli i niżej i niżej coraz!

MŁODZIENIEC.

Dziwnie! skoroś tylko znikł z powierzchni ziemi, zda się, zdrowie ci wróciło — aż Bóg widzi, że te czarne przepaści, lubemi mi się stały. Radbym w nich zostać bylebyś tu żył zemną razem, długo i bezboleśnie.

ALIGIER.

Możebyś niegdyś był się tak dla mnie poświęcił — lecz teraz — o nie, nie! — boś już wstąpił w życie, a kto dotknął potoku ten przerobiony na falę, musi płynąć dalej. Ani też, Henryku, takiego poświęcenia potrzeba. Tem silny jestem, tem zdrów w tej chwili, że chcę i muszę w świat wspomnień i przeczuć, w świat ludzkości cię

wwieść — gdy wrócę rankiem na ziemi powierzchnią, ujrzysz mnie przy słońcu i znów powiesz: „Odchodzący.“ Lecz teraz nie myśl o tem — natęż ucho — wzrok zaostrz — całym sobą bądź przytomny sobie! wschody się kończą — czy widzisz tę kroplę światła w oddali!

MŁODZIENIEC.

Jakby zorzę maleńką co usiłuje wznijść a nie może!

ALIGIER.

Chodźmy!

CHÓR DALEKI.

Wy co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy co stawiać teraźniejszość i odkryć przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie dni zbiegłe przeszłości. Bo choć odmienne dzieje i różnych zdarzeń moc, pomysł wieczny jeden i prawda jedyna! ona duszą a świat piersią duszy coraz szerszą, większą! — i jako człowiek jeden wolno się rozbudza ze snu, tak ludzkość cała przez wieki — i jako rozbudzający się rankiem coraz jawniej się widzi i czuje siebie aż powie: „to ja“ — tak i tej ziemi duch!

MŁODZIENIEC.

Idźmy prędzej — podsuńmy się bliżej — zorza rośnie a rośnie!

ALIGIER.

Słuchaj — znów śpiewają!

CHÓR DALEKI.

Każda myśl poczęta w Bogu, z Wieczności w czas i przestrzeń zesłana, jako cząstka prawdy, jako córka Boża, to sama cierpieć musi co Bóg-Syn przecierpiał wcielony! Objawi się wśród ludzi — opowie nieba część — i męczy się i krzyż swój nosi i grób swój ma!

Jedne zginęły przed czasem jak święte dziewice — inne w samej pełni sił, padły jak bohatery — inne, później doczekały trumny w poniżeniu, w nędzy, z wierzchołków zeszłe do katakomb życia — żadna nie skonała w białej szacie, w której zstąpiła na ziemię — żółcią i octem pojone, krwią zbryzgane zniknęły!

Ale każda zmartwychwstała w następnej — każda z grobu się podniosła w innem, wyższem ciele! Wy co

chcecie przeczuwać. wspominajcie! Wy co stawiać teraźniejszość i odkryć przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie myśli zbiegłe przeszłości — bo dopiero tak z tych, co przeminęły jak z tych co przyjdą kiedyś, całość prawdy jest!

MŁODZIENIEC.

Coraz światła więcej! zkądże ono przybywa? czyż znów sen cudowny mnie chwyta?

ALIGIER.

Nie — wprawdzie wieki jak sny przelatywać zaczną, ale już nie wewnątrz, jedno zewnątrz ciebie — postępuj wciąż!

MŁODZIENIEC.

Co za jasność rażąca, południowa! aż skwarno mi! co za gmachy w oddali! — coraz mi bliżej do nich i one też jakby cichym wiatrem niesione, przywiane, zbliżają się do nas.

ALIGIER.

Poznajesz je?

MŁODZIENIEC.

Nigdym ich nie widział!

ALIGIER.

Czyż ludzkość na której łonie wzrosłeś nie dała ci wieków pamięci? czyż oczyma jej ducha wetkniętemi w duszę twą nie możesz poznać kształtów, które na tym planecie istniały, przed tysiącami lat?

MŁODZIENIEC.

Przypomniałem, pamiętam! — ot! nadpowietrzne ogrody! a tam wystrzelone ku niebu gwiazdarnie — tu znów, świątynia olbrzymia, krużgankami okręcona — jakiż kryształ wód! gdyby palące zwierciadła! — jaka kwiatów moc — wszędzie palmy — to Eufratowy brzeg — to Babylon.

ALIGIER.

Czy widzisz tych w szkarłacie?

MŁODZIENIEC.

Zgromadzonych u stóp wieży tej? — złotem kapią im na głowach tyjary — gwiazdami zasiane ich szaty. To Chaldejskich wieszczbiarzów ród!

ALIGIER.

Słuchaj — słuchaj!

CHÓR CHALDEJCZYKÓW.

O! czasie bez miary i granic, o! światło niewzruszone, spokojne, wszystkich świateł praojcze, jakże daleko, daleko, daleko do ciebie! Twój pierworodny Ormuzd i twój młodszy zbuntowany Aryman wiecznie walczą wszędzie, pasując się czy w barwach tęczy czy w sercu człowieka. My pragnęli wyzwolić się, wyczyścić, wypłonąć ku Tobie — i niższe ludzie my porwać chcieli z ciemności ku słońcu, ku Ormuzda błoniom! — a teraz czujem, nasza siła znika — a teraz, czytamy, napisano planetami na niebie, że przyjdzie zdobywca, dziki Pan, ot! przyjdzie! — Jadą na wozach — jadą i konno — ciągną pieszo a zwycięzcy wszyscy — słabieje nasza myśl — przeinaczy się nasza cześć — o czemuż umieramy, kiedyśmy syny światła?

CHÓR DALEKI.

Ale nie światłem samem!

CHÓR CHALDEJCZYKÓW:

Zoroaster zesłannik Ormuzda, obiecał że Ormuzd zwycięży kiedyś — i że sam Aryman w ogniu pokuty przetrawion, wróci na łono wszechświata! Lecz nas nie będzie i jutro już! Daremno więc, daremno o swięta jasności, my chcieli się wyzwolić, wyczyścić, wypłonąć ku tobie!

CHÓR DALEKI.

By żyć dalej, wprzód się przelać, wprzód się przewcielić, wprzód wam umrzeć trzeba!

MŁODZIENIEC.

Co się dzieje z nimi, Aligier? Błyskawica ogromna, podobna do spadającej wieczności, oblała ich i mury i bramę i rzekę tę! — wszystko, wszystko pożarła — jakżeż ciemno znów!

ALIGIER.

Stój na miejscu, na tem samem, wciąż — wnet inny rozświetli się wiek.

MŁODZIENIEC.

Ten trzechstrunny, jednostajny dźwięk, boli mnie — któż tam tak przegrywa?

ALIGIER.

Spojrzyj na prawo.

MŁODZIENIEC.

Za każdym dźwiękiem, zkądsiś ponury promień wytryska — niewidzialny księżyc gdzieś wszedł i podnosi się — już trzech piramid wierzchołki tleją nad pustynią— pod lasem obelisków, czarny sfinxów tłum — wszak to Memnon tam w głębi po nad światem siedzi?

ALIGIER.

Zważaj na bramę wielkiej piramidy!

MŁODZIENIEC.

Pełno mar z niej wychodzi i siada każda na granitowym grobie!

CHÓR EGIPSKICH KAPŁANÓW.

U nas przechowana tajemnica tajemnic. My pierwsi poznali Ciebie, któremu na imie: „Był i Jest i Będzie!“ Jak fale pod skałą tak czas i przestrzeń, mącą się u stóp twoich! — a na tych mętach dobry Ozyrys, zły Tyfon i smętna Arneryda ścigają za sobą — ich tylko widzą oczy śmiertelnych a Ciebie, nie!

Czemuż, o nieskończony Ty! wymykasz się nam? Zwolna my chcieli zepsute plemie wiecznej prawdy nauczyć — duszę odpętać od ciała by poszła radośna w niebieską ojczyznę — wszak my zachowali trupy, wszystkie trupy nasze, by lud przywykał do nieśmiertelności?

Czemuż więc teraz przybytek wstrząśniony? — przed czasem z niego wylana nauka? Z ogromu piramid, z labiryntu skrętów Ty odchodzisz od nas ku innym stronom. Kędy słońce zachodzi, tam potęga twoja się przenosi — tam zawiśniesz nad weselszemi ludy — a my tu w goryczy wyschniem, my najstarsze syny twoje!

CHÓR DALEKI.

Ale nie jedyne, ni ostatnie!

CHÓR EGIPSKICH KAPŁANÓW.

O czemuż konamy, kiedy czujem, żeśmy zesłańcami Boga!

CHÓR DALEKI.

Ale nie Bogiem samym — On jeden tylko nie umiera by odżyć!

MŁODZIENIEC.

Jaśń księżycowa wzrasta, wzrasta — a ich podchwyciły groby te i z grobami wraz zapadają w głąb! — cóż to za jęk ogromny, taki dźwięczny, czysty?

ALIGIER.

Wschodzące słońce drasnęło Memnona!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Z egipskich ciemnic, o myśli ludzka, poniesiem cię w róż, myrtów i błękitów kraj! Tam gdzie Zeus pokonał Tyfona! gdzie wąż potwór, legł pod strzałami słońca — gdzie na pianie morskiej Afrodyty kołysana postać — tam gdzie na wzgórzach Pallady posągi!

Zwiń się płowa pustynio! uciekajcie piramidy, schylcie się obeliski przed pierwszą prawdziwą pięknością! Tu mądrość — tu harmonia — tu wdzięczna Psyche odszuka Erosa!

MŁODZIENIEC.

O jakże ślicznie, ślicznie przemienia się wszystko! — brzeg taki zielony — takie lazurowe morze — skały w tunikach z winnic — Upoję się rozlaną wonią w powietrzu!

ALIGIER

Widzisz, wprost przed nami, coś się śnieży, coś kształci — światło pracuje i buduje gmach — już na greckim wzgórzu wybłyska świątynia — z marmuru paryjskiego niepokalana Eleuzis!

MŁODZIENIEC.

Brzęk lir i cytar z niej słychać — a teraz hymny wzniosły się!

ALIGIER,

Powoli zapełnia się dziedziniec!

MŁODZIENIEC.

Z pod kolumn, z za gajów, z za posągów wychodzą przecudne postaci.

ALIGIER.

Oto Hierofant tajemnic, ten w białych szatach, z sierpem złotym w ręku!

MŁODZIENIEC.

A ten, ten?

ALIGIER.

Który?

MŁODZIENIEC.

Ten najpiękniejszy z nich wszystkich, ten szerokopiersny, wyniosły, podobny nieco do Chrystusa!

ALIGIER.

Boski Platon!

MŁODZIENIEC.

Tak mówiło mi serce!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Duszo zabłąkana w cielesności matniach, dziewico opuszczona na dalekich brzegach, oczyszczaj się, oczyszczaj i wzdychaj i tęsknij a wrócisz do świata pierwowzorów, do Ojca twego i do matki Eimarmeny!

Patrz, z za opony zmysłów w którąś się oblokła, patrz, jak niebo to błękitne a ziemia ta kwiecista — z każdej fali odbłysków tysiąc — z każdego promienia barw mnóstwo — z jednego Boga, bogów myriady rodzą się co chwila!

HIEROFANT.

I te wszystkie bogi ziemskie, to siły tylko niebieskiego Boga!

CHÓR ELEUZYJSKI.

I ziemia i niebo i gwiazdy pełne sił, piękne, rytmiczne, żyjące, czemże?

HIEROFANT.

Cieniem tylko — odbiciem tylko Ideału!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Kochaj więc, o duszo, Ideał nad miarę!

GŁOS PLATONA.

Kochaj niezrównaną miłością i spłoń w tej miłości! Tam u niepoczętego nigdy, tam dopiero pięknie, nieśmiertelnie, miarowo! Znaj się — i znając, wznieś motyle skrzydła, poniosą cię one do domu! — a dom twój, rodzimy dom, to pierś Boża, ludna wielkim ludem, ideami wieczności!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Choć wiarę nam przynosisz i dajesz nadzieję, czemuż nam tak smętno?

GŁOS PLATONA.

Bo dotąd niemacie miłości!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Czemuż nam zaczyna się marzyć o końcu bliskim? Jak posąg Fidiaszowy z kości słoniowej i złota, pryśnie Grecya nasza — i odłamki jej leżeć będą w popiele i prochu!

HIEROFANT.

Cel wasz, o dusze, nie na ziemi tej!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Szkoda nam jednak, o szkoda Helleńskiej ojczyzny! — i widomych świątyń — i spiewnych igrzysk i marzonych Bogów — marzonych tak cudnie!

GŁOS PLATONA.

Ujrzeć i kochać i rozłączyć się — znów pokochać i rozłączyć się znowu — to doczesna próba dusz, aż *wieczne* ukochają wiecznie!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Nie zjawiż się taki, co poratuje nas? Śmiertelnemi oczyma miłości, której brak nam dotąd, nie ujrzemyż nigdy? Czyż z nią dopiero na Eteru spotkamy się błoniach?

CHÓR DALEKI.

Bądźcie dobrej myśli, o biedne! na falach czasu Pożądaniec wieków już zbliża się do was!

MŁODZIENIEC.

A teraz co? — te same wody — ale inny brzeg — inne wyżyny — jaskiń pełno — nigdzie śladu ludzi; — tam wysoko cedry — tu w dole, z włosem długim daktylowe drzewa — nad zmierzchającemi wzgórzami szczyt jakiś płonie purpurą i złotem — słońce musi, z tamtej strony, zatapiać się w morzu. Aligier! cóż tu za pustelnicy wschodzą temi ścieżki? wszyscy, wszyscy idą na szczyt ten?

ALIGIER.

To pierwsi zakonnicy Karmelu — ileż to razy witali i żegnali słońce z tych wierzchołków! — ileż razy psalmem na tej puszczy modlili się Panu, Pana przeczuwając — i takie z lnu cienkiego szaty nosili, o takie! i w ręku harfy lekkie mieli, te same, te!

MŁODZIENIEC.

Mówisz, jak gdybyś na tych górach ich był widział sam!

ALIGIER.

A teraz świat już niewie o Esseńczykach! — o tych co tak wyglądali zwycięztwa duszy nad zmysłów potęgą! Ty pytasz kto oni? Zapomnieni zawsze ci którzy zapowiadają — pamiętan tylko, dopełniony czyn!

CHÓR ESSEŃCZYKÓW.

Ojcze nieznany! od obliczności świata, od pychy gnijącej my uciekli do Ciebie!

Bo duch twój nad przepaścią mórz — a gdzie milczy pustynia, tam mówisz Ty!

Wodą czystych źródeł, plamę grzechu zmywamy ze skroni.

Bogaczy i ubogich między nami niemasz — wszyscy my równi — wszyscy my bracia — wszyscy my, syny twoje!

Zmiłuj się! jako te brzegi w mroku, tak lud nasz i wszystkie inne, pobladły, zsiniały od brudu i kału.

Zeszlij myśl czystą! Niech wnętrznym żarem przepali i zniszczy ciało wszelkie — niech odrzuci je, jak popiołu garść. — Prorokom widny niegdyś Chrystus twój niech zstąpi!

MŁODZIENIEC.

Przyklękli — jednym krzykiem w niebo, wszystkie zadźwięczały harfy!

ALIGIER.

I ty przylęknij a patrz!

MŁODZIENIEC.

Nic nie widzę innego — a nawet już ich widma stopiły się z nocą i brzęk strun omdlewa też!

ALIGIER,

Przyklęknij mówię ci!

MŁODZIENIEC.

Teraz już nie widzę nic — tylko czuję twoją rękę na ramieniu — czemu gnieciesz mnie tak? czy i ty klękasz!

ALIGIER.

Jak w oną godzinę, której powtórzenie się zbliża!

MŁODZIENIEC.

Jakto?

ALIGIER.

Nie pytaj — tylko patrz, — a co? — obaczyłeś?

MŁODZIENIEC

Ah! kraj szaty tylko znikający gdzieś w górze, w tem świetle bezmiernem — ah! stóp dwoje tylko, jak dwie gołębice śnieżne, wniebowstępujące!

ALIGIER.

A teraz spójrz na dół!

MŁODZIENIEC.

Oczy moje poleciały za tej szaty błękitem — ócz niemam — przyłóż mi rękę do powiek!

ALIGIER.

Grobu tego nie widzisz?

MŁODZIENIEC

Dzięki ci — przejrzałem. O! piękne, śliczne anioły co przy grobie tym!

ALIGIER.

A tam za niemi, ta win pełna a z win zbawiona przez miłość, ta tęskniąca, ta czujna, ta siostra sióstr, co pierwsza lice Jego ujrzała po śmierci!

MŁODZIENIEC.

Kwiaty jakieś, niby to lilie, niby to konwalie w jej ręku. Jak westchnienie, przesunęła się!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Płynący, bezprzerwny czas, rozstąpił się! Z jednej strony dni przeszłe — wszystkie przyszłe z drugiej — a pośrodku nich, słowo wcielone! — widomy Pan! Słup wiecznej jasności!

Syonie świętoszku, rozpustnico Grecyo i ciemiężco Rzymie, gdzie wy? Darmoście plemie ludzkie zatrzymać — darmo przepsuć — darmo zabić chcieli! niezginęło — Syn człowieczy skonał, zmartwychwstał Syn Boży!

Odtąd żaden lud co stał się narodem nie umiera na ziemi!

Odtąd żaden człowiek co stał się duchem, nie umrze w grobie — Hosanna! Hosanna!

CHÓR DALEKI.

Duszą i ciałem i duchem potrójny a jeden, objawion Bóg! On niegdyś był duszą jednemu plemieniu — On stał się ciałem jednego kościoła — On duchem będzie nad jedną ludzkością! Hosanna! Hosanna!

MŁODZIENIEC.

Już grób Chrystusowy mdleje! już rozwiewają się te cudne, anielskie postaci!

ALIGIER.

Weź mnie za rękę, byś się nie potknął śród ciemności!

MŁODZIENIEC.

O! gdzie ta szata w białym ogniu! gdzie te stopy?— teraz tak czarno znów!

ALIGIER.

Schyl się — w tem miejscu zniżać się zaczyna sklepienie!

MŁODZIENIEC.

Gdzież idziem?

ALIGIER.

W chrześciański świat! w drugą dziejów część! do innych prób ludzkości!

GŁOSY NADPOWIETRZNE.

Na skale Piotra, kościół budują, dniem i nocą!

INNE.

Wieki jak dni — przez dni siedem budowali go, a ósmego opanował świat!

INNE.

Bo żywe słowo — mądrość i miłość — były w nim — duch święty w nim!

MŁODZIENIEC.

Gdzież te głosy lecą?

ALIGIER.

Przed nami lecą, dokąd i my spieszym! — Teraz możesz się podnieść, tu już nie brak przestrzeni!

MŁODZIENIEC

Słyszę jakoby szelest stóp wielu gromadzących się tam gdzieś, gdzieś daleko, naprzeciwko nas.

ALIGIER.

Nie zwodzi cię słuch!

MŁODZIENIEC.

Żeby światła choć trochę!

ALIGIER.

Licz kroków jeszcze dziesięć i stań!

CHÓR DALEKI.

Jak z tysiąca rozkołysanych myśli, opatrzna rada; jak z mnóstwa żądz młodzieńczych, wielki, męzki czyn — tak z zamętu ucisków i prześladowań, ze zgiełku marzeń i wątpień i kacerstw, wzniosła się Piotra moc. On pierwszym, najstarszym sługą sług Chrystusowych na ziemi!

Pod jego stopami królów korony i czoła — w kolebce, jego prawicą kołysanej, narody dzieciątka!

I rośnie sam ciałem deptając po ciele!

I stało się! — obłókł się w szkarłat — zwielmożniał — zrzymianił się! I oto już teraz zacznie się jęk ludzki skarżyć nań. Więc słuchajcie i patrzcie, wy co teraźniejszość znać chcecie i przyszłość odkryć z jej szczytów?

MŁODZIENIEC.

Jaki widok! — aż strach, Aligier!

ALIGIER.

Tak, nie inaczej, tak za dni Albigensów wyglądały Prowanckie równiny!

MŁODZIENIEC.

Stada kruków w tem lauzurowem powietrzu! — śród tych oliwnych drzew, wszędzie trupy — trupy — a tam dalej zwęglone stosy i czaszki i dymu ostatek!

ALIGIER.

Wnet i żyjących obaczysz!

MŁODZIENIEC.

W głębi tej jaskini, zda mi się, błysnęły gromnice!

ALIGIER.

Takim pochodem zwykle ciągnęli kacerze — tak z wnętrzności ziemi występując, światło dnia witali!

MŁODZIENIEC.

Jakie wyschłe, ponure twarze — kaptury — habity — każdy z mieczem i puginałem — straszni!

ALIGIER.

Masz ich prześladowane obrzędy — stają półokrę-

giem — spowiada się jeden drugiemu — tamci znów ręce sobie nakładają i wzywają Ducha w milczeniu!

MŁODZIENIEC.

Ale jakżeż pogrzebnie, jakby raz ostatni!

GŁOS RYCERZA.

Lecę od wielkiej rzezi — koń mój pada już i ja z nim padnę też — okrążyli was rzymscy — nim dzień się skończy, koniec wam! Bracia, do widzenia gdzieś!

GŁOS NIEWIEŚCI.

Dziecię u piersi i pierś, katolicką przeszyto mi strzałą! — nie dowlokę się już do was. Bracia, do widzenia, gdzieś!

GŁOS STARCA.

Czterech synów mi wczoraj spłonęło na stosie — duch z nimi, duch z wami — noc całą szedłem — usiądę by umrzeć. Do widzenia gdzieś!

KILKA GŁOSÓW.

Kiedyż Paraklet obiecany przyjdzie!

CHÓR ALBIGENSÓW.

Dla nas dziś, bo umrzem dziś! a światu kiedy? Jeden Ojciec w niebiesiech i Syn tylko wiedzą!

KILKA GŁOSÓW.

Więc już nam niemieć jutra żadnego na ziemi!

CHÓR ALBIGENSÓW.

Po lochach, kajdany! na rusztowaniu, topór, oto jutro nasze! Odchodząc, przekrzywione słowo Chrystusa zostawiamy Rzymowi! połączył się Rzym z przemocą okrutnych i świeckich i będzie gnębił po świecku, aż sam zgnębion będzie!

KILKA GŁOSÓW.

Chrystus porównał sługi i pany, męże i niewiasty, a kościół ukamienował nas bośmy chcieli być wolni i równi!

CHÓR ALBIGENSÓW.

Puhar niedopity życia wysuwa się z rąk naszych — inne usta ku niemu się nachylą. O Templaryusze, w ręce wasze, składamy go — przyjmijcie go od nas — wy obalicie niesprawiedliwość i gwałt — wy doczekacie się Ducha?

KILKA GŁOSÓW.

Czemuż opuściłeś nas, Panie? Wszak my prawe syny twe a dajesz zwycięztwo pasierbom!

CHÓR DALEKI.

Na ziemi, sierotą a nie synem Pana, kto żąda zawcześnie, bo ten nie zna przedwiecznej mądrości! Lecz zaprawdę, pasierbem Pana kto rzezią zawczesne morduje westchnienia, bo ten nie zna przedwiecznej miłości!

MŁODZIENIEC.

Jakież jęki, jęków tysiące! — zewsząd następują jeźdzcy z kopijami — tratują i żną ludzi jak kłosy — czemu mnie trzymasz Aligier? — na obronę im — na obronę! Po hełmach książęce, hrabiowskie korony — i krzyż — miły Jezu! krzyż twój! Jezus Marya! krzyż wszędzie i pod nim wszędzie ludzka krew! Ztamtąd wieniec pożarów już równinę opłomienił — przysuwa się — ścieśnia — dym zamglewa mi oczy — dym już, tylko dym jak kurtyna przedemną — a za nią zgrzytanie — płacz — psalmów kilka i ot! ten jeszcze krzyk!

ALIGIER.

To było a nie jest!

MŁODZIENIEC.

Co? gdzie? magnetyczna siła jakaś mnie obwiodła i nęka — myśl zaczyna mi się psuć — wszystko co widzę takie na jawie, tak żyje życiem, tak umiera śmiercią?

ALIGIER.

Człowiecze, czyż nawet obrazu znieść nie potrafisz, kiedy rzeczywistość znieśli bliźni twoi kiedyś — To krew idealna a już bledniejesz!

MŁODZIENIEC.

Bo cudza nie moja!

ALIGIER.

Obróćże się ku mnie — już niema Prowanckiej równiny — patrz! więzienie tylko i lamp kilka grobowych— i Mistrz wielki skazany — i bracia co za nim pójdą na stos!

MŁODZIENIEC.

Ileż mi się razy dziecku śnił na białych tych płaszczach czerwony krzyż ten! i potępiony zakon kochałem, za to że potępiony.

ALIGIER.

A teraz słuchaj słów, które starzec wyrzekł w samą wigilią śmierci — powtórzy je zaraz ten siwy kształt jego!

MŁODZIENIEC.

Ten co się przechadza śród okutych i milczących?

ALIGIER.

Widzisz, zatrzymał się i wzniósł ręce w kajdanach — oto mówić będzie!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Templariusze, syny i bracia! Wszak świętym był pomysł i święty z niego miał wytrysnąć czyn? od morza do morza, od wschodu na zachód, jedna Rzeczpospolita, a w niej Królestwo Boże na ziemi! Jako ja wam i wy mnie świadczcie w ostatniej godzinie!

Wszak nie na błąd was wiodłem; a choć pomrzecie nie oszukałem was! Wszak my byli, wszak my żyli, tam gdzie urodził się Pan i w powiewie wiatrów nad oliwnem wzgórzem my słyszeli głos jego?

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

I jasną nocą koło Golgoty przechodząc widzieli postać jego!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Nie ukrzyżowaną!

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

Z gwiazdami u dłoni, z gwiazdami na stopach, płynącą w powietrzu!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

A choć nie mówiła do nas słowem, słyszeliśmy ją, myśl jej słyszeli my! — i wiemy odtąd że nie tylko człowiek jeden — nie tylko zbiór ludzi — nie tylko naród i narodów kilka, aleć wszystkie, wszystkie razem, toć Kościół powszechny!

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

Wiemy i świadczym — jednać owczarnia być ma i musi: Ludzkość — i jedenci pasterz: panujący Bóg!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

A dziś co? Papież i Król, Król i Papież, jak dwa miecze boleśne w sercu jednem, w sercu świata! Wszystko rozdarte co spojonem być winno. Za grobem niebo wydzielone ucieczką nieszczęśliwym — obecny czas żywem

nieszczęściem uczynion — niebo i ziemia odgraniczone na wieki. Tam wola Pana — tu wola Papieżów i Króli!

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

A jako na ciebie tak i na ziemi, jedna tylko jest!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Amen. Lecz my nie ujrzymy tego — nam czas się pochylić i w popiół rozsypać a nieśmiertelnymi być! O szkoda na wieki! wszystko w pogotowiu czekało — Europa drżała z tęsknoty i nadziei! Bracia! w ręce rycerzy co zostaną na ziemi a już zwać się jak my nie będą, w ręce wiernych braci, w ręce Różokrzyżowców, oddajmy puhar niedopity życia!

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

W ręce ich, oddajem go!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Amen! *Gloria Deo in excelsis!*

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

Niech wyzwolą ciało wszelkie — proch marny niech im zadrga życiem — kruszec niech się każden przezłaca im w ręku — potęgą cudu wewnętrzny z wewnętrznym niech pogodzą świat! Niech Duch im pocieszycielem będzie, im i wszystkim na ziemi!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Amen!

ALIGIER.

Noc ich owiała — czas ich pochłonął — za czasem w pogoń Henryku — za mną, za mną dalej!

MŁODZIENIEC.

Wszystkich przemian ból, wszystkich zgonów żal, razem spada na nas, tej nocy!

ALIGIER.

Kto nie umarł wszystkiemi zgonami, nie zmartwychwstał wszystkiemi zorzami ludzkości, kto nie dorównał cierpieniem jej cierpieniom i statkiem jej wytrwaniu, ten nie obaczy od wieków zgotowanego dla niej wesela! Kiedy ci mówię, chodź!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Po nad wiekami lecim i patrzym i płaczem! O biada, biada! Rozpadło się słowo Boże! — Kościół w opokę stwardniał a ducha ludzkiego morze milionem fal, skacze

ku niej — to odpływa wstecz — to przehucza mimo — opoka tu a fale tam!

O biada, biada! Europejski gmach trzęsie się — nie wyrósł na katedrę ni też wybudował się cesarskim pałacem! — Na poły księży i na poły świecki, nie dociągnion do niebios ni doparty do wnętrzności ziemi, on runąć ma — a co gwałtu! co rozdarcia i bólu i smętku i wojen!

O biada, biada! król czy kapłan czy gmin, każden w dniu zwycięstwa bezmiłosierny! — probują się — zawracają na się — i na przemiany jeden tratuje po drugim?

Coraz mniej Chrystusa w świecie — mniej Ducha żywego?

CHÓR DALEKI.

Dziecię dom opuszcza gdy w niem lata zakipią młodzieńcze — mąż dopiero kiedyś powraca do domu; — i z ludzkością tak — a jej domem, Bóg!

MŁODZIENIEC.

Wszak możemy stanąć! — przecież tam światło się już pokazuje i pewno śmierć czyjaś się rozpoczyna!

ALIGIER.

Nie smętniej mi tak!

MŁODZIENIEC.

Duch ochotny, ale ciało mdłe!

ALIGIER.

Ten tylko duchem, Henryku mój, kto zarówno duszę jak ciało swe, umie nawlec na wolę swą — oto, jak giętką rękawiczkę na dłoń!

MŁODZIENIEC.

Znów inne, inne upiory stają mi przed oczyma — ni wiem przed jakiemi, czy ciała czy duszy — zda się widzę i nie widzę znów!

ALIGIER.

A ja ci mówię, że widzisz!

MŁODZIENIEC.

Witam was, krągłe kapelusze i czarne płaszcze z pod których długi miecz się wymyka! witam was kuźnie i miechy i tygle i młoty! To wy syny Templariuszów, alchemicy, czarnoksiężniki, coście ziemię nurtowali, aż runął tron Sztuartów!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

Ciało jeślić nie od Boga, a jest, więc samo, Bogiem— a jeślić od Boga, więc Bożem być musi — i jako Pana twór żyje i wzdycha do Pana! Pokój ciału wszelkiemu — długo przeklęte i uciskane, ono wznieść się chce, ono rozbłysnąć w złoto, rozkwitnąć w różę Alchemii!

Wolność i natchnienie, oto prawa nasze — natura, oto siostra nasza żyjąca, urodziwa. Jako Chrystus nas, tak my ją odkupim, i wyszlachetnieje w miłości naszej. Pokój jej i ciału wszelkiemu!

CHÓR MISTRZÓW.

Jeszcze nie czas! nie czas!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

A my już starzy, już strawieni pracą!

CHÓR MISTRZÓW.

Wprzód jarzmo gdziekolwiek cięży, prysnąć musi — czy z dusz na ciało, czy z ciała na dusze — w kościele— w państwie — w ludzkości!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

Darmo więc my ufali wam — gasną wszystkie ognie nasze nagle — w żuzlach nigdzie nieznalazło się złota — perzyny tylko wiją się w powietrzu — i my jak one rozwiewamy się! O mistrze, wyście nam kłamcami byli!

CHÓR MISTRZÓW.

Świętąśmy prawdę opowiadali!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

Alboż w domu wiecznym już przez Merkura księżyc w jedno połączon ze słońcem! Gdzież kamień mądrości? gdzie umarłych wskrzeszony cień?

CHÓR MISTRZÓW

Póki królestwa Bożego niema, póki nie zstąpił Duch, póty cudów nie będzie! póty natura i ślepa i głucha!

Więc gotujcie ścieżki duchowi! starajcie się o sprawiedliwość na ziemi! Przetwarzajcie społeczny skład! Dobądźcie mieczów i ostrzcie sztylety!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

O biada nam — pomrzem a nieobaczym końca! Kwiat wszelki i złoto wszelkie nie dla nas, nie dla nas! Jako przodki nasze, ci wielcy, ci umęczeni, od których idziem, i my niedopijem puharu żywota!

CHÓR MISTRZÓW.

Inni was zastąpią, jeśliście małej wiary i skrzepłego ramienia. Teraz lać krew i własną i cudzą potrzeba — teraz rządy kruszyć i głowy królewskie zdejmować z nad karku Europejskich ludów — teraz kościół nowemi rozdzierać bólami, by uczuł że żyje i ocknął się! Inny wiek — inny trud — naprzód więc!

MŁODZIENIEC.

O biedne blade mary! Dobyły mieczów a wyleciały im z rąk — schylają się, padły na ziemię, rękoma wiążą stopy mistrzów. O! nic nie pomoże, gdy czyja minęła godzina?

CHÓR MISTRZÓW.

Widzicie sami, proch już tylko, sypki proch z was! Nie opierajcie się — nie zwlekajcie — wymówcie z własnej woli słowo które przelewa z przeszłości, siłę tajemnic na przyszłość!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

W czyjeż, czyjeż ręce, oddać trzeba puhar życia?

CHÓR MISTRZÓW.

W ręce braci Mularzy oddajcie go!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

Amen! — niech przyspieszą królestwo lat tysiąca — niech im, u końca zawodu, z serc nie wymknie się wiara i nadzieja, jak nam!

MŁODZIENIEC.

Straszne konanie!

ALIGIER.

Zwątpienie i śmierć, to najwyższa próba duchów — ostatnia która przez nie zwyciężoną będzie! Gdyby jej nie było, o całe niebo zmniejszałaby zasługa ich! — a bez zasługi — bez trudu jakżeż stać się sobą samym? jakżeż nieśmiertelnym być?

MŁODZIENIEC.

Mistrze odeszli — a oni leżą rozciągnieni — ognie ich dogasają nad ciałami ich. Gdzieś, pomnę, Kartuzów widziałem tak pokładłych na posadzce kościoła wielkiego!

ALIGIER.

Pokój umarłym — idźmy w stronę kędy mistrze poszli — nie odwracaj się — już tam tylko ciemności!

MŁODZIENIEC.

Mnie umarłych żal!

ALIGIER.

O dziecię! Umarłych których zostawiłeś z tyłu, jeśli odnaleść chcesz, to nigdy się nie oglądaj! — ale owszem, patrz naprzód! — patrz przed się! a oni już tam przerodzeni, żywi, na błoniach przyszłości!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Nad wiekami lecim i patrzym i płaczem!

Rozdzieliła się dusza świata, kościół się rozdzielił, a wszędzie czy w Rzymie czy w Augsburgu, dusza pokłoniła się ciału! — kościół pokłonił się królowi! A ciało świata, w jednego ducha nie zlewa się z duszą — spyszniało — chce samem sobą żyć! — porosło w sto głów, w sto koron — Król tu i owdzie!... Król wszędzie — imie Europy, to król!

Podwalinami ich tronów, głowy bohaterskie, ścięte! — i każden z tych Bogów ziemskich zapomniał o niebieskim, że wszechobecny — a że córką jego ludzkość! — a że jej synami narodowie — a że syny ku matce iść muszą aż ją odnajdą i u stóp jej polężą w radości! O narody, o wy światła na ziemi, gaśniecie! gaśniecie! Ze zwłok waszych marne zlepiają się mocarstwa — trupy ruszane iskrą galwaniczną rządów!

I wszędzie gwałt — i wszędzie mus — i wszędzie bunt!

CHÓR DALEKI.

Patrzcie i zważajcie! — Od krzyża na którym skonał Pan, piekielniejszej zbrodni i rzewniejszej męki nie było na planecie tym! Tam Bóg zamordowan w człowieku — tu ludzkość w narodzie! Ale ufajcie, bo nieskończoną zbrodnią odkupić musi nieskończone dobro. Z męki bez granic w Jednym, wstać musi życie bez miary, we wszystkich!

MŁODZIENIEC.

Na Boga! na Boga! Zewsząd, z góry, z dołu, z boków wytryskują lampy i wieszają się po ścianach — wszędzie czarne obicia, przesłony, srebrne orły wszędzie — i zgiełk sztandarów karmazynowych — i kiry przejrzyste latające w powietrzu. Czyjże to pogrzeb? czy wszystkich na świecie tym?

ALIGIER.

Zaprawdę że człowieczeństwa.

MŁODZIENIEC.

I rozstąpiła się ziemia — i wznosi się z przepaści katafalk; — jakiż wysoki — wielki — a zakryte na nim ciało!

ALIGIER.

Ci trzej co wstępują zwolna po wschodach katafalku, oni oderwą całun — i ujrzysz!

MŁODZIENIEC.

Jakby karłów trzech drze się do tej ogromnej postaci! Cóż to oni mają w ręku?

ALIGIER.

Berła — ale miasto krzyża, zakończone bagnetem!

MŁODZIENIEC.

A na głowie jakieś bardzo duże perły i korale!

ALIGIER.

Tak, — skrzepłe łzy i krew ludzką!

MŁODZIENIEC.

Już dochodzą!

ALIGIER.

Odrywają — patrz!

MŁODZIENIEC.

Archanioł w dalmatyce białej z własnych skrzydeł od ramion po stopy. Umarły archanioł, o Boże! — i skrzydła spięte na piersiach trzema rękojeściami trzech mieczów, wbitych jak trzy wielkie krzyże, w pierś!

ALIGIER.

I to imie, po nad nim, napisane krwią świetlaną w powietrzu!

MŁODZIENIEC.

Ah! — chciałbym ustami dotknąć się tej tęczy z krwi! — muszę coś pocałować — muszę — choćby ziemię, przed tem imieniem!

ALIGIER.

Podnieś się!

MŁODZIENIEC.

Nie — chcę krzyżem leżeć; — to mój, mój archanioł,

i ja wiem że on nie umarł — trupy takiem światłem nie zieją w około. On śpi tylko! — przezeń Bóg do mnie mówi i mówić będzie. Ja z niego — ja cząstką tej Bożej piękności — tej świętości — tej sprawiedliwości i tego bólu! To ojciec mój i matka moja — to moje wszystko — czemu mi nie dajesz spocząć w prochu? — nie zrywaj mnie tak!

CHÓR KARŁÓW.

Zakryć znów całunem! zakryć i zakryć, bo oddycha! — a póki oddycha porządku nie będzie — pokoju nie będzie — nie zeżniem naszego żniwa i na snopach z ciał ludzkich nie zaśniem.

MŁODZIENIEC.

Ani na chwilę jedną nie zaśniecie nigdy, ni tu na ziemi, ni tam w grobie! Nieśmiertelniście przez zgryzotę i hańbę jako inni bywają przez wesele i chwałę!

ALIGIER.

Widzisz jak drżą i trzęsą się!

MŁODZIENIEC.

I znów mi zakryli dobro moje, kształt mój wszechpiękny!

ALIGIER.

Tyś wstał a oni poupadali i tarzają się w prochu!

CHÓR KARŁÓW.

Kiedyż, kiedyż przestanie serce bić w tej piersi, pod temi ostrzami trzema? Co chwila berły naszemi jak młotem przybijamy te rękojeści, a to serce je zawsze odpycha — i te skrzydła takie niepokalane choć my je krwi potokami obleli. Co to znaczy? Miałożby być prawdą, że czyjś, a nie ślepy los rządzi światem tym?

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Nieprawdą! — nieprawdą! — ni wierzcie — ni marzcie! Jest tylko ciało czujące i przypadkowy traf i odmęt — O Bogu myśl, to gorączka ciał — a mądrość ciał, to siła, to rachuba, to porządek, to władza na ziemi. Ze śmierci wielu, żywot kilku jest.

A ci kilku żyją, bo zabić umieją!

Zabić, to owładnąć zamętem!

CHÓR KARŁÓW.

Nazad spokój zstępuje nam w piersi.

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Światło z niebios! O najprzejrzystsze! najczystsze! spłyń zewsząd i jak fale niosą unieś, o unieś tego, który śpi do czasu!

MŁODZIENIEC.

Niech się przyczepię do tych mar! niech mnie ten potop światłości zabierze ze świętym moim, razem. O Aligier, puść mnie!

CHÓR DALEKI.

Od dnia śmierci sprawiedliwego, nie spocznie Europejski świat, aż sam sprawiedliwym się stanie! Jak człowiek któremuby wydarto serce, tak będą wszystkie narody bez tego narodu! Żyją, a wieczny im życia brak. Są i nie są, bo nie mogą według Bożej myśli być. I lud każden w rozpaczy będzie — i król każden w przerażeniu! i trząść się musi ziemia pod krokami ich, a oni zataczają się po niej, pijani sumienia wyrzutem!

MŁODZIENIEC.

A ci trzej, gdzie?

ALIGIER.

Nie światło ich zabrało — gdzieś musiały ciemności!

MŁODZIENIEC.

Czemuż żaden piorun ich nie rozgniótł?

ALIGIER.

Gdyby zaraz zginęli, nie podkopaliby sami własnego dzieła i ono puścizną po nichby zostało w świecie! Źli, muszą być samobójcami własnego złego! Na toć to, na to, dni im przedłuża Pan szydząc z nich, a miłosierny nam!

A teraz inni nadchodzą. Słyszysz te dzikie wrzaski? inni nienawistni im, a wzbudzeni przez nich i równi im, bo światło co świeci każdemu, Chrystus, zgasł także w ich duszach! Uważaj!

MŁODZIENIEC.

Jakież mnóstwo! jakiż rozmaity strój!

ALIGIER.

Ci pierwsi, z wzniesionemi szpadami w stalowe sklepienie, to ucznie i czeladniki — a majstry mularze, widzisz, z tyłu idą, niosąc Biblią, węgielnice i cyrkle.

MŁODZIENIEC.

A oni w kapłańskich szatach?

ALIGIER.

Należą do stopnia wybranych!

MŁODZIENIEC.

A ci znów, z trupią głową i kośćmi i krzyżem na piersiach?

ALIGIER.

Kawalery Szkockie!

MŁODZIENIEC.

Czyż to znów inni, ci kilku, ci ostatni, w płaszczach co od krwi kapać się zdają!

ALIGIER.

Najwyżsi mistrze illuminaci — a nazwisko ich: Odrodzeni!

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY.

Mak benak! ciało odpada od kości! *Mak benak!* zwycięstwo lub śmierć! *Mak benak!* wolność i równość!

CHÓR ODRODZONYCH.

Zbliża się wyroczna godzina! Strach ogarnie kulę ziemską — rozedrze się w starej świątyni spruchniała zasłona! Przysięgacież nam na wierność do śmierci?

CHÓRY INNE WSZYSTKIE.

Przysięgliśmy, przysięgamy, przysiężem!

CHÓR ODRODZONYCH.

Dzisiaj nienawiści trzeba! Praca nienawiści, to nienawidzonych zguba! Bez litości będziecież ich gubić?

CHÓRY INNE.

Będziemy!

CHÓR ODRODZONYCH.

Wieki marzyły o duszy, a nie zdziałały nic. Zacznijmy od ciała — ucisk nieskończony tłoczy je.

CHÓRY INNE.

Ciało, ciało wyjarzmiajmy wszelkie!

CHÓR ODRODZONYCH.

Co w niebie, o tem nie wiemy nic — co na ziemi, to widzim, to czujem, to cierpim, to nas pożera i usychamy! By przepis Chrystusowy mógł się urzeczywistnić, mniej dbajmy o tych, co noszą Chrystusowy znak. To kłamcy, to szalbierze! Ich obalić — ich zatracić, — a zacność

moralna wcieli się już, nie w usta kilku, ale w rozsądek wszystkich!

CHÓR WYBRANYCH.

Rozsądek to ludzkości obiecany, jedyny król!

CHÓR ODRODZONYCH.

Przed nami więc idźcie przewodem. My wami kierujem, wy losami ludów — kto z wami ten nasz — z tym filantropicznie; kto przeciwko nam, ten nie człowiek — z nim jak ze zwierzem — kuć go i wiązać i wodzić i biczować — a wreście i zarznąć, jeśli zarznąć trzeba!

Teraz, oto istna pora zapasów! — miękkich włókien w sercu niemieć! Tron to deski i klej — ołtarz, wapno i gruz!

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY.

Mak benak! szkielet tylko zostanie nagi z Europejskiego społeczeństwa! a my nowem mięsem i nową nawleczem go skórą! na ruinach wybudujem.....

CHÓR ODRODZONYCH.

O tem milczeć — o tem my jedni wiemy! By stanąć mógł Salomona kościół, nasamprzód gmachy dawne zrzucić trzeba!

CHÓR MULARZY.

Zrzucajmy — zrzucajmy! — naprzód — naprzód!

ALIGIER.

Idźmy za tym orszakiem!

MŁODZIENIEC.

Wszak już blisko nam do nas samych?

ALIGIER.

Ot! tam, tam na końcu, w tych mgłach wiszących za temi rzędami lamp, dni już nasze się kołyszą — ale od nich dzieli nas jeszcze potop klęsk i olbrzymi jeden duch!

MŁODZIENIEC.

Czyż koniecznie musim przejść przez to morze krwi i łez?

ALIGIER.

Nie serca przystaniem ni rozumu! — ale stopami musim — ale oczyma musim — nie wzdrygaj się!

MŁODZIENIEC.

Wszak się nie mylę — to gilotyny? — w miarę jak

ciągnie orszak, z obu stron się podnoszą — ulica z gilotyn! jaka długa — długa — wszystkie w ruch się wprawiają — tu, tam i znów tu, i znów tam i owdzie noże łyskają, spadają! Z pod każdej błyskawicy głowa leci jedna. Ileż nożów! — ileż głów ściętych! — niepodobna przejść!

ALIGIER.

Oprzej się na mnie.

MŁODZIENIEC.

A ci dalej kroczą — zaczynają śpiewać!

ALIGIER.

Pamiętasz? Dusza gdy się rozwstrętni do ciała, ucieka na Tebaidę, wycofuje się od społeczeństwa ludzi, ah! nie żyjąc w innych, płacze nad sobą i więdnie! — A teraz, patrz, czem ciało gdy się oderwie od duszy! jak wścieka się i morduje. Tam i tu pełnej miłości brak — tam samobójstwo, a tu zabójcza rzeź!

MŁODZIENIEC.

Samobójców od zabójców wolę!

ALIGIER.

O! duchów przekładaj żywych! — bo pora ciał i pora dusz minie, a ducha uderzy godzina! Tamte były tylko przedchwilami tej!

MŁODZIENIEC.

Rozkaż — uproś — by mi te głowy do stóp nie leciały tak — choć każda rozemdlewa się jak sen; źle mi, źle mi bardzo, o Aligier!

ALIGIER.

Iść musim, iść musim, przez królestwo zbuntowanych ciał — póki nie przejdziesz, ja cię nie poratuję. O! wstrzęsły się posady świata. Wieków cierpienia nagromadzały się powoli i cicho! aż buchnęły wulkanem! Raz tak było — musiało być — ale, o Boże panie! o wszechduchu duchów, wszak nigdy się już niepowtórzy tak zwierzęcy dzień i zbrodnia takowa?

MŁODZIENIEC.

Mdło mi — mdło! co za ohydne larwy! co za katów posępny rząd! każden przy swojej pracowni! i te kosze zbroczone, pełne — i te sine kadłuby — i ludu bałwany pstre, huczące z boków; — co siekier, dzid, pałaszy! — a ten orszak zawsze taki sam, śpiewny taki, świąteczny

taki! — idą, idą coraz dalej — sypnęli teraz kwiatami śród tego motłochu i trupów tych!

ALIGIER.

Zbierz myśli — uważaj jaki wyraz na tych wszystkich twarzach!

MŁODZIENIEC.

Strach na ich czołach kipi! strach z ich włosów się wyjeża! Strach z ich krwi pluska! wszędzie strach, jeden wielmożny strach tylko! O wstyd wieczny wam, żeście się mniej lękali zabójstwa lub śmierci, niż strachu! Jedne tylko te noże nie drżą i nie bledną! Podnoszą się i spadają zawsze równo! ach! jakie czerwone, kapiące, bryzgające. O Boże mój! o Boże mój!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Biada dniom onym! w imieniu Boga królowie jedną z myśli świętych Boga, naród śród ludzkości żywy rozćwiertowali! — a teraz w imieniu człowieka lud zarzyna króle i kapłany i wszelką władzę ludzką! O biada — biada!

MŁODZIENIEC.

Dzięki wam nadpowietrzni! Teraz przejdę tą ulicą z rusztowań i nie upadnę! — Bliższych mi ojców i braci zabito — ukochańszych duchów straciłem! co mi do ludzi tych? — przecież w grobie i archanioł mój!

CHÓR MULARZY.

O odrodzeni! o mistrze najwyżsi! niema już komu i niema już kogo zabijać! Od pracy rumianej, ręce opadły robotnikom, i z nich każden położył się na rusztowaniu swem! Czy słyszycie nad szmerem spływającej krwi, ciężkie chrapanie katów.

CHÓR ODRODZONYCH.

Idźcie dalej!

CHÓR MULARZY.

Gdzie niewiemy! — dwie ostatnie gilotyny tu stoją a za niemi ciemności!

CHÓR ODRODZONYCH.

Dalej — zawsze dalej!

CHÓR MULARZY.

Nic się nie naprawiło dotąd ni dla ciała ni dla duszy — pusto i smutno — para z krwi ludzkiej mgłą posępną wstaje, na około nas — ślepniemy!

CHÓR ODRODZONYCH.

Nie wszczynaż się tam choć jedna ścieżeczka? Nie błyszczyż przed wami choć jedno światełko?

CHÓR MULARZY.

Nic nie widzim — tylko coraz ciemniej i w około nas i w nas samych!

CHÓR ODRODZONYCH.

Budźcie śpiących! budźcie robotników!

CHÓR MULARZY.

Nikt się nie przebudza! Umarli bez głów leżą jak drewna i głazy — żywi tak samo w letargu! Co poczniem? co? za nami śmierć głucha, przed nami nieurodzonego coś, jakoby nicectwo! Gdzie wy nas zagnali! gdzie my jesteśmy? czem my? gdzie Bóg? gdzie ziemia, gdzie niebo? czyż wszystko tylko snem pełnym złości i bólu?

CHÓR ODRODZONYCH.

Nie płaczcie jak niemowlęta! nie rozciągajcie się w cieniu rusztowań, na bruku! Stójcie na nogach! stójcie jeszcze przez chwilę!

CHÓR MULARZY.

Mak Benak! I nam już ciało odpada od kości! *Mak Benak!* I my spocząć chcemy! choćby oprzeć głowy o głowy ścięte i pokotem leżeć z trupami i zasnąć! A wy bądźcie przeklęci, bo zdołacie śmierć roznosić jak Bóg, ale jak Bóg czyni, nie umiecie ani wskrzeszać ani tworzyć! Przekleństwo wam, nie mogącym nic!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Oto, zmiłuje się miłosierny Pan. Wstańcie wszystkie myśli umarłych! wszystkie sny śpiących gromadźcie się! Wszystkie tęsknoty pokolenia tego, wy niedoszłe, wy przerwane, wy coście pragnęły a nie podołały, zerwijcie się i krążcie nad krwi morzem tem!

MŁODZIENIEC.

Czyż sąd ostateczny się zaczyna? Ezechielaż wraca mi widzenie?

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Krążcie i zmieszajcie się — umiarkujcie się i przeniknijcie nawzajem — aż staniecie się duszą jedną i wolą jedną i czynem!

MŁODZIENIEC.

Z głów tych, z tych piersi, z ciał tych wszystkich, coś wybłyska — co chwila wzbija się i wiruje — to tli, to zagasa. Jak ptaki nocne, polatują jakieś mnóstwa w powietrzu. Słychać szum a nie widać skrzydeł!

ALIGIER.

Tak na tej ziemi jeszcze, serca tych którzy zniknęli, odzywają i przelewają się w innych.

Toć pierwsze zmartwy chwstanie! — a wtóre, dopiero na dniu ostatnim człowieczeństwa kiedy każden znów o sobie powie: „to ja!“

MŁODZIENIEC.

Gdzie gilotyny? gdzie czerwone kałuże? gdzie lud ten cały co leżał na dole? wszystko w górę wyparowało jak w dzień letni po burzy — a w górze niby iskry przewiewne? — niby perzyny, wyziewy, orkany! niby elektryczne wężujące nurty! Gdzie my się dostali? jakiż to nadpowietrzny świat?

ALIGIER.

Alboż nie widzisz co się dzieje? jak z żywiołów tych, jedna siła, kształt jeden promienisty się tworzy!

MŁODZIENIEC.

Coś takiego, coś takiego!

ALIGIER.

Coraz wyraźniej — nie poznajesz że już postaci tej?

MŁODZIENIEC.

Na tle odmętu, on jeden, on jeden — taki całki — taki jasny — z orłów złotych, rozkrzydlonych, żywy namiot po nad głową! — uśmiech jakoby dobroci na ustach a grom, zda się, wyskoczy ze skroni — to Cesarz! to Napoleon!

ALIGIER.

To dusza Napoleona, w świecie dziejów ludzkich — jedna, a wieki zawierająca — jedna, a wszystka — idea z milionów myśli, drgająca, wcielona — a teraz Pan jej powie: „Idź naprzód“ — i nic i nikt jej nie wstrzyma— i pójdzie — i drogę dalszą znajdzie śród ciemności!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Kto mu równy, z tych co przemijali dotąd? Wszystko co kiedykolwiek istniało w rozdziele, danem mu w prze-

dziwnej spójni! — i ciało półbogów dawnych, niestrudzone, bezsenne, urodziwe! — i dusza chrześciańska bezdenna a tęskna i rzewna — i duch twórczy, czasu i przestrzeni magnetyczny Pan!

Wszystkie losy ludzkie w nim jednym się zbiegną! Wszystkie trudy i tryumfy — potęgi i klęski — wesela i nieszczęścia!

Jak świat z niczego, prosto z Boga stworzon, tak i on śród ludzi, z niczego, zjawi się i wzniesie! Bohaterem będzie jak grecki Alexander — Imperatorem tak jak rzymski Cezar? — męczennikiem jak święty z pierwszych Chrystusowych wiosen! I umrze jak Mojżesz, sam jeden w obliczu Pana! umrze prorokując o woli Pańskiej nad dniami przyszłemi człowieczego rodu!

MŁODZIENIEC.

W słup ognisty, skrzącemi skrzydły, związały się orły — otoczyły go — palą się i kręcą. On z wiru tego, wyciągnął rękę i porwany leci; — miecz w ręce tej, jak płomień; — nicość się rozświetla — przestrzeń błękitnieje — znów w dole, postaci ludzkie kształcą się, wyrastają, kupią! Widnokręg coraz nieskończeńszy przed nim!

ALIGIER.

Nie przed nim — bo on musi się rozwiać — ale przed temi tłumami, których on na chwilę pasterzem!

MŁODZIENIEC.

Co za organów olbrzymich śpiew?

ALIGIER.

Słyszysz grzmoty bitew jego, przemienione w harmoniją, wspomnieniem!

MŁODZIENIEC.

Co to za czarne tam roje czy warstwy, takie niewzruszone?

ALIGIER.

Widzisz, że w miarę jak się Postać zbliża do nich, one zaczynają świecić się i ruszać.

MŁODZIENIEC.

Prawda! — jak żywe mielizny i krzyki z nich się wzbijają — i błysk stali z nich tryska; — rąk tysiące, tysiące widzę podnoszących się!

ALIGIER.

Nie zasnęłyż były narody? Nie zasklepiłyż się były jak gąsienice, one myśli Boże, w Europie?

MŁODZIENIEC.

Z góry, ramionami, jakby magnetyzował je przechodząc; — jedne idą za nim — drugie zrywają się przeciwko niemu!

ALIGIER.

Wszystkich, tych czy tamtych, on Wskrzesicielem! Odtąd ni Króle ni Ludy już władzy nie dzierżą — ale Narodowości i Ludzkość, a w Imieniu Pana!

MŁODZIENIEC.

Patrz! patrz! I on już blednie choć coraz dalej leci — i on już blednie — już skręca się na dół! — Podbieżmy za nim!

ALIGIER.

Nie dogonim tej Postaci! przeżyty jej czas! odbyty jej trud! — i Wieczność ją woła!

MŁODZIENIEC.

Wirujące orły odpadają! Jak słońce nagie, sam pozostał — i zachodzi — coraz niżej — niżej! — huki i wrzawy cichną — Widnokrąg zamierzcha znów — noc już teraz i milczenie - - cóż dalej?

ALIGIER.

My! bo chwila nasza uderza! Dosłuchaj tylko jednej zwrotki jeszcze!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSOW.

Wyjrzyjcie z wnętrzności ziemi, wy coście do nas się schronili, gdy Tytan zmiatał was jak śmiecie, z nad Europejskich niw — Czas wam powrócić do dawnych dziedzin — spieszcie się nazad, o! spieszcie!

ALIGIER.

Przypatrz się tylko, co za kształty jadą na tych trzech koniach, całe okłamione purpurą i szychem!

MŁODZIENIEC.

Korony wysokie — długie berła okręcone rószczką oliwną, płaszcze niżej strzemion, aż po ziemi, się wloką!

ALIGIER.

Teraz przeciągają blisko — wnurz oczy w nich!

MŁODZIENIEC.

Ci sami trzej — tylko się nadęli, wspięli, rozdłużyli — obrzydliwe Karły!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Nie jawnym już gwałtem, ale skrytym a wiecznym pracujcie! Święty pokój ogłoście! świętym skojarzcie się sojuszem. Wszystko co z was, niech zwie się święte! — święte — święte!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Usłuchajcie prawdy! a może jeszcze dorośniecie miary człowieczego wzrostu! Jedziecie na wielką naradę — bądźcie sprawiedliwi!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Sprawiedliwości pokostem, niesprawiedliwość umalujcie wszelką?

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Jeśliście chcieli zabić To co nieśmiertelnem, wyznajcie winę — nie dobijajcie, ale wróćcie życie!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Udawać, udawać że się wskrzesza zabitych — że się żałuje morderstwa!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Jako Chrystus kazał, bądźcie pierwszymi sługami narodów! a nie pójdziecie w pogardę!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Tuczcie ludzi na karmne bydło — a sami wtedy tłuste szyje oddadzą w jarzmo wam!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Stańcie się budownikami Woli Bożej, na planecie tym. W każdym kształcie społecznym, uwidomcie wiarę— nadzieję — miłość!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Dyplomacyą — Policyą — Żandarmeryą!

MŁODZIENIEC.

Zatrzymali konie — podali sobie ręce — słuchają

ALIGIER.

I przysięgają sobie!

MŁODZIENIEC.

Tak cicho, że nic nie słychać!

ALIGIER.

Gdyby na zacność i rozum i cnotę, toby głośno przysięgali!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Ot! tak — dobrze tak! — a teraz ruszajcie — lećcie jak strzały zatrute — a dalej — a dalej!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Daremno! Wężowego splotu rąk tych trzech żadna nie rozwiąże przestroga! Ślub nierozerwalnym — lecz zaślubieni poginą!

MŁODZIENIEC.

Poginą! — kiedyż? Wszak od dość dawna już, archanielska krew woła przeciwko nim. Darmo przytulasz mnie do piersi, Aligier, dreszcz lodowaty mnie gnębi! Ah! już żaden obraz nie tworzy się więcej — nic — już nic — tylko loch ten ogromny, podobny do grobu bez końca! Bohatery, proroki, święci, szli i przeszli i zaginęli! Karły jedne trwają — ostały się — żyją! — O Aligier, tylu natchnień i wieków, takież więc rozwiązanie? A to nie mara — ni sen. Jak tu w tych głębiach, tak i tam na równinach ziemi, martwo — ciemno — podle! Mierność i złość, siódmym dniem Człowieczeństwa! Oto odpoczynek dany nam!

ALIGIER.

Nie bluźń dziecię! Niedziela człowieczeństwa — to przemiana — to zmartwychwstanie ciał — to Anielstwo! Daleko jeszcze ludziom do niej — nie wiesz co mówisz— nie wiesz na jakiem miejscu drogi stoisz i ku czemu idziesz — ale, oto, dowiesz się!

MŁODZIENIEC.

Alboż to nie nasz Wiek już?

ALIGIER.

Nasz, tak jak wygląda, ale nie tak jakim jest!

MŁODZIENIEC.

Co mi wskazujesz?

ALIGIER.

Z tej strony te dwie rozpalające się pochodnie!

MŁODZIENIEC.

Jak dwa smutne księżyce! — Ah! widzę jakieś drzwi ogromne pod niemi — drzwi żelazne w murze!

ALIGIER.

Zbliżajmy się powoli — czytaj ten napis srebrny, w górze!

MŁODZIENIEC.

Gens aeterna in qua nemo nascitur!

ALIGIER.

Tu dopiero koniec przeszłości! — za temi progi, teraźniejszość się wszczyna i Zgromadzenie żywych Duchów marzy o tem, co stać się *ma*, bo stać się *powinno*.

CHÓR DALEKI.

Witajcie, wy co przystępujecie do obecnych czasów— Wy coście odbyli podróż wraz z pielgrzymkami, Anielicami Pana — z Ideami Ludzkości!

MŁODZIENIEC.

Jakżeż te głosy rosną — zbliżają się — mnożą! — zda się obok nas brzmią już te struny i śpiew ten się rozlega!

ALIGIER.

Ściana ta tylko od nich nas dzieli!

CHÓR.

W Imieniu Pana, u tych podwoi, przyjmujem was — a Pan troisty choć Jeden — i dzieje Planety troiste choć jedne!

MŁODZIENIEC.

Takich tonów nie słyszałem nigdy — powietrze całe w muzykę się rozedrgało. Hymn ten w serce zstępuje, jakby wszystkich jęków serca Dźwięk odkupiciel!

CHÓR.

Nadchodzi wreście obiecany Dzień! Wiek który zwie się Pocieszycielem! godzina która zwie się Dopełnicielką! Nie na zawsze Chrystus był odjęty nam — nie na zawsze światło żywota zaćmione. Oto, uwielbion będzie przez Ducha, Syn — a Duch z Ojca i Syna jest i obu miłośnie kojarzy!

MŁODZIENIEC.

Kończyłem się już — a teraz znów w piersiach nieskończoność czuję! O! błogosławione akkorda!

CHÓR.

A jako w niebie, tak i na ziemi!

Wszystko co przeszło a bolało przechodząc, wróci,

ożyje, podwyższy się, ale boleć już niema!

Myśli rozbratane, czyny sprzeczne, kolejne wieki, uwielbią się i pokochają nawzajem!

Trzeciem wszechmiłości tchnieniem, Pan upomni się o Planetę swego —

O ród człowieczy swój, upomni się Pan!

ALIGIER.

Zapukam — drzwi się otworzą — ty zaraz wchodź za mną!

MŁODZIENIEC.

Gotów jestem jak do nieba! — ach! jeśli wszystko ma się ku odżyciu, toć i Archanioł mój!

CHÓR.

Pokój nasz dajemy Wam! Wejdźcie!

VI.

PODZIEMIA WENECKIE.

SCENA II.

(Ogromna Sala — Ściany i sklepienia obwieszone lampami — W głębi na tronie wyniesionym Prezes w todze białej — Po prawej stronie mównica wystająca ze ściany ze wschodami — Wzdłuż ścian po obu stronach Chóry narodów, każden w barwach swoich — Pankracy na czele chóru polskiego — Aligier — Młodzieniec).

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Kogoż wprowadzasz do Zboru! czy tylko nie ciało pozbawione duszy?

ALIGIER.

Takie ciało kamieniem śpiącym; — kamienia nie wlokę za sobą, o ukochani.

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Może duszę bez ciała?

ALIGIER.

Taka dusza czemsić co niczem jak sen; — snu nie przynoszę wam, o ukochani!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Czem więc ten który stoi za tobą?

ALIGIER.

Żywym duchem!.... duchem bez początku bo z Pana wyszedł — i bez końca, bo ku Panu dąży napowrót, a nigdy nie stopi się z Panem! Na pielgrzymkę nieskończoności duszę i ciało mu dano; on ciągle jeden, ten sam, niezatracalny — one tylko umierające i odżywające naprzemian. Kiedyś, kiedyś on wraz z wami zrzuci ludzki strój — i inny, wyższy przybierze w dzień ostatni przypomnienia i sądu! Lecz wprzód losy planety wspólne nam wszystkim rozwiązane być muszą — i on wstępuje między was, by pracować i przyspieszyć wraz z wami wszystkie dni poprzednie, wielkie, nadejść mające. Ja was proszę, ja wam mówię; przyjmcie go?

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Niech nam powie imie zasłużone, święte, którem go ochrzczono, gdy człowiekiem się rodził.

MŁODZIENIEC.

Henryk!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Niech wyzna imie zbiorowe Duchów, dla których Pan chciał by żył i umierał na ziemi, kiedy mu śród nich narodzić się kazał!

MŁODZIENIEC.

Polska!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Nadpowietrzny chór przyjmuje cię, ni żąda żadnej od ciebie przysięgi. Tem że jesteś, tem, że wiesz się Duchem, już przysiągłeś na wierność i Panu i człowieczeństwu i prawdzie! Tobie, nie im biada gdybyś upadł, gdybyś zwątpił, gdybyś zdradził. Teraz niech cię ziemskie głosy witają.

CHÓR IRLANDZKI.

My pierwsi na ziemi zrzucający jarzmo białemi rękoma — my wdzięczną wieścią przychodzący, że już miłosierni i cisi zaczynają zwyciężać, pozdrawiamy cię! Ufaj harfom tym — każda struna w nich mieczem — i one zdobędą wolność katolicką Erynu!

CHÓR WŁOSKI.

My trupy, do dna grobu przyparte podwójnej chwały popiołem, i przykryte lazurami niebios, my pragnący po raz trzeci żyć, pozdrawiamy ciebie! Ufaj czarnym płaszczom naszym, choć to pogrzebu znak i zielonym czapkom, bo to wiosny przeczucie!

CHÓR GERMAŃSKI.

Rozdzieleni w ciele, ale jedni myślą, my Idei kapłany, my co byli a nie żyli, my pragnący żyć, pozdrawiamy ciebie! Spojrz na nasze włosy i brody pierścienne — u greckich mędrców podobne się wiły — i ufaj tym rapierom wziętym po gockich naddziadach!

CHÓR FRANCUZKI.

Żyjący pozdrawiają ciebie!

CHÓR SŁAWIAŃSKI.

O wielu, wielu nas jest, jak fale wezbranych, jak dzieci tęskniących z kolebek ku słońca promieniom, — a wszystkie kolebki nasze takie podobne do trumien. Sami nie wiemy czy się rodzim czy zmartwychwstajem, — ale słyszym głos co nas woła, — więc podnosim się, patrzym, — a oto przed nami olbrzymi grób od morza do morza;— niechże za nas odezwą się do ciebie ci, którzy w grobie tym — bo oni tam nie pokładli się na sen. Od lat stu ciemność im światłem — śmierć żywotem — rozpacz nadzieją! Naród-król nas wszystkich, naród duch plemienia naszego, niechże wita ciebie!

CHÓR POLSKI.

Trzykrotny bracie nasz, Duchu śród Duchów, człowiecze śród człowieczeństwa, synu polski śród synów jej, pozdrawiamy cię! A jako Duchem teraz, tylko pod postacią człowieka, teraz wiedz, że człowiekiem ci być się godzi teraz tylko pod postacią Polaka — inną wdziej, a niżej bydlęcia upadniesz! Zawrzej więc w jednej piersi twej zarazem żywych i umarłych wszystkie potęgi! Obchódź się bez niczego jako trup! O żadną próżność ni zysk ni pychę niedbaj jak trup! Wrzkomo żadnego bólu nie czuj, choćby ci gwoździami serce przebijano, jak doskonały trup! A wiecznie miej się do czynu, jak żywy! Kochaj braci, jak żywy! Jak żywy, ufaj w Boga żywych! a teraz idź ku tronowi i przystąp i słuchaj!

PANKRACY.

Wprzód jeszcze z rąk moich weź biały płaszcz i karmazynową czapkę.

ALIGIER.

Wdziej coć dają, to znak, że do ich grona należysz.

MŁODZIENIEC.

I ty już tak?

ALIGIER,

Przecież i ja do nich, dopókim na świecie, się liczę!

MŁODZIENIEC.

A teraz?

ALIGIER

Tak jak ci kazali, zbliż się do tronu.

PREZES.

Patrzałeś na mary tych śmiałych, którzy po wszystkie czasy w głębiach ziemi opierali się rządzącym jej powierzchnią; — niemi otoczony, przez dwa światy co przeszły, przeszedłeś. Zrozumiałeś czem przedchrystusowy, czem pochrystusowy wiek? Czego pragnęli w prawdzie tęsknoty wiecznej a w fałszu nieraz użytych środków, owi wszyscy tajemni, wyrywający się ku coraz dalszej przyszłości? Mów, coś widział tej nocy!

MŁODZIENIEC.

W pierwszych jej godzinach, widziałem ciało pogańskie wszelkie, tęskniące do chrześciańskiej duszy, aż dostąpiło objawu niebianki!

PREZES.

A w następnych?

MŁODZIENIEC.

Widziałem rój myśli świętych rozwieszon nad światem, — lecz nie spuszczały się na dół by osypać ziemię; — niebieskie, kwitły tylko w niebiesiech!

PREZES.

Dobrze synu! i cóż ztąd? wszak nie na tem był koniec widzeń twoich?

MŁODZIENIEC.

Wtedy mnie otoczyła rozpacz ciał wszystkich — dawniej duszy nie znały, a teraz już urodziła się im; — widzą ją nad sobą, a nie mogą jej do piersi ściągnąć — więc zaczną płakać, więc zgrzytać — więc i krwią pluskać!

PREZES.

Umarłych zrozumiałeś skargi. Starożytni wyglądali dusz powszechnego kościoła — nowożytni powszechnego społeczeństwa ciał — a możeż jedno bez drugiego być? A ze zlania obu, czyż nie trzecie wstanie? I tamtym i tym, połowy tylko rozłożone ludzkości, nie wszystka ludzkość w sercu biła — połowy, to złudy a czasem i zbrodnie. Całość tylko rzeczywistością na ziemi i w niebie. Wszak wiesz o tem?

MŁODZIENIEC.

Wiem ojcze!

PREZES.

Odpowiadaj dalej. Czy wierzysz w Ojca, w Słowo, w Ducha Świętego, w oną Trójcę przedwieczną, na której podobieństwo i obraz, wszechświat i każda cząstka jego i każden z nas i wszelki drobiazg i wszelka arcy-potęga — kamyk czy seraf — dostały w dziale Byt, dostały w dziale Myśl, dostały i życie?

MŁODZIEŃIEC.

Wierzę w nią!

PREZES.

I wierzysz, że Słowo stało się ciałem, że mieszkało między nami?

MŁODZIENIEC.

Wierzę!

PREZES.

Jeślić człowiekiem był Chrystus, więc zjawił się na pewnem miejscu i o pewnej chwili. Jeślić Bogiem, to panował wszystkim miejscom i czasom. Jeślić Bogiem-człowiekiem, toć musiał ogarniać wszelkie losy planety tego! Czy pamiętasz jak w wigilią męki prorokuje o przyszłości człowieczeństwa, gdy oznajmuje ukochanym, że kiedyś Pocieszyciel przyjdzie?

MŁODZIENIEC.

Obietnicę pamiętam!

PREZES.

Ja ci słowa pisma powtórzę — kto przytomny niech klęka.

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Ojcze, możesz otworzyć Ewangielią Jana, wszystkie chóry uklękły.

PREZES.

— „Mamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie.“ — „Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę.“ — „On mię uwielbi, bo z mego weźmie a opowie wam.“ — Otoć co rzekł Pan do wszystkich przyszłych wieków świata — i wiele ich odtąd przechodziło i przeszło już, a niezrozumiały. Snać znieść nie mogły dotąd!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Ojciec księgę zamknął, możecie wstać.

PREZES.

Wyższej przepowiedni nie było, nie ma, ani będzie! Sam o sobie samym świadczący Bóg! o sobie że się wleje w ziemię trzecim wlewem swym! Za dni Jehowy proroki Ojca, oglądały już Syna przed sobą! a Syn w chwili gdy umiera, widzi już Ducha Świętego! inaczej nie mogło być! Człowiek zwierciadłem wieczności — więc i w dziejach człowieka na wartkiej kuli tej, odbić się musi następnie ta Trójca, co wiecznie sobie spółczesna na niebie; — ale dopełnionaż obietnica Pańska, mów Synu, czujesz, dopełnionaż jest? Jakiż wiek z tych osiemnastu wieków chrześciańskich uwielbił Chrystusa?

MŁODZIENIEC.

Żaden, żaden ojcze!

PREZES.

Do nich wszystkich, do nich wszystkich jeszcze mówi Pan: „znieść nie możecie“, bo ten Go tylko uwielbi, który przepis Jego we wszelkiej rzeczywistości uwidomi i udotykalni — a wtedy chwała świata takiego, że z Boga jest, sama świadczyć będzie. Więc cóż synu, cóż? Wykonanie będzie zstąpieniem Ducha, czyn sam pocieszycielem! A gdzież czyn ten, czy widzisz go?

MŁODZIENIEC.

Nie.

PREZES.

Spójrz w siebie, on tam jest!

MŁODZIENIEC.

Jakto, ojcze?

PREZES.

W twojej jak w każdej innej piersi.

MŁODZIENIEC.

Jakto?

PREZES.

Ani osobnikowi, ani narodom, ani ludzkości Łaska wiekuista nie zdała się na nic, jeśli aż pod same niebiosa rąk nie podniosą ku niej — bo połową stworzenia wola

stworzonych! Choć minęło co minąć miało, choć dopełniają się czasy, choć Duch obiecan już przewiewa po nad ziemskim padołem, — jeśli go sami nie wysłużym, nie wypragniem, nie wyczynim; jeśli siebie samych nie przeółtarzym Jemu, on nie zaświeci nam — i niepocieszeni zostaniemy!

MŁODZIENIEC.

Cóż więc każecie?

PREZES.

My dziś już nie rozkazujem nic, — prawdę tylko objawiamy, a kto ją pojął, ten sam rozkaże sobie. Jej więc teraz słuchaj. Póki ciało z duszą nie zlane w jednego Ducha, póty czynu powszechnego nie masz, póty bitwą i zamętem dzieje Ludzkości! Wszędzie rozłam i rozpad i rozstrój — cząstki tylko — a każda nienawistna drugiej we wszystkość zesamolubić się chce wytępiając inne. Naród, państwo, stan, zasada, ustawa, prawo każde nie o postęp, ale o coraz starszą starość się stara. Co dłużej trwa temu hołdują, nie że święte, ale że obaliło przeciwników wielu; — przedawniałość prawowitością. Wszelka nadzieja i wszelkie natchnienie buntem i świętokradztwem. Jak kat do szkieletu siedzącego na stolicy, tak przyszłość wiecznie przystępuje do siostry swej przeszłości — i wszelka teraźniejszość prochem jednej i krwią drugiej zbryzgana, dotąd nędz kałużą jest! Wszak prawdziwie świadczę nieszczęśliwym losom planety tego?

MŁODZIENIEC.

Ojcze, nieraz toż samo łzy mi moje pisały na twarzy gdym czytał historyą. Każden z ludzi, ale ze wszystkich najbardziej Polak, zaświadczy świadectwu twojemu!

PREZES.

Tak żyć, to nie żyć, to konać wiecznie. Innem prawo wszechżycia — ani umierać by zaginąć i potępionym być — ani nawet umierać, by później z grobu wstać — ale ze siebie samego zmartwychwstawać wciąż a bez omdlenia śmierci, — oto rozwój duchów — toć żywot ich wieczny! Narody go na ziemi dostąpić powinny, nim każden osobnik go w zaświatach dostąpi, — bo człowieczeństwo czemże jeśli nie szkołą — próbą aniołów? Albożołtarze Boga tylko pod katedr sklepieniem? Wszędzie — i w izbie poselskiej

i na trybunale i w kole wyborców i w kole wybranych — i na stolicy władnej i na rynku pospolitym i w rękodzielni i na giełdzie i w sztuce każdej i w każdej umiejętności Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi — być musi i będzie! Każden trud w posłannictwo, każden urząd w kapłaństwo się zmieni — i czcią Tego, który jest, będzie, być i żyć! Czy czujesz we wnętrzach istoty twej, że się spodziewasz takiej przyszłości, że wierzysz w nią i kochasz ją?

MŁODZIENIEC.

Od kiedy oddycham, każdem serca uderzeniem pożądam piękna, wyzwolenia, szczęścia — a żyję śród potwornych klęsk! Młodym nigdy się nie czułem — a ty mi świata odmłodnienie obiecujesz, ojcze! Jakżeż niemam wierzyć tobie i dziękować ci!

PREZES.

Odpowiadaj mi dalej: — wszak Bogiem w jednym człowieku był Chrystus?

MŁODZIENIEC

Tak!

PREZES.

A Chrystusem we wszystkich ludziach kto będzie?

MŁODZIENIEC.

Ludzkość chyba!

PREZES.

Ale kiedy? wszak nie wczora? nie dziś? kiedyż więc!

MŁODZIENIEC.

W ostatniej, najwyższej chwili dopełnienia swego.

PREZES.

A przez kogóż się dopełni? gdzie członki tego ciała, w którem jeden Duch? Jakież to obrzędy w tym kościele powszechnym, rozmaite a ustanowione od Boga? Gdzie barwy tęczy z których ta białość świetlana powstanie?

MŁODZIENIEC.

Wszak się nie mylę, ojcze? wszak o narodowościach mówić chcesz!

PREZES.

Powiedziałeś sam — a patrz jak za dni naszych wszędzie wola Boża opatrznie kusi wolę ich! Jednym zewnętrznej niepodległości, drugim wewnętrznego ukojenia brak — wszystkie za wolnością tęsknią; — a wieszże, Synu, co to wolność?

MŁODZIENIEC.

Słucham, Ojcze!

PREZES.

Ten tylko wolność osiągnął, kto tak ducha swego wyarcydziełował, że już nie walczy ni z sobą ni z drugimi, ale w sobie spokój ma a z drugimi miłość — więc samoistny jest — więc dokonany jest — więc ze siebie samego wystąpić może, zdwoić się, ztroić, zesetnić we własnych utworach! Wolni tylko tworzą — i wolne tylko narody jak lutnie różnobrzmiące wydźwięczą z siebie ludzkość, najdoskonalszy wszechdźwięk swój! Niech więc nie zapominają o miłości, bez której nic postawić i zbudować nie sposób — bez której Bóg choć wszechpotęgą odzian, niemógłby był stworzyć nic! Świat ich — niech tylko one będą! Jak z głazu posąg niech tak się podniosą, a pod wewnętrznem własnej woli dłutem! Zaprawdę, zaprawdę niech pamiętają, że nie to co niewzruszone i zbite jak skała, mądrością na ziemi — ni też co wściekłe i wysadzające skałę w powietrze, natchnieniem i czynem! Ale że istną świętością i wybornem pięknem to co płynne wciąż a wstępujące coraz w górę wyżej, to co szersze co chwila a jednak toż samo jak światła wschód nieskończony!

PANKRACY.

Proszę o głos!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Co to znaczy?

PANKRACY.

Naczelnik chóru polskiego prosi o głos!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Czyż nie wie polskiego chóru naczelnik, że występkiem jest przerywać Prezesowi, kiedy nowo wstępującego naucza?

PANKRACY.

Jeszcze raz domagam się o głos!

PREZES

Synu mój, zapominasz o prawdach podziemiami rządzących i uporem narażasz się!

PANKRACY.

A ty, ojcze, nienarażasz że tej duszy młodocianej na zgubę, gdy o miłości mówisz — i miasto hartu, wtkliwiasz miękkość jej do serca?

PREZES.

Milcz!

PANKRACY.

Słuchaj mnie, słuchaj, arcyprzewielebny! Słuchajcie wszyscy, ilu was tu narodów i ludzi! Jeśliście z zachodu, wolno wam jeszcze i to marzyć tylko, że miłosierdziem chrześciańskiem wielkich dopokoicie się celów. Szlachtęście już gilotynowali, jedni — w błoto i nędzę wepchęli drudzy — dobrze! Ale z bankierami, finansistami, ale z mieszczaństwem waszem, tą powtórną pasożytnością na ludowem ciele, co poczniecie? Zresztą, w tej chwili, mniejsza o was, zachodni; — ja ze wschodu — ja Sławianin! ja Polak! więc powiem.....

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Duchu niesforny, nakazujem ci milczenie!

PANKRACY.

Jużem się odważył — nie dam tego potomka arystokratów lackich, tego z antenatów rodem, omamiać ideami, które kiedyś się dopełnią, ale przed których urzeczywistnieniem Sławiańszczyzna cała i Polska cała, muszą wyglądać jako jedno morze krwi! Niech młodzik rzeczywistość zna! — niech tu zaraz zrzuca z siebie szlacheckiego człowieka — albo niech wychodzi, ucieka, nie ogląda się — a ze sobą naszych tajemnic nie bierze!

PREZES.

Chyba twoich, zbuntowany duchu! bo w naszych niema przykazu krwawego. Jest święta i orężna praw świętych i pokrzywdzonych obrona — morderstwa nie znajdziesz!

PANKRACY.

Słuchaj mnie, młodziku, ty coś z ojców twych rodem,

ty co ojców masz! Otóż ja, który ich niemam, ja który chodzę po tej ziemi, jakbym się z niej prosto narodził, ze żwiru, mułu i murawy, tak jak Tytany niegdyś a ludowi ludzie dziś, otóż ja powiadam ci: — Z szlachtą polską i wszelką sławiańską koniec! Jeśli chcesz, klękaj i mów zdrowaś Marya nad ich grobem — wolno ci! A znam was — a wiem was - nie ustąpicie — wszystkoście oddać gotowi i pół ziem waszych i brzęczący pieniądz; — ale klejnotu — ale pamiątek — ale dumy, nigdy! Więc poświęceniem nowem, znów dorwiecie się władzy, której wspomnienia wieczność by sama niezdołała wam z ducha wygluzować. O! ja nie z was, a znam was, jak wy sami się znacie. Więc co za rada z wami, *z urodzonymi!* — jedna tylko — trzeba was odurodzić, żadnemu nie przebaczając, żadnego z sieci śmiertelnej nie wypuszczając, by raz już krew wasza i szpik kości waszych rozłożył się chemicznie na wieki i zniknął w przestworach! Dopiero będzie Równość i Lud — a wtedy, wtedy, dopiero wtedy, wszystko co ten człowiek w bieli na tronie wyrzekł, prawdopodobieństwem się stanie; — miłość będzie możnością na tym globie — lecz nie wprzód! wara! Rozumiesz, ty ojców posiadaczu?

MŁODZIENIEC.

Aligier, gdzieżem ja? gdzieś ty mnie przywiódł? Ja wyzwę go!.....

ALIGIER.

Jeśli kochasz mnie, milcz!

(do Prezesa).

Przyklękam na znak uszanowania i prośby — bo łamać przepisów nie chcę odezwaniem się. O pozwól, ojcze arcyprzewielebny, na chwilę dozwól, bym na tę mównicę wstąpił i odpowiedział. Ojcze, mnie idzie o tę duszę jasną i czystą, powierzoną mi — patrz, jak blednie ta twarz— patrz jak gniew święty po żyłach tego czoła sinieje, — jak ta ręka powstrzymana od oręża, cierpi Laokonowe drgania. Ja muszę wstąpić i mówić, by go ukoić. On pierwszy raz słyszy takie słowa!

PREZES.

Zabronić ci, czego żądasz, nie mogę. Ów człowiek, pierwszy stargał prawo.

ALIGIER.

Dzięki ci, ojcze! (wstępuje na mównicę).

PANKRACY.

Teraz w żadne już rozprawy się nie wdaję, ja chóru przywódzca! Wypowiedziałem nie unikalne! Kto sam słowem konieczności, ten na marne, ludzkie słowa nie odpowiada! Hej! Kiermaszu, albo ty, Blaumanie, jeśli im o sentymentalność i paplarstwo chodzi, stań naprzeciwko mównicy, patrz się w oczy temu melancholicznemu przyjacielowi onego młodzieniaszka i odpowiadaj za mnie!

KIERMASZ.

Ja wnet odpowiem — ja!

BLAUMAN.

Precz Kiermaszu — ja lepiej potrafię!

INNY.

Mnie głos dać — Blauman nie potrafi!

INNY.

Panie naczelniku, mnie wybrać!

KILKU INNYCH.

Mnie — mnie — mnie!

PANKRACY.

Już się swarzycie — patrzcie, jak tamta część chóru, z szlachty starej, co się odsunęła na stronę, przystojnie i poważnie się trzyma, choć wściekli. — Z wrzaskami precz; — ty Blaumanie, mów!

BLAUMAN. (do Aligiera).

Blady i wychudły stronniku arystokracyi, ty z mównicy tej przechylony, z wyciągniętemi rękoma — a muszę wyznać, ty piękny! — boć to wiadomo, urodziwi jesteście i gładkie rysy wasze i dłonie białawe — pfuj! kobiety! Ha! więc ty się oburzasz przeciwko temu wielkiemu obywatelowi, że ci serdeczno — szczerze oznajmił o wyrznięciu logicznem i nieodwracalnem magnateryi lackiej! Jeśliś patryota, jeśli ci w sercu cokolwiek polskiego, ojczystego zostało....

PANKRACY. (po cichu).

Nie mięszaj zbyt wyrazu ojczyzny!

BLAUMAN.

Czy i to arystokratycznem?

PANKRACY.

Tak i nie — ale słuchaj rady mojej!

BLAUMAN.

A ja ci powiadam, jeśli Ludzkości choć źdźbło drga w sercu twojem, jakżeż ty inaczej chcesz zbawić Lud polski ciśnięty od trzech tyranów, a przez szlachecką kastę gorzejć rozdeptany jeszcze? Wspaniałomyślną rzezią tylko możesz.....

ALIGIER.

Pankracy! Pankracy! naczelniku chóru polskiego, ty nie Polaku! Ty co tylko powtarzasz „Lud, Lud,“ a nigdy „Naród“ nie powiesz! Ty co chcesz wielkich rzeczy się przez siebie doczekać a od Boga nie poczynasz! Ty co za podstawę przyszłej budowy, kamieniem węgielnem stawiasz mężobójstwo! Ty co zawiścią zdjęty, starasz się ją przemienić w prawo wiekuiste postępu i nadajesz nikczemnym chuciom piersi własnej, imie konieczności! Ty co ranić umiesz i jad w rany zadane zapuszczać, gdy spotkasz dziecko, niewiastę lub młodzieńca wiosennej tkliwości, — lecz nie potrafisz rozmówić się ani z Bogiem modlitwą, ani z mężem mądrością, ani ze sobą nawet samym wiarą i przekonaniem! Ty chciwy władzy, ty człowieku możny zmysłami i namiętnością i siłą jakąś okropną, utajoną w tobie! — nie zastawiaj się pierwszym lepszym z uwiedzionych przez ciebie, — ale w imie Boga, sędziego nas wszystkich, Pana narodów i Duchów, pana mojego i twego, odpowiedz: Wierzysz li sam, temu coś tu oświadczył przed nami?

PREZES.

On, czy wierzy? On! kto? Pankracy! Ah! to już za wiele — nie bluźń takiemu demokracie, ty arystokrato!

ALIGIER.

Wzywam cię, wzywam potęgą mi nadaną, tkwiącą w głębinach istoty mojej, za to żem cierpiał wszystkością serca mego nad wszystkiemi cierpieniami braci moich, od kiedym rozemknął oczy i ujrzał że piękny świat i piękne słońce — i Bóg wszechdobry i wszechmiłosierny, a Ludzkość nieszczęśliwa, — a śród nieszczęśliwej Ludzkości, pierwszy nieszczęściem i bolem polski mój naród! Wzywam cię, odpowiedz mi! Gdy spojrzę na kogo, zwykle mi

prawdę odpowiada. Tylem się namodlił po szczytach gór, po falach mórz i śród więzień cytadelowych i w lochach i w kopalniach i koło rusztowań i w salach sądowych, prosząc Pana za skazanymi — prosząc i za sędziami, których los gorszy czeka niż skazanych! Tylem się nabłąkał po otchłaniach ziemskich, ciągle o ilem zdołał ja nędzny, chęcią, myślą, uczynkiem w niebiesiech — że wierz mi, człowiecze, darmo! — ty się mnie nie odejmiesz. Musisz mi prawdę przed wszystkiemi braćmi odpowiedzieć, — a jeśli milczysz, to że czujesz sam, iż nie możesz, — to że wiesz sam, żeś obłudnik i kłamca!

PANKRACY.

Blaumanie, na bok mi! Ha! Aligier wyzywasz mnie!

ALIGIER.

Jak Bóg na niebie i w każdym z nas, jak Chrystus był na ziemi i dotąd Duchem coraz silniej rozlega się po niej, zaprawdę, że wyzywam ciebie!

KIERMASZ.

Więc jaśniej, praktyczniej mów — o co się ty pytasz?

ALIGIER.

O sumienie twoje — o nic więcej!

BLAUMAN.

Praktyczniej się wyraż. Ja człowiek czynu — metafizyki nie rozumiem — nie chcę — i nie potrzeba jej mi. Jeszcze raz, o co się ty więc pytasz mnie?

ALIGIER.

W obec Tego który między nami, choć nas dwóch tylko, trzecią przytomną osobistością jest — tu ot jest — rozciąga się od ciebie po mnie, odemnie po ciebie, i w okół nas — i widnokrężnie wszędzie! Wobec najdroższego utajonego jak Go lud Polski nazywa, pytam się ciebie, czy czujesz sercem i wiesz rozumem nieodprzekonalnie, iż dla zbawienia Polski, trzeba zagłady szlachty polskiej? Że dla odsunięcia głazu grobowego, trzeba rękom zmartwychwstańców rękawic z błota i krwi, a nie gromów z czystego światła? Że dla rozpoczęcia trzeciej godziny świata, którać Chrystusową jest, należy wyprzeć się Chrystusa choćby na chwilkę — miłość jego odłożyć na później, Bogu, wszechmocnemu powiedzieć: „Wyjdź teraz a wrócisz po-

tem, — boś dziś nam naddatkowy — dopiero potrzebny pojutrze.“

PANKRACY.

Julinicz, ludowy wieszczu, toś ty powinien odpowiadać mu — boć w nim wieszcz siedzi także.

JULINICZ.

(wychodząc z grona chórowego).

Ja wielki Duch! proroczy Duch! znajcie mnie!

PANKRACY.

Więc mu za śpiew, odśpiewujże śpiewem!

JULINICZ.

Nie czem innem, o bracia, jedno śmierci rozrobem kończą się ery planety. Otoć chwila — i wieków dwadzieścia ma umrzeć, a nim umrą, mają być wzięte na tortury, za to, że zbrodniczyły wciąż a nie znały co Duch! Dziś nie to co niegdyś! Niegdyś modlitwa i łza i skrucha — tem było chrześciaństwo! Dziś moc ucieleśniona, ruch, pęd, wir, ton, władza, nakaz, uorężnienie pańskich tchnień! Dziś do dzieła nawet łotrów dobiera Pan! Jak młotów, kos, cepów, dzid i mieczów tysiącem, niemi obraca na wsze strony i bije się po świecie, by zatracić wrogi swe! wrogi ludu! Dla wszechprzyszłości cóż znaczy szlachta lacka? kilkadziesiąt tysięcy ludzi — chcesz? kilkakroć nawet! kropla w oceanie! Jeśli jej łaknie ocean, rzucić ją! Takie dzisiejsze chrześciaństwo! bo się wybrał ziemię sądzić Pan i sądzi ją przez nas, przez święte swe, ujasnowidnione swe, proroki swe! I ot! wspomnisz, ty niewierny, nadejdą burze i zawieruchy żywe z żywych ludzi wiejne, mnóstwa przechadzające się po zwaliskach i popiołach, ofiarujące mord Bogu — i będzie Bogu miłym mord — bo całopaleniem tylko ciągłem wstępuje w niebo on ołtarz kołujący, ten planeta, na którym Ludzkość kapłanem i ofiarnikiem wiekuistym, i zużyte jej plemiona i kasty i myśli, ofiarami!

ALIGIER.

Pankracy! Pankracy! Pamiętasz jak głos z nieba wołał na ukrywającego się Adama po dopełnionym grzechu, — na uciekającego Kaima po bratobójstwie! Ty tak samo się kryjesz, ty tak samo uciekasz; — Pankracy, Pankracy, odpowiedz mi!

PANKRACY.

Nieznośnyś! — z Juliniczem hymnujcie sobie!

ALIGIER.

Pankracy! Pankracy! a zkąd ty się wziął? A kto wlał w ducha twego mowę polską? a kto polski obyczaj? a kto wolności żądzę? a kto siłę czynów? Czyś ty z przyszłości się urodził? wszak nie? Czemże więc ty, choć bez ojców imiennych, jeśli nie synem matki Rzeczpospolity lackiej? Mów mi, cobyś ty mógł mówić na ziemi i czem kłamać i czem zdradzać i czem sprzeniewierzać się przeszłości, gdyby ona właśnie wszystkiego ci nie była dała? Niewdzięczniku! ktoby głosu twego za ludem słuchał, czy śród twoich własnych, czy śród obcych, gdyby nie Chrobrych miecz, Jadwigi niepokalaność, Zygmuntów mądra miłość, Batorych hart, — Zamojskich rzymska cnota, Żółkiewskich zgon, Czarnieckiego żywot, Sobieskiego trud i europejski czyn? — Nicości bez nich, czemu powstajesz ty na nich! Czemu się targasz na wiekopomne i niezagubialne? — na to, z czegoś ty sam, na to, bez czego i kroku jednego postawić i słowa jednego wyrzec nie zdołasz — na powietrze piersi twoich dziejowe! Wiedź dalej, jeśli błogosławieństwo Pana z tobą, naród twój, — lecz nie odnaradawiaj go, jak czynią okrutniki co go rozebrały. Nie bądź czwartym katem, do trzech onych, przydanym przez piekło! Pankracy! Pankracy!

PANKRACY.

Przeklętyś z twoją przeszłością — z twoim głosem z przeszłości, bo jak z grobu wieje, a dźwięczy i dźwięczy!

ALIGIER.

Upominam cię, bo w tej chwili zawód się twój cały przyszły zwierciedlani przedemną! Jeszcze czas! wolną wolę masz! Jeśli mnie nie usłuchasz, potężny będziesz, będziesz przed ludźmi na czas i pół czasu - - lecz przepadniesz przed Bogiem i ślad twój w sercu Boga odnaleziony nie będzie!

PANKRACY.

Hej! sztuki — zabobony — przesądy — wróżby! Tak zawsze teokracya i arystokracya poczynają sobie! Myślisz mnie gusłami przegrodzić od czynu, od władzy, od nieśmiertelności? A więc znaj prawdę — i wy wszyscy

znajcie ją — i ty także ją znaj, arcyprzewielebny! Kto we mnie wierzy, kto mój, niech się z chóru polskiego oddziela i staje tu przy mnie!

KIERMASZ.

Niech żyje wódz!

BLAUMAN.

Otom przy tobie!

JULINICZ.

Aaronem będę w obozie twoim!

KILKU INNYCH.

Demokraciśmy na rozkazy twe!

BLAUMAN.

Co tu wykładają, nudzi mnie oddawna. Wszystko gnuśne, religijne, filozoficzne. Żółwie takiemi samemi. Kto sądzi, że świat ukoi, temu winszuję; — świat zgniły — szlachta polska zgniła. Rady nie ma — być albo nie być? Ja być chcę! Kto godzi w cel, ten środków się, jak strzał zatrutych, chwyta! Przekleństwo bałamucącym na drodze dziejów! leniwym i uczonym! miłosiernym i czystym! Brud nie brudem, gdy przezeń stąpa się do wszechludzkości! Zasady niech żyją a niech ginie pół Europy! Zrywam z wami wszystkiemi!

ALIGIER.

Świadczę się wami, narody i ludzie, że taką odpowiedź jego! O Henryku mój, zważ i naucz się. Ten człowiek genialnym. Duch ten potężnym — ale niema potęgi co zdoła odpowiedzieć na najprostsze zapytanie, skoro ono zacnem, a ona niecną jest. Tak Pan chciał aby było, — błogosławcie Panu!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Zatrzymaj się, obłąkany Duchu! Czy nie pamiętasz, jaką hańbą pokalan, kto nam nie dotrzyma wiary? po tej i tamtej stronie grobu opóźnion, zewstecznion, nędzny i nikczemny będzie!

PANKRACY.

Na tamtej stronie, przyjmuję, — byleby nie na tej! A na tej, synem dzieł moich własnych jestem! Ojcowie moi, których sam płodzę, czyny, pomagajcie mi! Za mną bracia!

PREZES.

Chóry wszystkie, zastąpcie drogę temu niewiernemu bratu i nie puszczajcie go!

ALIGIER.

Tylko błagam cię, ojcze, nie każ drugiej części chóru polskiego, by miała stawać naprzeciwko braci własnych — bo choć grzeszni, braciaż zawsze!

PREZES.

Was jednych wierni Polacy, wyłączamy od dopełnienia rozkazu naszego. Pozostańcie na miejscu waszem!

PANKRACY.

Czy myślisz, arcyprzewielebny, że mnie tłumem tym osaczywszy, obalisz na kolana przed sobą? że w tych głuchych podziemiach, gdy skiniesz, ty co krwawego nie znasz nakazu, ci twoi mnie zarżną? Puszczajcie mnie narodowe chóry!

PREZES.

Łańcuchem nierozerwalnym stójcie koło niewiernego.

PANKRACY.

Blaumanie, Kiermaszu, Julinicz, do puginałów!

PREZES.

Ilu tych kacerzy, wnieść trumien tyle!

PANKRACY.

Do broni, wszyscy, do broni! — za mną! Jeśli chcecie żyć i czynić a nie marnieć, — za mną! Jeśli chcecie ujrzeć na oczy, to co mózgiem myślicie, czego pożądacie piersią, — za mną! Z jakiegobądź rodu i narodu jesteście — za mną!

PREZES.

Zaraz trumny te ustawić rzędem — przed każdym z niewiernych jedną!

PANKRACY.

Opuszczajcie te lochy, fantastyczności, poezye, widzenia! Za mną, gdzie słońce bryłowate w górze a wrogi istotne na ziemi, by z nich wytoczyła się krew, a słońca promienie radowały się tę farbę pijąc! Czyście ślepi, głusi? Czy nikt z Włochów, Niemców, Francuzów, przy mnie się nie opowie?

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Z chóru każdego po kilku przechodzi na stronę buntownika — o biedni!

PREZES.

Trumien więcej, trumien więcej!

PANKRACY.

Co? marzysz nas zabijać gwoździami w te pudła? czy nie widzisz w moim ręku tych pistoletów? Bronić się będziem do upadłego!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Biedny, biedny ten człowiek! on mniema, że o zgon ciała jego chodzi! Biedny, biedny!

PREZES.

Wierne chóry, ściśnijcie jeszcze bliżej ich. Tak — półkolem! A trumien dość, bo nikt więcej już nie zdradza!

PANKRACY.

Hej! jeszcze, jeszcze do mnie! Hej! zawierzcie mi! o ludzie ospali! o chóry! o większości ziemskie! Czyż zawsze mniejszość tylko dzielną i śmiałą, a wy nikczemne; — i przeto was ona wiecznie musi strachem i gwałtem w pęta swojej woli kuć!

ALIGIER.

Tyran się z ciebie odezwał!

PREZES (do Młodzieńca).

Synu, przyszedłeś tu szukać prawdy i zbawienia — znalazłeś zgorszenie! Lepiejby temu, który gorszy serca niewinnych, było się nie urodzić. Teraz posłuchaj nad nim wyroku!

PANKRACY.

Jeśli mnie i moich nie puścicie, strzelę!

PREZES.

Rozdzieram szatę oną białą i czystą na piersiach, przed wami wszystkimi, narody i ludzie! Bo muszę z tronu tego rzucić śmierć na jednego z żyjących, — bo muszę wyrzec przekleństwo nad duchem, któremu niegdyś jak wszystkim wam, pobłogosławiłem!

PANKRACY.

Strzelę — do arcy-przewielebnego samego strzelę!

MŁODZIENIEC.

Spojrz tu, wrogu ojców mych! Czy widzisz lufę mego pistoletu? patrzy się czarnem okiem na czoło twe; — jeśli palcem na cynglu zadrgniesz, to nie ten, który na tronie, lecz tyś zginął! Strzeż się!

PREZES.

Pankracy! naznaczonyś piętnem potępieńców! Po wieki wszystkie bywali na ziemi, — kusicielką ich pycha — czynem ich, niszczenie! Każdą ideę nieborodną, przez Pana zesłaną w świat, odpychają od świata w niebo nazad, niecnie służąc jej; — bo nie jej, ale sobie w jej imieniu służą. I Bóg od nich przyjmowany jak szatan, oddala się precz, blednący z gniewu, że takie sługi ma. Jesteś jednym z nich! Ty się sprzeniewierzysz świętościom ogłaszanym tu! Ty zdradzisz Chrystusa! Ty zdradzisz Ducha Świętego! Tyś im faryzeusz taki sam, jak królów pochlebcy, jak świętoszki, jak donosiciele, jak szpiegi! Albo marnie przepadniesz, albo też wstrzymasz rozwój Ludzkości, — odwrócisz ją z toru wstępnego, na boczne manowce, — każesz jej po kałużach brudzić stopy białe — wieki przerazisz i cofną się w tył! Czegoby nie dokonał wszystkich mocarzy przebieg, moc, gwałt, ty dokonasz! Więc w imieniu Ludzkości, więc w imieniu Ducha Świętego, przekleństwo na tobie kładę, o duchu zgubiony; bo kto przeciwko miłości wiekuistej, ten — wiedz o tem, — choćby zwyciężył — ten zginie!

PANKRACY.

Do widzenia w wieczności!

PREZES.

Te trumny, to pogrzeb wasz — na wiele, wiele wieków cofnięciście, o kacerze! — i umieracie w tej chwili, a śmiercią gorszą, niż gdybym was kazał stracić — bobym ducha wam nie mógł kazać odebrać — samiście sobie odebrali go! Idźcie więc z ciałami waszemi, — w tych trumnach wasze zacności i cnoty pozostają — w tych trumnach myśli Boże o was, które wami być miały samymi, a w któreście wżyć się nie podołali — w tych trumnach, to co w was ludzkiego było na ziemi!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Idei fałszerze! idei najzaciętsze wrogi! Wy co ją krzyżować będziecie a szydersko, bo mianując się jej synami! Wy umierający, — wy, skoro za ten próg przejdziecie, umarli! Idźcie, idźcie precz!

PREZES.

Wszystkie chóry ziemskie, narody i ludzie bierzcie każden do ręki gromnicę — śpiewajcie pogrzebową pieśń!

PANKRACY.

Kiermasz, nie blednij tak — Blauman, i ty także? Julinicz, czy u was poetów nerwy strunami lutni, że tak drgają? I cóż z tego, że tych gromnic czerwieni się krąg? że hymnów grobowych rozlega się dźwięk i to nawet sklepienie z granitu zdaje się śpiewać i nam wróżyć zgon!

PREZES.

Naczelnik chóru polskiego umarł — Aligier, obejmij nad współbracią rząd i jej wodzem bądź!

PANKRACY.

Ach! arystokracyi doradzca zastępcą mym! Kordecki, Reytanie, Ligienzo, Rymszo, Kazanowski, nie pójdziecież za mną?

CHÓR POLSKI.

Pozostajem tu. Szabla i Bóg, nie noże i srom — oto hasło nasze!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń. Przeszłość rozdeptali — nie pojęli przyszłości — teraźniejszość potwornieje przez nich! Więc w czasie ich niema, bo obrazili okaleczyli, rozćwiertowali czas! Gdzież oni są? w niecestwie ducha są! Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń!

PREZES.

Nieście ich trumny za nimi — odprowadźcie ich aż do tajemniczego progu. Rozemknijcie im ścianę podziemia!

PANKRACY.

Dziękuję ci, arcy-przewielebny! walczyć będziem ze sobą, bo ja — dobrześ powiedział — ja niszczyciel! Lecz zdrady nie obawiaj się — powierzchnia ziemi od żadnego z nas nie usłyszy ani o tobie ani o twoich!

PREZES.

Kto Judaszem wiekuistej idei, stać się może i ludziom Judaszem!

PANKRACY.

Nie! nie! Ty nie myślisz tak o mnie!

PREZES.

Żyjący z umarłymi nie mówią — dość już — amen!

PANKRACY.

Dawajcie klucze — oto próg — duszno tu. Lepiejbyście płuc nie suszyli sobie takim śpiewem — odmykajcież!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Do końca, do końca śpiewajcie im pogrzebową pieśń!

PREZES.

A teraz niech każdy do nich mówi: „Zgaśliście.“

PANKRACY.

Kiedyż koniec będzie obrzędom tym?

PREZES.

A teraz niech każdy zagasi gromnicę swą i iskry i popiół strząśnie po nad głową im!

PANKRACY.

Puszczajcie!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Umarli — umarli — umarli!

PREZES.

Narody i ludzie, rozejdźcie się w milczeniu i ciemnościach. Zgorszeniście i smutni. Za winą, sąd nastąpił — nastąpiła i kara. Módlcie się i rozpamiętujcie — a pokusy nie przypuszczajcie do serca, — bo wiednym ducha, grzech przeciwko Duchowi, darowanym nie jest! Idźcie! — na dzisiejszą noc, rozwiązany Zbór!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Narody i ludzie, rozejdźcie się w milczeniu i ciemnościach!.....

(KONIEC POZOSTAŁEGO RĘKOPISMU.)

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Gwiazdy w około twojej głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły — co ujrzysz jest twojem — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojem — chwale twojej niby nic nie zrówna.

Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. — Splatasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek, igraszkę palców twoich — łzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem, i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością. — Biada ci — biada. — Dziecię co płacze na łonie mamki — kwiat polny co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie.

Zkądżeś powstał marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub w ironii? — kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać Anioła chwilą nim zagrzązniesz w błoto, nim jak płaz pójdziesz czołgać i zadusić się mułem? — Tobie i niewieście jeden jest początek.

Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich, — twoje rozpacze i westchnienia opadają na dół, i szatan je zbiera, dodaje w radości

do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana.

Nie przeto wyrzekam na ciebie, Poezyo, matko Piękności i Zbawienia. Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywemi głosami twej chwały.

Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki, Pan przed którym się uniżają stworzenia i mówią: „On jest tutaj.“ — Taki cię będzie nosił gdyby gwiazdę na czole swojem, a nieoddzieli się od twej miłości przepaścią słowa. On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawcześnie, i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłemi się bawi i grobowy wieniec splata sobie przez całe życie. — Temu i niewieście jeden jest początek.

ANIOŁ STRÓŻ.

Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń kto ma serce — on jeszcze zbawion być może. — Żono dobra i skromna, zjaw się dla niego — i dziecię niechaj się urodzi w domu waszym.

(Przelatuje).

CHÓR ZŁYCH DUCHÓW.

W drogę, w drogę widma lećcie ku niemu. — Ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożnicy umarłej wczoraj, odświeżony w mgle i ubrany w kwiaty, dziewico kochanko poety, naprzód.

W drogę i ty sławo, stary orle wypchany w piekle, zdjęty z palu kędy cię strzelec zawiesił w jesieni — leć i roztocz skrzydła, wielkie, białe od słońca, nad głową poety.

Z naszych sklepów wynijdź spróchniały obrazie Edenu, dzieło Belzebuba — dziury zalepim i rozwiedziemy pokostem — a potem płótno czarodziejskie zwiń się w chmurę i leć do poety — wnet się rozwiąż naokoło niego, opasz go skałami i wodami, naprzemian nocą i dniem. — Matko naturo, otocz poetę!

Wieś. — Kościół — nad kościołem ANIOŁ STRÓŻ się kołysze.

Jeśli dotrzymasz przysięgi na wieki, będziesz bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego.

(Znika).

Wnątrz kościoła. — Świadki. — Gromnica na oltarzu. — KSIĄDZ (ślub daje.)

Pamiętajcie na to.

Wstaje para. — MĄŻ ściska rękę żony i oddaje ją krewnemu. — Wszyscy wychodzą. — On sam zostaje w kościele.

Zstąpiłem do ziemskich ślubów, bom znalazł tę o której marzyłem — przekleństwo mojej głowie, jeśli ją kiedy kochać przestanę.

Komnata pełna osób. — Bal. — Muzyka. — Świece. — Kwiaty. — Panna młoda walcuje i po kilku okręgach staje, przypadkiem napotyka męża w tłumie i głowę opiera na jego ramieniu.

PAN MŁODY.

Jakżeś mi piękna w osłabieniu swojem — w nieładzie kwiaty i perły na włosach twoich, płoniesz ze wstydu i znużenia — o wiecznie, wiecznie będziesz pieśnią moją.

PANNA MŁODA.

Będę wierną żoną tobie, jako Matka mówiła, jako serce mówi. — Ale tyle ludzi jest tutaj — tak gorąco i huczno.

PAN MŁODY.

Idź zraz jeszcze w taniec, a ja tu stać będę i patrzeć na cię, jakem nieraz w myśli patrzał na sunących aniołów.

PANNA MŁODA.

Pójdę jeśli chcesz, ale już sił prawie nie mam.

PAN MŁODY.

Proszę cię, moje kochanie.

(Taniec i muzyka.)

Noc pochmurna — DUCH ZŁY (pod postacią dziewicy, lecąc.)

Niedawnom jeszcze biegała po ziemi, w taką samą porę — teraz gnają mnie czarty i każą świętą udawać.

(Leci nad ogrodem.)

Kwiaty odrywajcie się i lećcie do moich włosów. —

(Leci nad cmentarzem.)

Świeżość i wdzięki umarłych dziewic rozlane w powietrzu, płynące nad mogiłami, lećcie do jagód moich.

Tu czarnowłosa się rozsypuje — cienie jej puklów zawiśnijcie mi nad czołem. — Pod tym kamieniem zgasłych dwoje ócz błękitnych — do mnie, do mnie ogień co tlał w nich. — Za temi kraty sto gromnic się pali — księżnę dziś pochowano — suknio atłasowa, biała jak mleko, oderwij się od niej — przez kraty leci suknia do mnie, trzepocąc się jak ptak — a dalej a dalej.

Pokój sypialny. — Lampa nocna stoi na stole i blado oświeca męża śpiącego obok żony.

MĄŻ (przez sen.)

Skądże przybywasz niewidziana, niesłyszana oddawna— jak woda płynie tak płyną twoje stopy, dwie fale białe —

pokój świątobliwy na skroniach twoich — wszystko com marzył i kochał, zeszło się w tobie.

(Przebudza się.)

Gdzież jestem! — ha! przy żonie — to moja żona —

(Wpatruje się w żonę.)

Sądziłem, że to ty jesteś marzeniem mojem, a otóż po długiej przerwie, wróciło ono i różnem jest od ciebie. — Ty dobra i miła, ale tamta..... Boże co widzę — na jawie.

DZIEWICA.

Zdradziłeś mnie.

(Znika.)

MĄŻ.

Przeklęta niech będzie chwila, w której pojąłem kobietę, w której opuściłem kochankę lat młodych, myśl myśli moich, duszę duszy mojej.....

ŻONA (przebudza się.)

Co się stało — czy już dzień — czy powóz zaszedł?— wszak mamy jechać dzisiaj po różne sprawunki.

MĄŻ.

Noc głucha — śpij — śpij głęboko.

ŻONA.

Możeś zasłabł nagle, mój drogi, wstanę i dam ci eteru.

MĄŻ.

Zaśnij.

ŻONA.

Powiedz mi, drogi, co masz, bo głos twój niezwyczajny i gorączką nabiegły ci jagody.

MĄŻ (zrywając się.)

Świeżego powietrza mi trzeba — zostań się — przez Boga niechodź za mną — nie wstawaj, powiadam ci raz jeszcze.

(Wychodzi.)

Ogród przy świetle księżyca. — Za parkanem kościół.

MĄŻ.

Od dnia ślubu mojego spałem snem odrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta niemca przy żonie niemce — świat cały jakoś zasnął w około mnie na podobieństwo

moje — jeździłem po krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecię ma się narodzić, myślałem o mamce.

(Bije druga na wieży kościoła)

Do mnie, państwa moje dawne, zaludnione, żyjące, garnące się pod myśl moją — słuchające natchnień moich — niegdyś odgłos nocnego dzwonu był hasłem waszem.

(Chodzi i załamuje ręce.)

Boże, czyś Ty sam uświęcił związek dwóch ciał; czyś Ty sam wyrzekł że nic ich rozerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie, pójdą każda w swoją stronę, i ciała gdyby dwa trupy zostawią przy sobie.

Znowu jesteś przy mnie — o moja — o moja, zabierz mnie z sobą — jeśliś złudzeniem, jeślim cię wymyślił, a tyś się utworzyła ze mnie i teraz objawiasz się mnie, niechże i ja będą marą, stanę się mgłą i dymem, by zjednoczyć się z tobą.

DZIEWICA.

Pójdzieszli za mną w którykolwiek dzień przylecę po ciebie?

MĄŻ.

O każdej chwili twoim jestem.

DZIEWICA.

Pamiętaj.

MĄŻ.

Zostań się — nierozpraszaj się jako sen — Jeśliś pięknością nad pięknościami, pomysłem nad wszystkiemi myśli, czemuż nie trwasz dłużej od jednego życzenia, od jednej myśli?

(Okno otwiera się w przyległym domu).

GŁOS KOBIECY.

Mój drogi, chłód nocy spadnie ci na piersi; wracaj, mój najlepszy, bo mi tęskno samej w tym czarnym, dużym pokoju. —

MĄŻ.

Dobrze — zaraz.

Znikł duch, ale obiecał że powróci, a wtedy żegnaj mi ogródku, i domku, i ty stworzona dla ogródka i domku, ale nie dla mnie.

GŁOS.

Zmiłuj się — coraz chłodniej nad rankiem.

MĄŻ.

A dziecię moje — o Boże!

(Wychodzi).

Salon. — Dwie świece na fortepianie. — Kolebka z uśpionem dzieckiem w kącie. — Mąż rozciągnięty na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach. — Żona przy fortepianie.

ŻONA.

Byłam u Ojca Benjamina, obiecał mi się pojutrze.

MĄŻ.

Dziękuję ci.

ŻONA.

Posłałem do cukiernika żeby kilka tortów przysposobił, boś podobno dużo gości sprosił na chrzciny — wiesz — takie czokoladowe z cyfrą Jerzego Stanisława.

MĄŻ.

Dziękuję ci.

ŻONA.

Bogu dzięki, że już raz się odbędzie ten obrządek, — że Orcio nasz zupełnie chrześcianinem się stanie — bo choć już chrzczony z wody, zdawało mi się zawsze, że mu nie dostaje czegoś.

(Idzie do kolebki).

Spij moje dziecię — czy już się tobie coś śni, że rzuciłeś kołderkę — ot, tak — teraz leż tak — Orcio mi dzisiaj niespokojny - mój maleńki — mój śliczny, śpij.

MĄŻ (na stronie.)

Parno — duszno — burza się gotuje — rychłoż tam ozwie się piorun, a tu pęknie serce moje.

ŻONA (wraca, siada do fortepianu, gra i przerywa, znowu grać zaczyna, i przestaje znowu).

Dzisiaj, wczoraj — ah! mój ty Boże, i przez cały tydzień, i już od trzech tygodni, od miesiąca słowa nie rzekłeś do mnie — i wszyscy, których widzę, mówią mi, że źle wyglądam.

MĄŻ (na stronie.)

Nadeszła godzina — nic jej nie odwlecze.

(Głośno.)

Zdaje mi się owszem, że dobrze wyglądasz.

ŻONA.

Tobie wszystko jedno, bo już nie patrzysz na mnie, odwracasz się kiedy wchodzę, i zakrywasz oczy kiedy siedzę blisko. — Wczoraj byłam u spowiedzi i przypomniałam sobie wszystkie grzechy — a nie mogłam nic znaleść takiego coby cię obrazić mogło.

MĄŻ.

Nie obraziłaś mnie.

ŻONA.

Mój Boże - Mój Boże.

MĄŻ.

Czuję, że powinienem cię kochać.

ŻONA.

Dobiłeś mnie tem jednem: „powinienem“ — Ah! lepiej wstań i powiedz — „nie kocham“ — przynajmniej już będę wiedziała wszystko — wszystko.

(Zrywa się i bierze dziecko z kolebki.)

Jego nie opuszczaj, a ja się na gniew twój poświęcę — dziecko moje kochaj — dziecko moje, Henryku.

(Przyklęka.)

MĄŻ (podnosząc.)

Nie zważaj na to com powiedział — napadają mnie często złe chwile — nudy.

ŻONA.

O jedno słowo cię proszę — o jedną obietnicę tylko — powiedz że go zawsze kochać będziesz.

MĄŻ.

I ciebie i jego — wierzaj mi.

(Całuje ją w czoło — a ona go obejmuje ramionami — w tem grzmot słychać — zaraz potem muzykę — akkord po akkordzie i coraz dziksze.)

ŻONA.

Cóż to znaczy?

(Dziecię ciśnie do piersi.)

(Muzyka się urywa).

Wchodzi DZIEWICA.

O mój luby, przynoszę ci błogosławieństwo i roskosz — chodź za mną.

O mój luby, odrzuć ziemskie łańcuchy które cię pętają. — Ja ze świata świeżego, bez końca, bez nocy. — Jam twoja.

ŻONA.

Najświętsza Panno, ratuj mnie! — to widmo blade jak umarły — oczy zgasłe, i głos jak skrzypienie woza na którym trup leży.

MĄŻ.

Twe czoło jasne, twój włos kwieciem przetykany, o luba.

ŻONA.

Całun w szmatach opada jej z ramion.

MĄŻ.

Światło leje się na około ciebie — głos twój raz jeszcze — niechaj zaginę potem.

DZIEWICA.

Ta która cię wstrzymuje jest złudzeniem. — Jej życie znikome — jej miłość jako liść co ginie wśród tysiąca zeschłych — ale ja nie przeminę.

ŻONA.

Henryku, Henryku zasłoń mnie, nie daj mnie — czuję siarkę i zaduch grobowy.

MĄŻ.

Kobieto z gliny i błota, niezazdrość, niepowtarzaj — nie bluźń — patrz — to myśl pierwsza Boga o tobie, ale tyś poszła za radą węża i stałaś się czem jesteś.

ŻONA.

Nie puszczę cię.

MĄŻ.

O luba! rzucam dom i idę za tobą.

(wychodzi).

ŻONA.

Henryku — Henryku.

(mdleje i pada z dzieckiem — długi grzmot).

Chrzest. — Goście. — Ojciec Benjamin — Ojciec chrzestny. — Matka chrzestna. — Mamka z dzieckiem. — Na sofie na boku siedzi Żona. — W głębi służący.

PIERWSZY GOŚĆ, (po cichu).

Dziwna rzecz, gdzie hrabia się podział.

DRUGI GOŚĆ.

Zabałamucił się gdzieś lub pisze.

PIERWSZY GOŚĆ.

A Pani blada, niewyspana, słowa do nikogo nie przemówiła.

TRZECI GOŚĆ.

Chrzest dzisiejszy przypomina mi bale na które zaprosiwszy gospodarz, zgra się w wilią w karty, a potem gości przyjmuje z grzecznością rozpaczy.

CZWARTY GOŚĆ.

Opuściłem śliczną księżniczkę — przyszedłem — sądziłem że będzie sute śniadanie, a zamiast tego, jako Pismo mówi, płacz i zgrzytanie zębów.

OJCIEC BENJAMIN.

Jerzy Stanisławie przyjmujesz olej święty?

OJCIEC I MATKA CHRZESTNA.

Przyjmuję.

JEDEN Z GOŚCI.

Patrzcie, wstała i stąpa jak gdyby we śnie.

DRUGI GOŚĆ.

Roztoczyła ręce przed się, i chwiejąc się idzie ku synowi.

TRZECI GOŚĆ.

Co mówicie — podajmy jej ramię, bo zemdleje.

OJCIEC BENJAMIN.

Jerzy Stanisławie, wyrzekasz się Szatana i pychy jego?

OJCIEC I MATKA CHRZESTNA.

Wyrzekam się.

JEDEN Z GOSCI.

Cyt — słuchajcie.

ŻONA, (kładąc dłonie na głowie dziecięcia).

Gdzie Ojciec twój, Orcio.

OJCIEC BENJAMIN.

Proszę nie przerywać.

ŻONA.

Błogosławię cię, Orciu, błogosławię, dziecię moje. — Bądź poetą, aby cię Ojciec kochał, nie odrzucił kiedyś.

MATKA CHRZESTNA.

Ale pozwólże, moja Marysiu.

ŻONA.

Ty Ojcu zasłużysz się i przypodobasz. — A wtedy on twojej Matce przebaczy.

OJCIEC BENJAMIN.

Bój się Pani Hrabina Boga.

ŻONA.

Przeklinam cię, jeśli nie będziesz Poetą.

(mdleje — wynoszą ją sługi).

GOŚCIE, (razem).

Coś nadzwyczajnego zaszło w tym domu — wychodźmy, wychodźmy.

(Tymczasem obrząd się kończy — dziecię płaczące odnoszą do kolebki).

OJCIEC CHRZESTNY, (przed kolebką).

Jerzy Stanisławie, dopiero coś został Chrześcianinem i wszedł do towarzystwa ludzkiego, a później zostaniesz obywatelem, a za staraniem rodziców i łaską Bożą znakomitym urzędnikiem — pamiętaj, że Ojczyznę kochać trzeba, i że nawet za Ojczyznę zginąć jest pięknie...

(Wychodzą wszyscy).

Piękna okolica. — Wzgórza i lasy. — Góry w oddali.

MĄŻ.

Tegom żądał, o to przez długie modliłem się lata, i nareszcie już bliski mojego celu — świat, ludzi zostawiłem z tyłu — niechaj sobie tam każda mrówka bieży i bawi się dźbłem swojem, a kiedy go upuści, niech skacze ze złości lub umiera z żalu.

GŁOS DZIEWICY.

Tędy — Tędy.

(przechodzi).

Góry i przepaście ponad morzem. — Gęste chmury. — Burza.

MĄŻ.

Gdzie mi się podziała — nagle rozpłynęły się wonie

poranku, pogoda się zaćmiła — stoję na tym szczycie, otchłań pode mną, i wiatry huczą przeraźliwie.

GŁOS DZIEWICY, (w oddaleniu).

Do mnie, mój luby.

MĄŻ

Jakże już daleko, a ja przesadzić niezdołam przepaści.

GŁOS (w pobliżu).

Gdzie skrzydła twoje?

MĄŻ

Zły duchu, co się natrząsasz ze mnie, gardzę tobą.

GŁOS DRUGI.

U wiszaru góry, twoja wielka dusza, nieśmiertelna, co jednym rzutem niebo przelecieć miała, ot kona! — i nieboga twoich stóp się prosi, by nie szły dalej — wielka dusza — serce wielkie.

MĄŻ.

Pokażcie mi się, weźcie postać którąbym mógł zgiąć i obalić. — Jeśli się was ulęknę, bodajbym Jej nie otrzymał nigdy.

DZIEWICA, (na drugiej stronie przepaści).

Uwiąż się dłoni mojej i wzleć.

MĄŻ.

Cóż się dzieje z tobą — kwiaty odrywają się od skroni twoich i padają na ziemię, a jak tylko się jej dotkną ślizgają jak jaszczurki, czołgają jak żmije.

DZIEWICA.

Mój luby.

MĄŻ.

Przez Boga, suknię wiatr zdarł ci z ramion i rozdarł w szmaty.

DZIEWICA.

Czemu się ociągasz?

MĄŻ.

Deszcz kapie z włosów — kości nagie wyzierają z łona.

DZIEWICA.

Obiecałeś — przysiągłeś.

MĄŻ.

Błyskawica zrzenice jej wyżarła.

CHÓR DUCHÓW ZŁYCH.

Stara wracaj do piekła — uwiodłaś serce wielkie i

dumne, podziw ludzi i siebie samego. — Serce wielkie, idź za lubą twoją.

MĄŻ.

Boże, czy ty mnie za to potępisz, żem uwierzył iż twoja piękność przenosi o całe niebo piękność tej ziemi— za to żem ścigał za nią i męczył się dla niej, ażem stał się igrzyskiem szatanów.

DUCH ZŁY

Słuchajcie, bracia — słuchajcie.

MĄŻ.

Dobija ostatnia godzina. — Burza kręci się czarnemi wiry — morze dobywa się na skały i ciągnie ku mnie — niewidoma siła pcha mnie coraz dalej — coraz bliżej — z tyłu tłum ludzi wsiadł mi na barki i prze ku otchłani.

DUCH ZŁY.

Radujcie się, bracia — radujcie.

MĄŻ.

Napróżno walczyć — roskosz otchłani mnie porywa— zawrot w duszy mojej — Boże — wróg Twój zwycięża! —

ANIOŁ STRÓŻ, (po nad morzem).

Pokój wam, bałwany, uciszcie się.

W tej chwili na głowę dziecięcia twego zlewa się woda święta.

Wracaj do domu i niegrzesz więcej.

Wracaj do domu i kochaj dziecię twoje.

Salon z fortepianem. — Wchodzi Mąż. — Służący ze świecą za nim.

MĄŻ

Gdzie Pani?

SŁUGA.

J. W. Pani słaba.

MĄŻ.

Byłem w jej pokoju — pusty.

SŁUGA.

Jasny Panie, bo J. W. Pani tu nie ma.

MĄŻ.

A gdzie?

SŁUGA.

Odwieźli ją wczoraj...

MĄŻ.

Gdzie?

SŁUGA.

Do domu waryatów.

(ucieka z pokoju).

MĄŻ.

Słuchaj Maryo, może ty udajesz, skryłaś się gdzie żeby mnie ukarać, ozwij się, proszę cię — Maryo — Marysiu. Nie — nikt nie odpowiada — Janie — Katarzyno. — Ten dom cały ogłuchł — oniemiał.

Tę której przysiągłem na wierność i szczęście, sam strąciłem do rzędu potępionych już na tym świecie. — Wszystko czegom się dotknął zniszczyłem, i siebie samego zniszczę w końcu. — Czyż na to piekło mnie wypuściło, bym trochę dłużej był jego żywym obrazem na ziemi?

Na jakiejże poduszce ona dziś głowę położy. — Jakież dźwięki otoczą ją w nocy. — Skowyczenia i śpiewy obłąkanych. Widzę ją — czoło na którem zawsze myśl spokojna, witająca — uprzejma — przezierała — pochylone trzyma — a myśl dobrą swoją posłała w nieznane obszary, może za mną, i błąka się biedna i płacze.

GŁOS SKĄDSIŚ.

Dramat układasz.

MĄŻ.

Ha! — mój Szatan się odzywa.

(bieży ku drzwiom, rozpycha podwoje).

Tatara mi osiodłać — płaszcz mój i pistolety.

Dom obłąkanych w górzystej okolicy. — Ogród w około.

ŻONA DOKTORA, (z pękiem kluczów u drzwi).

Może Pan krewny Hrabiny.

MĄŻ.

Jestem przyjacielem jej męża, on mnie tu przysłał.

ŻONA DOKTORA.

Proszę Pana — wiele sobie z niej obiecywać nie sposób — mój mąż wyjechał, byłby to lepiej wyłuszczył— przywieźli ją zawczoraj — była w konwulsyach. — Jakie gorąco.

(obciera twarz).

Mamy dużo chorych — żadnego jednak tak niebezpiecznie jak ona. — Imainuj sobie Pan, ten Instytut kosztuje nas ze dwakroć sto tysięcy. — Patrz Pan jaki widok na góry — ale Pan widzę niecierpliwy — więc to nieprawda, że Jakóbiny jej męża porwali w nocy? — proszę Pana.

Pokój. — Kratowane okno. — Kilka krzeseł. — Łóżko. — Żona na kanapie.

MĄŻ, (wchodzi).

Chcę być z nią sam na sam.

GŁOS Z ZA DRZWI.

Mój mąż by się gniewał, gdyby...

MĄŻ.

Dajże mi W. Pani pokój.

(drzwi za sobą zamyka i idzie ku żonie).

GŁOS Z NAD SUFITU.

W łańcuchy spętaliście Boga. — Jeden już umarł na krzyżu. — Ja drugi Bóg, i równie wśród katów.

GŁOS Z POD PODŁOGI.

Na rusztowanie głowy królów i panów — ode mnie poczyna się wolność ludu.

GŁOS Z ZA PRAWEJ ŚCIANY.

Klękajcie przed królem panem waszym.

GŁOS Z ZA LEWEJ ŚCIANY.

Kometa na niebie już błyska — dzień strasznego sądu się zbliża.

MĄŻ.

Czy mnie poznajesz, Maryo?

ŻONA.

Przysięgłam ci na wierność do grobu.

MĄŻ.

Chodź, daj mi ramię, wyjdziemy.

ŻONA.

Nie mogę się podnieść — dusza opuściła ciało moje, wstąpiła do głowy.

MĄŻ.

Pozwól, wyniosę ciebie.

ŻONA.

Dozwól chwil kilka jeszcze, a stanę się godną ciebie.

MĄŻ.

Jakto?

ŻONA.

Modliłam się trzy nocy, i Bóg mnie wysłuchał.

MĄŻ.

Nie rozumiem cię.

ŻONA.

Odkiedym cię straciła zaszła odmiana we mnie. — „Panie Boże“ mówiłam, i biłam się w piersi, i gromnicę przystawiałam do piersi, i pokutowałam, „spuść na mnie ducha poezyi“ i trzeciego dnia z rana stałam się poetą.

MĄŻ.

Maryo.

ŻONA.

Henryku, mną teraz już nie pogardzisz — jestem pełna natchnienia — wieczorem już mnie nie będziesz porzucał.

MĄŻ.

Nigdy, nigdy.

ŻONA.

Patrz na mnie. — Czy nie zrównałam się z tobą — wszystko pojmę, zrozumiem, wydam, wygram, wyśpiewam. Morze, gwiazdy, burza, bitwa. — Tak, gwiazdy, burza, morze — ach! wymknęło mi się jeszcze coś — bitwa. Musisz mnie zaprowadzić na bitwę — ujrzę i opiszę — trup, całun, krew, fala, rosa, trumna.

Nieskończoność mnie obleje,
I jak ptak w nieskończoności
Błękit skrzydłami rozwieję,
I lecąc się rozemdleję
W czarnej nicości.

MĄŻ.

Przeklęstwo — przeklęstwo.

ŻONA, (obejmuje go ramionami i całuje w usta).

Henryku mój, Henryku, jakżem szczęśliwa.

GŁOS Z POD POSADZKI.

Trzech królów własną ręką zabiłem — dziesięciu jest jeszcze — i księży stu śpiewających mszę.

GŁOS Z LEWEJ STRONY.

Słońce trzecią część blasku straciło — gwiazdy zaczynają potykać się po drogach swoich — niestety — niestety.

MĄŻ.

Dla mnie już nadszedł dzień sądu.

ŻONA.

Rozjaśnij czoło, bo smucisz mnie na nowo — czegoż ci nie dostaje? wiesz, powiem ci coś jeszcze.

MĄŻ.

Mów a wszystkiego dopełnię.

ŻONA.

Twój syn będzie poetą.

MĄŻ.

Co?

ŻONA.

Na chrzcie Ksiądz mu dał pierwsze imie — poeta — a następne znasz, Jerzy Stanisław — jam to sprawiła — błogosławiłam, dodałem przekleństwo — on będzie poetą. — Ach! jakże cię kocham, Henryku.

GŁOS Z SUFITU.

Daruj im, Ojcze, bo nie wiedzą co czynią.

ŻONA.

Tamten dziwne cierpi obłąkanie — nieprawdaż?

MĄŻ.

Najdziwniejsze.

ŻONA.

On nie wie co gada, ale ja ci ogłoszę coby było gdyby Bóg oszalał.

(Bierze go za rękę.)

Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy krzyczy. „Ja Bogiem“ — i co chwila jeden po drugim konają — gasną komety i słońca. — Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. Czy słyszysz jak ten Krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a co raz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał z jego odłamków. — Najświętsza Bogarodzica jedna się jeszcze modli i gwiazdy jej służebnice nieodbiegły jej dotąd — ale i ona pójdzie kędy idzie świat cały.

MĄŻ.

Maryo, może chcesz widzieć syna?

ŻONA.

Jam mu skrzydła przypięła, posłała między światy, by się napoił wszystkiem co piękne, i straszne i wzniosłe. — On wróci kiedyś i uraduje ciebie. — Ah!

MĄŻ.

Źle tobie?

ŻONA.

W głowie mi ktoś lampę zawiesił, i lampa się kołysze nieznośnie.

MĄŻ.

Maryo, moja najdroższa, bądźże mi spokojna, jako dawniej byłaś!

ŻONA

Kto jest poetą ten nie żyje długo.

MĄŻ.

Hej! ratunku — pomocy.

(Wpadają kobiety i żona doktora.)

ŻONA DOKTORA.

Pigułek — proszków — nie — nic zsiadłego — owszem płynne jakie lekarstwo. — Małgosiu, bież do apteczki. — Pan sam temu przyczyną — mój mąż mnie wyłaje.

ŻONA.

Żegnam cię, Henryku.

ŻONA DOKTORA.

To J. W. Hrabia sam w osobie swojej.

MĄŻ.

Maryo, Maryo.

(Ściska ją.)

ŻONA.

Dobrze mi, bo umieram przy tobie.

(Spuszcza głowę.)

ŻONA DOKTORA.

Jaka czerwona. — Krew rzuciła się do mózgu.

MĄŻ.

Ale jej nic nie będzie!

(Wchodzi doktor i zbliża się do kanapy.)

DOKTOR.

Już jej nic nie ma — umarła.

II.

Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela, czarcie maleńki, czemuś tak podobny do aniołka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochylone choć żywe, pełne wspomnień choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Zkąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronia twoje obarczone myślami?

A kiedy się zarumienisz, płoniesz jak stulistna róża, i pukle odwijając w tył, wzroczkiem sięgasz do nieba — powiedz co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtedy? — Bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici płynące z niewidzialnego kłębka — bo w oczach twoich jaśnieje iskra, której nikt nie rozumie — a mamka twoja płacze i woła na ciebie i myśli że jej nie kochasz — a znajomi i krewni wołają na ciebie, i myślą że ich niepoznajesz — twój ojciec jeden milczy, i spogląda ponuro, aż łza mu się zakręci i znowu gdzieś przepadnie.

Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia, i ogłosił że masz nerwy. — Ojciec Chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. — Profesor przystąpił i macał głowę twoją, i wyrzekł że masz zdatność do nauk ścisłych. — Ubogi, któremuś dał grosz przechodząc, do czapki, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. — Wojskowy przyskoczył, porwał i podrzucił, i krzyknął „będziesz pułkownikiem.“ — Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nic wyczytać nie mogła, jęcząc odeszła, dukata wziąść nie chciała. — Magnetyzer palcami ci wionął w oczy,

długiemi palcami twarz ci okrążył, i przeląkł się, bo czuł że sam zasypia. — Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi i chciał układz przed tobą, jak przed obrazkiem. — Malarz nadszedł kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wyklętemi duchami.

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: „Jakie śliczne dziecię“ — Gdyby kwiat co więdnie miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku chylącym się ku ziemi anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, o dziecię moje — może takie bywały przed upadkiem Adama.

Cmentarz. — Mąż. — Orcio prry grobie w gotyckie filary i wieżyczki.

MĄŻ.

Zdejm kapelusik i módl się za duszę matki.

ORCIO.

Zdrowaś Panno Maryo, łaskiś Bożej pełna, Królowa niebios, Pani wszystkiego co kwitnie na ziemi, po polach, nad strumieniami.....

MĄŻ.

Czego odmieniasz słowa modlitwy — módl się jak cię nauczono, za matkę która temu dziesięć lat właśnie o tej samej godzinie skonała.

ORCIO.

Zdrowaś Panno Maryo, łaskiś Bożej pełna, Pan z tobą, błogosławionaś ty między Aniołami, i każdy z nich kiedy przechodzisz, tęczę jedną z skrzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje. — Ty na nich, jak gdyby falach.....

MĄŻ.

Orcio!

ORCIO.

Kiedy mi te słowa się nawijają i bolą w głowie tak, że proszę Papy, muszę je powiedzieć.

MĄŻ.

Wstań, taka modlitwa nie idzie do Boga. — Matki nie pamiętasz — nie możesz jej kochać.

ORCIO.

Widuję bardzo często Mamę.

MĄŻ.

Gdzie, mój maleńki?

ORCIO.

We śnie, to jest niezupełnie we śnie, ale tak kiedy zasypiam. naprzykład zawczoraj.

MĄŻ.

Dziecko moje, co ty gadasz?

ORCIO.

Była bardzo biała i wychudła.

MĄŻ.

A mówiła co do ciebie?

ORCIO.

Zdawało mi się, że się przechadza po wielkiej i szerokiej ciemności, sama bardzo biała, i mówiła:

Ja błąkam się wszędzie,
Ja wszędzie się wdzieram
Gdzie światów krawędzie,
Gdzie aniołów pienie,
I dla ciebie zbieram
Kształtów roje,
O dziecię moje!
Myśli i natchnienie.

I od duchów wyższych
I od duchów niższych
Farby i odcienie,
Dźwięki i promienie
Zbieram dla ciebie,
Byś ty, o synku mój!
Był jako są w niebie,
I ojciec twój
Kochał ciebie.

Widzi ojciec że pamiętam słowo w słowo — proszę kochanego Papy, ja nie kłamię.

MĄŻ, (opierając się o filar grobu.)

Maryo, czyż dziecię własne chcesz zgubić, mnie dwoma zgonami obarczyć..... co ja mówię? ona gdzieś w niebie cicha i spokojna, jak za życia na ziemi — marzy się tylko temu biednemu chłopięciu.

ORCIO.

I teraz słyszę głos jej, lecz nie widzę.

MĄŻ.

Zkąd — w której stronie?

ORCIO.

Jak gdyby od tych dwóch modrzewi, na które pada światło zachodzącego słońca.

Ja napoję
Usta twoje
Dźwiękiem i potęgą,
Czoło przyozdobię
Jasności wstęgą,
I matki miłością
Obudzę w tobie
Wszystko co ludzie na ziemi, anieli w niebie,
Nazwali pięknością, —
By ojciec twój
O synku mój!
Kochał ciebie.

MĄŻ.

Czyż myśli ostatnie przy zgonie towarzyszą duszy choć dostanie się do nieba — może być duch szczęśliwym, świętym i obłąkanym zarazem?

ORCIO.

Głos mamy słabieje, ginie już prawie za murem kostnicy, ot tam — tam — jeszcze powtarza.

O synku mój!
By ojciec twój
Kochał ciebie.

MĄŻ.

Boże, zmiłuj się nad dzieckiem naszem, którego, zda się, że w gniewie Twoim przeznaczyłeś szaleństwu i zawczesnej śmierci. — Panie, nie wydzieraj rozumu własnym stworzeniom, nie opuszczaj świątyń, któreś sam wybudował Sobie — spojrzyj na męki moje, i aniołka tego nie wydawaj piekłu — mnieś przynajmniej obdarzył siłą na wytrzymanie natłoku myśli, namiętności i uczuć, a jemu? — dałeś ciało do pajęczyny podobne, które lada myśl wielka rozerwie — o Panie Boże — o Boże!

Od lat dziesięciu dnia spokojnego niemiałem — nasłałeś wielu ludzi na mnie, którzy mi szczęścia winszowali, zazdrościli, życzyli — spuściłeś na mnie grad boleści i znikomych obrazów i przeczuć, i marzeń — łaska Twoja na rozum spadła, nie na serce moje — dozwól dziecię ukochać w pokoju, i niechaj stanie mir już między stwórcą i stworzonym. — Synu, przeżegnaj się i chodź ze mną. Wieczny odpoczynek.

(Wychodzą.)

Spacer. — Damy i Kawalerowie. — Filozof. — Mąż.

FILOZOF.

Powtarzam, iż to jest nieodbitą, samowolną wiarą we mnie, że czas nadchodzi wyzwolenia kobiet i murzynów.

MĄŻ.

Pan masz racyę.

FILOZOF.

I wielkiej do tego odmiany w towarzystwie ludzkiem w szczególności i w ogólności — z czego wywodzę odrodzenie się rodu ludzkiego przez krew i zniszczenie form starych.

MĄŻ.

Tak się panu wydaje.

FILOZOF.

Podobnie jako glob nasz się prostuje lub pochyla na osi swojej przez nagłe rewolucye.

MĄŻ.

Czy widzisz to drzewo spróchniałe?

FILOZOF.

Z młodemi listkami na dolnych gałązkach.

MĄŻ.

Dobrze. — Jak sądzisz — wiele lat jeszcze stać może?

FILOZOF.

Czy ja wiem — rok — dwa lata.

MĄŻ.

A jednak dzisiaj wypuściło z siebie kilka listków świeżych, choć korzenie gniją coraz bardziej.

FILOZOF.

Cóż z tego?

MĄŻ.

Nic — tylko że gruchnie i pójdzie precz na węgle i popiół, bo nawet stolarzowi nie zda się na nic.

FILOZOF.

Przecie nie o tem mowa.

FILOZOF.

Jednak to obraz twój i wszystkich twoich, i wieku twego, i teoryi twojej.

(Przechodzą)

Wąwóz pomiędzy górami.

MĄŻ.

Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli, i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem — znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądzy, żadnej wiary, miłości niema we mnie — jedno kilka przeczuć krąży w tej pustyni — o synu moim że oślepnie — o towarzystwie w którem wzrosłem że rozprzęgnie się — i cierpię tak jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie.

GŁOS ANIOŁA STRÓŻA.

Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawion będziesz.

MĄŻ.

Kto się odzywa?

MEFISTO, (przechodząc).

Kłaniam uniżenie — lubię czasem zastanowić podróżnych darem, który natura osadziła we mnie. — Jestem brzuchomowca.

MĄŻ, (podnosząc rękę do kapelusza.)

Na kopersztychu podobną twarz gdzieś widziałem.

MEFISTO, (na stronie.)

Hrabia ma dobrą pamięć.

(Głośno.)

Niech będzie pochwalon.

MĄŻ.

Na wieki wieków — amen.

MEFISTO, (wchodząc pomiędzy skały.)

Ty i głupstwo twoje.

MĄŻ.

Biedne dziecię, dla win ojca, dla szału matki, przeznaczone wiecznej ślepocie — niedopełnione, bez namiętności, żyjące tylko marzeniem, cień przelatującego anioła, rzucony na ziemię i błądzący w znikomości swojej. — Jakiż ogromny orzeł wzbił się nad miejscem w którem ten człowiek znikał.

ORZEŁ.

Witam cię — witam.

MĄŻ.

Leci ku mnie cały czarny — świst jego skrzydeł jako świst tysiąca kul w boju.

ORZEŁ.

Szablą ojców twoich, bij się o ich cześć i potęgę.

MĄŻ.

Roztoczył się nademną — wzrokiem węża grzechotnika ssie mi źrzenice — ha! rozumiem ciebie.

ORZEŁ.

Nieustępuj, nieustąp nigdy — a wrogi twe, podłe wrogi twe, pójdą w pył.

MĄŻ.

Żegnam cię wśród skał, pomiędzy któremi znikasz — bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zguba, uwierzę tobie, posłanniku chwały. — Przeszłości, bądź mi

ku pomocy — a jeśli duch twój wrócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem.

(Zrzuca żmiję.)

Idź, podły gadzie — jako strąciłem ciebie i niema żalu po tobie w naturze, tak oni stoczą się w dół, i po nich żalu nie będzie — sławy nie zostanie — żadna chmura się nie odwróci w żegludze, by spojrzeć za sobą na tylu synów ziemi ginących pospołu.

Oni naprzód. — Ja potem.

Błękicie niezmierzony, ty ziemię obwijasz — ziemia niemowlęciem co zgrzyta i płacze — ale ty nie drżysz, nie słuchasz jej, ty płyniesz w nieskończoność swoją.

Matko naturo, bądź mi zdrowa — idę się na człowieka przetworzyć, walczyć idę z bracią moją.

Pokój. — Mąż. — Lekarz. — Orcio.

MĄŻ.

Nic mu nie pomogli — w Panu ostatnia nadzieja.

LEKARZ.

Bardzo mi zaszczytnie.....

MĄŻ.

Mów Panu, co czujesz.

ORCIO.

Już nie mogę ciebie Ojcze, i tego pana rozpoznać — iskry i nicie czarne latają przed mojemi oczyma, czasem z nich wydobędzie się nakształt cieniutkiego węża — i nuż robi się chmura żółta — ta chmura w górę podleci, spadnie na dół, pryśnie z niej tęcza i to nic mnie nie boli.

LEKARZ.

Stań, Panie Jerzy, w cieniu — wiele Pan lat masz?

(Patrzy mu w oczy.)

MĄŻ.

Skończył czternaście.

LEKARZ.

Teraz odwróć się do okna.

MĄŻ.

A cóż?

LEKARZ.

Powieki prześliczne, białka przeczyste, żyły wszystkie w porządku, muskuły w sile.

(Do Orcia).

Śmiej się Pan z tego — Pan będziesz zdrów jak ja.

(Do Męża).

Niema nadziei. — Sam pan Hrabia przypatrz się źrzenicy — nieczuła na światło — osłabienie zupełne nerwu optycznego.

ORCIO.

Mgłą zachodzi mi wszystko — wszystko.

MĄŻ.

Prawda — rozwarta — szara — bez życia.

ORCIO.

Kiedy spuszczę powieki, więcej widzę niż z otwartemi oczyma.

LEKARZ.

Myśl w nim ciało przepsuła — należy się bać katalepsii.

MĄŻ, (odprowadzając Lekarza na stronę.)

Wszystko co żądasz — pół mojego majątku.

LEKARZ.

Dezorganizacyja nie może się zreorganizować.

(Bierze kij i kapelusz.)

Najniższy sługa pana Hrabiego, muszę jechać zdjąć jednej pani kataraktę.

MĄŻ.

Zmiłuj się, nie opuszczaj nas jeszcze.

LEKARZ.

Może Pan ciekawy nazwiska tej choroby.

MĄŻ.

I żadnej, żadnej nie ma nadziei?

LEKARZ.

Zowie się po grecku, amavrosis.

(Wychodzi.)

MĄŻ (przyciskając syna do piersi.)

Ale ty widzisz jeszcze cokolwiek?

ORCIO.

Słyszę głos twój, Ojcze.

MĄŻ.

Spojrzyj w okno, tam słońce, pogoda.

ORCIO.

Pełno postaci mi się wije między źrzenicą a powieką — widzę twarze widziane, znajome miejsca — karty książek czytanych.

MĄŻ.

To widzisz jeszcze?

ORCIO.

Tak, oczyma duszy, lecz tamte pogasły.

MĄŻ (padając na kolana.)

(Chwila milczenia.)

Przed kim ukląkłem — gdzie mam się upomnieć o krzywdę mojego dziecka!

(Wstając.)

Milczmy raczej — Bóg się z modlitw, szatan z przekleństw śmieje.

GŁOS SKADSIŚ.

Twój syn poetą — czegoż żądasz więcej?

Lekarz. — Ojciec Chrzestny.

OJCIEC CHRZESTNY.

Zapewnie, to wielkie nieszczęście być ślepym.

LEKARZ.

I bardzo nadzwyczajne w tak młodym wieku.

OJCIEC CHRZESTNY.

Był zawsze słabej komplexyi, i matka jego umarła nieco..... tak.....

LEKARZ.

Jakto?

OJCIEC CHRZESTNY.

Poniekąd tak — Waćć Pan rozumiesz — bez piątej klepki.

MĄŻ (wchodzi.)

MĄŻ.

Przepraszam pana żem go prosił o tak późnej godzinie, ale od kilku dni mój biedny syn budzi się zawsze około dwunastej, wstaje i przez sen mówi — proszę za mną.

LEKARZ.

Chodźmy. — Jestem bardzo ciekawy owego fenomenu.

Pokój sypialny. — Służąca. — Krewni. — Ojciec Chrzestny. — Lekarz. — Mąż.

KREWNY.

Cicho.

DRUGI.

Obudził się, a nas nie słyszy.

LEKARZ.

Proszę Panów nic nie mówić.

OJCIEC CHRZESTNY.

To rzecz arcy-dziwna.

ORCIO (wstając.)

O Boże — Boże.

KREWNY.

Jak powoli stąpa.

DRUGI.

Jak trzyma ręce na piersiach.

TRZECI.

Nie mrugnie powieką — ledwo że usta roztwiera, a przecie głos ostry, przeciągły z nich się dobywa.

SŁUŻĄCY.

Jezusie Nazarański!

ORCIO.

Precz odemnie ciemności — jam się urodził synem światła i pieśni — co chcecie odemnie — czego żądacie odemnie.

Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wiatrami i goni gdzieś po przestrzeniach — ale on wróci kiedyś, bogaty w promienie gwiazd, i oczy moje rozogni płomieniem.

OJCIEC CHRZESTNY.

Tak jak nieboszczka, plecie sam nie wie co — to widok bardzo zastanawiający.

LEKARZ.

Zgadzam się z Panem Dobrodziejem.

MAMKA.

Najświętsza Panno Częstochowska, weź mi oczy i daj jemu.

ORCIO.

Matko moja, proszę cię, — matko moja, naślij mi teraz obrazów i myśli, bym żył wewnątrz, bym stworzył drugi świat w sobie, równy temu jaki postradałem.

KREWNY.

Co myślisz, bracie, to wymaga rady familijnej.

DRUGI.

Czekaj — cicho!

ORCIO.

Nie odpowiadasz mi — o matko! nieopuszczaj mnie.

LEKARZ (do męża.)

Obowiązkiem moim jest prawdę mówić.

OJCIEC CHRZESTNY.

Tak jest — to jest obowiązkiem — i zaletą lekarzy, Panie Konsyliarzu.

LEKARZ.

Pański syn ma pomieszanie zmysłów, połączone z nadzwyczajną drażliwością nerwów, co niekiedy sprawia, że tak powiem, stan snu i jawu zarazem, stan podobny do tego, który oczywiście tu napotykamy.

MĄŻ (na stronie.)

Boże, patrz, on Twoje sądy mi tłómaczy.

LEKARZ.

Chciałbym pióra i kałamarza. — Cerasis laurei: dwa grana etc. etc.

MĄŻ.

W tamtym pokoju Pan znajdziesz — proszę wszystkich by wyszli.

GŁOSY POMIESZANE.

Dobranoc — dobranoc — do jutra.

(Wychodzą.)

ORCIO (budząc się.)

Dobrej nocy mi życzą — mówcie o długiej nocy — o wiecznej może — ale nie o dobrej, nie o szczęśliwej.

MĄŻ.

Wesprzyj się na mnie, odprowadzę cię do łóżka.

ORCIO.

Ojcze, co to się ma znaczyć?

MĄŻ.

Okryj się dobrze, i zaśnij spokojnie, bo doktor mówi, że wzrok odzyskasz.

ORCIO.

Tak mi niedobrze — sen mi przerwały głosy czyjeś.

(Zasypia.)

MĄŻ.

Niech moje błogosławieństwo spoczywa na tobie — nic ci więcej dać nie mogę, ni szczęścia, ni światła, ni sławy, a dobija godzina, w której będę musiał walczyć, działać z kilkoma ludźmi, przeciwko wielu ludziom. — Gdzie się ty podziejesz, sam jeden i wśród stu przepaści, ślepy, bezsilny, dziecię i poeto zarazem, biedny śpiewaku bez słuchaczy, żyjący duszą za obrębem ziemi, a ciałem przykuty do ziemi, o ty nieszczęśliwy, najnieszczęśliwszy z aniołów, o ty mój synu.

MAMKA (u drzwi.)

P. Konsyliarz każe J. W. Pana prosić.

MĄŻ.

Dobra moja Katarzyno, zostań się przy małym.

(Wychodzi.)

III.

Do pieśni — do pieśni.

Kto ją zacznie, kto jej dokończy? — Dajcie mi przeszłość zbrojną w stal, powiewną rycerskiemi pióry. — Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze — rzucę cień katedr świętych na głowy wam. — Ale to nie to — tego już nigdy nie będzie.

Ktokolwiek jesteś, powiedz mi w co wierzysz — łatwiej byś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. Wstydźcie się, wstydźcie wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, mimo żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się, bawi się z wami, przerzuca, odrzuca — walcem świat się toczy, pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślisko, bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam.

Czy widzisz owe tłumy, stojące u bram miasta wśród wzgórz i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski długie, okryte mięsiwem i napojami, podparte pniami, drągami. — Kubek lata z rąk do rąk — a gdzie ust się dotknie, tam głos się wydobędzie, groźba, przysięga, lub przekleństwo. — On lata, zawraca, krąży, tańcuje, zawsze pełny, brzęcząc, błyszcząc wśród tysiąców. — Niechaj żyje kielich pijaństwa i pociechy.

Czy widzicie jak oni czekają niecierpliwie — szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują — wszyscy nędzni ze znojem na czole, z rozczochranemi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłoniami pomarszczonemi od trudu — ci trzymają kosy, owi potrząsają młotami, heblami — patrz — ten wysoki trzyma topór spuszczony — a tamten

stęplem żelaznym nad głową powija; dalej, w bok pod wierzbą, chłopie małe wisznię do ust kładzie, a długie szydło w prawej ręce ściska. — Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne jak oni, zwiędłe przed czasem, bez śladów piękności — na ich włosach kurzawa bitej drogi — na ich łonach poszarpane odzieże — w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku — ale wnet się ożywią — kubek lata wszędzie, obiega wszędzie. — Niech żyje kielich pijaństwa i pociechy.

Teraz szum wielki powstał w zgromadzeniu — czy to radość czy rozpacz? kto rozpozna jakie uczucie w głosach tysiąców? — Ten który nadszedł, wstąpił na stół, wskoczył na krzesło, i panuje nad nimi, mówi do nich. — Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny, — każde słowo rozeznasz, zrozumiesz — ruchy jego powolne, łatwe, wtorują słowom, jak muzyka pieśni — czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce niemasz, wszystkie wypadły strącone myślami — skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy koście i muszkuły — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje — nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach — oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy — chwili jednej zwątpienia, pomieszania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wytęży po nad niemi, schylają głowy, zda się, że wnet uklękną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca — precz z sercem, z przesądami, a niech żyje słowo pociechy i mordu.

To ich wściekłość, ich kochanie, to władzca ich dusz i zapału — on obiecuje im chleb i zarobek — krzyki się wzbiły, rozciągnęły, pękły po wszystkich stronach. — „Niech żyje Pankracy — chleba nam, chleba, chleba.“ A u stóp mówcy, opiera się na stole przyjaciel, czy towarzysz czy sługa.

Oko wschodnie, czarne, cieniowane długiemi rzęsy — ramiona obwisłe, nogi uginające się, ciało niedołężne w bok schylone — na ustach coś lubieżnego, coś złośliwego —

na palcach złote pierścienie — i on także głosem chrapliwym woła. — „Niech żyje Pankracy.“ — Mówca ku niemu na chwilę wzrok obrócił. — „Obywatelu przechrzto, podaj mi chustkę.“

Tymczasem trwają poklaski i wrzaski. — „Chleba nam, chleba, chleba. — Śmierć panom, śmierć kupcom — chleba, chleba.“

Szałas. — Lamp kilka. — Księga roztwarta na stole. — Przechrzty.

PRZECHRZTA.

Bracia moi podli, bracia moi mściwi, bracia kochani, ssajmy karty Talmudu jako pierś mleczną, pierś żywotną, z której siła i miód płynie dla nas, dla nich gorycz i trucizna.

CHÓR PRZECHRZTÓW.

Jehowa Pan nasz, a nikt inny. — On nas porozrzucał wszędzie, On nami gdyby splotami niezmiernej gadziny oplótł świat czcicielów Krzyża, panów naszych, dumnych, głupich, niepiśmiennych. — Potrzykroć pluńmy na zgubę im — potrzykroć przekleństwo im.

PRZECHRZTA.

Cieszmy się bracia moi — Krzyż, wróg, nasz podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą krwi, a jak raz się powali niepowstanie więcej. — Dotąd pany go bronią.

CHÓR.

Dopełnia się praca wieków, praca nasza markotna, bolesna, zawzięta — potrzykroć pluńmy na zgubę im — potrzykroć przekleństwo im.

PRZECHRZTA.

Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie, osadzim potęgę Izraela — tylko tych panów kilku — tych kilku jeszcze zepchnąć w dół — trupy ich przysypać rozwalinami Krzyża.

CHÓR.

Krzyż znamię święte nasze — woda chrztu połączyła nas z ludźmi — uwierzyli pogardzający miłości pogardzonych.

Wolność ludzi prawo nasze — dobro ludu cel nasz — uwierzyli synowie Chrześcian w synów Kaifasza. — Przed wiekami, wroga umęczyli ojcowie nasi — my go na nowo dziś męczym, i niezmartwychwstanie więcej.

PRZECHRZTA.

Chwil kilka jeszcze, jadu żmii kropel kilka jeszcze — a świat nasz, nasz, o bracia moi.

CHÓR.

Jehowa Pan Izraela, a nikt inny. Potrzykroć plunmy na zgubę ludom — potrzykroć przekleństwo im.

(Słychać stukanie.)

PRZECHRZTA.

Do roboty waszej — a ty, święta księgo, precz ztąd, by wzrok przeklętego niezbrudził kart twoich.

(Talmud chowa).

Kto tam?

GŁOS Z ZA DRZWI.

Swój. — W imieniu Wolności otwieraj.

PRZECHRZTA.

Bracia, do młotów i powrozów.

(Otwiera.)

LEONARD (wchodząc).

Dobrze, obywatele, że czuwacie i ostrzycie puginały na jutro.

(Do jednego z nich przystępuje).

A ty co robisz w tym kącie.

JEDEN Z PRZECHRZTÓW.

Stryczki, Obywatelu.

LEONARD.

Masz rozum, bracie — kto od żelaza niepadnie w boju, ten na gałęzi skona.

PRZECHRZTA.

Miły Obywatelu Leonardzie, czy sprawa pewna na jutro?

LEONARD.

Ten, który myśli i czuje najpotężniej z nas wszystkich, wzywa cię na rozmowę przezemnie. — On ci sam na to pytanie odpowie.

PRZECHRZTA.

Idę — a wy nieustawajcie w pracy. — Jankielu, pilnuj ich dobrze.

(Wychodzi z Leonardem).

CHÓR PRZECHRZTÓW.

Powrozy i sztylety, kije i pałasze, rąk naszych dzieło, wyjdziecie na zatratę im — oni panów zabiją po błoniach — rozwieszą po ogrodach i borach — a my ich potem za-

bijem, powiesim. — Pogardzeni wstaną w gniewie swoim, w chwałę Jehowy się ustroją; słowo Jego zbawienie, miłość jego dla nas, zniszczeniem dla wszystkich. Pluńmy po trzykroć na zgubę im, potrzykroć przekleństwo im.

Namiot. — Porozrzucane butelki, kielichy.

PANKRACY.

Piędziesięciu hulało tu przed chwilą, i za każdem słowem mojem krzyczało — Vivat — czy choć jeden zrozumiał myśli moje? pojął koniec drogi, u początku której hałasuje? — ach! *fervide imitatorum pecus.*

(Wchodzi Leonard i Przechrzta.)

Czy znasz Hrabiego Henryka?

PRZECHRZTA.

Wielki obywatelu, z widzenia raczej niż z rozmowy — raz tylko pamiętam, przechodząc na Boże ciało krzyknął mi — „ustąp się“ — i spojrzał na mnie wzrokiem pana — za co mu ślubowałem stryczek w duszy mojej.

PANKRACY.

Jutro jak najraniej wybierzesz się do niego i oświadczysz, że chcę się z nim widzieć osobiście, potajemnie, pojutrze w nocy.

PRZECHRZTA.

Wiele mi dasz ludzi, bo nieostrożnie byłoby się puszczać samemu.

PANKRACY.

Puścisz się sam, moje imie strażą twoją — szubienica na której powiesiliście Barona zawczoraj, plecami twemi.

PRZECHRZTA.

Aj waj!

PANKRACY.

Powiesz, że przyjdę do niego o dwunastej w nocy, pojutrze.

PRZECHRZTA.

A jak mnie każe zamknąć lub obije?

PANKRACY.

To będziesz męczennikiem za Wolność Ludu.

PRZECHRZTA.

Wszystko, wszystko za Wolność Ludu.

(Na stronie.)

Aj waj.

PANKRACY.

Dobranoc Obywatelu.

(Przechrzta wychodzi.)

LEONARD.

Na co ta odwłoka, te półśrodki, układy — rozmowy — kiedym przysiągł uwielbiać i słuchać ciebie, to że cię miałem za bohatera ostateczności, za orła lecącego wprost do celu, za człowieka stawiającego siebie i swoich wszystkich na jedną kartę.

PANKRACY.

Milcz, dziecko.

LEONARD.

Wszyscy gotowi — przechrzty broń ukuli i powrozów nasnuli — tłumy krzyczą, wołają o rozkaz; daj rozkaz, a on pójdzie jak iskra, jak błyskawica, i w płomień się zmieni, i przejdzie w grom.

PANKRACY.

Krew ci bije do głowy — to konieczność lat twoich, a z nią walczyć nie umiesz, i to nazywasz zapałem.

LEONARD.

Rozważ, co czynisz. Arystokraty w bezsilności swojej zawarli się w Św. Trójcy i czekają naszego przybycia jak noża gilotyny. Naprzód, Mistrzu, bez zwłoki naprzód, i po nich.

PANKRACY.

Wszystko jedno — oni stracili siły ciała w roskoszach, siły rozumu w próżniactwie — jutro czy pojutrze legnąć muszą.

LEONARD.

Kogóż się boisz — któż cię wstrzymuje.

PANKRACY.

Nikt — jedno wola moja.

LEONARD.

I na ślepo jej mam wierzyć?

PANKRACY.

Zaprawdę ci powiadam — na ślepo.

LEONARD.

Ty nas zdradzasz.

PANKRACY.

Jak zwrótka u pieśni, tak zdrada u końca każdej mowy twojej — nie krzycz, bo gdyby nas kto podsłuchał.....

LEONARD.

Tu szpiegów nie ma, a potem cóż?.....

PANKRACY.

Nic — tylko pięć kul w twoich piersiach, za to żeś śmiał głos podnieść o ton jeden wyżej w mojej przytomności.

(przystępuje do niego).

Wierz mi — daj sobie pokój.

LEONARD.

Uniosłem się, przyznaję — ale nie boję się kary. — Jeśli śmierć moja za przykład służyć może, sprawie naszej hartu i powagi dodać, rozkaż.

PANKRACY.

Jesteś żywy, pełen nadziei i wierzysz głęboko — najszczęśliwszy z ludzi, nie chcę pozbawiać cię życia.

LEONARD.

Co mówisz?

PANKRACY.

Myśl więcej, gadaj mniej, a kiedyś mnie zrozumiesz. — Czy posłałeś do magazynu po dwa tysiące ładunków?

LEONARD.

Posłałem Dejca z oddziałem.

PANKRACY.

A składka szewców oddana do kassy naszej?

LEONARD.

Z najszczerszym zapałem się złożyli co do jednego, i przynieśli sto tysięcy.

PANKRACY.

Jutro zaproszę ich na wieczerzę. — Czy słyszałeś co nowego o hrabim Henryku?

LEONARD.

Pogardzam za nadto panami, bym wierzył temu co o nim mówią — upadające rasy energii nie mają — mieć nie powinny, nie mogą.

PANKRACY.

On jednak zbiera swoich włościan i zaufany w ich

przywiązaniu gotuje się iść na odsiecz zamkowi Świętej Trójcy.

LEONARD.

Kto nam zdoła się oprzeć — przecię w nas wcieliła się Idea wieku naszego.

PANKRACY.

Ja chcę go widzieć — spojrzeć mu w oczy — przeniknąć do głębi serca — przeciągnąć na naszą stronę.

LEONARD.

Zabity Arystokrata.

PANKRACY.

Ale poeta zarazem. — Teraz zostaw mnie samym.

LEONARD.

Przebaczasz mi, Obywatelu?

PANKRACY.

Zaśnij spokojnie — gdybym ci nie przebaczył, jużbyś zasnął na wieki.

LEONARD.

Jutro nie będzie?

PANKRACY.

Dobrej nocy i miłego marzenia.

(Leonard wychodzi).

Hej Leonardzie!

LEONARD, (wracając).

Obywatelu Wodzu.

PANKRACY.

Pojutrze w nocy pójdziesz ze mną do hrabiego Henryka.

LEONARD.

Słyszałem.

(wychodzi).

PANKRACY.

Dla czegoż mnie. wodzowi tysiąców, ten jeden człowiek na zawadzie stoi? — siły jego małe w porównaniu z mojemi — kilka set chłopów ślepo wierzących jego słowu, przywiązanych miłością swojskich zwierząt..... To nędza, to zero. — Czemuż tak pragnę go widzieć, omamić— czyż duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał? — Ostatnia to zapora dla mnie na tych równinach — trza ją obalić, a potem..... Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie jako drugich łudzisz — wstydź się,

przecię ty znasz swój cel, ty jesteś myślą — panią ludu — w tobie się zeszła wola i potęga wszystkich — i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie — ludziom podłym, nieznanym, nadałaś imiona — ludziom bez czucia, wiarę nadałaś — świat na podobieństwo swoje — świat nowy utworzyłaś na około siebie — a sama błąkasz się i niewiesz czem jesteś. — Nie, nie, nie, — ty jesteś wielką.

(pada na krzesło i duma).

Bór. — Porozwieszane płótna po drzewach. — W środku łąka, na które stoi szubienica. — Szałasy. — Namioty. — Ogniska. — Beczki. — Tłumy ludzi.

MĄŻ, (przebrany, w czarnym płaszczu, z czapką czerwoną Wolności na głowie, wchodzi, trzymając Przechrztę za ramię).

Pamiętaj.

PRZECHRZTA, (po cichu).

J. W. Panie, odprowadzę cię — nie wydam cię, na honor.

MĄŻ.

Mrugnij okiem, palec podnieś, a w łeb ci strzelę — możesz się domyślić, że niedbam o życie twoje..... kiedym własne na to odważył.

PRZECHRZTA.

Aj waj — żelaznemi kleszczami dłoń mi ściskasz — cóż mam robić!

MĄŻ.

Mów ze mną jak ze znajomym, z przyjacielem nowo przybyłym — cóż to za taniec?

PRZECHRZTA.

Taniec wolnych ludzi.

(tańcują mężczyźni i kobiety w około szubienicy i śpiewają).

CHÓR.

Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie — Hura — Hura!

Bóg nad nami nie miał litości — Hura Hura.

Królowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura.

Panowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura.

My dziś Bogu, królom i panom za służbę podziękujem — Hura — Hura.

MĄŻ, (do dziewczyny).

Cieszy mnie żeś tak rumiana i wesoła.

DZIEWCZYNA.

A dyć tośmy długo na taki dzień czekały — juści

ja myłam talerze, widelce szorowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas bym jadła sama — tańcowała sama — Hura.

MĄŻ.

Tańcuj, Obywatelko.

PRZECHRZTA, (cicho).

Zmiłuj się, JW. Panie — ktoś może cię poznać — wychodźmy.

MĄŻ.

Jeśli kto mnie pozna, toś zginął — — idźmy dalej.

PRZECHRZTA.

Pod tym dębem siedzi klub Lokai.

MĄŻ.

Przybliżmy się.

PIERWSZY LOKAJ.

Jużem ubił mojego dawnego Pana.

DRUGI LOKAJ.

Ja szukam dotąd mojego Barona — zdrowie twoje.

KAMERDYNER.

Obywatele, schyleni nad prawidłem w pocie i poniżeniu, glancując buty, strzyżąc włosy, poczuliśmy prawa nasze, — zdrowie klubu całego.

CHÓR LOKAI.

Zdrowie Prezesa — on nas powiedzie drogą honoru.

KAMERDYNER.

Dziękuję, obywatele.

CHÓR LOKAI.

Z przedpokojów, więzień naszych, razem, zgodnie, jednym wypadliśmy rzutem. — Vivat. — Salonów znamy śmieszności i wszeteczności. — Vivat — Vivat.

MĄŻ.

Cóż to za głosy, twardsze i dziksze, wychodzące z tej gęstwiny na lewo.

PRZECHRZTA.

To chór rzeźników, JW. Panie.

CHÓR RZEŹNIKÓW.

Obuch i nóż, to broń nasza — szlachtuz, to życie nasze. — Nam jedno czy bydło, czy panów rznąć.

Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na drugich słab-

szych i bielszych — kto nas powoła ten nas ma — dla panów woły, dla ludu panów bić będziem.

Obuch i nóż broń nasza — szlachtuz życie nasze — szlachtuz — szlachtuz — szlachtuz.

MĄŻ

Tych lubię — przynajmniej nie wspominają ani o honorze, ani o filozofii — dobry wieczór Pani.

PRZECHRZTA, (cicho).

JW. Panie, mów Obywatelko — lub wolna kobieto.

KOBIETA.

Cóż znaczy ten tytuł, skąd się wyrwał — fe — fe — cuchniesz starzyzną.

MĄŻ.

Język mi się zaplątał.

KOBIETA.

Jestem swobodną jako ty, niewiastą wolną, a towarzystwu za to że mi prawa przyznało, rozdaję miłość moją.

MĄŻ

Towarzystwo znów za to ci dało te pierścienie i ten łańcuch ametystowy. — Oh! podwójnie dobroczynne towarzystwo!

KOBIETA.

Nie, te drobnostki zdarłam przed wyzwoleniem mojem — z męża mego, wroga mego, wroga wolności, który mnie trzymał na uwięzi.

MĄŻ

Życzę Obywatelce miłej przechadzki.

(przechodzi.)

Któż jest ten dziwny żołnierz — oparty na szabli obosiecznej, z główką trupią na czapce, z drugą na felcechu, z trzecią na piersiach? — Czy to nie sławny Blanchetti, taki dziś kondotier ludów, jako dawniej bywali kondotiery książąt i rządów.

PRZECHRZTA.

On sam, JW. Panie — dopiero od tygodnia do nas przybyły.

MĄŻ.

Nad czem tak zamyślał się Generał?

BLANCHETTI.

Widzicie, obywatele, ową lukę między jaworami —

patrzcie dobrze — dojrzycie tam na górze zamek — doskonale widzę przez moją lunetę mury, okopy i cztery bastiony.

MĄŻ.

Trudno go opanować.

BLANCHETTI.

Tysiąc tysięcy królów! — można obejść jarem, podkopać się i.....

PRZECHRZTA, (mrugając).

Obywatelu Generale.

MĄŻ (po cichu).

Czujesz ten kurek odwiedziony pod moim płaszczem?

PRZECHRZTA, (na stronie).

Aj waj.

(głośno).

Jakżeś więc to ułożył, obywatelu Generale.

BLANCHETTI, (zadumany).

Chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście moimi braćmi w geniuszu — po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach.

(odchodzi).

MĄŻ, (do Przechrzty).

Radzę wam go zabijcie, bo tak się poczyna każda Arystokracya.

RZEMIEŚLNIK.

Przeklęstwo — Przeklęstwo.

MĄŻ.

Cóż robisz pod tym drzewem, biedny człowiecze — czemu patrzysz tak dziko i mgławo?

RZEMIEŚLNIK.

Przeklęstwo kupcom, dyrektorom fabryki — najlepsze lata w których inni ludzie kochają dziewczyny, biją się na otwartem polu, żeglują po otwartych morzach, ja prześlęczałem w ciasnej komorze, nad warsztatem jedwabiu.

MĄŻ.

Wychylże czarę którą trzymasz w dłoni.

RZEMIEŚLNIK.

Sił nie mam — podnieść do ust nie mogę — ledwo się tutaj przyczołgałem, ale dla mnie już nie zaświta dzień

wolności — przeklęstwo kupcom, co jedwab' sprzedają i panom, co noszą jedwabie.

(Umiera).

PRZECHRZTA.

Jaki brzydki trup.

MĄŻ.

Tchórzu wolności, obywatelu Przechrzto, patrz na tę głowę bez życia, pływającą w pokrwawie zachodzącego słońca.

Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice — równość, — doskonałość i szczęście rodu ludzkiego?

PRZECHRZTA, (na stronie).

Bodajbyś także zawcześnie zdechł, i ciało twoje psy rozszarpały na sztuki.

(Głośno).

Puszczaj mnie — muszę zdać sprawę z mojego poselstwa.

MĄŻ.

Powiesz żem cię miał za szpiega i dla tego zatrzymał.

(Obziera się na około).

Odgłosy biesiady głuchną z tyłu — przed nami już same tylko sosny i świerki, oblane promieńmi wieczoru.

PRZECHRZTA.

Nad drzewami skupiają się chmury — lepiej byś wrócił do swoich ludzi, którzy i tak już oddawna czekają na ciebie w jarze Świętego Ignacego.

MĄŻ.

Dzięki ci za troskliwość, Mości Żydzie — nazad — chcę obywateli raz jeszcze w zmierzchu obejrzeć.

GŁOS POMIĘDZY DRZEWAMI.

Syn Chamów dobranoc zasyła staremu słonku.

GŁOS Z PRAWEJ.

Zdrowie twoje, dawny wrogu nasz, coś nas pędził do pracy i znoju — jutro wschodząc zastaniesz twoich niewolników przy mięsiwie i konwiach — a teraz, szklanko, idź do czarta!

PRZECHRZTA.

Orszak chłopów tu ciągnie.

MĄŻ.

Nie wyrwiesz się — stój za tym pniem i milcz.

CHÓR CHŁOPÓW.

Naprzód, naprzód, pod namioty, do braci naszych — naprzód, naprzód, pod cień jaworów, na sen, na miłą wieczorną gawędkę — tam dziewki nas czekają — tam woły pobite, dawne pługów zaprzęgi czekają nas.

GŁOS JEDEN.

Ciągnę go i wlokę, zżyma się i opiera — idź w rekruty — idź.

GŁOS PANA.

Dzieci moje, litości, litości.

GŁOS DRUGI.

Wróć mi wszystkie dni pańszczyzny.

GŁOS TRZECI.

Wskrześ mi syna, Panie, z pod batogów kozackich.

GŁOS CZWARTY.

Chamy piją zdrowie twoje, Panie — przepraszają cię, Panie.

CHÓR CHŁOPÓW (przechodząc).

Upiór ssał krew i poty nasze — mamy upiora — nie puścim upiora — przez biesa, przez biesa, ty zginiesz wysoko, jako pan, jako wielki pan, wzniesion nad nami wszystkimi. — Panom tyranom śmierć — nam biednym, nam głodnym, nam strudzonym, jeść, spać i pić. — Jako snopy na polu tak ich trupy będą — jako plewy w młockarniach tak perzyny ich zamków — przez kosy nasze, siekiery i cepy, bracia, naprzód.

MĄŻ.

Nie mogłem twarzy dojrzeć wśród zastępów.

PRZECHRZTA.

Może jaki przyjaciel lub krewny JWgo.

MĄŻ.

Nim pogardzam, a was nienawidzę — poezya to wszystko ozłoci kiedyś — dalej, żydzie — dalej.

(Zapuszcza się w krzaki).

Inna część boru. — Wzgórze z rozpalonemi ogniami. — Zgromadzenie ludzi przy pochodniach.

MĄŻ, (na dole wysuwając się z za drzew z Przechrztą).

Gałęzie podarły na łachmany moją czapkę wolności.—

A to co za piekło z rudawych płomieni wznoszące się wśród tych dwóch ścian lasu, tych dwóch nawałów ciemności?

PRZECHRZTA.

Zabłądziliśmy szukając wąwozu Świętego Ignacego — nazad w krzaki, bo tu Leonard odprawia obrzędy nowej wiary.

MĄŻ, (wstępując)

Przez Boga, naprzód — tegom żądał właśnie, nie lękaj się, nikt nas nie pozna.

PRZECHRZTA.

Ostrożnie — powoli.

MĄŻ.

Wszędzie rozwaliny jakiegoś ogromu który musiał wieki przetrwać nim runął — filary, podnóża, kapitele — ćwiertowane posągi, rozrzucone floresy któremi oplatano starodawne sklepienia — teraz mi pod stopą zamignęła stłuczona szyba — zda mi się że twarz Bogarodzicy na chwilę wyjrzała z cieniu i znów tam ciemno — tu, patrz, cała arkada leży — tu krata żelazna zasypana gruzem— z góry lunął błysk pochodni — widzę pół rycerza śpiącego na połowie grobu — gdzież jestem, przewodniku?

PRZECHRZTA

Nasi ludzie krwawo pracowali przez czterdzieści dni i nocy, raz wreszcie zburzyli ostatni kościół — na tych równinach. — Teraz właśnie cmentarz mijamy.

MĄŻ.

Wasze pieśni, ludzie nowi, gorzko brzmią w moich uszach — czarne postacie, z tyłu, z przodu, po bokach się cisną, a pędzone wiatrem blaski i cienie przechadzają się po tłumie jak żyjące duchy.

PRZECHODZĄCY.

W imieniu Wolności pozdrawiam was obu.

DRUGI.

Przez śmierć panów witam was obu.

TRZECI.

Czego się nie spieszycie, tam śpiewają kapłani Wolności.

PRZECHRZTA.

Niepodobna się oprzeć — zewsząd nas pchają.

MĄŻ.

Któż jest ten młody człowiek na gruzach przybytku

stojący — trzy ogniska palą się pod nim, wśród dymu i łuny, twarz jego płonie, głos jego brzmi szaleństwem.

PRZECHRZTA.

To Leonard, prorok natchnięty Wolności — na około stoją nasze kapłany, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki.

MĄŻ.

Ha! wasza arystokracya — pokaż mi tego który cię przysłał.

PRZECHRZTA.

Nie widzę go tutaj.

LEONARD.

Dajcie mi ją do ust, do piersi, w objęcia, dajcie piękną moją, niepodległą, wyzwoloną, obnażoną z zasłon i przesądów, wybraną z pośród córek Wolności, oblubienicę moją.

GŁOS DZIEWICY.

Wyrywam się do ciebie, mój kochanku.

DRUGI GŁOS.

Patrz, ramiona wyciągam do ciebie — upadłam z niemocy — tarzam się po zgliszczach, kochanku mój.

TRZECI GŁOS.

Wyprzedziłam je — przez popiół i żar, ogień i dym, stąpam ku tobie, kochanku mój.

MĄŻ.

Z rozpuszczonym włosem, z dyszącą piersią wdziera się na gruzy namiętnemi podrzuty.

PRZECHRZTA.

Tak co noc bywa.

LEONARD.

Do mnie, do mnie, o rozkoszo moja — córo Wolności.— Ty drżysz w boskim szale, natchnienie ogarnij mą duszę— słuchajcie wszyscy — teraz wam prorokować będę.

MĄŻ.

Głowę pochyliła, mdleje.

LEONARD.

My oboje obrazem rodu ludzkiego, wyzwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. — Chwała nam, bośmy członki Jego rozerwali, teraz proch i pył z nich, — a duch jego zwyciężyli naszemi duchami — duch Jego zstąpił do nicości.

CHÓR NIEWIAST.

Szczęśliwa, szczęśliwa oblubienica Proroka — my tu na dole stoimy i zazdrościm jej chwały.

LEONARD.

Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebiosa. Panie swobody i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemięzcy, twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare łzy i cierpienia rodu ludzkiego — życiem jego odtąd, szczęście — prawem jego, równość — a kto inne tworzy, temu stryczek i przekleństwo.

CHÓR MĘŻÓW.

Rozpadła się budowa ucisku i dumy, — kto z niej choć kamyczek podniesie, temu śmierć i przekleństwo.

PRZECHRZTA, (na stronie).

Bluźnierce Jehowy, po trzykroć pluję na zgubę wam.

MĄŻ.

Orle, dotrzymaj obietnicy, a ja tu na ich karkach nowy kościół Chrystusowi postawię.

POMIESZANE GŁOSY.

Wolność — szczęście — hura — hejże — rykacha— hurracha — hurracha.

CHÓR KAPŁANÓW.

Gdzie Pany, gdzie króle, co niedawno przechadzali się po ziemi, w berłach i koronach, w dumie i gniewie?

ZABÓJCA.

Ja zabiłem króla Alexandra.

DRUGI.

Ja króla Henryka.

TRZECI.

Ja króla Emanuela.

LEONARD.

Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów — boście wybrani z wybranych, święci wśród najświętszych, — boście męczennikami — bohaterami Wolności.

CHÓR ZABÓJCÓW.

Pójdziemy nocą ciemną, sztylety ściskając w dłoniach, pójdziemy, pójdziemy.

LEONARD.

Obudź się, urodziwa moja.

(Grzmot słychać).

Nuż odpowiedźcie żyjącemu Bogu — wznieście pieśni wasze — chodźcie za mną wszyscy, wszyscy, jeszcze raz obejdziem i zdepcem świątynię umarłego Boga.

A ty podnieś głowę — powstań i obudź się.

DZIEWICA.

Pałam miłością ku tobie i Bogu twemu, światu całemu miłość rozdam moją — płonę — płonę.

MĄŻ.

Ktoś mu zabiegł — padł na kolana — mocuje się sam z sobą, coś bełkoce, coś jęczy.

PRZECHRZTA.

Widzę, widzę, to syn sławnego Filozofa.

LEONARD.

Czego żądasz, Hermanie.

HERMAN.

Arcykapłanie, daj mi święcenie zbójeckie.

LEONARD, (do kapłanów).

Podajcie mi olej, sztylet i truciznę.

(Do Hermana)

Olejem, którym dawniej namaszczono królów, na zgubę królom namaszczam cię dzisiaj — broń dawnych rycerzy i panów, na zatratę panów kładę w ręce twoje — na twych piersiach zawieszam medalion pełny trucizny — tam gdzie twoje żelazo nie dojdzie, niech ona żre i pali wnętrzności tyranów. — Idź i niszcz stare pokolenia po wszech stronach świata.

MĄŻ.

Ruszył z miejsca i na czele orszaku ciągnie po wzgórzu.

PRZECHRZTA.

Usuńmy się z drogi.

MĄŻ.

Nie — chcę tego snu dokończyć.

PRZECHRZTA.

Potrzykroć pluję na ciebie.

(Do męża.)

Leonard może mnie poznać, JW. Panie — patrz jaki nóż wisi na jego piersiach.

MĄŻ.

Zakryj się płaszczem moim. — Co to za niewiasty przed nami tańcują?

PRZECHRZTA.

Hrabiny i księżniczki, które porzuciwszy mężów przeszły na wiarę naszą.

MĄŻ.

Niegdyś anioły moje. — Pospólstwo go zewsząd oblało — zginął mi w natłoku — jedno po muzyce poznaję, że się od nas oddala — chodź za mną — ztamtąd lepiej nam patrzeć będzie.

(Wdziera się na odłamek muru.)

PRZECHRZTA.

Aj waj, aj waj, każdy nas tu spostrzeże.

MĄŻ.

Widzę go znowu — drugie niewiasty cisną się za nim, blade, obłąkane, w konwulsyach. Syn filozofa pieni się i potrząsa sztyletem. — Dochodzą teraz do ruin wieży północnej.

Stanęli — pląsają na gruzach — rozrywają nieobalone arkady — sypią iskrami na leżące ołtarze i krzyże — płomień się zajmuje, i gna słupy dymu przed sobą — biada wam — biada.

LEONARD.

Biada ludziom, którzy dotąd się kłaniają umarłemu Bogu.

MĄŻ.

Czarne bałwany nawracają się ku nam i pędzą.

PRZECHRZTA.

O Abrahamie!

MĄŻ.

Orle, wszak moja godzina nie tak bliska jeszcze?

PRZECHRZTA.

Już po nas.

LEONARD, (przechodząc zatrzymuje się.)

Coś ty za jeden, bracie, z taką dumną twarzą? — czemu nie łączysz się z nami?

MĄŻ.

Spieszę z daleka na odgłos waszego powstania. — Jestem morderca klubu hiszpańskiego i dopiero dziś przybyłem.

LEONARD.

A ten drugi po co się w zwojach płaszcza twego kryje.

MĄŻ.

To mój brat młodszy — ślubował, że twarzy ludziom nie ukaże, nim zabije przynajmniej Barona.

LEONARD.

Ty sam czyją śmiercią się chlubisz?

MĄŻ.

Na dwa dni tylko, przed wybraniem się w drogę, starsi bracia dali mi święcenie.

LEONARD.

Kogóż masz na myśli?

MĄŻ.

Ciebie pierwszego, jeśli się nam sprzeniewierzysz.

LEONARD.

Bracie, na ten użytek weź sztylet mój.

(Wyciąga sztylet z pod pasa).

MĄŻ, (dobywa swojego sztyletu.)

Bracie, na ten użytek i mojego wystarczy.

GŁOSY LUDZI.

Niech żyje Leonard — niech żyje morderca hiszpański.

LEONARD.

Jutro staw się u namiotu Obywatela wodza.

CHÓR KAPŁANÓW.

Pozdrawiamy cię gościu, imieniem ducha Wolności — w ręku twojem część naszego zbawienia. — Kto walczy bez ustanku, morduje bez słabości, kto dniem i nocą wierzy zwycięztwu, ten zwycięży wreszcie.

(Przechodzą.)

CHÓR FILOZOFÓW.

My ród ludzki dźwignęli z dzieciństwa. — My prawdę z łona ciemności wyrwali na jaśnią. — Ty za nią walcz, morduj i giń.

(Przechodzą.)

SYN FILOZOFA.

Towarzyszu bracie, czaszką starego świętego piję zdrowie twoje — do widzenia.

(Rzuca czaszkę.)

DZIEWCZYNA, (tańcując.)

Zabij dla mnie Księcia Jana.

DRUGA.

Dla mnie Hrabiego Henryka.

DZIECI.

Prosimy cię ślicznie o głowę arystokraty.

INNI.

Szczęść się twojemu sztyletowi.

CHÓR ARTYSTÓW.

Na ruinach gotyckich, świątynię zbudujem tu nową — obrazów w niej, ni posągów nie ma — sklepienie w długie puginały, filary w ośm głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy z których się krew sączy — ołtarz jeden biały — znak jeden na nim — czapka Wolności — Hurracha.

INNI.

Dalej, dalej, już brzask świta.

PRZECHRZTA.

Rychło nas powieszą — gdzie szubienica.

MĄŻ.

Cicho, żydzie — Lecą za Leonardem, nie patrzą już na nas. — Ogarniam wzrokiem, raz ostatni podchwytuję myślą ten chaos dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich — gnane szałem, porwane rozpaczą, myśli moje w całej sile swej kołują.

Boże, daj mi potęgę, której nie odmawiałeś mi niegdyś — a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam niepojmuje. — Lecz to słowo moje będzie poezyą całej przyszłości.

GŁOS W POWIETRZU.

Dramat układasz.

MĄŻ.

Dzięki za radę. — Zemsta za zhańbione popioły ojców moich — przekleństwo nowym pokoleniom — ich wir mnie otacza — ale nie porwie za sobą. — Orle, Orle, dotrzymaj obietnicy. — A teraz na dół ze mną i do jaru Świętego Ignacego.

PRZECHRZTA.

Już dzień bliski — nie pójdę dalej.

MĄŻ.

Drogę mi znajdź, puszczę cię potem.

PRZECHRZTA.

Wśród mgły i zwalisk, cierni i popiołów, gdzie mnie wleczesz — daruj mi, daruj.

MĄŻ.

Naprzód, naprzód, i na dół ze mną — ostatnie pieśni ludu konają za nami — ledwie gdzie jeszcze tli się pochodnia — pośród tych wyziewów bladych, tych zroszonych drzew, czy widzisz cienie przeszłości, czy słyszysz te żałobne głosy?

PRZECHRZTA.

Mgła wszystko zalewa — coraz bardziej zlatujemy w dół.

CHÓR DUCHÓW Z LASU.

Płaczmy za Chrystusem, za Chrystusem wygnanym, umęczonym — Gdzie Bóg nasz, gdzie kościół Jego?

MĄŻ.

Prędzej, prędzej do miecza, do boju. — Ja Go wam oddam — na tysiącach krzyżów rozkrzyżuję nieprzyjaciół Jego.

CHÓR DUCHÓW.

Strzegliśmy ołtarzy i pomników świętych — odgłos dzwonów na skrzydłach nosiliśmy wiernym — w dźwiękach organów były głosy nasze — w połyskach szyb katedry, w cieniach jej filarów, w blaskach puharu świętego w błogosławieństwie Ciała Pańskiego, było życie nasze. Teraz, gdzie się podziejemy?

MĄŻ.

Rozwidnia się coraz bardziej — ich postacie mdleją w promieniach zorzy.

PRZECHRZTA.

Tędy droga twoja, tam jaru początek.

MĄŻ.

Hej! — Jezus i szabla moja.

(Zrzucając czapkę i zawijając w niej pieniądze.)

Weź na pamiątkę rzecz i godło zarazem.

PRZECHRZTA.

Wszak zaręczyłeś mi słowem, JW. Panie, bezpieczeństwo tego, który dziś o północy....

MĄŻ.

Stary szlachcic dwa razy nie powtarza słowa. — Jezus i szabla moja.

GŁOSY W KRZAKACH.

Marya i szabla nasza — niech pan nasz żyje.

MĄŻ.

Wiara! do mnie — bądź zdrów, obywatelu.

Wiara! do mnie — Jezus i Marya.

Noc. — Krzaki. — Drzewa.

PANKRACY, (do swoich ludzi.)

Położyć się twarzą do murawy — leżeć w milczeniu — ognia mi nie krzesać, nawet do fajki — a za pierwszym strzałem skoczyć mi na pomoc. — Jeśli strzału nie będzie, nie ruszać się do dnia białego.

LEONARD.

Obywatelu, raz cię jeszcze zaklinam.

PANKRACY.

Ty przylep się do tej sosny i dumaj.

LEONARD.

Mnie jednego przynajmniej weź z sobą — to pan, to arystokrata, to kłamca.

PANKRACY, (wskazując mu ręką by został.)

Stara szlachta słowa dotrzymuje czasem.

Komnata podłużna. — Obrazy dam i rycerzy porozwieszane po ścianach. — W głębi filar z tarczą herbowną. — Mąż siedzi przy stoliku marmurowym, na którym lampa, para pistoletów, palasz i zegar. — Naprzeciwko drugi stolik, srebrne konwie i puhary.

MĄŻ.

Niegdyś o tej samej porze wśród grożących niebezpieczeństw i podobnych myśli, Brutusowi ukazał się Geniusz Cezara.

I ja dziś czekam na podobne widzenie. — Za chwilę stanie przedemną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża, — co wydobył się z nicości i zacznie może nową epokę, jeśli go w tył nie odrzucę nazad, nie strącę do nicości.

Ojcowie moi, natchnijcie mnie tem co was panami świata uczyniło — wszystkie lwie serca wasze dajcie mi

do piersi — powaga skroni waszych niechaj się zleje na czoło moje. — Wiara w Chrystusa i Kościół Jego, ślepa, nieubłagana, wrząca, natchnienie dzieł waszych na ziemi, nadzieja chwały nieśmiertelnej w niebie, niechaj zstąpi na mnie, a wrogów będę mordował i palił, ja syn stu pokoleń, ostatni dziedzic waszych myśli i dzielności, waszych cnót i błędów.

(Bije dwunasta.)

Teraz gotów jestem.

(Wstaje.)

SŁUGA ZBROJNY, (wchodząc.)

JW. Panie, człowiek który miał się stawić, przybył i czeka.

MĄŻ.

Niech wejdzie.

(Sługa wychodzi.)

PANKRACY, (wchodząc.)

Witam Hrabiego Henryka. — To słowo Hrabia dziwnie brzmi w gardle mojem.

(Siada, zrzuca płaszcz i czapkę Wolności, i wlepia oczy w kolumnę, na której herb wisi.)

MĄŻ.

Dzięki ci, żeś zaufał domowi mojemu — starym zwyczajem piję zdrowie twoje.

(Bierze puhar, pije i podaje Pankracemu.)

Gościu, w ręce twoje.

PANKRACY.

Jeśli się nie mylę, te godła czerwone i błękitne, zowią się Herbem w języku umarłych. — Coraz mniej takich znaczków na powierzchni ziemi.

(Pije.)

MĄŻ.

Za pomocą Bożą, wkrótce tysiące ich ujrzysz.

PANKRACY, (puhar od ust odejmując.)

Otoż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, uporczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, oręża, bez żołnierzy. — Odgrażająca się jak umarły w bajce, powoźnikowi u furtki cmentarza — wierząca lub udająca że wierzy w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. — Ale

pokażcie mi pioruny na waszą obronę zesłane i pułki aniołów spuszczone z niebios.

(Pije.)

MĄŻ.

Śmiej się z własnych słów. — Ateizm, to stara formuła — a spodziewałem się czegoś nowego po tobie.

PANKRACY.

Śmiej się z własnych słów. — Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej. — Jęk przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom tysiąców — głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości ujarzmionej przesądem i wahaniem się i bydlęcem przyzwyczajeniem — oto wiara moja — a Bóg mój na dzisiaj — to myśl moja — to potęga moja — która chleb i cześć im rozda na wieki.

(Pije i rzuca kubek.)

MĄŻ.

Ja położyłem siłę moją w Bogu, który ojcom moim panowanie nadał.

PANKRACY.

A całe życie byłeś diabła igrzyskiem.

Zresztą zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jaki pedant tego rzemiosła żyje dotąd w całej okolicy — do rzeczy.

MĄŻ.

Czegóż więc żądasz odemnie, zbawco narodów, obywatelu Boże?

PANKRACY.

Przyszedłem tu, bo chciałem cię poznać — powtóre, ocalić.

MĄŻ.

Wdzięcznym za pierwsze — drugie zdaj na szablę moją.

PANKRACY.

Szabla twoja, — Bóg twój, mara. — Potępionyś głosem tysiąców — opasanyś ramionami tysiąców — kilka morgów ziemi wam zostało, co ledwo na wasze groby wystarcza — dwudziestu dni bronić się niemożecie. — Gdzie wasze działa, rynsztunki, żywność, — a wreszcie, gdzie męstwo?...

Gdybym był tobą, wiem cobym uczynił.

MĄŻ.

Słucham — patrz jakem cierpliwy.

PANKRACY.

— Ja więc, Hr. Henryk, rzekłbym do Pankracego: „Zgoda — rozpuszczam mój hufiec, mój hufiec jedyny — nie idę na odsiecz Świętej Trójcy — a za to zostaję przy mojem imieniu i dobrach, których całość warujesz mi słowem.“

Wiele masz lat Hrabio?

MĄŻ.

Trzydzieści sześć, obywatelu.

PANKRACY.

Jeszcze piętnaście lat najwięcej — bo tacy ludzie nie długo żyją — twój syn bliższy grobu niż młodości — jeden wyjątek ogromowi nie szkodzi. — Bądź więc sobie ostatnim Hrabią na tych równinach — panuj do śmierci w domu naddziadów — każ malować ich obrazy i rznąć herby. — A o tych nędzarzach nie myśl więcej. — Niech się wyrok ludu spełni nad nikczemnikami.

(Nalewa sobie drugi puhar.)

Zdrowie twoje, ostatni Hrabio.

MĄŻ.

Obrażasz mnie każdem słowem, zda się próbujesz czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień tryumfu swego. — Przestań, bo ja ci się odwdzięczyć nie mogę. — Opatrzność mojego słowa cię strzeże.

PANKRACY.

Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to łachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przenikam ciebie — pełnyś życia a łączysz się z umierającemi, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowa *ojczyzna* i tam dalej — ale w głębi duszy sam wiesz, że braci twojej należy się kara, a po karze niepamięć.

MĄŻ.

Tobie zaś i twoim cóż inszego?

PANKRACY.

Zwycięztwo i życie — jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam — tem prawem świat bieży

w coraz wyższe kręgi — on jest zgubą waszą i woła teraz przez moje usta:

„Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym.“

Ale — Ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego.

MĄŻ.

Bodajbyś zginął marnie za tę litość twoją. — Ja także znam świat twój i ciebie — patrzałem wśród cieniów nocy na pląsy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale ich koniec ten sam co przed tysiącami lat — rozpusta, zło i krew.— A ciebie tam nie było — nie raczyłeś zstąpić pomiędzy dzieci twoje — bo w głębi ducha ty pogardzasz niemi — kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nieodbieży, ty będziesz pogardzał sam sobą.

Nie dręcz mnie więcej.

(Siada pod herbem swoim.)

PANKRACY.

Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda — nie wyrósł na olbrzyma — łaknie dotąd chleba i wygód — ale przyjdą czasy.

(Wstaje, idzie ku Mężowi i opiera się na herbowym filarze.)

Ale przyjdą czasy, w których on zrozumie siebie i powie o sobie: „Jestem“ — a nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: „Jestem.“

MĄŻ.

Cóż dalej.

PANKRACY.

Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojej narodzi się plemie, ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. — Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. — Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna. — Ona cała jednem miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu.

MĄŻ.

Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona, blada, udać nie umie natchnienia.

PANKRACY.

Nie przerywaj, bo są ludzie którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem.

Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie— Bóg pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porozrzucał na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy. — Bóg ludzkości objawił się im.

MĄŻ.

A nam, przed wiekami — ludzkość przezeń już zbawiona.

PANKRACY.

Niechże się cieszy takiem zbawieniem — nędzą dwóch tysięcy lat upływających od Jego śmierci na krzyżu.

MĄŻ.

Widziałem ten krzyż, bluźniercо, w starym Rzymie — u stóp Jego leżały gruzy potężniejszych sił niż twoje — sto Bogów twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonej podnieść nie śmiało ku Niemu — a On stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca — znać było że jest Panem świata.

PANKRACY.

Stara powiastka — pusta jak chrzęst twego herbu.

(Uderza o tarczę.)

Ale ja dawniej czytałem twe myśli. — Jeśli więc umiesz sięgać w nieskończoność, jeśli kochasz prawdę i szukałeś jej szczerze, jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek, słuchaj, nie odrzucaj tej chwili zbawienia; krwi którą oba wylejem dzisiaj, jutro śladu nie będzie, — ostatni raz ci mówię — jeżeliś tem czem wydawałeś się niegdyś, wstań, porzuć dom i chodź za mną.

MĄŻ.

Tyś młodszym bratem szatana.

(Wstaje i przechadza się wzdłuż.)

Daremne marzenia — kto ich dopełni? — Adam skonał na pustyni — my nie wrócim do raju.

PANKRACY, (na stronie.)

Zagiąłem palec po pod serce jego — trafiłem do nerwu poezyi.

MĄŻ.

Postęp, szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś wierzyłem — ot! macie, weźcie głowę moją byleby..... Stało się. — Przed stoma laty, przed dwoma wiekami, polubowna ugoda mogła jeszcze.... ale teraz wiem — teraz trza mordować się nawzajem — bo teraz im tylko chodzi o zmianę plemienia.

PANKRACY.

Biada zwyciężonym — nie wahaj się, powtórz raz tylko „biada“ i zwyciężaj z nami.

MĄŻ.

Czyś zbadał wszystkie manowce przeznaczenia — czy pod kształtem widomym stanęło ono u wejścia namiotu twojego w nocy i olbrzymią dłonią błogosławiło tobie — lub w dzień czyś słyszał głos jego o południu kiedy wszyscy spali w skwarze, a tyś jeden rozmyślał — że mi tak pewno grozisz zwycięztwem, człowiecze z gliny jako ja, niewolniku pierwszej lepszej kuli, pierwszego lepszego cięcia?

PANKRACY.

Niełudź się marną nadzieją — bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie się żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co później nastąpi to już wam nic z tego.

(Zegar bije.)

Czas szydzi z nas obu. — Jeśliś znudzony życiem, przynajmniej ocal syna swego.

MĄŻ.

Dusza jego czysta już ocalona w niebie, a na ziemi los ojca go czeka.

(Spuszcza głowę między dłonie i staje.)

PANKRACY.

Odrzuciłeś więc?

(Chwila milczenia.)

Milczysz — dumasz — dobrze — niechaj ten duma co stoi nad grobem.

MĄŻ.

Zdala od tajemnic, które za krańcami twoich myśli odbywają się teraz w głębi ducha mojego. — Świat cielska

do ciebie należy — tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem — ale dalej nie zachodź i precz, precz odemnie.

PANKRACY.

Sługo jednej myśli i kształtów jej, pedancie rycerzu, poeto, hańba tobie — patrz na mnie. Myśli i kształty są woskiem palców moich.

MĄŻ.

Darmo, ty mnie nie zrozumiesz nigdy — bo każden z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem.

(Wyciąga rękę ku obrazom).

Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. — Ale ty, człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja — wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wschodzie go zwijasz i koczujesz dalej — dotąd nie znalazłeś ogniska swego i nieznajdziesz, dopóki stu ludzi zechce powtórzyć za mną: „Chwała ojcom naszym.“

PANKRACY.

Tak, chwała dziadom twoim na ziemi i niebie — w rzeczy samej jest na co patrzyć.

Ów, starosta, baby strzelał po drzewach i żydów piekł żywcem. — Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem — *kanclerz* — sfałszował akta, spalił archiwa, przekupił sędziów, trucizną przyspieszył spadki — ztąd wsie twoje, dochody, potęga. — Tamten czarniawy, z ognistem okiem, cudzołożył po domach przyjaciół, — ów z runem złotem, w kolczudze włoskiej, znać służył u cudzoziemców — a ta pani blada z ciemnemi puklami, kaziła się z giermkiem swoim — tamta czyta list kochanka i śmieje się, bo noc bliska — tamta z pieskiem na robronie, królów była nałożnicą. — Ztąd wasze genealogie bez przerwy, bez plamy. — Lubię tego w zielonym kaftanie — pił i polował z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał by z psami gonili jelenie. Głupstwo i niedola kraju całego — Oto rozum i moc wasza. — Ale dzień sądu bliski, i w tym dniu obiecuję wam że nie zapomnę o żadnym z was, o żadnym z ojców waszych, o żadnej chwale waszej.

MĄŻ.

Mylisz się, mieszczański synu. — Ani ty ani żaden z twoich by nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. — Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale, — a kiedyście z trzody zwierząt wyrośli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli żeście nie do pola bitwy.

Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach — one ich popiołów nie wzruszą nawet — one zaginą jak skowyczenia psa wściekłego co bieży i pieni się aż skona gdzie na drodze — a teraz czas już tobie wynijść z domu mego.— Gościu, wolno puszczam ciebie.

PANKRACY.

Do widzenia na okopach Świętej Trójcy.

A kiedy wam kul zabraknie i prochu.....

MĄŻ.

To się zbliżym na długość szabel naszych. — Do widzenia.

PANKRACY.

Dwa orły z nas — ale gniazdo twoje strzaskane piorunem.

(Bierze płaszcz i czapkę wolności.)

Przechodząc próg ten, rzucam nań przekleństwo należne starości. — I ciebie i syna twego poświęcam zniszczeniu.

MĄŻ.

Hej Jakóbie!

(Jakób wchodzi.)

Odprowadzić tego człowieka aż do ostatnich czat moich na wzgórzu.

JAKÓB.

Tak mi Panie Boże dopomóż.

(Wychodzi).

IV.

Od baszt Ś. Trójcy do wszystkich szczytów skał, po prawej, po lewej, z tyłu i na przodzie, leży mgła śnieżysta, blada, niewzruszona, milcząca, mara oceanu który niegdyś miał brzegi swoje gdzie te wierzchołki czarne, ostre, szarpane, i głębokości swoje gdzie dolina, której niewidać, i słońce które jeszcze się nie wydobyło.

Na wyspie granitowej, nagiej, stoją wieże zamku, wbite w skałę pracą dawnych ludzi, i zrosłe ze skałą jak pierś ludzka z grzbietem u Centaura. — Po nad niemi sztandar się wznosi, najwyższy i sam jeden wśród szarych błękitów.

Powoli, śpiące obszary budzić się zaczynają — w górze słychać szumy wiatrów — z dołu promienie się cisną — i kra z chmur pędzi po tem morzu z wyziewów.

Wtedy inne głosy, głosy ludzkie przymieszają się do tej znikomej burzy, i niesione na mglistych bałwanach roztrącą się o stopy zamku.

Widna przepaść wśród obszarów co pękły nad nią.

Czarno tam w jej głębi, od głów ludzkich czarno — dolina cała zarzucona głowami ludzkiemi, jako dno morza głazami.

Słońce ze wzgórz na skały wstępuje — w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury, a im bardziej nikną, tem lepiej słychać wrzaski, tem lepiej dojrzeć można tłumy płynące u dołu.

Z gór podniosły się mgły — i konają teraz po nicościach błękitu. — Dolina Świętej Trójcy obsypana światłem migającej broni — i Lud ciągnie zewsząd do niej, jak do równiny ostatniego sądu.

Katedra w zamku Świętej Trójcy. — Panowie, Senatory. Dygnitarze siedzą po obu stronach, każdy pod posągiem jakiego króla lub rycerza. — Za posągami tłumy szlachty. — Przed wielkim ołtarzem w głębi Arcybiskup, w krześle złoconem, z mieczem na kolanach. — Za ołtarzem chór kapłanów. — Mąż stoi w progu przez chwilę, potem zaczyna iść powoli ku Arcybiskupowi ze sztandarem w ręku.

CHÓR KAPŁANÓW.

Ostatnie sługi Twoje, w ostatnim kościele Syna Twego, błagamy Cię za czcią ojców naszych. — Od nieprzyjaciół wyratuj nas Panie.

PIERWSZY HRABIA.

Patrz, z jaką dumą spogląda na wszystkich.

DRUGI HRABIA.

Myśli że świat podbił.

TRZECI HRABIA.

A on się tylko nocą przedarł przez obóz chłopów.

PIERWSZY HRABIA.

Sto trupów położył, a dwieście swoich stracił.

DRUGI HRABIA.

Niedajmy, by go wodzem obrali.

MĄŻ, (klęka przed Arcybiskupem.)

U stóp twoich składam zdobycz moją.

ARCYBISKUP.

Przypasz miecz ten, błogosławiony niegdyś ręką Świętego Floryana.

GŁOSY.

Niech żyje Hr. Henryk — niech żyje.

ARCYBISKUP.

I przyjm ze znakiem Krzyża Ś. dowództwo w tym zamku, ostatniem państwie naszem — wolą wszystkich, mianuję cię Wodzem.

GŁOSY.

Niech żyje — niech żyje.

GŁOS JEDEN.

Nie pozwalam.

INNE GŁOSY.

Precz — precz — za drzwi. — Niech żyje Henryk.

MĄŻ.

Jeśli kto ma co do zarzucenia mnie, niechaj wystąpi, wśród tłumu się nie kryje.

(Chwila milczenia.)

Ojcze, szablę tę biorę, i niech mi Bóg zrządzi zgon prędki, zawczesny, jeśli nią ocalić was nie zdołam.

CHÓR KAPŁANÓW.

Daj mu siłę — daj mu Ducha Świętego, Panie. Od nieprzyjaciół wyratuj nas, Panie!

MĄŻ.

Teraz przysięgnijcie wszyscy, że chcecie bronić wiary i czci przodków waszych — że głód i pragnienie umorzy was do śmierci, ale nie do hańby — nie do poddania się — nie do ustąpienia choćby jednego z praw Boga waszego lub waszych.

GŁOSY.

Przysięgamy.

(Arcybiskup klęka i Krzyż wznosi.)

(Wszyscy klękają.)

CHÓR.

Krzywoprzysięzca gniewem Twoim niech obarczon będzie. — Bojaźliwy gniewem Twoim niech obarczon będzie.— Zdrajca gniewem Twoim niech obarczon będzie.

GŁOSY.

Przysięgamy.

MĄŻ (dobywa miecza.)

Teraz obiecuję wam sławę — u Boga wyproście zwycięztwo.

(Otoczony tłumem wychodzi.)

Jeden z dziedziców Świętej Trójcy. — Mąż. — Hrabiowie. — Barony. — Książęta. — Księża. — Szlachta.

HRABIA, (na stronę odprowadza Męża.)

Jakże — wszystko stracone?

MĄŻ.

Nie wszystko — chyba że wam serca zabraknie przed czasem.

HRABIA.

Przed jakim czasem?

MĄŻ.

Przed śmiercią.

BARON, (odprowadza go w inszą stronę.)

Hrabio, podobno widziałeś się z tym okropnym człowiekiem. — Będzież on miał litości choć trochę nad nami, kiedy się dostaniem w ręce jego.

MĄŻ.

Zaprawdę ci mówię, że o takiej litości żaden z ojców twoich nie słyszał — zowie się szubienica.

BARON.

Trza się bronić jak można.

MĄŻ.

Co Książę mówi?

KSIĄŻE.

Parę słów na boku.

(Odchodzi z nim.)

To wszystko dobre dla gminu, ale między nami, oczewistem jest, że się oprzeć nie zdołamy.

MĄŻ.

Cóż więc pozostaje?

KSIĄŻE.

Obrano cię Wodzem, a zatem do ciebie należy rozpocząć układy.

MĄŻ.

Ciszej — ciszej.

KSIĄŻE.

Dla czego?

MĄŻ.

Boś, Mości Książe, już na śmierć zasłużył.

(Odwraca się do tłumu.)

Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karanym będzie.

BARON, HRABIA, KSIĄŻE, (razem.)

Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karanym będzie.

WSZYSCY.

Śmiercią — śmiercią. — Vivat.

(Wychodzą.)

Krużganek na szczycie. — Mąż. — Jakób.

MĄŻ.

Gdzie Syn mój?

JAKÓB.

W wieży północnej usiadł na progu starego więzienia i śpiewa proroctwa.

MĄŻ.

Najmocniej osadź basztę Eleonory — sam nie ruszaj się ztamtąd, i co kilka minut patrzaj lunetą na obóz buntowników.

JAKÓB.

Wartoby, tak mi Panie Boże dopomóż, dla zachęty rozdać naszym po szklance wódki.

MĄŻ.

Jeśli potrzeba, każ otworzyć nawet piwnice naszych Hrabiów i Książąt.

(Jakób wychodzi)

(Mąż wchodzi kilkoma schodami wyżej pod sam sztandar, na płaski taras.)

Całym wzrokiem oczu moich, całą nienawiścią serca obejmuję was, wrogi. — Teraz już nie marnym głosem, mdłem natchnieniem będę walczył z wami, ale żelazem i ludźmi, którzy mnie się poddali.

Jakże tu dobrze być panem, być władcą — choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole skupione naokoło siebie, i na was przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu.

Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wszystkich nędzarzy, co zapomnieli o wielkich ojcach swoich, nie będzie — ale bądź co bądź — dni kilka jeszcze pozostało — nżyję ich rozkoszy mej kwoli — panować będę — walczyć będę — żyć będę. — To moja pieśń ostatnia!

Nad skałami zachodzi słońce w długiej czarnej trumnie z wyziewów. — Krew promienista zewsząd leje się na dolinę. — Znaki wieszcze zgonu mojego, pozdrawiam was szczerszem, otwartszem sercem niż kiedykolwiek wprzódy witałem obietnice wesela, ułudy, miłości.

Bo nie podłą pracą, nie podstępem, nie przemysłem doszedłem końca życzeń moich, — ale nagle, znienacka, tak jakom marzył zawżdy.

I teraz tu stoję na pograniczach snu wiecznego, wodzem tych wszystkich co mi wczoraj jeszcze równymi byli.

Komnata w zamku oświecona pochodniami. — Orcio siedzi na łożu. — Mąż wchodzi i składa broń na stole.

MĄŻ.

Sto ludzi zostawić na szańcach — reszta niech odpocznie po tak długiej bitwie.

GŁOS ZA DRZWIAMI.

Tak mi Panie Boże dopomóż.

MĄŻ.

Zapewne słyszałeś wystrzały, odgłosy naszej wycieczki ale bądź dobrej myśli, dziecię moje, nie przepadniemy jeszcze ni dzisiaj ni jutro.

ORCIO.

Słyszałem, ale to nie tknęło mi serca — huk przeleciał i niema go więcej — co innego w dreszcz mnie wprawia, Ojcze.

MĄŻ.

Lękałeś się o mnie.

ORCIO.

Nie — bo wiem że twoja godzina nie nadeszła jeszcze.

MĄŻ.

Sami jesteśmy — ciężar spadł mi z duszy na dzisiaj — bo tam w dolinie leżą ciała pobitych wrogów. Opowiedz mi wszystkie myśli twoje — będę ich słuchał jak dawniej w domu naszym.

ORCIO.

Za mną, za mną, Ojcze — tam straszny sąd co noc się powtarza.

(Idzie ku drzwiom skrytym w murze i otwiera je.)

MĄŻ.

Gdzie idziesz? — Kto ci pokazał to przejście? — tam lochy wiecznie ciemne, tam gniją dawnych ofiar kości.

ORCIO.

Gdzie oko twoje zwyczajne słońca nie dowidzi — tam duch mój stąpać umie. — Ciemności, idźcie do ciemności.

(Zstępuje.)

Lochy podziemne. — Kraty żelazne, kajdany, narzędzia do tortur połamane, leżące na ziemi. — Mąż z pochodnią u stóp głazu, na którym Orcio stoi.

MĄŻ.

Zejdź, błagam cię, zejdź do mnie.

ORCIO.

Czy nie słyszysz ich głosów, czy nie widzisz ich kształtów?

MĄŻ.

Milczenie grobów — a światło pochodni na kilka stóp tylko rozświeca przed nami.

ORCIO.

Co raz już bliżej — co raz już widniej — idą z pod ciasnych sklepień jeden po drugim, i tam zasiadają w głębi.

MĄŻ.

W szaleństwie twojem potępienie moje — szalejesz, dziecię — i siły moje niszczysz, kiedy mi ich tyle potrzeba.

ORCIO.

Widzę duchem blade ich postacie, poważne, kupiące się na sąd straszny. — Oskarżony już nadchodzi i jako mgła płynie.

CHÓR GŁOSÓW.

Siłą nam daną, — za męki nasze, my niegdyś przykuci, smagami, dręczeni, żelazem rwani, trucizną pojeni, przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy i sądźmy, i potępiajmy — a kary Szatan się podejmie.

MĄŻ.

Co widzisz?

ORCIO.

Oskarżony — oskarżony ot załamał dłonie.

MĄŻ.

Kto on jest?

ORCIO.

Ojcze — Ojcze —

GŁOS JEDEN.

Na tobie się kończy ród przeklęty — w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje, i wszystkie namiętności swe, i całą dumę swoją, by skonać.

CHÓR GŁOSÓW.

Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki.

MĄŻ.

Nic dojrzeć nie mogę, a słyszę z pod ziemi, nad ziemią, po bokach, westchnienia i żale, wyroki i groźby.

ORCIO.

On teraz podniósł głowę jako ty, Ojcze, kiedy się gniewasz — i odparł dumnem słowem jako ty, Ojcze, kiedy pogardzasz.

CHÓR GŁOSÓW.

Daremno — daremno — ratunku nie ma dla niego, ni na ziemi ni w niebie.

GŁOS JEDEN.

Dni kilka jeszcze chwały ziemskiej, znikomej, której mnie i braci moich pozbawili naddziady twoje — a potem zaginiesz ty i bracia twoi — i pogrzeb wasz jest bez dzwonów żałoby — bez łkania przyjaciół i krewnych — jako nasz był kiedyś, na tej samej skale boleści.

MĄŻ.

Znam ja was, podłe duchy, marne ogniki latające wśród ogromów anielskich.

(Idzie kilka kroków naprzód.)

ORCIO.

Ojcze, nie zapuszczaj się w głąb' — na Chrystusa imie Święte, zaklinam cię, Ojcze.

MĄŻ, (wraca.)

Powiedz, powiedz kogo widzisz?

ORCIO.

To postać.

MĄŻ.

Czyja?

ORCIO.

To drugi ty jesteś — cały blady — spętany — oni teraz męczą ciebie — słyszę jęki twoje.

(Pada na kolana.)

Przebacz mi Ojcze. — Matka pośród nocy przyszła i kazała.....

(Mdleje.)

MĄŻ, (chwyta go w objęcia.)

Tego niedostawało. — Ha! dziecię własne przywiodło mnie do progu piekła. — Maryo! nieubłagany duchu — Boże! i Ty druga Maryo, do której modliłem się tyle!

Tam poczyna się nieskończoność mąk i ciemności — nazad — muszę jeszcze walczyć z ludźmi — potem wieczna walka.

(Ucieka z synem.)

CHÓR GŁOSÓW, (w oddali.)

Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie; prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki.

Sala w zamku Swiętej Trójcy. — Mąż. — Kobiety, dzieci, kilku starców i Hrabiów klęczących u stóp jego. — Ojciec Chrzestny stoi w środku sali. — Tłum w głębi. — Zbroje zawieszone, gotyckie filary, ozdoby, okna.

MĄŻ.

Nie — przez syna mego — przez żonę nieboszczkę moją, — nie — jeszcze raz mówię — nie.

GŁOSY KOBIECE.

Zlituj się — głód pali wnętrzności nasze i dzieci naszych — dniem i nocą strach nas pożera.

GŁOSY MĘZCZYZN.

Jeszcze pora — słuchaj posła — nie odsyłaj posła.

OJCIEC CHRZESTNY.

Całe życie moje obywatelskiem było i niezważam na twoje wyrzuty, Henryku. — Jeślim się podjął urzędu poselskiego, który w tej chwili sprawuję, to że znam wiek mój i cenić umiem całą wartość jego. Pankracy jest reprezentantem obywatelem, że tak rzekę.....

MĄŻ.

Precz z oczu moich, stary.

(Na stronie do Jakóba.)

Przyprowadź tu oddział naszych.

(Jakób wychodzi. — Kobiety powstają i płaczą. — Mężczyźni się oddalają o kilka kroków.)

BARON.

Zgubiłeś nas, Hrabio.

DRUGI.

Wypowiadamy ci posłuszeństwo.

KSIĄŻE.

Sami ułożymy z tym zacnym obywatelem warunki poddania zamku.

OJCIEC CHRZESTNY.

Wielki mąż, który mnie przysłał, obiecuje wam życie, bylebyście przyłączyli się do niego i uznali dążenie wieku.

KILKA GŁOSÓW.

Uznajemy — uznajemy.

MĄŻ.

Kiedyście mnie wezwali, przysiągłem zginąć na tych murach — dotrzymam, i wy wszyscy zginiecie wraz ze mną.

Ha! chce się wam żyć jeszcze.

Ha! zapytajcie ojców waszych, po co gnębili i panowali.

(Do Hrabiego.)

A ty czemu uciskałeś poddanych.

(Do drugiego.)

A ty czemu przepędziłeś wiek młody na kartach i podróżach daleko od Ojczyzny.

(Do innego.)

Ty się podliłeś wyższym, gardziłeś niższymi.

(Do jednej z kobiet).

Dla czegożeś dzieci nie wychowała sobie na obrońców — na rycerzy — teraz by ci się zdały na coś — aleś kochała żydów, adwokatów, — proś ich o życie teraz.

(Staje i wyciąga ramiona).

Czego się tak spieszycie do hańby — co was tak nęci, by upodlić wasze ostatnie chwile — naprzód raczej zemną, naprzód, Mości Panowie, tam gdzie kule i bagnety — nie tam gdzie szubienica i kat milczący, z powrozem w dłoni na szyje wasze.

KILKA GŁOSÓW.

Dobrze mówi — na bagnety.

INNE GŁOSY

Kawałka chleba już niema.

KOBIECE GŁOSY.

Dzieci nasze, dzieci wasze.

WIELE GŁOSÓW.

Poddać się trzeba — układy — układy.

OJCIEC CHRZESTNY

Obiecuję wam całość, że tak rzekę, nietykalność osób i ciał waszych.

MĄŻ, (przybliża się do Ojca Chrzestnego i chwyta go za piersi).

Święta osobo posła, idź skryć siwą głowę pod namioty przechrztów i szewców, bym jej krwią twoją własną nie zmazał.

(Wchodzi oddział zbrojnych z Jakóbem).

Na cel mi wziąść to czoło zorane zmarszczkami marnej nauki — na cel tę czapkę wolności, drżącą od tchnienia słów moich, na tej głowie bez mózgu.

(Ojciec Chrzestny się wymyka).

WSZYSCY, (razem).

Związać go — wydać Pankracemu.

MĄŻ.

Chwila jeszcze, Mości Panowie.

(Chodzi od jednego żołnierza do drugiego).

Z tobą, zda mi się, wdzierałem się na góry za dzikim zwierzem — pamiętasz, wyrwałem cię z przepaści.

(Do innych).

Z wami rozbiłem się na skałach Dunaju — Hieronimie, Krzysztofie, byliście ze mną na Czarnem morzu.

(Do innych).

Wam odbudowałem chaty zgorzałe.

(Do innych).

Wyście uciekli do mnie od złego Pana — a teraz mówcie — pójdziecie za mną, czy zostawicie mnie samego ze śmiechem na ustach, żem w pośród tylu ludzi jednego człowieka nie znalazł.

WSZYSCY.

Niech żyje Hr. Henryk — niech żyje.

MĄŻ.

Rozdać im co zostało wędliny i wódki — a potem na mury.

WSZYSCY ŻOŁNIERZE.

Wódki — mięsa — a potem na mury.

MĄŻ.

Idź z nimi, a za godzinę bądź gotów do walki.

JAKÓB.

Tak mi Panie Boże dopomóż.

GŁOSY KOBIECE.

Przeklinamy cię za niewiniątka nasze.

INNE GŁOSY.

Za ojców naszych.

INNE GŁOSY.

Za żony nasze.

MĄŻ.

A ja was za podłość waszą.

Okopy Świętej Trójcy. — Trupy na około. — Działa potrzaskane. — Broń leżąca na ziemi. — Tu i owdzie biegną żołnierze. — Mąż oparty o szaniec, Jakób przy nim.

MĄŻ, (szablę chowając do pochwy).

Niema rozkoszy jak grać w niebezpieczeństwo i wygrywać zawżdy, a kiedy nadejdzie przegrać — to raz jeden tylko.

JAKÓB.

Ostatniemi naszemi nabojami skropieni odstąpili, ale tam w dole się gromadzą i niedługo wrócą do szturmu — darmo, nikt losu przeznaczonego nie uszedł, od kiedy świat światem.

MĄŻ.

Niema już więcej kartaczy?

JAKÓB.

Ani kul, ani lotek, ani śrutu — wszystko się przebiera nareszcie.

MĄŻ.

A więc syna mi przyprowadź, bym go raz jeszcze uściskał.

(Jakób odchodzi).

Dym bitwy zamglił oczy moje — zda mi się, jakby

dolina wzdymała się i opadała nazad — skały w sto kątów łamią się i krzyżują — dziwnym szykiem także ciągną myśli moje.

(Siada na murze).

Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto. — Pierwszy z Archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu, uczuł nudę w sercu swojem, i zapragnął potężniejszych sił. — Trza być Bogiem lub nicością.

(Jakób przychodzi z Orciem).

Weź kilku naszych, obejdź sale zamkowe, i pędź do murów, wszystkich co spotkasz.

JAKÓB.

Bankierów, i Hrabiów, i Książąt.

(Odchodzi).

MĄŻ.

Chodź synu — połóż tu rękę swoją na dłoni mojej— czołem ust moich się dotknij — czoło matki twojej niegdyś było takiej samej bieli i miękkości.

ORCIO.

Słyszałem głos jej dzisiaj, nim zerwali się męże twoi do broni — słowa jej płynęły tak lekko jak wonie, i mówiła: — „Dziś wieczorem zasiądziesz przy mnie“.

MĄŻ.

Czy wspomniała choćby imię moje?

ORCIO.

Mówiła: — „Dziś wieczorem czekam na syna mego“.

MĄŻ, (na stronie).

U końca drogi czyż opadnie mnie siła? — Niedaj tego Boże. — Za jedną chwilę odwagi masz mnie więźniem twoim przez wieczność całą.

(głośno).

O synu, przebacz żem ci dał życie — rozstajemy się — czy wiesz na jak długo?

ORCIO.

Weź mnie i niepuszczaj — niepuszczaj — ja cię pociągnę za sobą.

MĄŻ.

Różne drogi nasze — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty kropli rosy nie rzucisz mi z góry— O Jerzy — Jerzy — O synu mój.

ORCIO.

Co za krzyki — drżę cały — coraz groźniej — coraz bliżej — huk dział i strzelb się rozlega — godzina ostatnia, przepowiedziana, ciągnie ku nam.

MĄŻ.

Spieszaj, spieszaj, Jakóbie.

(Orszak Hrabiów i Książąt przechodzi przez dolny dziedziniec. — Jakób z żołnierzami idzie za nim).

GŁOS JEDEN.

Daliście odłamki broni i bić się każecie.

GŁOS DRUGI.

Henryku, ulituj się.

TRZECI.

Nie gnaj nas słabych, zgłodniałych, ku murom.

INNE GŁOSY.

Gdzie nas pędzą — gdzie?

MĄŻ, (do nich.)

Na śmierć.

(Do Syna).

Tym uściskiem chciałbym się z tobą połączyć na wieki — ale trza mi w inszą stronę.

(Orcio pada trafiony kulą).

GŁOS W GÓRZE.

Do mnie, do mnie, duchu czysty, — do mnie, synu mój.

MĄŻ.

Hej! do mnie, ludzie moi.

(dobywa szabli i przykłada do ust leżącego).

Klinga szklanna jak wprzódy — oddech i życie uleciały razem.

Hej! tu — naprzód — już się wdarli na długość szabli mojej — nazad, w przepaść, syny wolności.

(Zamieszanie i bitwa).

Insza strona okopów. — Słychać odgłosy walki. — Jakób rozciągnięty na murze. — Mąż, nadbiega, krwią oblany.

MĄŻ.

Cóż ci jest, mój wierny, mój stary.

JAKÓB.

Niech ci czart odpłaci w piekle upór twój i męki moje — Tak mi Panie Boże dopomóż.

(Umiera).

MĄŻ, (rzucając pałasz).

Niepotrzebnyś mi dłużej — wyginęli moi, a tamci klęcząc wyciągają ramiona ku zwycięzcom i bełkocą o miłosierdzie!

(Spoziera na około).

Nie nadchodzą jeszcze w tę stronę — jeszcze czas— odpocznijmy chwilę. — Ha! już się wdarli na wieżę północną — ludzie nowi się wdarli na wieżę północną — i patrzą czy gdzie nie odkryją Hrabiego Henryka. — Jestem tu — jestem — ale wy mnie sądzić nie będziecie. — Ja się już wybrałem w drogę — ja stąpam ku sądowi Boga.

(Staje na odłamku baszty wiszącym nad samą przepaścią).

Widzę ją całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca — a pośrodku jej Bóg, jak słońce co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca.

(Krokiem dalej się posuwa).

Biegną, zobaczyli mnie — Jezus Maryja. — Poezyo, bądź mi przeklęta, jako sam będę na wieki. — Ramiona idźcie i przerzynajcie te wały.

(Skacze w przepaść).

Dziedziniec zamkowy. — Pankracy. — Leonard. — Blanchetti na czele tłumów. — Przed niemi przechodzą Hrabiowie, Książęta z żonami i dziećmi w łańcuchach.

PANKRACY.

Twoje imie?

HRABIA.

Krzysztof na Volsagunie.

PANKRACY.

Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

KSIĄŻE.

Władysław, Pan Czarnolasu.

PANKRACY.

Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

BARON.

Alexander z Godalberg.

PANKRACY.

Wymazane z pośród żyjących — idź.

BLANCHETTI, (do Leonarda).

Dwa miesiące nas trzymali, a nędzny rzęd armat i ladajakie parapety.

LEONARD.

Czy dużo ich tam jeszcze?

PANKRACY.

Oddaję ci wszystkich — niech ich krew płynie dla przykładu świata — a kto z was mi powie gdzie Henryk, temu daruję życie.

RÓŻNE GŁOSY.

Zniknął przy samym końcu.

OJCIEC CHRZESTNY.

Staję teraz jako pośrednik między tobą a niewolnikami twoimi, — tymi przezacnego rodu obywatelami, którzy, wielki człowiecze, klucze zamku Ś. Trójcy złożyli w ręce twoje.

PANKRACY.

Pośredników nie znam tam gdzie zwyciężyłem siłą własną — Sam dopilnujesz ich śmierci.

OJCIEC CHRZESTNY,

Całe życie moje obywatelskiem było, czego są dowody nie małe, a jeślim się połączył z wami, to nie na to bym własnych braci szlachtę.....

PANKRACY.

Wziąść starego doktrynera — precz; w jedną drogę z nimi.

(Żołnierze otaczają Ojca Chrzestnego i niewolników).

Gdzie Henryk? — czy kto z was nie widział go żywym lub umarłym? — Wór pełny złota za Henryka — choćby za trupa jego.

(Oddział zbrojnych zchodzi z murów.)

A wy nie widzieliście Henryka?

NACZELNIK ODDZIAŁU.

Obywatelu Wodzu, udałem się za rozkazem Generała Blanchetti ku stronie zachodniej szańców, zaraz na początku wejścia naszego do fortecy i na trzecim zakręcie bastyonu, ujrzałem człowieka rannego i stojącego bez broni przy ciele drugiego — kazałem podwoić kroku by schwytać — ale nim zdążyliśmy, ów człowiek zeszedł trochę niżej, stanął na głazie chwiejącym się, i patrzył chwilę

obłąkanym wzrokiem — potem wyciągnął ręce jak pływacz który ma dać nurka i pchnął się z całej siły naprzód — słyszeliśmy wszyscy odgłos ciała, spadającego po urwiskach — a oto szabla znaleziona kilka kroków dalej.

PANKRACY, (biorąc szablę).

Ślady krwi na rękojeści — poniżej herb jego domu. To pałasz Hrabiego Henryka — on jeden z pośród was dotrzymał słowa. — Za to chwała jemu, gilotyna wam. Generale Blanchetti, zatrudnij się zburzeniem warowni i dopełnieniem wyroku.

Leonardzie!

(Wstępuje na basztę z Leonardem).

LEONARD.

Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć, Mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich.

PANKRACY.

Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić te puszcze — przedrążyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest.

LEONARD.

Bóg wolności sił nam podda.

PANKRACY.

Co mówisz o Bogu — ślisko tu od krwi ludzkiej. — Czyjaż to krew? za nami dziedzińce zamkowe — sami jesteśmy, a zda mi się jakoby tu był ktoś trzeci.

LEONARD.

Chyba to ciało przebite.

PANKRACY.

Ciało jego powiernika — ciało martwe — ale tu duch czyjś panuje — a ta czapka — ten sam herb na niej — dalej patrz, kamień wystający nad przepaścią — na tem miejscu serce jego pękło.

LEONARD.

Bledniesz, Mistrzu.

PANKRACY.

Czy widzisz tam — wysoko — wysoko?

LEONARD.

Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą na której dogasają promienie słońca.

PANKRACY.

Znak straszny pali się na niej.

LEONARD.

Chyba cię myli wzrok.

PANKRACY.

Milion ludu słuchało mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój?

LEONARD.

Słyszysz ich okrzyki — wołają ciebie — czekają na ciebie.

PANKRACY.

Plotły kobiety i dzieci że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień.

LEONARD.

Kto?

PANKRACY.

Jak słup śnieżnej jasności stoi po nad przepaściami— oburącz wspart na krzyżu, jak na szabli Mściciel. — Ze splecionych piorunów korona cierniowa.

LEONARD.

Co się z tobą dzieje? co tobie jest?

PANKRACY.

Od błyskawicy tego wzroku, chyba mrze kto żyw.

LEONARD.

Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy ztąd — chodźmy — czy słyszysz mnie?

PANKRACY.

Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia co mnie rozkłada w proch.

LEONARD.

Czy dobrze tak?

PANKRACY.

Nędzne ręce twe — jak u Ducha, bez kości i mięsa

— przejrzyste jak woda — przejrzyste jak szkło — przejrzyste jak powietrze. — Widzę wciąż!

LEONARD.

Oprzej się na mnie.

PANKRACY.

Daj mi choć odrobinę ciemności.

LEONARD.

O Mistrzu mój!

PANKRACY.

Ciemności — ciemności.

LEONARD.

Hej! obywatele — hej! bracia Demokraty na pomoc. — Hej! ratunku — pomocy — ratunku.

PANKRACY.

Galilee vicisti.

(Ztacza się w objęcia Leonarda i kona).

KONIEC.

NOC LETNIA.

Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!
MALCZEWSKI. (*Maryja.*)

O! patrzcie na mnie, współziemianie, obywatele jednej Ojczyzny! na mnie idącą po ostatniej drodze — na mnie, ostatni raz patrzącą na światło Heliosa. — Drugi raz nigdy go już nie obaczę. — Śmierć, która w kolebce swojej wszystko usypia, wiedzie mnie żywą ku brzegom Acherontu — mnie żywą, mnie niepoślubioną, mnie o której uszy nieodbiło się nigdy weselne pienie zaręczyn — Acheront jeden tylko woła mnie do ślubu!

SOFOKLES-ANTYGONA.

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
Za to samotne, lub w walce z innemi,
Że się natchnęło w myśli święte, wieszcze;
Za to potwarzą ścigane do koła,
Że nad sąd ludzi i praw ich zawiłość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
Nienawiść podłych — lub miłość Anioła!
Jeśli to serce co wiele kochało,
Jeśli to serce co wiele cierpiało,
Dziś na kształt głazu ścierpło i zlodniało;
Lecz wrzkomo tylko, na zewnątrz, bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie,
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry spadłej z niebios, co wre w jego głębi —
Jeśli to serce w samotnej żałobie,
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda — nie mściwie — nie hardo —
Lecz z przebaczenia anielską pogardą! —

— Gdziekolwiek jesteś o serce mi znane!
Serce niewieście i prześladowane!
Gdziekolwiek jesteś — z bliska czy z daleka:
O serce dumne, o serce stroskane!
Weź to co przyjąć możesz od człowieka!
Weź pieśń, po pieśni poznasz we mnie brata,
Ta pieśń z innego — tak jak i ty — świata.

Za to żeś, Siostro, w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w marę próżności,
Gdy świat ten zstąpił do grobu podłości,
Za to żeś z światem w ten grób nie zstąpiła,
O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
W świętem współczuciu i w świętej miłości,
Tę pieśń mej duszy, ja poświęcam Tobie!...

VARENNA. — 1840, 15 Sierpnia.

I.

Widziałem kiedy ją wiedli — w białych szatach, z wieńcem na głowie szła w przerażeniu — Kościół stał jako ciemny cmentarz przed jej oczyma. — Wszyscy się uśmiechali z radości, starzy i młodzi. — Dzieci za Aniołków przebrane potrząsały kwiatami. — Sam Biskup i powierne kapłany wesołym patrzyli wzrokiem, w sutych dalmatykach. — Lud się cisnął zazdroszcząc i chwaląc i życząc. — Ona jedna tylko milczała, z spuszczonemi oczyma, oparta na ręku służebnic.

I w jej kibici coś znękanego, bezsilnego było. — I w jej źrenicach nie jasno przebijał promień duszy, — I z jej ust nieco rozchylonych trudno się domyśleć, wyjdzieli modlitwa czy skarga? — Idąc wzdłuż kaplic podnosiła rękę i przeżegnać się chciała, pół-krzyże tylko kreśliła w powietrzu — przed obrazem Bogarodzicy skłoniwszy głowę, znać przyklęknąć miała, lecz sił jej nie stało i szła dalej ku wielkiemu ołtarzowi, a wielki ołtarz stał w głębi podobny do grobu.

Tam ojciec czekał na nią w kole krewnych i powinnych, z dumą w oku starem. — I słuszne miał prawo do pychy, bo cudniejszem dzieckiem nikomu Bóg nie opromienił schyłku życia. — Ona dotąd była jak najmilsza gwiazda nad jego zstępującą drogą: dziś tylko pierwszy raz w życiu zamglona — lecz on nie zważał na chwilowe zaćmienie, bo w tej dobijającej godzinie wszystkie jego marzenia dopełnić się miały. — Rzekł więc do otaczających: „Patrzcie jak niewinna, drży w niewiadomości szczęścia swego“ — i sięgnął wzrokiem tak jak kościół długi, by ujrzeć ażali nie przybywa Pan młody. — siwe brwi zmarszczył nie dostrzegłszy go nigdzie!

Ale wnet znów miał spokojne i pogodne czoło. — O! złudzenia starców, jak posągi ryte z głazu, pośród ich

dusz stoją — chyba śmierć je rozłamie, lecz nie strąci ich żadna przestroga na ziemi! Kto młody, ten malowne sny widzi w powietrzu. — Tęcze nad nim się krzyżują i znikają, wiara na przemiany precz idzie w zwątpienie. — U bliższych grobu, twardsza nadzieja i żądze przezwane rzeczywistości imieniem. — Między prawdą a nimi stanęła opoka doświadczenia — siedzą na niewzruszonej, a strumienie życia, morza fal grających pędzą tymczasem i mijają w dole!

Tam zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce i serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane, tłoczą się i giną w oddali! Tam gwiazd dżdże nieustanne z głuchym gasną szumem, a wszędzie modre szydzą piany i w nieskończoność garnie się rozbicie! — lecz im nic do tego — sami wrośli w skałę i domy budują nad huczącą głębią — każda fala co przelewa się w drugą, wydaje się im ołtarzem szczęścia i pokoju — potem córom i synom ludzkim każą ślubować na wierność przed niemi. — Ha! nim ci domówią przysięgi, już ołtarz pod drugim widnokręgiem płynie!

Teraz oblubieniec wpadł do kościoła, rzezki i hoży, z drużyną pysznie ubranych, sam w narodowym stroju — lecz naród jego nie był starca narodem. — Tłum rozgina się na prawo i lewo, niskiem witając go czołem — ledwo raczył niektórym się odkłonić i dzwoniąc o marmury posuwistemi kroki, stanął przy narzeczonej klęczącej już teraz. — Ona nie zdołała powstać! — Ojcu jej znikomie usta na ramieniu złożył, potem rozmawiali przyciszonym głosem, starzec z królewską powagą, młodzieniec hasając rękoma. — Zwolna zbliżył się tymczasem Biskup i zwolna zapalono gromnice na ołtarzu — wielkie w tej wielkiej świątyni stało się milczenie — na wieki rąk dwoje, dusz dwoje połączyć się mają. — Dreszcz uroczysty rozbiegł się po widzach.

O szyby różnobarwnych okien, rozpłonił się promień zachodzącego słońca. — Zdało się przez chwilę że tam krwi potok płynie i pluska; aż zniżył się i skonał wśród

zmierzchu — lecz ostatnim blaskiem drasnął głowę człowieka stojącego samotnie w przybocznej kaplicy — przy nim leży na pomniku posąg rycerza. — On jak drugi posąg niewzruszony, przykuł się wzrokiem do ołtarza kiedy Biskup przemawia do oblubienicy — co w jego duchu się dzieje, mrok na jego twarzy zaczaił — jednak, kiedy chwilowa łuna, co zgasła już teraz przepływała po niej, każdy co ku niemu zwrócone miał przypadkiem oczy, dostrzegł wyraz niesłychanej walki na tem czole wzniosłem — nikt jednak ni modlitwy ni westchnienia nie usłyszał, ni jęku. — Wargi ściśnione i boleść kształtem uśmiechu zakrzywiona na nich! — to jedno błysnęło i znów utonęło w cieniu.

Lecz kiedy świętym obrzędom stało się zadość, kiedy Pan młody podniósł żonę, a ona padła w ojca objęcia, i ojciec ją niósł ku bramom kościoła, i tysiąc gromnic szło za nimi, i stopniami upływała ciżba, i kroków odgłosy wolniały oddalając się — i wreszcie pustkami stanął przybytek — śpiący tylko umarli w nim zostali, i kilku żywych umarłych krzątało się po jego głębiach, zakonników kilku — wyszedł ów człowiek z kaplicy i rozkiełznany, szybki, uderzył piersią o stopnie ołtarza, zerwał się i padł na nowo, aż wreszcie siadł, lampą pozostałą nad krzyżem srebrnym blado oświecony — nie ku obrazom świętych zwrócone jego oblicze, ale ku bramie którędy wyszli oni wszyscy. — Tam błękitu nocnego kawał, i jedna gwiazda miga. — On w nią patrzy i sztylet z pod płaszcza wyciąga — i patrząc w gwiazdę, z pochwy klingę bierze — i patrząc w gwiazdę, ostrzy ją na zgrzytającym kamieniu.

Tak w śnie magnetycznym z odkrytą źrenicą, nic nie widząc, nic nie słysząc, chorzy stąpają śmiało w księżyca promieniach — potęga której nie czują, stała się nimi— ona im ręce zbroczy krwią nieprzyjaciół, ona ich odejmie brzegom przepaści. — Namiętność w słońca promieniach czerpa żary swoje, lecz równie pewno niesie, równie dziko pędzi!

I do owego człowieka zbliżył się mnich przyklękając

przed wielkim ołtarzem, potem rzekł: „Ktokolwiek jesteś bracie, idź na spoczynek i nie mieszaj pokoju Pańskiego.“ Ale on mu nic nie odpowiedział. — Za tym szedł drugi i rzekł: „precz z kościoła, bo świętokradzcą jesteś.“ Ale on mu nic nie odpowiedział — aż trzeci przed nim stanął i zawołał: „Wyklinam ciebie i to żelazo któregoś u stóp krzyża śmiał dobyć.“— A wtedy wstał winowajca i odparł: „Na te słowa czekałem, by cios stał się niechybny a rana śmiertelną“ — i wyszedł powoli — powoli jakby liczył kroki własne, wiedząc że ostatnie na ziemi!

Tymczasem rozwiodła się po niebie noc tak przejrzysta i cicha, że każdy co ją widział uczuł w piersiach dreszcz rozkoszy, w duszy szczęścia przeczucie. — Jej cienie owinęły pola i gaje. — Jej gwiazdy weszły nad górami, jak duchów w błękicie ukrytych płonące źrenice. — Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód odwdzięcza się im wstydliwie, za złote spojrzenia. — Właśnie takiej nocy trzeba dla tak świetnych ślubów — od niej pocznie się długa wiosna obojgu szczęśliwym. — Czegoż im więcej można życzyć na ziemi? — On, wzięty u Króla, Pan wielu służebnych. — Ona, śliczniejsza od Aniołów, wniosła w dom męża ziemie obszerne posagiem. — Matki nie znaleść któraby jej nie zazdrościła. — Młodzieńca któryby mu nie złorzeczył — a ojciec stary dopiął myśli swojej — odtąd mu dni płynąć będą wśród uśmiechów córki i potęgi zięcia — a drobne wnuczęta jak kwiaty wyrosną mu na ścieżce przed grobem!

Sute też na zamku wyprawił wesele — nie wielu książąt na takie mogłoby się zdobyć. — Wysoko nad całą krainą beczki smolne i kagańce świecą z murów — na podwórcach tak jasno jak we dnie, okna komnat otwarte, w komnatach sto harf gdy zabrzmi, trąby gdy zabrzmią, stóp tańcujących szum wzbija się i leci — porwane koła kręcą się, plątają, szaleją. — On sam obchodzi świetlice i zagrzewa gości. — Łza w jego oku nabrzmiewa, łza co z trudów życia wydobywszy się, pod koniec dziękuje Bogu za tyle dni co szły w krwi i pocie kiedy w tym ostatnim można o nich wszystkich zapomnieć. — Wyszedł na przy-

sionki i z ganku sypnął ludowi pełne misy srebra — wrócił i dyjamenty przyszpila napotkanym dziewojom do łona. — Giermki co za nim idą, garbiąc się pod ciężarem bogatego sprzętu, podają mu na przemian szable i złote łańcuchy, strusie kity i tureckie handżary. — On na pamiątkę tego dnia niemi gości darzy — Czasem też stanie, weźmie z rąk pacholęcia spory kielich i usta małmazyją odwilży — potem idzie dalej łaskawym ukłonem witając, łaskawym wzrokiem błogosławiąc wszystkim!

Teraz wszedł do środkowych gmachów, do wybitej przez wszystkie piętra sali, kędy gaj przyniesionych krzewów ściany oplatał w dole, w górze zaś stropami złotemi, gzymsami z marmuru wiły się sklepienia — i na nich herby ojców jaśniały nieskażone, święte! — Stanął u wejścia i pojrzał szukając dziecka swego — ale jej nie ujrzał wśród krążących par, ani odkrył w tłumie patrzących. — Pan młody tylko pląsał od jednych pań ku drugim, naprzemian znikomym z tą i z ową połączony tańcem. — Po drugi raz w tym dniu, ściągnęło się czoło szczęśliwego starca drgnieniem gniewu czy smutku — skinął na zgrajęę — rozstąpili się wszyscy — on przeszedł wśród nich i kroczył ku pomarańczowym drzewom kędy pustkami stały w framugach siedzenia lamowemi zasłane makaty. — Tam szukał córki chwil kilka jeszcze, aż zatrzymał się od razu, jakby nagłym uderzony bolem. — Siedziała ona z oczyma spuszczonemi ku wiązce róż leżącej na kolanie i odrywała ich listki marząc o czem innem— wreszcie same ciernie w ręku się jej zostały.

Starzec cicho przystąpił i przewiódł na sobie że łagodnym rzekł głosem: „Biedna matka twoja, jakżeby dziś szczęśliwą była! — za co Bóg niedozwolił jej tego dnia doczekać?“ — Drżąc podniosła głowę, drżąc ścisnęła mimowolnie ostatki róż w dłoni — potem nazad w pomieszaniu przypiąć je chciała do sukni — przyczepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadraśniętych świeże“ — „Czemu płaczesz? zapytał starzec, jedynaczko moja? — Wspomnienie matki nie mogło do tyla cię wzruszyć, boś jej nie widziała nigdy — w dniu

twego na świat przyjścia, ona odeszła do ojców — ach! tyś się skaleczyła, córko!“ — I wziął jej dłonie i wyjmował z nich drobne ostrza kolców. — Ona mu odparła: „O! nie to mnie boli, ojcze, potem zaraz dodała: „owszem to, nie co innego, ojcze“ — i zamilkła — łzy jedne po drugich spadały z jej lica. — On oparł się na jej ramieniu: „Widzisz jaki stary jestem, drżą podemną kolana — prowadź mnie“ — i szedł z nią zamyślony, gotując się do mówienia, lecz słowa nie mówiąc. — Na około nich wszędzie woniały kwiaty i muzyka brzmiała!

W tej chwili odezwał się zegar przybity do górnego gzymsu — nad nim kuty ze spiżu siedział jedynowładca wielu królestw dawnych — za każdem uderzeniem wychodził ze ściany posąg jednego wojewody i szedł się kłaniać umarłemu Panu, potem znikał roztwierającym się pochłonięty murem. — Przeszło ich dwunastu! — Wtedy z odległych komnat zamku wzniósł się chór niewieścich głosów, z razu jak szum błędny i nierozgarniony — ale coraz wyraźniejszy, z dalszych sklepień przesuwający się pod bliższe, wołający na oblubienicę. — Ojciec sam wzdrygnął się w tej chwili, blednącą córkę porwał w objęcia i uchodził z przejścia w przejście, z izby do izby, z ganku na ganek, wszędzie swatek ścigany chórem, wszędzie chcąc przemówić a nie mogąc słowa wypowiedzieć — i wszędzie na około woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

Wreszcie stanął w kaplicy zamkowej kędy jego naddziady w kamiennych spoczywają trumnach. — Gromnic kilka nad niemi się pali i zewsząd czarne spływają obicia bramowane srebrem. — Ona z rąk starca przypadkiem na grób ostatni, najmłodszy, na grób własnej matki się ztoczyła i siedzi, milczy, truchleje. — On rzekł do niej: „Bóg nie raczył po mieczu przeciągnąć mi rodu, kądziel tylko pobłogosławił w domu moim — lecz ten który cię pojął, przysiągł imię naszę przybrać i dzieci twoje zwać się będą jak ojcowie moi — szanuj szczęście którem Opatrzność cię uwieńczyła. — Pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów, niema w całej ziemi naszej — pamiętaj więc być mężowi do śmierci posłuszną i wierną“.

Te słowa mówił głuchym głosem — zdawało się że każdem z nich probuje serce milczącej — lecz kiedy nic nie odpowiadała, kiedy tylko coraz niżej spuszczała skronie i w końcu jej czoło utonęło w jej dłoniach i wieniec ślubny zśliznął się z włosów, on z jękiem zawołał: „Czy słyszysz, nadchodzą cię oderwać od łona na którem wzrosłaś — pożegnaj mnie mówiąc, żeś szczęśliwa.“ — Lecz ona cisnąc jeszcze mocniej ręce i kryjąc oczy milczała. — „Dziecię, ty chcesz bym się położył obok tych umarłych i nie wstał więcej. — Dotąd w spojrzeniu ócz twoich błękitnych był mój spoczynek po burzach tylu — jedyną perłę moją oddałem w cudze ręce, bom chciał by nieznanym zajaśniała blaskiem. — Co się dzieje tobie, dziecię? przemów do mnie słowo jedno — raz jeden się odezwij, choćbyś miała się skarżyć, lub wyrzec żeś nieszczęśliwa!“

I z przerwanym oddechem, oburącz wsparł się na grobowym marmurze, czekając odpowiedzi. — Do połowy nóż tkwi mu już w sercu — jeden jęk, jedna łza, jedno jej wzdrygnienie może teraz to serce rozerwać. — Ona wzniosłszy oczy, zdała się śledzić wyrazu litości na ojcowskiem licu i zdała się przez chwilę wierzyć iż jeszcze nie wszelka zniknęła otucha. — Zsunąwszy się, klękła na głazach, modli się słowmi i całą postawą do niego — – dreszcz gwałtowny odrzucił starca od pomnika żony.— „Co za imię wyrzekłaś — nie powtarzaj go — możem nie słyszał dobrze — milcz — milcz — nie — ty nie mogłaś myśleć o wygnanym niewdzięczniku, co teraz z wrogami na mnie spiski knuje, za to żem mu świetne losy gotował w przyszłości, za to że był synem brata mojego! — a jeśli go żałujesz, jeśli kiedy miałaś nędzną nadzieję że ci pozwolę buntownika widzieć lub rękę mu twoją oddać, ach! wraz z nim i ty bądź przeklęta!

Podniosła się dziewica — ona dotąd cierpiała w milczeniu jak smętna ofiara niesiona na mściwych Bogów ołtarze. — Teraz odparła zimno i stanowczo: „kochałam go, ojcze.“ — Starzec nie dotrzymał tym cichym, śmiertelnym wyrazom. — Zakręciło mu się w głowie i zniszczony jak wszystkie nadzieje którym ufał, padł u stóp grobowca

— przez chwilę duch jego wraz z duchami przodków spoczął w nicości — a kiedy się przebudził ujrzał nad sobą twarz bladą córki i uczuł jej uściski wołające go nazad do życia, i usłyszał zarazem tuż nad sobą brzmiące ślubnej pieśni zwrótki — próg kaplicy przechodziły szukające niewiasty i szły śpiewając i zwolna śpiewając otaczały oblubienicę śnieżnem kołem — za każdem słowem zbliżają się bardziej — ona chowa się pod ramiona jego!

Wreszcie objęły ją, porwały i wloką sypiąc kwiaty na podłogę, paląc kadzidła i nowym hymnem głosząc wschód jej nowego życia. — Starzec stąpa za chórem, z daleka, leniwo — i gdzie rozwijały się drogi, gdzie ją swatki unieść miały do ślubnej komnaty, stanął, i nad zemdloną znak błogosławieństwa ostatni raz kreśli — potem został sam jeden i ku salom godowym zmierzać zaczyna — stopniami odzyskuje przytomność, wolą duszy prawdę jakby sen zwodliwy rozgania, a rozkazując jej niebyć, uwierzył może iż nie było jej nigdy. — Kiedy wchodził między biesiadujących, znów władał sobą i spokojna powaga leżała mu na twarzy.

Pan młody przemawiał do przyjaciół: „Wy z którymi dni tyle przebyłem w obozach i na łowach, słuchajcie drodzy! wam jeszcze i tę noc poświęcę — ślubuję nie spojrzeć na żonę moją aż wejdzie pierwszy promień świtu. — Jak tam na niebie?“ Do okna skoczył jeden z towarzyszy i krzyknął: „księżyc dopiero w samym środku nieba.“ — „A więc do was jeszcze i z wami“, zawołał młodzieniec i wychylił czarę i rzucił oprawną złotem, sadzoną dyjamentami, przez stół najbliższemu. — Ciężka dłoń starca w tej chwili na jego spoczęła ramieniu — obejrzał się i chwytając za drugi puhar: „zdrowie twoje, ojcze,“ rzekł, i „wy wszyscy spełnijcie je ze mną.“ — Ale pan zamku nie podziękował, jedno wskazał zięciowi otwarte podwoje i dalekie zakręty, któremi szły niewieście postaci wracające w milczeniu i ginące w cieniach. — Młodzieniec odparł potrząsając płowych pukle włosów: „Patrz na tych wesołych i mężnych co mi po dziś dzień służyli tak wiernie — przysięgą związałem się z nimi — do ju-

trzenki razem pić będziem i śpiewać. Tę noc najpierwszą, najmilszą poświęciłem im“ — to mówiąc porwał za dłonie obok stojących i krzyknął: „Za to podłych buntowników motłoch ścigać będziecie w tych górach, póki mi rozkazów a wam ducha stanie,“ — wszyscy odkrzyknęli chórem: „Niech żyje książe nasz!“ — Z razu twarz starca pokryła się gniewu rumieńcem — ale te wyciągnięte ramiona, te dobyte do połowy miecze, ten zapał ich wszystkich, myśli jego rozerwał — wspólna sprawa lepszą ich połowę zabrała. — Przyszłość i potęga, duma i nienawiść przesłoniły mu postać samotnej, płaczącej, opuszczonej — i sam dodał głosem który niegdyś grzmiał pośród szczęku bitew: „Biada buntownikom!“

Dłużej jednak z gośćmi pozostać nie raczy — ponuro skinął na giermków. — Oni przed nim z pochodniami stoją. — Młodzieniec na chwilę odbiegł swoich i teścia odprowadza aż do progów sali. — Teść go pożegnał zimnym wzrokiem wstrętu. — On wraca i woła: „Przez dobry kindżał mój, nie cierpię przymusu — świeżom pojął dziewoję, nie żadne kajdany. — Smutny księżyc niechaj starym pannom zmarszczki srebrem krasi — mnie rumiane słońce wyda piękną żonę moją“ nożem greckim rzucił w złoty gwóźdź przeciwległej ściany — trzydzieści noży dobyli z pochew towarzysze — żaden celu nie utkwił tak blisko — zatem nalawszy pełne czary piją chwałę wodzą! — On stał się piękny krasą próżności na licach — ręką rozwiewa i głaszcze sobie włosy — żartami ściga towarzyszy, dowcipnie, ostro, brzęcząc i kłując jak osa — oni mu odpowiadają szumem poklasków. W takowych chwilach duszą na zewnątrz podany zwykł on wdzięcznie się ślizgać po samej życia powierzchni — krew mu się z serca przenosi do twarzy — tam ona łudzi rumieńcem — rysy grają — oko płonie; lecz w sercu pusto jak u zalotnicy!

II.

W pieśniach waszych ludzie prości, zapamiętana dolina, w której raz ostatni wódz przemawiał do braci. — Ojcowie ją wasi odtąd nazywali jarem pożegnania — i dzieci

wasze ją tak zwać będą, jeśli pieśń przetrwa jeszcze jedno pokolenie — jeśli mowa wasza nie zgaśnie wraz z wami!

Wśród trzech wzgórz łagodnej pochyłości, których stopy kąpają się w tem samym strumieniu, a czoła odeszły od siebie powiewając gęstemi krzewy, stanął w miesięcznych promieniach człowiek, co przed godziną wyniósł klątwę z domu Bożego. — W około na piętrach zieloności leżały rozciągnione, lub jeżyły się w dół nachylone postaci, czarne od stóp do gardła, blade na twarzach, migającą tu i owdzie uiskrzone bronią. — Znać czekali nań ci wszyscy, bo jak tylko się ukazał, leżący powstaną, stojący schodzą niżej ku brzegom ruczaju, a z każdego wzgórza podnosi się sztandar i pływać zaczyna w powietrzu — lecz żaden okrzyk się nie rozległ. On sam dopiero, kiedy usiadł na głazie obalonym w poprzek strumienia i głowę schylił i dłoń opuścił między cieknące fale, on pierwszy przerwał milczenie — głos jego szedł za szmerem wody, jak śpiew za wtórującą struną, a każde słowo, choć ciche, padało wyraźnie na serca przytomnych.

„Na czas tylko byłem wodzem waszym. — Zapomnijcie o mnie, strzeżcie słów ostatnich, które powiem do was — w nich prawda stara jak te skały, jak te gwiazdy święta!

„Od tysiąców lat ojcowie nasi posiedli tę ziemię — nie słychać by kogo z niej wygnali lub ujarzmili na niej.— Jak kłosy niw, jak sosny borów, tak oni byli jej synami — a pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy, bo czego ucho nie słyszało, oko nie dowidzi, ale dusza mężnych kocha — Wolność — była ich udziałem.

„Nadciągnął król południowy z służalców tłumami. — Z razu zdradne sypnął uszom słowa, bardziej zdradzieckie sypiąc oczom skarby. — Różny od was wiarą i mową, co Bóg rozdzielił on to zespolić chciał, a gdy nie poszło mu po myśli, teraz nituje nas z sobą ogniem i żelazem! — Hańba miastom i panom dolin — w jaskinie gór, w jamy puszcz schronić się nie śmieli, poddali się najezdnikowi — lecz wyście do nich zeszli, jak do grobu — za to przyjdzie zmartwychwstanie na was!

„I już sam wróżbę lepszej przyszłości widziałem — jedenże od dwóch lat dwór królewski spłonął? — gdzie

ciężko zbrojne najemniki co nas zdeptać mieli? Wszak nad ich trupami słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienia sępów, i wilki noc całą skowyczały z radości! — lecz by odzyskać ojców puściznę, długo wam trzeba jeszcze krwią ciała pracować!

„Teraz właśnie gdyście z pokątnych tułaczy na groźne męże wyrośli, łudzić was zaczną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich, złote góry. — Ich dary marne garści błota! — Wznieście oczy — dość miejsca dla dusz waszych po tych błękitach zostało — nie żałujcie więc szarej ziemi gdy przyjdzie w boju umierać. — Lecz kto broń złoży, temu niechaj zawsze twarz Boga czarną będzie z tamtej strony grobu!

„Nie rozsypujcie się po równinie by gonić za plonem. — Anioł stróż wasz mieszka w tych górach. — Dopiero później przyjdzie pora łupów! Słuchajcie owych siedmiu, którzy mnie wodzem postawili nad waszemi młodzieńcy. — Znękane siwym trudem ich prawice, ale rozum w nich króluje nad ciała gruzami — kiedy was zwołają, zbieżcie się co do jednego — kogo wam obiorą hetmanem, za tym idźcie w nieustraszonem milczeniu — i zwyciężajcie jakoście zwyciężali ze mną — mnie inna dola porywa. — Jutro moje już nie na tej ziemi. — Bracia, ja żegnam was na wieki!“

Umilkł i zerwał się widząc, że księżyc już wysoko stoi. — Oni schodzą ku niemu, a wiją się chyżo i zewsząd go czarnem obwięzują kołem — potem podszedłszy bliżej, staną i wołają: „Gdzie idziesz, wodzu nasz?“ On rękę wyciągnął ku łunie co za wzgórzami blado płonęła. — „Stój... to ogień wesela z zamku przodków twoich odbity na niebie — my cię nie puścim do tych, którzy cię nie cierpią, do tej, która cię zdradziła!“ — Na te słowa, on skoczył z głazu, krzyk jego przebił piersi wszystkich przytomnych: „Kłamcy! ona mnie nie zdradziła, bo dziś jeszcze spać przy mnie będzie, spać będzie na wieki! — Poświęciłem wam dom i dostatki ojców, życie i szczęście z nią. — Ale śmierć z nią sobiem zachował — nadeszła ta chwila moja — puszczajcie mnie!“ — i przechodził wśród nich, pióra jego czapki wiatr niósł nazad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza nazad, ale on szedł naprzód i gdzie skinął dłonią

tam stawało się pusto — pomieszane wrzaski się wzniosły — jedni uklękli, drudzy pobiegli i znów w oddali murem przed nim stają — a wszyscy proszą by się zatrzymał, obiecując porwać oblubienicę, świadcząc się Bogiem, że choć w zamku dobór rycerskiego ludu, oni go zdobędą przed świtem. On się zatrzymał — ucichli — głos jego się rozrozległ, wdzięczny jak za dni dobrych, lecz stanowczy jak na polu bitwy! „Dzięki wam, bracia! ale starca śpiącego w komnatach przodków moich, nie przebudzi szczęk szabel waszych — wzrosłem pod cieniem jego ręki. — On pierwszy usta moje nauczył imienia Ojczyzny. — On pierwszy usta moje zapoznał z chucią bitew. — Nim zatkniecie na jego zamku sztandary te czarne, święte, moje własne, wprzód mi umrzeć trzeba. — Taki los mój — raz jeszcze bądźcie mi zdrowi!“ — I odszedł kilka kroków i dodał jakby już nie do drugich się odzywał ale sam do siebie: „Co ksiądz zwiąże, tego człowiek nie rozwiąże — chyba przeciąć musi!“ — I mimowolnie wzniósł sztylet w górę — klinga kąpała się w miesięcznych promieniach, jako nowo narodzony meteor, świetlana i czysta.

Oni patrzyli za nim, potem szli za nim w milczeniu, opodal, z spuszczonemi głowy, bo wiedzieli, że co on raz wyrzekł, to bez chyby się stanie. Oddawna krążyły przepowiednie rokujące mu zgubę. On sam, nieraz ściskając dłonie towarzyszy, mówił że niedaleki dzień rozstania. A nie od miecza wrogów w pobliżu, ni od ich pocisku w oddali poledz miał, ani też zgasnąć z niemocy na chorobnej pościeli. — Inną mu śmierć sny własne i cudze czary zwiastowały! — pogrzebnie więc stąpali za nim spiskowi. — On już im wydawał się duchem! — Lecz kiedy zaczął wstępować na wzgórze, kiedy pióra jego czapki z nad krzewów i skał powiewając, sunęły tu i owdzie, przepadały i znów bielejąc wznosiły się wyżej, rzucili się w pogoń. — Tak on i oni piętrami murawy przegrodzeni ku temu samemu wierzchołkowi się darli. — On pierwszy go dopadł. Ztąd widna jeszcze lepiej łuna i zamku wieżyce, a tuż pod nogami przepaść grzmiąca hukiem wód śniadych, i pień sosnowy rzucony mostem ze wzgórza na wzgórze — nim zdołał nań wstąpić znów go otoczyli — rzucił się,

odepchnął najbliższych, i dwoma skokami po chwiejącem się drzewie dorwał się przeciwnego wzgórza — spadł lekko pochylił się gibko i z olbrzymią siłą wyrywa pień z pod głazów które go trzymają — wstrząsł go i puścił — pień jak wahadło zniża się, przebiega przestrzeń i zawisa, ciężko tłukąc w skały, u tamtego brzegu. — Zdało się im że błyskawica oczy im zaćmiła — przeszła teraz, lecz za późno — darmo krzyczą i wyciągają ręce — już on się od nich tym jarem przedzielił na zawsze — raz ostatni czoło jego oświecone miesiącem, widne w całej życia piękności! — Zdało się, że chce pobłogosławić ludowi swojemu, bo trzymając zawieszone nad przepaścią dłonie: „W imie Boga, krzyknął! wieczny bój między wami a południowym królem!“ Na okół dziesięć opok ten głos powtórzyło, i głąb jaru powtórzył go także — w tej chwili sam wódz zniknął wśród krzewów. — Spiekowi przysłuchują się jeszcze, ale prócz szumu fal już nikt nie mówi do nich!

Nieszczęśliwy! teraz dopiero w oczach twoich błyska iskra szału! — Walczyłeś z nią dopókiś był pod jarzmem spojrzeń bratnich, niechcąc im po sobie zostawić słabości wspomnienia — lecz jak tylko stało ci się wolno i samotnie, zrzuciłeś powagę — jak płaszcz na ciernię drogi! lecisz gnany zemstą — zawieszasz się na urwiskach — sadzisz przez rozłomy. — Przelękła sowa z krzaków się podnosi, plaśnie skrzydłami i dalej zapada. — Lis czatujący w świetle księżyca, milczkiem sunie w ciemniejsze gęstwiny. — Wilki stanęły z obu stron wąwozu. — Jak strzała przeleciałeś nie słysząc ich skowyczeń — one przed blaskiem ócz twoich przypadły do ziemi! — Ty już stajesz na równinie. — Ognik przyleciał z przyległych trzęsawisk — zaśmiałeś się dziko „na wyścigi ze mną, przyjacielu!“ on obwinął się na około czapki twojej i strugą sinego światła oblał ci piersi — oba równej lekkości i równie znikomi w uścisku bratnim chwilę przepędziliście razem — lecz on pierwszy zgasł. Ty znów cały czarny, przez łąki gonisz i zbliżasz się do zamku naddziadów.

A zamek na wzgórzu jaśnieje setnemi ogniami. Ogrody schodzące ku równinie, leżą tak przejrzysto, tak cicho, tak

sennie, że zdają się marzyć o szczęściu oblubienicy — nad niemi płynie odgłos weselnej muzyki. — Lotna stopa wodza przylgnęła do murawy — zdało mu się że usłyszał śpiewu początek — jego oddalone zwrotki były raczej snem niż jawem — ale w tej mgle dźwięków uchwycił wyraz głosów niewieścich, przypomniał sobie zwyczaj dnia ślubnego podany od przodków — i lekszy jeszcze niż przedtem, rzucił się ku ogrodom — oburącz wgryzł się paznogciami w szczeliny murów — poderwał się — zawisł — stopami na mchu się oparł — rękoma dorwał się bluszczów — i podbił się znów w górę i mur przesadził! głucho zaszeleściały przyduszone trawy. — On z potrójną siłą powstał dotknąwszy się ziemi i na znajome puszcza się manowce.

Dęby, klony, modrzewie, wielkiego boru ostatki, suną czarnemi rzędami. — Tu i owdzie poziome gąszcze, winnice, łąki i pieśń słowika i ruczajów szmery, dalej wierzby płaczące i w dole cisza wód błękitnych podbita gwiazdami. — On wiek młodociany przeigrał pod temi drzewami, przepływał na tych wodach — lecz go nie zatrzymają teraz przeszłości wspomnienia — tylko w gaju rozkwitłych jaśminów, u stóp góry zamkowej jęknął przelatując koło głazu starożytnego. — Tu, wśród nocy podobnych dzisiejszej wymykając się strażom, objawiała się wygnanemu bratu dziewica, — tu, w jej oczach płonęła obietnica święta i pokój dotrzymań leżał na jej czole. — On goni dalej a twarz odwraca za siwym kamieniem!

Wśród fontan i pomarańczowych drzew, kryte sklepieniem wschody, prowadzą do zamku — przez granitowe koronki ostrołuków, padają na nie wzorem krat srebrnych promienie księżyca. — On równie pewny swego, czy na wypukłościach światła, czy na ciemności wyłomach, pędzi, wspina się, coraz wyżej się podnosi — wreszcie stanął na równi z zamkowym krużgankiem. Tu, pióra z czapki zerwał i wychylił z pod sklepienia głowę. Pusto wszędzie — z lewej strony słychać pieśni i wrzaski — poznał że od nich brzmią ściany sali godowej — na prawo milczenie, na prawo długi rzęd okien od księżyca tylko roziskrzonych, lecz w końcu krużganka tam gdzie się zaczyna baszta

zachodnia, przez drzwi szklanne, rozwarte, promień lampy się wymyka — i niby jak jęk czasem ztamtąd się odzywa, ale tak nieujęty gdy mimo przelatuje, że go raczej żądzą ducha uchwycić można niż słuchem. On go schwycił i wyskoczył z cieniów przejścia krytego, podobny zmartwychwstającym — i szedł prosząc się kroków własnych, by milczały, szedł opierając się o filary i poręcze, wszystkiem ciałem podany naprzód. — Lecz nim doszedł rozemkniony podwoi, kiedy już widział zasłonę co z nad nich się wyrywając śnieżnie w powietrzu igrała, kiedy uczuł że za tą cienką oponą śmierć i życie powiązawszy dłonie, na niego czekają, stanął i położył rękę na sercu — bo mu się zdało ze serce z piersi wypada — palce spotkały się z zimnem żelazem sztyletu — ścisnął je, ścisnął i przystąpił z boku i przyłożył czoło do szyb drzwi gotyckich. Dziwna że nie pękło czoło!

Zrazu ujrzał tylko plamy czarne i iskry ogniste, co mu się z głębi mózgu własnego sypnęły — potem rozwidniać się zaczęło stopniami — to obicie lazurowe wystąpi i znów mgłą zajdzie — to błyśnie lampa srebrna i zniknie. — Ogromne zwierciadło o ramach złotych staje przed jego wzrokiem — naszyjniki, łańcuchy, manele, rozrzucone mignęły — przejrzał teraz — nic już nie drży, nic się nie krzyżuje. Pod wiązaniem makat purpurowych na łożu siedzi oblubienica, sama jedna. — Znać chór swatek obchodząc poobrzucał ją kwiatami, bo pełno ich na jej włosach, na jej piersiach, a nogi na kobiercu złożone pod liściami róż toną. — Czasem westchnie jak owi nieprzytomni sobie co już nie myślą o doznanych bolach — czują je tylko — sami stali się bolem! Wtedy kwiat jakiś osuwa się z nad jej łona i pada na ziemię — a jako fijołki, mirty i lilije, spływają po jej śnieżnej sukni, tak za każdem westchnieniem łzy płyną zwolna po jej białem licu!

Drzwi oddalone skrzypnęły — mimowolnie odskoczyły jej ramiona — wyciągnęła szyję jak łania obudzona psów dopadających graniem. — Słucha, czeka, płonie. — I znów bliżej coś się ruszyło. — Zerwała się, uciekła w głąb komnaty, czepia się zasłon obicia, koło siebie je obwija i znów z pod nich się wymyka, bieży dalej, wreszcie padła

na kolana, krzycząc: „Ty!“ — na więcej sił jej nie stało, w tem jednem słowie ostatnią nadzieję zamknęła i niewzruszoną na tem samem miejscu, w tej samej postawie została! — Nic już nie słychać — przepadły gdzieś kroki i głosy co przed chwilą brzmiały. — W tem nagle pękło milczenie. — Ten, którego wezwała stanął przed nią i poderwał ją z ziemi, lecz nie przycisnął do serca, rzekł tylko: „Jestem!“

Ożyła i dziwnym sposobem zakwitła: „Wiedziałem, wiedziałem że mi się w wyrocznej godzinie ukażesz! Lecz ty może mnie przeklął w sercu — wiem — ach! słuchaj, bo oni się nie śpieszą, nie nadchodzą jeszcze, słuchaj mnie! — Kiedy mnie wiedli do kościoła, szukałam cię wszędzie oczyma; kiedym klękła przed ołtarzem, szukałam cię myślą na około, bo oczy nie służyły, łzami na dół ciągnione — na zamku podczas tańców kiedy mi wszyscy winszowali, słuchałam czy twój głos po nad inne nie zagrzmi — i teraz jeszcze, kiedy każda chwila niosła mi konanie a mogła zgubę przynieść, nie opuściła mnie wiara. — W odrętwieniu siedziałam a duszy wzrok gonił za tobą po dalekich polach — czułam w sercu że przebiegasz dolne ogrody — com czuła, ziściło się — daj rękę — zbawiona jestem!“ I uginając się jak wysmukła latorośl, śmiało oparła się na jego ramieniu!

Kto widział we śnie duszę wydartą piekłu, porwaną do nieba? Kto czuł co być Bogiem na chwilę, gdy piorun szczęścia w serce uderzy? Wódz dotąd szedł myśląc że spotka się z niewierną — teraz gdy ujrzał, gdy usłyszał kochającą, zapomniał o zemście i śmierci, potężnym i nieśmiertelnym się staje! — Młodość jego dopiero dzisiaj się zaczyna — jednem jej skrzydłem miłość, drugiem będzie chwała. — Precz prochy ojców! on wróci do opuszczonych braci i za nim pójdzie ta co pewna ratunku, co zwieszona na jego ramieniu, pasmo własnej przyszłości zdaje się oddawać mu w ręce! — Snujcie się malowane chmury wyobraźni! — piękne jesteście, bo was słońce życia ozłaca zachodem!

W gorączce, w omamieniu zawołał głosem dźwięcznym, głosem uwodzeń: „Czemuś tę obrączkę włożyła? Czyż nie

lepiej było wyzwolić się ucieczką do tych gór, przed ślubem. Lecz i teraz one cię zbawią, bo ja w nich panem!“

„— Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! kiedy nam tak mało teraźniejszości zostało! Czy ty nie rozumiesz mnie? czy ty wątpisz jeszcze o mnie? Wszak ci przysięgłam, że lud twój będzie ludem moim a Bóg twój, Bogiem moim! — dotrzymam! Lecz wprzód trzeba mi było pożegnać się z ojcem — nieprzerywaj — kiedy nieufasz, słuchaj do końca — dobądź miecza tylko — gdyby nadeszli, rzucę się w twoje objęcia! — Ach! ojcicc przyszedł i prosił i błagał! — ty wiesz jak twardym głosem rozkazować umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przeklęstwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecię, że go strąca do grobu. — Książe, zięć przyszły, obiecywał przybrać imie nasze, prowadził służebnych pod zamek i wołał na ojca: oto będą twoi! — Ojciec ukląkł przedemną i dłoń moją położył na siwych włosach — krew rozrywała mu skronie — widny był na jego czole konający sen życia całego, mara wielkości i panowania wyciągająca ręce do mnie! Wtedy zdjęła mnie nieskończona siła! wyrzekłam słowo przystania, oddałam rękę nieznanemu, obojętnemu, ach! niecierpianemu, bo u mnie niecierpiany każdy, kto twoich oczu niema, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha! — Miasto córki, pan tego zamku dostał syna. — Tysiąc obcych rycerzy wsparło starą rodu naszego budowę. — Teraz odejść mogę — teraz ci powtarzam: lud twój ludem moim i Bóg twój Bogiem moim. — Lecz ten lud, Bóg ten, lecz ta wiara moja, wiesz li jak się dzisiaj zowie?“ — Młodzieniec zaokrąglając ramiona koło jej kibici i patrząc w stronę krużganku, „Jak, mów jak?“ zawołał. — Ona wtedy odparła głosem wyrzutów: „Nie wątp że śmiercią. — Dopókim na ziemi, dopótym żona innego człowieka — odzyskać mnie możesz tylko w świecie duchów — lecz ścieżka doń niedługa, patrz takiej samej dłuży co żelazo twoje!“

To słowo: żona, spadło z jej ust jak kamień na serce wodza i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodzi od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłoni od klątwy kościoła, bo co ksiądz

raz związał tego człowiek nie rozwiąże. — Ach! zimno i słabo stało się w duszy wodza. Ta jedna chwila szczęścia co już przeszła teraz, siłę mu wszystką odjęła. — Drży z bojaźni jakby teraz dopiero ujrzał długą rękę śmierci przytkniętą do serca kochanej. — Nie — on sztyletu na nią podnieść nie zdoła — jutro — pojutrze, on legnie w pierwszym lepszym boju — a ona niech żyje — najpiękniejsza postać wśród ziemskich, niechaj zostanie na ziemi! — Jęknął i porywa się z miejsca — ściany łamią się przed jego wzrokiem i płaczą — on ucieka, lecz siostra doleci go u progu: „Co zamyślasz? gdzie gonisz niewierny? Albożeś nie przyszedł mnie wyzwolić? jedno wykraść i i zhańbić mnie chciałeś?“

„O! nie zdradzaj! — o! nie opuszczaj! — za chwilę cudzoziemiec tu przyjdzie i skazi tchnieniem nieskażoną twoją — a jeśli objęciom wroga ty mnie sam wydasz, wiesz-li jaka przyszłość? — On mnie zapędzi na dwór królewski pomiędzy obce twarze i ułudy i pychy, by chlubić się z mojej urody, by pokazać panu swemu, że zerwał kwiat starożytnego szczepu! — A pan wtedy co pocznie? a sługa jego, mąż mój, co uczyni? — Patrz na starych. — Oni złorzeczą temu co ubóstwiali za młodu, drogo cenią czem gardzili niegdyś — kto ich przetworzył? — Czas uczuć morderca, czas róż świeżych na dawnych gruzach przemierzły ogrodnik, może on i na moje oczy rzuci zasłonę, za którą zniknie twarz twoja. — Będę sama, sama jedna. — Ty daleko, po skałach, w jaskiniach — zewsząd wszędzie ponęta, nuda tylko w sercu mojem — i gdy ty się tułasz, rycerze królewscy może będą powtarzać imie moje przy puharach wina — może ich śmiechy kiedy dolecą twojego ucha i przeklniesz siebie, żeś mnie nie zabił! — pchnij mnie w serce, — wyrwij mnie potworowi!“ — I w obłąkaniu wyciągnęła ręce jakby straszne widmo odepchnąć chciała: „Patrz! na jego czole słowo: hańba, sadzone dyjamenty — w oczach piekło błyszczy a miasto ramion dwie syczące żmije — one pełzną przez powietrze — dotknęły mnie — opasały, głowy zanurzyły mi w piersiach i z serca mego jak z czary krew moją czystą, krew moją

świętą piją!“ Tu padła na kobierce stopy mu oblewając łzami i długiemi warkoczy.

Jak piórko ją podniósł: „Przez imie Bogarodzicy nie dopełni się ziemskie przeznaczenie twoje. — Czysta wśród najczystszych, ty przeminiesz jak płomień kadzideł!“ — Tu, znać pękło mu serce bo rysy męzkiego oblicza poszły w rozsypkę i skłonił głowę i do każdej łzy jej równie gorżką, równie niewstrzymaną przylał. — Lecz to ostatni znak słabości czy wahania, walki czy żalu w nim. — Blada spokojność osiadła na jego twarzy — i przycisnął dziewicę do piersi: „Tym pocałunkiem skazuję cię na śmierć — kto pierwszy dotknął liców twoich a imienia niezdołał ci wraz z tchnieniem ust przelać, z tego ręki zginiesz! — Nie w innej myśli szedłem, siostro, do ciebie — ale kiedym cię ujrzał, pokusa szczęścia mnie uwiodła. — Daruj! potem gdym osłabł wśród marzeń, strach słabego ogarnął — przebacz mi! Teraz pokusa i strach odeszły na zawsze — teraz módlmy się — bo razem ztąd odlecieć musimy!“

„Nie!.... ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu. — Ja w czyscu czekać będę na ciebie, cierpliwa i tęskna. — Rzucaj tylko czasem tam kędy mnie pochowają, pióro z hełmu lub pierścień z kolczugi. Grabarz spostrzeże się z rana i powie: ktoś był tu w nocy, jeszcze ktoś pamięta o niej!“ — I natężonym wzrokiem jaskrawo wglądała mu w oczy. — On jej przerwał żelaznym dłoni uściskiem: „Duszą własną, duszę twoją przed sąd Boga zawiodę!“ — i dodał żałobniej: „Czem mogłem, póki mogłem, służyłem ludowi mojemu. — Sztandar jego zatknąłem na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice. — Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li czyjebym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy? — Na czyich podwórcach zasiąść jako sędzia i niszczyciel? — O idźmy ztąd razem, siostro — tam kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodzieńcy, tam niemasz zdrady i ucisku — tam i zemsty niemasz!“

Boskie uniesienie twarz jej owiało i rzuciła się w wodza objęcia — ni słowmi, ni łzami już dziękować nie zdoła, ale

zdziera z palca złotą obrączkę wroga, idzie ku ślubnym wezgłowiom, na jednem z nich ją składa, potem odwróci się ku wodzowi: „Teraz tyś pan i mąż mój na wieki!“ — i spuszczając oczy, wnet uklękła i modlić się zaczyna modłami umierających. — On ukląkł także — czasem wtórował jej słowom, czasem milczał w ponurej powadze — wtem obejrzy się ku otwartym na ganek podwojom i rzekł: „już świtać zaczyna.“ — W tej chwili obudzonych ptaszął głosy odezwały się z okolicznych gajów — ona zbladła. — „Oprzej się na mojem ramieniu — spojrzeć na świat chodź raz jeszcze ze mną!“ — Poszła za nim i stanęli oboje na progach krużganku.

Księżyc gdzieś za wzgórzem zamkowem kona — śniado błądzą jego ostatnie promienie po dolnych ogrodach — w powietrzu snują się wyziewy, niby płaszcze królewskie, niby dziewic zasłony, przetkane jutrzenki czerwienią. — Wszystkie obrazy i obietnice życia, raz jeszcze w tej przedostatniej chwili, stanęły przed ich oczyma — w pobliżu zaraz szmer i błysk fontan, wdzięczne kształty filarów, kwieciem umajone krzewy! — Dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki i las gęsty w dole — za lasem już otwarte pola — a dalej jeszcze w odbłyskach zorzy, wolnych wierzchołki gór! Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatera kiedyś gwiazda chwały! a teraz cały ten widnokrąg będzie mu tylko zapomnienia grobem! On wlepił wzrok w góry, a śmiało żegna się z niemi — ona z schyloną głową ciśnie się k'niemu, wzywając czy prędszego zgonu, czy spojrzenia miłości. — Darmo świat budząc się coraz żywiej, coraz im głośniej radził by czasu nie porzucali dla wieczności — nikt nie wie, co w ich duszach się działo. — Ona coraz bardziej ciężała na ramieniu brata, a z włosami jej ranny powiew igrał!

W tem głosy rozhuśdane wzniosły zdrowie czyjeś w oddalonej sali. — On się wzdrygnął — ona może już nie słyszy — potem sypnęły się na krużganek gęstych stóp hałasy i z ukosa błysnęły pochodnie. — „Boże! zawołał, wszak dasz braciom moim zwycięztwo!“ — i uniósł zdrętwiałą w wnętrza ślubnej komnaty — po murach zamku

obite wzorem piłek skaczą wiwaty podchmielonej zgrai.— Znać pan młody spieszy do żony z pierwszym dnia promieniem. — „Czy widzisz, krzyknęła, wyciągając ręce ku zwierciadłu, niepoznając już siebie samej, jaki piękny anioł mój!“ — „Ah! piękny, powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, w drugiej ręce wzniósł śmiertelne żelazo. — W tej chwili odgłos szybkich, lekkomyślnych kroków dochodził drzwi krużganku.

III.

W komnacie, w której ojciec mieszkał, kędy dziad i pradziad mieszkali i umarli, siedział starzec na starożytnem ich łożu — ani raczył przysporzyć wygody sędziwemu ciału, szat nie zwlókł, sługi gniewnem odepchnął słowem, jedno łańcuch z medalem królewskim zrzucił z szyi, jedno szablę odpasał i oparł o stół dębowy. — Za łożem kaplica wydrążona w ścianie, z ołtarzem i szczerozłotą lampą. - On nie odwraca się ku niej by zmówić jak co dnia pacierz przed zaśnięciem. — On wie, że nie zaśnie dzisiaj! Czasem tylko oczy wzniósłszy patrzy na przodków obrazy niewzruszonemi źrenicami patrzące na niego, a gdy obieży ich koło, znów wzrok smętnie spuszcza na dół.

Wiecie-li młodzieńcy, wy syny światła, kusiciele burzy, co się dzieje z duszą starców gdy prysną ich rachuby — ostatnie ich miłości na ziemi? — O nie, nigdy wam los tak gorżkiej nie podał trucizny. — Czas jak niewolnik niesie was na skrzydłach i przestrzeń skrzydłami rozrzyna: choć sto gwiazd zagaśnie z tyłu, sto innych przed nim zapala się dalej. — „Naprzód w nieskończoność,“ oto hasło wasze. — Lecz oni pozbawieni jutra! — już im trumna w poprzek progów leży a jedna tylko gwiazda tleje nad źrenicą. — Oni modlą się do niej: „Tyś słodka i poczciwa! — nie uciekasz jak księżyc w jeziorach młodości, ni pękasz jak meteor ciepłych nocy letnich — po długiej drodze dopierośmy twoje dobre światło ujrzeli — o bądź nam wierną, o świeć nad domem naszym, byśmy jeszcze żyć mogli na ziemi!“ — Wtem prawda zstąpi w ich

dziedzińce, przesunie się jak wąż ślizka, naga, wśród zamkowych murów i dojdzie progu i siądzie na trumnie wyrok zawodu śpiewając — na głos jej, ostatni promień odrywa się z niebios, i noc wieczna staje się na imię światu!

Patrzcie! z babiego lata jednej śnieżnej pajęczyny nie zostało w ręku starca! — Czy słyszycie jak łzy córki zaczęły padać mu na duszę zarzewiem? jak śmiech księcia jej męża brzmi przeciągle w jego uchu? Zerwał się z łoża i kroczy gwałtownemi kroki. — Darmo siedemdziesiąt zim przeciągnęło mu nad głową, on dumny dotąd! on nieodgadł tajemnicy życia! — odmęt zgrozy, zemsty, wahań, postanowień wplótł mu serce na koło męki. — Króla i zięcia i siebie przeklina — lecz nie pęknie serce zanim wejdzie pierwszy promień słońca!

Wreszcie sterane ciało padło na krzesło o złoconych poręczach i herbach. — Zniżyły się ramiona, opuściły nogi — oko odsłonione, martwe, wlepiło się w przeciwległą ścianę. — Choć nie rusza ustami, wciąż mu się zdaje, że własny głos słyszy — choć leży w odrętwieniu, wciąż mu się zdaje, że zamku przebiega komnaty, aż stanie w sali godowej i znów ujrzy młodzieńca siedzącego wśród zgrai.— „Precz mi ztąd, książe przybyłe z obcej ziemicy. — Przodki moje! powstańcie z grobów, otoczcie go rzędem. Czarny Hetmanie, wytrąć mu puhar z dłoni, ty Kardynale rzymski, wymów nad nim klątwę rozwodu!“ I słychać szelesty stóp umarłych ciągnące od zamkowej kaplicy. Rozwarły się na wścież ogromne podwoje — wchodzą wywołani. — Pan młody porywa się do szabli a drugą ręką pije do umarłych. — Wtedy sam starzec szuka miecza, rzuca się ku mieczowi oddalonemu, wiszącemu na ścianie — prosi się Boga by prędzej do miecza się dostać — na klęczkach się wlecze i pada i znów się wlecze, aż spotka kardynała w purpurze zblakłej od wilgoci podziemiów. Ten mu rękę zimną przyłoży do czoła i rzecze: „Co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże na ziemi.“ — I zniknęły cienie — i rozwiała się sala biesiad i znów on się widzi w własnej sypialni, na tem samem krześle — głucho, pusto, straszno — w tej chwili druga uderzyła na zegarze wojewodów!

Straszno, coraz straszniej! z kaplicy za łożem zielonawy odbłysk rzuciła lampa. — Przebóg! postać biała klęczy i jęczy na stopniach ołtarza — potem się odwróci i sunie ku starcowi, ręce jej w krzyż złożone na piersiach, suknia jak szaty posągów w tysiąc fałdów się łamie, ale się nie rusza. — Twarz znana, kochana kiedyś, twarz to żony nieboszczki — usta rozemknęły się na nowo, lecz głos nie jak dawniej rzewny i potulny, owszem rozkazujący i pełen wyrzutów. — On chciał jej odpowiedzieć a niemógł ręki wyciągnąć, jedno musiał iść po ciemnych zamku przejściach, tam dokąd go wiodła — koło kaplicy, koło grobu własnego nie zatrzymała się, szła przez zbrojownię wśród pancerzy i hełmów, szła coraz dalej aż do baszty zachodniej — wstąpiła na wschody, drzwi zaryglowane się przed nią jak dwoje cichych ust, rozwarły — pociągnęła starca skinieniem. — On poznał skarbiec i w ścianie strzelnicę wydrążoną nad ślubną pań zamku komnatą. — Tam mu umarła wskazuje by stanął i patrzał!

Przebóg! przed łożem ślubnem, naprzeciwko zwierciadła, ujrzał córkę w objęciach zbrojnego męża — poznał płomienne oczy i wyniosłe czoło wygnańca — dostrzegł nagi sztylet w jego ręku — usłyszał głos brzmiący jak dźwięk szklannej harmoniki: „Uderzaj śmiało, bo nie ty mnie zabijesz, ojciec już mnie wprzody zabił!“ — I postać niewieścia to mówiąc, garnęła się pod żelazo rycerza. — Starzec wszystkie siły do krzyku natężył, lecz nieprzerwał milczenia. — Dłoniami strzelnicę rozerwać usiłuje — zimny granit się nie ruszył — więc zdało mu się, że padł na kolana, że wołał do synowca: „Dam ci ją za żonę, będę walczył z tobą przeciw królowi, tylko mi jedynego dziecka nie zabijaj“ — To znowu że prosi się córki: „Dziecię, dziecię, zlituj się, on będzie mężem twoim, tylko niechciej umierać!“ — Lecz oni go nieusłyszeli — sinem światłem oblały się ściany, lampy gasnąć zaczynają, — w tem gwar słychać na krużganku. Pan młody podchmielony i skoczny wpada do komnaty — przyrósł do kobierca — sięgnął ręką do boku — nieznalazł miecza, ogląda się, woła, lecz nikt nie poszedł za nim! — Strach nakształt żywej śmierci, starca ogarnął. — Pan młody — rzuca się na wygnańca. —

Ten go odepchnął daleko, gdzieś aż pod samo okno, pytając: „Czego mieszasz spokój umarłych?“ — I coś błysnęło w powietrzu raz i drugi i trzeci. — Słaby krzyk wzleciał i uleciał — gasną lampy jedne po drugich, ostatnia nad zwierciadłem jeszcze się pali — w jej promieniach postać zbrojnego męża i postać dziewicy krwią zbroczone, gmatwają się, rosną, zniżają, wreszcie upadły. — W tej samej chwili trzecia uderzyła na zegarze wojewodów i znowu ocknął się starzec w własnej sypialni, u stóp własnego krzesła.

Do koła cisną się sługi i giermki z świecznikami — łoskot słyszeli, przybiegli, zastali go leżącym na kamiennej posadzce z skaleczonemi rękoma. — On się zrywa i znowu pada wołając: „Ratujcie dziewkę moją — zamordujcie syna brata mego!“ Oni go w pół biorą, dźwigają.— „Czy noc jeszcze, czy to dzień już? gdzie jestem?“ — i zatoczył się ku szabli opartej na stole dębowym, dobył ją, rękojeść przewinęła mu się w ręku, ostrze spadło na ziemię i wlecze się za nim — grube łzy z powiek mu pociekły. — Oni klękają przed nim, proszą o jaśniejsze rozkazy. — „Za mną, tylko za mną!“ odpowiedział przerwanym głosem i wpół-niesiony przez nich kwapi się ku drzwiom, wychodzi na kurytarze, spieszy się, pasując się z niemocą jak pływacz z falami. — Sługi spoglądając jeden na drugiego, żegnają się świętym znakiem krzyża.

Tak za jęczącym, za mdlejącym, za obłąkanym ciągnęła drużyna w stronę ślubnej komnaty. — Sen, zdaje się, głęboki spoczywa na tej części zamku — przez rzęd bocznych podwoi widać z daleka w sali biesiad porzucone stoły i dogasające światła. — Już też przez okna przejść wkradają się przedsłoneczne świty — wtem nagle zatrzymały się pachołęta niosące przed panem pochodnie. Z zakrętu ciemnej galeryi człowiek pędzi im na przełaj— włosy jego rozczochrane, szata rozdarta, ni sztyletu w pasie, ni miecza u boku, i sine usta i śniade czoło jakby śmierć nań wionęła przechodząc, a on przed nią dotąd uciekał. — „Nie puszczajcie ojca na krok jeden dalej“ i dopadł starca i uchwycił go za ręce — „Gdzie żona twoja?“ — Pan młody padł na kolana: „Poczekaj, ojcze, wróć do

twojej komnaty, tak rano śpiącej córki niebudź.“ — „A więc mówisz: nie budź jej, a więc ona się przebudzi jeszcze? — mów prawdę, człowiecze, bo zły duch mnie nawiedził snem strasznym — widziałem ją wołającą śmierci — a ty bezbronny tak jak teraz byłeś — i trzeci tam stał który dziecię moje zamordował — powiedz, wszak to wszystko marnym żartem nocy naigrawającej się z biednego ojca?“ — Schylił głowę Pan młody pod nieznośnym ciężarem tego zapytania, drży całem ciałem a wzniesionemi rękoma opiera się starcowi. — „Milczysz? ha! Bóg mnie skarał żem się pokłonił królowi twojemu i szukał związków z obmierzłą krwią twoją, cudzoziemcze! — Teraz ja sam jeden zostałem na ziemi!“ Zadrżały na ten krzyk starca wszystkie szyby okien i wszystkie serca przytomnych. — On chwycił miecz oburącz. „Milczysz? Ojcowie moi byli wrogami twoich — gdybym miał syna byłby twoim wrogiem? — córkem jedynaczkę miał tylko — bierz ten spadek po niej!“ I spuścił miecz, ale żelazo wyrwało mu się z dłoni i roztrąca się o przyległe filary — na ten szczęk zerwał się Pan młody i jeszcze starca wstrzymać usiłuje. — Pasują się oba, z podziwu i przerażenia nie podobni sobie samym, dzikich zwierząt wzorem. — Ale rozpacz sędziwe ramiona w żelazne kleszcze na chwilę przekuła. — Pan młody, choć tancersko gibki, już dźwiga na barkach dłonie przeciwnika, już gnie się we dwoje. — Starzec mdlejącego do reszty obalił i przekroczył przez rozciągnione ciało. — Teraz on już cudzej nie zażąda pomocy. — Sam stąpa dalej, paląc się wzrokiem, olbrzymim cieniem łamiąc się na ścianach, w rozwianych szatach, z okropną śmiałością. — Słudzy garną się za nim, sklepienie odjękuje odgłosowi ich kroków. — Już ich tylko jedna świetlica dzieli od komory pań zamku — na drugim jej końcu widać na wścież rozwarte podwoje, za niemi część kobierców i ścian ślubnej sypialni i okno od krużganku rozognione promieniami wschodu. Zresztą pusto, głucho, słychać tylko szmer bliskich wodotrysków. — Starzec prosto spieszy ku drzwiom onym i ku wschodzącemu słońcu!

A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Zdało mu się, że widzi

krwawe serce Boga w przestrzeniach. Olśnął na chwilę, idzie dalej omackiem, aż tu znów ujrzał krew czerwoną na ziemi. — Wszystkie mary snu strasznego otoczyły go napowrót w jawu promieniach. — Tak jak widział że upadli, tuż przed nim rozciągnione leżą ciała córki i synowca. — Wzniósł ręce w górę wzorem tonących i bił niemi marne powietrze, jakby usiłował się wydobyć z tego piekła widziadeł — potem niewzruszony pozostał na miejscu! — Tymczasem tłoczą się zewsząd do komnaty przebudzeni goście, służebni, lennicy, a każdy u wnijścia struchleje i w słup się obróci. — Wszystkich oczy skierowane na odwróconego pana i na zwłoki przebitych. — Oboje leżą u stóp ślubnej łożnicy. — Ramie wygnańca dotąd szyję siostry otula, jej głowa spoczywa na jego kolczudze, powyżej sztyletu co tkwi mu w piersiach — nikt nie przywarł im powiek — w świetle coraz bielszem słońca, szklnią się ich źrenice a krew wszędzie naokoło, i na pancerzu wodza i na piersiach oblubienicy, ścina się już w czarniawe korale — nad tą krwią stygnącą, twarze ich oblane śniadym spokojem — jakby wspomnienie uśmiechu przystygło do ust dziewicy, niby cień dumy ociąga się jeszcze na czole rycerza. — Znać, męka śmierci lekką im była wśród zachwytu ducha!

Starzec jak stanął tak stoi dotąd — nie jęknął, nie drgnął, nie pochylił się — przytomni, parci świeżymi przychodniami z wolna muszą posuwać się naprzód półkołem— wstrzymują oddechy, oburącz trzymają szable by nie zabrzękły, lękają się chwili w której pan ku nim twarz obróci. — Wielki Boże! przed tą twarzą nie stanie im serca!

Jezus Maryja! jakież to dziwo? — On przywitał ręką przytomnych ludzko i wspaniale, tak jak zawżdy zwykł czynić — niby zadumany, niby nieświadom rzeczywistości wpatrywał się w ich postaci i przecierał powieki a ognista gorączka płonęła mu na licach. — „Wina węgrzyna— niech wypiję zdrowie obywatelskie!“ — Nikt się nie ruszył — wszyscy skamienieli do koła. — „Krew tę obmyć nim moja dziewoja powróci“ — nikt się nie ruszył — każdy głowę spuścił nie mogąc znieść wzroku jego. — „Ha! wy

nie wiecie że to wszystko śni się nam. — Sen uparty, długi, przeklęty — ale wkrótce ranek być musi i przebudzę się.“ — To mówiąc szedł na krużganek — Tu, nagle zdał się inną zaprzątniony myślą, przechylił się przez marmurowe poręcze, patrzał w lewo i w prawo, potem woła: „Mości Panowie bracia, chodźmy szukać państwa młodych, dziwno że na przechadzkę wyszli sobie tak rano.“

I zaraz zstępuje sklepionemi wschody; tą samą drogą wczoraj synowiec wdzierał się na zamek. — U stóp wzgórza zerwał róż kilka: „to dla mojej dobrej dziewczyny — ciszej wiara, — ciszej — zejdziem ją niespodzianie w tym lasku i przywitamy dnia dobrego życzeniem.“ Z pochylonemi głowy wszedł za nim orszak pod cienie jodeł i smutnych modrzewi. — Węzły ścieżek ściskały się i rozpuszczały na przemian, wiodąc w głąb ciemną to na czyste smugi, to wbiegając na pagórki zasute agrestem. — Starzec zaczął wołać córki po imieniu — Echa na około naśmiewały się z niego, ludzie szlochali idąc z tyłu za nim. — Nagle uderzył się ręką w czoło „Zmora, zmora! a ja wierzę jej jakby czemu dobremu — kiedyż wznijdzie mi prawdziwe słońce?“ — I rzucił się ku bliskiej sośnie, objął pień rękoma, „obudź mnie, obudź, twarda koro.“ — Potem się odwróci i porwie najbliższego z orszaku za piersi i i krzyczy: „Maro sługi, mocuj się z Panem twoim — obudź mnie — obudź!“ — Przerażony sługa wymknął mu się i ucieka. — Westchnął starzec, wzniósł oczy ku niebu — — wyraz przystania na męczarnią twarz jego pokornie oświecił, jakby za grzechy ten sen okrutny ofiarował Bogu. — Potem szedł spokojniej, a gdy uszło czasu trochę, znów rzecze: „Panna młoda pewno tam nad jeziorem. — Za mną, wiara, dalej!“

Owoż i słońce podbiło się w górę, owoż i rosa wysycha już na liściach, a wód powierzchnia płonie wrzącemi blaski. — U brzegu zaczepione kołyszą się łodzie o herbownych flagach. — On przypiął sobie do petlicy róże i chodzi po wybrzeżach z coraz żywszą na licu gorączką.— Nikt nie śmie przemówić, nikt radzić by wrócić do zamku. — Przywykli słuchać woli nieugiętej pana i teraz jej hoł-

dują, choć ona już nie z tego świata. — Im samym ten dzień wygląda nakształt ciemnej nocy — im samym do mózgu wdziera się obłąkanie! — „Może wsiadła na łódkę, popłynęła z mężem pomiędzy te kępy, za te wysepki. — Hej! sześciu z was, bierzcie się do wioseł — i my też popłyniemy za nią!“ — Usłuchali, on siadł na statek, odbili od brzegu. — „Czego jęczycie tak dzisiaj — czy woda wam twardsza?“ — Oni nic nie odpowiadają, tylko jadą prędzej. — Za nimi reszta dworzan, jak kto mógł, skacze w inne łodzie. — Dużo ich pojechało za starym panem. — Dużo zostało na brzegu bo zabrakło czółen.

Wysepki kryły się jedne za drugiemi — każda wieńcem sitowiu opierścieniona. — Tu i owdzie na nich olbrzymie głazy, dawne okrutnych Bogów ołtarze, dziś obwisłe powojem. — Kiedy odpływała łódź, u steru której siedział starzec, zewsząd zerwały się z pluskiem i szumem dzikich ptaków stada. — Czarna z nich tęcza zawisła nad płynącemi — na każdym skręcie wodnego manowcu starzec klaszcze w ręce „tu, tu ją znajdziemy,“ a gdy nikogo nie widać, pyta się powietrza: „Gdzie dziecię, dobre dziecię moje?“ — Tak opłynął całą wysp drużynę i czystem jeziorem kazał jechać ku drugiemu brzegowi. — Lecz już teraz zamilkł, ster puścił, czasem rzuci się nagle w bok a wielka bladość rozpościera się po jego twarzy.— Zanurzył ramię w wodę po łokieć i słuchając szmeru fali głośno się rozśmiał. — Stanęli wioślarze, czekają ażali im nie każe wrócić. — On i słowa nie rzekł, jedno wstał i odwróciwszy się spoziera na zostawione z tyłu czółna, na ogrody i zamek, a ciągle ręką głowę przeciera lub drugiej dotyka się dłoni — wtem krzyknął: „Chcę się przebudzić — ja chcę się przebudzić!“ — Oni zadrżeli. — On skoczył z sił wszystkich, ostatnich w głębinę. — Trzech natychmiast rzuciło się za nim, tymczasem nadpływają tamci. — Wszyscy widzieli co się stało i patrzą na wodę wirującą w miejscu kędy zapadł stary pan z wiernemi sługi. — Wrócili po kilku chwilach pływacze niosąc między sobą starca. — Na pokładzie pod flagą herbowną złożyli pana. — Lecz w nim już niepatrzeć życia, życie pod błękitami jeziora zostało!

Tak obce książe zagrabiło zamek starożytny cnego imienia. — Zwłoki teścia i żony uczciło pogrzebem — ciało wygnańca rzuciło gdzieś w nieświęconą ziemię. — Potem wyprawiło towarzyszom stypę w onej samej sali kędy noc pierwszą ślubu przemarnowało z kielichem w ręku, z żartami na ustach. — A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla południowego. — Król z serca rad był książęciu, że rozległe imiona zagarnęło ślepym losu trafem. — Król dziękował losom, że ród odwieczny i potężny wygasł. — Lecz w górach pamiętają wodza który spoczywa w nieświęconej ziemi. — Jego mogiła leży z tamtej strony zamku. — By nad nią krzyż pamięci zatknąć, wprzódy zamek szturmem zdobyć trzeba, — Od gór na zwiady wysłane latają ku wieżom orły i krogulce. — Lada dzień za niemi sypną się zbrojne męże a inny pieśń zwycięstwa ułoży. — Ja wam podałem pieśń zgonu!

A ty, młoda dziewczyno, znikłaś jak myśl co sobie konchy glinianej ulepić nie mogła na ziemi — skrzydła jej zawadzały — pozbyć się nie mogła skrzydeł! I poniosły cię one dokąd wichry lecą, dokąd mgły żeglują, dokąd rwą się liście jesienne i wiją się szumy harfy i piersi westchnienia! — Na grobie marmurowym, prochy twoje noszą imie cudzoziemskie, nienawistne męża. — W okół, na zielonym świecie znikomych, nikt już nie wspomina ciebie. — A nazajutrz po zgonie, siodmiu starców cię przeklęło za to żeś pociągnęła za sobą bohatera duszę. — Nazwali cię oni szyderczem imieniem: „Kobieta“ kiedy mówili do zgromadzonego ludu — ale lud płakał i rozchodząc się wołał: „Wieczny odpoczynek daj jej Chryste Panie!“

POKUSA.

Ach! mętne krwią i łzami pędzą życia fale
I na nurtach potoku słychać wieczne żale!
Z tyłu leżą przeszłości mgłą obwiane tonie,
Z przodu niebo dalekie krwawą łuną płonie;
A w około pływaczy tak zimno i ciemno
Że każdy woła płynąc: „przeklęstwo nademną.“

Matko po sześćkroć zabita, matko nieszczęśliwa, — jednym smugiem zielonym, łanem jednym kłosów ty pamięć obwiążesz i odtąd cierpieć, błądzić, kochać cię muszą syny twoje. — Za nimi grób od morza do morza, — przed nimi, gdziekolwiek idą, zachodzące słońce, a idących przeklinają mocarze i kupcy!

Wzrosłych na łonie śmierci niezrozumieją żyjący — pobledną twarze ludzkie przed wzrokiem upiorów — na odgłos ich stąpań płomień ognisk domowych pochyli się i głazy ogniska zamiecie, — matka ukryje dziecko, żona uprowadzi męża, by nie podał dłoni przechodniowi — gwiazda im tylko wieczorna, gwiazda grobów uśmiecha się w górze!

Wszak święte było milczenie borów sosnowych? — a kiedy wiatr się podniósł, wszak wołał nad waszemi głowy szmerem tajemniczym jak modły arcy-kapłana! — Boga waszego nie ma tu już nigdzie. — Tu szkielety z drewna, okute żelazem, podsycane parą, zaległy przestrzenie; — w powietrzu nie unoszą się orły, w zaroślach nie świegocą ptaki — rączego konia tu żaden z was nie osadzi na stepie i nie pojrzy z dumą, sam jeden śród świata!

Przechodząc więc i wy im odwdzięczajcie się wzgardą; — kiedy was zawiodą do miast bez świątyń i zamków, pod domy białe tynkiem, którym wygoda prócz zielonych okiennic skąpiła ozdoby, powiedzcie: „Umarli!“

Kiedy na brzegach morza staniecie śród Żydów, Ormian i Greków, swarzących się o podłe zyski, a grzmot co huczy nad falą, niesłyszan przemija. — „Umarli!“

Kiedy na około snuć się będą niewiasty, ciała ubrane w suknie, a polot ich sukien, powiewem trącanych, duchowniejszy niż dusza ich. — „Umarli!“

Idźcie, płyńcie jak szum nietkniętych borów. — Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i zmartwychwstając, po drodze rzucacie szmaty całunów, a on na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny!

I ujrzałem jakoby w cudownem widzeniu obraz zmieniający się jak długie życie, a znikomy jako dzień jeden co się pocznie rankiem a prędko pod cienie wieczoru zaleci.

Ranek był dziwnie przejrzysty, wolen chmury wszelakiej. — Słońce wschodziło nad szeroką przestrzenią zieloności — przed domem na wzgórzu koń osiodłany rył murawę kopytem i rżał chwytając w nozdrza powiew z doliny. — Obok stał młody, ledwo że młody pan jego, z iskrą światła w oku równą dziennej jasności, z jedną nogą na strzemieniu, z drugą jeszcze na miękkiej domowej murawie — z jedną ręką na grzywie szumiącej, z drugą w dłoni człowieka z którym się żegnał, niewiedzieć na jak długo, jednak nie na zawsze.

I z serca ku sercu szły na przemian jednego i drugiego słowa. Starszy, ten co stał i miał odejść pieszo, wzrok wbity trzymał w dalekie skały i bory za smugami zieloności. Tamten wzniesione miał oczy, całą pił błękit źrenicą i głos jego brzmiał jak najpierwsze świeżej struny dźwięki. — Starszy przemawiał wolniej i surowiej, znać radził, przestrzegał i zaklinał — znać kochał mocno — znać wątpił nieco — a młodszy nie wątpił, przysiągł, rzucił się na szyję przyjaciela, wnet potem na siodło — i poleciał, poleciał jak potok z góry na dół, potem jak strzała po równinie. — Chmara sług sypnęła się z domu starożytnego i goni za Panem!

Wtedy pozostały ukląkł, i słyszałem co mi wiatr przyniósł z jego modlitwy: „Ojcze niebieski! dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi. — Nie wódź jej na

pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię — Niechaj tobie służy tylko. — Matce po sześćkroć zabitej niechaj służy tylko!“

Tu umilkł klęczący i zdał się głęboko rozpamiętywać, czy przeczuwać, czy też modlić się wciąż jeszcze — aż ścisnął dłonie z sił wszystkich, i znów wiatr przyniósł mi słowa jego: „Ojcze niebieski! nie proszę cię za przyjacielem, byś mu osłodził mękę życia — on cierpieć musi jako wszyscy na świecie. Jedno uskąp mu, Panie, rumieńca wstydu i hańby słabości!“

Po tych słowach ze wzgórza puścił się wędrowiec i szedł pieszo ku dalekim skałom, ku lasom czarniawym.

Znów razem zeszli się oba, konny i pieszy, o południu dnia tego samego, przed wielką bramą miasta. — Już skwar słońca wypalił ciemnawe ślady na młodszego czole, już rosa muraw wyschła na jego strzemionach i rdza połysk ich stali szpeciła, a koń przylatując z daleka, stanął jakby znużony, choć żarem jeszcze pryskały mu oczy! — Pieszy siedział na głazie od stóp do głów siwy kurzawą. — Młodzieniec skoczył lekko na ziemię, rzucił mu się w objęcia i konia sługom oddał i wszedł bramą wielkiego miasta, wiodąc towarzysza ku pałacowi.

Spoczęli oba w jednej z wnętrznych komnat pałacu. — Tam rozmawiali przyciszonym głosem, jakoby się lękali z za ścian ucha nieprzyjaciół. — Młodzieniec na perskim kobiercu rozciągnięty odwilżał usta w srebrnej czarze. — Starszy nie dotknął się puharu kiedy mu go podawał przyjaciel, nie ścigał wzrokiem po stołach i ścianach kiedy mu ich kosztowności wskazywał przyjaciel. — Wstał nareszcie i wziąwszy młodzieńca za rękę, zawiódł go do okna. — Ztamtąd całe miasto widne i tłumy snującego się narodu. — Miasto ogromne, dziwne, jednostajne i wybielone; — naród dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży. — Młodzieniec patrzał ciekawie; starszy wędrowiec westchnął i rzekł: „Kiedy was zaprowadzę do miast bez starych świątyń i zamków, powiedźcie: „Umarli!“

Ale młodszy patrzał jeszcze ciekawiej: przejeżdżały niewiasty, jaskrawe były barwy ich sukien; każdą dwa rumaki ciągnęły, a jeden z nich odrywał się w bok i pędził śnieżną zasłoną, gdyby żaglem rozpiętym otoczon. —

Starszy wędrowiec westchnął i rzekł: „Kiedy na około snuć się będą ciała ubrane w suknie, a polot ich sukien duchowniejszy niż dusza ich, powiedzcie: Umarli!

Ale młodszy nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Tymczasem na niebie zbierały się zewsząd ciężkie, spiekłe chmury. — Jakżeż ta godzina południa różną już od porannej była!

A śród narodu czarnego zaczęli snuć się ludzie, przed przed którymi naród głębokiemi chwiał się ukłony — kuse ich stroje, migocące złotem, przetkane barwistemi wstęgi. — Długi, chudy oręż przy ich boku — grube piór czuby na ich głowach; głosem twardym wołając szli w potędze swojej i uderzali dzieci pozostałe na drodze. — Jęły płakać dzieci, jął tłum się cofać i uciekać; oni jedni zostali na rynku, a coraz ich więcej przybywało — i kłaniali sobie samym coraz grzeczniej, coraz niżej, aż Jeden konno nadjechał i wszyscy upadli na ziemię. — Snać ten Jeden był panem życia i śmierci!

Wtedy rzekł pierwszy wędrowiec: „On już na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny.“ — Lecz młodzieniec wlepiwszy wzrok w jasne szaty jezdzca, ich błyski pił całą źrenicą, tak jak niegdyś błękit niebios i niezdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Dopiero kiedy ten drugi raz je powtórzył, zakrył on oczy dłonią i wyrzekł imie matki zabitej, jakby wspomnienie dzieciństwa. — Starszy przyciskając go do piersi: „Nie patrz! nie patrz na nich“ zawołał. — „Nigdy! Nigdy!“ odparł młodzieniec i zalany łzami rzucił się znowu na wschodnie kobierce. — I usłyszałem modlitwę odmówioną w duchu nad leżącym, przez odchodzącego wędrowca. — „Ojcze niebieski! o południu tej strasznej próby, błagam cię za tym, którego ukochałem. — Ojcze niebieski! teraz już o cud proszę ciebie. — Osłódź tej duszy walkę życia — uwolnij ją od pokus, któremi inne otoczyłeś w tych miejscach, by nie upadła jak owi dawni, najpiękniejsi w twoich niebiesiech, strąceni za to, że zapragnęli potęgi!“

Sam teraz, sam jeden śród miasta wielkiego został młodzieniec i musiał się bratać z ludźmi napotkanymi. — Na niebie już w ołowianą blachę zlepiły się chmury. — Co chwila zmieniają się kształty ulic i komnat i osób, a

on wszędzie pomiędzy niemi oko moje ciągnie za sobą. — Niesłychane cierpienie zakrył on spokojnym lic pozorem. — Ciągle za nim wije się rój złych myśli, wzorem czarnych owadów — a po drugiej stronie leci rój dobrych w błękitnawe iskry. — Pierwsze osiadają mu serce i toczą je krwawo, drugie krew spiekłą wypalą z serca i rany zabliźnią — lecz nowe, coraz głębsze powstają. — Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa jak arcydzieła sztuki, i posiadł je — i stał się panem spojrzeń, sztuki i łez i ruchów swoich, aż jasność równa dziennym promieniom znikła z jego źrenicy. — Boże! i same szaty jego stały się kłamstwem; zrzucił dawne, w których latał po stepie, wziął na głowę czuby piór i chudy oręż przypasał do boku; tłum jął przed nim się cofać i koń go własny nie poznał gdy wchodził na podwórce pałacu swojego — pogłaskał mu grzywę, a on nie zarżał — chciał skoczyć nań jak dawniej, a on dęba stanął. — Gniewem zdjęty pchnął więc konia szpadą; szlachetny rumak oderwał się od słupa, krwią bryzgnął i uciekł grzmiąc podków łoskotem. — Ślad długi iskier bruk osypał za nim i zagasł w zmierzchu. — Ach! już była nadeszła zmierzchu godzina!

Wtedy po trzeci raz w dniu owym, z przyjacielem spotkał się młodzieniec; ujrzałem ich obu w kościele. — ten kościół stał na ustroniu i krzyż na nim różny był od wszystkich innych zatkniętych na świątyniach miasta. — Ubogie ołtarze i stropy grubą powleczone żałobą, a trzy gromnice tylko paliły się śród szerokiej ciemności. — Jedną z nich wziął do ręki pieszy wędrowiec i patrzał na przyjaciela pełnym żalu wzrokiem. — Tamten zrazu nie mógł słowa wyrzec, bo zapomniał był słowmi głąb duszy objawiać; raz tylko krzyknął. — W tym krzyku cała ozwała się prawda — ducha niechcącego upaść powolne niszczenie! — I złożył głowę na ramię towarzyszowi i spuścił powieki jakby marząc, iż może uda mu się zasnąć na wieki w tej chwili! — Lecz towarzysz ocucił go i rzekł: „Za mną, za mną! byś sobie postać matki przypomniał.“ — I poszedł przodem ku roztwartym drzwiom za wielkim ołtarzem. — Mroźny wicher buchał z podziemiów — gromnica prze-

wodnika biła się z powiewem w długie iskry rozczochrana. — I szli oba długo bardzo, coraz niżej zstępując do łona nocy, aż z ciasnego przejścia wydobyli się na głuche i niezmierzone obszary.

Ogniki nocne spadały czasem nakształt zlatujących gwiazd — czasem podnosiły się z dołu jak wschodzące księżyce. — W ich świetle snuły się długie cmentarze jeden po drugim, a na każdego bramie tlało srebrne imie Ludu, który na nim leżał zamordowany. — Po kościach i czaszkach przechodził młodzieniec i czytał napisy. — Zdawało mu się, że cienie umarłych pomykają się przed nim spłoszone i jęcząc uciekają dalej — aż zrósł się z nich tuman podobny do burzy, co chwila ogromniejszy, szumiący tysiącem smętnych pieśni rodzinnych. — Znać było jakoby migotanie szabel i przewiew sztandarów w powietrzu. — Łuny pożarów jak błyskawice rozlewały się w przestrzeniach i gasły na przemian, a coraz hyżej i coraz dalej toczył się wir Duchów, aż nagle spuścił się na dół, rozsypał się jak zeschłe liście, przyległ do ziemi jak letnia kurzawa, wołając: „Ojcze niebieski! zmiłuj się nad nami!“ — Wtedy zatrzymał się przewodnik i klął przed wnijściem do otwartego grobu, na którym imie po sześćkroć zabitej paliło się białym płomieniem; — a kiedy powstał, drżał od stóp do głów świętem przerażeniem zdjęty; a kiedy próg przestępował, zaczął płakać rzewnie!

Smętne światło jesiennych pogód oświecało tamtejsze przestwory; niby to wieczór już nadchodzi, a na wzgórzu łagodnie pochyłem leży trumna pod wysmukłą sosną; na jej szczycie orzeł przeszyty w własnej krwi uśpiony — a w trumnie postać z krzyżem na piersiach, z zasłoną na twarzy, z okowami na ręku, z koroną na czole. I wzgórz takich sześć po sobie, przedzielonych zielonemi smugi, kędy krew płynie na wzór szemrzących ruczajów, kędy oręż połamany zielskiem zarasta; a na każdem wzgórzu taż sama trumna i postać taż sama, jedno coraz więcej krwi, coraz na dłoniach leżącej cięższe łańcuchy i światło jesienne co chwila bledsze; wreszcie u stóp ostatniej wyżyny, zmarzłe sterczą krwi potoki, na sosny konarach wiszą sople lodu i miasto zasłony, śniegiem twarz umarłej przykryta. — Tam gdy doszedł młodzieniec, padł czołem na

grudę zimową i przeklął życie!

Dalekie pozostałych cieniów u bram grobu słychać westchnienia, płacze; wreszcie zapytały: „Czy skonała już po sześćkroć przebita, czy nie powstanie już nigdy i nas biednych nie wywiedzie?“ — Starszy wędrowiec nic nie odpowiedział, bo okiem miłości patrzał na towarzysza w tej chwili i dźwigał go z ziemi ramieniem. — Wtedy powstało narzekanie wszystkich dalekich pomarłych ludów i jednym krzykiem ogromnym ciszę śmierci zrzucili: „Ojcze niebieski! tyś zdradził nas! Tyś wydał nas piekłu, bo Święta nasza skonała“ — Ale przewodnik odegrzmiał im z oddali: „Nie bluźńcie, bo Święta wasza oddycha jeszcze. — Widzę ją! śpi w trumnie ostatniej na zamarzłem wzgórzu — za niem już nie masz siódmego, tylko jedno jest zmartwychwstanie.“ — A ryk Duchów wołających opadł i przerzucił się w szmer cichy i słodki jak początek nadziei!

Wtedy spostrzegł młodzieniec niedojrzane dotąd za trumną obszary. — Tam pałał blask jutrzenki na błękicie bez końca; ztamtąd było słychać szczęk, jeszcze nienarodzonych bitew i pieśń zwycięztwa. — Lecz zorza przez chwilę tylko jaśniała, chrzęst przez chwilę tylko dzwonił, milczenie i zmierzch i zimno wróciły. — Czas już odejść. — Oba wstąpili na wzgórze, pochylili czoła i usta na stopach postaci złożyli i z pod śniegu słabiuchny oddech ust jej zasłyszeli. — Potem tąż samą, widziałem, jak wracali drogą, strasznemi wiążąc się przysięgi.

A starszy żegnając młodszego u wnijścia do kościoła, rzekł dziwnie zaklinającym głosem: „Nie daj się uwieść tym, którzy chcą zgubić duszę twoją i wymazać imie twoje z rzędu słów zacnych na ziemi. — Pamiętaj że cokolwiek ujrzysz tej nocy jest piekieł złudzeniem.“ — I położywszy dłonie na sercu młodzieńca: „Ojcze niebieski! zawołał, zlituj się nad nim i nademną; bo jeśli on tej okropnej próby nie wytrzyma, ty wiesz, że ja sam jeden zostanę na świecie.“ — Po tych słowach każden z nich różną poszedł drogą.

Teraz już ciemna noc była w onem wielkiem mieście. — Mnogie po ulicach ruszały się tłumy, wszystkie w stronę jedną, kędy światło tysiącznych lamp wołało do zamku brzmiącego wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach

miedzianych wiodących w górne komnaty, wspinają się młodzi i starzy, mężе i niewiasty; wszyscy spiesznie, chciwie, jakby szli do nieba. — Powoli mijają godziny nocy, dłuższe niż wszystkie poprzedzające dnia tego, a o którejś z nich ujrzałem młodzieńca na owych wschodach, z daleko starszą już twarzą, na której ślady przysiąg zręcznie się ukryły. — Cisnął się za nim orszak sług, rzucił im płaszcz swój i darł się wyżej strojny i wspaniały, gość równy pysznym godom! — Lecz zaledwo wszedł i pojrzał na tysiące pląsające w tych miejscach, na przepych rozwieszonych łupów, na oręże pryśnięte i wprawione w sklepienia wzorem mozaiki, zbladł od gniewu i zgryzł wargi do krwi — ale tłumy lecące porwały go między siebie — tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzideł wkradła mu się do mózgu, jedwabne kobierce lubieżnie łaskotały go w stopy, co chwila innej barwy światło grało mu w oczach — aż znękany, upojony, siadł na uboczu i pochyliwszy skronie zamarzył się o licach niewieścich, o śnieżnej dłoni jakiejś. — Wtedy usłyszałem jak biła jedna długa nocy godzina.

Kiedy podniósł oczy, ujrzał przez rzęd roztwartych podwoi w dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący po nad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział Jedynowładzca życia i śmierci, pod wiązaniem z chorągwi. — Z jednej, rozdartej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca! — Na ten widok, wszystką siłą duszy odegnał wabiące mamidła i spojrzał wzrokiem czystym od pokus, tak jak w godzinie poranku.

W tem tłumy rozginać się zaczęły w prawo i na lewo — od tronu aż do młodzieńca wytknęła się szeroka ścieszka przez wszystkie komnaty. — I z tronu zstąpił Pan zamku i szedł zwolna jakby Bóg jaki śród padających na ziemię; — prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zboczył, zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny i silny! — Tamten wstał i śmiało spojrzał mu w oczy — pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem rzekł łudzącym głosem: „Chodź! przejdziem się razem — i dziwy ci zamku mojego pokażę“ — a kiedy młodzieniec stał jak przykuty, on sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pocią-

gnął za sobą.

Z trumną matki wijącą się przed oczyma szedł młodzieniec a ramię jego drgało krwi kipiącej biciem na twardem ramieniu mocarza, który srogim głosem grzmiąc ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąż przemawiał do towarzysza. — Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imię matki zabitej bez wzdrygnienia, jakby jej śmierć nie ciężyła na jego sumieniu; nie zdał się na chwilę powątpiewać że znikła już z ziemi na zawsze i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość ogromną, wyrytą w księgach przeznaczenia — nęcił ku niej młode jego żądze, nieszczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie gdyby prorok Boga. — Od twarzy jego urodziwej jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęsny młodzian. — Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce i z niej robak się wylęgał. — Tak przeszli razem długi szereg komnat śród ludzi czołem bijących o malakity posadzek.

Na drugim końcu zamku, nagle na rozkaz pana spiżowe bramy się rozwarły, i tysiące podźwignąwszy głowę, chciwie po za ich progi spojrzały: „Oto skarbiec mój, rzekł mocarz, patrz i uwierz we mnie.“ — A młodzieńcowi się wydało, że stoi na brzegu kopalni ciągnących się bez końca. — Blask bijący z ich jarów i urwisk pożerał źrenicę; toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra; tęczą przeskakiwały nad nimi łuki z ametystu. — Słychać były gwizdy podziemnych płomieni, trzęsły się wzgórza, rwały się jaskinie, a świeże dyamentowe bryły lepiły się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szczęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności jak czarne plamy księżyca. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem, postacie wznosiły ręce i tłukąc łańcuchami przeciągle wołały o jedną kroplę wody, o jedną chwilkę odetchnienia. — On nie raczył im odpowiadać, a co chwila jedne padały w ogień wnętrzny kopalni, a drugie równie okute i umierające na ich miejsce wschodziły. Zdało się młodzieńcowi, że rysy niektórych widział gdzieś dawniej na powierzchni ziemi, lecz błyskawice przesłoniły mu ich twarze — szum topniejących kruszców zagłuszył ich jęki — blask równy pogodzie pustyni wszystko zalał i pokrył. — Wtedy bramy

spiżowe zawarto, a pan życia i śmierci odchodząc rzekł: „O dwunastej bądź w sali tronowej — tam zasiądziesz do biesiady przy mnie.“

Teraz gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana. — Pytali się jakie pieśni lubi, i wnet muzyka je grała — przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje. — On dziwił się i gardził zrazu, potem spojrzał dumnie i rozkazywać zaczął.

W prześlicznej ustroni, śród pachnących krzewów, na aksamitnych kobiercach spotkał pań zamężnych i hożych dziewic grono. — Ledwo wszedł, one go otoczą; każda go wita różanym uśmiechem, każda mu szepce do ucha w przelocie i rzuca kwiatami na niego. — Gorączką nabiegły mu lica, uczuł że zdołałby w zamku wroga być szczęśliwym i to uczucie jak piorun strzaskało mu serce. — Ucieka — one gonią za nim, szumiąc powiewnemi szaty. — Przez dwie długie tej nocy godziny widziałem jak splątany, pomięszany, walczący, prosił się czasami Ojca niebieskiego o siłę i cnotę, to znów w rozpaczy przebiegał sale godowe i szukał broni, by pchnąć się w piersi — ale nieznalazł jej nigdzie! — Były inne w których, odwróciwszy się do czarownych postaci, przeklinał je i łżył, rozdzierał ich muślinowe przesłony i deptał nogami. — One płacząc i korząc się wołały: „O raz, raz tylko powiedz, że jedną z nas kochasz!“ wreszcie krzyknął w obłąkaniu: „kocham!“ — Porwał w objęcia cudzego rodu dziewicę, wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlokła do sali tronowej.

Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytemi sztandary. — Uderzyła jakaś nocy godzina; — dworzany stanęli w około. — Zwinęła się w górę makata kryjąca drzwi platynowe. — Herold zawołał na czekających za progiem, a weszły posłanniki królów wschodu i zachodu. — Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał u stóp tronu urnę szczerozłotą, napełnioną popiołami tych którzy walcząc w świętej sprawie po różnych stronach świata polegli; — a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny, w książęcych gronostajach i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię matki zabitej na jej wypukłości — stało mu się ciemno przed

oczyma — nic nie widział przez chwilę, nawet kraśnej towarzyszki — słyszał tylko zapytanie pana: „Czy zaprawdę umarli i nie powstaną?“ — i odpowiedź posłów wszystkich: „Zaprawdę nie powstaną nigdy“ a wtedy przystąpili dworzanie i po obu stronach sali na słupach z czarnego granitu rozstawiwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli. — Zapaliły się prochy sinym ogniem, blade dymy powiły się w powietrze i poniosły panu woń śmierci!

I zdało się młodzieńcowi, że wszystko co widział o godzinie zmierzchu, snem było; zdało mu się że te tłumy są świata panami, a król ich wszechmocny na zawsze. — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął śród urn płonących. Dziewica prosiła oblubieńca, by zasiadł do biesiady; pan schodząc z tronu sam skinął na niego i miejsce mu wskazał i wszyscy którzy tam byli, gdy dwunasta biła, zasiedli do onego stołu.

Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup dźwigający matki popioły. — Ile razy nań spojrzał, puhar upuszczał na ziemię; lecz mu go nazad podawała narzeczona. — Jednak coraz groźniej i straszniej pasował się duch jego obłąkany, usiłując powrócić do dawnych wiar i nadziei; ale wszystko co go otaczało, grubą zasłoną ćmiło mu poznanie. — Zatrute krążyły zdrowia — on na cześć pana wychylać je musiał — osłabły piersi, dreszcz rozwiązał członki; skronie zimnym potem zlane pochyliły się; ludzie, urny, sklepienia, pogmatwały się przed jego wzrokiem. — Głosy rozmów, dźwięki muzyki, słowa oblubienicy, pomieszały się w okropny hałas nieznośny, mdlejącemu; — i tak minęły przedostatnie godziny!

On żył jeszcze, ale nędznem serca biciem, kiedy ostatnia uderzyła jak grzmot po nad jego głową. — Rozemknął powieki — płomienie urn dogasały. — Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się łaskawie: „Gościu biesiady mojej, rzekł, „czas byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia — i rzucił mu przez stół garść dyjamentowych krzyżów, dodając: „noś to na pamiątkę moją..“ — Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, a konający powtarzał słowo po słowie, nie słysząc własnego głosu. —

Głowa jego opadała na łono oblubienicy, usta jeszcze się ruszały, ale już bielmem zachodziły oczy — i wymówił tak wszystkie wyrazy, aż do ostatniego! — Lecz zaledwo skończył, wstał Pan życia i śmierci: „Sługo sług moich, zawołał, śmierć od powrozu kata cię czeka, jeśli kiedy złamiesz przysięgę...“ potem rozśmiał się gardłem całem. Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszem spojrzeniem, spotkał urnę matki — lecz miasto jej nagrobku inne tam już słowo stało: „Hańba“ wyczytał młodzieniec. — „Hańba“ krzyknął zrywając się z miejsca ostatkiem sił — „Hańba“ odrzekły mu tysiące z tyłu, z przodu, z boków — „Hańba“ powtórzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbcu kopalnie; — a jedni z pośród tłumu zaczęli nań wołać jego nowem, cudzoziemskiem imieniem; drudzy skacząc na około, przypinali mu krzyże. — Inni kazali mu by się im kłaniał; inni by deptał po matki niedopalonych popiołach!

To mu krew napowrót pchnęło do serca i rzucił się naprzód, rozbił otaczających, wyleciał z komnaty, szuka wzrokiem narzeczonej — ona gdzieś w oddali stoi już oparta na ręce drugiego i szydzi także. Jak może więc sunie po za posągami, przepada w framugach; lecz zaraz go wykryją i znów uciekać musi — w sto manowców zamek plącze się przed nim, a nigdzie schronienia: wszędzie na około obelgi i groźby, a w nim samym przekleństwo! — Obrócił się ku wrogom: pasował się długo, aż zrzucili go pod stopy i przeszli po nim śpiewając mu pieśń jakąś z stron jego ojczystych. Gdy powstał, inni nadbiegli, a on wyzywał ich jeszcze, aż spieniony, krwawy, znów zacznie się cofać i szukać wyjścia z zamku. I bił się i tarzał i biegał i padał aż do pierwszych świtu brzasków — wtedy runął ze wschodów miedzianych i stoczył się na podwórzec zamkowy.

Ta go uchwyciły silne ramiona i uniosły daleko aż na stopnie kościoła widzianego o godzinie zmierzchu. — Teraz już bliski wschód słońca — lecz dla młodzieńca nie będzie drugiego poranku na ziemi!

On odzyskał przytomność i w niemej rozpaczy stał na wschodach przed starszym wędrowcem który rzekł ponuro: „Wiem że w innym czasie i na innem miejscu mógł-

byś był zajaśnieć bohaterem — ale śród ciężkiej próby naznaczonej ci od losów, nie umiałeś być cnotliwym. — Widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą; zgubionyś!“ — „Wróć mi konia!“ — krzyknął młodzieniec — „wróć mi szaty stepów i dawną broń moją, a ujrzysz jak mścić się będę krzywd bratnich i własnego shańbienia.“ — I czepiał się rąk przyjaciela i zawieszał mu się na szyi goreją̨c wściekłością; — a tamten smutniej jeszcze odpowiedział jemu: „Czas głośnej walki nie nadszedł. — Długo jeszcze dni milczących poświęceń trwać muszą, a choćbyś się doczekał sądu i zmartwychwstania, policzą cię właśni bracia w poczet odrzuconych! — Z tamtąd, czy słyszysz, już wrogi gonią za tobą! — Jeśli cię schwytają, przez resztę życia ty będziesz ich woli służalcem, ich zbrodni spólnikiem, ich żartu igraszką. — Jeden tylko, jeden ratunek pozostał dla ciebie.“ i dobył sztyletu. — Młodzieniec zrozumiał i z dziką odwagą rozdarł szaty nad piersiami. — „Uderzaj! — zawołał — umieram synem matki po sześćkroć zabitej — cześć jej na wieki!“ — Jęknął wędrowiec i w tych nagich piersiach żelazo utopił; — padł bez krzyku nieszczęśliwy w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o tej samej porze, o której wczora pełen nadziei i siły, pchnął był konia z góry na dół w poprzek stepów życia. — Upadł, a oko jego gasnąc błysnęło dawną iskrą światła. Kląkł przy ciele towarzysz i wzniósł w górę załamane ręce: „Ojcze niebieski! ty wiesz, że go wśród wszystkich najmocniej kochałem na ziemi. — Pókim mógł, broniłem go od pokus piekła; a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku duszę jego wydarłem wrogom i posłałem Tobie. — Ojcze niebieski, zbaw ją w wieczności, a niech ta krew przezemnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu twego — i wraz z nią spadnie na głowy kusicieli.“ — Po tych słowach widziałem jak sam drasnął się pod serce żelazem, i na kamieniu po nad głową umarłego czerwonym ostrzem napisał: „Z ręki przyjaciela.“ — W tem wrzaski walącej zgrai huknęły w pobliżu — porwał się wędrowiec i uchodząc znikł z przed oczu moich w przybytku kościoła.

Tak przeszedł i zakończył się ów dzień jeden mojego widzenia.

O! matko po sześćkroć zabita! kiedy wstaniesz ze snu, kiedy znów zasiądziesz nad łanami zbóż, śród zielonych borów od morza do morza, a w chwili odmłodnienia przypomnisz sobie długą zmorę śmierci, straszne widziadła męczeństwa — nie płacz, matko moja! nie płacz nad onymi którzy polegli w imieniu twojem na rodzinnych lub zamorskich niwach. — Choć sępy i wilki rozdarły ich zwłoki, oni szczęśliwi! — Ani płacz nad tymi którzy śród katów w głuchych umarli podziemiach — choć im kaganiec więzień, jedyną gwiazdą, choć im twarde słowo ucisku, ostatniem na ziemi pożegnaniem było — oni szczęśliwi! — Ale uroń łzę litości, o uroń łzę, matko moja! nad losem tych, których rozum blichtrami fałszu złudzili morderce twoi, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocy rozkazem. — Oni, matko! oni więcej wycierpieli niż reszta synów twoich. — Omylone nadzieje jak noże przeszyły im piersi, w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmią w obliczu słońca chrzęstem stali i łoskotem dział. — Widmo twoje służyło im za cień własny; lśniące oczy wrogów sprowadzały ich pochyłością lodu ku głębi zimna wiecznego, a na każdem urwisku zatrzymując się, płakali za tobą! — aż serce wyschło im z tęsknoty, aż wychudły im ręce i nogi w niewoli bezwidomych kajdan; — i stali się jako trupy żyjące, sami śród nienawistnego ludu, sami w domach własnych, sami jedni na szerokiej ziemi! — Matko moja! ty nad dolą ich, ty nad męką mąk wyrzeknij ciche słowo przepomnienia!

KONIEC.

TREŚĆ.

Słowo od wydawców I
Życiorys J. Krasińskiego III
Agaj-Han 1
Nie-Boska Komedyja 113
Noc letnia 315
Pokusa 346

KONIEC TOMU I.

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
891.85 K865IAM1 C001 v.1
Pisma /
3 0112 093571542